

BARBARA  
WOOD  
DOMINA

## PROLOG

NOWY JORK 1881

Miała dziwny sen. Teraz, w jasnych promieniach słońca, które wpadało przez okno, nie potrafiła go odtworzyć, ale jego ponura, niepokojąca atmosfera wciąż wisiała w powietrzu. Przeraziło ją coś, czego nie mogła już sobie przypomnieć. Czy sny coś zapowiadają? Czy przepowiadają przyszłość? Potrząsnęła głową i wyskoczyła z łóżka. Bajdurzenia i brednie. Sen to sen, i nic więcej.

Ożywiona jak dziecko, podminowana tym, co ją czeka w tak niezwykłym dniu, czuła, że choć raz musi zerknąć na ulicę. Zbiegła po schodach do łazienki i tam, chowając się skromnie za perkalowymi zasłonkami, spojrzała przez okno. Na zewnątrz panował ruch, dość niezwykły w ospałym na ogół mieście. Klekotały rozpędzone powozy, konie stukały podkawkami o bruk, dzieci i psy biegały tam i z powrotem, a po chodnikach sunęli stateczni panowie we frakach i cylindrach.

Nigdzie nie zauważyła kobiet.

Odsunęła się od okna i zmarszczyła czoło.

A więc to tak. Kobiet nie będzie...

Dwa lata temu mieszkanki Lucernę zjednoczyły wysiłki, żeby ją stąd wygonić. Odmawiały jej kwatery, ostentacyjnie odwracały się od niej na ulicy i traktowały ją z pełną wyniosłości pogardą, jaką obdarza się panienki o wątpliwej moralności. Wtedy, w czasie tych długich samotnych dni, Samanta Hargrave była zarówno obiektem potępienia ze strony czcigodnych mieszkank miasta, jak i pożądlivych domysłów męż-

czynn. Bo jaka kobieta chciałaby dobrowolnie siedzieć w sali pełnej młodych kawalerów i w ich towarzystwie wysłuchiwać wykładów na tematy, które z natury rzeczy obrażają delikatne damskie uszy? Zdaniem obywateli Lucernę, Samanta Hargrave zjawiała się w mieście tylko po to, żeby męską młodzież sprowadzić z drogi cnoty.

Ale tak było dwa lata temu. Wciąż miała nadzieję, że obawy i uprzedzenia, jakie wobec niej żywili mieszkańcy miasteczka, już dawno poszły w niepamięć. Niestety manifestacyjna nieobecność kobiet na uroczystości wręczania dyplomów była wyraźną demonstracją ich niegasnącej dezaprobaty.

Poczuła się tym urażona, lecz za nic na świecie nie chciała sobie popsuć nastroju w tak doniosłym dniu. Wyteżyła więc całą swoją dojrzałość i stoicyzm wypracowany podczas dwudziestu jeden lat życia, zaczerpnęła głęboko tchu i zaczęła się szykować do wyjścia.

Przechyliła porcelanowy dzbanek i nalała wody do miski. Spojrzała w lustro. Zdumiało ją, że nic się nie zmieniła w czasie ostatniej nocy. To zaskakujące, ale wciąż wygląda tak samo... Zazwyczaj cieszyła ją własna uroda, lecz teraz Samanta pomyślała z gorzką ironią: Jestem za ładna. I za młoda.

Doktor w spódnicy i tak musi bez końca walczyć o akceptację środowiska i pacjentów, a co dopiero kobieta tak ładna i młoda jak ona. Praktycznie nie ma szans... Przyglądając się sobie bez emocji, niczym komuś obcemu, zaczęła badawczo analizować w lustrze wysoko sklepione czoło, wąski nos, ładnie zarysowane brwi, łagodną linię nieco wypukłych ust. Z chwilą gdy postanowiła się wdrzeć do świata mężczyzn, wszystko to natychmiast zaczęło przemawiać przeciw niej. Czy kiedykolwiek potraktują mnie poważnie, jak prawdziwego lekarza? — myślała.

Przyjrzała się swoim oczom. Wiedziała, że są jej największym atutem. Miała niezwykle oczy w kształcie migdałów — lekko skośne, okolone długimi gęstymi rzęsami, a zaskakujące blade tęczówki, jasnoszare, obramowane ciemną, niemal czarną obwódką, sprawiały wrażenie, że Samanta widzi nimi więcej i dogłębniej niż inni. Tak, oczy miała poważne,

o pełnym mocy spojrzeniu — duże, jasne, błyszczące — a ten, na kogo patrzyła, dostrzegał w nich silną i nieugiętą duszę.

Zajęła się poranną toaletą. Myła się tak, jak większość kobiet w tamtych czasach. Stała na gumowej macie i przecierała ciało myjką, na przemian to namydlaną, to zanurzaną w wodzie. Nie spłukiwała mydła. W owych czasach wanny wciąż jeszcze stanowiły nowość, i to wysoce kontrowersyjną. Lekarze ostrzegali, że siedzenie w wodzie może nadwątlić zdrowie. Zresztą wanny zdarzały się tylko w najbogatszych i najodważniejszych domach.

Kiedy sięgała po gorset z rzadkowo tkanej bawełny, leciutko drżały jej ręce. Odczekała chwileczkę, żeby się opanować, a potem ściągnęła sznurówki gorsetu — ale nie tak mocno, żeby się krzywić z bólu. Na swoje szczęście Samanta miała bardzo wąską kibić — zawdzięczała ją miesiącom głodowych porcji jedzenia. Kobiety często, żeby osiągnąć modną talię osy, sznurowały się tak ciasno, że potem musiały wspomagać się morfiną, żeby znieść ból towarzyszący noszeniu gorsetu. Wsuwając zgrabne nogi w haftowane pantalone, coś sobie przypominała i uśmiechnęła się do wspomnienia. Wtedy jednak, te dwa lata temu, nie było jej wcale do śmiechu.

Kiedy po raz pierwszy przyszła na zajęcia w Kolegium Medycyny w Lucernę, powitał ją złośliwy chór kolegów, adeptów medycyny, którzy nucili pod nosem:

*Widząc się ledwie boginią  
W świecie samych bogów,  
Wenus rozpięła stanik  
I odnalazła swą drogę.*

Jakże odległe to się jej dziś wydawało! Jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich dwóch lat... Jak bardzo świat się zmienił! W październiku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku, przestraszona i onieśmielona, potulnie poszła na swój pierwszy wykład i z całej duszy pragnęła skryć się pod czepeczkiem, żeby uniknąć wścibskich spojrzeń mężczyzn siedzących w wyższych rzędach audytorium. Jakie paskudne kawały jej wtedy wycinali! Teraz, kiedy to wspomi-

nała, nie mogła wprost uwierzyć, że przeszła przez te wszystkie szykany! Ileż to rzeczy zmieniło się od tamtej pory!

Zapinając guziki lnianej bluzeczki pomyślała, że byłoby cudownie, gdyby tak on przyjechał. Palce jej znieruchomiały, serce zabiło gwałtowniej. Westchnęła z rezygnacją. Nie, Joshua nie przyjedzie. Mogłaby równie dobrze zapragnąć gwiazdki z nieba.

Suknia, którą za chwilę miała na siebie włożyć, była zupełnie niepodobna do tych, jakie dotąd nosiła. Samanta całe życie walczyła z biedą, z trudem wiązała koniec z końcem, żyła z dnia na dzień, raz oszczędzając pensy, to znów choćby dolara. Żyła prawdziwie po spartańsku, wciąż sobie obiecując, że pewnego dnia jej wyrzeczenia zostaną nagrodzone. I wreszcie dziś nadszedł oczekiwany dzień. Krawiec z Canandaigua stworzył dzieło po prostu doskonałe.

Wspólnie wybrali perłową szarość jako kolor pasujący do jej oczu i przewertowali ostatnie żurnale, szukając właściwego fasonu. Wybór padł na model Wortha, najbardziej znanego projektanta strojów — zmienili tylko kilka szczegółów, by dopasować styl sukni do wysokiej i wiotkiej sylwetki Samanty. Zmniejszyli nieco turniurę, która w eleganckich europejskich kręgach niebawem się rozrastała. Zdecydowali się też nie skracać sukni i nie odsłaniać butów, co w Paryżu stawało się szalenie modne i nad wyraz bulwersujące. Teraz jedwabny żakard ściśle przylegał do stanu i talii Samanty — z przodu spódnicy zwisał suto niczym sfałdowana zasłona, z tyłu zaś zebrany był nad turniurą. Krawiec wykończył obcisłe rękawy i wysoki kołnierzyk marszczoną hiszpańską koronką i aż ze Spitalfields sprowadził guziki, które naszył gęsto zaczynając od samej szyi, a kończąc poniżej stanu.

Samanta dokupiła do sukni wysokie buty też zapinane na guziczki i maleńki ustrojony piórami toczek, który teraz włożyła na czubek korony splecionej z czarnych loków. Na zakończenie wpięła w stójkę nową broszkę z kameą. Serce mocno jej biło z emocji. Wystarczyło już tylko naciągnąć rękawiczki i wyjść.

Ale zatrzymała się jeszcze. Zamknęła oczy, zacisnęła smukłe dłonie i zmówiła w myślach modlitwę zapamiętaną z dzie-

ciństwa. Na moment ogarnął ją smutek i pomyślała o ojcu, żałując, że nie może jej w tym dniu oglądać, ale już po chwili dziękowała Bogu, że doprowadził ją do tego sukcesu.

Nareszcie uspokojona, wzięła szare zamszowe rękawiczki i wykręcając przed lustrem głowę, obejrzała kark, czy nigdzie nie wymyka się jakiś niesforny kosmyk. W końcu, już nie zainteresowana własnym wyglądem, śmiało wyszła z pokoju.

Dzisiejszy dzień był jej wielkim triumfem, ale wiedziała, że czekają ją trudności.

Profesor Jones wyszedł jej na spotkanie aż do saloniku. Niecierpliwił się już od pół godziny, nerwowo przemierzając pokój, jak ojciec w dniu ślubu córki. Kiedy wreszcie, za którymś nawrotem do drzwi, zobaczył w nich Samantę, jego twarz rozjaśnił najpogodniejszy z uśmiechów.

Ona też uśmiechnęła się w rewanżu — dla niego dzisiejszy dzień miał również szczególne znaczenie. Cały świat obserwował tego postawnego mężczyznę o różowej łysinie i sterujących baczkach, który miał odwagę złamać przyjęte konwenanse. Po raz pierwszy w historii uczelni rozdanie dyplomów miało się odbywać w obecności dziennikarzy. Zdenerwowany profesor Jones — dziekan Kolegium Medycyny — zamrugał gwałtownie za szklami binokli i z przejścia nie wydusił z siebie słowa.

— Pójdziemy już, panie profesorze? — wyręczyła go.

Kiedy wyszli na schodki przed drzwiami, Samanta stanęła jak wryta i szybko oceniając sytuację, przysłoniła oczy dłonią, udając, że razi ją słońce. Tak naprawdę potrzebowała kilku chwil, żeby się opancerzyć przed wzrokiem mężczyzn, którzy stali na ulicy i bezwstydnie się na nią gapili. No cóż, to, że osłoniła oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, mogło zostać uznane za naturalny odruch — jezioro Canandaigua, leżące za porośniętymi trawą stokami wzgórz, które tworzyły niewielki wał po przeciwnej stronie Main Street, lśniło porażająco srebrzyście. Samanta oderwała dłoń od oczu; spojrzała na tafłę jeziora i otaczający je krajobraz w bogatej wiosennej szacie. Patrzyła na łagodne stoki wzgórz pokryte mozaiką szmaragdowych, upstrzonych winnicami pól wokół farm, na

dziko rosnące nad jeziorem i w mieście jabłonie kwitnące bujną bielą oraz na czyste niebo jaśniejące błękitem. Ciepłe powietrze drżało leniwie, nie zakłócone podmuchami wiatru; w ogródkach wzdłuż Main Street rozkwitły liczne kwiaty. Oczarowana, stała przez chwilę bez słowa. Potem dostrzegła bezczelne męskie spojrzenia, które natychmiast przywołały ją do rzeczywistości.

Wsunęła dłoń pod ramię profesora Jonesa i niemal spły-  
nęła ze schodów, by wraz z nim udać się do budynku kole-  
gium.

Dlaczego kobiety nie przyszły? — raz po raz zadawała sobie pytanie, idąc pod ciężkimi od kwiecica konarami jabłonek w stronę okrągłego gmachu. Przecież moje zwycięstwo jest również ich zwycięstwem!

Ale dobrze wiedziała, że na pewno nie przyjdą. Nie dostrzegła choćby dziewczynki na ulicy.

Kiedy oboje z profesorem weszli na drewniany mostek nad niedużym strumykiem, który oddzielał tereny uczelni od reszty miasta, poczuła nagły żal. Przechodziła tędy już po raz ostatni. Podczas gdy profesor Jones z niepokojem lustrował zebrany tłum, szukając kogoś wzrokiem, Samanta przypominała sobie z czułością i smutkiem dzień, kiedy pierwszy raz zobaczyła budynek uczelni.

Imponujący gmach stał na wyciętej w gęstym lesie polanie, zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów od granic terytorium Indian Mohawk, na dawnym indiańskim cmentarzu — stąd plotki, że wewnątrz straszy — i wyglądał zaskakująco pompatycznie i nie na miejscu u boku zwykłego przygranicznego miasteczka o prostej drewnianej zabudowie. Główne pomieszczenia szkoły mieściły się bowiem w wielkim murywanym budynku o dwóch piętrach i dość niezwykłej fasadzie ozdobionej przyczółkiem nad szerokim, cofniętym portykiem ujętym w dwa rzędy kolumn. Centralną część gmachu stanowiła wielka biała rotunda, wewnątrz poszatkowana labiryntem sal wykładowych, amfiteatrów, pomieszczeń sekcyjnych, bibliotecznych i biurowych. Mówiło się, że budynek powstał według projektu Tomasza Jeffersona, który miał słabość do ciężkiej rzymskiej architektury. Samanta uważała, że gmach

akademii w tym otoczeniu wygląda niezwykle pretensjonalnie.

Przed dwoma laty stała na tym samym mostku i słuchała indiańskiej legendy, opowiadanej jej przez doktora Jonesa. Dokładnie w miejscu, gdzie dziś wznosiła się szkoła, w tragicznych okolicznościach zginęło dwoje nieszczęsnych irokezskich kochanków i jak wieść niesła ich duchy wciąż nie mogły się odnaleźć i wciąż się nawoływały. Czasem, gdy pracowała do późna w laboratorium anatomii, słyszała tajemnicze odgłosy, których źródła nigdy nie zdołała ustalić.

Nic w tym dziwnego, że i teraz też myślała o duchach. W końcu zewsząd ją otaczały. Wszystkie zjawy się przy niej, by towarzyszyć jej w dniu triumfu. Czuła, że jest przy niej ojciec, Samuel Hargrave, surowy i nieugięty sługa Boży; jej nieszczęśliwi i nie mogący zaznać spokoju bracia; Isaiah Hawksbill; kochany Freddy. Czy jest wśród nich i matka? Czyżby Samanta czuła tego pięknego wiosennego dnia i jej obecność — jakieś łagodne, tkliwe prądy?

Przypomniała sobie Hannę Mallone i ogarnął ją smutek. To dar dla ciebie, moja najdroższa przyjaciółko — pomyślała. To jest nasz wspólny sukces.

Inni studenci niespokojnie krążyli przed budynkiem w cieniu wielkiego portyku. Niczym narowiste konie, ledwie okiełznane i wciąż szarpiące cugle, młodzi mężczyźni mieli ochotę szaleć, psocić, wywijać kapeluszami. Ale powaga tego szczególnego dnia i ceremonia uświęcona tradycją powstrzymywały ich od figli. Profesorowie już nadchodzili. Zjawilo się też kilku dandysowatych reporterów w kraciastych marynarkach i melonikach. Doktor Jones przeprosił Samantę, mrużąc pod nosem o jakimś panu Kencie, podeszła więc do niedużej grupki studentów, którzy cicho o czymś rozprawiali.

Przebijając się przez tłum, biedny doktor Jones wylał sobie palce ze zdenerwowania i niespokojnie rozglądał się na boki. Gdzież, u licha, jest ten diabelny Simon Kent?!

Cała sytuacja wyniknęła oczywiście w związku z Samantą Hargrave, choć ona sama nie miała o tym pojęcia. Kilka dni wcześniej jeden z profesorów zwrócił uwagę doktora Jonesa



na fakt, że zwykły dyplom kolegium nie będzie, niestety, odpowiedni dla studentki Hargrave. Dyplomy tłoczono po łacinie i wszystkie zwroty i końcówki w tekście, dotyczące absolwentów wydziału medycyny, pisano w męskim rodzaju. Tytuł, jaki absolwent otrzymywał na zakończenie nauk, od lat brzmiał: *domine*, a znaczył tyle co w angielskim *master*, czyli pan, mistrz. Czy jest też żeński odpowiednik tego tytułu? — dociekał zaniepokojony profesor. Nie może to być żeńska wersja *master*, czyli angielska *mistress* — jak wiadomo tym słowem określa się kochankę, nałożnicę — lecz tytuł, który godzi się nadać studentce. Jakiś łaciński termin, odpowiednik pani, mistrzyni. Zebrało się grono pedagogów i długo nad tym radziło. Wreszcie wybrano: *domina*.

Następny problem był już natury technicznej. Uczelnia od lat posługiwała się tłoczonymi na baraniej skórze dyplomami, w których rzemieślnik przygotowywał cały tekst, zostawiając wolne miejsce jedynie na wpisanie imienia i nazwiska absolwenta. Teraz więc trzeba było szybko znaleźć jakiegoś miejscowego artystę, zdolnego skopiować cały dyplom, który wytłoczyłby odpowiednie zwroty z żeńskimi końcówkami. Wybór padł na Simona Kenta, miejscowego farmera. Ale Kent miał dostarczyć dyplom w przeddzień uroczystości, a tymczasem dotąd się jeszcze nie zjawił!

Jeśli nie przyjdzie, będzie to absolutna katastrofa — myślał Jones. Przecież Kolegium Medycyny w Lucernę tworzy dzisiaj historię! Doktor Henry Jones w tym wielkim dniu skupiał na sobie uwagę całego świata. Jakiś reporter przyjechał nawet z Michigan! Sukces lub porażka śmiałego i wielce krytykowanego eksperymentu, na jaki doktor Jones ważył się przed dwoma laty — to znaczy przyjęcie kobiety w poczet studentów — zależał od tego, co stanie się właśnie dziś! Jeżeli Kent nawali, liczni oponenti eksperymentu Jonesa aż zatrą ręce z radości. Doktor Jones jeszcze się nie poddawał i szukał niestownego farmera.

— Przepraszam! ...praszam!

Samanta odwróciła się i zobaczyła wysokiego krzepkiego mężczyznę, w zsuniętym z czoła kapeluszu, który przepychał się do niej przez tłum.

— Panno Hargrave! Chciałbym prosić o kilka słów. — W jednej ręce trzymał notatnik, a w drugiej ołówek. — Jack Morley z „Sun” w Baltimore. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

— Za chwilę zaczynamy uroczystość, panie Morley — zauważyła.

— Jak się pani czuje jako pierwszy doktor w spódnicy i absolwentka męskiej uczelni?

— Nie jestem pierwszą lekarką. Doktor Elizabeth Blackwell wyprzedziła mnie o całe trzydzieści lat.

— Tak, tak, ona była pierwsza, ale od tamtej pory do dziś żadna kobieta nie poszła w jej ślady. Doktor Blackwell udało się przypadkiem, a gdy tylko uzyskała dyplom, drzwi męskich uczelni zamknęły się przed kobietami. Pewnie walczyła pani jak lwica, żeby się dostać do Harvardu?

— Złożyłam tam podanie, ale je odrzucono.

— Mogę zapytać, skąd ta ambicja, żeby ukończyć męską szkołę? Przecież jest mnóstwo szkół dla kobiet.

Samanta uniosła brodę.

— Chciałam zdobyć możliwie najlepsze wykształcenie medyczne. Skoro żyjemy w świecie rządzonej przez mężczyzn, uznałam, że tylko męska szkoła może mi zapewnić właściwe wykształcenie. Któregoś dnia takie podziały w ogóle przestaną istnieć. — Odwróciła się na pięcie.

— Mówi pani jak kolejna Lucy Stoner!

Studenci i profesorowie zaczęli już tworzyć procesję. Do kościoła mieli wchodzić dwójkami. Kilka dni temu dyskutowano zawzięcie, gdzie powinno się ustawić pannę Hargrave. Uznano, że byłoby ładnie, gdyby wsparta na ramieniu doktora Jonesa rozpoczynała pochód studentów. Ale Samanta sprzeciwiła się wszelkim przywilejom, jakie miałyby spaść na nią jedynie z racji płci. Kończyła studia z trzecią lokatą na roku i chciała iść w pochodzie jako trzecia.

Podczas gdy wszyscy ustawiali się według rangi zajmowanego stanowiska — a w gronie profesorskim było pięćdziesiąt osób — profesor Jones wciąż wyłamywał sobie palce ze zdenerwowania i raz po raz obrzucał polankę niespokojnym wzrokiem. Gdzież jest ten Simon Kent?

Nagle rogi rozbrzmiały głośnym akordem i profesor szybko przeszedł na czoło pochodu. Dał znak, żeby rozpocząć ceremonię. Indianie ze szczepu Seneca, w tradycyjnych ubraniach z kozłej skóry i orlich pióropuszkach zagrali *America* na trąbkach, tubach i puzonach. Kiedy procesja ruszyła spod schodów rotundy, spokojny, cichy las nagle ożył — drozdy i szpaki poderwały się z konarów rozłożystego wiązu i pobliskich klonów, przerażone zające czmyhnęły spod krzaków, a stateczni mężczyźni w godnych czarnych strojach i młoda dziewczyna w popielatej sukni rozpoczęli paradę.

Kościół prezbiteriański, gdzie odbywały się wszystkie oficjalne spotkania mieszkańców miasteczka, leżał na skraju Lucerne, oddalony od rotundy o jakieś pięćset metrów. Pochód przemierzył tę odległość w dziesięć minut i w ciągu tego czasu Samanta zdążyła ochłonać. Kiedy jednak ujrzała przed kościołem zbity tłum mężczyzn, jej pewność siebie znów uległa zachwianiu.

Przed kościołem stały najróżniejsze bryczki i podwozy, konie, psy oraz małe dzieci, a na dodatek dziennikarze i fotoreporterzy z aparatami już nabitymi na statywy. Po prostu cyrk! I to w dużej mierze spowodowany przez jedną wiotką i cichą dziewczynę, która — na równi z mężczyznami — za chwilę miała otrzymać dyplom. Można było pomyśleć, że to zupełna wariatka! Dziesiątki ludzi zjechało tu z daleka, żeby popatrzeć na ten wybryk natury. Kobieta kończąca męską uczelnię! Też coś!

Pochód zatrzymał się pod schodami, żeby dać czas fotografom. Samanta nie chowała głowy, uniosła ją dumnie i obrzuciła wzrokiem zebrany tłum. Zauważyła zdumione spojrzenia farmerów w ubraniach z samodziału — przyszli na własne oczy zobaczyć to wydarzenie, żeby latami rozprawiać o nim w długie zimowe wieczory.

Wtem serce skoczyło jej do gardła. Joshua!

Nie... Mężczyzna na schodach kościoła odwrócił się twarzą i natychmiast spostrzegła pomyłkę. To tylko ktoś jego wzrostu, o podobnie szerokich ramionach i ciemnej karnacji. Naprawdę jest niemądra, skoro choćby przez chwilę mogła przy-

puszczać, że tu przyjechał. Półtora roku minęło już od czasu, gdy ślubowała, że więcej go nie spotka.

Wyprostowała ramiona. Mimo szaleńczo dudniącego serca usłyszała skrzyp otwieranych drzwi kościoła i pomyślała: Jeśli nie mogę mieć jego, nie chcę innego mężczyzny.

Czekając w napięciu, aż pochód ruszy do środka, wyobrażała sobie, jak też by się czuła jako panna młoda. W pewnym sensie — skonstatowała w duchu — dzisiaj biorę ślub. Wejdę do kościoła jako panna Hargrave, a wyjdę jako pani doktor. To jest dla mnie prawdziwy dzień ślubu. Nie będzie innego.

Nerwy miała napięte tak strasznie, że gdyby przyszło jej jeszcze czekać dłużej, chyba zaczęłaby krzyczeć. Miała wrażenie, że stoi nad brzegiem wielkiego zamglonego morza i po to, by się tu znaleźć, pokonała setki kilometrów. A teraz, gdy już dotarła nad wodę, wie, że to nie koniec tej żmudnej wędrówki. Tak, zdobyła dużo, wygrała wiele bitew, pokonała tyle przeszkód! A przecież...

Za otwartymi drzwiami przeczuwała już swoją przyszłość. Nowe zmagania, nowe trudności i — nie, o tym zupełnie nie powinna myśleć — nowi mężczyźni. Oto koniec jednej długiej drogi, lecz początek drugiej zarazem. Tylko dokąd ją ta nowa droga zawiedzie? Ku jakiemu tajemniczemu przeznaczeniu?

Gdybyż tylko kobiety przyszły na tę uroczystość! Dlaczego zostały w domach?!

ANGLIA 1860

## 1

Kobieta krzyknęła już po raz trzydziesty w ciągu godziny. Jej ostatni krzyk rozdarł ciszę wiosennej nocy i zdawało się, że zatrzęsł domem w posadach. Jakaś postać nachyliła się nad nią. To pani Cadwallader odprawiała pantomimę nad cierpiącą Felicity Hargrave.

— Coś nie tak... — mruknęła akuszerka pod nosem. Podparła sobie krzyż pulchną dłonią, wyprostowała plecy i mocno naciągnęła mięśnie. Sięgnęła po butelkę wzmacniającego toniku, który przyniosła z myślą o biednej Felicity, i sama upiła sporą miarkę.

Niedobrze to wyglądało. Ciężki poród, a mąż na dole wcale go nie ułatwiał. Co to za człowiek, żeby tak bronić żonie odrobiny toniku i nie chcieć ulżyć jej w bólach? No właśnie! Samuel Hargrave. Zakazał pani Cadwallader podawać żonie jakichkolwiek medykamentów na ułatwienie porodu. I bardzo to smutne, bo pani Cadwallader była przecież najlepiej zaopatrzoną akuszerką w Londynie. Nosiła w torbie opium i belladonnę, sporysz, który przyspiesza poród i hamuje krwawienie, oraz cały zestaw ziół i innych ludowych środków. No i do tego miała jeszcze butelkę mocnego dżinu. Akuszerka zakorkowała butelkę ze wzmacniającym tonikiem i odstawiła ją na podłogę, a potem nachyliła się nad Felicity i krzepkimi dłońmi pogłaskała jej wzdęty brzuch.

No, no, złotko — uspokajała śpiewnie. — Dajże nam

Felicity, z włosami splecionymi, częściowo przylepionymi do twarzy, częściowo rozrzuconymi na poduszce, krzyknęła tak przeraźliwie, że pani Cadwallader dałaby sobie niemal odciąć głowę, że słysząc ją było aż w Kencie.

Akuszerka usiadła i zacisnęła usta.

— To już dwadzieścia godzin — mruknęła do siebie. — I to przy trzecim dziecku. Wielka niesprawiedliwość... — Jej wielki biust podniósł się i opadł gwałtownie w rytm głębokiego westchnienia. — Hm, nie lubię tego robić, ale chyba muszę jej dać na kichanie.

Sapnęła nieco, sięgając po torbę, i wyciągnęła z niej piórko i butelkę. Otworzyła butelkę i solidnie zanurzyła piórko w białym sproszkowanym ciemierniku. Potem, nie wstając jeszcze z kolan, wyciągnęła ramię nad olbrzymim, ciężko unoszącym się i opadającym brzuchem i wetknęła koniec piórka w jedną z dziurek nosa rodzącej.

— Na, kochana, na...

Pani Cadwallader szybko usiadła w nogach łóżka i przygotowywała się na nieuchronny wynik zabiegu — potężne kichnięcie i dynamiczne wyrzucenie dziecka z łona matki.

Felicity Hargrave, krzywiąc się z bólu przy kolejnym skurczu, wciągnęła gwałtownie powietrze, na chwilę oderwała nieco plecy od prześcieradła i wystrzeliła tak potężnym kichnięciem, że jego podmuch zmierzwił włosy akuszerki. W tej samej chwili w kanale rodnym — przed godziną porządnie wysmarowyn gęsim sadłem — ukazała się maleńka nóżka.

Pulchna pani Cadwallader uniosła brwi.

— To tak się sprawy mają... Już się tu na nic nie nadam...

Trzy ponure postacie siedziały przy stole w jadalni; złożyły dłonie przed sobą i schyliły głowy. Na wyszorowanym drewnianym blacie nie stały teraz talerze ani kubki. Na środku stołu tkwiła oliwna lampa, w której palił się tłuszcz kaszalota. Płomień rzucał pełną cieni poświatę na trzy smętne twarze. Samuel Hargrave, mąż Felicity, zatonął w modlitwie; Matthew, sześciolatek, wpatrywał się w płomień lampy wielkimi jak spodki ciemnymi oczami; a James, dziewięcioletni chłopiec, *raz po raz* to wyłamywał sobie palce, to znów nerwowo

zagryzał wewnętrzną stronę policzka. Spojrzał na ojca, licząc na jakiś znak pociechy z jego strony, ale nadaremnie.

Samuel Hargrave, głęboko zatopiony w rozmowie z Bogiem, zaciskał dłonie tak mocno, że aż mu zbiełały kostki. Trwał w takiej pozycji już od czterech godzin, nie okazując najmniejszych śladów znużenia. Tak bardzo koncentrował się na modlitwie, że nie słyszał nawet, kiedy pani Cadwallader zeszła po schodach.

— Tato... — szepnął James, przerażony straszną miną akuszerki.

Samuel całą siłą woli oderwał się od swych myśli. Podniósł ciężkie od religijnych medytacji spojrzenie i przesunął wzrok na pulchną kobietę.

— Nic z tego, proszę pana. Źle się wstawiło. Bardzo źle. Idzie zadkiem. Jedna nóżka jest w dole, a druga ułożyła się w stronę główki.

— Nie da się dziecka obrócić?

— Tym razem nie, proszę pana. Musiałabym włożyć do środka całą rękę, a nie mogę, na okoliczność tego, że pańska biedna żona tak strasznie krzyczy i ucieka przede mną. Potrzeba jej prawdziwego doctora.

— Nie! — Samuel zaprotestował tak szybko i z taką mocą, że akuszerka aż podskoczyła z wrażenia. — Żaden mężczyzna nie obrazi wzrokiem skromności mojej żony.

Pani Cadwallader wbiła w niego bystre okragłe oczka.

— Za pozwoleniem, psze pana — zaczęła. — Nie ma nic bezbożnego w tym, że dochtór obejrzy pańską żonę. Medycy to najprawdziwsi dżentelmeni, nic im nie można zarzucić. Takie sprawy w ogóle ich nie interesują. Pan wie, co mam na myśli...

— Nie chcę tu doktora, pani Cadwallader.

Akuszerka wyprostowała ramiona i prychnęła z przyganą.

— Jeśli mi się wolno wyrazić, psze pana, to nie mamy czasu na rozmowy. Pańska żona i dziecko są w wielkich kłopotach. Trzeba się śpieszyć, panie 'Argrave!

Samuel wstał z krzesła — jego wysoka chuda postać niemal wypełniała nieduże pomieszczenie. Mały Matthew i James patrzyli na niego w skupieniu. Zawsze mieli wrażenie,

że kiedy ojciec siedzi w kantorze na wysokim stołku i pochyla się nad księgami handlowymi, w zestawieniu z jego wielką sylwetką mały kantor kurczy się jeszcze bardziej — ojciec górował dosłownie nad wszystkim. Ale dziś widzieli, jak barki ojca uginają się pod niewidzialnym ciężarem. Samuel Hargrave wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło.

Akuszerka czekała niecierpliwie. Podobnie jak wielu innym ludziom, pan Hargrave zupełnie się jej nie podobał. Ani ta jego pobożność oddanego metodysty... No i w ogóle. To, że tu dzisiaj przysłała, było jej gestem wobec kochanej Felicity.

— Pani Cadwallader — zaczął Hargrave głosem jak z ambony. — Nie skażę mojej żony na śmiertelny grzech nieskromności. Żaden mężczyzna nie pokalał jej czystej chrześcijańskiej duszy. To nasze wspólne życzenie...

— Niech pan ją teraz zapyta, czy dalej nie chce doctora!

Samuel spojrział udręczonym wzrokiem w sufit. Z sypialni dobiegł ich następny krzyk. Twarz mężczyzny skurczyła się w grymasie bólu.

Dziewięcioletni James nie odrywał oczu od wielkiej postaci ojca, który nawet w domowym zaciszu siedział w czarnym surducie, czarnych spodniach, białej koszuli i białej wykrochmalonej krawatce. Serce chłopca waliło jak młot. Nigdy dotąd nie widział, żeby ojciec się wahał.

Akuszerka rozstawiła nogi, oparła ręce na biodrach, jakby się szykowałą do walki, a tymczasem James niezauważenie ześlizgnął się z krzesła.

— Mówię panu uczciwie, panie 'Argrave: pańskiej żonie trzeba doctora! Jest taki zacny medyk przy Tottenham Court Road, po drugiej stronie Great Russel Street. Ten doctór Stone to człowiek honoru, bez dwóch zdań. Widziałam go tyle razy...

— Nie, pani Cadwallader.

Gdy akuszerka patrząc na Samuela kipiała z oburzenia, mały James wyszedł na palcach do ciemnego przedsionka.

— Słowo daję, panie 'Argrave, pańska żona potrzebuje pomocy!

Mężczyzna opuścił głowę i spojrział na akuszerkę z takim gniewem, że aż się cofnęła.



— A zatem proponuję, moja dobra kobieto, żeby wróciła pani na swój posterunek i pomogła żonie. — Odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby przysunąć sobie krzesło. — Ja się tu będę modlił.

Pani Cadwallader wchodziła na górę, Samuel oparł pochyloną głowę na złożonych do modlitwy dłoniach i nikt nie zauważył zniknięcia małego Jamesa.

Kiedy po jakimś czasie drzwi wejściowe cicho się otworzyły, wpuszczając do wnętrza domu nie tylko wilgotne powietrze mglistej wiosennej nocy, ale i Jamesa, Samuel modlił się tak intensywnie, że z czoła ściekały mu strużki potu. James stanął w progu i zalekniony patrzył na schyloną głowę ojca.

— Ojciec... — wyszeptał.

Mężczyzna z trudem uniósł ciężkie powieki, zamrugał kilka razy i wreszcie zauważył nienaturalnie pobladłą twarz syna.

— Tato, sprowadziłem pomoc. — James ciężko dyszał, bo biegł w obie strony.

Samuel znów zamrugał nieprzytomnie.

— Co mówisz?

— Byłem po doktora. Zaraz tu będzie.

Wreszcie Samuel zrozumiał, o co chodzi. Gniew wziął górę nad wszelką pobożnością. Powoli wstawał z krzesła.

— Byłeś po doktora?

James skurczył się w sobie.

— T... t... tak, tato. Myślałem, że nie wiesz, co robić...

Nigdy dotąd nie widział, żeby ojciec ruszał się aż tak szybko. W mgnieniu oka Samuel znalazł się po drugiej stronie stołu, a jedyną rzeczą, jaką James dostrzegł, zanim w oczach stanęły mu świeczki, była uniesiona wielka dłoń ojca. Wrzasnął — bardziej ze zdumienia niż z bólu — i natychmiast osłonił lewe ucho. Samuel wyciągnął rękę, oderwał dłoń syna od ucha i jeszcze raz z całej siły huknął w to samo miejsce. James wyrwał się rozpaczliwie, a tymczasem ojciec mocno wymierzał mu kolejne razy. Ciosy padały aż do chwili, gdy usłyszeli:

— Czy to dom państwa Hargrave?

Chłopiec podniósł obolałą głowę i obrócił zażawione oczy na doktora Stone'a.

— Niepotrzebnie się pan fatygował — powiedział Samuel nieuprzejmie.

Małe, czujne oczka medyka, których ostrość widzenia wspomagała para binokli, powędrowały w stronę krwawiącego ucha chłopca.

— Z tego co widzę, przyszedłem w samą porę.

Samuel spojrzął na syna i na chwilę na jego twarzy za gościło zdumienie. Puścił chłopca, który natychmiast schował się pod stołem.

— To zajęcie dla kobiet — powiedział Samuel, prostując plecy. — Nie wpuszczę mężczyzny do sypialni żony.

Doktor Stone, nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju. Był drobnym, żyłastym, mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną o wąskim nosie i sterczących baczkach. Uderzył lekko cylindrem o udo, żeby strzepnąć z niego krople wody.

— Chłopiec mówił, że dziecko ustawiło się pośladkami i że pani Cadwallader nie da sobie rady.

Akuszerka, którą krzyki Jamesa wyciągnęły z sypialni, stała już u podnóża schodów.

— Dobrze że pan przyszedł, doktorze Stone — ucieszyła się. — Biedaczka leży w boleściach już całą noc i dzień, jak słowo. I to przy trzecim dziecku. Taka niesprawiedliwość! Nie dość, że ustawiło się zadkiem, to jeszcze szyjkę ma omotaną pępowiną, a Felicity za nic nie da go sobie obrócić. To nie jej wina, rzecz jasna.

Doktor Stone ściągnął usta.

— Zobaczymy, jak temu zaradzić.

— Chwileczkę, proszę pana — zaoponował Samuel. — Nie życzę sobie, żeby pan szedł do mojej żony.

— Albo pan dochtór, albo śmierć — zauważyła akuszerka.

— Asystowałem przy wielu porodach, panie Hargrave — zaczął Stone łagodnie. — Proszę mi wierzyć, że jestem dżentelmenem z urodzenia i z manier. Doskonale rozumiem pański niepokój o czystość duszy pańskiej żony.

— W tym domu pomaga Bóg, nie mężczyźni!

— I ja służę Bogu, panie Hargrave. W końcu On też leczył chorych, prawda?

Samuel wyglądał jak człowiek w potrzasku. Jęki żony dobiegające z góry rozdzierały mu serce.

— Być może to właśnie ja jestem odpowiedzią na pańskie żarliwe modlitwy — ciągnął medyk spokojnie. — Może to sam Pan Bóg dzisiaj mnie tu zesłał? Niech pan przynajmniej pozwoli mi obejrzeć żonę.

Samuel z drżeniem wciągnął powietrze. Na próżno szukał w skołatanej głowie odpowiedniego ustępu z Biblii.

— Dobrze więc — zgodził się z niechęcią. — Ale zobowiązuje panią, pani Cadwallader...

— Tak, tak, panie 'Argrave, ma się rozumieć. Nie ruszę się stamtąd na krok, niech pan będzie spokojny.

Doktor Stone ciężko oparł dłoń na ramieniu Hargrave'a.

— Wszystko będzie dobrze, zapewniam pana. W dzisiejszych czasach to się zawsze udaje. Mamy ten nowy środek na sen. A zatem, moja pani — zwrócił się do akuszerki — pójdziemy już chyba na górę?

Twarz Samuela nagle pociemniała.

— Co pan powiedział? Środek na sen?

Doktor Stone uniósł czarny kuferek ze skóry.

— Jestem nowoczesnym lekarzem, panie Hargrave. Zaczęłam stosować chloroform, dzięki czemu pańska czcigodna małżonka powije dziecko w spokoju.

— Co?! — Samuel aż się cofnął.

Doktor zaniepokoił się cokolwiek; nie przypuszczał, że są jeszcze ludzie o tak zachowawczych poglądach. Przecież sama Jej Wysokość królowa Wiktoria już siedem lat temu poddała się uspieniu chloroformem, kiedy rodziła księcia Leopolda.

— Nie ma w tym najmniejszego niebezpieczeństwa, panie Hargrave. Podam chloroform, pańska małżonka zaśnie i rozluźni mięśnie. Wtedy ja bez kłopotu obrócę dziecko. Wszędzie już się tak robi.

— Tylko nie jej!

— Wyłącznie w ten sposób możemy jej teraz pomóc. Inaczej straci pan i żonę, i dziecko.

— Bóle rodzenia zesłał sam Wszchemogący — zaczął Samuel rozedrganym głosem. — Przeciwdziałanie im jest świętokradztwem, a pańskie pary usypiające są wymysłem sza-

tana. Męki rodzenia są karą Bożą wymierzoną kobiecie za jej grzech popełniony w raju i żadna bogobojna chrześcijanka nie pozbawi się tej oczyszczającej kary, którą wszystkie jej siostry znoszą od czasu, gdy Ewa dała Adamowi zakazany owoc! — Uniósł trzęsący się palec. — „Do niewiasty też rzekł: Rozmnożę nędze twoje i poczęcia twoje, z boleścią rodzić będziesz dziatki.”

Doktor usiłował ukryć zniecierpliwienie. Sądził, że ten argument, który niegdyś przewalił się przez Londyn jak gwałtowny pożar, dawno już stracił moc i umarł śmiercią naturalną. Pamiętał, jak dziesięć lat temu nieraz wdawał się z kolegami w ogniste dyskusje nad stosowaniem chloroformu przy porodzie. Ha, przez jakiś czas nawet zdawało się, że Biblia zwycięży, ale właśnie wtedy John Snów odebrał księcia Leopolda, uprzednio uspiwszy królową. I świat natychmiast powitał chloroform przychylnie. Niestety, jak widać tu i ówdzie tliły się jeszcze ogniska oporu.

— „Przepuścił tedy Pan Bóg twarde sen na Adama, a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego, i napełnił ciałem miast niego.”

— Jak pan śmie bluźnić w moim domu! Jak pan śmie robić z Boga jakiegoś chirurga i zakładać taki absurd, że do „operacji” używałby chloroformu i tym by Adama usypia// Zapomina pan, doktorze, że cud wyjęcia żebra miał miejsce, zanim Adam i Ewa poznali co to ból. To wszystko działo się w raju.

Kolejny pełen cierpienia krzyk rozdarł nocną ciszę. Mężczyźni spojrzeli w górę.

— Krzyki rodzącej są jak muzyka dla naszego Pana — powiedział Hargrave z powagą. — Radością napełniają Jego serce. To wyraz życia i chrześcijańskiej woli. Moje dziecko nie wślizgnie się na ten świat po cichu i podstępnie jak wąż, gdy tymczasem żona będzie spać nieświadoma, że dokonała świętego aktu wydania na świat nowego chrześcijanina. Koniec dyskusji, doktorze Stone.

Neville Stone uważnie przyglądał się Samuelowi — oceniał go, ważył powagę sytuacji, a potem doszedł do wniosku, że nigdy, nawet gdyby wdawał się z nim choćby i w tysiąc

debat, i tak nie zmieni poglądów tego zatwardziałego metodysty.

— Rozumiem — odparł i szybko wszedł na schody.

Widok, jaki ujrzał na górze, zmroził go zupełnie. Na łóżku, ciężko dysząc, leżała rodząca. Jej wielkie brzemiennie łono z trudem unosiło się i opadało, a spod ciemnej kępki zmierzwionych włosów między rozwartymi, zakrwawionymi udami sterczała mała nóżka. Neville Stone pośpiesznie zdjął surdut — podał go akuszerce — i podwinął do łokci rękawy koszuli.

Stając między nogami Felicity, delikatnie włożył dwa palce w jej pochwę i sunął nimi wzdłuż chudej zimnej nóżki, która wypadła z macicy. Po szybkim badaniu usiadł na łóżku i powiedział:

— Jest tak, jak pani mówi, pani Cadwallader.

Otworzył kuferek, wyjął instrumenty i ułożył je przy nogach Felicity: kleszcze położnicze, którymi można objąć główkę płodu i wyciągnąć dziecko na zewnątrz, zagiętą metalową strzykawkę, którą kazał akuszerce napełnić wodą, na wypadek zaistnienia konieczności ochrzczenia dziecka *in utero*, zestaw ostrych skalpeli, gdyby zaszła potrzeba wykonania cesarskiego cięcia — niech Bóg przed tym uchowa! — i wreszcie hak do dekapitacji, instrument służący do zabijania płodu, kawałkowania go i wyciągania części z kanału rodnego.

Cicho i wprawnie układając narzędzia, wsłuchany w ciężki oddech Felicity, doktor Stone czuł, jak sam oblewa się potem. Nie podobał mu się ten przypadek. Wystarczyło jedno umiejętnie badanie, by wiedzieć, że bez pomocy chloroformu nie da się dziecka obrócić, a ponieważ Samuel Hargrave zakazał stosowania chloroformu, doktor Stone miał tylko dwa wyjścia, przy czym z żadnym z nich nie chciał się pogodzić. Wybór był taki: albo przeprowadzi cesarskie cięcie, którym uratuje dziecko i zabije matkę, albo zamorduje dziecko i wyciągnie je z macicy po kawałku, zachowując przy życiu kobietę.

Czuł za plecami obecność sapiącej akuszerki; jej olbrzymi, wielce macierzyński biust unosił się i opadał niespokojnie. Słyszał, jak ciężko dyszy Felicity; wymacał nitkowaty puls.

Pomyślał o mężczyźnie na dole, pogrążonym w modlitwie, i o własnym kruchym i śmiertelnym ciele.

Potem przeniósł wzrok na czarny kuferek.

Dziesięć lat temu nie miałyby nad czym tak deliberować; musiałyby wybrać czyjąś śmierć i zabrały się do tego ze stoicyzmem wypracowanym przez lata lekarskiego doświadczenia. Ileż to kobiet umarło przy porodzie, zanim wynaleziono chloroform! Ale teraz?! Do licha! Dziś doktor Stone miał pod ręką proste, ratujące życie rozwiązanie. Takie, które uwalniało go od podejmowania strasznej decyzji. Kilka kropel cudownego płynu, a matka i dziecko zostaną uratowane!

Nagle się zdecydował. O konsekwencjach pomyśli po wszystkim. Sięgnął do kufereka i wyciągnął butelkę. Kiedy pani Cadwallader pochyliła się nad nim, już zwijał w tutkę wyciągniętą z kieszeni chusteczkę. Odkręcając nakrętkę buteleczki, usłyszał szept akuszerki:

— Użyj pan tych par na sen, panie doktorze?

Ponuro skinął głową. Wstał z łóżka i stanął przy głowie rodzącej. Nachylając się nad Felicity i mruczając słowa otuchy, delikatnie przytknął szerokim końcem chusteczkę do jej nosa i ust, a potem zaczął w nią sączyć krople chloroformu.

— Jak to działa? — cicho spytała przejęta akuszerka, kiedy mdląco-słodkie opary wypełniały pokój.

— Płyn wyparowuje z chusteczki i Felicity, wdychając jego opary, uśnie głębokim snem.

— Jak się takie coś nazywa?

Głos Stone'a brzmiał łagodnie i uspokajająco, a tymczasem Felicity zaczęła już wciągać cząsteczki gazu.

— Cztery lata temu Amerykanin, niejaki Oliver Wendell Holmes — wyjaśniał doktor, bardziej po to, żeby uspokoić rodzącą, niż by oświecić akuszerkę — nazwał ten nowy zabieg usypiania anestezją.

Pani Cadwallader zasłoniła nos rękawem.

— Ojoj, Jankes... Hm, sama nie wiem, panie doktorze...

— Ciii... — Wyprostował się, odrywając chusteczkę od twarzy Felicity. — Zasypia. Jak tylko straci czucie, odbierzemy dziecko.

Pot spływał mu z czoła i wielkimi kroplami spadał na blat stołu; Samuel tak mocno zaciskał dłonie, że aż drżały. Zbierał w sobie wszelkie rezerwy sił, napinał każdy mięsień i nerw. Z całej mocy starał się wzniesć ponad swe słabe ciało i stać się wyłącznie istotą myślącą. Nie czuł uwierającego go twardego krzesła, zapomniał o małym chłopcu, który schowany pod stołem osłaniał krwawiące ucho, nie zauważył nawet, że od pewnego czasu w domu panuje cisza. Tak bardzo skupiał się na komunii z Bogiem.

Mimo to nie osiągał właściwej koncentracji, bo co i raz niezdiscyplinowane myśli zakłócały jego modlitwę. Jak wykarmić dodatkowego członka rodziny? Gdzie szukać przyzwoitej gosposi, która zajmie się domem, kiedy Felicity będzie leżeć w połogu? Skąd wziąć pieniądze na podatek za dom?

Coś dławiło go w gardle. Z trudem przełknął ślinę. No i co będzie, jeśli — strach pomyśleć! — Felicity umrze?

Samuel załkał i nagle złamał się w pół; padł twarzą na blat stołu. Rozłożył ręce w bok na kształt krzyża i rozpłaszczając policzki o drewniany blat, zamknął oczy. Zakreśliło mu się w głowie od splecionych myśli. Był już zbyt słaby na to, żeby z nimi walczyć. Zatem nic w tym dziwnego, że pobiegły natychmiast do źródła jego największej męki i cierpienia. Wiedział, że wciąż nie chce się poddać, że za nic na świecie nie chce spojrzeć prawdzie w oczy. Wiedział też, że modli się tak żarliwie nie tyle dla Felicity, ile dla własnego zbawienia. Teraz jednak zmuszony był zmierzyć się z rzeczywistością, od której nie miał ucieczki. To przecież on sam, Samuel Hargrave, jest przyczyną dzisiejszego nieszczęścia.

Teraz, kiedy nareszcie to sobie powiedział, nie musiał już uciekać. Jak żywo stało mu w pamięci wspomnienie tamtej nocy sprzed dziewięciu miesięcy, która sprowadziła na niego i Felicity to piekło cierpienia!

Przez wszystkie lata dorosłego życia Samuel Hargrave nie zaznał lubieżnych uczuć. Pewnego dnia, gdy był jeszcze chłopcem, ojciec przyłapał go na masturbacji — na pierwszym i ostatnim eksperymencie z własnym ciałem — i wkropił mu mocno w tyłek. Kiedy Samuel dorósł do wieku młodzieńcze-

go — zaczynał wówczas pracę jako księgowy w biurze — powstrzymywał mimowolne wytryski nasienia w czasie snu, obwiązując penis Szurkiem, by budził go ucisk nałożonej pętli, gdy zdradziecki organ zaczynał nocą pęcznieć. Wtedy Samuel wstawał i studził się zimną wodą. Noc poślubna z Felicity stanowiła ostateczny test jego samokontroli. Małżeński obowiązek spełnił szybko i pobieżnie, ani na moment nie oddając się przyjemności. Czerpał radość wyłącznie z faktu, że w ten oto sposób przyczynia się do poczęcia nowego chrześcijanina. A cicha, mała Felicity — Bogu niech będą dzięki! — nigdy go niczym specjalnie nie kusiała. Tylko dwa razy oddali się aktowi małżeńskiemu i — co za szczęście! — Felicity w obu przypadkach natychmiast zaszła w ciążę. Wszystko było tak szalenie proste, że Samuel nie mógł zrozumieć tego typu pokus ani też nie pobył uleganiu fizycznym żądom.

Ale wtem, po dziewięciu latach prawego i cnotliwego życia, zdarzyło się coś okropnego.

Felicity weszła w trwający kilka tygodni okres „niemocy”. Stała się niespokojna, rozmarzona, zapominała o domowych obowiązkach. Nocami po kilka razy budziła Samuela rzucając się na łóżku, przewracając z boku na bok, wzdychając, a czasem nawet jęcząc. Nie wytrzymał tego i wreszcie zdecydował się wydać trochę grosza na wizytę u doktora przy Harley Street. Miał nadzieję, że on znajdzie jakieś lekarstwo. Tymczasem lekarz bezradnie potrząsnął głową, wzruszył ramionami i zupełnie nie umiał wytłumaczyć źródła tej dziwnej przypadłości.

Wreszcie pewnego razu, tuż po północy, kiedy przyzwoici londyńczycy w szlafmycach spali już bezpiecznie pod kołdrami, Samuel został nieoczekiwanie wyrwany ze snu. Otworzył oczy i ujrzał leniwie uśmiechniętą żonę, która przyglądała mu się spod ciężkich powiek. Wyczuł zapach laudanum. Chciał coś powiedzieć, ale przytknęła mu palce do ust, a tymczasem drugą, wolną ręką zaczęła niepokojująco pieścić jego nagi tors. Usiłował stawiać opór; chciał ją przywołać do porządku, ale opium najwyraźniej na dobre zawładnęło jej umysłem, a widok ciężkich czarnych loków uwodzicielsko spadających na jej białe piersi spowodował, że słowa uwięzły mu w gardle.



Niewiele pamiętał z tego, co nastąpiło później. Przypominał sobie tylko jakieś fragmenty tamtej nocy: wilgotne wargi Felicity, język, którym przemocą wdarła się w jego usta, palący dotyk jej palców na wzwiedzionym członku, a potem już tylko wirującą ciemność, oszałamiającą karuzelę doznań, szaleństwo niepokromionej namiętności i ekstazy.

Następnego ranka Felicity stała się znów taka jak zawsze. Zupełnie jakby ktoś egzorcyzmami wypędził z niej szatana. Spokojnie i cicho zajmowała się domem, cierpliwie doglądała obu synów, pokornie siedziała przy kominku z modlitewnikiem w rękę. Ale Samuel się zmienił. Śmiertelnie przerażony swoim zachowaniem, ujrzał się w roli nieszczęsnego Adama, który bezmyślnie zezwolił Ewie przywieść się na pokuszenie. Dlatego z tym większym zapamiętaniem oddał się praktykom religijnym. Co wieczór wychodził do domu spotkań wiernych metodystów, częściej przemawiał z kazalnicy. Zaczął pisać traktaty i rozdawać je ubogim; ostrzegał w nich przed grzechem, jaki się czai w alkoholu, hazardzie i chuci. Stał się surowym ojcem — za wszelką cenę bowiem postanowił uchronić synów przed groźbą podobnie bezbożnego czynu. A kiedy kilka tygodni później Felicity oznajmiła mu, że jest w ciąży, Samuel Hargrave był całkiem zdruzgotany.

Teraz więc dosięgała go słuszna kara Boża. Ten poród powinien pójść gładko. Po pierwszym dziecku wszystkie następne dzieci zazwyczaj przychodziły na świat już niemal bez bólu. Tylko jedno tłumaczyło ten koszmar na górze: kara Boża. Pan Bóg może pobłażać szarym ludziom, ale od swoich wybranych kaznodziejów wymaga najprzykładniejszego zachowania. Tak, dziewięć miesięcy temu Pan Bóg wyraźnie wystawił go na próbę, a on Go zawiódł srogo. Teraz więc musiał ponieść zasłużoną karę.

Wolno, z wysiłkiem, podniósł głowę z zalanego łzami blatu i zaczął masować twarz. I nagle coś go zaskoczyło. W domu panowała cisza.

Pani Cadwallader, wyłamując palce, patrzyła z podziwem na zabiegi doktora. Mięśnie krocza Felicity nareszcie uległy rozluźnieniu i pochwa była rozwartą już tak szeroko, że dok-

tor Stone bez trudu sięgnął w głąb macicy i obrócił dziecko. A Felicity nawet nie mrugnęła powieką! Teraz dzieciątko leżało już między nogami matki — chudziutkie, malutkie, jak odarty z futra szcurek.

Dziwne. Zupełnie nie płakało.

Stone zawiązał i odciął pępowinę. Akuszerka podniosła zdziwiająco lekkiego noworodka i właśnie miała się odwrócić plecami do łóżka, gdy usłyszała zdyszany szept spoconego medyka:

— O Boże!

Pani Cadwallader z przerażenia otworzyła szeroko oczy na widok jasnoczerwonej czystej krwi, która nagle trysnęła z pochwy.

Stone szybko włożył jedną dłoń do kufierka, po omacku szukając szczypców do zacisku, a drugą przytknął ręcznik do ujścia krwawiącej pochwy.

— To łożysko, pani Cadwallader! Przemieszczone łożysko!

— Boże Przenajświętszy! — wykrzyknęła kobieta, instynktownie przytulając maleństwo do obfitej piersi. — Toż ona wykrwawi się na śmierć!

— Nie, jeśli to tylko w mojej mocy. — Doktor Stone włożył do pochwy jedną rękę, a drugą, uciskając brzuch nieprzytomnej położnicy, masował macicę.

Odgłos ciężkich kroków na schodach wyrwał Samuela z chaotycznej medytacji. Zmęczony sługa Boży podniósł się z wysiłkiem. Doktor Stone podszedł i stanął na wprost niego.

— Zrobiliśmy, co się dało.

Dziecko nie żyje! — pomyślał Samuel.

— Przykro mi, panie Hargrave, ale nie byliśmy w stanie uratować pańskiej żony.

Samuel patrzył na doktora zupełnie ogłupiały.

— Pańska małżonka miała nieprawidłowo przyrośnięte łożysko — tłumaczył medyk łagodnie. — Spowodowało to nagły krwotok. Ale... — położył dłoń na ramieniu mężczyzny — ...udało nam się uratować dziecko.

Samuel mrugał nieprzytomnie.

— Moja Felicity nie żyje?

— Niech pan nie myśli o tym jak o wielkim nieszczęściu, panie Hargrave. Pańska żona nie odeszła z tego świata na darmo. Ma pan dziecko.

Gwałtownym gestem odtrącił ramię lekarza, wyminął go i puścił się biegiem pod schodach. W sypialni opadł na kolana przy zwłokach żony.

Wyglądała jak zwykle we śnie — jak czysty śpiący anioł. Wysokie czoło Felicity lśniło od potu, gęste miękkie rzęsy leżały na policzkach, gdy tymczasem powieki na zawsze już zakryły jej szare oczy. Poduszka tworzyła aureolę wokół wzbudzonych czarnych włosów. Felicity... Taka spokojna i tak zatrwająco młoda.

Zaszlochał i otarł łzę. Wciągnął głęboko powietrze i natychmiast zakręciło mu się w głowie. Wyczuł jakiś przenikliwy zapach w pokoju — dziwny, nieznan. Marszcząc brwi, spojrzął na nocny stolik i wyteżył wzrok, by w migotliwym świetle oliwnej lampki dostrzec, co na nim stoi. Już to zobaczył: butelczka z jakimś płynem i chustka do nosa.

Zerwał się na nogi i zaczął się trząść gwałtownie.

— To był jedyny sposób na uratowanie dziecka, panie Hargrave — powiedział Stone spiesznie. — Gdyby nie chloroform, dziecko też by zmarło i nie miałby pan teraz już żadnej pociechy.

Samuel wyglądał jak posąg, który za chwilę runie.

— Pan ją zabił!

— Nic podobnego, proszę pana! Żaden doktor na świecie nie uratowałby pana żony w jej stanie! Gdyby nie anestezja, stracilibyśmy też dziecko!

Oblicze Hargrave'a pociemniało złowieszczo. Czerwona łuna objęła mu szyję i wpełzła na twarz aż po korzenie włosów; na czole nabrzmiały żyły. Doktor Stone poważnie się zaniepokoił. Wyglądało na to, że Samuel Hargrave ulegnie atakowi apopleksji. Ale nagle jego twarz przybrała normalniejszy kolor, ciało przestało drżeć, a Samuel przypominał już przekłuty balon.

— Nie — powiedział bezbarwnie. — To nie pańska wina, doktorze. Odpowiedzialność za jej śmierć ponoszę tylko ja.

Pan zawinił wyłącznie tym, że sprzeciwił się pan woli Bożej. Felicity powinna dziś odejść razem z dzieckiem, bo widać w ten sposób Bóg mnie chciał ukarać. To dziecko jest owocem mojej słabości i grzechu. Uratował pan dziecko, które nie ma prawa żyć.

— Zaraz, zaraz, mój panie! — zaczął Neville Stone, ale pani Cadwallader uciszyła go gestem ręki.

— Gdyby nie pańska interwencja, moje grzechy zostałyby wymazane. Ale teraz, przez pana i ten szatański chloroform, na zawsze będę miał pamiątkę tamtej...

Doktor z przerażeniem patrzył na Hargrave'a, a potem spojrzął na malutkie zawiniątko podrygujące w ramionach akuszerki. Czyżby dziecko już czuło, co go czeka na tym świecie, i dlatego nie wydobyło z siebie dotąd najmniejszego dźwięku?

— Przykro mi, panie Hargrave — zaczął Stone łagodniej — ale musimy ustalić imię dziecka. Ostatnim życzeniem pańskiej żony było, żeby nadać dziecku imię po panu. Jako lekarz i dżentelmen mam moralny obowiązek dopilnować, by, zanim stąd dzisiaj wyjdę, życzeniu konającej stało się za-  
dość.

Samuel przeniósł wzrok na bladą twarz na poduszce.

— A zatem niech będzie Samuel.

— Jest jednak pewien problem, panie Hargrave... Pańska żona sądziła, że to chłopiec.

Kiedy Hargrave spojrzął na lekarza, wyraz jego twarzy doszczętnie zmroził Stone'a — ciemne oczy kipiały nienawiścią i pogardą. Ale przeciw komu to wszystko skierowane?

— A zatem moje imię będzie nosić córka.

— Panie! Pan chyba nie mówi poważnie! Nie może pan unieszczęśliwiać dziewczynki męskim imieniem!

Samuel wykrzyknął coś boleśnie, obrócił się na pięcie i opadł na kolana przy łóżku. Objął ciało Felicity i ukrył twarz w jej piersiach. Jego wygięte w łuk plecy podnosiły się i opadały w takt bezgłośnego szlochu. Doktor i akuszerka odeszli w ciemny kąt.

— Biedna mała dziecina — mruknęła pani Cadwallader.

— Najpierw została bez matki, teraz też bez ojca.

— Ojciec dojdzie do siebie. Słyszałem wiele przysiąg składanych w godzinie rozpaczy, które później odchodziły w niepamięć. Musimy teraz jednak pomóc biedakowi i dopilnować, żeby spełniło się ostatnie życzenie jego żony.

— Tylko jak, psze pana? Człowiek jest pogrążony w żałobie i kto wie, jak długo to wszystko potrwa? A to maleństwo nie ma nawet imienia!

Neville Stone w zamyśleniu potarł siwe baczki i patrzył na tragiczną scenę przy łóżku. Nagle zadziałał, oświecony nagłą myślą.

— Spełnimy swój chrześcijański obowiązek, moja dobra kobieto. Niech mi pani przyniesie świeżą wodę do chrztu. — Odwrócił się i wyszedł z sypialni, zostawiając męża bezgłośnie opłakującego śmierć żony, i szedł na dół, gdzie wciąż czekali dwaj zapomniani chłopcy — jeden z nich stał przy dogasającym kominku, drugi chował się pod stołem jak piesek. Doktor Stone podszedł wprost do Biblii i otworzył ją na pierwszej, niezapisanej stronie. Tę stronę ktoś ozdobił kolorowymi zawijasami i gałązką o drobnych złotych liściach. Rejestr rodzinny. Doktor Stone przymierzył się do miejsca pod ostatnim wpisem, dokonany czternastego czerwca tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku, pod notatką o narodzinach Matthew Christophera Hargrave'a. „Samanta Hargrave urodzona czwartego dnia maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku, ze związku Samuela Hargrave'a i jego żony Felicity, która tegoż dnia zeszała.”

## 2

W ciągu pierwszych czterech lat życia dziewczynka nie odezwała się ani jednym słowem.

Przyszło jej mieszkać w cichym i ciemnym domu, a jedynymi ludźmi, jakich znała, był surowy mężczyzna wciąż ubrany na czarno, który codziennie wcześniej rano wychodził do pracy i wracał późnym wieczorem, dwaj smutni i milczkowaci

bracia oraz humorzasta gospodyni. Zatrudniona w domu kobieta źle się czuła w obecności dziecka, które wiecznie kryło się gdzieś po kątach i obserwowało ją wielkimi dzikimi oczami. Gospodyni uznała, że dziewczynka jest upośledzona na umyśle, a zatem nie trzeba się nią aż tak bardzo przejmować ani też o nią dbać jak o normalne dziecko. Najczęściej więc pędziła małą z drogi i wyganiała na schody przed dom.

St. Agnes Crescent była niedużą, biegnącą łukiem uliczką, która łączyła się z jednej strony z Charing Cross, a z drugiej z High Holborn, kreśląc umowną granicę między Soho i Covent Garden. Kiedy Samuel Hargrave zamieszkał tu lata temu ze swą młodziutką żoną, St. Agnes Crescent należała do miłych rejonów Londynu zamieszkałych przez przyzwoitych przedstawicieli niezbyt zamożnej klasy średniej. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali tak jak państwo Hargrave w szeregowej zabudowie i podobnie jak oni należeli do ciężko harujących londyńskich protestantów. Ale potem napłynęła wielka fala imigrantów — głównie z głodującej Irlandii — która rozsaadziła i tak już gęsto zaludnione rejony Seven Dials i Covent Garden. W wyniku ciśnienia wytworzonego przez napór ludności napływowej St. Agnes Crescent pęczniała w szwach i z czasem wchłoneła więcej ludzi, niż w rzeczywistości mogła zmieścić. W ciągu kilku lat liczba mieszkańców przy tej ulicy pomnożyła się aż pięciokrotnie. W rezultacie w latach, kiedy Samanta lądowała na schodach, wypędzana z domu przez przepracowaną gospodynię, St. Agnes Crescent przeobraziła się już w okolicę slumsów.

Na jednym końcu ulicy mieścił się pub King's Coach, na drugim zaś Iron Lion. W wykuszowym oknie pierwszego piętra domu sąsiadującego z kamienicą rodziny Hargrave widniała spłowiała wywieszka „Magiel”, która w obecnym czasie nic już nie znaczyła, bo właściciele magła dawno przeprowadzili się gdzie indziej — szyld wisiał tylko dlatego, że nikt z kolejnych mieszkańców domu nie zadał sobie trudu, żeby go usunąć. Po drugiej stronie ulicy mieściła się knajpa, gdzie zbierali się marynarze i dziwki, a wzdłuż całej Crescent stały wózki i stragany z jarzynami, snuli się handlarze szmat, płątały się bezdomne dzieci i żebracy.

Gospodyni, dla której najprzyjemniejszym momentem dnia była pora popołudniowej herbatki i plotkowania z opodal mieszkającą praczką, nie mogła się nigdy nadziwić, dlaczego pan Hargrave, zarabiający w końcu całkiem nie najgorzej, nie wyprowadził się jeszcze do przyzwoitszej dzielnicy, tak jak to już dawno zrobili jego sąsiedzi. Mógłby się przecież przenieść do któregoś z miłych domków przy Brixton Road. Ale ta sprawa stanowiła zaledwie jedno z nieszczęść, z jakimi na co dzień musiała się borykać biedna gospodyni. Drugim tajemniczym problemem była dziewczynka.

— On mi mówi: „Niech pani pilnuje, żeby chodziła czysta” — referowała któregoś dnia pracze nad maślanymi bułkami i herbatą. — I to w sam raz on! A wygląda jak pogrzebany za życia! Jak nastałam do niego, będzie już cztery roki temu, chciał tylko dwóch rzeczy. Żebym pilnowała, coby mała nie wchodziła mu w drogę i coby była czysta. No i cicha jest, bo przeca niemowa. Chyba chora na głowę, ta mała. Śmierć mi chodzi po krzyżu, kiedy łązi po domu. Zawsze kryje się w cieniu, mówię pani. Człowiek się obraca, a tu masz babo placek! — mała stoi i gapi się tymi ślepiami. Patrzy tak, że choćby widziała i co niezwykłego. Nie lubię, jak się kręci koło mnie, nie ma co. Ale jak ma wyglądać porządnie, skoro pan tak dusi każdy grosz, że nie mogę jej kupić nowych ubrań? Ma tylko dwie sukienki i ciągle je muszę cerować i przerabiać, bo tak szybko rośnie. Byłam u pana, żeby mi dał pieniądze na materiał, to zrobię jej nową sukienkę, ale ten człowiek prędzej zje kartofla na surowo, niż się z kim podzieli!

Kiedy wielce zainteresowana kumoszka praczka nachyliła się bliżej, gospodyni z zadowoleniem ciągnęła opowieść:

— Dziwna ta mała, mówię wam uczciwie. Nie da mi dotknąć włosów. Nie da, i już! Piszczy i krzyczy, jak tylko wezmę grzebień. Musi wie, że ma coś z tą głową nie tak, to nie lubi, jak się ją dotyka. I przez to chodzi taka rozczochrana i włosy ma w strąkach. I jak tu, powiedz pani, pilnować, coby wyglądała porządnie?

Pewnie, że nie mogła nic zrobić. Więc kiedy mała Samantha podrosła na tyle, żeby przyłączyć się do bezdomnych ob-

dartusów na ulicy, jej wygląd zapuszczonego dziecka od razu zjednał jej sympatię uliczników.

Ponieważ dziesięcioletni Matthew i trzynastoletni James codziennie chodzili do państwowej szkoły, wieczorami zaś siedzieli nad lekcjami, a potem wraz z ojcem studiowali Biblię, mała Samanta pośród bezdomnych znalazła sobie zastępczą rodzinę.

Szybko się uczyła. Nie odzywając się słowem, biegała za bandą starszych, otrzaskanych ze światem dzieciaków. Odkrywała zaułki, plądrowała śmietniki, huśtała się na sznurkach do suszenia bielizny, bawiła się w ciuciubabkę i w „chodzi lisek koło drogi”. Zaznała smak niczym nie ograniczonej wolności, poznała, co to słońce i deszcz; została sprawną akrobatką i chociaż nikt nie znał jej imienia — bo przecież nie mówiła — w niedługim czasie zdobyła uznanie kolegów.

Jej najlepszym przyjacielem i opiekunem zarazem był dziewięcioletek Freddy, którego matka, irlandzka uliczna handlarka, tuż po urodzeniu zawinęła w gazetę i zostawiła na śmietniku. Usłyszał go podstarzały mężczyzna, trudniący się obdzieraniem kotów ze skóry. Przechodził obok śmietnika i wpadły mu w ucho cieniutkie piski. Pomyślał, że trafia mu się okazja, by zapolować na kota. Później, gdy odkrył, że to jednak dziecko, ulitował się nad nim i wziął malucha ze sobą. Starzec zarabiał na swe nędzne życie nocnymi łowami. Zabierał kij i worek i ruszał w miasto, żeby szukać kotów. Ten właśnie człowiek wychował sierotę i nauczył go fachu. Zmarł na zapalenie płuc, kiedy chłopiec miał siedem lat. Od tamtej pory mały Freddy musiał sam walczyć o byt. Sypiał na worku w dziurze wykopanej pod komórką, a o jedzenie zebrał albo je gdzieś kradł. Mimo niedożywienia i szczerb w zębach, Freddy był całkiem urodziwym dziewięcioletkiem, który uchował się na tym świecie dzięki własnemu sprytowi i doskonale opanowanej sztuce łupienia kotów. Nauczył się od starego, jak na żywo obedrzeć kota ze skóry, a była to umiejętność warta zachodu, bo za tak uzyskane skórki dostawał najlepszą cenę. Freddy radził sobie całkiem nieźle. Przechwalał się nawet, że któregoś dnia otworzy prawdziwy interes — fabrykę oskórowywania kotów.



To przy nim Samanta zaczęła wreszcie mówić.

Była maskotką bandy, czteroletnią niemową o rozbijającym uśmiechu; na krok nie odstępowała dzieciaków i brała udział we wszystkich ich przygodach.

Kiedyś po tym, jak przez cały dzień kradli serdelki i cebulę, wracała z Freddyem z Dials szarymi od zmierzchu podwórkami, gdy nagle chłopiec zatrzymał się tak gwałtownie, że aż na niego wpadła.

— Słuchaj! — syknął, nasłuchując.

Nastawiła ucha. Na tle szumu londyńskiej ulicy dobiegło ją słabe miauknięcie.

— To kot! — krzyknął Freddy. — Chodź, mała! Złapiemy go, opitolimy ze skóry i zarobimy sześć pensów. Kupię ci za to świńską nóżkę. Ale ci się trafiło!

Zaskoczona mała Samanta szła krok w krok za Freddyem, który ostrożnie podszedł do dziury w płocie. Opadł na czworaki i zajrzał do środka.

— Wiedziałem! Kot, i do tego chory! Nie trzeba go nawet gonić. Można go od razu załatwić!

Kiedy sięgał po nóż za paskiem zrobionym ze sznurka, Samanta ukłęknęła i zajrzała przez dziurę. Zobaczyła starego dachowca, ubłoconego i wychudłego jak nieszczęście. Leżał na boku; miał ranną łapę.

Freddy wyciągnął rękę i w tej samej chwili Samanta złapała go za nadgarstek. Zaskoczyła go jej siła.

— Co jest?

Gwałtownie potrząsnęła głową, zarzucając czarnymi lokami.

Usiłował wyswobodzić ramię.

— Daj spokój, mała. To moja kolacja.

Otworzyła buzię i wydała z siebie chrapliwy dźwięk.

Zmarszczył czoło.

— No co?

— Ranny... — wyszeptała ochryple. Freddy uniósł brwi zaskoczony.

— Ty mówisz!

— Ranny... — powtórzyła, nie puszczając jego ręki i wciąż potrząsając głową.

— Wiem, mała. Wiem, że jest ranny. Dlatego łatwo go można...

— Pomóż, Freddy... Pomóż...

Cofnął się zaskoczony, a oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

— Chcesz, żebym pomógł temu zaskarżonemu?!

Kiwnęła głową.

— Jesteś chyba stuknięta!

Jej oczy wypełniły się łzami.

— Pomóż kotu... Proszę...

Patrzył na jej ładną buzię i serce mu topniało jak wosk na widok tych załamanych szarych oczu.

— Już sam nie wiem... Chciałem go złapać i ładnie pokroić... Nie damy rady mu pomóc; nie da się tknąć palcem. Tylko nas podrapie do krwi. Tak robią ranne zwierzęta.

Potrząsnęła głową i pochyliła się nisko. Uśmiechnęła się patrząc w miodowe oczy kota i wyciągnęła rękę. Buras pozwolił jej dotknąć zeszywniałego futra.

Freddy opadł na pięty.

— Niech mnie kaczki zdepczą...

Przez tydzień nosili kotu mleko kradzione z kredensu w kuchni u Samanty i namawiali kota, żeby pił. Dziewczynka brała też trochę spleśniałego chleba z metalowego pojemnika na pieczywo, w którym z niewyjaśnionych powodów gospodyni zawsze trzymała stęchłe resztki. Samanta kruszyła spleśniały zielony chleb na ranę kota. Widziała kiedyś, że właśnie w ten sposób gospodyni potraktowała ranę na ramieniu Matthew.

Codziennie rano, gdy tylko ojciec wychodził do pracy, Samanta spotykała się z Freddyem, razem biegli do kota i tam, za dziurą w płocie, go pielęgowali. Buras tylko dziewczynce dawał się dotykać. Freddy wyciągnął raz do niego rękę, ale kot natychmiast wystawił pazury. Na ogół zatem chłopiec niecierpliwie czekał oparty o płot, gdy Samanta karmiła kota i mruczała mu coś na ucho niedawno odzyskanym głosem. Aż wreszcie nadszedł ranek, kiedy buras zniknął.

Freddy był też pierwszą osobą, która ostrzegła dziewczynkę przed Isaiahem Hawksbillem.

Przy końcu ulicy stał ciemny cichy dom owiany mroczną tajemnicą. Wszystkie okna miał zabite deskami, a mieszkał w nim samotny staruch, który rozpałał wyobraźnię dzieci obrazami czarnej magii i nieznanymi czarów. Nikt z dzieciaków nie widział nigdy Hawksbilla. Jedzenie zostawiały mu na schodkach od podwórka, gdzie stała metalowa puszka z miedzianymi za zakupy i fatygę. Nieliczni śmiałkowie, którzy wystawiali pod domem, żeby coś zobaczyć, szeptali potajemnie, że mignął im kiedyś w środku i że wygląda okropnie. W ich opowieściach był stary, pomarszczony i garbaty, i tak straszliwie szpetny, że widok jego wstrętnej gęby osadziłby w miejscu nawet pociąg z Brighton. O ile w dzieciakach z St. Agnes Crescent nazwisko Hawksbill wywoływało najprawdziwsze przerażenie — zbliżając się do jego domu, zazwyczaj wszystkie przechodziły na drugą stronę ulicy — o tyle wśród dorosłych wywoływało podejrzliwość i nieufność. Opowiadano sobie, że wiele lat temu Isaiah Hawksbill dopuścił się strasznej zbrodni wobec małej dziewczynki.

Samanta często stawała po drugiej stronie ulicy naprzeciwko ponurego domu i czując na barkach ubezpieczające ramię Freddy'ego, obserwowała, jak inne dzieci rzucają zgniłe owoce wprost w drzwi Hawksbilla. Owoce pękały na drzwiach, ich zgniłe części zasychały i przyklejone do drewna czekały, aż je zmyje deszcz. I tak dziewczynka spędzała dzień za dniem. Uganiała się po Crescent z bandą dzikich bezdomnych dzieciaków, wracała do domu późnym wieczorem, gdzie gospodyni dawała jej kolację i natychmiast wysyłała do łóżka. Samanta żyła jak jakiś dziwny stwór, na peryferiach swojej zimnej, nie znającej miłości rodziny.

Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy ojciec ją zauważył.

Miała wtedy sześć lat. Jak zwykle ubrana była w połataną sukienkę, zbyt mocno opinającą wychudzone ciało i nazbyt krótką, by można ją uznać za skromną — nogi miała czarne od brudu, a włosy zwisały jej w strąkach aż do pasa. Siedziała na schodkach przed domem, rysując coś palcem w ziemi, kiedy z okazji urodzin królowej ojciec wrócił z pracy wcześniej niż zazwyczaj. Burknął coś w stronę córki, biorąc ją za dziecko sąsiadów, i nawet chciał ją odtrącić butem, żeby swobod-

niej przejść, kiedy dziewczynka podniosła nagle głowę i spojrzała na niego. Oboje zamarli. On, ciemny i wysoki, z ręką już na klamce; ona, brudna i skulona u jego stóp, z twarzą uniesioną w górę, jak słonecznik do słońca. Przyglądali się tak sobie dłuższą chwilę, odkrywając siebie nawzajem — powściągliwi, uważni, nieruchomi. I raptem tyle lat siłą tłumione uczucie wybuchło z całą mocą w Samuelu. Patrząc na dziewczynkę ujrzał twarz swojej drogiej Felicity.

Zakręciło mu się w głowie. Ogarnęło go fizyczne obrzydzenie. Dostrzegł, jak dziecko wyciąga brudną rękę, żeby dotknąć nogawki jego spodni. Odruchowo cofnął się o krok. A potem, potykając się w progu, wpadł do domu jak burza i zaczął głośno wołać gospodynię. Doszło do strasznej awantury.

— Jest brudna, jakby wyszła z rynsztoka!

— A panu to coś przeszkadza? Przeca pan na nią nie patrzy!

— Nająłem panią do opieki nad dzieckiem!

— Za piętnaście szylingów tygodniowo, uważa pan...

Gospodyni została natychmiast zwolniona.

Jakaś sąsiadka, matka dwanaściorga dzieci, została sprowadzona do domu, żeby za szylinga porządnie umyć Samantę. Dostała nawet pół korony na kupienie dziewczynce nowej sukienki i butów. Samanta cierpiała straszliwe katusze, w milczeniu poddając się kąpieli, a nawet szczotkowaniu włosów, i tylko jedno ją pocieszało: cudowne wydarzenie dnia.

Nareszcie ją zauważył...

### 3

Samuel zatrudnił nową gospodynię, a sam zaczął wieczorami uczyć córkę religii. Właśnie w czasie tych spotkań z ojcem, w saloniku przy kominku, Samanta odkryła w sobie zdolność do głębokiej miłości. Patrzyła na surowego ojca jak na zbawcę. Oto przygarnął ją, znajdzie! Bo przecież wziął ją z ulicy i otoczył troską. W gorączkowym pragnieniu, żeby go zado-

wolić, zmagająca się z nauką alfabetu. Samuel Hargrave w skrytości ducha był mocno pod wrażeniem, że jest taka zdolna, ale rzecz jasna nigdy jej tego — broń Boże! — nie okazał. Traktował ją jak obcą małą dziewczynkę, rzeczywiście jak znajdę. Spełniał wobec niej jedynie chrześcijański obowiązek dbając, by była ubrana jak należy, syta i obeznana z Biblią. Jej dwaj posepni kompani, chłopcy, których praktycznie zupełnie nie znała — Freddy był jej bardziej bratem niż James czy Matthew — po wysłuchaniu swojej porcji fragmentów Biblii szli na górę spać, nie dostrzegając obecności siostry.

W ciągu dnia Samanta nadal biegała z dziećmi z bandy, ucząc się życia i praw rządzących ulicą. Ale teraz do domu wracała wcześniej, myła się, zmieniała ubranie i niecierpliwie wyczekiwała powrotu ojca.

Odstawała od uliczników z St. Agnes Crescent. Nie dała się zdemoralizować. Niezależnie od tego, w ilu niegodnych i niezgodnych z prawem eskapadach brała udział, udało jej się zachować czyste serce i odróżniać dobro od zła. W dodatku święcie wierzyła w szlachetność ludzkiej natury. Wszyscy wokół niej dostrzegali jedynie to, co widać gołym okiem: prostytutkę, złodzieja... Ale mała Samanta Hargrave, która odziedziczyła po matce duszę zdolną do głębokiego współczucia, zawsze umiała dojrzeć w człowieku dobre serce. W prostytutce widziała kobietę, której los nie sprzyja, w złodzieju zaś ojca walczącego o głodującą rodzinę. Dziewczynka całym sercem wierzyła, że tylko okoliczności zmuszają ludzi do wstąpienia na złą drogę, bo tak naprawdę wszyscy są przecież w głębi ducha dobrzy.

Z początku Freddy uważał, że mała Sam ma nierówno pod sufitem, i często jej to mówił. No bo na przykład współczuła okradanym sprzedawcom serdelków! Tłumaczył jej w nieskończoność, że kto pierwszy, ten lepszy. A kiedy pewnego razu ulitowała się nad weteranami krymskiej wojny, kalekami bez ramion, zebrzącymi na Piccadilly Circus, i oddała im to, co tego dnia skradła, Freddy dwoił się i troił, żeby ją przekonać, że wielu z nich to po prostu ordynarni naciągacze. Mówił jej, że niektórzy chowają ręce pod płaszcze i tylko udają kalectwo po to, by dzięki takim frajerom jak ona żyć sobie jak

u Pana Boga za piecem. Ale po pewnym czasie, widząc, że nic nie wskóra i nigdy Samanty nie zmieni, a także doceniając jej jakże cenną odrębność — w końcu sam należał do ludzi bez szlachetnych zasad — zaniechał wysiłków, by ją sprowadzić na właściwą drogę.

A skoro Samanta nie dostrzegała zła w nieszczęsnych mieszkańcach St. Agnes Crescent — w cichości ducha nie czuła nawet lęku przed starym Hawksbillem — tym bardziej ojciec wydawał jej się ucieleśnieniem najwyższego dobra. Pragnęła tylko jednego: zasłużyć na jego pochwałę. Kiedy jednak po kilku tygodniach zmagania z alfabetem i stawania na głowie, żeby go zadowolić, nie usłyszała z jego ust choćby jednej pochwały, postanowiła znaleźć inny sposób, żeby się przypodobać ojcu.

Akurat z trudem dźwigała wiadro pełne wody, czerpanej z pompy przy końcu ulicy — jej dom nie był ani skanalizowany, ani też nie miał własnego ujęcia wody — kiedy Freddy zaszedł ją od tyłu i złapał za uchwyt wiadra. Uśmiechnął się do niej szczerbatym uśmiechem.

— Rzadko się pokazujesz, Księżniczko.

Samanta w odpowiedzi wzruszyła ramionami. Szli ulicą kołysząc wiadrem i rozchlapując wodę. Co taki Freddy może wiedzieć o sprawach tak delikatnych jak stosunki z ojcem? Kiedy stanęli pod schodami prowadzącymi do jej domu, Freddy zaczął się przechwalać, ile to pensów ma aktualnie w kieszeni.

— A skąd to tacy jak ty mogą mieć tyle miedziaków, co?

— A od garbarza na końcu ulicy. — Uniósł leniwie ramię i machnął za siebie. — Daje pół pensa za wiadro. Potrzebne mu do roboty.

— Wiadro czego?

Freddy chwycił się się za chudy brzuch i zaśmiał się przeciągle.

— Czego? Sama go spytaj, Księżniczko!

Rycząc ze śmiechu, pobiegł przed siebie, a ona zamyśliła się głęboko. I właśnie wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Za kilka pensów mogłaby przecież kupić coś, czym sprawi ojcu przyjemność!

Garbarz, jak się okazało, wykorzystywał psie ekskrementy do obróbki skór i płacił pół pensa za wiadro odchodów. Trzeba się było nieźle przez cały dzień napocić, żeby napełnić jedno wiadro. Wszystkie dzieci się tym zajmowały i konkurencja była naprawdę szalona. Walcząc wiadrem i szpadelkiem, w które wyposażył ją garbarz, Samanta skrupulatnie przeszukiwała podwórka i boczne uliczki. Unikała jedynie domu Hawksbilla, chociaż na nieużywanych frontowych schodach ponurej posesji aż się roiło od obfitych kopczyków fekaliów. Pod koniec dnia wraz z innymi dzieciakami zmierzała do domu garbarza. Wesoła kompania wykrzykiwała radośnie: „Mamy nawet musztardę do kiełbasek!”.

Samanta ze stoickim spokojem przepchała się przez tłumek dzieciaków, ale wybuchnęła płaczem, kiedy garbarz wręczył jej pół miedziaka, a jakiś chuligan wyrwał go jej z ręki i uciekł z jej ciężko zapracowanym pieniążkiem. Potem dopiero żartobliwe wrzaski przekształciły się w wymyślenia, a któreś dziecko miało nawet odwagę wystąpić i szarpnąć Samantę za włosy. W tym momencie jakiś zgniły ziemniak trafił w środek pyskującej hordy urwisów. Dzieciaki z piskiem rzuciły się do ucieczki, a na plac boju wkroczył uśmiechnięty Freddy.

Odprowadzając dziewczynkę do domu, wysłuchiwał po drodze jej żalosego sprawozdania z wydarzeń dnia. Samanta była zmordowana, brudna i — o zgrozo — bez grosza.

— Jesteś durna — powiedział Freddy chwyciwszy się pod boki, gdy stanęli u stóp schodów jej domu. — Jesteś głupia jak but, choć znasz się na czytaniu i pisaniu. Inni nie harują tak ciężko jak ty. Nie ma tyle gówien dookoła. Mogłaś sama narobić do wiadra i mieć więcej. Garbarz i tak się nie pozna. Masz nasrane w głowie, panno Księżniczko, i nie potrafisz nawet sprzedać własnej kupy! — A potem puścił się biegiem przez ulicę, zachłystując się śmiechem.

Pięć minut później Samuel Hargrave zmarszczył nos, przyjrzał się uważnie brązowym smugom na dłoniach i sukience córki, po czym przekazał ją w ręce gospodyni o ptasiej twarzy. Gospodyni natychmiast spuściła jej lanie i bez kolacji posłała dziewczynkę do łóżka.

Dwa dni później James wyjechał do Rugby.

W dniu wyjazdu szesnastoletni James zszedł z góry w niedzielnym garniturze, ściskając w dłoni podniszczony kuferek. Pożegnał się sztywno z ojcem, i już go nie było.

W ciągu następnego roku do domu przychodziły tylko krótkie listy, w których James bardzo powściągliwie opisywał swoje szkolne życie. „W zeszłym tygodniu miałem grać w krykieta. Postawili mnie przy kuli. Zaserwowałem, ale kapitan zaraz zdjął mnie z boiska i powiedział, że gdyby nawet kula doszła bramki, i tak przestrelałbym bokiem.” Ponieważ ze względu na częściową głuchotę James nie mógł brać udziału w grach sportowych, z tym większą pasją poświęcił się niewolniczej orce nad książkami. Pracował ciężiej niż inni uczniowie — niedosłyszał, więc trudniej mu było robić notatki z wykładów.

A potem równie nagle jak wyjechał, pewnego dnia wrócił do domu. Był już o rok starszy i mądrzejszy i z dumą dzierżył dyplom z matematyki. Samanta ucieszyła się z powrotu brata — w ciągu tego roku wystrzelił mocno w górę, wyprzystojniał i zrobił się bardzo podobny do ojca. Ale nie zabawił w domu zbyt długo; niebawem znowu wyjechał — tym razem do Oxfordu. W tej podróży towarzyszył mu ojciec.

Rankiem w dniu ich wyjazdu, kiedy wybrali się na stację zwaną Paddington, Samanta usiadła na schodach przed domem, oparła się łokciami o kolana i wsparta głowę na zaciśniętych pięściach. Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, pojawił się przy niej Freddy — miał talent cichego przychodzenia i nagłego znikania, dzięki czemu dotąd uniknął aresztu. Usiadł koło niej na stopniu; skończył już czternaście lat i jego kończyny przypominały chude odnóża pająka.

— A co to za mina?

— Mój tata i brat pojechali pociągiem. Szkoda, że mnie nie wzięli.

— Gdzie pojechali?

— Do Oxfordu. Nie wiem, gdzie to jest.

— A po co?

— Nie wiem. Mówili coś o medykach i o studiowaniu. Jak to się studiuje flaszki z medykamentem, Freddy?



Freddy gruchnął ręką o kolano wystające spod przetartego materiału spodni. Roześmiał się.

— Nie idzie o flaszkę, głupia, tylko o studiowanie medycyny.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— To co to znaczy, że pojechali we dwóch do Oxfordu?

— Znaczy, że pewnie twój brat zostanie doktorem.

— I po to jedzie do jakiegoś (Mordu? Przecież do tego, żeby być doktorem, wystarczy mieć łyżkę i jakieś świństwo w butelce, które się daje choremu. Doktor nic więcej nie robi.

Freddy pochylił się nad nią. Oczy mu błysnęły.

— Ty głupia, przecież to cała nauka! Doktorzy kroją ludzi na kawałki. Jak bekon! — szepnął konspiracyjnie.

Samanta wysunęła dolną wargę.

— Nieprawda! Mój brat nigdy by czegoś takiego nie robił!

— Będzie robił, będzie, spokojna głowa. Jeżeli zostanie doktorem. Ja tam uważam, że to bardzo mądry zawód.

— A skąd ty to wszystko wiesz?

— Pokażę ci. — Freddy wstał szybko ze schodków i uśmiechnął się do niej z góry. — Idziesz, mała?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— A gdzie?

— Tam, gdzie się kroi ludzi.

## 4

Szła z nim przez Londyn. Z Charing Cross Road skręcili w Tottenham Court Road i wreszcie w University Street. Trzy-piętrowy budynek Szpitala Północnego Londynu stał naprzeciwko University College i był tak ogromny, że Samanta aż zaniemówiła. Dochodziła dziesiąta rano i przed głównym wejściem szpitala kręciło się mnóstwo ludzi. Freddy kiwnął na nią. Obeszli gmach i stanęli na podwórku zatłoczonym dorożkami i powozami.

Jacyś studenci medycyny stali w zbitej gromadce przy tylnym wejściu do szpitala — wszyscy godnie wyprostowani, przystojni; rozprawiali przyciszonymi głosami.

— To właśnie są tacy sami chłopcy jak twój brat, Sam. Taki będzie James — powiedział Freddy.

Kucnęli za wozem platformą z beczkami z piwem, skąd obserwowali studentów. Chwilę później ujrzeli trzy młode dziewczyny, które szybkim krokiem zmierzały w stronę tylnego wejścia. Chichotały nerwowo i nieco histerycznie. Wtedy któryś z młodych medyków podszedł do jednej z nich, przytknął palec do ust, ujął dziewczynę pod rękę i przeprowadził ją przez drzwi. Kiedy wszyscy zniknęli w budynku, Samanta z Freddyem wyszli z za wozu i cichaczem wślizgnęli się do szpitala.

Po chwili, gdy jej wzrok przywykł do półmroku, spostrzegła, że stoi na kamiennej posadzce w wąskim korytarzu, po którego obu stronach znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Te na lewo były uchylone. Dziewczynka zajrzała przez nie i z przejęcia wstrzymała oddech. Na długim stole ujrzała leżące białożółte zwłoki młodego mężczyzny. Przy nieboszczyku stali czterej mężczyźni z podwiniętymi rękawami koszul i dębali w martwym ciele. Co robili, tego już nie widziała. Najważniejszą osobą tej niewielkiej grupki był wielki siwiejący rudzielec, opasany zakrwawionym rzeźnickim fartuchem, który spokojnie coś im pokazywał.

— Chcesz może do domu? Tchórz cię nie obleciał?

Z trudem przełykając ślinę, potrząsnęła głową i podeszła z Freddyem do drugich drzwi, gdzie stanęli u stóp ciemnych wąskich stopni. Na szczycie schodów znajdowały się kolejne drzwi, z za których dochodziły odgłosy rozmów.

— Nie powinniśmy tu być, Freddy — szepnęła.

Stał tuż za nią, obejmując ją w tali.

— Wiedziałem, że nie dasz rady. Zawsze byłaś strachajło.

— Nie jestem żadne strachajło! — oburzyła się.

— Cicho bądź, bo nas wyrzucą! — syknął. — No to jak, jesteś odważna czy nie? Chodź!

Weszli na górę. Tam zatrzymali się i zajrzeli przez drzwi. Okazało się, że stoją przy najwyższym rzędzie ławek widowni

na sali operacyjnej. Dolne trzy, ramię przy ramieniu, zajmowali licznie zgromadzeni studenci medycyny, doktorzy i opatrunkowi. Wsparci o metalowe balustrady, z zainteresowaniem wbijali wzrok w pusty stół operacyjny, jakby czekając na rozpoczęcie spektaklu. Na miejscach najwyższego rzędu siedzieli studenci, których Samanta z Freddym widzieli na tyłach szpitala, oraz trzy nerwowo chichoczące panienki.

Samanta, wciśnięta między ścianę i twarde ciało Freddy'ego, wbiła się w ciemny róg widowni. Nagle zobaczyła, że drzwi na dole z rozmachem się otwierają i do sali wkracza ten sam wielki rudzielec w czerwonym od krwi fartuchu, który przed chwilą występował przy stole ze zwłokami. Na jego widok wszyscy natychmiast ucichli. To był profesor Bomsie — chirurg. Towarzyszyli mu trzej studenci z pokoju, gdzie przeprowadzano sekcję zwłok — dłonie i ramiona powalane mieli ciemnobraunatną krwią. Tuż za nimi do sali weszli dwaj tragarze, niosąc wiklinowy kosz z pacjentką.

W koszu siedziała drobniutka chudziutka kobieta i aż drżała ze strachu. Tragarze pomogli jej wejść na stół. Spanikowana patrzyła z przerażeniem na zgromadzonych wokół obojętnych, anonimowych ludzi. Jeden z asystentów profesora zaczął rozpinać jej sukienkę.

— Pacjentka, dwudziestopięcioletnia kobieta, ogólnie ciesz się dobrym zdrowiem. Pracuje jako pokojówka w Notting Hill — zwrócił się tubalnym głosem do publiczności profesor Bomsie. — Jej pracodawca wysłał ją do doktora Murreya, kiedy zaczęła się skarżyć na ostry ból w prawej piersi. Doktor Murrey stwierdził wciągniętą i krwawiącą brodawkę sutka i guz wielkości jabłka. Nie poddana operacji, umrze w ciągu roku.

Bomsie skinął na asystentów. Jeden z nich podszedł do szafy przy ścianie i wybrał ulubione narzędzia profesora: dwa skalpele, ostry hak chirurgiczny, parę kleszczy Listona i nożyczki. Ułożył je na tacy przy głowie pacjentki.

Obnażona od góry dziewczyna zaczęła błagać, żeby ją wypuścili, ale już była przywiązana do stołu.

Szpital Północnego Londynu należał do nielicznych angielskich szpitali, w których w owym czasie podczas operacji

stosowano narkozę. Nie było to jednak jeszcze powszechną praktyką, a więc to, czy w danym przypadku należy zastosować chloroform, zależało wyłącznie od decyzji chirurga. Pan Bomsie postanowił nie korzystać z tego wynalazku. Podziela! opinię większości swoich kolegów, że zbyt wielu pacjentów umiera na skutek wdychania chloroformu czy eteru. Jego zdaniem, uśmierzenie trwającego ledwie kilka minut bólu nie jest warte ryzyka. To właśnie powiedział studentom. Ale tak naprawdę odrzucał znieczulenie dlatego, że skończył już ponad sześćdziesiąt lat i cieszył się sławą wybitnego, legendarnego wprost chirurga.

W czasach kiedy nie znano jeszcze narkozy — nie tak dawno temu — za najlepszego operatora uchodził najszybszy, najsprawniejszy chirurg, który czas operacji ograniczał do niezbędnego minimum, oszczędzając tym samym pacjentowi męczarni. W czasie długiej i spektakularnej kariery profesor Bomsie zabłysnął jako jeden z najszybszych angielskich chirurgów. Wraz z wynalezieniem narkozy, gdy pacjent już nie wyrwał się spod pasów i nie krzyczał wniebogłosey, tylko głęboko uspiony leżał spokojnie na stole, chirurdzy nie musieli się już aż tak bardzo spieszyć. Zmieniały się kryteria ich oceny. Nie ten był najlepszy, który ciął najszybciej, a ten, który to robił najzręczniey. I choć Gerald Bomsie stał się już legendą, na tle nowej generacji operatorów wypadał niestety bladeo. Narkoza go detronizowała. Ponieważ jednak wielu chirurgów starej daty wciąż przeprowadzało operacje bez znieczulenia, nikt na sali nie zakwestionował proponowanej metody.

Profesor wetknął skalpel między zęby i nie zważając na rozpaczliwe krzyki pacjentki na stole, przeczesał dłońmi swe bujne włosy. Potem palcami mocno naciągnął skórę chorej piersi i jednym pewnym cięciem rozplątał sutek.

Publiczność na sali wyjęła zegarki kieszonkowe, żeby zmierzyć czas operacji.

— Nie ma co, to najszybszy chirurg od czasu Listona! Widziałem, jak kiedyś za jednym zamachem obciął pacjentowi nogę i jądra razem z trzema palcami asystenta i połą surduta jednego z widzów! — usłyszała czyjś szept Samanta.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła jak zahipnotyzowana. Bomsie odcinał pierś od klatki, a potoki krwi lały się strumieniami do podstawionych przy stole wiader z trocinami. Kiedy gruda żółtawego i skrwawionego ciała spadła do wiadra, profesor masywnymi dłońmi szybko zawiązał ligaturę wokół krwawiących miejsc, polał wodą lśniące obnażone mięśnie, a potem zakrył je skórą, którą ściągnął przylepcem.

Ryk aplauzu publiczności wyrwał Samantę z zapatrzenia. Zauważyła, że na szczęście dla siebie pacjentka zemdląła w trakcie operacji, podobnie zresztą jak trzy panienki siedzące w towarzystwie młodych studentów.

W czasie gdy nieprzytomną pokojówkę wynoszono z sali, profesor Bomsie mył ręce — wtedy, jeżeli chirurg w ogóle je oplukiwał, robił to wyłącznie po zabiegu — a wreszcie znów zwrócił się do widzów. Ale Samanta i Freddy nie czekali już na to, co powie. Popędzili w dół schodami i wypadli na korytarz, żeby zobaczyć, dokąd zabierają zoperowaną kobietę.

Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, kiedy szli za tragarzami niosącymi nieprzytomną. Tworząc niewielki pochód, weszli do hallu, po którym kręcili się doktorzy i studenci, a pacjenci podpierali ściany na stojąco bądź też siedzieli na podłodze. Po hallu płatali się też odwiedzający — panowie w cylindrach i panie w szeleszczących krynolinach. Tragarze skierowali się do jednej z licznych par drzwi.

Freddy spojrzął na Samantę z niemałą satysfakcją.

— Jakoś mocno zzieleniałaś na gębie. Masz już chyba dość, co, mała?

— Jeśli ty możesz iść jeszcze dalej, to ja na pewno też — wykrztusiła z trudem.

Nikt nie zauważył, jak dwoje obdartusów weszło na oddział.

To co ich przede wszystkim uderzyło, to straszny, odrażający smród. Samanta przytknęła szalik do nosa i ogarnęła wzrokiem długą salę. Na jej dalekim końcu dostrzegła kominiek, a pod obiema ścianami stały prostopadle do nich ustawione łóżka. Powstrzymując odruch wymiotny, przyjrzała się chorym kobietom. Jedne jęczały, inne krzyczały przenikliwie, jeszcze inne błagały o śmierć. Kilka szczęśliwie leżało bez

czucia. Tak wyglądał kobiecy oddział pooperacyjny, a wszystkie jego pacjentki, cierpiące na zakażenia najróżniejszego stopnia, przeszły jakąś okaleczającą interwencję chirurgiczną.

Obok kominka stał stolik, przy którym siostra z zakonu Wszystkich Świętych, ubrana w prostą brązową suknię, biały czepek i fartuszek, popijała herbatę. Na ścianie za jej plecami widniał napis: **POŚCIEL NALEŻY ZMIENIAĆ RAZ W MIESIĄCU, NAWET JEŚLI JEST CZYSTA.** Wzdłuż łóżek i między nimi krzątały się posługaczki: opróżniały nocniki, obracały pacjentki z boku na bok, robiły gorące okłady i zamiatały podłogę. Inna siostra z ołówkiem i notesem w ręku stała przy szafie i spisywała jej zawartość.

Samanta nie mogła się zdecydować, co jej bardziej przeszkadza: smród czy hałas. Żaden gabinet tortur nie słyszał chyba tak żałostnego chóru pełnych cierpienia jęków i krzyków. Niestety nie mogła sobie zatkać uszu, bo musiała zasłaniać nos. Nigdzie, nawet w najbardziej zapuszczonych londyńskich podwórkach, w najupalniejsze letnie dni, nie czuła równie obrzydliwego fetoru. A przyczynę tego smrodu widać było gołym okiem. Jego źródło stanowiły nie gojące się otwarte i ciekące rany, dotknięte gangreną ciała oraz strugi zielonej ropy. Powalał ją odór kobiet, gnijących już za życia.

Spojrzała na pusty wiklinowy kosz. Biedna okaleczona pokojówka została ułożona na łóżku. Suknię miała nadal rozpiętą. Widać jej było jedną zdrową pierś i czerwoną, sączącą się krwawą ranę. Tuż obok chirurg i trzech studenci badali śliczną młodą dziewczynę z nogą amputowaną poniżej kolana. Kikut nogi oparty był na tacy, na którą spływała wyciekająca ropa. Doktor objaśniał coś studentom i w pewnej chwili zabrał się do zdejmowania opatrunku z rany — był to kwadratowy kawałek brokatu z ozdobnie wyhaftowanym monogramem, najwyraźniej miłosierny prezent ofiarowany szpitalowi przez którąś z zamożnych angielskich rodzin. Lekarz, przytrzymując skórę nogi ręką, żeby oderwać brokat w miejscach, gdzie bardziej przywarł, odciągał powoli przyklejony do rany opatrunek, a potem rzucił go na podłogę w nogach łóżka. Jedna z siostr natychmiast go podniosła i przeszła z nim do łóżka, gdzie leżała niepowstrzymanie łkająca kobie-

ta po amputacji piersi. Pielęgniarka przyłożyła jej brokatowy opatrunek do krwawiącej rany i zaczęła przyklejać go do ciała przylepcem.

Kolejne dwie pielęgniarki pospieszyły jej czym prędzej w sukurs. Któraś spostrzegła stojące w progu dzieci.

— Ej, wy tam! Uciekajcie stąd!

Freddy i Samanta odwrócili się na pięcie i ile sił w nogach popędzili przez zatłoczony hall, a wreszcie zbiegli po schodach i wypadli na ulicę. Biegli gnani strachem, wspomagani młodością i doświadczeniem w szybkich ucieczkach. Przeskakiwali murki i rynsztoki, aż wreszcie ciężko dysząc zatrzymali się pod jakąś ścianą.

Po chwili chłopak roześmiał się głośno.

— Coś ci powiem, Sam. Nie myślałem, że dasz radę w szpitalu. Nie widziałem jeszcze, żeby jakaś baba nie zemdląła od tego!

Kiedy dziewczynka wreszcie już złapała oddech, wbiła wzrok w czarną od sadzy ceglana ścianę przeciwległego domu i głęboko się zamyśliła.

— To nie jest w porządku, Freddy — powiedziała po chwili.

— Zaczynasz? Tchórz cię obleciał? Teraz?! Każdy po kryjomu wchodzi...

— Nie o tym mówię. — Wielkimi szarymi oczami spoglądała na niego zaskakująco dojrzałe, jak na małą dziewczynkę. — Mówię o tym, co oni tam robią. Doktorzy powinni pomagać, a nie torturować.

— Pewnie chcą jak najlepiej, Sam. Może nie umia inaczej.

Odwróciła głowę i oddała się ponurym, niespokojnym myślom.

Przez długie tygodnie nachodziły ją złe sny, w ciągu dnia raz po raz przypominała sobie sceny ze szpitala. Ale przecież nie strach przed samym miejscem ani obawa przed tym, że nie zapanuje nad odruchami własnego ciała, najbardziej ją niepokoiły, o co ją podejrzewał Freddy — po prostu czuła, że ludziom w szpitalu dzieje się straszna krzywda.

Kiedy wyglądało na to, że szpital na dobre stanie się jej obsesją, wydarzyło się coś, co odwróciło jej myśli.

Od ostatniego lata przez całą jesień i początek zimy, która okryła Londyn błotnistym brudnym śniegiem, religijność Samuela Hargrave'a raptownie przybierała na sile. Tego roku Samanta mniej się już włóczyła po Londynie z Freddym, a wieczorami często siadała z ojcem i pomagała mu w wypełnianiu jego duchowej misji. Jej zadaniem było zszywanie pisanych przez niego rozprawek.

Samuelowi nie wystarczało już przemawianie do wiernych w niedziele; postanowił wyjść z kazaniami na ulicę. Uzbrojony w traktaty biblijne, które sam pisał i własnym sumptem drukował, a które potem Samanta co wieczór zszywała przy oliwnej lampie, szedł w najbardziej rozpasane rejony miasta — Cremorne Gardens, Haymarket i Regent Street. Tam wciskał je w ręce prostytutek z surowym przykazaniem poprawy i pokuty. Jego fanatyzm z wolna go odmieniał, ale tego, zaślepiona oddaniem dla ojca, dziewczynka zupełnie nie widziała. Aż wreszcie Samuel zrobił coś bardzo dziwnego.

Pewnego wieczoru, kiedy schylała głowę nad szyciem, ciemne kędziory opadły jej na twarz, a blask lampy oświetlał jej mleczone czoło i policzki, poczuła na sobie palący wzrok ojca. Oderwała się od pracy i ujrzała jego dzikie spojrzenie. Patrzyła mu w oczy dłuższą chwilę — ze zdziwieniem, ale bez strachu — gdy wtem rozchylił usta i szepnął:

— Felicity...

Nie rozumiejąc, co ma na myśli — przecież nie znała nikogo o tym imieniu — spytała:

— Co się stało, tato?

Jej cienki głosik zerwał w nim jakąś tamę. Po raz pierwszy od dziesięciu lat jego twarz przybrała łagodny, czuły wyraz, a mgła zasnuła mu oczy. Widząc tę nagłą zmianę, dziewczynka krzyknęła cichutko, zerwała się z krzesła, podbiegła do ojca, zarzuciła mu ramiona na szyję i rozpłakała się na jego piersi. Przez krótką chwilę pozwalał jej na to, choć nie uściskał jej ani nie przytulił. Słyszała, jak głośno bije mu serce. Potem jednak oderwał ją od siebie, opanował się szybko i na powrót zajął się pisaniem kazania.



Dwa dni później oznajmi! jej swą decyzję.

Nadszedł już czas, zaczął głosem, jakim utyskiwał na nie-dopieczony kotlet, żeby Samanta poznała smak chrześcijańskiej pracy i wartość zarobionego szylinga. Skończyła już w końcu dziesięć lat i niebawem stanie się kobietą. W następnym oschle brzmiącym zdaniu powiedział, że niedaleko, przy tej samej ulicy, mieszka pewien dżentelmen, któremu przyda się pomoc domowa, bowiem od lat jest wdowcem. Potrzebna mu kobieta do sprząwania i do gotowania. Chciała zaprotestować — nie widziała w tym żadnego sensu, żeby ona zajmowała się jakimś obcym domem, gdy tymczasem ojciec zatrudnia gospodynię — ale widząc mocno zaciśnięte usta ojca, wiedziała, że wszelki opór po prostu na nic się nie zda. Wyjaśnił jej, że odtąd będzie wychodziła co rano do domu mężczyzny, z którym już się umówił, będzie mu sprzątała i gotowała, będzie u niego jadła obiad i kolację, ale na noc będzie wracała do domu. Jej pracodawcy wystarczy dochodząca służąca.

Samanta miała zacząć pracę już od następnego dnia, a pan, którego domem miała się odtąd zajmować, nazywał się Isaiah Hawksbill.

## 5

Pierwszą rzeczą, która Samantę uderzyła, był smród, jaki buchnął zza otwartych drzwi, drugą natomiast — wyjątkowa brzydota Hawksbilla. Patrząc na niego starała się ukryć zaskoczenie i szok, bo pamiętała ostrzeżenia Freddy'ego, że z chwilą gdy tylko okaże Hawksbillowi strach, będzie już w jego mocy.

— Jeśli jesteś dzieciakiem Hargrave'a, to wejdź — mruknął nieuprzejmie.

Z trudem przełknęła ślinę i przekroczyła próg.

Znalazła się w części kuchni przeznaczony do zmywania, a kiedy jej oczy przywykły już do ciemności wnętrza, nie powstrzymała cichego okrzyku zaskoczenia. Cóż to był za wi-

dok! Wszędzie wokół widziała porozstawiane bezładnie brudne talerze, zakopcone garnki, nieumyte kubki, kawałki obeschniętego jedzenia i spleśniałe resztki chleba.

— Tu zaczniesz robotę — powiedział krótko. Jak zauważyła, miał albo niewielką wadę wymowy, albo mówił z nieznany jej obcym akcentem. — Nie mam czasu zawracać sobie głowy takimi sprawami, ale nie mam już też choćby jednej czystej łyżki i nie chce mi się samemu gotować.

Zza krzaczastych siwych brwi błysnęły małe zielone oczka. Siwa czupryna Hawksbilla rosła dziko i swobodnie, choć od dawna należały jej się fryzjerskie nożyczki; brodę porastała szczecina źle golonego zarostu. Miał na sobie wymiętą bonżurkę, krzywo zawiązany krawat, a poplamiona, niegdyś biała koszula już doszczętnie zszarzała. Gdyby mu się przyjrzeć obiektywnie, można by dojść do wniosku, że wygląda jak jeden z wielu zaniedbanych, flejtuchowatych starców, ale małej Samancie, karmionej opowieściami Freddy'ego, wydał się najprawdziwszym potworem.

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, ale przypomniała sobie w porę, dlaczego tu w ogóle trafiła. Przyszła tu przecież na wyraźne życzenie ojca. Nie umiała sobie co prawda wytłumaczyć, co się za tym kryje, ale nieprzeparta chęć sprawienia ojcu przyjemności wystarczała, by ją powstrzymać przed ucieczką. Tak, zostanie. Zrobi to dla taty.

— To ci zajmie z dzień — usłyszała cierpki głos Hawksbilla. — W południe podasz mi chleb rozmoczony w mleku. Na końcu korytarza naprzeciwko salonu jest pokój, do którego drzwi będą zawsze zamknięte. Postawisz pod nimi miskę i wrócisz do kuchni. Pod żadnym pozorem nie wolno ci zastukać. Na kolację znajdziesz kurę w kredensie. Weźmiesz sobie skrzydełko, a mnie przyniesiesz resztę. Postawisz talerz pod zamkniętymi drzwiami i wrócisz tutaj. Po kolacji możesz iść do domu. Nie będę cię oglądał aż do jutra rano. Jeżeli będziesz chciała o coś mnie zapytać, będziesz musiała wstrzymać się z tym do jutra.

Odczekał jeszcze chwilę, żeby przesyć jej drobne drżące ciało twardym wzrokiem małych złowieszczych oczu, a potem odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Praca, jaka ją czekała, była iście herkulesowym zadaniem, ale mała Samanta zabrała się do niej z zapałem i z nadzieją, że usłyszy od starego Hawksbilla pochwałę, którą niczym trofeum zanieśe wieczorem ojcu. Ze stoickim spokojem posprzątała półki, omiotła kąty, umyła zlew i podłogę. Wszystkie śmieci i resztki jedzenia wyrzuciła do kubła stojącego na schodach za kuchennymi drzwiami, a potem skrobała, tarła i szorowała, aż całkiem zdarła sobie skórę z dłoni. W południe wzięła miskę z mlekiem i chlebem i ruszyła przed siebie długim ciemnym korytarzem. Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i jakiś czas nasłuchiwała. Usłyszała ciche odgłosy szurania. Później, w porze kolacji, kiedy wróciła pod te same drzwi z nieświeżym kurczakiem, na podłodze zauważyła pustą miskę dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiła w południe. Za drzwiami panowała złowroga cisza.

Dom był ciemny i zakurzony, meble przykryte pokrowcami, a schody na górę prowadziły w ciemną, nieznaną czeluść. Kiedy za oknem zaczęło szarzeć, Samantę ogarnął taki potworny strach, że straciwszy cały apetyt na jedzenie, wrzuciła skrzydełko kurczaka do kubła na śmieci, zatrzasnęła za sobą tylne drzwi i pędem pobiegła do domu.

Następnego ranka Isaiah już na nią czekał.

— Zmienisz mi pościel w łóżku. Już z rok nie była zmieniana. Masz zdjąć poszwy i prześcieradła, uprać je i wywiesić. Świeżą zmianę znajdziesz gdzieś w komodzie. W południe zjem to samo co wczoraj, a na kolację otworzysz puszkę z mięsem. Mięso krój cienko. Tylko pamiętaj: cienko! Połóż na kromki chleba i przynieś mi pod drzwi. Sama też zjedz kanapkę.

Nagle wyciągnął rękę i mocno chwycił Samantę za ramię.

— O jednym nie wolno ci nigdy zapomnieć! Dobrze to sobie wbij do głowy! Nigdy nie wolno ci zaglądać za zamknięte drzwi mojego pokoju. Po innych pomieszczeniach możesz sobie łązić do woli, to mnie nie obchodzi. Ale od mojego pokoju wara! — Nachylił się tak nisko, że niemal dotykał twarzą jej dziecinnej buzi. — Jeśli cię chociaż raz złapię, ty bachorze, że choćby tykasz klamki, pożałujesz, że w ogóle przyszałaś na ten świat!

Pod koniec tygodnia Samanta niemal się słaniała na nogach. Codziennej pracy w ponurym domu Hawksbilla starczyłoby dla dwóch krzepkich pokojówek, a cóż dopiero dla wątłej dziesięcioletniej dziewczynki! Rano rozpałała w kuchennym piecu i nastawiała imbryk z wodą; szorowała i oliwiła płytę pieca, trzepała ciężkie chodniki z drogietu, po czym rozkładała je na podłodze; odkurzała półki na garnki, wyrzucała popiół z paleniska i śmieci z szuflady, czyściła metalowe ekrany przed kominkiem, zabezpieczające przed przypadkowym pożarem. Po takiej robocie ramiona miała czarne od sadzy. Hawksbill dawał jej dziewięć pensów dziennie na zakupy i oczekiwał, że przyniesie mu za nie chleb, stare, prawie niejadalne pierożki z wołowiną i mleko w trzech czwartych rozcieńczone wodą. Ale kiedy upuścił na jej dłoń trzy szylingi (Samanta nie wiedziała, że za taką robotę służące do wszystkiego zarabiały sześć albo siedem), jej zmęczenie zniknęło bez śladu. Te pieniądze były dla niej jak dar serca, który już za chwilę ofiaruje ojcu.

— Jak tam jest w środku? — spytał Freddy i wyrównawszy krok, maszerował z nią ulicą, odprowadzając ją pewnego dnia do domu.

— Dom jak dom.

— A co on tam paskudnego robi?

Pomyślała o zamkniętym pokoju.

— Nic nie widziałam.

Freddy kopnął kamień bosą stopą. Miał już prawie piętnaście lat. Był wysoki i szczupły, a pod ciasną znoszoną koszulą zaczynały się rysować mięśnie klatki.

— Harry Passwater mówi, że staruch zrobił kiedyś straszną rzecz jakiejś małej dziewczynce, jak słowo. Ale rzucił czary na świadków i nikt nie mógł mu potem nic dowieść.

— Harry Passwater nie powinien opowiadać plotek.

— No, no, mała, nie zadzieraj nosa! Może i jesteś na służbie, ale stary Hawksbill to znów żadna figura!

Pod schodami jej domu odwrócił się nagle i pod wpływem gwałtownych emocji, nie namyślając się wiele, chwycił ją za ramiona.

— Jak ten stary piernik tknie cię choćby palcem, przysięgam, że rozwalę mu ten jego plugawy łeb! — oświadczył ponuro, z miną tak poważną, jakiej jeszcze u niego nie widziała.

Patrzyła, jak ucieka ulicą, a potem spieszenie weszła do domu. Ojciec przyjął trzy szylingi bez jednego słowa.

Kiedy lato ustąpiło jesieni, a jesień mokrej, posępnej ziemi, dni zaś zaczęły układać się w tygodnie i nużyły monotonią, tylko listy z Oxfordu, co jakiś czas nadsyłane przez Jamesa, stanowiły jedyne urozmaicenie nudnego życia. Spędzając dzień za dniem w mrocznym i cichym domu swojego pracodawcy, a wieczory przed małym rozgrzewającym kominkiem na czytaniu Biblii, Samanta czuła, jak rośnie w niej niepokonana ciekawość.

Co też ten Hawksbill robi za zamkniętymi drzwiami?

## 6

Isaiah Hawksbill strzegł pilnie dwóch tajemnic. Jedna z nich została skrzętnie ukryta pod podłogą wejściowego hallu, druga zaś dotyczyła faktu, że pan Hawksbill jest Żydem.

Urodzony na małym urodzajnej ziemi przygranicznych zachodnich terenów Rosji, Isaiah Rubinowicz był synem zubożałego domokrażcy i matki gruzliczki. Kiedy pewnej nocy do wioski wpadli kozacy siepacze w poszukiwaniu młodych żydowskich chłopców, żeby ich wcielić do armii — car Mikołaj II wydał dekret, że wszyscy Żydzi między dwunastym a osiemnastym rokiem życia mają obowiązek odsłużyć dwadzieścia pięć lat w carskim wojsku — Isaiah uciekł z wioski-getta. Za pazuchą miał tylko bochenek chleba. Odchodząc obiecywał, że pewnego dnia, kiedy niebezpieczeństwo minie, na pewno wróci do domu. Od tamtej nocy upłynęło czterdzieści pięć lat.

Przypadek i bystry umysł pozwoliły mu trafić przez Polskę do Niemiec, gdzie Żydzi cieszyli się większą wolnością i gdzie swobodnie rozkwitały nauki. Z początku zarabiał jako po-

mocnik aptekarza, potem zaś wstąpił na uniwersytet w Gies-sen. Tam, pod kierunkiem barona von Leibiga, studiował farmację. Choć bardzo tęsknił za domem i chciał wrócić do rodziny, wiedział, że te pragnienia pozostaną dla niego na zawsze w sferze marzeń — w ciągu kilku lat tereny pogranicza zamieszkałe przez żydowską społeczność skurczyły się znacznie i większość rosyjskich Żydów rozpaczliwie wegetowała na granicy nędzy i głodu. Mimo iż bardzo osamotniony i dręczony tęsknotą, w zachodniej Europie mógł się cieszyć wolnością intelektualną i uzasadnioną nadzieją, że będzie pędził godziwe życie zamożnego człowieka.

Kiedy już wybił się jako uczony i chemik, zebrał pochwały środowiska naukowego, założył świetnie prosperującą aptekę i wielu lekarzy uznało go za doskonałego farmaceutę. Niestety jego żywy temperament i pasja, z jaką oddawał się uprawianej profesji, sprawiły, że popadł w niełaskę władz rządowych. Opuścił więc kontynent i postanowił rozpuć się bez śladu w niezwykle szybko przyrastającej ludności Londynu. Tu zmienił nazwisko — Hawskill było nazwą pobliskiej tawerny — i założył kolejną aptekę. Zakochał się w młodej, pięknej angielskiej Żydówce, Rachel, poślubił ją i aż do wybuchu epidemii cholery w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku cieszył się pełnią życia i niegasnącym szczęściem.

Potem zamknął aptekę, zabarykadował się okiennicami i poprzysiągł sobie, że już nigdy w życiu nie będzie miał nic wspólnego ze społeczeństwem.

Jak zwykle dokładnie o siódmej rano czekał na Samantę przy drzwiach kuchennych. Tego ranka jednak na zmierzwi-one długie włosy nacisnął zakurzony cylinder, a na ramiona zarzucił pelerynę.

— Muszę wyjść. Niechętnie to robię. Bóg jeden wie, kiedy ostatni raz wychodziłem z domu, ale wzywa mnie pilna sprawa, której nie mogę odłożyć.

Choć od razu po jego wyjściu zabrała się do pracy z wigo-rem, jaki tylko była w stanie wykrzesać z wątłego ciała, i choć nawykła już do samotności i błąkania się po opustoszałym

domu bez ludzkiego towarzystwa, tego dnia, kiedy kroki Hawksbilla ucichły na chodniku, nie mogła pozbyć się wywołującej zimne dreszcze myśli, że po raz pierwszy została w tym ponurym miejscu najzupełniej sama.

Chciała sobie dodać odwagi i zaczęła podśpiewywać w trakcie odkurzania. Szeptała do siebie, zmywając podłogi; tupiała głośno, żeby ożywić martwą ciszę budynku (wtedy po raz pierwszy zauważyła, że deski podłogowe w hallu wydają dziwnie pusty dźwięk), ale w końcu i tak nieuchronnie stanęła przed zagadkowo zamkniętym pokojem.

Nachyliła się — jak wiele razy przedtem — i przycisnęła ucho do drzwi. Wcześniej słyszała jakieś dziwne odgłosy drapania, czasem jakby tupnięcie, a nie dalej jak wczoraj coś, co przypominało dźwięk łańcucha wleczonego po drewnianej podłodze. Dzisiaj jednak za drzwiami panowała absolutna cisza.

Wyprostowała się i zaczęła z uwagą badać dębową płytę drzwi.

Należało oczywiście odwrócić się na pięcie i odmaszerować. Właśnie niezdecydowanie pchnęło ją do działania. Wszystkie nauki na temat posłuszeństwa, jakimi karmił ją ojciec, gdzieś się rozplynęły z chwilą, gdy odezwała się w niej dziecięca nieopanowana ciekawość. Samanta wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła klamki. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdziła, że drzwi ustępują.

Cofnęła rękę jak oparzona. Nie zamknął pokoju na klucz!

Zbierając w sobie odwagę, położyła rozczapierzoną dłoń na drzwiach i lekko je pchnęła. Otworzyły się szeroko, rozwierając niczym wielka paszcza, a za nimi pojawiła się czarna jak noc czeluść. Samanta wyteżyła wzrok i jedną nogą weszła do pokoju. Ale potem zrobiła drugi krok, i trzeci. Aż wreszcie stwierdziła, że stoi na środku pomieszczenia, do którego pan Hawksbill zakazał jej wchodzić.

Wewnątrz było zupełnie lodowato. Znikąd nie dochodziło światło; tylko przez szczeliny ciężkich aksamitnych kotar widziała blade prześwity szarego poranka. Ale z wolna przystosowując wzrok, zaczynała odróżniać kształty rozmaitych przedmiotów.

Był to najbardziej zagracony i zabałaganiony pokój, jaki w życiu widziała.

Olbrzymie książki, ułożone jedna na drugiej, tworzyły krzywe wieże od podłogi aż po sam sufit. Wydawało jej się, że równowaga tych wież jest nader chwiejna, że wystarczy leciutki powiew wiatru, a cała piramida natychmiast runie na ziemię. Pod ścianami stały duże drewniane skrzynki, z których tu i ówdzie wystawała słoma. Na stole leżało tyle papierzysk, że blat się pod ich ciężarem ugiął, i Samanta miała wrażenie, że za moment pęknie. Na ścianach widniały przybite gwoździami tablice i rysunki. Na półce nad kominkiem przykucnęły wypchane sowy i sokoły, a palenisko zastawione było nie otwartymi jeszcze drewnianymi skrzynkami. Na podłodze stało tyle najróżniejszych rupieci, że poza wąską ścieżką, którą najwyraźniej pan Hawksbill zostawił sobie jako przejście, naprawdę trudno byłoby chodzić.

Pod całą jedną ścianą stał stół do pracy, zastawiony najróżniejszymi flaszkami i słoikami, jakich dziewczynka nigdy dotąd nie widziała. Dojrzała też przy nim wysoki stołek, a na blacie lampkę oliwną, gęsie pióro i rozek na inkaust. Nad stołem wisiała półka, która ugięła się pod ciężarem książek, papierzysk, słoików i metalowych pudełek.

I wtedy to zobaczyła. Słój z uwiecznionym w nim maleńkim człowieczkiem.

Isaiah Hawksbill szybko otworzył kuchenne drzwi, wszedł do domu i strząsnął krople deszczu z barków i ramion. Odwijając szalik z twarzy, wycierał buty na macie wewnątrz kuchni. Pod pachą trzymał w papierze jakieś zawiniątko.

Wstrząśnięta Samanta podeszła do słoja. Na widok maleńkiego człowieczka, wyciągającego rozpaczliwie ramiona, szeroko otworzyła buzię. Ten ktoś chciał się wydostać ze swojego więzienia.

Zamyślony Hawksbill szedł ciemnym korytarzem i nagle, na widok otwartych drzwi pokoju, znieruchomiał.

Samanta wspięła się na palce i sięgnęła po słój. Delikatnie ujęła naczynie; uważała, żeby nie skrzywdzić przy tym maleńkiego więźnia. Przesunęła słój na brzeg deski, ale właśnie



kiedy go już — ledwie obejmując palcami — zdejmowała z półki, kątem oka zauważyła za sobą jakiś ruch.

Obróciła się. Stał w progu. Krzyknęła głośno i upuściła słój. Szklane naczynie upadło na podłogę i pękło na tysiąc kawałków.

Rzucił się na nią z powiewającą za nim peleryną, jak wielkie czarne ptaszysko. Wrzasnęła przeraźliwie, gdy jego powykęcane ręce opadły na nią jak szpony. Poczowała dotkliwy ból, kiedy ją chwycił.

— Proszę pana, ja tylko chciałam go stamtąd wypuścić! Nic więcej nie dotknęłam! Proszę mnie nie zabijać, panie Hawksbił!

— Ostrzegałem cię, ty przeklęty bachorze! — Potrząsał nią jak szmacianą lalką.

— On chciał stamtąd wyjść! — piszcząca. — Ja tylko go chciałam uwolnić!

— Dam ci nauczkę, smarkulo!

Udało jej się wyrwać z uścisku jedno ramię i zasłonić twarz.

— Niech mnie pan nie zabija! Proszę!

Przestał nią trząść i kiedy ostrożnie otworzyła oko i spojrzała na niego, zobaczyła na jego groteskowej twarzy zaskoczenie.

— O czym ty mówisz? Kogo chciałaś uwolnić?

Dopiero teraz zaczęła płakać.

— Tego małego człowieczka — załkała. — Nie ma pan prawa trzymać go w butelce! Chciał stamtąd wyjść. A ja tylko próbowałam mu pomóc!

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, puścił ją i wyprostował plecy.

— Przestań ryczeć — powiedział drętwym głosem.

Pociągnęła nosem i czknęła.

— Kazałem ci przestać ryczeć! A teraz powiedz mi, o czym ty mówisz.

— O małym człowieczku! — Wskazała rozbity słój.

Z kieszeni płaszcza wyjął pudełko z zapalnikami. Zapalił jedną z nich i przytknął do knota w lampie; podkręcił płomień tak, by dawał najwięcej światła. Ukucnął i oglądał leżące na podłodze szczątki.

— Mój korzeń mandragory — mruknął dziwnie opanowanym głosem. — Ale nic się nie stało, jest cały. — Spojrzał na dziewczynkę. — Sprawilem ci ból?

— N... nie, proszę pana.

Znów spojrzał na rozbity słoć; powykręcane palce starego delikatnie dotykały każdego okrucha szkła.

— Będę miał z tym roboty a roboty! Ten słoć miał idealną wielkość. Gdzie ja taki znajdę...

Samanta przyglądała się pracodawcy zupełnie ogłupiała. Patrzyła na jego kabłąkowate plecy, zgarbione ramiona, różowy placek łysiny na środku siwej głowy.

— Bardzo pana przepraszam, naprawdę bardzo — szepnęła cieniutkim głosem.

Podniósł się i skrzywił — stawy mu zatrzeszczały.

— Nie potrafisz opanować ciekawości. Nic się na to nie poradzi, dzieci już takie są. — Jego głos nabrał łagodniejszego brzmienia. — Na pewno nie zrobiłem ci krzywdy?

— Ani trochę, panie Hawksbill.

— Wiesz, była mniej więcej w twoim wieku...

Hm, korzeń mandragory jest czymś bardzo dziwnym. Ponieważ wyglądem przypomina miniaturowego człowieczka, od stuleci ludzie przypisują mu dziwną, mistyczną moc.

Siedzieli w zagraconym gabinecie i popijali herbatę Darjeeling. Samanta zdążyła już sprzątnąć rozbite szkło, a pan Hawksbill znalazł nowy słoć.

— Uważano też, że ponieważ tak kurczowo trzyma się ziemi, to kiedy się go wrywa, krzyczy jak człowiek na torturach i tym krzykiem śmiertelnie poraża ludzi. Dlatego nie ludzie, a specjalnie tresowane psy wydobywają go z ziemi.

Samanta spojrzała na słoć, w którym tkwił znów uwięziony korzeń. Tak, teraz wyglądał jak kawałek rośliny, ale wcześniej gotowa była przysiąc...

— Zawsze go nazywała maleńkim człowieczkiem.

— Kto?

— Moja mała Ruth. Była mniej więcej w twoim wieku, kiedy... — zaczerpnęła głęboko tchu — ...kiedy umarła na cholere. Robiłem co w mojej mocy, żeby ją ratować, ale mimo

całej wiedzy i wszelkich dostępnych środków byłem zupełnie bezradny. Minęło już ponad dwadzieścia lat od jej śmierci, a ja ją wciąż opłakuję.

Samanta rozejrzała się po zabałaganionym pokoju.

— Czy to jest właśnie apteka?

— O nie! Skądże! — O dziwo, Hawksbill skrzywił twarz w uśmiechu. — Zlikwidowałem aptekę po śmierci Ruth i Rachel. Kiedy przekonałem się, jak niewiele jestem w stanie zdziałać, zrezygnowałem z prowadzenia apteki.

— To co to jest?

— Jesteś ciekawska, co? Moja Ruth też taka była. Wciąż nie o coś pytała... — Zawiesił głos i zaczął się przyglądać Samancie. — A gdzie twoja mama, dziecko?

— Nie wiem.

— Pamiętasz ją?

— Nie.

— A... modlisz się za nią?

— Co wieczór modlę się za upadłe kobiety z Haymarket.

— A po cóż to?

— Tata mi każe.

— I nigdy ci nie mówił, żebyś się modliła za mamę? Nigdy nie ciekawiło cię, jaka była?

— Nigdy o tym nie myślałam... To niesprawiedliwe, bo wszyscy mają jakąś mamę. Nawet Freddy. Myślałam chyba, że nigdy nie miałam mamy. Ale tak nie powinno być, prawda?

— Nie.

Teraz, kiedy już zaspokoiliła ciekawość, co jest za zamkniętymi drzwiami pokoju pana Hawksbilla, miała nowy temat do rozmyślań. Tak, wiedziała, że jest zielarzem i że pracuje nad stworzeniem najlepszej, najbardziej szczegółowej książki o organicznych środkach medycznych, jaka w ogóle została napisana. Tłumaczył, że jest to praca ogromna, wymagająca sumiennych badań i wielkiej samodyscypliny, dlatego musi jej poświęcić całą energię. Skoro już dowiedziała się, co Hawksbill porabia od rana do wieczora, zaczęła rozmyślać o matce.

Odpowiedź na dręczące ją pytania znalazła pewnego wieczoru w Biblii, na stronie zatytułowanej „Historia rodziny”.

— Co znaczy „zeszła”? — spytała Hawksbilla następnego ranka. Właśnie zabierał się do wyjścia z kuchni.

— Bo?

— Bo tego się właśnie dowiedziałam o mamie. Ktoś napisał to słowo przy jej imieniu.

Sapnął z irytacji.

— To znaczy, że nie żyje.

— Moja mama nie żyje?

— Nie żyje. — Odwrócił się.

— Umarła w dniu, kiedy się urodziłam. Jak umarła?

— Spytaj tatę.

— Nie mogę mu zawracać głowy takimi sprawami.

— A mnie możesz! — wykrzyknął.

Skurczyła się z przestachu.

— Przepraszam, panie Hawks...

— Już i tak się spóźniłem do pracy! Przecież nie jestem młody! Muszę pracować, jeśli chcę skończyć tę książkę, zanim sam zejdem!

Kiedy postawił nogę w korytarzu, zapytała szybko:

— To czemu nie najmie pan kogoś do pomocy?

Odwrócił się błyskawicznie; jego zielone oczka płonęły wściekłością.

— Co za bezczelny bachor! Najpierw wściubia nos w moje prywatne sprawy, a teraz mi dyktuje, co mam robić! Nie potrzebuję nikogo do tego, co sam robię najlepiej!

— Ale to ogromna robota, panie Hawksbill, sam pan mówił. I byłaby straszna szkoda, gdyby pan zszedł przed końcem. Przydałby się panu jakiś silny chłopak, który by dźwigał ciężkie rzeczy i załatwia! dla pana sprawunki...

— *Himmel* — mruknął pod nosem i potarł szczeniastą brodę. — Ten bachor ma rację...

— Taki chłopak, który szukałby słoików, układał książki, żeby panu było lżej — mówiła, myśląc o Freddym. — Nie traciłby pan czasu, tylko by pisał i pisał.

— Niepotrzebny mi żaden chłopak — uciął. — Po co miałbym wydawać choćby tylko pensa, skoro już mam ciebie? Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

— Mnie, psze pana?

Od razu tego dnia zagnał ją do pracy w gabinecie. Musiała wyjąć słoje z zamkniętych skrzyń i opatrzyć je nalepkami; poseregować pudełka z suszonymi ziołami i kwiatostanami; zaostrzyć gęsie pióra; napełnić lampy olejem, odkurzyć książki. A kiedy Hawksbill odkrył, że Samanta umie czytać, zagonił ją do układania w porządku alfabetycznym wielkich stert monografii poświęconych najróżniejszym roślinom. Kiedy zaś stwierdził, że dziewczynka umie również pisać, posadził ją do wypełniania fiszek z nazwami botanicznymi, bo sam z powodu drżących dłoni nie potrafił już tego zrobić schludnie. A nim upłynął tydzień, zaczął jej tłumaczyć rozmaite tajemnice zielarstwa. Wyjaśniał, dlaczego lukrecja nazywa się *glycyrrhiza glabra*, opowiadał, jak to nasiona arbuza są świetnym lekarstwem na tasiemca, jakim doskonałym środkiem uspokajającym jest *centromthus ruber* i gdzie można znaleźć rośliny zawierające odtrutkę na ukąszenie jadowitych żmij i węży. Jej gotowość przyswajania wiedzy rosła z każdym nowo poznany fakt — im więcej Hawksbill jej mówił, tym bardziej rozbudzał w niej ciekawość. I choć sam był głęboko przekonany, że dociekliwość dziewczynki zacznie go szybko irytować, ze zdumieniem spostrzegł, że ma w sobie wprost niewyczerpane pokłady cierpliwości. Tak, wraz z narastającą potrzebą nauki, jaką Samanta zaczęła przejawiać tak gwałtownie, w starym człowieku budziło się pragnienie przekazania jej tyle lat gromadzonej wiedzy.

Przekonał się o czymś jeszcze. Dowiedział się o sobie czegoś, czego dotąd w ogóle nie podejrzewał: odkrył, że już od bardzo dawna był bardzo, ale to bardzo samotny...

Tworzyli dobrany zespół zapalonego nauczyciela i złącnionej wiedzy uczennicy. Samanta coraz mniej czasu spędzała przy kuchni i na sprzątaniu, a coraz częściej siadywała u stóp starego słuchając, ucząc się, pytając i zapamiętując. Kiedy opowiadał jej o cudownych właściwościach herbatki z żeńszenia i stwierdził, że dziewczynka nigdy nie słyszała o Chinach, wyciągnął zakurzony atlas i pokazał jej, jak wygląda świat.

Kiedy odkrył, że ojciec wcale nie uczył jej matematyki, zabrał się do wykładania zbiorów dziesiętnych i ułamków, nauczył dodawania i odejmowania. Jej głód wiedzy sprawiał mu wielką przyjemność, bystrość dziewczynki inspirowała go do dalszych wykładów, a jej niezwykła zdolność zapamiętywania zasłyszanych od niego wiadomości napełniała go dumą.

Minał listopad i grudzień; zaczął się śnieżny styczeń. Isaiah Hawksbill siedział z Samantą Hargrave przy buzującym ogniem kominku, którego od wielu lat nie rozświetlała choćby najmniejsza iskra, i przekazywał dziewczynce swą wiedzę i mądrość. Jego obsesyjna chęć napisania wielkiego podręcznika ziołarstwa przygasła gdzieś tymczasem w świetle ogromnej satysfakcji, jaką czerpał z nauczania tego cudownie chłonnego dziecka. Obserwowanie, jak dziewczynka rozwija się pod jego bokiem, sprawiało mu więcej radości niż przelewanie całej mądrości uczonego ziołarza na niewdzięczny papier. Kiedy nastała wiosna, a Samanta skończyła jedenaście lat, sięgali już po nowe tematy; astronomię, zoologię i starożytną historię i całymi dniami razem odkrywali świat.

Ale o tym Samanta nie mówiła ojcu ani słowa.

## 8

Pan Hawksbill uniósł słoń z majoliki i powoli obracał go pod światło.

— Oto *smilax officinalis*, Samanto. Bardzo cenna zdobycz.

Z uwagą przyglądała się małym ciernistym gałązkom o długich cienkich korzeniach.

— Skąd pochodzi?

— Rośnie w wielu miejscach. Szary w Meksyku, brązowy w Hondurasie, a ten — z czułością poklepał słoń — najtrudniejszy do zdobycia, porasta zachodnie stoki Andów.

— Co to takiego?

— Co to takiego?! Ależ, *Liebchen*, to znany od stuleci środek na skurcze porodowe. Leczy również bóle klatki piersiowej, zwane *angina pectoris*. A czerwonoskorzy wierzą, że jest też świetnym środkiem przeciw impotencji.

Samanta z trudem powtórzyła trudne łacińskie słowa.

— Hiszpanie mają na to dużo łatwiejszą nazwę. Nazywają tę roślinę *sarsaparilla*.

Nagle jakiś nieoczekiwany ruch i zamieszanie zakłóciły spokój poranka. Pan Hawksbill zszedł z wysokiego stołka i lekko odsunął jedną z kotar, żeby zobaczyć, co dzieje się na ulicy. Ujrzał dość dramatyczną scenę: znarowiona szkap zaprzęgowa, ciągnąc za sobą platformę, pędziła z hukiem wąską ulicą, przewracając po drodze stragany z warzywami. Ludzie w panice pryskali jej spod kopyt, a tuż za nią biegł niewielki rozkrzyczany tłumek. Dwaj odważni marynarze wyskoczyli przed szkapę. Zdołali chwycić ją za cugle i przytrzymali rozszalałe zwierzę dokładnie na wprost domu Hawksbilla.

Zaciekawiona Samanta podeszła do okna. Zauważyła grupkę gapiów, podchodzącą do zbitej gromadki ludzi.

— Co się stało, panie Hawksbill?

— Ktoś jest chyba ranny — odpowiedział.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Nie powinniśmy pomóc?

Puścił przytrzymywaną kotarę.

— To nie nasza sprawa.

— Ale pan ma przecież tyle wspaniałych lekarstw!

— Zrezygnowałem z praktyki już wiele lat temu.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak z końca ulicy biegną dwaj mężczyźni niosąc wyjęte z framugi drzwi — trzymali je poziomo między sobą. Raptownie obróciła się na pięcie, wypadła na korytarz, a potem przez kuchenne wyjście na podwórko — frontowe drzwi były wciąż zamknięte na głucho. Przebiegła tylną uliczką, skręciła za najbliższym rogiem i bez tchu zatrzymała się na skraju zebranego tłumku. Zdenerwowany woźnica platformy, z przejścia wykręcając ręce, tłumaczył przygodnie zebranym:

— Chłopak próbował sam zatrzymać konia! Nic nie mogłem zaradzić!

Ludzie rozstąpili się, robiąc przejście dla mężczyzn z drzwiami, a kiedy Samanta ujrzała, kto leży w błocie i jęczy, z głośnym okrzykiem „Freddy!” rzuciła się w jego stronę i opadła przy nim na kolana. Freddy obracał głową z boku na bok, lecz nie otwierał oczu.

— Z drogi, panienko! Musimy go załadować. — Dwaj mężczyźni brutalnie chwycili Freddy'ego za nogi i ramiona i przerzucili go na twarde deski. Samanta, oniemiała, patrzyła na prawą nogę przyjaciela. Otwarte złamanie! Obie kości prawej nogi przebiły ciało na wylot i błyszczały w słońcu umazane lśniąca krwią i błotem.

Jakiś cień padł na nią; ludzie odstąpili od rannego. Podniosła wzrok i zobaczyła starego Hawksbilla.

— Dokąd go zabierają, psze pana?

Zmrużył oczy, patrząc na zmasakrowaną nogę chłopaka.

— Do szpitala.

Przypomniała sobie sceny ze Szpitala Północnego Londynu, jakie na własne oczy oglądała dwa lata temu.

— Nie! — Odwróciła głowę i rzuciła się na Freddy'ego.

— Uspokój się — powiedział Hawksbill, wyciągając po nią ramiona.

— Nie! — krzyczała. — Tylko nie tam! Nie dam go tam zabrać!

— Panie, niech pan zabierze stąd tę dziewczynę! Nie możemy tu stracić całego dnia!

Isaiah Hawksbill przyglądał się Samancie. Patrzył, jak chudymi ramionami obejmuje muskularne ciało nieprzytomnego szesnastolatka; widział, jak jej wygięte plecy, wstrząsane łkaniem, raz po raz unoszą się i opadają, a bujne czarne włosy spływają kaskadą po chłopięcym torsie. Nagle jego serce drgnęło pod wpływem dawno zapomnianego uczucia.

— Ja się zajmę chłopcem. Chodźcie ze mną.

Samanta gwałtownie podniosła zalaną łzami twarz, a potem powoli wstała i trzymając bezwładną dłoń Freddy'ego w swojej, dreptała tuż przy nim, podczas gdy dwaj mężczyźni nieśli go na drzwiach do kuchni Hawksbilla. Wewnątrz ciem-



nego domu dwaj tragarze z przypadku szli krok w krok za prowadzącym Hawksbillem, oglądając wszystko, co się da, rozszerzonymi z ciekawości oczyma. Wreszcie znaleźli się w salonie, gdzie gospodarz jednym ruchem zerwał z włosianej kanapy zakurzony pokrowiec.

— Kładźcie go tutaj.

Mężczyźni zrzucili Freddy'ego z drzwi dokładnie tak, jakby wyładowywali węgiel, i wyszli z salonu. Dziewczynka i stary człowiek ułożyli chłopca wygodniej na poduszkach i zaczęli się przyglądać ranie.

— Nie wiem, czy jestem w stanie mu pomóc, *Liebchen* — zastrzegł się starzec, znosząc z góry koce i prześcieradła.  
— Masz, podrzyj to na pasy, a jak skończysz, przynieś mi gorącą wodę.

Miał zbyt rozdygotane i zbyt wykrzywione artretyzmem ręce, żeby porządnie obmyć ranę.

— Ja to zrobię, psze pana — usłyszał w pewnej chwili i bez słowa podał jej mokry gałganek. Przyglądał się, jak Samanta klęka obok rannego i delikatnie oczyszcza mu ranę.

Z gabinetu przyniósł słoje z rozkruszonymi liśćmi i sproszkowanymi korzeniami. Dziewczyna z czułością okładała nimi sterczące z nogi kości i rozerwane mięśnie. Stojąc nad nią i obserwując, jak długimi smukłymi palcami dotyka rozoranego ciała, nie mógł się nadziwić jej odwadze i wytrwałości. Większość kobiet już dawno wpadłaby w histerię albo po prostu zemdłała. A ta mała radziła sobie tak świetnie, jakby smarowała bułkę masłem!

Jakoś we dwójkę — jedenastoletnia dziewczynka i złamany artretyzmem starzec — zdołali wreszcie nastawić kości, odciągnąć nogę w bok i przytrzymać ją między dwiema sztywnymi deseczkami. Potem Samanta, pod kierunkiem Hawksbilla, ściągnęła ciało na ranie i zakleiła je kawałkami plastra. Kiedy już opatrzyli rozharataną nogę i Hawksbill z głębokim, pełnym zmęczenia westchnieniem opadł na fotel, z kieliszkiem brandy w dłoni, a Samanta odgarnęła z czoła wilgotne od potu włosy, spostrzegli, że za oknem zrobiło się całkiem ciemno. Freddy dotąd nie odzyskał jeszcze przytomności.

— Zrobiliśmy, co w naszej mocy, *Liebchen* — odezwał się stary Żyd znużonym głosem. — Reszta w rękach Boga.

Sączyła herbatę.

— Wyzdrowieje, prawda?

Wolno pokręcił głową.

— Nie będę cię okłamywał, moje dziecko. Jest w ciężkim stanie. Mało komu udaje się przeżyć otwarte złamanie.

— Dlaczego? Złożyliśmy mu kości, zakleiliśmy ranę...

— Bo zaraz wda się zakażenie, a wszyscy wiedzą, że z tym nie można skutecznie walczyć.

— Co to jest zakażenie?

— Jady, *Liebchen*. Gorączka przyrana. Nikt na świecie nie wie, co ją wywołuje, i nikt nie umie jej leczyć. — Umilkł. Niedawno trafił gdzieś na informację, że jakiś młody kwakier w Szkocji, niejaki Joseph Lister, twierdzi, że znalazł skuteczny środek zwalczający gorączki przyranne i pooperacyjne infekcje... Potrzęsnał głową. Bardzo w to wątpił. No bo akurat w Szkocji i w ogóle...

Samanta przyglądała się nieruchomemu chłopcu na kanapie. Widziała, że pierś Freddy'ego z trudem się unosi przy płytkim oddechu. Patrzyła na rozrzucone na poduszce kasztanowe loki.

— Będę się nim opiekować — powiedziała.

Następne dni były istnym koszmarem. Freddy płonał od wysokiej gorączki i gwałtownie rzucał się w malignie. Hawksbill, stojąc w ciemnych drzwiach, patrzył, jak dziewczyna przykłada chłopcu chłodne palce do czoła i mruczy coś kojąco. Wydawało się, że sama jej obecność uspokaja rannego. Obserwował, jak zmienia przesiąknięte ropą opatrunki, i to codziennie, choć prawdę mówiąc, doświadczony aptekarz nie widział w tym wiele sensu. Przyglądał się, jak dzień w dzień delikatnymi palcami bada ranę, smaruje ją maścią i okłada pleśnią, poprawia nogę w łupkach, sprawdzając, czy dobrze leży, i w ogóle dokonuje wszystkich tych zabiegów, jakby mimo młodego wieku naprawdę wiedziała, co robi.

Zostawała przy Freddy'ym do późna w noc. Nie, jej ojciec ani tego nie dostrzegał, ani go to nie obchodziło. Gdyby to Hawksbill miał taką piękną, inteligentną córkę, chciałby ją

wciąż mieć przy sobie, żeby jej dogadzać i ją rozpieszczać. Któż to mógł wiedzieć, jakimi szalonymi przesłankami kieruje się w życiu ten dziwak Samuel Hargrave? Aptekarz lubił, kiedy Samanta kręciła się po domu. Nie szkodzi, że siedziała tu tylko dlatego, żeby doglądać nieszczęśnika w salonie, który rozpalony wysoką gorączką, kolejną dobę walczył z zakażeniem, a nogę miał rozdętą jak balon. Hawksbill wiedział, że niedługo będzie już po wszystkim.

Samanta przygotowywała na kolację ociekające tłuszczem kanapki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Hawksbill chętniej otwierał portfel i pozwalał Samancie kupować lepsze jedzenie. Teraz już regularnie jadali gotowaną kapustę i ziemniaki, smażone wieprzowe kiełbaski, bułki z dżemem, tłuste mleko, twaróg i zapiekanki z mielonym mięsem.

— Jest dziś dziwnie spokojny, panie Hawksbill. Boję się.

Stary aptekarz rozkładał suszone rośliny na stole w gabinecie; oddzielał liście żywokostu od łydgy.

— Może lepiej było oddać go do szpitala? — mruknął.  
— Potrzebny mu był chirurg.

— Nie — zaprotestowała cicho, ale stanowczo. — Szpital jest miejscem, gdzie nie ma już nadziei. Ludzie idą tam po to, żeby umrzeć.

Cóż, trudno było polemizować z tym stwierdzeniem. Szpital Świętego Bartłomieja zanim przyjął pacjenta, z góry żądał opłaty za pochówek. Opłata ta podlegała zwrotowi, gdyby pacjent jakimś cudem przeżył leczenie. Hawksbill odłożył nóż i szczypczyki, a potem odwrócił się do dziewczynki.

— Tu też nie ma żadnej nadziei, moje dziecko. — Westchnął. — Chłopiec nie ma szans na przeżycie. Od ponad tygodnia nic nie jadł i wmusiliśmy w niego tylko kilka kropli wody. Nie odzyskał też przytomności, nawet na sekundę...  
— Nagle oklapł i przygarbił się. Na plecach, przez cienki materiał fartucha, wyraźnie widać było kręgosłup. Po cóż właściwie strzępił sobie język? Była tak strasznie uparta. Chwyła się bezsensownej myśli, że wspólnie...

Coś łupnęło nagle w sąsiednim pokoju. Samanta zerwała się do biegu i niemal pofrunęła do salonu. Hawksbill kuśtykał

za nią, najszybciej jak umiał, a kiedy stanął w drzwiach, zobaczył, jak dziewczyna kłęczy przy kanapie i mocuje się z Fred-  
dym. Chłopak patrzył przed siebie szklanym wzrokiem i dziko  
wymachiwał ramionami. Na dywanie leżała rozbita szklanka  
i karafka na wodę.

— Wszystko dobrze, Freddy — mówiła Samanta. Jej  
szcuple drobne ciało było na wszystkie strony okrutnie mio-  
tane przez rzucającego się, tyle od niej większego młodzień-  
ca. — Jestem przy tobie, Freddy. Wyzdrowiejesz.

Hawksbill patrzył z niedowierzaniem na to, jak opanowa-  
ła dziko podskakującego chłopaka, jak ułożyła go znów na  
poduszkach i uspokoiła pocałunkiem w czoło. Kiedy ranny  
przestał się już wyrwać, Samanta spojrzała na aptekarza  
błyszczącymi ożywieniem oczami.

— Obudził się — szepnęła.

Freddy z trudem wracał do zdrowia, ale w końcu jego stan  
uległ zdecydowanej poprawie. Chłopak pił rosół, jadł ledwie  
ścięte, tylko podgotowane jajka i leżał spokojnie i grzecznie  
pod czułym okiem oraz troskliwą opieką dziewczynki. Hawks-  
bill nie mógł się wprost nadziwić, ile Samanta zrobiła dla  
rannego chłopca, ale i dla niej to doświadczenie znaczyło bar-  
dzo wiele. Co wieczór, aż do wczesnych godzin rannych, leżąc  
w łóżku rozmyślała nad tym cudownym przeżyciem. Co to za  
radość przywrócić zdrowie najdroższemu przyjacielowi!

Nadeszło parne, duszne od smogu lato. Powietrze było  
zakopcone, żółte od dymów buchających z tysięcy kominów  
w mieście i od wyziewów parowych frachtowców i statków  
pocztowych na rzece. To lato okazało się bardzo niebezpiecz-  
ne dla londyńczyków, których w owym czasie było już dwa  
miliony. Tego roku niedomywane bańki londyńskich mleczar-  
rek stały się źródłem wybuchu epidemii tyfusu w okolicach  
Marylebone. Choroba na oczach bezradnych lekarzy zabrała  
tysiące ofiar. Ale gorące lato ustąpiło miejsca mglistej jesieni,  
ta zaś umykała szybko przed pierwszymi przymrozkami zi-  
my i niebo znów nabrało barwy chłodnego, czystego błęki-  
tu. W tym czasie Freddy zaczął szybko wracać do zdrowia.  
W listopadzie mógł już oprzeć ciężar ciała na złamanej nodze

i potrafił również samodzielnie kuśtykać po salonie. Zdażył się też beznadziejnie zakochać w Samancie, podobnie zresztą jak Isaiah Hawksbill.

## 9

Samanta wniosła tacę z herbatą, rogalikami i słoiczkiem dżemu z czarnej porzeczki. Ustawiła wszystko na stoliku przy kominku. Freddy szturchnął pogrzebaczem węgle w palenisku i spod oka obserwował, jak dziewczynka wysypuje cukier do dwóch filiżanek.

— Gdzie stary? — zapytał mimochodem.

— Poszedł po hizop. Zużyliśmy już cały zapas na twoją nogę, więc wyszedł po świeżą porcję. — Usiadła w fotelu, z którego usunęli pokrowiec już wiele tygodni temu. Teraz siedziała zwrócona do kominka i opierała stopy na podnóżku. — Chodź, kochany. Daj spokój węglom. Napij się herbaty.

Freddy odepchnął się od półki nad kominkiem i pokuśtykał do drugiego fotela. Deski usztywniające nogę zostały już zdjęte, ale kości zrosły się tak krzywo, że chłopak kulał jak marynarz na wzburzonym morzu.

— Najlepsza herbata, jaką w życiu piłem. Nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle jest na świecie. Chyba żałuję, że waliłem gównem w jego drzwi.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Uniosła filiżankę pod nos, żeby zaciągnąć się aromatem napoju.

— Sam, coś ci muszę powiedzieć.

Nie odrywała wzroku od ognia.

— Sam, popatrz na mnie.

Spojrzała na niego. Migoczący płomień oświetlał drżącym światłem jego przystojną, męską twarz i wydobywał z niej to co najkorzystniejsze: kwadratową szczękę, duży prosty nos, wysokie kości policzkowe i głęboko osadzone piwne oczy; nad czołem mierzwiły się wiecznie niesforne kasztanowe kędziory. Chłopiec gdzieś zniknął. Freddy stał się mężczyzną.

— O co chodzi, kochany?

— Sam, czas już na mnie.

Przyglądała mu się przez chwilę bez ruchu, a potem z wolna opuściła filiżankę.

— Czemu?

— Już czas. Siedzę tu pięć miesięcy. Wydobrzałem i teraz sam mogę się o siebie troszczyć. Muszę ruszyć w drogę.

— Ruszyć w drogę? Co to znowu znaczy? — Twarz jej pociemniała.

— Odchodzę z Crescent, Sam.

— Nie możesz! Nie musisz wcale odchodzić! Możesz tu zostać, jak długo chcesz! Na zawsze! Pan Hawksbill na pewno cię zatrzyma!

— Tak, tak, ale wcale nie chcę. Muszę coś wreszcie ze sobą zrobić, Sam.

— Mówisz od rzeczy...

— Posłuchaj, Sam. — Kierowany odruchem, ześlizgnął się z fotela i przyklęknął przed nią na jednym kolanie; chorą nogę wyciągnął sztywno przed siebie. Ujął jej dłoń w swoje ręce. — Otarłem się o kostuchę, Sam. Stałem w drzwiach, za którymi już na mnie czekała. Gdyby nie ty, zabrałaby mnie ze sobą. Ale zrozumiałem też coś bardzo ważnego. Że muszę zrobić coś z tym swoim życiem. Muszę być kimś. Sam, nie jestem już smarkaczem. Jestem mężczyzną i muszę się zachowywać jak mężczyzna. Nie mogę latać po ulicy i całe życie kraść jabłka ze straganów. Potrzeba mi normalnej pracy i normalnego życia.

Skrzywiła się, a jej oczy wezbrały łzami.

— Nie chcę, żebyś odchodził, Freddy! Nie mam nikogo oprócz ciebie!

— Bzdury, Sam. Masz ojca i pana Hawksbilla. I jeszcze brata, który będzie mądrym doktorem! No i zresztą na pewno wrócę, Sam. Wrócę, zobaczysz. Zanim policzysz do trzech, już będę z powrotem.

Łzy spływały jej po policzkach srebrzystymi strugami.

— Dokąd chcesz iść?

— Nie wiem. Będę wiedział, jak znaleźć. Och, Sam. — Niezręcznie rozcierał dużymi palcami drobną dziewczęcą

rękę, a gdy spojrział w jej szare oczy, fala czułości zalała mu serce. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć! I to, że zdał sobie sprawę, iż nie jest dość dobry dla takich panien jak Samanta Hargrave, że pragnie być kimś, z kogo mogłaby być dumna, że ją kocha i chce się nią opiekować aż do końca jej dni. Ale nie miał odwagi. Poza tym nie umiał ładnie mówić. Dlatego w ogóle o tym nie wspomniał.

— Słuchaj, Sam. Masz dar przywracania zdrowia. Pamiętasz tego burasa? Śniło mi się, że mówisz coś do mnie. W tym śnie podawałaś mi rękę i przeciągałaś przez duszącą mgłę na bezpieczną stronę. Teraz już wiem, że to nie był sen, tylko tak się działo naprawdę. Uratowałaś mi życie, Sam. Nigdy tego nie zapomnę.

Upuściła filiżankę, rozlewając herbatę na wyblakły dywan Hawksbilla, i zarzuciła Freddy'emu ramiona na szyję.

— Jesteś moim jedynym przyjacielem! Tak bardzo będę za tobą tęskniła. Co dzień będę się za ciebie modlić!

Przytulił ją mocno i poczuł dziwne dreszcze w dole brzucha. Dawna braterska serdeczność ustąpiła miejsca jakimś nowym, podniecającym uczuciom. Samanta nie skończyła jeszcze dwunastu lat, ale za jakiś czas, kiedy on zrobi fortunę i wróci jako dżentelmen, żeby zapewnić jej godne życie, dziewczyna wyrośnie na prawdziwą piękność i będzie tylko jego! Wtulił twarz w jej bujne czarne włosy.

— Czekaj na mnie, Sam — mruknął. — Nie odchodź stąd, póki po ciebie nie wrócę.

## 10

Na dwa dni przed Wielkanocą w ponury deszczowy ranek Samanta tupała o surowe kamienie kuchennej posadzki, żeby rozgrzać zziębnięte palce u nóg. Chuchała w dłonie i patrzyła niecierpliwie na imbryk czekając, aż się zagotuje woda.

Isaiah Hawksbill obserwował ją, kryjąc się w ciemnym otworze drzwi.

Za kilka tygodni miała skończyć dwanaście lat. Widział już oznaki nadchodzącej dojrzałości. Dziecięca chudość ustępowała miejsca kragłościom i miękkiej kobiecości. Na widok Samanty Isaiah czuł drżenie w sercu; ze wszystkich sił pragnął wziąć ją w cherlawe ramiona. Tylko raz dała mu się objąć. Było to cztery miesiące temu, kiedy Freddy ruszał w nieznaną. Nic jej wtedy nie cieszyło, nic nie uspokajało — bez przerwy płakała i odgrażała się, że pójdzie za chłopakiem. Aż wreszcie Hawksbill zdołał utulić ją w ramionach, zapewniając, że Freddy tak, jak obiecał, na pewno po nią wróci.

Ale to zdarzyło się cztery miesiące temu. Od tamtej pory bardzo przycichła i nie pozwalała już na żadne pieszczoty.

— Zaraz będzie herbata, panie Hawksbill! — krzyknęła.  
— Och, pan tu jest! Nie widziałam pana.

Wszedł do kuchni.

— Niech jeszcze naciągnie, *Liebchen*. Dosyp pół uncji rumanianku. Stawy mi dzisiaj jakoś dokuczają.

Kiedy wszedł, Samanta zaczęła dla rozgrzewki oklepywać sobie ramiona. Straszny ziąb panował w kuchni. Ojciec mógłby mi kupić grubą wełnianą koszulę, myślała. Czekając, aż herbata naciągnie, postanowiła na chwilę wyskoczyć do wygodki.

Drewniana budka stała na końcu ogrodowej ścieżki, obrosnięta krzakami jeżyn i pokrzywami. W chłodne zimowe dni nie śmierdziało w niej zbyt dokuczliwie, ale latem Samanta pędziła tam wstrzymując oddech, wpadała do środka na króciutko i wybiegała stamtąd czym prędzej, z trudem łapiąc dech. Tego ranka trochę ją zirytował fakt, że przyszła tu na próżno. W kuchni czuła parcie na kiszkę, ale jak się okazało, zupełnie bez powodu. Wstając z deski, znów poczuła to samo; znowu odezwał się jakiś skurcz w brzuchu, który ją tu przegnał. Zaczęła właśnie rozważać przyczynę tych niepokojów — łój, który wczoraj jedli na kolację, nie był już taki najświeższy — kiedy nagle coś ciepłego spłynęło jej między nogami. Prerażona spojrzała w dół i w szarawym świetle sączącym się przez szpary w ścianach wychodka zobaczyła na podłodze jasnoczerwoną plamę krwi.



Puściła się biegiem do domu. Na stopniach przed kuchennymi drzwiami potknęła się i zdrowo sobie odrapała kolana.

— Umieram! — krzyczała.

Zdziwiony Hawksbiłł zsunął się ze stołka.

— Co się stało?

— Umieram, panie Hawksbiłł! — Rzuciła się na niego i mocno objęła go w pasie. — Błagam, niech mnie pan tylko nie odsyła do szpitala!

Aptekarz oniemiał i przez dobrą chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Czuł nagły dotyk jej ciała, ciasno obejmujące go ramiona, drżenie jej dziewczęcych piersi wstrząsanych szlochem. Zupełnie jak cztery miesiące wcześniej...

Z najwyższym trudem oparł ręce na jej ramionach i odsunął dziewczynkę od siebie.

— *Liebchen*, co się stało?

Miała twarz tak szarą, jak świeżo wymyta podłoga.

— Krwawię.

— Co takiego?

— Dopiero co to odkryłam. W ubikacji! Niech mi pan da jakieś lekarstwo, panie Hawksbiłł. Nasiona papai; one tamują krwotok...

Odwrocił się do niej plecami i nachylił się nad biurkiem.

— Niech mnie pan nie odsyła do szpitala. Niech mi pan nie da umrzeć!

To niesprawiedliwe! Przecież jeszcze nie nacieszyła się dzieciństwem!

— Wracaj do domu, *Liebchen* — powiedział zdławionym głosem.

— Czemu? — Teraz już łkała otwarcie.

Czuł, że kolana się pod nim uginają. Oparł się ciężko o blat stołu i patrzył na jej udrękę.

— Macie w domu gosposię, prawda? Idź i powiedz jej o tym, *Liebchen*.

— Wyśle mnie do szpitala!

— Nie, *Liebchen*. Idź do domu. Ona będzie wiedziała, co zrobić. Zaufaj mi, dziecko, wszystko będzie dobrze.

To tamten poniżający incydent stał się przyczyną strasznej, degradującej opinii, jaka do niego przywarła. Hawksbill nie był głuchy; dobrze wiedział, co o nim mówią mieszkańcy St. Agnes Crescent — uważali, że napastuje dzieci. Zdawał sobie sprawę z tego, że niżej nie można już upaść. Ale rzecz w tym, że choć to nieprawda, etykieta, która do niego przyłączyła się, nie wzięła się z niczego.

Teraz, gdy siedział przy kuchennym piecu, z ciepłym szalem okrywającym mu kolana i nietkniętą miską mleka z pokruszonym chlebem, wspominał ten dzień sprzed wielu, wielu lat.

Mimo wciąż jeszcze głębokiej żałoby po żonie, Rachel, i małej córeczce, Ruth, tamtego wiosennego dnia wyszedł do miasta załatwić rozmaite sprawunki; chciał kupić książki i jakieś rośliny. Szedł wzdłuż Serpentine i cieszył oczy zielenią i świeżością budzącej się do życia przyrody. Do południa było jeszcze daleko i Hawksbill rozmyślał o tym, jak też ma sklasyfikować pewną zdumiewającą roślinę. Na ławce, w czepeczku i spódnicy na obręczach, siedziała młoda kobieta pogrążona w czytaniu książki. Obok niej, nad wodą, bawiła się ośmioletnia na oko dziewczynka, rozchlapując patykiem wodę.

Ani wtedy, ani wiele lat później nie potrafił zrozumieć, co się wówczas stało. Zupełnie jakby cienka nić, która trzymała go przy zdrowych zmysłach, nagle pękła na widok tej małej i jej dziwnie znajomej buzi. Isaiah Hawksbill, wówczas o tyle lat młodszy i sprawniejszy fizycznie, krzyknął „Ruth!”, podbiegł do dziecka, porwał je w ramiona i zaczął uciekać co siłą. Nie pamiętał, co zdarzyło się potem. Jedyne wyraźne wspomnienie dotyczyło gwaru ludzkich głosów i jakichś ciemnych postaci, które zewsząd zaczęły go otaczać. Posterunkowy przeciskał się przez zebrany tłumek gapiów, a guwernantka w czepeczku już klęczała przy swojej podopiecznej i ją pocieszała. Dopiero wówczas z najwyższym zdumieniem Isaiah uświadomił sobie, co właściwie zrobił. Później, w gabinecie komisarza, przestraszony, ale już opanowany, sfabrykował jedyne rozsądne kłamstwo. „Dziecko za chwilę wpadłoby do wody, więc je uratowałem, to wszystko.” Zmieszana guwernantka

składała zeznania pod okiem swojego mocodawcy — nie miała odwagi wyznać, że czytała książkę i dlatego nie wie za dobrze, jak to naprawdę było. Postanowiła zatem dla własnego dobra podeprzeć zeznania Hawksbilla. Sprawa została zamknięta i poszłaby szybko w zapomnienie, gdyby w parku — zupełnie nie w porę — nie zjawiła się pewna mieszkanka St. Crescent. Była to złodziejka, zmierzająca akurat do magazynów przy Billingsgate. Ona widziała wszystko w zupełnie innym świetle. Dziewczynka nie kucała aż tak blisko wody — w ogóle nic jej nie groziło — kiedy zupełnie nieoczekiwanie podbiegł do niej Hawksbill i nie zwalniając kroku chwycił dziecko i popędził na oślep przed siebie. Jej zdaniem, gdyby nie pewien dżentelmen, który zaczął krzyczeć, Hawksbill pewnie by dobiegł do Surrey.

Chociaż złodziejka nie udała się na komisariat, gdyż wolała nie wchodzić policjantom w drogę, to rozpowszechniła tę historię po całej ulicy Crescent. Kiedy znużony Hawksbill dotarł wreszcie do domu, sąsiedzi już dawno wydali zaoczny wyrok.

Jakże zatem mógł teraz, będąc przy zdrowych zmysłach, rozważać to, co mimo wszystko wciąż uporczywie rozważał?

Chciał bowiem prosić Samuela Hargrave'a o rękę malej Samanty.

Nie było jej przez pięć dni i stary Żyd przeżywał istne piekło. Chciał ją kochać, nosić na rękach, strzec przed zasadzkami tego świata i wybawić od nieuchronnego losu, który ją niechybnie czekał — pragnął ochronić ją przed długimi latami kręcenia się wokół zobojętniałego ojca, przed staropanięństwem i przyszłością nikomu niepotrzebnej, wędnącej w samotności kobiety. Bo kiedy jej ojciec umrze, nikt już Samanty nie zechce! On, Isaiah Hawksbill, uchroni ją przed tak okrutnym losem, da jej swoje nazwisko i dom, pozwoli jej urządzić go po swojemu. Niech mała wpuści tu słońce. Tak, kupi jej nawet fortepian i zapłaci za lekcje muzyki. Wieczorem będą grywać w karty przy kominku, będą prowadzić ożywione intelektualne rozmowy, a on będzie ją uczył. Będzie obnażał przed nią tajemnice świata. Otoczy ją miłością,

którą tak pragnie kogoś obdarować, a której ona tak bardzo łąknie.

Po pięciu dniach wróciła jakaś zgaszona.

— Miał pan rację, panie Hawksbill — zaczęła ze wzrokiem wbitym w dywan. — Nie wysłali mnie do szpitala. Pani Scoggins nic nie mówiła, tylko podarła prześcieradło, zawiązała mi je w pasie i między nogami. Teraz już wszystko minęło, ale powiedziała, że za miesiąc to wróci.

Aptekarz siedział zakłopotany i bębnił palcami po zasłanym ziołami blacie stołu.

— Samanto, moje dziecko, czy twój ojciec przyjmuje czasem gości?

— O nie, psze pana! Nie ma na to czasu. Ciągłe pisze kazania.

— Chciałbym... — Wyjął chusteczkę do nosa i osuszył krople potu nad górną wargą. — Chciałbym zamienić z nim słówko.

— Czy coś źle zrobiłam?

— O nie, *Liebchen*, nie, nie! Chodzi o interesy. Mam taką sprawę, która dotyczy dwóch dżentelmenów. Nie rozmawiałem z twoim ojcem od prawie dwóch lat i tak sobie właśnie myślałem... Nieważne — dodał łagodnie. — Znajdę na to jakiś odpowiedni moment. No dobrze. To co sobie poczytamy przy herbacie? — Sięgnął po tom poświęcony geologii.

— Panie Hawksbill...

— Słucham, *Liebchen*.

— Proszę mi wyjaśnić, dlaczego co miesiąc mam krwawić.

Jego ręka zastygła w powietrzu.

— Może jak już będziesz starsza.

— Dlaczego? Skoro to coś nie czeka i już dzieje się w moim ciele, mam chyba prawo wiedzieć.

Zgarbił się. Sam był temu winny. Rozbudzał w niej ciekawość i nigdy dotąd nie uchylił się od odpowiedzi.

— Usiądź, moje dziecko. Spróbuję...

Nie był zadowolony z siebie, gdy skończył. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku nauka nie umiała jeszcze wyjaśnić tajemnic kobiecego cyklu. Istniało wiele teorii, które

błądziły na granicy magii i zjawisk ezoterycznych. Większość lekarzy wierzyła wówczas, że miesiączka zależna jest od wpływów księżyca. Świat lekarski uważał na ogół, że menstruacja jest zjawiskiem kompensującym kobiecie brak ejakulacji. Sądzono, że ma to pewien związek ze zdolnością do rodzenia dzieci, gdyż pojawienie się miesiączki sygnalizowało, że kobieta jest już gotowa do zapłodnienia, a brak miesiączki był objawem ciąży. Ale nikt jeszcze nie wiedział, na czym to wszystko polega. Stwierdzono już, że są jajniki, tylko nie zbadano jeszcze ich funkcji; dopiero niedawno odkryto istnienie jajeczka. Jeśli odgrywało ono jakąkolwiek rolę w procesie rozrodczym człowieka, nikt na razie nie umiał wyjaśnić, jaką.

— Dlaczego mężczyźni tego nie mają? — spytała podejrzliwie.

— Bo mężczyźni mają coś innego, coś podobnego, co ujawnia się w czasie poczęcia dziecka.

— A, to...

Rumieniec palił mu szyję.

— Tym nie musisz zaprzętać sobie głowy jeszcze przez wiele lat, *Liebchen*.

A w myślach dodał: Prawdopodobnie nigdy.

W tym momencie poczuł, że coś dźgnęło go jak ostroga. No tak, nic na świecie nie może się równać z głupotą starego osła!

I co też on sobie właściwie wyobrażał? Co za szaleństwo zaćmiło mu rozum, iż przez chwilę wierzył, że może poślubić to dziecko? Tak, mógłby ją chronić, osłaniać i kochać, ale nie mógł jej przecież dać tego najcenniejszego daru, jakim mąż obdarza żonę — dzieci! Na to był już za stary. Jakim prawem miałby jej odebrać doświadczenia związane z macierzyństwem? Skąd się w nim wzięło owo przekonanie, że dziewczyna nigdy nie wyjdzie za mąż? Hawksbill, ty stary głupcze!

— Czy coś się stało, psze pana?

Spojrzał ze smutkiem w jej szare błyszczące oczy i myślał sobie: Jak mogłem być takim egoistą i udawać przed sobą, że przyświeca mi tylko jej dobro? Jakim prawem ja, łapczywy starzec, w obawie, by ktoś jej nie skrzywdził, miałbym ją zamknąć przed światem niczym laleczkę z saskiej porcelany?

Jęknął cicho, a ona oparła smukłą dłoń na jego ramieniu.

— Nie czuje się pan dziś dobrze? Wilgoć łamie w kościach? Zrobię napar z nasion klonu.

Nie drgnął, kiedy wyszła z pokoju. Rozmyślał o okrucieństwie losu, który w kwiecie wieku zabiera człowiekowi ukochaną żonę, odwraca jego serce od wszystkich niewiast na świecie i każe mu się zakochać, kiedy jest już za późno.

Łza spłynęła mu po policzku, choć nie płakał od ponad dwudziestu lat. Z trudem wciągnął powietrze i złożył sobie w duchu przysięgę. Będzie kochał Samantę aż po kres swoich dni, ale dla jej dobra nie zdradzi się z tym przed nikim, choćby jednym słowem.

## 11

Nikt nie podejrzewał, nawet sam Matthew, że jest już na granicy załamania nerwowego.

Matthew Christopher Hargrave, osiemnastolatek, od niemal czterech lat pracował dzień w dzień jako młodszy urzędnik. Nigdy nie był ani na wakacjach, ani choćby na dzień nie opuścił pracy z powodu choroby. Można powiedzieć, że z wyjątkiem niedzielnych poranków, kiedy chodził do kościoła, tyrał siedem dni w tygodniu. Monotonia życia po prostu go wykańczała. Codziennie rano szedł nad rzekę, żeby wsiąść do łodzi, która przewoziła go pod Tower Bridge, skąd dalej dochodził piechotą do Bermondsey, gdzie mieściło się biuro warsztatu produkującego powozy. Codziennie wieszał płaszcz i kapelusz na wieszaku w rogu dusznego pokoju i wraz z innymi młodymi pracownikami zabierał się do czyszczenia podłóg, odkurzania mebli, napełniania lamp tłuszczem, ostrzenia piór — każdy dbał o swoje — a raz na tydzień również mył okna. Biuro było czynne trzynaście godzin dziennie. W południe młodzi chłopcy mieli półgodzinną przerwę na obiad, a po południu tyle samo czasu na herbatę. Ci kawalerowie, którzy umawiali się już z pannami, dostawali dodatkowo je-

den wolny wieczór w tygodniu. Palenie hiszpańskich cygar, picie alkoholu, wizyty w salach bilardowych czy u fryzjera były surowo zakazane i przyłapanie na jednym z tych niecznych uczynków groziło natychmiastowym wylaniem na bruk. Pracodawcy zachęcali młodzież do czytania Biblii, a jeśli któryś z zatrudnionych w firmie młodych ludzi po pięciu latach pracy mógł się pochwalić idealnie czystą kartoteką, bez jednego spóźnienia bądź opuszczenia choćby dnia pracy, dostawał w nagrodę podwyżkę w wysokości pięciu pensów dziennie.

W odróżnieniu od kolegów, którzy pracowali pilnie i z oddaniem, oszczędzając każdy zarobiony grosz na dzień ślubu i założenie rodziny, osiemnastoletni Matthew Hargrave czuł, że się dusi i że jest już u kresu wytrzymałości.

Zycie w domu wydawało mu się równie nieznośne, jak w biurze. James siedział w Oxfordzie, towarzystwo ojca nie stanowiło najmniejszej atrakcji, a siostra była dla niego zupełnie obcym człowiekiem. Matthew nie miał kolegów, a kobiet bał się jak ognia. Jego jedyną przyjemność stanowiły nocne praktyki, które ojciec nazywał samogwałtem.

Matthew miał uczucie, że zaczyna wariować, i stopniowo upadła się coraz bardziej i bardziej. Wiedział również, że przyczyną tego stanu rzeczy jest właśnie masturbacja. W owych czasach panowało przekonanie, iż z każdym wytryskiem mężczyzna traci część swojej szlachetnej natury. Ale Matthew i tak nie mógł się powstrzymać. Co gorsza, żeby co noc doprowadzać się do coraz silniejszych orgazmów, fantazjował o tak strasznych rzeczach, że później niezmiennie gorzko przeklinał się w duchu i łkając, zmęczony zasypiał.

A u podłoża tych wszystkich praktyk leżała nieposkromiona zazdrość o brata.

Matthew harował w biurze jak galernik i każdy ciężko zarobiony grosz oddawał ojcu, który zresztą przyjmował pieniądze bez jednego słowa pochwały, gdy tymczasem James — niech go wszyscy diabli! — tylko dlatego, że przyszedł na świat jako pierworodny, mógł bez najmniejszego wysiłku kształcić się jak na dżentelmena przystało i mieszkać w miasteczku uniwersyteckim w towarzystwie wesołych kompanów. Zazdrość zżerała mu duszę niczym gnijąca rana. A teraz jesz-

cze James wrócił z Oxfordu z tytułem bakalaureatusa nauk i złożył podania do kilku medycznych szkół w Londynie z prośbą o przyjęcie go na naukę — będzie więc znowu mieszkał w domu i swoją obecnością codziennie przypominał, że to on właśnie, a nie młodszy Matthew, jest ukochanym synem ojca.

Choć niby wszyscy w domu mieli oczy i uszy, nikt jakoś nie dostrzegł nadchodzącego kryzysu — jedynie pani Scoggins, gosposia, zaczęła barykadować się na noc.

Wreszcie nastał dzień Guy Fawkesa, który przed laty usiłował wysadzić gmach parlamentu.

Tego dnia wieczorem cały Londyn rozpałił wielkie ogniska i wieszał kukły podłego dywersanta. Wszyscy przechodnie wrzucali coś do rozpalonych na ulicach ognisk i wyciągali ręce po kufle z piwem. Samuel wybrał się umoralniać mieszkańców Dials, Samanta siedziała przy kominku zajęta robótką, a Matthew stał w salonie przy oknie i zza rozchylnych kotar obserwował rozbawiony tłum na ulicy.

Ludzie po prostu zwariowali. Prostytutki za darmo rozdały całusy, marynarze wywijali hołubce, race strzelały w niebo jak wystrzały armatnie, a dzbany z piwem przechodziły z rąk do rąk. Matthew jak zahipnotyzowany zaczął podchodzić do drzwi. Otworzył je i stojąc w progu patrzył na szalejących ludzi. Żar płomieni rozpałił mu krew. Chłopak zszedł po schodkach i niczym ćma zmierzał do płonącego ogniska. Ktoś wetknął mu w dłonie dzban, on zaś, który nigdy nie wypił nawet małego piwa, pociągnął z dzbana serdecznie. Wśród śmiechów, zabawy i dzikiego szaleństwa upił się bardzo szybko.

Kiedy zmęczony Samuel wracał do domu, potykając się o frontowe schodki, ujrzał nagle stojącą w drzwiach Samantę, która rozszerzonymi ze strachu oczami wpatrywała się w rozrukany tłum. Zaintrygowany obrócił wzrok na zebraną gawieź i dostrzegł młodszego syna w ramionach jakiejś dziwki — chłopak właśnie składał mokre pocałunki na jej brudnej szyi.

Osiemnastoletni Matthew śmiał się i bawił, i pił coraz więcej piwa. Wreszcie zrzucił z siebie czarny surdut, zaczął



nim wywijać nad głową, aż w końcu cisnął go w ogień. Dopiero wtedy zobaczył ojca. W pierwszej chwili zamarł w bezruchu — ramię miał wciąż uniesione, a usta rozciągnięte w pijackim uśmiechu. Potem jednak spojrział twardo w czarne oczy Samuela. Gwar ulicznej zabawy jakby przycichł; mimo płonącego ognia zrobiło mu się chłodno, tańczące cienie zniknęły sprzed domów. Wszystko się nagle gdzieś rozmyło; Matthew widział jedynie płonące ogniem piekielnym ciemne źrenice ojca.

Poczuł w sobie jakąś zwijającą się zimną spiralę, która nakręcała go jak sprężyna zegar. Zapętląła się w nim coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie wystrzeliła i katapultowała go w stronę pełnych nienawiści oskarżycielskich oczu.

To nie Matthew Hargrave, a ktoś zupełnie inny wpadł na schody, odtrącił ojca i wbiegł do salonu. To przecież nie jego ręce porwały grubą księgę z półki i wyniosły ją na ulicę. Matthew jak przez mgłę słyszał czyjś stłumiony nadęty głos. Mignęła mu czyjaś blada jak płótno, zszokowana twarz; dostrzegł wyciągnięte ramiona i zgorzzone, nawiedzone oczy. Och, co za cudowne uczucie! Matthew odrzucił głowę w tył; z jego gardła wyrwało się wycie boleśnie ugodzonego zwierzęcia, a tymczasem Biblia poszybowała wysoko w górę i zniknęła w żółtych językach płomieni.

Samuel oderwał się od schodów i odtrącając syna zanurkował w ogień. Czyjeś ręce usiłowały go stamtąd wyciągnąć, ale on tylko widział ukochaną czarną księgę, która się tliła, zwijała i spopielała w trzewiach rozbuchanego ogniska.

Śmiech zamarł. Ci, którzy dotąd tańczyli sobie wesoło, puścili się w pogoń za młodzieńcem, zygzakiem uciekającym przez tłum. Trzeba było aż czterech chłopów, żeby go przytrzymać. A kiedy wreszcie powalili go na ziemię, Matthew rzucał się na bruku jak ryba w sieci i toczył pianę z ust. Nie zważając na straszliwe oparzenia twarzy i rąk, nieczuły na okropny ból, Samuel zbliżył się do leżącego na ulicy syna. Poruszył krwawymi i okrytymi pęcherzami ustami.

— Przeklinam cię na wieki wieków, Matthew Christophe-  
rze! Od dzisiaj nie jesteś moim synem — powiedział. Wokół  
panowała martwa cisza, tylko płomień trzaskał w ognisku.

Samuel osunął się na bruk. Jacyś ludzie wnieśli go do domu i ułożyli na łóżku. Tam lekarz spojrzął na oparzenia i orzekł, że pacjent nie dożyje rana. Samanta spędziła tę noc przy łożu chorego. Doglądała go, przemywała rany, po łyżeczce wlewała herbatę w oparzone usta, robiła okłady ze sproszkowanych liści żywokostu. James, który właśnie rozpoczął praktykę na jednym z oddziałów Szpitala Północnego Londynu, też włączył się w pielęgnację ojca. Ale niewiele można było zrobić w sprawie ran, bo już po tygodniu zaczęła się z nich sączyć zielona ropa. James znosił ból i mękę cierpiącego ojca, podając mu często morfinę. Wieczorami, kiedy Samuel rzucał się pod kołdrę, Samanta przysiadła koło jego łóżka i zawzięcie studiowała mądrości zawarte w książkach aptekarza Hawksbilla. Nocami sypiała na materacu w nogach chorego ojca, w dzień przemywała i opatrywała mu rany, karmiła go rosołem, opróżniała nocnik, zmieniała pościel i żarliwie się modliła.

Dopiero na wiosnę Samuel, wciąż jeszcze słaby, wspomagany jakimś silnym ramieniem, zaczął pierwszy raz wstawać. Jego rekonwalescencja była bardzo wolna i co trochę zakłócana niebagatelными kryzysami, i choć teraz już nikt nie miał wątpliwości, że Samuel przeżyje, poparzenia oszpeciły go nie do poznania.

Cielesna powłoka Samuela w końcu wyzdrowiała, lecz jego dusza na zawsze pozostała chora. Samuelowi raptem przestało zależeć na Bogu. Przestał pisać kazania i rozprawki. Całymi dniami nie wychodził z sypialni. Przesiadywał tam ze zwieszoną głową — białe grube zrosty na szyi przyciągały mu głowę do piersi, tak że nie mógł nawet zapiąć kołnierzyka koszuli — z obwisłej dolnej wargi wciąż ściekała mu ślina. Patrzył przed siebie pustym, nie widzącym wzrokiem, nie zauważając nawet, czy Samanta wchodzi do pokoju czy z niego wychodzi. Nie chcąc mnożyć cierpień ojca, nie mówiła mu nic o Jamesie.

Po krótkim okresie w Szpitalu Północnego Londynu James został usunięty z praktyki i przeszedł do Guy. Po burzliwych sześciu miesiącach tam spędzonych został znów wyrzucony i zaczął pracę u Świętego Bartłomieja, skąd jeszcze nikt

na razie go nie przepędził. Jednak zdecydowanie bardziej przerażający niż nieudana kariera lekarska stał się jego nowy styl życia. James zaczął uprawiać hazard i pił na umór w towarzystwie dziwek.

Samancie pękało serce. Rodzina rozpadała się na jej oczach. Dziewczynka czuła też, że już nigdy nie usłyszy ani słowa o Freddym. Jedynym człowiekiem, jaki jej został na świecie, był Isaiah Hawksbill.

## 12

Jesienny ranek oszraniał dachy pierwszymi przymrozkami, kiedy Samanta któregoś dnia zastała Hawksbilla w łóżku — aptekarz nie mógł się podnieść.

Zaskoczyło ją przede wszystkim to, że gdy podeszła do kuchennych drzwi, dom był ciemny i zimny. W ciągu minionych czterech i pół roku, gdy stawała pod tylnymi drzwiami, Isaiah Hawksbill zawsze już na nią czekał. Kiedy znalazła się w kuchni, dobiegł ją z góry niewyraźny jęk. Idąc za tym odgłosem, dotarła do sypialni, gdzie zastała starego Żyda w łóżku w koszuli nocnej i szlafmocy — leżał zwinięty na boku i dyszał jak zgoniony pies.

— Doktora, *Liebchen*, doktora... — wykrztusił.

Dwie ulice dalej mieszkał pewien medyk, niejaki doktor Pringle. Samanta puściła się do niego pędem. Lekarz wysłuchał jej relacji o stanie Hawksbilla — co chwilę zresztą przerywała bezładną opowieść, żeby zaczerpnąć tchu — a potem oznajmił, że przyjdzie po śniadaniu.

Doktor Pringle zjawił się dopiero dwie godziny później, gdy tymczasem stan starego Żyda znacznie się pogorszył. Hawksbill urywanym głosem opowiadał lekarzowi, że zbudził go ostry ból z prawej strony w dole brzucha i że ten ból nie pozwala mu wstać z łóżka. Teraz chory gorączkował już wysoko, a jego zielone oczy lśniły jak kawałki lazulitu.

Doktor Pringle odrzucił kołdrę i delikatnie zbadał brzuch starego. Potrząsnął głową.

— Cierpi pan na bolesność biodrową, proszę pana, to jest zapalenie wyrostka jelitowego. Zrobię, co w mojej mocy.

Samanta, stojąc w nogach łóżka pana Hawksbilla, obserwowała lekarza z rosnącym niepokojem. Doktor Pringle wyjął z kuferka słoje z pijawkami, podciągnął wysoko koszulę chorego i wyrzucił pijawki na jego białą skórę. Podczas gdy te obrzydliwe stworzenia uctowały do woli, aż wreszcie opite krwią same zaczynały od ciała odpadać, zostawiając na skórze małe czerwone ślady, lekarz przygotowywał napój zawierający strychninę i w pewnej chwili wmusił go w pacjenta. Niemal natychmiast stary zaczął gwałtownie wymiotować — Samanta trzymała miskę, by łapać zawartość jego żołądka. Taka terapia trwała cały dzień. Stary na przemian to wymiotował, to miał ataki ostrej biegunki, a między jednym i drugim lekarz puszczał mu krew. Wreszcie Hawksbill zaczął błagać o litość. O szóstej wieczorem doktor Pringle oznajmił, że już nic więcej nie jest w stanie zrobić.

Isaiah Hawksbill przedstawiał wstrząsający widok — odwodniony, wysuszony, cuchnący własnymi wydzielinami, miał śmiertelnie bladą skórę, na policzkach zabarwioną niezdrowymi wypiekami.

— Umieram, *Liebchen*... — wyszeptał.

Usiadła na brzegu łóżka i przytknęła wilgotną szmatkę do jego czoła.

— Nie, nieprawda, psze pana. Niech pan tak nie mówi!

— Nie mam już dużo... czasu. Czułem, jak pęka... Czułem, jak się wylewa... Teraz trucizna rozlała się już i po ciebie, *Liebchen*. Słuchaj mnie uważnie...

— Niech pan oszczędza siły, panie Hawksbill. Porozmawiamy rano.

— Nie doczekam już rana...

Chciała coś powiedzieć, ale ścisnęło ją w gardle. W głębi duszy krzyczała, że to niesprawiedliwe, bo lekarz powinien był pomóc, a okazał się zupełnie do niczego! Tylko wzmógł cierpienia starego.

Isaiah usiłował unieść rękę i dotknąć policzka Samanty, ale nie miał na to dość sił.

— Muszę ci coś powiedzieć. — Jego klatka piersiowa z każdym oddechem unosiła się z drżeniem i z wysiłkiem. — Chciałbym zapewnić ci przyszłość... Nie chcę, byś była zdana na łaskę swojej rodziny... Musisz być panią swego losu, Samanto...

W agonii rzucał głowę z boku na bok. Miał tak wyschnięte usta, że język przywierał mu do podniebienia.

— Weź... Wszystko jest teraz twoje... — wychrypiął. — Nie pozwól, żeby znaleźli... bo przejdzie na rzecz Korony. Jesteś wszystkim, co mam na świecie, dziecko...

Samanta wcisnęła pięści w oczy.

— Proszę, niech pan nie umiera!

Żrenice miał tak rozszerzone, że prawie nie było już widać zielonych tęczęwek. Przez chwilę robił wrażenie człowieka ogarniętego szaleństwem.

— Moje książki! Moje zioła! — krzyknął, a potem zamknął oczy i spokojnie wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Samanta siedziała przy nim jeszcze długo w noc, a potem bez słowa stała i patrzyła, jak dwóch mężczyzn z czarnego karawanu zabiera zawinięte w koc ciało Hawksbilla i wynosi je z domu.

Dom starego Żyda stał kilka lat opuszczony, aż wreszcie ktoś wykupił go od Korony i przerobił na tawernę. Czterdzieści lat po śmierci Hawksbilla, kiedy na St. Agnes Crescent wybuchł pożar i spalił okoliczne budynki, przepalone deski podłogowe w domu aptekarza zapadły się i odsłoniły osmoloną metalową skrzynkę. Kiedy ją otwarto, okazało się, że mieści ona tajny schowek na pieniądze, które na skutek wysokiej temperatury zamieniły się w kupkę popiołu. Przechowywana w skrytce kwota stanowiła zbierany przez Hawksbilla majątek życia — a było to niemal pięćdziesiąt tysięcy funtów! Gdyby stary zdążył jej o tym powiedzieć, Samanta zostałaby bardzo bogatą kobietą.

Drugie tragiczne wydarzenie miało miejsce niedługo po śmierci starego Żyda, tak że Samanta nie miała wiele czasu, by opłakiwać stratę przyjaciela.

Na tydzień przed dniem Guya Fawkesa tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku, w drugą rocznicę szalonego wysoku Matthew, Samuel Hargrave przestał przyjmować jedzenie. Ani namowy pani Scoggins, ani prośby Samanty nie odnosiły najmniejszego skutku i nie wpłynęły na zmianę jego decyzji. Po siedmiu dniach niejedzenia i nieodzywania się choćby jednym słowem Samuel dostał zapalenia płuc i w noc Guya Fawkesa, gdy za oknami lśniły łuny ognisk, umarł.

Samanta i James siedzieli w salonie w ponurej ciszy, gdy tymczasem agent z firmy Welby & Welby przemawiał do nich cichym, modulowanym głosem. Okazało się, że ojciec zostawił testament. James jako jedyny spadkobierca — Matthew uciekł i nie sposób go było odnaleźć — miał otrzymywać rocznie pewną kwotę, dopóki nie skończy studiów i nie wykształci się na doktora. Po zdaniu ostatnich egzaminów, z chwilą gdy wywiesi na drzwiach mosiężną tabliczkę z tytułem i nazwiskiem, zgodnie z wolą zmarłego, zostanie mu przekazana reszta majątku. Również dom i jego wyposażenie przechodziły na własność pierworodnego, z zastrzeżeniem, że nie zostaną sprzedane, dopóki James nie rozpocznie praktyki lekarskiej.

Samanta zaś miała zostać wysłana na pensję Playellów w Kencie, zwaną też Akademią dla Młodych Panien.

## 13

Siedziała sztywna i odrętwiała.

Ubrana w niedzielną sukienkę naprędce obszytą czarną koronką, w zupełnej ciszy wyjeżdżała z Londynu. Patrzyła przez okno pociągu, nie dostrzegając wcale pięknych leśnych parków malowanych purpurą i złotem jesieni. To pani Scoggins, a nie James — brat rozpoczął właśnie praktykę w szpitalu Middlesex — odprowadziła ją na stację Victoria. Gospodyni obdarzyła Samantę chłodnym uściskiem i wręczyła jej na drogę zawinięty w chusteczkę chleb i kawałek sera.

W Chislehurst czekał na nią jednokonny powóz z ponurym woźnicą Humphreym. Bez słowa jechali wiejskimi drogami. Jesienny dzień chylił się ku zachodowi; co jakiś czas przez korony przydrożnych drzew przebijały gasnące promienie słońca. W powietrzu wisi ciężki zapach żywej ziemi, bujnej zielonej trawy i szeleszczących pod kołami brunatnych liści. Z lewej i z prawej strony migały stateczne wiejskie posiadłości odsunięte daleko od drogi, do których prowadziły szerokie podjazdy tonące w kępach wierzb. Humphrey skierował właśnie konia na jeden z takich zataczających koło żwirowanych podjazdów i Samanta ujrzała przed sobą wspaniały renesansowy dwór.

Kiedy wysiadała z powozu, żeby przywitać się z wysoką, surową, mniej więcej czterdziestoletnią kobietą w sukni z czarnej bombazyny, miała wrażenie, że zza cienkich firanek w oknach obserwują ją setki par oczu. Wysoką sztywną kobietą była pani Steptoe, która jak Samanta dowiedziała się później, wiecznie okazywała wszystkim swoje niezadowolenie. Pani Steptoe owdowiała w wieku dwudziestu dwóch lat, a ponieważ jej młody mąż odszedł nie wyposażając jej w środki do życia, tym samym została zmuszona tą niemłą i uwłaczającą jej godności sytuacją zacząć na siebie zarabiać. Wiele lat temu zjawiła się na pensji jako nauczycielka, lecz z czasem przebiegłym politykierstwem dopracowała się pozycji przełożonej. Państwo Playellowie od dawna już nie żyli, pensja, zwana Akademią, finansowana była z pieniędzy wypłacanych z funduszu powierniczego oraz z czesnego uiszczanego przez rodziny uczennic. Tu na miejscu pani Steptoe sprawowała władzę absolutnie niepodzielną.

— Proszę za mną — rzuciła Samancie, obracając się na niewidocznym obcasie. Tak gładko sunęła po parkietach, że dziewczyna zastanawiała się, czy pani Steptoe czasem nie jeździ na kółkach.

Dwór został zbudowany w czasach królowej Elżbiety i jego mury tworzyły kształt litery „E”. W środkowej części dworu znajdował się hall, a wokół niego świetlice i saloniki, gdzie przyjmowano gości, oraz duże pomieszczenia biblioteczne. Długie kręte schody wiodły na pierwsze piętro, gdzie w pół-

nocnym i południowym skrzydle mieściły się klasy i sypialnie. Przełożona zaprowadziła Samantę do królewsko wyglądającego starego pokoju wybitego ciemną boazerią, którego podłogi wyłożono grubymi dywanami. W pokoju znajdował się masywny kominek z szarego kamienia oraz cztery łóżka, dwa biurka, dwa krzesła, szafa i stojak z miednicą, a obok niego dzbanek na wodę. Oniemiała Samanta nagle zdała sobie sprawę, że oto stoi w miejscu, które przez kilka następnych lat miało być jej domem, więc natychmiast upuściła mocno sfatygowany kufer, po czym chyżo podbiegła do okna.

Skrzywiła się czując mocny kuksaniec w kark. Kiedy się odwróciła, ujrzała nad sobą lodowate oczy pani Steptoe i usłyszała jej oschły głos. Pani Steptoe zwracała jej właśnie uwagę, że na terenie Akademii od dziewcząt wymaga się chodzenia godnego i statecznego, a poza tym szacunku wobec nauczycielek i przełożonej. Objasniła ją również, że karą za trzy przypadki naruszenia praw obowiązujących na terenie pensji jest całonocny dyżur przy czyszczeniu ubikacji.

W ciągu najbliższego czasu Samanta bez końca sprzątała toalety i z czasem zaczęła nie cierpieć szkoły z panią Steptoe na czele. Wczesną wiosną planowała już nawet ucieczkę.

Ponieważ miała szorstki sposób bycia, nie była najlepiej urodzona i nieco zabawnie mówiła, stała się w pewnym sensie wyrzutkiem pośród eleganckich panien. Nigdy nie dopuszczaly jej do swych wieczornych szeptanych zwierzeń i ploteczek, które trwały jeszcze długo po tym, jak zgaszono gazowe płomyki. Ale mimo to słuchała. Jej trzy koleżanki z pokoju niezmiennie omawiały ulubiony temat.

Na pensji pracował jeden jedyny nauczyciel, niejaki pan Roderick Newcastle. Rozpoczął pracę zaledwie dwa miesiące przed przyjazdem Samanty. Wszystkie dziewczęta kochały się na zabój w tym niskim i łysym nauczycielu matematyki. Pan Roderick dostępował też rzadkiego zaszczytu zasiadania przy stole pani Steptoe, górującym nad resztą jadalni. Pewnego dnia po obiedzie pulchna panna Tomlinson, nauczycielka higieny, miała wykład na temat przygotowania do stanu małżeńskiego i napomknęła w nim o czymś, co nazwała obowiązkiem.



— Pamiętajcie, młode damy, że żadna szanująca się kobieta, nie może znajdować przyjemności w spełnianiu obowiązku, ale też i od niego nie stroni. W tych sprawach jest powolna mężowi. Ponieważ mężczyźni doznają ciagot nam nie znanych, dla nas zupełnie niepojętych, musicie zatem zdać się na decyzje męża i wierzyć, że on ma lepsze rozeznanie w tej uświęconej małżeństwem materii. Musicie też czerpać radość nie z samego aktu, ale ze świadomości, że sprawiacie przyjemność małżonkowi, oraz z tego, że urodzicie ojczyźnie nowego obywatela. A więc spełniajcie wasz obowiązek wobec męża i kraju. Mieście to zawsze w pamięci. Jeśli okaże się, że to przeżycie jest dla was nad wyraz niemiłe, zamknijcie wtedy oczy i myślcie o Anglii.

Kiedy wieczorem zgasły gazowe lampy, dziewczęta zaczęły nocne szepty.

— Bez przykrości byłabym powolna naszemu panu Newcastle.

— A potem rosłoby ci w brzuchu dziecko!

— Jak ono stamtąd wychodzi?

— Pępek się otwiera i dziecko wyskakuje jak z procy.

Samanta słuchała tego i mało nie pękła ze śmiechu. Trudno było wychować się na St. Agnes Crescent i nie dowiedzieć się co to seks.

Najstarsza z dziewcząt, siedemnastolatka, zamknęła dyskusję słowami:

— To znowu nic takiego! To tak, jakby ktoś was trącał kijem i już.

Dziewczęta umilkły, a Samanta obróciła się na bok i oddała marzeniom o ucieczce.

Wymyśliła sobie, że ucieknie następnego dnia, wsiądzie w pociąg do Liverpoolu, a potem poszuka Freddy'ego. Tam sobie kupią piękny dom, pobiorą się i będą w nim żyli długo i szczęśliwie. Albo może zaczeka, aż James zrobi dyplom, i wraz z nim przeniesie się na Harley Street, gdzie będzie mu pomagała w gabinecie lekarskim aż do końca życia? Ale najbardziej upodobała sobie mrzonkę, że pewnego dnia pod drzwiami Akademii zajedzie powóz z Freddyem w cylindrze i z laską o srebrnej gałce. Freddy wsiądzie i oznajmi pani

Step toe oraz wszystkim dziewczętom, że właśnie zabiera Samantę do wiejskiej posiadłości w Cheshire.

Nagle rozległ się głuchy łomot, podobny grzmieniu burzy, a zaraz potem czyjś przeraźliwy krzyk i wyraźny łoskot. Samanta usiadła gwałtownie.

— Co to? — wykrzyknęła jedna z dziewcząt.

Za drzwiami słyszały tupot bosych stóp.

Samanta pierwsza wyskoczyła z łóżka i z sypialni. Przede wszystkim ujrzała dziewczęta w długich nocnych koszulach z flaneli, które wyzierały zza uchylonych drzwi pokoi wpatrzone we wschodni kraniec ciemnego hallu. Z daleka pędziła już pulchna panna Tomlinson w szlafroku; warkocze śmiesznie podskakiwały jej na plecach.

Dziewczęta szeptały coś do siebie i czekały, ale kiedy panna Tomlinson wrzasnęła przeraźliwie i jak worek łupnęła o podłogę, kilka odważniejszych panienek, w tym również Samanta, rzuciło się w jej stronę.

Panna Tomlinson zemdlała u szczytu schodów, skąd w mdłym świetle zostawionych na noc lamp widać było na dole skręconą postać pani Steptoe. I szkarłatną plamę na jej spódnicy.

Jedna z dziewcząt dołączyła do panny Tomlinson, łagodnie osuwając się tuż koło niej, a pozostałe kurczowo chwyciły się balustrady. Samanta zbiegła po schodach i dopadła nieprzytomnej przełożonej dokładnie w tej samej chwili, co panna Whittaker, nauczycielka robót ręcznych. Bez chwili zastanowienia Samanta przyklęknęła na podłodze, chwyciła nadgarstek pani Steptoe między kciuk i palec wskazujący, jak to nieraz widziała w wykonaniu Jamesa.

— Żyje — mruknęła, a panna Whittaker zaczęła szlochać.

— Doktora! — ktoś krzyknął.

Teraz dziewczęta zaczęły się licznie zbierać przy schodach, gdzie pulchna panna Tomlinson już samodzielnie wstawała. Nagle przez tłumek na schodach przecisnął się Roderick Newcastle. Spojrzał w dół i ujrzał bladą jak gieźło przełożoną.

— O Boże! — jęknął.

Ktoś zbudził Humphreya i posłał go do Chislehurst po lekarza. Pan Newcastle i panna Whittaker przenieśli panią Steptoe korytarzem do jej pokoju, który mieścił się na parterze, i tam ułożyli ją na kanapce. Kiedy panna Whittaker opadła na krzesło, a matematyk ocierał spocone czoło, Samanta zdjęła buty pani Steptoe i przykryła ją narzutą.

Lekarz długo nie nadjeżdżał. Derry Newcastle rozpałił ogień w kominku, a panna Whittaker zaparzyła herbatę. Samanta nie odstępowała chorej i bezustannie sprawdzała jej puls i oddech. Raz zajrzała pod narzutę i spostrzegła, że krwawa plama znacznie się rozszerzyła.

Wtem rozległo się szybkie stukanie i panna Whittaker otworzyła drzwi niskiej, mniej więcej pięćdziesięcioletniej kobiecie i Humphreyowi, który w zdenerwowaniu miętosił czapkę w dłoniach. Na twarzy nauczycielki odmalowało się zdumienie.

Niska kobieta minęła ją bez słowa, zrzuciła z siebie pelerynę i podeszła do chorej.

— Kim pani jest? — zapytał Derry Newcastle.

— To nie jest miejsce dla mężczyzn — zauważyła nowo przybyła i odwróciła się do niego plecami. Ujęła bezwładny nadgarstek przełożonej, zupełnie tak samo, jak to dotąd robiła Samanta.

Pan Newcastle, speszony i niepewny, wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi, a tymczasem kobieta odrzuciła narzutę i przez chwilę przyglądała się plamie krwi.

— Potrzebna mi gorąca woda i darte prześcieradła. — Uniosła wzrok i spojrzała Samancie prosto w oczy. — Przydałaby mi się pomoc.

Panna Whittaker w okamgnieniu znalazła się przy drzwiach.

— To ja przyniosę wodę i prześcieradła. — Czym prędzej zniknęła.

Kobieta przyglądała się Samancie. Oliwne lampki oświetlały twarz.

— Wygląda na to, że wypadło na ciebie. Dasz sobie radę? Samanta czuła, że serce bije jej jak szalone.

— Tak, proszę pani. Mam pewne doświadczenie.

— To dobrze. Zawiń rękawy. Będziemy jakiś czas pracować razem.

Samanta odrzuciła warkocze i wepchnęła je za nocną koszulę.

Podwinęła rękawy i przyglądała się stojącej po drugiej stronie łóżka kobiecie. Nieznajoma miała około pięćdziesięciu lat, jasne siwiejące włosy przedzielone na środku i zebrane za uszami, tak jak to się dawniej nosiło. Była nieduża, zwarta w sobie i sprawiała wrażenie osoby tryskającej zdrowiem i młodzieńczym wigorem. Dziewczyna przyglądała się jej w zafascynowaniu, podczas gdy kobieta zawijała wykończone białą koronką rękawy niebieskiej sukni, a potem nachyliła się nad nieprzytomną, uniosła jej powieki i badawczo przyglądała się jej bladej twarzy.

— Jestem lekarką. Nazywam się Blackwell, a ty? — zapytała, nie odrywając spojrzenia od pacjentki.

Samanta zamrugała.

— Samanta Hargrave, psze pani. — Natychmiast poczuła wpełzający na policzki rumieniec. — Chciałam powiedzieć, pani Blackwell. To znaczy pani doktor...

Elizabeth Blackwell uśmiechnęła się przelotnie.

— „Pani doktor” wystarczy. Pomóż mi zdjąć z niej sukienkę.

Rozpinały liczne guziczki sukni pani Steptoe i łagodnie zsuwały ubranie z ramion przełożonej, gdy tymczasem doktor Blackwell mówiła do Samanty. Głos miała spokojny i cichy, a akcent dziwny, taki, jakiego dziewczyna dotąd nie słyszała.

— Przyjechałam do Chislehurst w odwiedziny do znajomej. Kiedy wasz woźnica szukając lekarza wpadł do gospody, zaproponowałam mu swą pomoc. Biedak zupełnie nie wiedział, co zrobić! „Przyjechałam tu po doktora, a nie po położną!”

Rozwiązały niezliczone tasiemki przy przesiąkniętej krwią halce przełożonej. Zsunęły materiał z jej nóg.

— Nie jest tak źle, jak na to wygląda, Samanto — powiedziała lekarka uspokajająco. — Kiedy się patrzy na plamy krwi, zawsze wydaje się jej więcej, niż jest w rzeczywistości.

Samanta nie spuszczała szeroko otwartych oczu z doktor Blackwell. Obserwowała, jak lekarka podchodzi do miski, nalewa do niej wody i skrupulatnie myje ręce. Wracając do chorej, po drodze wycierała dłonie ręcznikiem.

— Większość lekarzy myje ręce tylko po zabiegu. Moim zdaniem nie zaszkodzi, jeśli umyje się je i przedtem. A teraz zobaczymy, co tu się właściwie stało.

Najpierw przesunęła drobne dłonie po brzuchu pani Steptoe, tu i ówdzie naciskając go w trakcie badania, a później rozsunęła mlecznobiałe uda leżącej i przeprowadziła badanie wewnętrzne. Twarz doktor Blackwell, o regularnych rysach, była bardzo skupiona, a jej wyraz pozostawał dla dziewczyny zupełnie nieczytelny. Lekarka patrzyła nieruchomym wzrokiem przed siebie, gdzieś nad głową pacjentki. Kiedy zakończyła badanie, wytarła ręce.

— Obawiam się, że biedaczka właśnie poroniła — oznajmiła Samancie.

— Pani Steptoe jest w ciąży? — sapnęła Samanta. Elizabeth Blackwell sięgnęła po kuferek.

— Była, moja kochana. Upadek spowodował poronienie. Sądząc po wielkości macicy, była w czwartym miesiącu.

Samanta spojrzała na bladą nieprzytomną panią Steptoe i przemknęło jej przez głowę, że pierwszy raz, odkąd ją poznała, na twarzy przełożonej wreszcie maluje się spokój.

— Jak to się stało? — mruknęła. — Przecież tysiące razy chodziła po tych schodach...

Doktor Blackwell spojrzała na nią surowo.

— Musimy zabrać się teraz do pracy — powiedziała. — Przynies tu lampę i ustaw ją między jej nogami.

Na palcach weszła panna Whittaker. Wniosła wodę, podarte na kawałki prześcieradła i bez słowa wyszła. Kiedy Samanta ustawiła już lampę we wskazanym miejscu, pomogła lekarce rozsunąć nogi przełożonej najszerszej, jak się dało, podciągnąć w górę kolana nieprzytomnej i tak je przytrzymać.

— Co pani teraz zrobi?

— Nie możemy już uratować dziecka. Musimy dokończyć dzieła, które rozpoczął upadek. To jedyna szansa, żeby

biedaczka przeżyła. — Doktor Blackwell wyjęła z kuferka srebrzysty instrument, który wyglądem przypominał Samancie kaczy dziób. Przetawiła lampę, tak by światło jak najszerszym kręgiem padało na pole zabiegu. — Obserwuj jej twarz, Samanto. Jeśli zobaczysz oznaki wskazujące na to, że pani Steptoe się budzi, daj mi znać, a ja natychmiast przerwę. A teraz muszę się spieszyć. Dzięki temu, że jest nieprzytomna, nie podam jej narkozy, bo to nadal bywa niebezpieczne. Proszę cię, żebyś w miarę możliwości unieruchamiała nogi pacjentki.

Samanta leżała w poprzek bezwładnego ciała pani Steptoe i najsilniej jak umiała, przyciągała do siebie opadające kolana nieprzytomnej. Bez przerwy przenosiła wzrok to na twarz zemdłonej, to znów na szybkie dłonie lekarki. Doktor Blackwell umieściła miskę pod rowkowanym wziernikiem, a potem wzięła do ręki jakieś dziwne narzędzie. Wyglądało jak zakrzywione piórko z jednej strony zakończone ostrym srebrnym dyskiem.

— Do czego to służy?

— To jest skrobaczka. — Doktor Blackwell delikatnie wepchnęła skrobaczkę przez wziernik i na chwilę zamknęła oczy, w wyobraźni śledząc jej trasę. — Muszę mieć pewność, że jestem w macicy i że nie weszłam przez pomyłkę do jamy brzusznej.

Samanta wstrzymała oddech, przyglądając się drobnej dłoni manipulującej narzędziem. Skrobaczka niemal całkiem zniknęła w ciele pani Steptoe — jej rączka wystawała z niego zaledwie na kilka centymetrów.

— Już... — szepnęła lekarka, otwierając oczy. — Siedzi. Obserwuj twarz pacjentki, Samanto. Budzi się?

— Nie, jest wciąż nieprzytomna. Ładnie oddycha.

Elizabeth przez ułamek sekundy patrzyła na dziewczynę w zdumieniu, a potem zaczęła zabieg.

Zafascynowana Samanta słyszała przytłumiony odgłos drapania i pod wyciągniętym ramieniem widziała lekkie skurcze mięśni brzucha zemdłonej kobiety. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale czym prędzej je zamknęła i odwróciła głowę.

- Jak tam pacjentka? — spytała lekarka.
- Dobrze... — pisnęła Samanta przez ściśnięte gardło.
- A ty?
- Też...

— Samanto, teraz usuwam części płodu z macicy — tłumaczyła Elizabeth Blackwell. — Gdybym tego nie zrobiła, gdybym zostawiła jakieś resztki wewnątrz, pani Steptoe miałyby poważne komplikacje. To musi być zrobione, rozumiesz, Samanto?

— Tak, psze pani. — Samanta odwróciła głowę i spojrzała w surową twarz lekarki. Mocne regularne rysy Elizabeth Blackwell w świetle oliwnej lampki wyglądały jak wyciosane w kamieniu.

— O, już — powiedziała wreszcie. Odłożyła skrobaczkę i wzięła do ręki długie srebrzyste szczypeczki zakończone kółeczkiem, w które wetknęła tampon z kawałka prześcieradła. — Macica jest już czysta. Teraz możemy wymieść drobne resztki. Coś tam się dzieje u ciebie?

- Zaczynają jej drzeć powieki.
- Dobrze. Już prawie skończyłam.

Po kilkakrotnym włożeniu szczypiec do macicy — każdy kolejny wyjmowany tampon był już coraz czystszy — doktor Blackwell wsunęła do wnętrza pacjentki inny zakrzywiony długi instrument, który uprzednio wysmarowała ałunem.

— To zamknie małe naczynka krwionośne.

Na koniec zakorkowała pochwę pani Steptoe zwiniętym fragmentem prześcieradła.

Pół godziny później obie z Samantą sączyły herbatę Ulung przy kominku. Pani Steptoe obudziła się w trakcie mycia, dostała więc dawkę laudanum i teraz spała spokojnie w świeżej pościeli.

- Myśli pani, że wyzdrowieje? — zapytała Samanta.
- Sądzę, że tak. Świetnie się spisałaś, Samanto. Bez twojej pomocy byłoby mi znacznie trudniej.

Dziewczyna wstydliwie spuściła oczy i wbiła wzrok w herbatę, obserwując pojedyncze listki pływające na powierzchni naparu. Była zmęczona, ale i dziwnie rozentuzjasmowana. Usiłowała wytłumaczyć sobie jakoś ten stan nieoczekiwanej

euforii. Zabieg, w którym niedawno brała udział, i fakt, że pomagała lekarce, sprawił, że ta zupełnie obca osoba wydała się jej raptem nader bliska. Nie potrafiła tego ubrać w słowa — radość ją wprost rozsadzała — ale pierwszy raz w życiu doświadczała serdecznych uczuć wobec kobiety. Nagle ta ledwie dwie godziny wcześniej poznana lekarka okazała się dla niej najważniejsza na świecie.

Elizabeth Blackwell przyglądała się swej milczącej towarzysze i myślała, że w tej dziewczynie wielka uroda spleta się z niezwykłą skromnością. Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała kogoś równie zachwycającego, kto by tak jak Samanta zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Ciekawiła ją ta dziewczyna; jej prosty język, brak jakiejkolwiek pretensjonalności, naturalny, nieco prostacki sposób trzymania filiżanki i to, że siorbie herbatę. Cóż takie dziecko robi na pensji Playellów, między dobrze urodzonymi pannami z zamożnych rodzin? Tak, Samanta Hargrave była niczym nieoszlifowany diament wśród wyblyszczonych raucików.

— Podoba ci się tutaj, Samanto?

— Nie, psze pani doktor.

— Dlaczego?

— Nie wiem, co tu właściwie robię. Nie mam tu przyjaciół. Dziewczęta mnie nie cierpią. Ciągłe od kogoś obrywam cięgi. A rano przy myciu zawsze mnie ostatnią dopuszczają do miski, kiedy woda jest już całkiem mętna.

— Twoi rodzice na pewno wiedzieli, co robią, kiedy cię tu wysłali — zauważyła lekarka łagodnie.

— Nie mam rodziców. Mama umarła, jak tylko mnie urodziła, a tata... — Głos się jej załamał.

— Co chcesz zrobić po skończeniu szkoły?

Elizabeth Blackwell działała dziwnie kojąco; jej łagodny głos zachęcał Samantę do zwierzeń. Wydawała się taka macierzyńska. Dziewczyna czuła instynktownie, że tej kobiecie może zwierzyć swój sekret.

— Prawdę mówiąc, psze pani, mam zamiar stąd wcześniej uciec.

— I dokąd pójdziesz?

— Nie wiem.



— Wiesz co, Samanto? — zaczęła lekarka ostrożnie.  
— Zaskakująco dobrze radzisz sobie przy chorych. Twoje dzisiejsze opanowanie zrobiło na mnie wrażenie. Sądzę, że miałaś już wcześniej do czynienia z chorymi.

Twarz Samanty natychmiast się rozjaśniła.

— O tak, psze pani doktor. Pielęgnowałam Freddy'ego, a potem tatę, jak się tak strasznie oparzył.

— Mhm... — Kobieta wyraźnie nad czymś dumiała.  
— Myślałaś kiedyś o tym, żeby zająć się właśnie taką pracą?

— Myśli pani, żeby zostać pielęgniarką, jak te dziewczyny od pani Nightingale?

Nagły błysk w jej oczach nie uszedł uwagi lekarki.

— Na przykład, ale myślałam przede wszystkim o zawodzie lekarza. Dlaczego nie miałabyś zostać lekarką?

Samanta opuściła filiżankę.

— Lekarką? Kobiety nie mogą być doktorami!

— Ależ oczywiście, że mogą. Spójrz tylko na mnie!

— Ale pani przecież nie jest... prawdziwym doktorem?

Doktor Blackwell roześmiała się wesoło.

— Jestem, jestem. Najprawdziwszym. I w dodatku nie gorszym od mężczyzn.

— Ale przecież doktorzy kroją ciała, prawda? To nie jest zajęcie dla dam.

— Moja kochana, nie ma nic odpychającego ani uwłaczającego kobiecie w badaniu natury. Każdy mięsień, każde ścięgno jest jak zwrotka poezji.

Samanta patrzyła na nią w skupieniu.

— Jak to jest być kobietą lekarzem?

— Zaraz dam ci przykład. Któregoś razu przyszedł do mnie mężczyzna z pewną dolegliwością, którą wyleczyłam. Kiedy później doszło do płacenia i podałam mu cenę, wykrzyknął: „Za takie pieniądze mogłem sobie wziąć prawdziwego doktora!”

Słyszając to, Samanta aż się skurczyła w środku.

— Kobieta doktor... Coś takiego... — Zgarbiła się.  
— A jak się zostaje doktorem?

— Przede wszystkim musisz tego chcieć. Ten warunek spełniasz bez dwóch zdań. Po drugie musisz zdobyć porządne

wykształcenie. Po trzecie musisz nad sobą pracować i stać się najprawdziwszą damą.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

— To znaczy, że mam tu zostać i nauczyć się, którą ręką trzymać filiżankę z herbatą, a którą kawałek ciasta?

— Mniej więcej. Żeby dostać się do szkoły medycznej, trzeba wykazać się tytułem bakałautusa, który tu możesz zdobyć, jeśli nie uciekniesz. Trzeba się też nauczyć ładnie wyrażać. To ważne.

— Zawsze miałam kłopoty z gadaniem. Freddy mówił, że nie odezwałam się nigdy ani razu, póki nie wyciągnął majchra, żeby zaszlachtować tego starego dachowca. Miałam wtedy cztery lata, ale nawet teraz, jak spotykam kogoś obcego, długo nie mogę wydusić z siebie słowa.

— A zatem powinnaś to w sobie przełamać, bo lekarze muszą ładnie mówić.

Podczas gdy czternastoletnia dziewczyna zatonęła w myślach, doktor Blackwell wstała i wzięła mały naszywany korallikami woreczek. Wyciągnęła stamtąd ozdobną wizytówkę i wręczyła ją Samancie.

— Bardzo bym chciała, żebyś mnie kiedyś odwiedziła. Oto mój adres w Londynie. Pomyśl o tym, co robiłaś tu dzisiejszej nocy, a gdybyś chciała kiedyś ze mną porozmawiać, moje drzwi zawsze będą stały dla ciebie otworem.

Samanta leżała w łóżku zbyt podekscytowana, by spać. Czowała, że rozpiera ją jakaś dziwna energia, a jej myśli wciąż krążyły wokół jednego tematu. Słuchając cichych oddechów śpiących koleżanek rozmyślała o pani Steptoe leżącej u stóp schodów, o tym, jak sama bez chwili namysłu natychmiast zbiegła na dół, o przyjeździe niezwyklej lekarki, o dziwnych narzędziach, o krwi i o wzbudzającej posłuch, znającej się na rzeczy Elizabeth Blackwell. Usiłowała wszystko to ułożyć sobie w głowie i zrozumieć. Była przecież nie mniej przerażona od panny Whittaker i tak samo jak ona chciała wziąć nogi za pas i uciec, gdzie pieprz rośnie. A nie zrobiła tego. Dlaczego? Co pchnęło ją w dół schodów, kiedy inne dziewczęta mdlały?

Co sprawiło, że trwała na posterunku między nogami nieprzytomnej przełożonej, gdy tymczasem panna Whittaker uciekła?

Naprawdę jestem aż tak od nich inna?

Musiała rozsypać wiele nici, wiele wzburzonych myśli, żeby wreszcie utkać z nich spójną całość. Tak, wiedziała przecież, że jest inna. Ale na czym to polegało? Czy rzecz sprowadzała się do tego prostego stwierdzenia, które słyszała wieczorem od doktor Blackwell? „Zaskakująco dobrze radzisz sobie przy chorych.” Przed oczami Samanty przesuwały się teraz inne sceny. Widziała znów sztywne futro starego dachowca, zmiażdżoną nogę Freddy'ego, bezradnie leżącego ojca.

To miały być jej wskazówki? Pewnie tak... Była to zaledwie mglista odpowiedź na pytanie, jakie stawiała sobie po odjeździe lekarki. Niezależnie od cudownych nie znanych dotąd uczuć, jakimi zapałała do tej niezwykłej kobiety, odczuwała i inne emocje, które coś jej już przypominały. Teraz nareszcie rozpoznała, co się za nimi kryje. Kiedy nachylała się nad bezwładnym ciałem przełożonej, rozpierało ją uczucie celowości działania. Poznała je już wcześniej. Nigdy nie odezwało się w niej tak silnie jak dzisiejszej nocy, ale tak, już dawniej poznała jego smak. Wtedy gdy pielęgnowała chorą nogę Freddy'ego i przywracała mu zdrowie. I potem, kiedy dbała o straszliwie oparzonego ojca i leczyła jego rany. No i jeszcze wcześniej — teraz tamto zdarzenie pamiętała już tylko jak przez mgłę — gdy postanowiła za wszelką cenę uzdrowić nikomu niepotrzebnego kota.

Zaczerpnęła głęboko tchu i trzymała powietrze w płucach tak długo, że coś zaczęło mocno kłuć ją w piersiach.

Być doktorem! — krzyczała w myślach. Być kimś takim jak Elizabeth Blackwell! Robić to, co ona robiła dziś wieczorem!

Coraz szerzej i szerzej otwierała oczy wypatrując prawdy ukrytej na ciemnym suficie. Drżała na całym ciele; każdy jej nerw napięty był do ostateczności. Wbiła palce w materac, żeby powstrzymać się od nagłego zerwania się z łóżka i szalonego lotu wśród gwiazd.

Jeszcze przed kilkoma godzinami byłam zupełnie nikim, myślała. Szłam przed siebie bez celu. Teraz już wiem, kim jestem i dokąd zmierzam...

## 14

Pani Steptoe szybko stanęła na nogi i życie szkoły znów potoczyło się utartymi koleinami. Ale to i owo jednak uległo zmianie. Derry Newcastle zniknął bez śladu, a w jego miejsce sprowadzono nauczycielkę matematyki. Przełożona stała się cichsza i jakaś zgaszona, przestała już być tyranem, przed którym drżą uczennice. No i Samanta Hargrave także się zmieniła. Całym sercem oddała się nauce, jaką narzucał program Akademii. Nie było to zresztą zbytnio wyczerpującym zadaniem, ponieważ nauczycielki wyznawały powszechnie obowiązujący pogląd, że intensywna nauka niekorzystnie wpływa na kobiece organy rozrodcze. W Akademii przykładano wagę przede wszystkim do zajęć z literatury, umiejętności wysławiania się i do lekcji muzyki. Uczono również niemieckiego i francuskiego, a także podstaw łaciny i greki oraz elementarnych wiadomości z zakresu botaniki, chemii i zoologii. Te trzy ostatnie przedmioty nie przedstawiały dla Samanty najmniejszych trudności dzięki naukom, jakie pobierała u starego Hawksbilla. Ciężko natomiast pracowała nad tym, by podnieść swoją pozycję wśród dziewcząt. Między innymi dzięki pomocy pani doktor Blackwell, którą odwiedzała w Londynie tak często, jak tylko się dało, wkrótce nabrała niezbędnej ogłady. Miesiące mijały, a niepozorne kostropate dziecko londyńskich slumsów przeobraziło się w szlachetną pannę — prawdziwy klejnot w koliai. Dziewczęta z biegiem czasu zapomniały o niechęci do Samanty i włączyły ją wreszcie do swojego kręgu, obdarowując przyjaźnią.

W ciągu trzech lat spędzonych w Akademii kilka razy jeździła do domu. Czasami zastawała w nim Jamesa — pijanego

i wojowniczo nastawionego do świata — który uskarżał się na studia i praktykę, a ostatnie zaskórniaki puszczał w domach gry. Częściej jednak Jamesa po prostu nie było. W czasie trzecich Świąt Bożego Narodzenia, na które przyjechała do Londynu, w trakcie końcowych przygotowań do kolacji z Elizabeth Blackwell, James wtoczył się domu, oznajmiając jej, że właśnie wylali go ze szpitala Westminster.

Na tydzień przed siedemnastymi urodzinami Samanta dostała wiadomość, że James został aresztowany i sądzony za morderstwo, czeka na egzekucję w więzieniu Newgate.

Błagał, żeby go odwiedziła.

W przeddzień egzekucji Jamesa Samanta wsiadła do pociągu na stacji Victoria i wreszcie pod wieczór dojechała dorożką do Newgate. Prosząc woźnicę, żeby na nią zaczekał, wysiadła.

Na chwilę osaczyła ją ponura szarość budynku, ale Samanta wzięła się w garść, zdecydowanym ruchem uniosła nieco spódnicę i pomaszerowała ciemną ulicą do niepozornej bramy. James uprzedził ją w naprędce skreślonym liście, że będzie musiała wciskać strażnikom łapówki. Tak też zatem robiła — w drodze do celi brata przekupywała kolejnych strażników. Wyglądali wprost przerażająco niechlujnie i cuchnęli dżinem. Prowadząc ją ciemnymi wilgotnymi korytarzami, patrzyli na nią lubieżnie i podzwaniiali masywnymi kluczami na kółku. Miała wrażenie, że schodzi do piekieł. Zewsząd otaczał ją smród, śliska wilgoć kamiennych ścian i ponury mrok. Szła tuż za strażnikiem z rozkołysaną latarnią. Słyszała złowrogiego brzęk łańcuchów i zaczepki uwięzionych mężczyzn. „Hej, mała, zdrzyj no spódnicę i daj trochę popatrzeć!” Wystarczyło jednak, żeby dozorca tylko raz machnął kijem w ich stronę, a czym prędzej chowali się w głąb cel.

Wreszcie zeszli do najniższej położonych lochów i strażnik przystanął. Na dole z trudem dawało się oddychać. Jedyne źródło światła stanowiły drżące płomienie pochodni.

— Tu siedzi ten twój skazaniec, ale nie wolno go odwiedzać. Mogę mieć przez to kłopoty — powiedział, zionąc nieswieżym oddechem.

Samanta zanurzyła dłoń w sakiewce i w brudną rękę męzczyzny wsunęła kilka błyszczących szylingów.

— Pięć minut — mruknął i odszedł.

Stała przed zakratowanym lochem pograżonym w absolutnej ciemności. Podeszła doń ostrożnie, niczym do klatki z dzikim zwierzęciem. Usłyszała nagły brzęk łańcuchów i nagle nieoczekiwanie wyrosła przed nią zjawa.

— Sam... — wyszeptał James chropawo. — Przyszłaś...

Oniemiała. Czyżby ten wychudzony strzęp człowieka miał być jej przystojnym bratem? Zbliżyła się do krat i wyciągnęła rękę.

— Nie rób tego. Ten drań pomyśli jeszcze, że mi coś przekazujesz, i od razu odeśle cię na górę. Nie mamy dużo czasu, a tyle chcę ci powiedzieć.

Przysunął twarz do krat; bardzo się postarzał.

— Rano mnie powiesz, Sam.

— Co się stało, James? — wydusiła przez ściśnięte gardło.

— Wybrałem się do pubu na kufelek piwa. Piłem sobie spokojnie, kiedy zaatakował mnie taki zwalisty Irlandczyk, któremu moja Molly wyraźnie wpadła w oko. Zaskoczył mnie. Dlatego że ogłuchłem na jedno ucho, nie usłyszałem, jak do mnie podchodzi. Przyrznąłem mu pięścią w gębę tak mocno, aż mu wgniotłem nos. Przysięgam ci, Sam, że gdybym go wcześniej słyszał, złagodziłbym uderzenie. To była samoobrona, ale chłop miał tam wielu kumpli z Irlandii i wszyscy zeznali przeciwko mnie.

Samanta przytrzymała się krat, natychmiast usmarowując sobie na czarno rękawiczki.

— Nie wiedziałaś, że źle słyszę, co? A wiesz, skąd się to wzięło? Powiem ci.

Słuchała cichej beznamietnej relacji z wydarzeń nocy, gdy przyszła na świat.

— Ironia losu, prawda? — spytał na koniec. — Coś, co zrobiłem, żeby ratować ciebie, po latach ściaga na mnie śmierć! Zmarnowałaś mi całe życie. Przez to ucho nie mogłem w nic grać z chłopakami; musiałem dwa razy bardziej niż inni przykładać się do nauki, bo dużo traciłem na wykładach.

No i jeszcze nie mogłem się udzielać towarzysko. Czasami zastanawiałem się, czy w ogóle jesteś tego warta, Sam.

— Tak bardzo mi przykro... — wyszeptła.

— Najwyraźniej tak właśnie miało być. Tamtej nocy nasz los został przesądzony. Spójrz tylko na Matthew. Kto wie, gdzie się teraz podziewa? Wiesz, dlaczego zacząłem pić po CMordzie? Dlaczego tak się zmieniłem? Przez ojca. Harowałem w czasie studiów jak wół, jak galernik, żeby tylko zasłużyć choćby na jedną drobną pochwałę, na jakiś znak, że wybaczył mi sprowadzenie doktora do mamy. Zrobiłem studia, a on nawet nie przyjechał na uroczystość wręczenia dyplomów, nawet mi nie pogratulował, nie uściśnął ręki... I wtedy coś we mnie pękło. Powiedziałem sobie: Do diabła ze starym! I zapragnąłem nadrobić lata młodości, której nigdy nie miałem. — Schylił głowę i przycisnął do krat bujne ciemne kędziory. — Zawsze nas nienawidził, Sam, bo przez nas umarła mama. Jednoczy nas wspólne nieszczęście, siostrzyczko. Wyrok na nas zapadł już siedemnaście lat temu. Mój spełni się jutro. Ale zapamiętaj, co mówię, Sam: Nadejdzie i twoja kolej.

Zamknęła oczy i poczuła, jak chłód ściska jej serce. James uniósł głowę; po jego brudnych policzkach spływały łzy.

— Mam jutro randkę z katem, Sam. Módl się za mnie.

— Hej, ty tam! — Dobiegł ich głos gdzieś z mroku.

Samanta gwałtownie odwróciła się na pięcie.

— Koniec widzenia! — Strażnik wyskoczył ku niej jak niedźwiedź na tylnych łapach i huknął kijem o kraty.

— Przecież pięć minut jeszcze nie minęło!

— Skoro mówię, że koniec, to koniec! Wychodzimy.

— Daj mu więcej pieniędzy, Sam! — krzyknął James.

— Już nie mam!

— Nie masz pieniążków, lalunia, to się stąd zabieraj!

— Bardzo pana proszę, tylko jedną minutkę. Już nie mam nic, co mogłabym panu dać.

Strażnik rozciągnął twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Naprawdę? — Jego świńskie oczka znacząco prześlizgnęły się po jej ciele.

— Uciekaj, Sam! — krzyknął James. — Uciekaj, co sił w nogach!

Zrobiła krok do tyłu, odsuwając się jak najdalej od strażnika. Ślizgała się po wilgotnym bruku korytarza. Nie poszedł za nią. Został przy lochu Jamesa i tylko kołysał się na piętach — jego złośliwy śmiech wypełniał mury podziemi. Uciekła.

Następnego ranka z wyszczypanymi chłodem dłońmi i twarzą zapuchniętą od całonocnego płaczu błagała naczelnika więzienia, żeby wydał jej ciało Jamesa. Ale naczelnik nie uległ jej prośbie, James bowiem zapisał swoje zwłoki Akademii Medycznej. A zatem nie znajdując ukojenia choćby w obrządku pogrzebu, wróciła do pustego domu przy St. Agnes Crescent.

## 15

Był maj tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku i świat rozkwitł kolorami. Pani Steptoe, w nieodłącznej czerni, której nie zdejmowała od dwudziestu lat, od czasu śmierci męża, wyraźnie kontrastowała z bogatymi barwami wiosny. Siedziała przed kominkiem w gabinecie, opierając stopy na podnóżku. Obok niej na małym stoliku stał imbryk z herbatą i talerzyk z maślanymi bułeczkami. Sącząc herbatę patrzyła przez okno na ogród. Widziała dobrze znany trawnik, różaneczniki, prawoślazy, nagietki, dopiero co wsadzone astry. Jak to miło tak sobie tutaj siedzieć i patrzeć na kolejną zmianę w przyrodzie, myślała.

Wspominała dzień sprzed czterech lat, kiedy drobna chuda dziewczynka z warkoczykami wysiadła z bryczki Humphreya i spojrzała na nią wielkimi przestraszonymi oczyma. Nie podobała się jej wtedy. Gdyby nie upór pana Welby'ego, adwokata małej, nie przyjęłaby jej do szkoły. Dziewczynka nie miała ogłady, pochodziła ze złej dzielnicy i na dobrą sprawę nie wiadomo z jakiej rodziny. Ale to było niemal cztery lata temu. W zeszłym tygodniu śliczna i szykowna Samanta Hargrave ukończyła Akademię Playellów i otrzymała tytuł baka-laureatusa.



Pani Steptoe omiotła wzrokiem pokój, który od dwudziestu lat nie zmienił się na jotę. Spojrzała na zegar stojący na półce nad kominkiem, na szklane naczynia z zaszuszonymi kwiatami, spłowiały chiński wachlarz, porcelanowe terrierki, tekturowe tablice wyklejone fotografiami absolwentek. Lubiła je wszystkie, ale najdroższa była jej Samanta Hargrave. Samanta, która tamtej strasznej nocy trwała u jej boku i która pielęgnowała ją jeszcze wiele dni później. Kochana Samanta, taka delikatna i rozumiejąca; nie pozwoliła sobie na jedno zdanie dezaprobaty i zachowała tajemnicę tej nocy wyłącznie dla siebie. Ale nawet Samanta nie znała jej najpilniej strzeżonego sekretu — nie wiedziała, że przełożona, odrażona przez Derry'ego Newcastle, rzuciła się ze schodów, żeby odebrać sobie życie. Później, kiedy pani Steptoe wróciła do zdrowia i spokojnie oceniła swoje szalone porywy, błogosławiła Samantę za to, że pomogła uratować jej życie. I chociaż w ciągu następnych trzech lat zamknęła się w sobie i odgrodziła od bliskich kontaktów z innymi, dla Samanty rezerwowała specjalne miejsce w sercu. Za nic na świecie nie chciała się z nią rozstawać.

Obmyśliła nawet pewien plan. Wiedziała co prawda, że ambicją dziewczyny są studia medyczne, miała jednak nadzieję, że ją od nich odwiedzie. W końcu wywierała niemały wpływ na Samantę. Postanowiła zaproponować jej coś absolutnie wybornego: stanowisko przełożonej w Akademii Playellów.

Nie miałyby nic przeciwko własnej detronizacji, gdyby to mogło tylko zatrzymać Samantę. Tak, wie, że trzeba będzie zapłacić bardzo wysoką cenę, bo przecież Samanta jest osobą o dużych ambicjach i mniej atrakcyjna propozycja na pewno jej nie skusi. Ale czy może odrzucić tak świetną okazję, jaka się trafia bardzo niewielu kobietom? Kiedy tylko się o tym dowie, natychmiast przejdzie jej ochota na studia i zostanie na miejscu jako przełożona. A ona, dawna szefowa na pseudoemeryturze, będzie jej pomagać w kierowaniu Akademią...

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Alice, pokojówka, zajrzała do gabinetu.

— Przyjechał ktoś, kto chce się widzieć z panną Samantą Hargrave, proszę pani.

Pani Steptoe odstawiła filiżankę.

— Słucham? — W czasie swego niemal czteroletniego pobytu w szkole Samanta nigdy nie miała gościa.

— Jakiś mężczyzna. Pyta o Samantę Hargrave.

Pani Steptoe zeszywniała. Samanta była w Londynie; wyjechała znów na cały dzień do doktor Blackwell.

— Proś!

W chwilę później jego postawna sylwetka ukazała się w drzwiach, wypełniając niemal całą wolną przestrzeń. Pani Steptoe ujrzała wysokiego młodzieńca o męskiej przystojnej twarzy i niesfornych kasztanowych kędziorach, ubranego w kurtkę marynarki handlowej.

— Proszę wejść — zaprosiła go oficjalnym tonem.

W olbrzymich dłoniach gniótł czapkę wachtowego; podszedł do niej kulejąc.

— Dziękuję. Chciałbym się widzieć z Samantą Hargrave, proszę szanownej pani. Proszę jej powiedzieć, że przyjechał Freddy.

## 16

— Najwyraźniej nie jestem w stanie podjąć decyzji, pani doktor.

Elizabeth uśmiechnęła się. Przez trzy i pół roku nie zdołała nakłonić młodej przyjaciółki, żeby zwracała się do niej po imieniu.

— Mogę tylko wyrazić swoją opinię w tej sprawie, moja droga. Ostateczna decyzja i tak należy do ciebie.

Samanta otrzymała już dyplom Akademii i nieodwołalnie musiała postanowić, co będzie robić dalej. Choć najchętniej zostałaaby w Londynie i studiowała tutaj, zdaniem doktor Blackwell jej szanse na dostanie się na medycynę w kraju były równe zeru. Doktor Blackwell radziła Samancie wyjechać za granicę. Ale dziewczyna tu w Londynie miała przyjaciółki, w mieście, które znała doskonale i które tak bardzo kochała. No i nie zapomniała też o Freddym.

Samanta odnajmowała dom przy Crescent Street i umówiła się z lokatorami, że przekażą adres Akademii Playellow każdemu, kto o nią zapyta. Gdyby bowiem zdecydowała się jednak wyjechać z kraju, musiałaby sprzedać dom i ślad by po niej zaginął.

Zresztą kto wie, czy nie na próżno robiła sobie nadzieje? Freddy pewnie się już ożenił... Może siedzi w Australii albo nawet w więzieniu? Kto wie, czy w ogóle żyje? W końcu minęło siedem lat. Przysięga! jej, że wróci, ale wtedy był porywczym młokosem; na pewno dawno już o niej zapomniał.

Rzecz w tym, że ona nie zapomniała o nim.

Doktor Blackwell nalała Samancie herbatę.

— Niemal zazdroszczę ci, kochanie, tego, że wszystko dopiero przed tobą. Medycyna stoi u progu wielkiej rewolucji i obawiam się, że nie dożyję już dni jej triumfu. Ale ty, Samanto, będziesz tę rewolucję tworzyć.

Dziewczyna uśmiechnęła się, wdzięczna, że doktor Blackwell odrywa ją od smutnych myśli.

— Wiesz, w King's College pojawił się lekarz, wokół którego zrobił się pewien szum, niejaki doktor Lister. Lister twierdzi, że osiągnął cudowne rezultaty w Królewskim Szpitalu w Edynburgu. Mówi, że rany leczone jego metodą, takie, w których na ogół zawsze rozwija się śmiertelna dla pacjenta gangrena, dzięki opatrunkowi nasączonemu kwasem karbolowym goją się w parę tygodni. Opowiadano mi o przypadku chłopca, którego ramię dostało się w fabryce między tarczę obrotową a pas napędowy. Ciało było tak strasznie poharatane, że jedynym możliwym sposobem na uratowanie chłopca wydawała się amputacja całego ramienia. Ale wtedy właśnie na scenę wkroczył doktor Joseph Lister i oznajmił, że chce chłopca poddać nowatorskiej metodzie leczenia. Zrobił coś, na co nikt przed nim jeszcze się nie ważył. Nastawił kości, zszyl ranę i nałożył na okaleczone ciało opatrunek nasączony kwasem karbolowym. Wszyscy twierdzili, że popełnia straszną pomyłkę, bo przy natychmiastowej amputacji ramienia chłopiec ma szansę ujść z życiem, gdy tymczasem bez tego zabiegu w rozharatanym ciele z pewnością rozwinię się śmier-

teina w skutkach gangrena. A jednak nastąpił cud. Doktor Lister zdjął okład z karbolu i okazało się, że rana się goi. Siedem tygodni po wypadku chłopiec został odesłany do domu z idealnie wygojonym ramieniem.

— Ale jak to możliwe? Zawsze mi pani mówiła, że jedyną skuteczną metodą jest „otwarte” leczenie ran, bo pod opatrunkiem gromadzi się zepsute powietrze.

— Pewnie się myliłam. We Francji Pasteur badał pod mikroskopem kwaśniejące wino i mleko i twierdzi, że odkrył przyczynę procesu fermentacji: maleńkie organizmy niewidoczne gołym okiem, mikroby. W Niemczech doktor Koch utrzymuje, że odkrył mikroskopijnej wielkości żyjątka, które wywołują wśród owiec i bydła chorobę zwaną wąglikiem. Lister nazywa je bakteriami, twierdzi, że to właśnie one, a nie zepsute powietrze wywołują zakażenia ran. Jego zdaniem bakterie giną w roztworze fenolu, czyli kwasu karbolowego. Pod opatrunkami nasączonymi roztworem kwasu karbolowego rany goją się bez ropy.

— Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego. Rana musi rościć, żeby się zagoić!

— Najprawdopodobniej wszyscy byliśmy dotąd w błędzie. — Spódnice doktor Blackwell szeleściły, gdy podchodziła do kominka. Srebrne pasemka w jasnych włosach lśniły refleksami popołudniowego słońca, wdzierającego się przez okno salonu. — Medycyna się zmienia, kochanie. Mocno wierzę, że na skutek tych zmian będziemy mieć też więcej lekarek. Na razie jest nas niewiele, Samanto. W Anglii są tylko dwie kobiety zarejestrowane w Brytyjskim Towarzystwie Lekarskim, doktor Garrett i ja. Zresztą wyłącznie dzięki temu, że wykorzystaliśmy istniejące wówczas luki prawne, ale ta droga jest już dzisiaj zamknięta. Jestem jednak głęboko przekonana, że już wkrótce mężczyźni tę walkę przegrają. Na razie szkoły medyczne w Anglii są dla nas zamknięte. Ale pewnego dnia otworzą przed nami podwoje!

Zaczerpnęła tak głęboko tchu, że aż zaskrzypiały fiszbyny gorsetu.

— Boję się też, że nowa szkoła pielęgniarska nie pomaga naszej sprawie.

Nic z tego, o czym doktor Blackwell mówiła, nie było dla Samanty nowością. Dziewczyna już nieraz słyszała utyskiwania Elizabeth, że nowy rewolucyjny styl pielęgniarstwa, zapoczątkowany przez Florence Nightingale, przyciąga do założonej przez nią szkoły dziewczęta, które pozbawiane tej możliwości być może walczyłyby o przyjęcie do akademii medycznych. Szkoła pani Nightingale przy szpitalu Św. Tomasza była pierwszą próbą uczenia niezamężnych kobiet zawodu i jej popularność rosła z dnia na dzień; była również wysoce kontrowersyjnym eksperymentem i Florence Nightingale musiała się stale mieć na baczności i wciąż odpierać krytykę.

Chociaż Florence Nightingale mocno podważała podstawy organizacji świata medycznego, zadała cios wiktoriańskiej mentalności i w związku z tym można ją uznać za feministkę, w gruncie rzeczy wcale nią nie była. Żyła w głębokim przekonaniu, że kobiety nie dorównują mężczyznom. Wpajała uczennicom konieczność absolutnego podporządkowania się mężczyznom; gniewały ją przypadki zachowania, jej zdaniem nie licującego z istotą kobiecości. Była też zagorzałą przeciwniczką kształcenia kobiet w akademiach medycznych, twierdząc, że te, które ukończyły studia, zajmują jedynie miejsce trzeciorzędnych mężczyzn. Poza tym, zdaniem tej wspaniałej kobiety, nie istniało zapotrzebowanie na lekarzy w spółnicach.

Samanta poznała Florence Nightingale. Doktor Blackwell zabrała ją w ubiegłe wakacje do szpitala Św. Tomasza przy Albert Embankment naprzeciwko nowego gmachu Parlamentu i tam Samanta miała okazję zaobserwować, z jak głębokim wstydem wiele kobiet poddaje się badaniom prowadzonym przez lekarzy mężczyzn. Tam też dowiedziała się od doktor Blackwell, że wiele kobiet woli raczej poddać się cierpieniom i chorobom niż tak zawstydzającym badaniom.

Ze szpitala udały się do domu sławnej pryncypałki, która złożona niemocą, wywołaną nadmiernym sforsowaniem organizmu w czasie wojny krymskiej, nie wstawała już z łóżka. Florence Nightingale przyjęła swoją przyjaciółkę i jej protegowaną na audiencji niczym królowa rozdzielająca łaski. Na Samancie zrobiła wrażenie kobiety pełnej sprzeczności: mała

i drobna z wyglądu, miała duszę olbrzymki. Całe popołudnie z zapamiętaniem dyskutowały nad sprawą kobiet szturmujących akademie medyczne i Samanta nie bała się wyrazić własnego poglądu. Na zakończenie spotkania Florence Nightingale ofiarowała im kawałek ciasta do domu.

Doktor Blackwell wyrwała się z zamyślenia i spojrzała na młodą przyjaciółkę.

— Musisz szybko podjąć decyzję, kochanie, bo twój czas u Playellów dobiegł końca.

Samanta westchnęła głęboko.

— Przemyślałam wszystko, o czym mi pani mówiła, i choć wiem, że największe szanse z pewnością mam w Ameryce, nie mogę spokojnie myśleć o tym, że musiałabym wyjechać z Londynu.

Elizabeth Blackwell studiowała medycynę w Ameryce (stąd jej dziwny akcent) i mocno wierzyła, że i dla Samanty jest to najlepsza droga. Jej piękne, głęboko osadzone oczy — na jedno już nie widziała na skutek infekcji, którą zła-pała lecząc niemowlę — w zamyśleniu spoczęły na dziewczynie.

— Czy to jakiś mężczyzna tak cię tu trzyma, moje dziecko? — zapytała łagodnie po chwili.

Samanta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Lekarka roześmiała się cicho.

— Widziałam już ten wzrok, Samanto. W lustrze... Kochanie... — Przysiadła się do niej na sofie i dodała szybko: — Powiem ci coś, z czym się nigdy przed nikim nie zdradziłam. Kiedy byłam młodą dziewczyną, nie pchało mnie do zawodu żadne powołanie. Tak naprawdę podjęłam bardzo wyrozumowaną decyzję, która wzięła się z kłopotliwych spraw damsko-męskich.

Samanta otworzyła szeroko oczy.

— Widzisz, kochanie, zawsze byłam bardzo czuła na męskie wdzięki. Całe życie kochałam się to w tym, to w tamtym. Szybko doszłam do wniosku, że to się może przyczynić do mojej zguby. Zorientowałam się, że łatwo dam sobą manipulować, jeśli nie zdołam się jakoś opancerzyć. Instynkt mi podpowiadał, że jest we mnie jakaś naturalna skłonność, żeby

ulegać mężczyznom. Czułam, że jeśli zrobię to chociaż raz, na zawsze zostanę ich niewolnicą.

Przed oczami Samanty mignęły twarze mężczyzn, których kochała i straciła: ojca, brata, Hawksbilla, Freddy'ego...

— Musiałam stworzyć jakąś trwałą barierę, która chroniłaby mnie przed nimi... — ciągnęła Elizabeth. — Bariere, która stworzyłaby mi szansę na życie o własnych siłach. Postanowiłam zrezygnować z małżeństwa i kontaktów z mężczyznami na gruncie towarzyskim, tak jak alkoholik, który nie może sobie pozwolić choćby na jeden kieliszek, wiedziałam bowiem, że nie stać mnie na półśrodki. Musiałam znaleźć coś, co oderwie moje myśli od mężczyzn, jakiś cel w życiu, który zapełni pustkę i nie da mi zwiędnąć w smutku. Skoro nie mogłam czerpać satysfakcji z męża i dzieci, musiałam jej szukać gdzie indziej. Dokonałam mądrego wyboru decydując się na medycynę, ponieważ żaden mężczyzna nie chce mieć żony lekarki.

— Naprawdę?

— W Ameryce, a przecież to ogromny kraj, niemal cały kontynent, jest pięćset lekarek, a tylko nieliczne z nich są zameżne. Te, które wyszły za mąż, mają mężów lekarzy.

— Dlaczego?

— Z powodu głęboko zakorzenionych uprzedzeń, kochanie. Żyjemy w czasach męskiej dominacji. Kobiety stanowią zagrożenie dla ich niepodzielnej władzy. Ktoś porównał walkę kobiet o przyjęcie na studia do szturmowania twierdzy. Zupełnie jakbyśmy chciały zburzyć wzniesione przez mężczyzn umocnienia. Nie potrafię ci wyjaśnić, czego tak się boją. Mogę tylko stwierdzić, że w ciągu trzydziestu lat praktyki lekarskiej nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który by nie okazał przed nami strachu. Szydzą z nas, Samanto. Pewien wielki chirurg powiedział kiedyś, że ludzie dzielą się na trzy grupy: na mężczyzn, kobiety i lekarki. Nieraz usłyszysz, że jesteśmy „kurami medycznymi”. Nie wiedzą, jak nas zaszufłakować. Nie jesteśmy ani damami, ani ładacznicami, tylko jakąś groteskową mieszaniną obu tych gatunków. A zatem, kochanie, żeby wywalczyć sobie prawo funkcjonowania w zawodzie na równi z mężczyznami, musisz być od nich lepsza. A kiedy już to

osiągniesz, który z nich zechce się z tobą ożenić? Podjęcie decyzji, że chcesz zostać lekarką, jest praktycznie równoznaczne ze skazaniem się na staropanieństwo.

Samanta opadła plecami na oparcie sofy i długo patrzyła w filiżankę z wystygłą herbatą.

Pani Steptoe ledwie się mogła powstrzymać od gniewnego wbijania palców w ramię fotela. Bardzo się starała nie okazywać wściekłości. Jak on śmie! — kipiała w duchu gniewem i z trudem powściągała złość. Jak ten nieokrzesaniec śmie tu przychodzić i mieć czelność myśleć, że zabierze mi moją Samantę!

— A więc jak już mówiłam, panie Hawksbill, Samanta wyjechała ze szkoły tydzień temu i nie podała nam nowego adresu.

Freddy nie przestawał obracać czapki w szorstkich dłoniach. Siedział na brzegu miętko wyściełanego krzesła, jakby przestraszony, że jego proste ubranie może pokalać brokat.

— I już tu nie wróci? — zapytał.

Z całą pewnością nie wróci do ciebie! Samanta należy do mnie.

— Wątpię bardzo, panie Hawksbill. Mówiła coś o wyjeździe do Francji.

— Ale z pewnością do pani napisze!

Pani Steptoe mocno zacisnęła wąskie usta. Wyoś się stąd, ty prostaku! — myślała.

— Być może napisze.

Freddy sięgnął do kieszeni dwurzędowego granatowego kubraka z szorstkiej wełny i wyciągnął zaklejoną kopertę.

— Gdyby pani miała jakąś wiadomość od niej — powiedział wręczając przełożonej kopertę — proszę jej to przekazać. Tu jest mój adres w Londynie. Dostałem pracę w dokach na najbliższe pół roku. Niech jej pani powie, że czekam na nią.

Pani Steptoe ostrożnie ujęła kopertę i sztywno wstała.

Odbierając ten sygnał właściwie, Freddy Hawksbill — przyjął bowiem nazwisko człowieka, który uratował mu życie — podniósł się niezręcznie z krzesła i zasalutował do czoła.



— Dziękuję pani. Serdecznie dziękuję za pomoc.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, a pani Steptoe ujrzała na ścieżce jego masywną sylwetkę i odrażająco kulawy krok, płynnym ruchem odwróciła się od okna, dystygownie podszła do kominka i wrzuciła kopertę do ognia.

## 17

Powóz kołysał się łagodnie z boku na bok, stukot końskich podków hipnotycznie dźwięczał w uszach, ale Samanta nie drzemała, jak to na ogół miała w zwyczaju w drodze ze stacji do szkoły. Szalała w niej istna burza myśli.

Trzeba było już nieodwołalnie podjąć decyzję, co ze sobą w życiu zrobić.

Słyszała nie dające jej spokoju głosy. „Na pewno wrócę, Sam. Wrócę, zobaczysz.” To Freddy.

I doktor Blackwell: „Postanowiłam stworzyć sobie szansę na życie o własnych siłach”.

„Nasz los został przesądzony.” To znowu James, gdzieś z zaświatów. „Ale zapamiętaj, co mówię: nadejdzie i twoja kolej.”

Mocno zacisnęła powieki.

Tak, tato, chciałbyś, żeby tak było, prawda? Najpierw Matthew, potem James, teraz ja. Po osiemnastu latach wzięłbyś pełny odwet...

Ale nic z tego. Sama odnajdę drogę na tym świecie, bez pomocy mężczyzn. Freddy odszedł, zapomniał już o mnie. Poradzę sobie sama. W Ameryce...

## 1

— Nie przerywajcie kręgu — powiedziała gardłowo Luiza z dramatycznie odrzuconą do tyłu głową. — I nie otwierajcie oczu. Musimy się skoncentrować. Musimy się otworzyć na przyjęcie ducha. Musimy się nastawić na odbiór. Skupcie się, moje panie, skupcie...

Samanta zwalczyła w sobie chęć otworzenia oczu i sprawdzenia, co dzieje się dookoła. Wiedziała, co zobaczy. Pięć młodych kobiet wokół stołu w jadalni, które trzymają się za ręce, mocno zaciskając powieki, i migotliwy blask ustawionej pośrodku stołu świecy, odbijający się na ich skupionych twarzach. A poza nimi ciemność.

Wcześniej siedziały w eleganckim saloniku pani Chatham, wykorzystując ten jeden jedyny wolny wieczór w tygodniu, żeby coś tam zacerować, pozszywać, napisać jakiś list, czy przeczytać najnowsze sensacyjne wiadomości w „Illustrated Newspaper” Franka Lesliego. Cała piątka ciężko harowała, Luiza aż czternaście godzin na dobę. Błada Helena znalazła posadę w bibliotece; siostry Wertz pracowały jako sprzedawczynie przy Piątej Alei; pulchna Naomi była pomocnicą modystki, a śliczna zielonooka Luiza złapała najbardziej prestiżowe zajęcie: pisała na maszynie w nowej centrali telefonicznej Bell Company.

Samanta czuła, jak dłoń Luizy zaciska się w jej dłoni, i usłyszała śpiewny głos koleżanki:

— Czuję, że otwiera się przejście... Puszczają bariery... Zbliżają się duchy...

Pół godziny temu Luiza ze znużeniem odrzuciła czasopismo i zaproponowała, żeby urządzić seans spirytystyczny. Powiedziała Samancie, że w zeszłym miesiącu zebranych w tym salonie dziewczętom udało się wywołać ducha Joanny d'Arc. Zaraźliwa energia Luizy i jej błyszczące malachitowe oczy sprawiły, że Samanta nie potrafiła odmówić. Dopiero teraz, kiedy po ciemku trzymały się za ręce i gdy słuchała śpiewnego zawodzenia Luizy, z niechęcią zmarszczyła czoło. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyła sobie w nowym kraju, był kontakt z umarłymi.

— Czuję czyjaś obecność! — wykrzyknęła Luiza. Jedna z dziewcząt ze świstem wciągnęła powietrze i Samanta poczuła, jak Naomi zaciska wilgotne palce na jej dłoni.

— Kto to? Daj nam znak... — Luiza przeciągała sylaby. Wbrew temu, co Samanta na ten temat myślała, serce w niej mocniej zabiło.

Dwa dni temu przypłynęła do Ameryki statkiem *Serria*. Za radą doktor Blackwell wykupiła bilet drugiej klasy, dzięki czemu nie musiała przechodzić poniżającej kwarantanny i dezynsekcji, jakiej poddawani byli wszyscy pasażerowie najtańszej klasy. Bilet kosztował dużo — niemal połowę kwoty, jaką uzyskała ze sprzedaży domu przy Crescent Street — ale wart był swej ceny. Jakiś uprzejmy celnik pobieżnie sprawdził jej bagaż, ktoś szybko przejrzał dokumenty, i już była wolna. Ale po drugiej stronie ogrodzenia widziała gęsty tłum imigrantów, z których większość niosła cały swój dobytek w papierowych zawiniątkach. Pędzono ich jak bydło: Niemców w spodniach ze skóry, Holendrów w sabotach, wymieszanych z Irlandczykami w czarnych pelerynach z kapturem — była to istna wieża Babel. Jak słyszała, okres kwarantanny mógł trwać od kilku godzin nawet do kilku dni. I to, jak tu, w Ameryce, traktowano ludzi, zależało od ceny biletu!

Z okolic parku Battery dotarła do części miasta położonej między Greenwich Village i Lower East Side, tak jak jej radziła doktor Blackwell. Tutaj podobno było czysto, przyzwoicie i niedrogo. Po krótkim marszu Houston Street Samanta

ujrzała w oknie domu pani Chatham wywieszkę: „Pokoje do wynajęcia. Nie przyjmujemy Żydów i Włochów.”

W dwupiętrowym budynku z czerwono-brązowego kamienia mieszkała pani Chatham, prostoduszna trzynastoletnia dziewczynka najęta do sprzątanania oraz pięć młodych lokatorek. Samanta dostała pokój na spółkę z Luizą Binford, swoją rówieśnicą.

To było w piątek. Samanta wraz z panią Chatham zjadła cichą kolację — pieczonego kurczaka w sosie z jajek — a potem znużona udała się do łóżka. Nie mogąc zasnąć, wsłuchiwała się w nieregularne cykanie grzejnika, daleki łoskot nadlicznej kolei żelaznej i łykała łzy tęsknoty za domem.

Następnego ranka przy śniadaniu poznała resztę mieszkanek domu, wszystkie miały na sobie długie ciemne spódnice i białe bluzki. Zadały jej parę zdawkowych pytań, a potem chwyciły kapelusze oraz szale i popędziły do pracy. Cały rano siedziała w saloniku i przeglądała gazety, aż wreszcie postanowiła odnaleźć New York Infirmary — szpital, który jak się okazało, usytuowany był niedaleko, przy Drugiej Alei. Umówiła się tam na poniedziałek na rozmowę z doktor Emilią Blackwell, siostrą Elizabeth.

Na każdym kroku wszystko boleśnie jej przypominało, że jest obca w tym nieznanym sobie kraju, że stała się dobrowolną banitką z ukochanej Anglii. Każdy fragment tego przerażającego miasta, każda sylaba dziwnie zaznaczona amerykańskim akcentem, każdy obcy zwyczaj, jaki zaobserwowała na ulicach (na przykład powozy jeździły niewłaściwą stroną jezdni), sprawiał, że coraz bardziej opuszczała ją siła i odwaga. Czy aby dokonała trafnego wyboru? Co będzie, jeśli się okaże, że ten nowy, nieujarzmiony kraj stanie się miejscem jej upadku?

— Kim jesteś? — zawodziła Luiza. — Kto nas raczył odwiedzić?

Jadalnię zalegała niczym nie zmacona cisza. Samanta gotowa była przysiąc, że słyszy jedno bicie sześciu przestraszonych serc. Niemożliwe! — pomyślała, a jej palce instynktownie zacisnęły się na dłoni Luizy. Nie można wskrzesić umarłych...

— Przyszedł, by porozmawiać z którąś z nas. Próbuje nawiązać kontakt z kimś siedzącym przy stole.

Samanta czuła, że ma przyspieszony oddech.

— Daj nam znak, o przybyśzu z zaświatów! — zawołała Luiza przenikliwie. — Z kim chciałbyś nawiązać rozmowę?

Samanta usłyszała jakiś cichy jęk. Odrzuciła głowę w tył i uchyliła powieki. Po drugiej stronie stołu dostrzegła dziwną zjawę. Ujrzała poświatę, jakby rozjaśnioną od środka, która unosiła się w ciemności na tle przeciwległej ściany. Mimowolnie gwałtownie zaczerpnęła tchu.

— Co to! — wykrzyknęła Luiza, kołyszając wiotkim ciałem. — Do kogo przyszedłeś, o duchu? Przemów do nas, duchu, który przybyłeś tu ze świata bez powrotu...

Nagle dał się słyszeć jęk, a zaraz potem łoskot.

Podnosząc głowę i otwierając oczy, Samanta zobaczyła zgiętą w pół Edith Wertz, schyloną nad czymś na podłodze. Świetlista aureola zniknęła.

Natychmiast wszystkie zerwały się na nogi. Luiza spiesznie zapalała błękitne gazowe płomyki, a tymczasem Samanta podbiegła do przeciwległego krańca stołu. Anemiczna Helen leżała jak długa na podłodze — obok niej przewrócone krzesło — a jej wzburzone włosy tworzyły jasną chmurę wokół głowy. To właśnie był „duch” Samanty.

— Zemdlała. Przyniescie sole trzeźwiące pani Chatham.

Kilka minut później Helen spoczywała już na czerwonej pluszowej sofie z wilgotną chusteczką przyłożoną do czoła i skroni.

Patrzyła na nachylone nad nią twarze; widziała przestrach w oczach koleżanek.

— Co się stało?

— Duch usiłował nawiązać kontakt z tobą! — wykrzyknęła Luiza, przysiadając na brzegu sofy. — Ale nie wykazałaś dość siły, żeby go przyjąć.

Przyglądając się zszarzałej twarzy Helen, jej zwężonym źrenicom, charakterystycznemu zabarwieniu ust, Samanta nabrała podejrzeń, że powodem omdlenia Helen było coś zupełnie innego.

Luiza wstała, wygładziła spódnice, ułożyła fałdy zebrane nad turniurą.

— No cóż, wszystko przepadło. Nie ma co próbować jeszcze raz.

— Może w przyszłym tygodniu — zaproponowała Naomi; oczy jej błyszczały z emocji, a na sukni pod pachami widać było mokre półksiężycy z potu. — Ojej, ciekawe, kto też usiłował się z tobą skontaktować, Helen!

Helen pokręciła głową.

— Nie mam żadnego znajomego nieboszczyka.

Samanta zaprowadziła Helen do sypialni i postanowiła posiedzieć przy niej, dopóki dziewczyna nie dojdzie do siebie na dobre. Helen nastawiła wodę na maszynie spirytusowej — na co pani Chatham zezwalała lokatorkom — a później wsypała kilka listków herbaty do wyszczerbionego imbryczka.

— Będzie słaba, ale dla dwóch osób starczy — mruknęła zawstydzona.

Samanta usiadła wygodnie w jedynym fotelu w pokoju i rozejrzała się po sypialni. Pani Chatham twierdziła z dumą, że gwarantuje lokatorkom miłe wnętrza. Pokój Helen podobny był do innych — wyposażony został w jednoosobowe mosiężne łóżko z kordonkowa narzutą, mahoniową szafę i toaletkę, na której stała fajansowa miska i dzbanek. Na podłodze leżał robiony szydełkiem kolorowy chodniczek na podkładzie z juty; litografie od Curriera i Ivesa przedstawiające rzeki Hudson i Missisipi ozdabiały ściany, w oknach zaś wisały marszczone zasłony, kryjące widok muru za oknem.

Helen przysiadła na łóżku, nerwowo wyłamując palce.

— Zemdlałam już drugi raz w tym tygodniu. Odkładałam książki na półki, kiedy nagle ocknęłam się na podłodze. Otworzyłam oczy i naraz zobaczyłam sufit. Pan Grant, bibliotekarz, wściekł się. Myślał, że udaję. Powiedział, że ostatnio ruszam się jak mucha w smole i że się objam.

Samanta czekała cierpliwie, bez słowa, a tymczasem Helen nerwowo skubała spódnice.

— Nie chcę stracić posady w bibliotece. Miałam szczęście, że ją w ogóle dostałam. Nic innego nie umiem robić. W Nowym Jorku z pracą jest krucho. Setki dziewcząt czekają

na moje miejsce. A nie mogę wrócić do ojca, bo... bo...  
— Schyliła głowę.

Kiedy woda zawrzała, Samanta zrobiła herbatę. Napar był bardzo słaby i Samanta żałowała, że nie dosypała do imbryka własnej herbaty, ale piła, żeby nie być nieuprzejmą.

Helen patrzyła na nią oczami sarny.

— Nie mam żadnych oszczędności. Mieszkam na Manhattanie dopiero od trzech miesięcy. Jeśli ktoś zwróci zniszczoną książkę, bibliotekarz strąca mi z pensji. Muszę się ładnie ubierać do pracy, a sama wiesz, jak drogie są ubrania.

Samanta przyglądała się uważnie mlecznobiałej twarzy; dostrzegła drżenie w kącikach ust. Po chwili łagodnie spytała:

— Co ci jest, Helen?

Dziewczyna wbiła wzrok w herbatę, potem uparcie przyglądała się filiżance nie pasującej wzorem do pękniętego spodeczka i pokręciła głową.

— Nie musisz mi mówić, jeśli nie masz ochoty, ale to czasem pomaga.

Upłynęły kolejne minuty. Na zewnątrz koła powozów stukotały o bruk. Skądś z dali, znad dzielnicy slumsów, dochodziły stłumione dźwięki niemieckiej kapeli ulicznej. Wreszcie Helen podniosła wzrok; oczy miała rozszerzone strachem.

— Mam pewien... pewien kłopot — powiedziała cicho.

— Sprawy kobiece?

Spłonęła rumieńcem i skinęła głową.

— Co takiego? — dopytywała się Samanta.

Dziewczyna zacisnęła usta. Kark jej poczerwieniał z zażenowania.

— To się nie chce skończyć... — szepnęła. — Ciągłe leci...

Samanta odstawiła filiżankę i usiadła przy Helen na łóżku.

— Od jak dawna?

— Już dwa tygodnie. Normalnie trwa najwyżej cztery dni, ale tym razem nie chce się skończyć.

— Dużo tego?

— Tak.

Samanta nie odrywała wzroku od wystrzępionych mankietów prostej bluzki Helen.

— I co z tym zrobisz?

Dziewczyna nachyliła się i wyciągnęła buteleczkę zza naf-  
towej lampy z daszkiem, stojącej na stoliku przy łóżku.  
Samanta przeczytała napis na etykiecie: „Mikstura pani Lydii  
E. Pinkham na składnikach warzywnych”.

— Tu jest napisane, że leczy wszelkie kobiece dolegli-  
wości — powiedziała Helen, uprzedzając przewidywany  
atak.

— Od jak dawna to bierzesz?

— Już ponad tydzień, ale na razie nie czuję poprawy.

Samanta odstawiła butelkę.

— Helen, musisz pójść do lekarza.

— Nie!

Zareagowała tak szybko i tak gwałtownie, że jej postawa  
całkowicie zaskoczyła Samantę.

— Dlaczego nie chcesz?

— Nie zniosłabym tego. Chcę powiedzieć, że... że męż-  
czyzna, no wiesz... Wstydziłabym się.

— Ależ doktor to nie to samo co taki zwykły mężczyzna!  
Helen, lekarza szkoli się specjalnie w tym...

Helen gwałtownie potrząsnęła głową.

— Wszystko mi jedno. Nawet jak są dobrze wyszkoleni,  
to i tak nie jest normalna sytuacja. Mężczyzna jest mężczyzną  
i niemożliwe, żeby omawiając intymne kobiece problemy cze-  
goś tam sobie przy okazji nie pomyślał.

— To może znajdziesz sobie jakąś lekarkę?

Helen patrzyła na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

— Niby po co?

— Skoro wstydzisz się rozmawiać z mężczyzną...

Helen znów potrząsnęła głową.

— Do kobiety nie miałabym zaufania. Większość z nich  
to znachorki.

Samanta wyprostowała plecy i rozmasowała sobie kark.  
Była bardzo zmęczona; dziesięciodniowa podróż statkiem zro-  
biła swoje.

— A ty nie możesz mi pomóc?

— Ja? Nie jestem lekarzem. — Nie zwierzyła się jeszcze  
współlokatorcom, w jakim celu przyjechała do Ameryki.



— Ale to są niedobre objawy, Helen, i potrzebna ci fachowa porada. Ta mikstura niczego nie załatwi.

— Czytałaś etykiety!

— Helen, przecież na etykietach można napisać wszystko, co tylko się zechce, i dobrze o tym wiesz. Sama się oszukujesz.

— Na pewno przejdzie mi samo. Wszystko przez to zmęczenie. Jestem na nogach dwanaście godzin dziennie i mam tylko piętnastominutową przerwę na lunch. Do tego jeszcze dojazd do biblioteki zabiera mi godzinę. Jeżdżę konnym autobusem uczepiona rzemiennego uchwyty. To musi się jakoś odbić na delikatnych kobiecych organach.

— Helen, nie pomagasz sobie...

— Nie pójdę do doktora, i już!

Luiza była już w łóżku; siedziała oparta o poduszki i z zapamiętaniem czytała jakiś romans. Znużona Samanta ospale umyła się nad miską, a potem włożyła koszulę.

— Doszła już do siebie? — zapytała Luiza, odkładając książkę.

Samanta wsunęła się w chłodną czystą pościel.

— Tak.

Luiza przyglądała się jej jakiś czas; nowa współlokatorka wciąż była tajemnicą.

— Tęsknisz za domem?

Samanta wetknęła sobie pod plecy zwiniętą poduszkę i skinęła głową. Tęskniła, ale nie tylko to ją gnębiło. Czuła zimny paraliżujący strach, pod którego wpływem wyparowywała z niej pewność siebie. Miała osiemnaście lat i była sama w tym przytłaczającym mieście — bez przyjaciół, bez krewnych. Dysponowała bardzo skromnym zasobem pieniędzy. Co ją właściwie opętało, żeby tu przyjechać?!

— Zawsze tak jest na początku — dobiegł ją cichy głos koleżanki. — Rok temu wyjechałam z Cincinnati i przez miesiąc co noc drżałam jak liść na wietrze!

Odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. Luizę można było określić jednym słowem: zachwycająca. Miała niesamowity wdzięk — z twarzą okoloną złocistymi lokami i zielonymi

oczyma, w których błyszczały iskierki wesołości, wyglądała jak wróżka.

— Ale potem doszłam do wniosku, że to przecież wspinała przygoda! Nie ma tu ojca, który by marszczył ciągle brwi w dezaprobachie, ani wymagającej mamy. Jestem sama, nikt mnie nie pilnuje!

Samanta uśmiechnęła się. Luiza Binford lubiła mówić o sobie, że jest wyzwolona. Raz grała nawet w tenisa na Long Island i otwarcie się tym przechwalała.

— Posłuchaj, Samanto, wszystkie jesteśmy zdane tu tylko na siebie, jesteśmy z dala od domu. Samodzielnie idziemy przez życie. Czy nie uważasz, że to jest strasznie ekscytujące?

Samanta przypomniała sobie w duchu, jak bardzo zaskoczył ją fakt, że kiedy weszła do domu pani Chatham, ujrzała w nim młode, samodzielne i przyzwoite dziewczęta, które same zarabiają na życie — bez nadzoru męża, ojca czy krewnego. O takich rzeczach w Anglii w ogóle się nie słyszało. Samotna kobieta albo natychmiast zostawała zaszufladkowana jako stara panna, albo też jej cnota od razu budziła zasadnicze podejrzenia. Choć pośród tych dzielnych młodych kobiet czuła się jak ryba wyrzucona na piach, podziwiała ich ambicję i niezależność.

— Ale nie oszukujmy się. Nowy Jork nie jest miastem dla każdej dziewczyny — ciągnęła Luiza. — Dla większości z dziewcząt byłoby dużo lepiej, gdyby zostały w domu.

— Dlaczego?

— Bo straszne, niewypowiedziane straszne rzeczy mogą się im przytrafić, jeśli tylko na chwilę przestaną się mieć na baczności. Pieniądze kończą się szybciej, niż sobie wyobrażały, a one zaraz są już jedną nogą w półświatku, gdzie spotyka je przepotworny los! W „Police Gazette” można się o tym nacytać! Ale ja na przykład — w tym miejscu kokieteryjnie potrząsnęła lokami — jestem z tych, które dają sobie radę. Mam zamiar bogato wyjść za mąż, mieć powóz z czwórką koni idealnie dobranej maści, wyściełany atłasem w odcieniu pasującym mi do włosów.

Samanta w zamyśleniu przyglądała się spłowiełej wstążce wplecionej w mankiet nocnej koszuli.

— A po co ty przyjechałaś do Nowego Jorku? — zapytała Luiza po chwili milczenia.

— Żeby się uczyć.

— Czego?

— Chcę być lekarką.

Na króciutką chwilę w pokoju zapanowała cisza, a potem Luiza krzyknęła:

— Lekarką! Jakie to absolutnie cudowne!

Samanta zmarszczyła czoło.

— Rozgorzała niesamowita walka! — zachłystywała się zachwycona Luiza. — Chcą zmusić uniwersytet harwardzki do przyjęcia kobiet na studia! Prasa się wprost zaplują na ten temat! Znajdziesz się w oku cyklonu! — gorączkowała się.

Samanta uśmiechnęła się przeprasząco.

— Obawiam się, że nie złożę podania do Harvardu. Wybieram się do przyszpitalnej szkoły przy Drugiej Alei.

— O... — Entuzjazm Luizy wyraźnie przygasł.

— A co w tym złego?

— Myślałam, że chcesz być taką prawdziwą lekarką.

— Co masz na myśli?

— Hm, nie wszyscy uważają absolwentów szkół przyszpitalnych za prawdziwych doktorów. Choć przypuszczam, że od strony prawnej są takimi samymi lekarzami jak inni.

— Nie rozumiem.

— Może u was, w Anglii, jest inaczej, Samanto, ale tutaj mamy tak zwanych prawdziwych i nieprawdziwych doktorów. Widzisz, w Ameryce każdy może się nazwać doktorem. Wystarczy, że wywiesi odpowiednią tabliczkę, do tego nie potrzeba dyplomu medycyny. Homeopaci, metodyści leczący wodą, grahamiści, mesmeryści, magnetyści, wszyscy nazywają siebie doktorami. Mają wanny z wodą, magnesy, elektryczne pasy, Graham ma swoje cudowne leki na wszystko, a z drugiej strony są doktorzy lekarze, ci, którzy studiowali medycynę, tacy, o jakich obie teraz myślimy. Ale wszyscy ciągle ze sobą rywalizują, ci prawdziwi z nieprawdziwymi, tak że zrobił się z tego wielki galimatias.

— Ale pacjenci z pewnością wolą szkolonych doktorów.

— Pewnie! Tylko kto może z góry wiedzieć, z kim ma do czynienia? Idziesz do kogoś, kto się nazywa doktorem, i dopiero w trakcie leczenia stwierdzasz, że cię nabito w butelkę. Dodaj sobie do tego jeszcze doktorów w spódnicy, a od razu zrozumiesz, co mam na myśli.

— Przecież sam fakt, że są kobietami, nie znaczy, że to oszustki.

— Wszystko jedno. Ludzie zakładają, że to szarlatanki.

— Nawet jeśli takie lekarki mają dyplomy medycyny?

— Niemożliwe. Kobiety nie mają wstępu na prawdziwe uczelnie. Właśnie dlatego mówiłam ci o Harvardzie.

— Doktor Blackwell opowiadała mi, że w Ameryce jest wiele szkół medycznych, do których przyjmują kobiety.

— Jasne, ale to wszystko są żeńskie kolegia. Ludzie oczywiście natychmiast uznają, że skoro kobieta skończyła taką szkołę, to znaczy, że nie może być za dobra, bo zadowolila się czymś gorszym. No więc jest gorsza.

— Rozumiem...

— Ale nie przejmuj się tym, co mówię, Samanto. Jestem przekonana, że świetnie ci pójdzie w tej szkole. Ta przy Drugiej Alei cieszy się dobrą opinią. Ale ja na przykład nie mogłabym się zajmować chorymi. Uwielbiam swoją pracę!

Zaczęła opowiadać, jak sprytnie załatwiła sobie posadę maszynistki w nowej centrali Bella przy Nassau Street.

— Dali ogłoszenie, że szukają młodego mężczyzny, i bardzo się zdziwili, kiedy zobaczyli mnie w tłumie mężczyzn. Było ich mnóstwo, na oko z sześćdziesięciu, do tej jednej posady. No więc zaszokowałam wszystkich i chcieli mnie stamtąd przepędzić. Kierownik powiedział mi prosto w nos, że pewnie się źle prowadzę, skoro ubiegam się o pracę maszynistki!

— Więc jak ją dostałaś?

— Oczarowałam w końcu tego starego capa. Wytknęłam mu, że zatrudnia czterech telefonistów, registratora, sekretarza i gońca, samych mężczyzn. Powiedziałam mu, żeby sobie tylko wyobraził, jak by to miło było mieć w biurze kobietę, i zamrugałam oczami. Inni rzecz jasna uważali, że to okropny skandal i że moja obecność pociągnie za sobą całkowity upadek biura, ale stary Rutgers zaczynał już mięknąć. A jak

mu jeszcze zaproponowałam, że mogę pracować za niższą stawkę, niż oferowali w ogłoszeniu, i oznajmiłam, że zadowolę się tylko połową pensji, połknął haczyk do końca. To było pół roku temu. Od tamtego czasu nauczyłam się pisać na maszynie i nawet rozmawiać przez telefon!

Samanta, zagubiona w myślach, zdawkowo kiwnęła głową. Luiza zwróciła jej uwagę na istotne problemy, których w ogóle nie przewidziała. A jeśli to prawda, co usłyszała o przyszpitalnych szkołach, o żeńskich kolegiach medycznych? Czyżby lekarki nie uchodziły tu jednak za prawdziwych doktorów? Elizabeth Blackwell nic o tym nie wspominała. I jeszcze do tego ta sprawa pieniędzy i trudności ze znalezieniem pracy! Samanta zakładała, że jeśli nie zostanie przyjęta do szkoły od razu, znajdzie sobie gdzieś pracę i jakoś przetrzyma ten okres przestoju.

Ale co będzie, jeśli to się nie uda, a pieniądze się skończą?

## 2

— Nasza szkoła powstała w odpowiedzi na istniejące zapotrzebowanie, panno Hargrave. Na każdą jedną czy dwie kobiety, którym udaje się dostać na męską uczelnię, przypadają setki, których podania odrzucono. Moja siostra założyła ten szpital w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku, a od sześćdziesiątego czwartego mamy prawo wydawać dyplomy medycyny. Dziewięć lat temu odbyła się u nas pierwsza uroczystość wręczania dyplomów pięciu świeżo upieczonym lekarkom.

Siedziały w ciasnym gabinecie doktor Emilii Blackwell. Pani doktor była bardzo podobna do siostry — przystojna, zwarta w sobie, przywodziła na myśl doskonale działający mechanizm, w którym złączyły się kobiecość i siła. Uprzejmie poświęciła czas i oprowadziła Samantę po swoim królestwie — dwóch prostych kamienicach przy Drugiej Alei, przystoso-

wanych do potrzeb szpitala. Pokazała jej oddziały, gabinet zabiegowy, przyszpitalną aptekę, ambulatorium i sale wykładowe. Samanta oglądała nieskazitelnie czyste oddziały, widziała pielęgniarki, lekarki i studentki, które zwijały się jak w ukropie, krzątając się wokół licznych pacjentek.

— Szpital powstał, żeby nieść pomoc medyczną kobietom ubogim i tym, dla których myśl o obnażeniu się przed mężczyzną jest wprost przerażająca. W trakcie pierwszego roku naszej działalności, panno Hargrave, przez szpital przewinęło się trzy tysiące pacjentek. Tak to wyglądało dwadzieścia trzy lata temu. Dziś udzielamy pomocy dziesięciokrotnie większej liczbie chorych.

Doktor Emilia Blackwell uśmiechnęła się z dumą.

— Naturalną rzeczą kolejną pomyślałyśmy więc o założeniu szkoły kształcącej dziewczęta do pracy w szpitalu. Nasze dziewczęta przyjmują pacjentki w ambulatorium, udzielają porad i odsyłają je do domu zaopatrzone w lekarstwa oraz pouczone, jak przestrzegać higieny i dbać o zdrowie. Nasz szpital mieści się w dzielnicy imigrantów, panno Hargrave, a wiele z przybyłych do Ameryki kobiet ma dość szczególne wyobrażenie o czystości. Prowadzimy też program edukacyjny, w którego ramach nasze siostry, chodząc z wizytą do chorych, przy okazji uczą ludzi elementarnych zasad higieny. Jak zapewne sama pani zdążyła już zauważyć, nasze studentki przechodzą bardzo gruntowne szkolenie praktyczne.

Samanta wyraziła niepokój związany z wartością samego dyplomu.

— Nie ukrywam, że jesteśmy teraz skazane na silne uprzedzenia i że tym nielicznym lekarkom, którym udało się zdobyć dyplom na męskiej uczelni, powodzi się lepiej od nas, ale czuję, że z czasem, kiedy udowodnimy naszą fachowość, i my zostaniemy zaakceptowane. Niezależnie od tego, co o nas mówią ludzie, jesteśmy pełnoprawną i pełnowartościową szkołą.

Samanta wyszła stamtąd z mętlikiem w głowie. Szpital zrobił na niej duże wrażenie, a możliwość dołączenia do zespołu tak postępowej instytucji oraz praca pod kierunkiem wspaniałych praktyków, jak na przykład sławnej doktor Mary

Putnam Jacobi, była nie lada okazją. Z drugiej strony jednak kobieta, którą Samanta darzyła największym podziwem, doktor Elizabeth Blackwell, ukończyła męską akademię.

Niestety, na podjęcie decyzji miała mnóstwo czasu. W tym semestrze szkoła miała już komplet studentek i dopiero za pół roku przewidywano nowy nabór. Doktor Emilia zapewniła ją jednak, że w styczniu z pewnością znajdzie dla niej miejsce. Dodała też, że tymczasem powinna się zakrzętać i znaleźć sobie posadę asystentki u jakiegoś praktykującego lekarza, żeby przed przyjęciem do szkoły gdzieś poterminować. Tak właśnie robiła większość przyszłych studentów medycyny.

W ciągu najbliższych kilku dni optymizm Samanty przeobraził się w niepokój. Nie udało się jej znaleźć miejsca u żadnego z polecanych przez doktor Blackwell lekarzy. Kilko z nich miało już asystentów, reszta zaś nie prowadziła na tyle rozległej praktyki, żeby przyjąć pomoc.

Późnym wieczorem, siedząc samotnie w pokoju, w świetle naftowej lampy przeliczyła cały swój majątek i oceniła, że przy bardzo oszczędnym wydawaniu i wielkich wyrzeczeniach pieniędzy wystarczy jej raptem na trzy miesiące. A potem...

Przede wszystkim przejrzała gazety i zakreśliła wszystkie ogłoszenia, w których lekarze szukali pomocnika. Później z adresami w rękę przeszła wzdłuż i w szerz cały Manhattan. Spotykała się z różnymi reakcjami: od nieskrywanego rozbawienia po święte oburzenie. Większość lekarzy była zupełnie wstrząśnięta jej ofertą, uznając ją za niemoralną, kilku prosto dusznie roześmiało się Samancie w nos, biorąc jej słowa za dobry żart, trzech złożyło jej nieprzyzwoite propozycje, a jeden nawet zaproponował małżeństwo.

Rozpoczęła wędrowkę od modnych kwartałów miasta i dużych ulic, potem szukała pracy w gorszych dzielnicach, aż wreszcie niechętnie weszła w Tenth Ward, rejon zwany też „świńskim targiem” albo „oddziałem tyfusu” — najbardziej zatłoczony obszar biedoty na Manhattanie. Maszerowała

brudnymi chodnikami Little Italy, dzielnicy włoskiej, gdzie krzyki dzieci przeplatały się z dźwiękami katarynek i nawoływaniem ulicznych handlarzy. Ulicami Orchard i Hester — ogłuszona krzykami szmaciarzy — szła ramię w ramię z rabinami w czarnych kapeluszach, uważnie omijając walające się w rynsztokach odpadki. Raz po raz nagabywali ją o datki starzy i młodzi biedacy, bezwstydne dzieciaki i młode nieśmiałe kobiety, skromnie okrywające szalem brzuchy wzdęte ciążą. Tu doktorów było zdecydowanie mniej, a ci, do których udało jej się dotrzeć, albo w ogóle nie mówili po angielsku, albo rozumując jak Europejczycy, usiłowali ją nakłonić do powrotu do domu, do mamy, wierząc, że tam jest jej miejsce.

Minął tydzień chodzenia po ulicach, pokonywania pięt — siedem dni powtarzania wciąż tego samego — wysłuchiwanie odmów, powrotów do domu na ostatnich nogach, moczenia stóp w misce z wodą — i siedem wieczorów strasznego zawodu. A mimo to była nieugięta. Z każdą odmową narastał w niej większy upór. Gdzieś tu, w tym mieście nieograniczonych możliwości, musi być lekarz, który przyjmie ją na praktykę.

### 3

Wypadek zdarzył się na rogu Ósmej Ulicy i Drugiej Alei. Samanta stała na krawężniku, szykując się do przejścia przez ulicę, kiedy wśród pojazdów pojawił się elegancko ubrany w strój cyklisty młody chłopak pedałowujący na niezwykle wówczas modnym rowerze Columbia o dużych kołach tej samej średnicy. Widząc ją, uśmiechnął się szeroko i uniósł niebieską czapkę z daszkiem. Minawszy Samantę, odwrócił się jeszcze za nią i wciąż uśmiechnięty pedałowwał przed siebie. Wtem zobaczyła, jak zza rogu wyjeżdża rozpędzony powóz, i nawet otworzyła usta, żeby ostrzec młodzieńca. Zamarła, widząc, że chłopak za późno spojrzął przed siebie. Konie zarżały i stanę-



ły dęba. Powóz zakołysał się złowieszczo. Samanta z przerażeniem patrzyła, jak cyklista na lśniącym rowerze zderza się z nim pośród krzyków i dzwonienia uprzęży. Złapanie w potrzask uprzęży przestraszone konie skoczyły dziko i szarpnęły za sobą powóz, który z hukiem przewrócił się na bok. Nie wiozący akurat pasażerów dwukołowy cab, prowadzony przez siedzącego z tyłu na wysokim koźle woźnicę, przyjął na siebie całe uderzenie przewracającego się powozu. Woźnica na wysokim koźle wyleciał w powietrze jak z procy.

Wszystko to trwało zaledwie sekundy. Skrzyżowanie wyglądało jak pobojuwisko. Koła wirowały na złamanych osiach, leżące na ulicy konie niezręcznie usiłowały wstać, inne narożyły się i próbowały galopować przed siebie — powstało nieopisane zamieszanie i korek. Ludzie rzucili się na miejsce wypadku; Samanta dobiegła pierwsza.

Jednym spojrzeniem ogarnęła ofiary. Woźnica, który wyleciał z koźła jak z katapulty, nie żył — roztrzaskał głowę o słup telegraficzny; czterech pasażerów powozu leżało na chodniku — jeden nieprzytomny, dwóch jęczących i jeden, który próbował wstać o własnych siłach; otumaniony i ranny woźnica wyczołgiwał się spod ekwipażu. Uwagę Samanty zajął przede wszystkim młody rowerzysta, przygnieciony powozem — jego ramię, wykrzywione pod nieprawdopodobnym kątem, uwięzło między szprychami koła roweru.

Kiedy kilku mężczyzn usiłowało dźwignąć ciężki powóz i uwolnić spod niego młodzieńca, Samanta zajrzała do wnętrza budy, chwyciła jakiś biały jedwabny szalik i szybko, ale zręcznie obwiązała nim górną część groteskowo wykrzywionego ramienia. Dźwignięcie powozu spowodowało szarpnięcie roweru — chłopak zaskowytał z bólu. Ulicę przepełniały jęki, szlochy, rzenie koni i krzyki. Samanta natychmiast sprawdziła, czy chłopak nie odniósł innych ran, zajrzała mu w żrenice, zbadała przyspieszony puls — rana, mimo założonej opaski uciskowej, nadal wyraźnie krwawiła.

— Ambulans! — zawołała. — Niech ktoś sprowadzi ambulans!

Wokół kręciło się mnóstwo gapiów; utworzyli teraz wianuszek dokoła chłopaka, odgradzając go od ulicy. Tuż obok

zemdłała młoda kobieta; wachlowało ją dwóch dżentelmenów. Jacyś ludzie pomagali wstać leżącym na jezdni pasażerom. Rowerzysta spływał potem; szczęśliwie stracił przytomność.

Kiedy powóz przy akompaniamencie skrzypienia wreszcie stanął na kołach, jacyś dwaj mężczyźni zaczęli szarpać rower.

— Nie! — krzyknęła Samanta. — Nie tak szybko! W ten sposób chłopak straci ramię!

— Słuchaj no, paniusiu...

— Czy ktoś pobiegł po ambulans?

— Chyba tak. Kim pani jest?

Młodzieniec jęknął i mocniej osunął się na jezdnię. Mruknięta uspokajająco nad nim i przytknęła chłodną dłoń do jego czoła; spod białego szalika płynęła strużka krwi.

Jakiś mężczyzna w czarnym anglezie i cylindrze przeciskał się przez tłum gapiów. Nachylał się nad kolejnymi ofiarami i pobieżnie je badał. Po chwili znalazł się obok Samanty. Przyklęknął na jednym kolanie i schylony nad rowerzystą, najpierw obmacał mu ramię, potem głowę i kark. Z zaciekawieniem patrzyła na niego, kiedy otworzył czarny kuferek i wyjmował fonendoskop. Obserwowała jego uderzająco przystojny profil: oczy czarne jak węgle, krzaczaste brwi, duży prosty nos, wąskie usta, ostro zarysowane policzki i kwadratową mocną szczękę. Miał lekko szpakowate skronie, co pozwalało sądzić, że pewnie już jest po czterdziestce.

— Inni... — zaczęła, kiedy skończył badanie, wyprostował się i wrzucił fonendoskop do kufarka.

— Wyzdrowieją. Mogą zaczekać na ambulans. Ale z chłopakiem trzeba się śpieszyć. Trzeba się nim zająć natychmiast.

Przez tłum przedzierał się policjant.

— Szpital Świętej Brygidy wysyła już karetkę, doktorze Masfield.

— Muszę zabrać chłopaka do siebie do gabinetu. Złapcie kogoś do pomocy, kto mi go przeniesie.

— Hej, wy dwaj! — ryknął policjant. — Chodźcie no tu!

Mężczyzna w cylindrze spojrzął wreszcie na Samantę. Mimo mrocznej miny był niezwykle przystojny.

— Niech pani przytrzyma ramię, a ja ściagnę koło. Jeśli poczuje pani, że kości się przesuwają, niech pani natychmiast krzyczy.

— Tak... — odparła bez tchu.

Policjant również przyklęknął i chwycił za krawędź koła. Kiedy obydwoj usiłowali delikatnie zsunąć je z rannego ramienia, Samanta mocno unieruchamiała złamane kości. Rowerzysta jęczał cicho, ale nie odzyskał przytomności. Pod jedwabnym szalikiem czuła krew i wyrobione twarde mięśnie. Jakoś udało jej się do końca tej operacji utrzymać smukłymi palcami dwa końce złamanej kości.

Doktor jednym ruchem zerwał się na nogi.

— Uważajcie, jak go będziecie nieśli. Jeden niefortunny ruch i złamana kość przebije resztę nienaruszonych nerwów i naczyń. Przy odrobinie szczęścia uratujemy mu ramię.

Kiedy dwaj mężczyźni łagodnie unieśli rannego i ruszyli z miejsca, Samanta wstała z trudem i sztywno się wyprostowała; odgarnęła niesforne loczki, które opadły jej na spocone czoło. Doktor Masefield ruszył szybko za rannym, a potem nagle stanął, odwrócił się do niej i spytał obcesowo:

— Idzie pani czy nie?

Jego gabinet mieścił się niedaleko od miejsca wypadku. Doktor wprost z hallu wprowadził wszystkich do zalatującego fenolem gabinetu przyjąć. Kiedy mężczyźni delikatnie układali chłopaka na stole, lekarz wyrzucał z siebie polecenia adresowane do Samanty:

— Szwy znajdzie pani w tamtej szafce. Potrzebne mi będą jedwabne i katgutowe. Niech je pani najpierw przepiucze w roztworze kwasu. Fartuch jest za drzwiami.

Podczas gdy Samanta z sercem w gardle walczyła ze szpulami nici, nie mając zielonego pojęcia, co z nimi zrobić, doktor Masefield zdjął anieł oraz cylinder i zaczął zawijać rękawy.

— Niech pani wleje karbol do miski.

Samanta szybko przebiegła półki wzrokiem i odnalazła dużą butlę z brązowego szkła, opatrzoną etykietą: „Kwas karbolowy. Roztwór 5%”. Złapała butlę, odkorkowała ją i niezręcznie wlała trochę roztworu do emaliowanej miski.

Potem wróciła do nici. Dwa lata wcześniej, kiedy była z wizytą u doktor Blackwell, do domu przyprowadzono rannego kominiarza. Doktor Blackwell cięła jedwabne nici na półmetrowe kawałki. Samanta wyjęła z szafki nożyczki i drżącymi rękami zabrała się za odcinanie kawałków podobnej długości.

— Niech mi pani da jedną z tac. — Dobiegł ją ostry głos doktora.

Spojrzała na niego pytająco.

— Tam, na górze. — Ruchem głowy wskazał kierunek. — Są już wypłukane. I niech mi ją pani ustawi pod moją prawą ręką.

Sięgnęła na górę i zdjęła tacę. Lekarz, przepłukawszy już rękę w roztworze kwasu i wysuszywszy je ręcznikiem, wziął się do rozwiązywania turnikietu.

— Niech pani już zostawi te nici i pomoże mi tu. Niech je pani wrzuci do miski.

Zrobiła, jak kazał, zdjęła fartuch z wieszaka i szybko związała go na plecach.

— To pani robota? — zapytał, ściągając jedwabny szalik z ramienia młodzieńca. Po chwili opaska trafiła do wiadra.

— Tak — wyszeptała.

— Prawdopodobnie uratowała mu pani życie. Dobrze. Niech pani teraz przyniesie lampę i tak mi ją przytrzyma, żebym widział ranę.

Pracowali niemal godzinę. Doktor Masefield siedział na wysokim stołku i precyzyjnie, niczym jubiler, czyścił ranę, obcinał jej poszarpane brzegi, podwiązywał naczynia. Samanta pomogła mu nastawić kość, biegała do szafy po wszystko, czego żądał, przesuwiała światło, gdy tylko zmieniał pozycję, i moczyła bandaże w roztworze kwasu. Przez cały czas ani razu nawet na nią nie spojrzał.

— No dobra... — mruknął wreszcie, wycierając zakrwawioną rękę. — Teraz karetka może go sobie zabrać.

Samanta kręciła się po gabinecie niepewnie, skubiąc zaplamiony krwią fartuch.

Doktor Masefield wstał i nachylił się nad rannym. Zbadał mu puls na szyi, zajrzał pod obie powieki.

— Niech pani pociągnie za sznur dzwonka.

Odwrociła się. Wisiał w rogu gabinetu. Pociągnęła i niemal natychmiast w drzwiach zjawiła się starsza kobieta w sukni z bombazyny w kolorze kasztanów; spod czepeczka wymykały się siwe wełniste włosy.

— Słucham, doktorze Masefield.

— Pani Wiggen, proszę posłać chłopaka Horowitzów do Świętej Brygidy po ambulans i nastawić wodę na herbatę. — Wyprostował się i wreszcie spojrział na Samantę. — A może pani wolałaby kawę?

Szeroko otworzyła oczy.

— Herbata mi odpowiada, jak najbardziej...

Gospodyni odwróciła się wyniośle, a doktor Masefield westchnął głęboko.

— Hm, myślę, że wydobrzeje. Ci rowerzyści stanowią straszne zagrożenie dla ruchu.

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, spojrzała na leżącego na wznak chłopaka. Ogarnęła wzrokiem jego elegancki strój: białą flanelową koszulę, niebieskie pumpy do kolan, teraz już porwane i brudne.

Doktor podszedł do miski i umył ręce.

— Miał szczęście, że pani tam była — powiedział, nie odwracając głowy. — Nieźle się pani spisała. Mogę spytać, gdzie się pani uczyła?

W zakłopotaniu przestąpiła z nogi na nogę.

— Hm, ja...

Odwrocił się, wycierając ręce.

— Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się jeszcze. Joshua Masefield.

Miała wrażenie, że sytuacja jest cokolwiek absurdalna. Stała przed nim w zakrwawionym fartuchu i w kapeluszu przekrzywionym na czubku głowy.

— Samanta Hargrave.

Nie uśmiechnął się; jego usta najwyraźniej do tego nie nawykły. Wpatrywał się w nią ponurym wzrokiem ciemnych oczu.

Walczyła z wiazanką fartucha.

— Obawiam się, że zabrudziłam fartuch.

— Pani Wiggen się tym zajmie. Niech go pani rzuci byle gdzie, a ona zabierze fartuch przy sprzątanu gabinetu. Mam wrażenie, że dobrze pani zrobi chwila odpoczynku.

Ruszyła za nim przez hall do gustownie urządzonego salonu, w którym stała sofa i fotele, a na ścianach wisiały sztychy. Zauważyła stojącą w oknie wielką paproć i suszone kwiaty na półce nad kominkiem. Ale salon robił na niej nieodparte wrażenie pomieszczenia rzadko używanego.

Usiadła na sofie; doktor Masefield wciąż stał. Za oknem ulice znów rozbrzmiewały gwarem i normalnym życiem. Gdzieś z głębi domu dobiegały odgłosy stukania naczyń i lejącej się wody. Samanta złożyła ręce na podołku i w tym momencie z przerażeniem ujrzała na wysokości kolan sporą plamę krwi na spódnicy.

— Pani Wiggen zaraz z tym zrobi porządek — uspokoił ją doktor oparty o półkę nad kominkiem. Mimo że chwile napięcia miał już przecież za sobą, nie przestał być ani na jotę mniej poważny i Samanta zaczynała sądzić, że zawsze jest taki zasadniczy.

— Och, nie trzeba, sama sobie poradzę — zaprotestowała bez przekonania.

— Bzdury. Pani Wiggen ma do czynienia z podobnymi sprawami bez przerwy. Ma wprawę. Przecież w takim stanie nie może pani wyjść na ulicę.

Nie wytrzymując jego wzroku, spuściła głowę. Jej dziecięca ułomność, nagła niemożność wydobycia z siebie słowa, z którą miała nadzieje rozprawić się raz na zawsze w Akademii Playellów, najwyraźniej znów ją prześladowała.

— Pani jest Angielką, prawda?

— Tak.

— Od jak dawna jest pani w Nowym Jorku?

— Od dziesięciu dni.

— A zatem pobierała pani nauki w Anglii. W Londynie?

Samanta nie mogła zwalczyć paraliżującej ją nieśmiałości ani wydusić z siebie słowa.

— Co pan ma na myśli, mówiąc o pobieraniu nauk?

— zapytała wbijając wzrok w podłogę, rozłoszczona własnym zachowaniem.

— Gdzie pani studiowała medycynę?

Zaskoczona podniosła głowę.

— Wcale nie studiowałam.

Choć nie zmienił wyrazu twarzy, w jego oczach odmalowało się wyraźne zdziwienie.

— Ale przecież przechodziła pani jakieś szkolenie medyczne! Choćby pielęgniarskie!

Niemo potrząsnęła głową.

— Wielkie nieba! — mruknał, przyglądając się jej ze wzmożonym zainteresowaniem. — Kiedy dostrzegłem panią na ulicy, usłyszałem, jak wydaje pani polecenia, zobaczyłem, że zostawiła pani lżej rannych, żeby się zająć najtrudniejszym przypadkiem, przypuszczałem, że jest pani lekarką albo przynajmniej pielęgniarką. Z całą pewnością inaczej bym tu pani nie ciągnął i nie zmuszał do uczestniczenia w tym wszystkim. — Machnął ręką w kierunku gabinetu. — Wielkie nieba! Co też pani musi o mnie myśleć!

Patrzyli na siebie, a wszystkie dźwięki porannego ruchu nagle jakoś przycichły. Przez chwilę słyszała tylko bicie własnego serca, a potem dobiegł ją skrzeczący głos pani Wiggen i czar prysnął.

— Herbata gotowa, panie doktorze.

— Tu ją wypijemy, pani Wiggen.

Przez ułamek sekundy na jej twarzy odbiło się zdumienie, a potem gospodyni obrzuciła Samantę krytycznym spojrzeniem. Kiedy wróciła do kuchni, doktor Masfield powiedział:

— Ponieważ tak rzadko miewam gości, obawiam się, że pani Wiggen czasem się zapomina.

Pani Wiggen postawiła przed nimi tacę z herbatą, a po chwili przyniosła Samancie spódnicę na zmianę. Dziewczyna przebrała się w gabinecie i wręczyła swoją zaplamioną odzież gospodyni, która z dezaprobatą pokręciła nosem. Spódnica, którą przyniosła, była bardzo wąska w talii i z pewnością nie należała do pulchnej pani Wiggen. A zatem do kogo?

— Proszę wybaczyć moje gruboskórne zachowanie, pan-  
no Hargrave — powiedział doktor, kiedy wróciła do salonu.  
— I proszę mi wierzyć, że gdybym wiedział, że działa pani pod

wpływem odruchu serca, a nie z zawodowego obowiązku, nigdy nie zmusiłbym pani do pomocy! Jestem zdruzgotany swoim błędnym osądem!

Wbiła wzrok w filiżankę z herbatą. Teraz, gdy siedział naprzeciwko niej i był bliżej, nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

— Właściwie, doktorze Masefield — zaczęła schrypniętym głosem — nie mylił się pan tak zupełnie.

Pokrótkce opowiedziała mu swoje doświadczenia z Anglii; mówiła o przyjaźni z doktor Blackwell i zakończyła opowieść tłumacząc mu, jak to się stało, że trafiła do Nowego Jorku. Joshua Masefield słuchał jej z dużym zainteresowaniem, a kiedy skończyła, odetchnął z wyraźną ulgą. Przyglądał się jej w milczeniu. Czuła się mocno skrępowana jego śmiałym wzrokiem. Wreszcie stukot końskich kopyt przed domem przerwał kłopotliwą ciszę. Usłyszeli czyjeś szybkie kroki, a potem stukanie do drzwi.

Ambulans ze szpitala. Doktor Masefield pomógł sanitariuszowi przenieść młodzieńca na noszach, a tymczasem Samanta siedziała sztywno w salonie, sącząc herbatę. Doktor wrócił i usiadł na swoim miejscu.

— Przypuszczam, że moja spódnica jest już gotowa — odezwała się, usiłując panować nad głosem.

— Niech pani nigdy nie pogania artystów. Pani Wiggen pewnie rozłożyła ją nad garnkiem i teraz traktuje płamę jakimś tajemniczym płynem wyciągniętym z siebie tylko znanej szuflady. Jest to czynność, którą opanowała do perfekcji, po tym jak zniszczyła całą furę spódnic.

— Czy pani Wiggen jest pana asystentką?

— W pewnym sensie. Nie ma żadnych kwalifikacji, ale pilnuje porządku wśród pacjentów w poczekalni i sprząta gabinet. Od czasu do czasu korzystam z jej pomocy. Zrobiłbym to i dziś, gdyby nie obecność pani.

Zdobyła się na odwagę i spojrzała na niego.

— Nie myślał pan o przyjęciu praktykanta?

— Myślałem.

Filiżanka niebezpiecznie zadzwoniła o spodeczek. Samanta odstawiała naczynia na stół. Cóż ja do licha wyprawiam?



— pytała samą siebie. Cały tydzień chodziła od gabinetu do gabinetu i nie traciła pewności siebie w obliczu tyłu doktorów. Dlaczego ten tak bardzo wytrącał ją z równowagi?

— Ma zacząć od przyszłego tygodnia.

— Kto?

— Student medycyny, którego najałem.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem szybko odwróciła wzrok. Nadzieja wezbrała w niej i runęła w ciągu zaledwie minuty!

— Czy powiedziałem coś niewłaściwego, panno Hargrave?

Jakając się, opisała mu swą siedmiodniową udrękę szukania takiej właśnie posady, niechętnie dodając, że jest już u kresu sił.

— A zatem zaczyna pani naukę w szpitalu doktor Blackwell już w styczniu. Pewnie dlatego właśnie nikt nie chciał pani przyjąć. Niewielu lekarzy zadowoliliby się asystentem tylko na pół roku. Zwykle zawiera się umowę na rok.

Pani Wiggen stanęła w drzwiach i wyciągnęła przed siebie wyczyszczoną spódnicę.

— Jest jeszcze wilgotna, ale plamy nie ma — oznajmiła.

Samanta znowu poszła się przebrać w gabinecie i przy okazji dostrzegła, że pokój jest już czysty. Zauważyła również, że narzędzia, których doktor używał, moczą się w misce z roztworem kwasu. Wróciwszy do salonu, poprawiła kapełusz i wysuwające się spod niego niesforne kosmyki włosów.

— Wy, Amerykanie, idziecie z postępem. Po raz pierwszy widziałam idee Listera stosowane w praktyce.

Doktor Masefield wstał z fotela.

— Obawiam się, że tego nie da się odnieść do wszystkich amerykańskich lekarzy, panno Hargrave. Jest nas tylko garstka. Znam teorię Listera z literatury fachowej i na własną rękę przeprowadziłem kilka eksperymentów. Niemal natychmiast nabrałem przekonania do jego idei. O ile mi jednak wiadomo, większość naszych lekarzy wciąż zwalcza tezę o istnieniu mikrobów.

— No cóż... — Wygładziła spódnicę i przez chwilę skubała mankiety bluzki.

Joshua Masefield minął ją w drodze do drzwi.

— Wezwać pani dorożkę?

— Nie, dziękuję. Mieszkam niedaleko. Przy Houston, u pani Chatham. Dziękuję za herbatę.

— To ja dziękuję za pomoc. Chłopak zawdzięcza pani życie.

Zmrużyła oczy, porażona blaskiem słońca wpadającego przez otwarte drzwi.

— Nie mnie, to pańska... Ojej!

— Co się stało?

— Rękawiczki. Zdjęłam je tam, na ulicy. Teraz już można powiedzieć, że jej zgubiłam. Moja jedyna para...

Stał niemo przy otwartych drzwiach.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

— Życzę panu miłego dnia, doktorze Masefield — powiedziała i zbiegła po schodkach.

Tej nocy nie zaznała spokoju. Leżała w ciemności, wsłuchując się w cichy oddech Luizy i nie mogąc przestać myśleć o Masefieldzie. Co ją w nim tak intrygowało? Na pewno rzucająca się w oczy uroda: burza czarnych włosów lekko przyprószonych siwizną, szerokie ramiona i plecy tak proste, że aż przywodzące na myśl oficera. Ale to nie wszystko; była w nim tajemniczość. Widziała go spowitego chmurą melancholii; dostrzegła bezbrzeżny smutek czający się w oczach. Zachowywał się tak sztywno, jakby coś pod tą nienaturalną manierą ukrywał. No i ten salon, tak wzruszająco przygotowany na przyjęcie gości, którzy nigdy nie przychodzą...

Samanta przewróciła się na bok i wpatrzyła w ciemną ścianę, od której dzieliły ją raptem centymetry. Czyżby zwodziła ją wyobraźnia, czy rzeczywiście Joshua Masefield, tam w salonie, stracił pewność siebie, jakby niewinny zwyczaj podejmowania kobiet na nic nie znaczących wizytach był mu całkiem obcy? Przecież to niemożliwe! Niewątpliwie taki mężczyzna jak Masefield musi mieć wielu znajomych i z całą pewnością prowadzi bogate życie towarzyskie.

Z niechęcią oderwała od niego myśli. Tyle zmartwień miała teraz na głowie: dokąd zwrócić kroki w następnej kolejności, co zrobić, żeby wystarczyło pieniędzy...

Cztery dni później zjawił się posłaniec. Pod nieobecność Samanty, która rozglądała się za pracą, pani Chatham przyjęła paczuszkę i odniosła ją do sypialni dziewczyny. Wieczorem, kiedy zmęczona Samanta wróciła do domu po kolejnym dniu niepowodzeń i ujrzała przesyłkę, zaciekawiona, niecierpliwie rozdarła opakowanie. W środku kartonowego pudełka, na miękkiej bibułce leżała para zamszowych rękawiczek w perłowym kolorze i karteczka z tekstem: „Trudno robić dobre wrażenie, nie mając rękawiczek. Za znakomitą pomoc. J. M.”

Wmawiała sobie, że zapomniała już o nim, ale to nie była prawda. Kiedy następnego ranka stanęła pod jego drzwiami, ganiła się w myślach za to, że jest tak zdenerwowana. Zachowała się grzecznie, ale zdecydowanie, postanowiła. Może nawet ograniczy się do wręczenia paczuszki pani Wiggen i poprosi o przekazanie informacji, że choć owszem, docenia hojność doktora Masefielda, pod żadnym warunkiem nie może przyjąć prezentu.

Z przerażeniem stwierdziła jednak, że w hallu tłoczą się pacjenci, a pani Wiggen nigdzie nie widać.

Zakłopotana bezwstydnie ciekawskimi spojrzeniami pacjentów — jej strój prezentował się znacznie lepiej niż ubrania czekających chorych — postanowiła gdzieś przysiąść na chwilę. Wzdłuż ścian stały dwie długie ławy — tak na ogół wyglądały wszystkie poczekalnie lekarskie — a gdy z gabinetu wychodził pacjent po wizycie, najbliższa drzwi osoba wstawiała i zajmowała jego miejsce w pokoju przyjęć. Wtedy reszta czekających przesuwała się wzdłuż ław w kierunku drzwi, a wolne miejsce na końcu przypadało najbliższej stojącej osobie. Wszystko odbywało się według kolejności przyścia i był to system na ogół niezawodny.

Samanta na razie nie miała miejsca siedzącego, więc stała, podobnie jak dwaj mężczyźni i chłopiec. Jak na tak zatłoczone wnętrza panowała tu dziwna cisza. Jakaś kobieta o mocno zaczerwienionej twarzy wachlowała się chusteczką do nosa.

Młoda matka uspokajała kwilące w ramionach niemowlę. Staruszka w czarnym szalu, z ciężkim krucyfiksem na piersiach patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.

Kiedy otworzyły się drzwi gabinetu, czekający nerwowo podnieśli głowy, a Samancie mocniej zabiło serce. Z gabinetu wychylił się Joshua Masefield w stroju roboczym, bez tużurka. Powiedział krótko: — „Signor Giovanni” — i gestem wezwał do siebie jednego ze stojących mężczyzn. Imigrant zdjął czapkę i szybko wszedł do pokoju przyjąć, zamykając za sobą drzwi. Jeśli doktor Masefield dostrzegł Samantę w tłumie, nie dał tego po sobie poznać.

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Zza drzwi dochodziły przytłumione głosy, ludzie czekali cierpliwie. Samanta nerwowo przestępowała z nogi na nogę, obracając w rękach pudełko.

Kiedy drzwi gabinetu znów się otworzyły, aż podskoczyła z emocji. Z pokoju przyjąć wyszedł Włoch, obejmując młodą kobietę, która cicho szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. Kiedy para młodych ludzi zniknęła za frontowymi drzwiami, Samanta pochwyciła wzrok doktora Masefielda. Ich oczy zetknęły się na ułamek sekundy, po czym doktor wezwał następnego pacjenta i cofnął się do gabinetu. Młody mężczyzna z obandażowanym nadgarstkiem wstał z ławy, wszedł do środka za lekarzem i zamknął za sobą drzwi. Poczuli, że jej zdenerwowanie przeradza się w złość.

Wszyscy chorzy przesunęli się wzdłuż ławy, na której końcu zrobiło się wolne miejsce. Stojący przed nią mężczyzna z chłopcem nieśmiało wskazał ławę i wymruczał coś w obcym języku. Samanta uśmiechnęła się niepewnie i usiadła.

Czas ciągnął się w nieskończoność. Samanta zaczęła niecierpliwie przytupywać. Od czasu do czasu ktoś spojrzał na nią bez większego zainteresowania, a potem odwracał wzrok.

Z trudem zwalczyła w sobie odruch zerwania się na nogi, gdy drzwi gabinetu znowu się otworzyły. Patrzyła, jak młody człowiek potrząsa dłoń lekarza, naciska robociarską czapkę na głowę i spiesźnie wychodzi. Usłyszała krótkie „Następny” i do gabinetu weszła staruszka z krucyfiksem na piersiach.

Samanta przesunęła się na ławie w stronę drzwi i czuła, jak jej złość zamienia się w oburzenie.

Zaczynała się właśnie zastanawiać, czy nie wstać i nie pójść sobie najzwyczajniej w świecie, kiedy w głębi hallu usłyszała szelest spódnicy. Pani Wiggen płynęła do niej z godnością.

— Proszę za mną.

Gospodyni zaprowadziła ją do gabinetu obok pokoju przyjęć. Tak jak w salonie, okna tego pomieszczenia też wychodziły na ulicę i jak w salonie był tu kominiek z marmuru. Na tym jednak kończyło się wszelkie podobieństwo. Prywatny pokój do pracy doktora Masefielda nie nosił śladu pretensjonalności i sprawiał wrażenie często używanego. Stała tam włosiana kanapa obita welurową tapicerką, pikowana i naszywana guzikami; rzeźbiona biblioteczka z dębowego drewna przeładowana książkami; pasujące do kompletu fotele z mocno już wysiedzianymi poduszkami; nakryty sutą serwetą stolik do kart, na którym stała donica z przerośniętą rośliną, i wreszcie mahoniowe biurko z żaluzjowym zamknięciem blatu, gdzie leżały rozrzucone papierzyska, książki, pisma, brudny rożek na inkaust i kilka zakurzonych posażków. Tapeta nieco już wyblakła, ale miała śliczny deseń wiosennych kwiatów rzuconych na kremowe tło. Na podłodze leżał stary, miejscami już wytarty turecki dywan, ale Samanta od razu spostrzegła, że niegdyś był w świetnym gatunku. W rogu zaś, na okrągłym pomocniczym stoliku na rozgałęzionej nóżce, stała kryształowa karafka z brandy i kryształowe kieliszki. Panowała tu domowa atmosfera, na której wyraźnie odcisnęło się piętno mężczyzny ceniącego sobie samotność i spokój. W pokoju zabrakło tylko zdjęć i to było dziwne.

— Czym mogę służyć, panno Hargrave?

Odwróciła się gwałtownie.

Joshua Masefield był już w przejściu łączącym prywatny gabinet z pokojem przyjęć i zanim zamknął drzwi, Samanta ujrzała jeszcze, jak pani Wiggen pomaga staruszce zejść ze stołu.

— Przyszłam, żeby to zwrócić — powiedziała, wyciągając przed siebie pudełko.

Uniósł lekko brwi, ale nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby je odebrać.

— Nie mogę przyjąć rękawiczek — tłumaczyła nerwowo.  
— Nie mam zwyczaju przyjmować upominków od mężczyzn, których niemal nie znam.

Nie odrywał od niej wzroku, a wyraz jego twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

— Muszę je panu zwrócić. — Rozejrzała się i upuściła pudełko na zabałaganione biurko. — Przepraszam, że odrywam pana od zajęć. Życzę miłego dnia. — Odwróciła się do drzwi.

— Obawiam się, że zanadto sobie pani pochlebia.

Stanęła i okręciła się na pięcie.

— Nie rozumiem?

— Rękawiczki nie są upominkiem, lecz zapłatą za pani pomoc. Kiedy zajrzałem do szpitala do rannego rowerzysty, jego ojciec wręczył mi czek za naszą usługę. Wiedziałem, że rękawiczki są pani bardzo potrzebne, pozwoliłem więc sobie kupić je dla pani, zamiast wysłać gotówkę. Skoro chce pani zostać lekarką, musi się pani nauczyć przyjmować zapłatę w naturze; pani pacjenci nie zawsze będą mieli brzęczącą monetę.

Zacisnęła palce na tasiemce dzierganego woreczka.

— Och, a ja myślałam...

— Wiem, co pani myślała, panno Hargrave. No więc...

— Wziął pudełko z biurka i wyciągnął rękę w jej stronę.

— Proszę wziąć rękawiczki. Może je sobie pani oprawić w ramki jako pierwszą zapłatę za usługi medyczne.

Przyjęła rękawiczki z wymuszonym uśmiechem.

— Jest mi bardzo głupio.

Otworzyły się drzwi pokoju przyjęć i ukazała się w nich okryta czepeczkiem głowa gospodyni.

— Doktorze, pani Solomon czeka.

— Chwileczkę, pani Wiggen.

Po chwili usłyszeli cichy trzask klamki.

— Pani Wiggen chyba mnie nie lubi — zauważyła Samanta.

Drgnęły mu kąćki ust, jakby chciał się uśmiechnąć.

— Pani Wiggen dba o mnie jak kura o pisklęta. Panno Hargrave, proszę mi powiedzieć, czy znalazła pani posadę?

Nie znalazła ani też doktor Blackwell niczego nie mogła jej obiecać.

— Obawiam się, że okoliczności zmuszają mnie do rozejścia się za innym, nie związanym z medycyną zajęciem, przynajmniej do czasu, aż zostanę przyjęta do szkoły.

— To też nie będzie dla pani łatwym zadaniem — zauważył. — Setki kobiet są w pani położeniu. Zastanawiałem się nad pani sprawą, panno Hargrave. Ten młody człowiek, którego już sobie umówiłem, wybiera się na medycynę do Cornell University. Pochodzi z zamożnej rodziny i ma doskonałe referencje. Nie będzie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem terminu u dowolnego lekarza na Manhattanie. Przyszło mi więc do głowy, żeby zamiast niego przyjąć jednak panią. Po pierwsze, pani to bardziej potrzebne niż jemu, po drugie, widziałem już panią przy pracy, i wreszcie pani przyjaźń z siostrami Blackwell też mówi sama za siebie. Doszedłem również do wniosku, że asystent w spódnicy będzie mi dużą pomocą przy pacjentkach, które najczęściej są mną szalenie skrupowane. Czy zechce pani rozważyć tę ofertę?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Mam jednak... — Doktor Masefield odwrócił się od niej, podszedł do okrągłego stolika w rogu, gdzie jak wytrawny orator oparł palce na wyściełanym papier mache blacie i po chwili przerwy ciągnął: — ...inne, osobiste powody, o których muszę wspomnieć, bez-wątpienia bowiem będą one ważyc na pani decyzji.

Czekała na następne słowa.

— Chciałbym skorzystać z pani pomocy również w prywatnych sprawach, panno Hargrave. Dotyczą one — odwrócił wzrok — mojej żony.

Umilkł na chwilę, a w pokoju dało się wyraźniej słyszeć gwar płynący z ulicy. Samanta czekała.

— Jest inwalidką. Leży przykuta do łóżka i czasem wymaga opieki, jakiej pani Wiggen, ze względu na zbyt niskie kwalifikacje medyczne, nie jest jej w stanie zapewnić. Zastanawiałem się nad najęciem prywatnej pielęgniarki, ale nie

jest to znowu praca, która absorbowałaby kogoś codziennie i przez całą dobę. Moja żona tylko czasami wymaga intensywniejszego nadzoru.

Wreszcie odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

— Zwykle sama daje sobie radę. Ale zdarzają się dni, kiedy choroba... atakuje. Wtedy właśnie potrzebna mi fachowa pomoc. Chciałbym jednak z całą mocą podkreślić, że są to rzadkie wypadki i że poza tym cały czas będzie pani pracować ze mną.

Patrzyła na niego jeszcze długo po tym, jak przestał mówić. Była dziwnie poruszona. Z takim trudem wyduszał z siebie słowa, z bólem tak ogromnym, jakby składał przed nią gruntowną i trudną spowiedź.

— Naturalnie będzie pani chciała spokojnie to sobie przemyśleć...

Coś nieprawdopodobnego! Ten wspaniały mężczyzna, zazwyczaj tak pewny siebie, doskonale panujący nad każdą sytuacją, potyka się teraz o słowa jak nieśmiały kochanek!

— Nie muszę się zastanawiać, doktorze Masefield. Czuję się wprost zaszczycona pańską ofertą.

## 5

Tego dnia po obiedzie — korzystając z pomocy Luizy — przeprowadziła się do domu doktora Masefielda. Jej pokój znajdował się na drugim piętrze, obok sypialni gospodyni. We dwie dzieliły świeżo wykończoną łazienkę, mieszczącą się tuż przy schodach. Radosne ożywienie Samanty słabło nieco, studzone dręczącą niepewnością — podjęła przecież błyskawiczną decyzję, bez chwili namysłu, a cóż na dobrą sprawę wiedziała o tym mężczyźnie?

Uporządkowanie rzeczy w pokoju nie zajęło jej wiele czasu. Już niebawem po wniesieniu bagaży poprawiała przed lustrem fryzurę, szykując się do podwieczorku. Później była szalenie rozczarowana odkryciem, że będzie jadała w kuchni



z oschłą panią Wiggen i Filomeną, młodą sprzątaczką, Włoszką z urodzenia, zatrudnianą na trzy dni w tygodniu. Nie ukrywając pogardy dla nowej mieszkanki domu, gospodyni poinformowała ją cierpko, że państwo Masefieldowie jadają każde u siebie. Naturalnie wolno będzie Samancie przyjmować gości w salonie, ale pod żadnym warunkiem nie wolno jej zakłócać spokoju doktora Masefielda w jego prywatnym gabinecie, chyba że sam ją zechce przywołać. Niedziele miała mieć tylko dla siebie.

Jak się okazało wkrótce, doktor Masefield pozostał dla niej człowiekiem chłodnym i zamkniętym w sobie. Nie dopuszczał do najmniejszej poufałości, nie zadał już też ani jednego osobistego pytania — jakby całą ciekawość zaspokoił przy okazji pierwszego spotkania.

Joshua Masefield schodził na dół punktualnie o ósmej rano, witał się krótko, a potem wysyłał panią Wiggen po pierwszego pacjenta. Zawsze zachowywał się nader sztywno, a w ewentualnej rozmowie nie wykraczał poza tematy medyczne. Nigdy też nie pytał Samanty, czy dobrze spała albo czy jej czego nie trzeba — najwyraźniej zakładał, że od takich spraw jest w domu gospodyni. Samancie nie udało się nawet choćby trochę nadkruszyć muru obojętności, który doktor wznosił między nimi. Tylko raz niewinnie spytała o zdrowie pani Masefield, której zresztą dotychczas jeszcze nie poznała, ale natychmiast spotkała się z grzeczną, lecz chłodną odprawą. Z początku zastanawiała się, czy w ogóle to wszystko zniesie — skwaszoną gospodynię i pełnego najwyższej rezerwy doktora — ale na pocieszenie miała swoje niedzielne spotkania z Luizą, a przez gabinet przyjęć doktora Masefielda przewijało się co dzień tyle ludzi, że już niebawem nie miała czasu na takie zmartwienia.

Zazwyczaj stała z boku i przyglądała się, jak doktor bada pacjentów, zadaje im pytania, stawia diagnozy, wypisuje recepty, uspokaja ich łagodnym tonem i odsyła do domów, zaopatrzonych w jakiś lek z podręcznej apteczki. Myjąc ręce, wyjaśniał jej każdy przypadek.

— Wścieklizny można dostać na skutek ugryzienia przez zwierzę. Nawet tak oswojone jak kot. Tak się właśnie zdarzy-

ło w przypadku biednego Willy'ego. Dziecko, które pani przed chwilą oglądała, będzie znosiło niewymowne katusze. Chłopiec będzie się dusił nie mogąc złapać tchu, będzie miał w ogóle trudności z oddychaniem, a przede wszystkim będzie cierpiał na straszliwe pragnienie, którego nie sposób zaspokoić, bo sam widok szklanki z wodą czy filiżanki herbaty sprawia chorego w stan ciężkiej hysterii. Puszczanie krwi i podawanie opium są rutynowym leczeniem w przypadku wścieklizny, ale niestety nieskutecznym.

— Nie ma na to lekarstwa?

— Nie. Ludzie bardziej się boją wścieklizny niż dżumy, bo wścieklizna nie daje żadnych szans przeżycia. Podobno załóżki choroby tkwią w ślinie zwierzęcej i o ile wiem, Pasteur pracuje właśnie nad jakimś nowym lekarstwem, ale dla biednego Willy'ego i tak już będzie za późno.

Do pacjentek odnosił się wyjątkowo łagodnie i taktownie. Nigdy ich nie poganiał, rozumiał ich zawstydzenie. Żeby uniknąć krępującej je bliskości obcego mężczyzny i nie obrażać delikatnych kobiecych uczuć, do badania pań wyjmował zawsze długą słuchawkę Laenneca. I jakoś potrafił — nie zadając bezpośrednich pytań — wydobyć z nich intymne informacje konieczne do postawienia diagnozy. W przypadku kobiet o zwyczajnym badaniu lekarskim w ogóle nie mogło być mowy, dlatego doktor Masefield nie skąpił czasu, by cierpliwie ustalić ich dolegliwość, i nie mając niestety możliwości naocznego zweryfikowania diagnozy, coś wreszcie im przepisywał, pouczał je i pocieszał.

— Pani Higginbotham cierpi na bolesne skurcze miesiączkowe — objaśniał Samantę. — Istnieją rozmaite środki na tę kobiecą przypadłość, które przynoszą krótkotrwałą ulgę, ale żadnego lekarstwa na to nie ma. Pani Higginbotham będzie tak cierpieć co miesiąc aż do końca występowania periodu. Na ogół zapisuję ararut i laudanum. Ciężarnym nękanym przez poranne mdłości pomaga czasem odwar z kolumby i mięty pieprzowej przyjmowany cztery razy dziennie.

Istniały też takie stany, w których Joshua Masefield nie umiał — albo nie chciał — pomóc.

— Panna Sloan prosiła mnie dziś o środek przywracający miesiączkowanie. Choć się do tego nie przyznała, sądzę, że jest w ciąży. Prosiła mnie, żebym przywrócił jej okres.

— Ale to by znaczyło...

— Niechciana ciąża jest smutną przypadłością, panno Hargrave. Znamy wiele rozmaitych środków na spędzenie płodu, ale wątpię, czy są skuteczne. Na przykład napar z owoców jemiioły. Czasem też w takich sytuacjach skutkuje odwar z kwiatów chryzantemy czy napój z mięty polejowej albo z czerwonego wiązu. Dla niektórych akuszerok, jak sądżę, przerywanie ciąży jest nader lukratywnym źródłem dochodów.

— Co pan doradza takim pacjentkom?

— Doradziłem pannie Sloan, o ile to jej prawdziwe nazwisko, żeby poszła do księdza, ale bez wątpienia wstąpi do apteki DeWintera i zaopatrzy się w jedną z jego patentowych mikstur.

— Można takie mikstury robić i sprzedawać?

— Środki na regulację zaburzeń cyklu są bardzo dochodowym interesem, panno Hargrave, choć medycznie nie przedstawiają żadnej wartości. Mamy na rynku „Pigułki Jamesa Clarka”, „Regulator Forda”, „Lek na kobiece przypadłości doktora Kilmera”. Każda kobieta może się za pięćdziesiąt centów zaopatryć w buteleczkę fałszywych nadziei.

Doktor Masefield miał wystarczająco duży zasób obcych słów, żeby w gabinecie móc zadać swoim pacjentom imigrantom podstawowe pytania. Czasem ściągał Filomenę, żeby mu coś przetłumaczyła, czasem wykorzystywał też Samantę i jej znajomość francuskiego. Wobec dzieci był niezwykle cierpliwy; gładził ich rozpalone czoła i opatrując rany i zadrapania opowiadał swym małym pacjentom historyjki. Samanta nie mogła się wprost nadziwić takim przeobrażeniom — w jej obecności czy w obecności pani Wiggen Joshua Masefield był zawsze szalenie oficjalny i krył się pod szczelną maską. Pacjenci wyraźnie go zmieniali — stawał się miły, przyjacielski, a oni się przed nim otwierali.

Wieczorem w sypialni, po męczącym dniu obserwowania medycznych zabiegów, zapamiętywania informacji, cięcia ban-

daży i mało krzepiącej kolacji w towarzystwie gospodyni, Samanta siadywała przy malutkim kominku i rozmyślała o doktorze Masefieldzie. Nie rozumiała — choć wciąż próbowała rozwiązać tę zagadkę — dlaczego tak wspaniały praktyk, tak znakomity w swym fachu, i człowiek umiejący ośmielić każdego, najbardziej skrupowanego pacjenta jest tylko nieznanym doktorem kurującym okolicznych mieszkańców, lekarzem bez nazwiska. A do tego wszystkiego jeszcze Joshua Masefield najwyraźniej nie miał żadnych przyjaciół i nie prowadził życia towarzyskiego. Poza pacjentami, Filomeną i młodym posłańcem, który co tydzień przynosił zamówienia z apteki De Wintera, nikt nie stukał do drzwi. Samanta nie znajdowała odpowiedzi na pytanie, dlaczego mężczyzna tak zdolny, tak przystojny i tak elegancki co wieczór znika w gabinecie, zamyka się przed całym światem (oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy nagle wzywano go do chorego) i ani razu nie pójdzie choćby tylko do klubu. Dlaczego skazuje się na samotność w tym ponurym domu? Być może miało to związek z nie znaną jej panią Masefield.

— Na co ona choruje? — zapytała Luiza nad kanapką w nowo otwartej herbaciarni.

— Nie wiem. — Samanta nie lubiła mówić o Masefieldach; szanowała ich prawo do zachowania jak najdalej posuniętej prywatności, ale Luiza nie dawała się zbyć byle czym.

Był ciepły dzień lata i dziewczęta postanowiły wybrać się po przekąskę na Elysian Fields w Hoboken na mecz baseballowy nowojorskich Knickerbockersów z drużyną Red Stockings z Cincinnati. Już w pierwszym miesiącu pracy u doktora Masefielda Samanta zaczęła odkrywać Nowy Jork u boku Luizy. Zawsze miło spędzały razem czas, lecz Luiza niestety nie mogła powściągnąć zjadającej ją ciekawości.

— Dajesz mi do zrozumienia, że co prawda masz się nią czasem zajmować, ale on ci jeszcze nie zdążył powiedzieć, co jej właściwie dolega? — Zielone oczy Luizy zaśniły. — Samanto, jak ty to znosisz?!

Samanta rozejrzała się przestraszona, że ktoś obok usłyszał okrzyk Luizy.

— Powie mi, gdy nadejdzie pora.  
— A co będzie, jak to się okaże jakąś ohydną chorobą?  
— Czytasz za dużo książek.  
— Jakie to romantyczne! Taki przystojny i tak bardzo cierpi!

— Dajże już spokój, Luizo! — Nie chciała się głośno przyznać, ale przed chwilą przyjaciółka wyraziła jej własne, najtajniejsze myśli. Samanta dostrzegła w postaci doktora Masefielda jakiś tragiczny rys... Tylko że żadna siła na świecie nie zmusi jej do plotkowania na ten temat. Doktor Masefield ma prawo do prywatności, to po pierwsze, a po wtóre, Samanta zbyt wiele mu zawdzięcza. Wyratował ją z niezwykle trudnej sytuacji, zaferował godną pozazdroszczenia posadę — osiem dolarów tygodniowo, a do tego pokój i utrzymanie — i przekazywał jej medyczną wiedzę absolutnie najwyższej próby, o jakiej nie mogłaby nawet marzyć gdzie indziej. Będzie jej żal wyprowadzać się od niego już za pięć miesięcy.

— A skąd ty wiesz, że ta pani Masefield w ogóle istnieje?  
Ręka Samanty z kanapką zawisła w powietrzu.

— Proszę?

— W końcu to wysoce niestosowne, żeby młoda dama mieszkała pod tym samym dachem co jej pracodawca. Co by sobie o nim pomyśleli pacjenci? Dlatego wymyślił tę opowieść o żonie.

— Luizo, jestem doprawdy wstrząśnięta! Doktor Masefield jest człowiekiem, któremu nie można zarzucić najmniejszego uchybienia! A poza tym pani Wiggen też mieszka w tym domu.

— I pewnie śpi jak zabita, jak tylko zamknie oczy.  
— Luiza wyprostowała się na krześle i przekrzywiła głowę.  
— Widziałam go, Samanto, i moim zdaniem ten jego chłód to tylko taka poza. On jest po prostu samotnie żyjącym mężczyzną. A tu raptem ma ciebie, tuż pod bokiem, śliczną i taką niewinną! Jak mógłby się oprzeć pokusie?

— Luizo, co ty wygadujesz?

— Mówię ci, pewnej nocy pan doktor zapuka do twojej sypialni. Zapamiętaj te słowa.

I zrobił to. Sześć dni później. Była noc z soboty na niedzielę i Samanta siedziała nad listem do doktor Elizabeth Blackwell. Choć dochodziła niemal północ, doktor Masefield miał na sobie ciemnoszary surdut i spodnie, jakby szykował się do wyjścia. Na jego twarzy malowało się napięcie.

— Zechce pani pójść ze mną, panno Hargrave?

Narzuciwszy szal na ramiona, wzięła lampę i bez słowa udała się za nim po schodach. Stanął przed jakimiś drzwiami; w blasku lampy jego rysy nabrały jeszcze większej ostrości.

— Muszę wyjść, a stan mojej żony wymaga teraz czuwania przy jej łóżku. W podobnych sytuacjach zajmowała się tym zawsze pani Wiggen, ale czasem zdarza się jej zdrzemać. Ufam, że panią sen nie zmorzy.

Samanta w najmniejszym stopniu nie była przygotowana na to, co ujrzała po drugiej stronie drzwi. Sypialnia pani Masefield była tak elegancka, jakby mieściła się w posesji przy Piątej Alei, i zupełnie nie pasowała do reszty domu. Wyblyszczony heban, pozłacane cherubinki i cacuszka, miśternie kuty żelazny ekran przeciwpożarowy przed kominkiem — berlińskiej roboty — wspaniałe krzesła w stylu Ludwika XIV, na ścianach scenki z mitologii greckiej i rzymskiej malowane przez preraphaelitów oraz skrzące się kryształki sprawiły, że Samanta miała wrażenie, iż wkracza w krainę snów. W marmurowym kominku trzaskał ogień; blask płomieni odbijał się od markieterii z brązu i porcelanowych plakiet oraz od niebieskich wazonów z fabryki Wedgwooda.

Samanta przeniosła spojrzenie na łóżko, przy którym doktor Masefield pochylał się nad kimś, kogo chwilowo zasłaniał przed jej wzrokiem. Z baldachimem nad łóżkiem luźno zwisały aksamitne i atłasowe draperie, zebrane we frędzlaste i soplowate festony. Stała jak wmurowana, zbyt oczarowana widokiem, by drgnąć.

— Panno Hargrave...

Podeszła bliżej, wysoko trzymając lampę, i przeżyła kolejny szok tego wieczoru. Estelle Masefield okazała się najpiękniejszą kobietą, jaką Samanta w życiu widziała.

Jedwabiste włosy rozrzucone na aksamitnej poduszce tworzyły jasną aureolę i przy każdym ruchu delikatnej głowy przelewały się jak płynne złoto. Cera kobiety była blada jak u niemowlęcia, a zabarwione szkarłatem policzki przywodziły na myśl rzucone na śnieg róże. Kiedy chora zatrzepotała rękami koloru szafranu, Samanta dostrzegła fiołkowe tęczy w nakrapiane złotawymi cętkami. Estelle miała noski klasyczny i wąski, a twarz w kształcie serduszka, zakończoną idealnie ukształtowanym podbródkiem. Wszystko to razem sprawiało, że wyglądała jak bogini z obrazu nad kominkiem.

Doktor Masefield trzymał w palcach jej kruchy nadgarstek.

— Ma wysoką gorączkę. Temperatura nie może się już podnieść. Niech pani korzysta z tego i uważa, żeby gorączka nie przekroczyła 39 stopni i dwóch kresiek. — Z nocnej szafki wziął metalowy termometr o długości około dwudziestu pięciu centymetrów; żeby zmierzyć temperaturę, trzeba go było trzymać pod pachą przez pięć minut.

Pani Masefield jęknęła i pokręciła głową.

— Co jakiś czas będzie wychodziła z maligny. Słyszała już o pani. Proszę się jej przedstawić i powiedzieć, że wyszedłem na Mulberry Street do rodzącej. Jeśli temperatura skoczy powyżej trzydziestu dziewięciu stopni, niech pani naciera ciało tym. — Wskazał butelkę z alkoholem na szafce. — Całe ciało, od stóp do głów. Niech pani odrzuci koce i zdejmie z niej koszulę. I proszę nacierać ją tak długo, aż temperatura spadnie. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Skierował się już do drzwi i nagle stanął w pół kroku.

— Moja żona cierpi na białaczkę, panno Hargrave. Ma tak rozrzedzoną krew, że często łapie infekcje, które jeśli się ich nie opanuje, od razu mogą się łatwo rozwinąć w zapalenie płuc. Żona kilkakrotnie już przeszła zapalenie płuc i ma tyle zrostów na opłucnej i osierdziu, że wciąż męczą ją bóle. Poza tym jej system krążenia i oddychania jest nadwreżony już do tego stopnia, że najmniejszy wysiłek bardzo ją osłabia. Niech jej pani nie zostawia samej nawet na moment. Jeśli zajdzie taka konieczność, proszę pociągnąć za taśmę dzwonka, który obudzi panią Wiggen.

Odwrócił się gwałtownie i już bez jednego słowa czy spojrzenia na chorą wyszedł z sypialni.

Ledwie Samanta zdążyła przysunąć sobie krzesło do łóżka Estelle, gdy usłyszała ciche stukanie do drzwi i do sypialni zajrzała gospodyni.

— Jakże się ona miewa? — zapytała szeptem.

— Śpi.

Gospodyni weszła do środka, ściskając w dłoniach narzucony na ramiona szal. Powłócząc nogami, zbliżyła się do chorej. Pani Wiggen ze smutkiem pokręciła głową, a jej nalana twarz nabrała łagodnego wyrazu.

— Biedny człowiek, jakby nie dość mu było, że ma na głowie niemal cały Manhattan! — Westchnęła i spojrzała na Samantę z uśmiechem pełnym ubolewania. — Siedziałam przy niej całą wczorajszą noc. Pewnie dlatego wezwał dzisiaj panią, żebym się mogła przespać. Ale jakże tu spać, kiedy moja mała gołąbeczka tak okropnie cierpi? Niech pani idzie do łóżka, panno Hargrave. Już ja się nią zajmę.

— Doktor Masefield wezwał mnie do chorej, pani Wiggen, a ja mu dałam słowo, że nie zostawię jej ani na moment.

Przez chwilę w małych oczkach gospodyni rozbłysnął gniew, a jej niemal pozbawione warg usta poruszyły się bezgłośnie odsłaniając sztuczną szczękę. Ale zaraz ustąpiła pola i z rezygnacją zgarbiła ramiona.

— Hm, cóż, pewnie ma pani rację. Zaparzę herbatę. Czekajcie nas długa noc.

Gospodyni wyszła z sypialni, a tymczasem Samanta zmierzyła pani Masefield temperaturę i z ulgą stwierdziła, że gorączka nie przekracza trzydziestu dziewięciu stopni. Przesiadła więc na brzegu krzesła i przyglądała się delikatnemu profilowi chorej, jej jasnym rzęsom, leżącym na mocno zaróżowionych policzkach, dziecięco przejrzyściej cerze i subtelnej siateczce błękitnych żyłek. Estelle nie miała jeszcze trzydziestu lat.

Pani Wiggen wróciła z tacą robionych na maśle twardych i słodkich herbatników oraz z imbrykiem herbaty. Ustawiła tacę na niskim intarsjowanym koście słoniową stoliku, stoją-



cym przed kominkiem między dwoma poznobarokowymi krzesłami w stylu królowej Anny.

— Niech pani przyjdzie tu, panno Hargrave. Nie trzeba jej siedzieć na głowie.

Samanta z wahaniem usiadła przy stoliku, ale tak obróciła krzesło, żeby nie tracić chorej z oczu.

— Smutny los. — Pani Wiggen westchnęła, nalewając herbatę.

— Od dawna choruje?

— Nie, zapadła pod koniec ubiegłego roku. Ma dopiero dwadzieścia osiem lat. Z początku nikt nie wiedział, co to jest. Słabła po najdrobniejszym wysiłku, a potem zaczęły się te omdlenia. Myśleliśmy, że może jest w odmiennym stanie, i to by dobrze było, bo oboje z doktorem bardzo chcieli mieć dzieci. Są ledwie trzy lata po ślubie. Ale potem odkryli u niej guzy na szyi i doktor Washington robił jakieś eksperymenty z mikroskopem... Oglądał jej krew. Nie znam się na tym, tak jak doktor Masefield, ale chodzi o to, że z jej krwią dzieje się coś dziwnego.

Samanta spojrzała na wychudłą i bladą postać pod atłasową narzutą. Estelle Masefield wyglądała niemal jak dziewczynka.

— Niedługo potem doktor postanowił przenieść się do Nowego Jorku.

Samanta zamrugwała z zainteresowaniem.

— Gdzie mieszkali przedtem?

— Ależ w Filadelfii, naturalnie! I co to było za życie! Mieli wspaniały dom przy Rittenhouse Square i zadawali się tylko z najlepszymi rodzinami. Organizowali przyjęcia i bale. W domu zawsze był ruch, bo moja gołąbeczka uwielbiała mieć ludzi przy sobie. A doktor Masefield, panienko, należał do najbardziej wziętych lekarzy w mieście. Wykładał na uniwersytecie i leczył tylko pacjentów z najwspanialszych rodzin. Nie tak jak teraz. — Pani Wiggen westchnęła głęboko i upiła łyk herbaty. — Tak, to były czasy...

— Dlaczego stamtąd wyjechali?

Twarz gospodyni pociemniała.

— Białaczka to dziwna choroba, panno Hargrave — zaczęła przyciszonym głosem, świadoma, że nie są same w po-

koju. — To jedna z tych chorób, od których ludzie wolą raczej stronić, choć jak Bóg na niebie, zupełnie nie wiem czemu. Pewnie myślą, że to zaraźliwe. Sama pani wie, jak to jest z rakiem. Od razu odstąpili ją przyjaciele, wymyślając jakieś tam wykręty. A ponieważ Estelle łatwo się męczyła, a potem wciąż łąpała zapalenie płuc, szybko przestała wychodzić z domu, uwięziona niby ptaszek w klatce. Zaczęła marnieć w oczach, jak kwiatek bez słońca. Biedny doktor Masefield nie wiedział już, co robić. Wiele razy słyszałam, jak płakał po nocach...

Nagle zorientowała się, że za dużo mówi, i obrzuciła Samantę szybkim ostrym spojrzeniem.

— No cóż, wszystko to już przeszłość. I pewnie doktor nic o tym nie wspomniał, więc ja tym bardziej powinnam trzymać język za zębami.

— Ale wróćmy do choroby... — zaczęła Samanta. — O tym chyba może mi pani powiedzieć, skoro mam się zajmować panią Masefield.

— Wiem ty! ko to, co mówił mi doktor i co widziałam na własne oczy. Białaczką u każdego może inaczej wyglądać. Niektórzy chorzy umierają szybko, inni męczą się i męczą, jak ta moja gołąbka. Są takie dni, kiedy znowu jest sobą, rozszczębiotana jak słowik, gotowa wsiąść do powozu i jechać na spacer. Ale już nazajutrz może być słaba jak nowo narodzone kocię i wtedy muszę robić przy niej wszystko.

Samanta nie odrywała spojrzenia od złotej głowy na poduszce.

— Jakie są rokowania?

— Co takiego?

— Szanse na wyleczenie. Czy kiedyś wyzdrowieje?

Pani Wiggen opuściła głowę.

— I w tym cała tragedia. Nigdy nie będzie już zdrowa, moja gołąbeczka. Będzie coraz słabsza. Taką właśnie przyszłość mają przed sobą pan doktor i jego żona. Nie ma nadziei na dzieci. — Pani Wiggen podniosła głowę; łzy ciekły jej po twarzy. — Już pani rozumie, dlaczego przywiózł ją tu, na Manhattan. Żeby tu skończyła.

Samanta dotknęła ramienia gospodyni.

— Ale po co?

— Bo żyć w mieście, gdzie mieli tylu przyjaciół, a nikt ich nie odwiedzał, było nad jego siły. Raz nawet usłyszałam, jak błaga... — Wyciągnęła chusteczkę i głośno wytarła nos.

— Nie chciał, żeby Estelle umierała, wiedząc, że wszyscy ją opuścili. Dlatego wymyślił, że musi tu przyjechać ze względu na pracę. Ona nie zna prawdy.

— Przecież z całą pewnością nie opuściły jej wszystkie przyjaciółki!

— Nie, nie wszystkie. Było tam kilka młodych dam, które wciąż przychodziły, ale zależało im tylko na doktorze! Doktor Masefield jest przystojnym mężczyzną. Sądziły, że rychło będzie wdowcem i... — Zorientowała się, że znów posunęła się zbyt daleko, i machnęła pulchną dłonią. — Pora na zmierzenie temperatury.

Wrócił tuż przed świtem. Obejrzał pobieżnie żonę, stwierdził, że gorączka spadła i Estelle śpi spokojnie, podobnie zresztą jak pani Wiggen na krześle przed kominkiem, po czym zszedł na dół do gabinetu, gdzie nalał sobie brandy. Samanta poszła za nim.

— Noc minęła spokojnie, doktorze Masefield — poinformowała go, ciasniej otulając się szalem.

— Dziękuję.

— Urodził się chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec.

W gabinecie panował mrok, ale pierwszy bład brzask jutrzeńki wślizgiwał się do środka przez szparę w firankach.

— Proszę mi opowiedzieć o chorobie żony, doktorze — poprosiła cicho.

Wypił trunek jednym haustem i znów napełnił kieliszek. Nie patrzy! na dziewczynę.

— Białaczką uważana jest za postać raka. Jej przyczyny nie są jeszcze znane. Może rozwinąć się u ludzi w każdym wieku, niezależnie od stanu posiadania i pozycji społecznej. Czasem zabija w ciągu kilku dni, czasem morduje chorego trzy lata albo i dłużej. Objawy: ogólne osłabienie, anemia, krwotoki. Komplikacje: zapalenie płuc i guzy. Nie ma na to lekarstwa. Choroba jest śmiertelna.

— Przykro mi bardzo — szepnęła.

Podniósł głowę i przez dłuższą chwilę przyglądał jej się bez słowa.

— Niech pani idzie spać, panno Hargrave. Jest pani bardzo zmęczona — powiedział znużonym głosem.

Samanta wsunęła się w pościel i leżała nieruchomo, nęka na natrętnymi myślami. Ten wspaniały dom przy Rittenhouse Square, śmietanka towarzyska, niekończące się przyjęcia i bale, sława i pozycja na polu zawodowym... I wszystko to zostawił ze względu na chorobę żony...

Patrzyła w sufit i na wstęgę światła wdzierającego się przez zasłony. Nie, nie, to przecież nie tak. Coś się nie zgadzało. Brakowało jakiegoś elementu do rozwikłania zagadki. Chora żona nie mogła stanowić jedynego powodu, by odrzucić takie iście bajkowe życie. Pod warstwą maskującą musiała czaić się inna przyczyna nagłej decyzji doktora Masefielda o wycofaniu się z towarzystwa i odcięciu od świata. I bez względu na to, co w istocie stanowiło źródło jego decyzji, choroba żony stanowiła tu jedynie pretekst.

## 7

Ospale lato przetaczało się nad Nowym Jorkiem, a kilka dni o rekordowo wysokich temperaturach wywołało falę gwałtu w Bowery i wybuch szalejącej gorączki, nie dającej się spędzić nawet osławioną wodą krotonową. Rozsierdzone gangi sprawiały, że służby policji miejskiej miały pełne ręce roboty; prezydent Hayes i jego żona abstynentka, zwana „limoniadową Lucy”, ukryli się przed żarem w letniej rezydencji w Spiegel Grove, w stanie Ohio; a przez gabinet przyjęć doktora Masefielda przetaczało się jeszcze więcej pacjentów niż zwykle.

Samanta miała teraz okazję zapoznać się z wszelkimi dolegliwościami dręczącymi ludzkość; obserwowała, słuchała i starała się wszystko zapamiętać. Doktor Masefield uczył ją

właściwego trzymania instrumentów i korzystania z wielu spośród swoich licznie zgromadzonych narzędzi: oprawnych w kość skalpeli, pił do amputacji, lancetek do krwioupuści, niemieckich igieł do nakłuwania tętniaków, francuskich kate-  
terów, szczypec do rozgniataania kamieni moczowych, wzier-  
ników dopochwowych i doodbytniczych, srebrnych szpatułek  
do uciskania języka i gilotyny do usuwania migdałków.

W jego zbiorze narzędzi nie brakowało niczego. Joshua Masefield miał nowiutki oftalmoskop Helmholza, miedziane strzykawki do wlewek doodbytniczych, trójgrańce i turnikiety, bańki, porcelanowe moździerz, składane lorgnon, lupy. Miał nawet aparat do podawania eteru.

Jego podręczna apteczka była równie imponująca. Samanta odczytywała nazwy z nalepek, przypominając sobie niektóre z nich z czasów spędzonych u pana Hawksbilla; teraz usiłowała zapamiętać ich stosowanie i właściwy sposób daw-  
kowania. Oglądała słoje z białym, żółtym i zielonym prosz-  
kiem, czerwone i niebieskie płyny, pasty i pigułki, żele i maści. Półki piętrzyły się jedna nad drugą zastawione flaszkami, bla-  
szanymi pudełkami i pojemnikami. Podręczna apteczka była  
tak świetnie wyposażona, że doktor rzadko wypisywał recepty  
do realizacji w mieście.

Niezwykły ruch chorych tego lata sprawił, że Samanta musiała porzucić rolę obserwatora. Jak tylko doktor Mase-  
field obejrzał pacjenta, brała się do robienia okładu, zmiany  
opatrunku bądź wstrzyknięcia środka przeciwbólowego, a tym-  
czasem lekarz zajmował się kolejnym cierpiącym. Dni były po  
brzezi wypełnione pracą, tak że rzadko mieli czas na przerwę  
obiadową. W poczekalni krzyczały niemowlęta, płakały ob-  
rzucone wysypką dzieci, starcy kaszleli, a robotnicy ocierali  
zażawione oczy. Wieczorami w domu panowała cisza. Sa-  
manta czytała u siebie w sypialni albo siedziała przy pani  
Masefield, doktor natomiast zaszywał się w gabinecie bądź  
też wychodził do miasta wezwany do pacjenta. Tego upalnego  
lata chorzy nie dawali mu spokoju nawet w niedziele, ale  
Joshua Masefield nie dopuszczał Samanty do pomocy w jej  
wolne od pracy dni. Samanta poznała Luizę z Lutherem  
Arndtem, układnym jasnowłosym młodzieńcem, który co ty-

dzień dostarczał Masefieldowi medykamenty z apteki DeWintera. Tak doszło do tego, że we trójkę zaczęli się wypuszczać na niedzielne eskapady.

Teraz mogła już powiedzieć, że zna Manhattan równie dobrze jak rodowity nowojorczyk. Jeździli omnibusem po Piątej Alei i podziwiali majestatyczne domy, stojące po obu stronach wąskiej, brukowanej kocimi łbami ulicy. Oglądali kamienice z czerwonobrazowego kamienia, kościoły w gotyckim stylu, nowy szpital Św. Łukasza i liczyli po drodze mijane ulice, których numery rosły z każdym krokiem na północ. Pięćdziesiąta Piąta, Pięćdziesiąta Szósta... Aż wreszcie wyjeżdżali na obrzeża miasta, tam, gdzie zaczynała się dzika przyroda. Wesoła trójka zwiedziła Central Park i okoliczne budy oraz farmy mieszkających na dziko osadników; śmiali się w głos z nowo utworzonego koszmaru zwanego Dakotą (nazwano go tak ze względu na odległość od miasta) i zajrzeli do Muzeum Historii Naturalnej. W czasie jednego ze spacerów po wiejskich drogach Luther Arndt pokazał dziewczętom dom farmera na rogu Siedemdziesiątej Pierwszej i Madison, gdzie mieszkał tuż po przyjeździe z Niemiec.

Kupowali serdelki i jabłka, a potem urządzali sobie pikniki na trawiastych zboczach Hudson River, przyglądając się płynącym rzeką bocznokołowcom i rejomcom. Wybrali się na Madison Square i weszli do wnętrza wystawionego tam gigantycznego ramienia z brązu — było tak wielkie, że w środku mieściło wielu ludzi, a Luther twierdził, że pewnego dnia to ramię będzie stanowić część ogromnego posagu w zatoce. Zaglądali do sklepów Macy'ego i Tiffany'ego, obserwowali ludzi wysiadających z eleganckich ekwipaży pod Delmonico, wybrali się na przejażdżkę naduliczną koleją żelazną i oglądali pierwsze przesło budowanego mostu, mającego łączyć Manhattan z Brooklynem. Włóczyli się po ulicach i zaułkach Nowego Jorku, słuchali kapeli podwórkowych, kupowali kanapki od straganiarzy i co jakiś czas wrzucali parę groszy w wyciągniętą dłoń żebrzącego dziecka. Zazwyczaj kończyli te niedzielne wypadki w aptecce DeWintera, gdzie pracował Luther.

Ale przez cały czas, niezależnie od trasy, Samanta ani na chwilę nie zapomniała o doktorze Masefieldzie.

Apteka DeWintera nigdy nie przestawała zadziwiać Samanty. Tak różna od aptek londyńskich, miała witryny z lśniącego tarłowego szkła, w których wystawiano na pokaz pasy przepuklinowe, krążki maciczne oraz „Oryginalne pasy elektrostatyczne doktora Scotta”, jak również gorsety i wkładki powiększające biust. Wewnątrz, na półkach i pod szklanymi blatami kontuarów, stały butelki i pojemniki z różnymi specyfikami, eliksirami, tonikami, tinkturami, środkami oczyszczającymi, mieszankami, mazidłami i miksturami o nieznanym składzie, a dobrymi na wszystko, których etykiety obiecywały cuda — czyli stało tam moc „butelek fałszywych nadziei”, jak je nazwał doktor Masefield. Na kontuarach widać było wody kolońskiej, pudry, słodycze i karty z życzeniami, pod ścianą zaś ostatni krzyk mody — saturatory z napojami gazowanymi.

Dziewczęta siadały przy jednym z małych stolików, które pan DeWinter wprowadził do sklepu, Luther natomiast przechodził na drugą stronę lady i nalewał trzy szklanki brązowego płynu z bąbelkami. Był to nowy gazowany napój zrobiony z wyciągu z liści koki, który wielu ludzi piło dla uspokojenia nerwów.

Potem Luther przysiadł się do stolika i bynajmniej nie stronił od plotek o klientach apteki.

— Widzicie tamtą? — mruczał pod nosem, kiedy majestatyczna dama z ogromną turniurą wtaczała się przez drzwi. — To pani Bowditch. Przychodzi raz na tydzień po „Krople żołądkowe Bowkera”.

Samanta i Luiza obserwowały, jak kobieta zamienia kilka słów z postawnym panem DeWinterem, a potem odbiera z jego rąk zawiniątko i znika z apteki.

— Pani Bowditch jest prezesem miejscowego Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Twierdzi, że zażywa kropli ze względu na złe trawienie. Rano i wieczorem, jak w zegarku. — Roześmiał się ironicznie. — A tymczasem „Krople żołądkowe Bowkera” zawierają czterdzieści dwa procent alkoholu!

Luther Arndt był inteligentnym, uroczym kompanem; zawsze skutecznie rozśmieszał dziewczęta. Co środę zaglądał

do doktora Masefielda, żeby przynieść zamawiane poprzedniego dnia specyfikę, i zawsze znajdował czas na to, żeby zamienić kilka słów z Samantą. W niedzielę ubrany w najlepszy garnitur i nowy melonik o wysokiej główce wpadał po nią i po Luizę i zabierał je na wycieczki po mieście. Naturalnie Samanta nie mogła nie zauważyć, że Luther i Luiza byli w sobie zakochani po uszy.

— Luther mówi, że w przyszłości będzie miał własną aptekę — zaczęła Luiza, kiedy późnym popołudniem we dwie spacerowały po Washington Square. Mniej więcej w tym czasie można tu było ujrzeć ekwipaże z damami z najlepszego towarzystwa; obie osiemnastolatki uwielbiały oglądać piękne suknie i parasolki. — Jak wiesz, Luther w Niemczech studiował farmację. Uważa, że stary DeWinter na pewno przyjmie go na wspólnika. Jego zdaniem to tylko kwestia czasu. A kiedy Luther już zostanie wspólnikiem, zacznie mu się doskonale powodzić.

— Luizo, znasz go dopiero dwa miesiące i już chcesz się za niego wydać?!

— Od razu wiedziałam, że za niego wyjdę, jak tylko nas poznałaś. Jest niesamowity! — Luiza elegancko uniosła spódnice, szykując się do zejścia z krawężnika. — Cóż, dziewczyna musi kiedyś zacząć myśleć o tych sprawach, Samanto. Chyba nie chcesz być sama całe życie, a młodość nie trwa wiecznie. Wystarczy, że przekroczysz pewien próg i żaden mężczyzna już się z tobą nie ożeni. Nigdy nie jest za wcześnie upatrzyć sobie kandydata na męża. — Zerknęła na przyjaciółkę spod oka. — Ty, zdaje się, nie upatrzyłaś sobie jeszcze nikogo?

— Nie, jeszcze nikogo.

Samanta wiele razy walczyła ze sobą, energicznie odpychając od siebie myśli, które podstępnie przychodziły jej do głowy za dnia, kiedy pracowała u boku doktora, i w nocy, gdy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Jakże to jednak możliwe, żeby zakochała się w kimś takim jak Joshua Masefield, mężczyźnie ponad dwa razy od niej starszym, żonatym, nieosiągalnym i nieprzystępnym? Po trzech miesiącach pracy jako jego asystentka nie wiedziała o nim nic więcej niż pierwszego dnia, kiedy go poznała. Skąpe informacje, które czasem wy-



mykały się z ust pani Wiggen, nie pomagały stworzyć jego pełnego obrazu. Samanta znała tylko powierzchowny wizerunek tego niezwykłego mężczyzny; prawdziwy Joshua wciąż stanowił dla niej wielką niewiadomą.

Intrygował ją, zadziwiał — zgoda! Ale to przecież nie znaczy, że jest w nim zakochana! Zwłaszcza że jest jeszcze Estelle.

Po tamtej pierwszej nocy czuwania przy chorej Samanta coraz częściej zajmowała się panią Masefield. Oferowała pomocne ramię w czasie wyczerpujących spacerów od łóżka do krzesła, pomagała przy ubieraniu, jedzeniu; czytała jej i opowiadała o tym, co widziała na Washington Square. „Turniury stają się coraz większe i zaczyna się nosić krótkie małe żakietki.” Estelle Masefield, zbyt młoda, by tylko tkwić w łóżku, ciekawa była wszelkich nowinek towarzyskich. Samanta czytywała jej w „Register” długie listy gości bywających na słynnych balach pani Astor i informacje, kto też odwiedził Newport tego lata. Choć niewiele miały ze sobą wspólnego, z czasem złączyła je subtelna przyjaźń. Samanta często niecierpliwie czekała na popołudnie bądź wieczór w eleganckiej sypialni i ciche wspomnienia o wspaniałych czasach w Filadelfii. Estelle ze swojej strony przywiązała się bardzo do spokojnej Angielki, która słuchała jej cierpliwie, nastawiała dziewczęcego uszka damskim opowieściom i dzieliła z nią poglądy na temat długości sukien, fasonu kapeluszy i romantycznych powieści.

Już samo to powinno wystarczyć, żeby Samanta odsunęła od siebie wszelkie myśli o jakiegokolwiek zażyłości z doktorem. Ale to nie było wszystko; dziewczyna nie mogła nie zauważyć, jak wygląda stosunek doktora do żony. Zbyt często oglądała ich razem, żeby nie widzieć, że Joshua Masefield jest nieprzytomnie zakochany w Estelle. Wskazywały na to i wzruszające oddanie widoczne w sposobie bycia i miłość, która zaćmiewała mu wzrok, a potem malujące się w jego oczach nieme cierpienie, gdy kolejny raz uświadamiał sobie, jak mało zostało im już wspólnego życia...

A zatem, biorąc to wszystko pod uwagę, Samanta po prostu nie mogła być w nim zakochana!

Wczesne jesienne przymrozki stanowiły zapowiedź nadchodzącej mroźnej zimy i jednocześnie w bolesny sposób przypominały Samancie, że za trzy miesiące przyjdzie czas na wyprawę.

Choć pacjenci nie przychodzili już tak gromadnie jak latem, doktor Masfield na stałe powierzył jej wykonywanie rozmaitych zabiegów — głównie kobietom i dzieciom — a w październiku zabrał ją na pierwszą wizytę domową.

Przysłano po niego małego oberwańca. Joshua wziął kuferek, cylinder i zastukał do sypialni Samanty.

— Chodzi o chore niemowlę, a wzywają mnie sąsiedzi, nie rodzina, stąd spodziewam się oporu i kłopotów. Pani obecność mogłaby mi pomóc.

Szli ulicami, którymi normalnie nie odważyłaby się chodzić wieczorem, ale doktor Masfield był tu znaną, lubianą i szanowaną postacią, dlatego mógł się bezpiecznie poruszać po zakazanym rejonie. Była to ta część Manhattanu, którą Biuro Statystyki Ruchu Naturalnego nazywało obszarem samobójców — Hester Street i Mulberry Bend.

Ludzie siedzieli na schodkach przed domami albo oparli o słupy latarni ulicznych i pozdrawiali mijającego ich doktora oraz jego ładniutką asystentkę. Samanta ostrożnie stawiała stopy, omijając odpadki i psie ekskrementy; słyszała krzyki, śmiech, czasem śpiew płynący przez otwarte okna. Przez chwilę czuła nawet nagłą i bolesną tęsknotę. Jakże to wszystko przypominało jej okolice Crescent Street w Londynie!

Obdarte dziecko wyszło im naprzeciw i zaprowadziło do czynszówki, gdzie dopiero na czwartym, najwyższym podęściu, pokonawszy zdezelowane schody, stanęli oko w oko z zaniepokojoną kobietą, która załamując ręce mówiła coś szybko po włosku. Zaprowadziła ich korytarzem do otwartych drzwi.

Trudno powiedzieć, czy zapuszczone mieszkanko należało do jednej czy do kilku rodzin, to zresztą nie miało znaczenia. Było tam wielu ludzi i wszyscy spoglądali na intruzów

spod oka. Samanta trzymała się blisko doktora. Nagle spośród mieszkańców wystąpił duży mężczyzna w podkoszulku i spodniach na szelkach, taki, który bez wahania potrafi dać pięścią w nos.

— Nie potrzebujemy tu żadnego *dottore*. Sami sobie radzimy.

Z pokoju za jego plecami dobiegło słabe kwilenie niemowlęcia.

— Może będę mógł pomóc — powiedział cicho Joshua.

Rodzina zbiła się w ciasną gromadkę, jakby wiedzona instynktem stadnym. Samanta widziała już takich ludzi w gabinecie lekarskim, a nawet wcześniej, jeszcze za czasów Crescent Street. Widziała dzieciaki o wychudłych ramionach i nogach nie znających słońca, młode kobiety przedwcześnie zniszczone, starych mężczyzn o zapadniętych klatkach piersiowych i ubytkach w uzębieniu. Ich życie było jednym pasmem rozpaczy.

— Wynocha! — rzucił wielkolud.

Doktor Masfield zdjął cylinder.

— Chciałbym zamienić kilka słów z matką dziecka, jeśli można.

Zza drzwi wyszła wychudzona młodzieutka dziewczyna o stroskanej twarzy. Samanta spostrzegła brunatne plamy na jej dłoniach i od razu poznała, że to zwijaczka cygar, jedna z tych budzących największą litość postaci w amerykańskim społeczeństwie, pracująca siedemnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu za nędzne grosze. Wystarczyło, że taka dziewczyna opuściła choćby godzinę pracy, a natychmiast wylatywała na bruk, gdy tymczasem inna nieszczęśnica ochoczo zajmowała jej miejsce.

Krucha dziewczyna ostrożnie położyła rękę na ramieniu męża. Jego grube sycylijskie rysy ściągnął ból.

Od stłoczonej grupki, kuśtykając, oderwała się staruszka.

— Ja zaprowadzę.

Samanta weszła za doktorem do sypialni, gdzie musieli uważnie przekraczać rozrzucone na podłodze sienniki. Pod oknem, w skrzynce po pomarańczach, leżało cichutkie niemowlę.

— Ona nie je — zachrypiała staruszka, kiedy Joshua przyklęknął przy skrzynce. — Nie płacze. Nie rusza się.

Położył dłoń na zimnym wilgotnym czółku dziecka.

— Od jak dawna się tak zachowuje?

— Dwa, trzy dni.

Spojrzał na Samantę.

— *Trismus nascentium*. Szczękościsk niemowlęcy. Sami to wywołali. — Bardzo delikatnie wziął dziecko w ramiona i przygarnął je do piersi. Samanta uklęknęła obok, a on ujął jej rękę i delikatnie położył ją na tylnej części niemowlęcej główki. — Czuje pani to drobne wklęsnięcie? Kładą dziecko na pleckach, więc śpi odgniatając potylicę. Czaszka noworodka jest miękka i plastyczna, kość potyliczna uciska mózg i upośledza krążenie w ważnych ośrodkach mózgowych. Dziecko w niedługim czasie zaczyna mieć krótki oddech, nie może jeść i dostaje skurczów, w czasie których pręży ramionka i nóżki. Medycyna nazywa to tężyczką, a ludzie atakiem dziewiątego dnia, bo od wystąpienia objawów właśnie tyle dni dziecko może przeżyć. Potem umiera. Jeśli uchwyci się te symptomy wcześniej, można niemowlę uratować. Jeśli zbyt długo zostawi się dziecko bez pomocy, nie ma dla niego ratunku.

— Czy dla tego dziecka można jeszcze coś zrobić?  
— zapytała szeptem, opierając się o doktora.

— Jeśli stara nie kłamie, że ten stan trwa od dwóch do trzech dni, to tak, jeszcze się uda. Wystarczy położyć małą na boczku. To przywróci prawidłowe krążenie i organizm znów zacznie normalnie funkcjonować.

Łagodnie włożył niemowlę do skrzyni i ułożył je na boczku, a pod plecki dziecka wetknął zwinięty w rulon kocyk. Potem wstał, a wraz z nim Samanta. Odwrócili się i ujrzeli całą rodzinę zgromadzoną w drzwiach.

— Pilnujcie, żeby dziecko leżało na boku i nie przetoczyło się na plecy. Za kilka godzin powinna się już zachowywać normalnie. — Patrzyli na niego pustym wzrokiem, więc zwrócił się do staruszki: — Rozumiecie?

— *Si, si!* — Podskakiwała z ożywieniem. — *Capisco, capisco! Mille grazie, Signor Dottore!*

Leciutko dotknął ramienia Samanty i wyprowadził ją z mieszkania, a potem na ulicę. Mijali latarnie gazowe, punktowo rozświetlające mrok.

— Niektóre przypadki są proste. Wymagają jedynie podstawowej wiedzy. Jeśli ci Włosi zastosują się do moich wskazówek, dziecko już jutro będzie w dobrej formie i znowu zacznie jeść.

Musiała dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku. Milczała. Wciąż rozpamiętywała, co czuła, kiedy ujął jej rękę i położył ją na dziecięcej główce. Ten dotyk jego dłoni...

Do gabinetu doktora Masefielda często zaglądały prostytutki. W większości przypadków mogłyby opowiedzieć tę samą historię. Były to głupiutkie dziewczęta, które uwierzywszy w hasła reklamowe pasażerskich linii oceanicznych, że w Ameryce nie są potrzebne pieniądze, bo nikomu i tak niczego nie zabraknie, przeznaczyły wszystkie swoje oszczędności na kupno biletu na statek, tylko po to, by na końcu podróży poznać smutną prawdę. Dopiero tu na miejscu dowiadywały się, że i w Ameryce pieniądze nie leżą na ulicy. Już w porcie nagabywali je młodzi Żydzi, czarujący i grzeczni (tak zwani „kadeci”; oni właśnie stanowili największą grupę nowojorskich alfonsov), którzy zapraszali dziewczęta na wieczorek, gdzie miały poznać ludzi ze swego starego kraju, którzy pomogą im znaleźć zakwaterowanie i pracę. Nie mówiące po angielsku, ufne, pozbawione opieki dziewczęta, chwyciły się tego zaproszenia jak tonący brzytwy, i już tej samej nocy zostawały nieszczęsnymi ofiarami w burdelu. Pozbawione cnoty po „inicjacji”, bez grosza przy duszy, śmiertelnie przerażone, rzadko próbowały się stamtąd wyrwać. A już niedługo po tym, zawstydzone, przychodziły do doktora Masefielda po środki spędzające ciężę lub po kurację na chorobę weneryczną.

Nie tylko prostytutki zgłaszały dolegliwości wiążące się z seksem. Zaharowane imigrantki, dla których odpoczynek od cięż i porodów byłby błogosławieństwem, nieśmiało prosiły go o środki antykoncepcyjne.

— Tragedia polega na tym, panno Hargrave, że gdyby ich mężowie kiedykolwiek się o tym dowiedzieli, spraliby je na

kwaśne jabłko. Niestety niczego nie mogę tym kobietom przepisać. Tak się bowiem składa, że tylko mężowie mogą przedsięwziąć odpowiednie kroki, żeby ich żony nie poczęły, bo tylko oni mają na to niezawodny środek.

Pewnego ranka, kiedy w gabinecie zjawiała się zaniepokojona para młodych ludzi, Masefield wyprosił Samantę do drugiego pokoju. Od niespełna roku byli po ślubie i przyszli do doktora po radę. Później, kiedy już wyszli, opowiedział jej ich przypadek tonem rzeczowym, jakby omawiał nacięcie czyraka.

— Akt małżeński jest dla młodej kobiety tak bolesny, że rzadko dochodzi do zbliżeń między małżonkami. Kobieta cierpi na *vaginismus*, skurcz mięśni pochwowych w czasie stosunku. Prosił mnie, żebym przyszedł do nich do domu którejs nocy i podał młodej żonie eter, by mąż mógł spełnić swój małżeński obowiązek. Bardzo chcą mieć dzieci. Naturalnie absolutnie nie mogę przychylić się do ich prośby, ale przepisałem dziewczynie brom, który uspokoi jej nerwy. Dziewięćdziesiąt procent przypadków pochwyicy ma podłoże psychiczne, a tylko nieliczne spowodowane są wadami budowy.

— Podłoże psychiczne?

— Młoda kobieta albo jest śmiertelnie przerażona samym aktem, albo go bardzo nie lubi, dlatego zamyka się przed mężem. Bardzo rzadko zetknie się pani z przypadkiem wymagającym zabiegu chirurgicznego czy innej formy leczenia.

Samanta usiłowała ukryć zakłopotanie. Jakie to dziwne, że omawia tak zakazany temat z niemal obcym mężczyzną, temat, którego nie poruszają nigdy między sobą nawet mąż z żoną! I niby jak mam teraz zareagować, myślała, skoro nic nie wiem o tych sprawach i znam tylko sam mechanizm aktu? Jak więc to jest? Dlaczego niektóre kobiety tak się tego boją, podczas gdy innym ciągle mało i mało? Jakby to było z nim...?

Codziennie przychodziły. Jedne po środki antykoncepcyjne, inne, bo chciały zająć w wymarzoną ciążę. Macierzyństwo dla jednych było przekleństwem, dla innych darem niebios. Pani Malloy, kobieta dobrze już po trzydziestce, która nie miała dzieci i dawno już pożegnała się z nadzieją, że kiedykolwiek urodzi, któregoś dnia zjawiała się w gabinecie i z dumą

pokazała doktorowi wzdęty brzuch. Samanta stała w dyskretnej odległości, a tymczasem Joshua zaczął zadawać pani Malloy ostrożne pytania: „Kiedy było ostatnie krwawienie?” („Miesiąc temu.”); „Kiedy ostatni raz doszło do zbliżenia z mężem?” (Nie pamiętam.); „Czy czuje pani bolesność piersi?” („Nie.”). Posunął się nawet do zbadania nadgarstków i kostek u nóg pacjentki, by sprawdzić, czy nie spuchły. Rozanielona, szczęśliwa pani Malloy odpowiadała na wszystkie pytania i pozwoliła nawet na delikatne obmacanie brzucha przez ubranie. Kiedy zaproponował, żeby zasięgnęła jeszcze opinii jednego ze znakomitych chirurgów w szpitalu kobiecym, Woman's Hospital, pani Malloy zaprotestowała z wyśzością.

— Nie ma żadnej potrzeby, doktorze. Chciałam tylko potwierdzić swoje podejrzenia. Nigdy jeszcze nie widziałam męża tak uszczęśliwionego. Już maluje pokój dla dziecka.

Joshua Masefield poprosił Samantę, żeby nalała pani Malloy kieliszek brandy, a później wyjaśnił pacjentce, najłagodniej jak umiał, że to nie dziecko rośnie jej w brzuchu, a guz. Samanta musiała uchylić się przed lejącym kieliszkiem, a potem zetrzeć alkohol z podłogi, ale sprzątaniami zajęła się dopiero pół godziny później, kiedy już wspólnie z Joshua uspokoił panią Malloy i odprowadził ją do domu.

Rzadko pijali razem kawę, ale to popołudnie należało do wyjątkowych. Siedzieli w jego prywatnym gabinecie i obserwowali wydłużające się na dywanie cienie.

— Gdyby pani Malloy była bardziej douczona, wiedziałaby, że miesiąc to zbyt krótki okres na to, by móc zobaczyć ciążę. Bardzo to smutne, że kobiety tak słabo znają swoje ciało, i często dowiadują się o elementarnych sprawach, kiedy jest już za późno.

— Jak można jej teraz pomóc?

— Jeśli ma szczęście i okaże się, że cierpi na guz na jajniku, można go usunąć przez maleńkie nacięcie. Niewykluczone też, że to włókniak na macicy. Chirurdzy w Woman's Hospital nauczyli się wchodzić do jamy brzusznej szybko, wycinać macicę i zamykać ranę przy minimalnym ubytku krwi.

— A jeśli to co innego?

— Nic nie da się zrobić. W Niemczech prowadzi się pewne eksperymenty związane z chirurgią brzucha, ale na razie bez powodzenia. W Anglii jest chirurg, który próbuje wycinać pęknięte wyrostki robaczkowe, ale dotychczas żaden z jego pacjentów nie przeżył. Nie mam wątpliwości, że nadejdzie dzień, kiedy otwarcie jamy brzusznej będzie rutynową operacją, ale tymczasem przy dużym ryzyku związanym z podawaniem eteru i niemożności opanowania krwotoków, nawet najbardziej brawurowy chirurg odważa się tylko na krótką interwencję w okolicy otrzewnej.

Czy zawsze mówił tylko w ten sposób? Nigdy go nic w niej nie zaciekało? Czyżby nie istniała furtka, przez którą mogłaby się wedrzeć poza fasadę profesjonalizmu? Często jej jedyne pocieszenie stanowił fakt, że uczyła się u niego więcej niż w niejednym kolegium.

Pewnego dnia doktor Masefield przyjął poza kolejką młodą polską robotnicę, która przeszła sobie dłoń igłą maszyny do szycia. Płakała, ściskając końce zakrwawionej chusteczki do nosa. Przyprowadziła ją koleżanka z pracy, też blondynka, która kojąco mówiła jej coś po polsku, ale zaraz spieszenie wybiegła, żeby wrócić do swojej roboty.

— To smutne wypadki — mruknął Masefield, łagodnie odwijając chusteczkę. — Nie będzie mogła usiąść przy maszynie przez kilka dni, więc pewnie straci pracę. W następnej kolejności straci też miejsce w zatłoczonym czynszowym pokoju i wreszcie któregoś dnia wyląduje na ulicy pod opieką alfonsa.

Samanta obejmowała ramieniem wątłe barki Polki i zauważyła jej mlecznobiałą cerę, charakterystyczną dla ludzi, którzy wcale nie oglądają słońca. Dostrzegła też mocno przetartą spódnicę i bluzkę, bez wątpienia jej jedyną odzież. Od jakiegoż życia dziewczyna uciekła z Polski, żeby skazywać się na coś takiego?

— Ale tu w pobliżu nie ma żadnej fabryki, doktorze Masefield — zauważyła.

Nie odrywał wzroku od zranionej ręki.

— Większość prac dla fabryk, które tak eksploatują robotników, odbywa się pokątnie w kamienicach, a nie w halach



fabrycznych, właśnie po to, żeby uniknąć odpowiedzialności wynikającej z prawa o zatrudnieniu. W ten sposób ludobójstwo uchodzi fabrykantom na sucho. — Wrzucił zakrwawioną chusteczkę do wiadra. — Te nieszczęsne stworzenia pracują jak niewolnice przez dwanaście godzin na dobę, jedzą byle co, oddychają stęchłym powietrzem, śpią w zarobaczonych łózkach i próbują jeszcze zachować ludzką godność. W wielu wypadkach lepiej się im działo w ich ojczystym kraju. Oto i rany.

Dziewczyna krzyknęła przenikliwie, gdy usiłował otworzyć jej zaciśniętą dłoń.

— Sześć minimów Magendie's, panno Hargrave.

Nauczył Samantę, jak podawać środki odurzające. Teraz wlała do słodkiego syropu sześć kropel morfiny i podała je dziewczynie na łyżce.

Potem „zamroził” grzbiet rannej dłoni rozpylonym eterem. Kiedy skóra przestała już odbierać bodźce, w każdą ranek uważnie zapuścił kwas azotowy, który natychmiast syczał i puszczał smużki białawego dymu.

Dziewczyna krzyczała i awanturowała się po polsku, próbując zerwać się na nogi i uciec z gabinetu, ale Samanta mocno ją trzymała. Kiedy doktor obejrzał już dokładnie wszystkie rany, szukając w nich kawałków ułamanej igły, Samanta opatrzyła jej dłoń. Potem Masfield podał dziewczynie buteleczkę z morfiną Magendie's i kartkę papieru, na której napisanie wykorzystał całą swoją znajomość polszczyzny: „Jedna łyżeczka, jak boli.”

— Obejdziemy się bez dwóch dolarów zapłaty — powiedział do Samanty.

## 9

Późnym wieczorem, w połowie bardzo chłodnego listopada, Samanta siedziała u siebie przy kominku z nogami okrytymi kocem i z nie czytany pismem na kolanach. Tego dnia

dostała liścik od doktor Emilii Blackwell, z którego dowiedziała się, że już w pierwszym tygodniu stycznia może się przeprowadzić do internatu przy szpitalu. Wsłuchując się w panującą w domu ciszę i wiatr wyjący za oknem, nie czuła radosnego ożywienia, jakie wiadomość od doktor Emilii powinna w niej wywołać. Za sześć tygodni miała się już na zawsze wyprowadzić z domu doktora Masefielda.

Potrząsnęła lekko głową i wzięła do ręki czasopismo, ostatni numer „Boston Medical and Surgical Journal”. Pierwszy artykuł nosił tytuł: „Kwestia kobiet, inaczej — gorszych medyków.”

Autor artykułu, niejaki doktor Charles Gage, już na wstępie sformułował tezę: chciał przedstawić naukowe dowody na to, że kobiety nie powinny studiować medycyny. „Kobieta z natury swojej nie jest stworzona do tego, by stawić czoło niepokojom, nerwowemu napięciu czy też wstrząsom, wynikającym z uprawiania zawodu medyka — pisał. — W jej naturze leży brak odwagi i brak zamiłowania do ryzyka, które są niezbędnymi przymiotami przy podejmowaniu trudnych i często niebezpiecznych lekarskich decyzji. Ponadto z biologii kobiet wynika, że nie są one paniami siebie, przeciwnie, są wręcz niewolnicami natury, a w szczególności comiesięcznego niedomagania. Sam Pan Bóg, tworząc słąbą płęć, wziął w rękę macicę i wokół niej obudował kobietę, a to, czym kobieta jest, jeśli idzie o zdrowie i charakter, umysł i duszę, zależne jest wyłącznie od stanu jej łona. Jakież to pacjent chciałby złożyć swe życie w ręce szaleńca, którego wydolność waha się z tygodnia na tydzień? Powtarzająca się niedyspozycja kobieca wpływa na stan wydolności niewieściego umysłu. Kobieta wówczas, jak wiadomo, przechodzi okres niepoczytalności i doprawdy w tych dniach sama wymaga pomocy medycznej, a już na pewno nie jest w stanie nikomu jej udzielić!

Skoro bezspornie uznajemy fakt, że kobieta jest jedynie niedoskonałą kopią mężczyzny i społeczeństwa przyznały jej niższy status, mężczyźni natomiast wyższy, możemy zatem wyciągnąć nader logiczny wniosek, że zawód, w którym pojawiają się kobiety, tym samym zostanie w konsekwencji odarty z prestiżu. Jakież to społeczeństwo potrzebuje z bożej łaski

doktorek w czasach, gdy kobiety i tak już za dużo brzdąkają na pianinie, za mało zaś siedzą w kuchni i zbyt słabo się przykładają do szycia?"

Zamknęła czasopismo i przypomniała sobie incydent sprzed zaledwie tygodnia, kiedy doktor Masefield zaszywał ranę na głowie. Powiedziała wtedy — „Następny proszę” — i do gabinetu przyjąć wtoczyło się wielkie chłopisko, ścisnąc robociarską czapkę w mięsistych dłoniach. Kiedy spytała, co mu dolega, Irlandczyk odpowiedział: „Niech się pani nie obrazi, panienko, ale zaczekam na doktora”. Wyjaśniła mu, że doktor jest na razie zajęty, i dodała, że być może ona też będzie umiała udzielić porady lekarskiej. Ku jej zdumieniu, Irlandczyk zerwał się na równe nogi i kipiąc gniewem, z nabrzmiałą krwią twarzą, wykrzyczał, że propozycja jest nieprzyzwoita, a potem wypadł do hallu. Później doktor Masefield domyślił się, że pewnie był to Roddy O'Dare. „Cierpi na chroniczne obrzmienie jąder. Doskonale rozumiem jego oburzenie. Odtąd, panno Hargrave, zechce pani mężczyzn zostawić jednak mnie.”

Rozzłościło ją to wtedy, zupełnie tak samo, jak teraz ten artykuł w „Boston Journal”. Powszechnie uważano, że kobieta może omawiać z obcym mężczyzną swoje najintymniejsze problemy, natomiast sama sugestia, że może by tak odwrócić role, uznawana była natychmiast za pogwałcenie moralności.

Zaczęła też prenumerować kobiece pismo „Woman's Journal”, wydawane w Bostonie przez Lucy Stone, i choć nie była wyznawczynią walczącego feminizmu, dostrzegła jednak, że pismo broni sprawy lekarek. „Niech mężczyźni nie będą tacy pewni, że tylko oni mają w ręku klucz, który otwiera drogę do medycyny. Barykadują się za drzwiami bostońskich szpitali, żeby nie wpuścić do środka studentek, i mnożą przeciw nam, kobietom, absurdalne i niegodziwe argumenty. Chwytają się kobiecej niedyspozycji, jakby sami nie mieli słabości. Ale niezależnie od tego, czy nam pomogą czy nie, coraz bliższy jest dzień, kiedy kobiety zmuszą kolegów medyków, by głośno przyznali, że zawodowo jesteśmy sobie równi.”

Przypomniała sobie dawno usłyszane słowa Elizabeth Blackwell: — „Boją się nas, nie rozumiem dlaczego”

— i zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę o tym myśli doktor Joshua Masefield. Nie doświadczyła z jego strony żadnych uprzedzeń w tym względzie; w gruncie rzeczy była przekonana, że traktuje ją dokładnie tak, jakby traktował tamtego umówionego studenta, który wybierał się na Cornell University. Ale jak się zachowa, kiedy ona, już jako wykształcona lekarka, otworzy prywatną praktykę? Czy wtedy aby nie zmieni nastawienia?

Była przygotowana na kłopoty związane z uprawianiem zawodu, lecz czy koniecznie musi je dodatkowo piętrzyć, kończąc szkołę dla kobiet? Będą na nią patrzeć jak na szarlatanekę? Luiza i Luther wciąż jej to mówili.

Długo nie kładła się spać. Wreszcie, na godzinę przed świtem, zeszywniała i zziębnięta, wstała z fotela i podjęła przerażającą decyzję.

Przez wzgląd na przyszłość kariery postara się zdobyć dyplom jednej ze znanych męskich akademii medycznych. Uznała też, że fakt, iż dzięki tej decyzji spędzi kolejnych dziewięć miesięcy w domu państwa Masefieldów, nie ma żadnego wpływu na jej postanowienie.

Bała się powiedzieć mu o tym. Najbardziej lękała się tego, że zacznie ją nakłaniać, żeby jednak poszła do szkoły przy szpitalnej i wyprowadziła się już za pięć tygodni. Ten strach spowodował, że znów zaczęła mieć dawne kłopoty z wysławianiem się i za każdym razem, kiedy zebrała w sobie odwagę, żeby mu wreszcie powiedzieć, język stawał jej kołkiem.

Pierwszego grudnia obficie padał śnieg, a o północy powstały na ulicach takie zaspasy, że konie chodziły z grubo obwiązanymi perkalem pęcunami i niewielu było na dworze przechodniów. Samanta nie mogła zasnąć. Doktor Masefield wyszedł po kolacji z wizytą do gorączkującego dziecka i o pierwszej w nocy jeszcze nie wrócił do domu. Przy akompaniamencie donośnego chrapania śpiącej za ścianą pani Wigen wstała, okręciła się mocno szlafrokiem, wzięła świecę i wyszła z pokoju. Piętro niżej zajrzała do sypialni Estelle. Pani Masefield spała jak anioł. Drżąc z zimna, Samanta zeszła na parter, bo chciała podgrzać w kuchni trochę mleka.

Zaskoczyły ją nagle otwarte drzwi wejściowe. Powiało lodowatym chłodem; fala zimna poderwała w górę jej rozpuszczone długie włosy i zgasiła świecę. Joshua Masefield, walcząc z wiatrem, musiał się aż zaprzeć ramieniem, by zamknąć za sobą drzwi, a potem szybko zdjął cylinder i szalik.

Strzepując z barków płatki śniegu, nagle znieruchomiał i spojrzął na Samantę.

— Panna Hargrave... — powiedział cicho.

— Chciałam się napić gorącego mleka. Jak się czuje dziecko?

Zdjął płaszcz i powiesił go na kołku.

— Ma szkarlatynę. Nie przetrzyma jutra.

Rozcierając ręce, wszedł do gabinetu. Słyszała, jak trzaska zapałka, a później ujrzała światło.

— Panno Hargrave! — zawołał. — Proszę do kominka.

Zapominając, że jest w nocnym stroju, Samanta weszła za nim, trzymając zgasłą świecę. Pochylał szerokie plecy nad paleniskiem, grzebał w nadpalonych węglach i dorzucał nowe.

— Okropna noc. Niech pani przyjdzie się rozgrzać.

Podeszła do niego, odstawiła świecę na półkę nad kominem. Joshua Masefield wyprostował się i spojrzął jej prosto w oczy. Patrzył tak na nią przez chwilę — jego ciemne oczy kryły się w cieniu — a potem odwrócił się raptownie i przeszedł do stolika w rogu.

— Kropla brandy pomoże pani zasnąć, panno Hargrave.

Patrzyła, jak napełnia dwa kieliszki, a potem niesie je do rozpalającego się kominka. Przyjmując z jego rąk kieliszek, niechcący musnęła czubkami palców jego palce.

— Jak się miewa moja żona?

— Śpi spokojnie.

Wciąż się jej przyglądał przeszywającym wzrokiem.

— A dlaczego pani nie śpi, panno Hargrave?

— Jest... — Walczyła z głosem, żeby zmusić go do posłuszeństwa. — Jest coś, co mnie niepokoi.

— Tak myślałem. W ciągu ostatnich kilku dni była pani jakaś nieswoja.

— Nie chciałam, żeby to się odbiło na pracy...

— I nie odbiło się. Pani praca była jak zawsze bez zarzutu.

Uniosła cienkie brwi. Po wielu tygodniach przebywania ze sobą na co dzień po raz pierwszy ją chwalił. Przystojne rysy doktora przypominały ciemne płaszczyzny akwaforty; światłocien dodawał mu tajemniczości. Jego bliskość i niezwykle ciepłe brzmienie głosu zabarwiły tę chwilę nieoczekiwaną intymnością.

— Czy chciała pani może rozmawiać ze mną o czymś?

— Tak — wyszeptała. Czyżby to była tylko gra jej wyobraźni, czy rzeczywiście ukryte w mroku ciemne oczy doktora płonęły namiętnością? Aż odwróciła wzrok. — Zastanawiałam się, czy zapisując się do przyszpitalnej szkoły doktor Emilii Blackwell, nie popełnię błędu.

Kiedy nie odezwał się słowem, odstawiła kieliszek na półkę nad kominkiem i odeszła kilka kroków. Teraz, kiedy wyrwała się spod mocy jego hipnotyzującego spojrzenia, łatwiej jej było mówić.

— Pomyślałam sobie, że lepiej bym zrobiła pobierając nauki w męskiej akademii, tak jak to zrobiła doktor Elizabeth Blackwell, bo taki „męski” dyplom lepiej by mi służył w przyszłości, kiedy się będę spotykać z różnymi przeciwnościami. Chciałabym być możliwie jak najlepszym lekarzem.

— Zgadzam się z panią — przytaknął ku jej wielkiemu zdziwieniu.

Obróciła się do niego gwałtownie.

— Naprawdę?

— Ale będzie pani szalenie trudno znaleźć taką uczelnię.

— Jestem na to przygotowana — spieszenie wpadła mu w słowo. — Mogę zrobić tylko to, co w mojej mocy, a jeśli się nie uda, poprzestanę na szkole przyszpitalnej. Ale nie mogę tam pójść od razu, nie próbując najpierw dostać się do męskiego kolegium.

— Jak pani sobie wyobraża szukanie takiej męskiej szkoły?

— Miałam nadzieję, że pan mi jakoś pomoże...

— Wobec tego pomogę. — Joshua osuszył kieliszek i jeszcze raz podszedł do stolika z karafką. — Wynotujemy sobie

najpierw listę szkół, gdzie mogliby panią przyjąć, a później napiszę pani listy polecające. Mam jeszcze pewne wpływy w tych sferach.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Więc nie ma pan nic przeciwko temu, żebym jeszcze została?

— Oczywiście, że nie. Będziemy się szykować na wrzesień, a wtedy będzie pani miała za sobą już ponad rok praktyki.

— Doktorze, nie wiem, jak mam panu dziękować...

Wciąż stał odwrócony do niej plecami.

— Skłaniają mnie do tego egoistyczne pobudki, panno Hargrave. Ja będę miał pani znakomitą pomoc przez następnych dziewięć miesięcy, a Estelle nadal będzie się cieszyć pani towarzystwem, które ceni sobie tak bardzo. A teraz... — wreszcie odwrócił się do niej twarzą — jest już późno.

Zamrugała nerwowo, bo nagle zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda: stoi tu w szlafroku, a włosy zwisają jej w nieładzie aż do pasa. Zawstydzona, szybko podeszła do drzwi.

— Dobranoc, panie doktorze. Bardzo panu dziękuję.

Długi czas stał nieporuszony i patrzył w miejsce, gdzie stała; słuchał jej kroków na schodach, a potem cichego trzasku zamykanych drzwi. Potem zaś spojrział na kieliszek w dłoni i zobaczył, że tak mocno zaciska wokół niego palce, że aż mu drży całe ramię.

## 10

Estelle weszła w okres znakomitej poprawy, co wyglądało na krok w kierunku wyzdrowienia. W lutym i w marcu, mimo przenikliwej wilgoci i kąsającego zimna, sama wstawiała z łóżka i urządziła sobie krótkie spacerki po sypialni. Samanta nie posiadała się z radości widząc, jak na jej bladą twarz wracają rumieńce. Ale Joshua Masfield nie dał się zwieść fałszywym nadziejom, dzięki czemu nie przeżył później takiego załamania jak Samanta, kiedy Estelle weszła w kolejny kryzys choro-

bowy, najsilniejszy i najokrutniejszy ze wszystkich. Gwałtowne pogorszenie jej zdrowia nastąpiło na kilka dni przed Dniem Pamięci Narodowej.

Było to nowe święto ustanowione niedawno ku czci poległych w wojnie secesyjnej. Samanta i Estelle umawiały się sekretnie, że wybiorą się powozem na Piątą Aleję, żeby obejrzeć paradę. Chciały zobaczyć orkiestry dęte, strażaków demonstrujących nowe wozy, przemarsz ubranych w niebieskie mundury kombatantów wojny domowej, za którymi mieli kroczyć uczestnicy wojny meksykańskiej, a nawet kilku weteranów tysiąc osiemset dwunastego roku. Zaplanowały sobie, że później namówią Joshuę, żeby je wziął do Central Parku na piknik, gdzie będą jeść pieczone kurczaki, pickle domowej roboty i ciasto. Ale na tydzień przed świętem Estelle się przeziębila i dostała tak wysokiej gorączki, że wyglądało na to, że już z tego nie wyjdzie.

Samanta z bólem patrzyła, jak z anielskiej twarzy Estelle uchodzi życie. Jeszcze bardziej cierpiała widząc Joshuę, który godzinami nie odstępował łóżka chorej żony. Miłość do nich obojga sprawiła, że Samanta po raz pierwszy zaczęła wątpić w sprawiedliwość i miłosierdzie Wszechmogącego.

Drażniły ją uwagi pragmatycznej Luizy.

— Rozpacz jej nie wyleczy. Spójrz prawdzie w oczy, ta kobieta umiera. A kiedy umrze, on znów się będzie mógł zenić.

W marcu, kiedy obie beztrąsko sobie rozmawiały, siedząc przy huczącym kominku i wycinając papierowe ozdoby z motywem kurczaczków, którymi miały oblepić gotowane jajka i przesłać je do szpitala dziecięcego Bellevue (w związku z kolejnym nowym świętem wprowadzonym przez prezydenta Hayesa), przeżyły chwile naprawdę niezwykłej bliskości. Luiza wyraziła przypuszczenie, że Luther odwzajemnia jej głęboką miłość, a Samanta w rewanżu zwierzyła jej się z uczucia do doktora Masfielda.

Teraz żałowała tej szczerości i uznała, że lepiej by zrobiła, zatrzymując sekret dla siebie, bo Luiza raz jeszcze głośno wypowiedziała jej najciemniejsze myśli, do których Samanta nie przyznawała się nawet sama przed sobą.



— Estelle nie umrze szybko, Luizo — zaprotestowała. — Chorzy na białaczkę mogą żyć nawet dziesięć lat. A wtedy mnie już tu dawno nie będzie.

Ale zielone oczy Luizy błysnęły przekornie, a charakterystyczny ruch obsypaną złotymi pierścionkami głową jak zawsze znaczył jedno: I tak się nie dam nabrać.

W czerwcu zaczęły napływać z uczelni odpowiedzi na wysłane przez Samnatę podania o przyjęcie na studia.

„Szanowna pani — czytała w liście ze znanego uniwersytetu w północnej części stanu Nowy Jork. — Niech pani sobie i społeczeństwu odda prawdziwą przysługę, rezygnując z tych szalonych planów i wracając do nauk pobieranych przy fartuchu matki. Tylko kobieta o nader wątpliwej reputacji składa podanie o przyjęcie do męskiej akademii medycznej.”

W innym ujrzała takie zdanie: „Chciałbym przypomnieć Pani, panno Hargrave, fakt, że kobiety zostały stworzone w drugiej kolejności”.

Choć była przygotowana na odmowę, dziwił ją i napełniał goryczą ton otrzymywanych odpowiedzi; czytając gryzące sformułowania w kilku listach, doszła do wniosku, że najwyraźniej wywołała gwałtowne męskie oburzenie. Wraz z nadejściem kolejnych, tych utrzymanych w tonie grzecznej odmowy i tych, w których znajdowała grzmiące potępienie swoich planów, ogarniał ją coraz większy gniew. Kiedy Harvard odrzucił jej podanie, podjęła decyzję, że musi zacząć się bronić.

10 czerwca 1879

*Szanowna Pani!*

*Choć osobiście uważam, że podanie Pani o przyjęcie na studia jest absolutnie uzasadnione i formalnie bez zarzutu i choć nie znajduję niczego w statucie uczelni, co zamykałoby kobietom drogę na studia, niemniej uległem prośbie kolegów profesorów i przedstawiłem je Radzie Studenckiej do ostatecznego zaopiniowania. Oto decyzja Rady:*

*„Uchwalono, że prawdziwie subtelna kobieta nie chciałaby w obecności mężczyzn wysłuchiwać dyskusji na tematy, które*

*z konieczności są przedmiotami rozmów na wydziale medycyny.*

*Uchwalono, że studenci protestują przeciwko narzucaniu im towarzystwa kobiety, która skłonna jest dobrowolnie zrezygnować z przymiotów płci i poświęcić niewieścią skromność, uczęszczając na wykłady w męskim towarzystwie."*

*W ten sposób Rada Wydziału i Rada Studentów jednomyślnie opowiedziały się za odrzuceniem Pani podania. Szczęrze Pani życzyć powodzenia gdzie indziej.*

List był podpisany przez Ołivera Wendella Holmesa, dziekana katedry medycyny na uniwersytecie harwardzkim.

— Szesnaście odmów, doktorze, a wszystkie umotywowane są wyłącznie tym, że jestem kobietą. Nie mogę przyglądać się obojętnie tej dyskryminacji, która wynika tylko z tego, że przez pomyłkę przyszłam na świat jako kobieta.

— Co pani chce zrobić?

Spojrzała na list.

— Pojadę do Bostonu.

Sądząc z tonu listu, doszła do wniosku, że doktor Holmes jest rozsądnym człowiekiem. Była przekonana, że jeśli zjawi się tam osobiście, przedstawi swoją sprawę, zademonstruje swoją wiedzę i pokaże, że nie jest „jakaś tam kobietką”, a poważną kandydatką na lekarza, doktor Holmes użyje swojego autorytetu i wpłynie na zmianę uchwały Rady Studentów.

Nie było jej dwa dni, a kiedy doktor Masefield wyjechał po nią dorożką na stację, natychmiast po minie poznał, że nic nie załatwiła.

Wracali do domu w milczeniu. Samanta podała czepek i pelerynę zatroskanej pani Wiggen, a potem ciężko opadła na jeden z foteli w salonie. Joshua Masefield stanął przy kominku.

— Niech pani mówi, co się stało.

Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała w sufit.

— Odbyłam rozmowę z doktorem Holmesem i choć był wobec mnie bardzo uprzejmy, powiedział, że nie może wysta-

wić się na ataki środowiska i na krytykę. Mówił, że nie tylko uniwersytet protestowałby przeciwko innej decyzji, ale również Towarzystwo Medyczne Massachusetts. Wyjaśnił mi, że głosowali przeciw mojej kandydaturze, żeby zachować dobre imię uczelni. Doszli do wniosku, że moja obecność wśród studentów spowodowałaby spadek prestiżu uniwersytetu.

Joshua uniósł brwi.

— Powiedziałam, że jestem skłonna pójść na wszelkie ustępstwa, przyjmując każde warunki, jakie zechcą narzucić, byle tylko na końcu otrzymać dyplom. I tu był cały szkopuł. Na czterech profesorach z Rady Wydziału moje kwalifikacje, którymi jak sami przyznali, biję na głowę większość harwardzkich studentów, zrobiły wielkie wrażenie. Ci czterej profesoremie zdecydowani byli nawet mnie uczyć, ale od razu zastrzegli, że ponieważ jestem kobietą, nie przyznaliby mi dyplomu Harvardu. Bo ten precedens mógłby wpłynąć na obniżenie jego wartości. Tak powiedzieli.

Spojrzała na Joshuę.

— Wie pan, o czym jeszcze mówił doktor Holmes? Studenti ponoć doszli do wniosku, że obecność kobiety na zajęciach jest społecznie odpychająca. — Przytknęła pięść do oczu. — Mój Boże, społecznie odpychająca...

Doktor Masefield oderwał się od półki nad kominkiem i usiadł w fotelu obok.

— Zaproponował pani jakiś list polecający?

— Tak. — Opuściła rękę. — Powiedział, że Uniwersytet Michigan zaczął przyjmować kobiety na medycynę i że chętnie napisze do nich w mojej sprawie.

Zamrugnął nerwowo.

— Michigan — mruknął. — Tak daleko...

— Naprawdę jest tak beznadziejnie, doktorze Masefield? Muszę się poddać już przed walką? Nie mam się czym bronić. Moje kwalifikacje nic nie znaczą wobec faktu, że jestem kobietą.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a potem bez słowa wstał i wyszedł z salonu. Nie podnosiła się z fotela. Wykręcała z przejęcia ręce, a kiedy złość przerodziła się w zawód, oczy

jej zwilgotniały. W pierwszej chwili nie zauważyła, co doktor jej podsuwa. Musiała zamrużyć powiekami i osuszyć Izy; dopiero wtedy usłyszała jego głos.

— Nadeszły, kiedy była pani w Bostonie. Pozwoliłem je sobie otworzyć.

Samanta, nie patrząc na niego, wzięła koperty. Zaczęła od listu z Pensylwanii. Znalazła tam uprzejme przeprosiny, że nie mogą przyjąć zdolnej asystentki doktora Masefielda, nie dysponują bowiem „zakwaterowaniem stosownym dla studiujących kobiet”. Samanta z furją rzuciła list na podłogę. Przeczując, co znajdzie w drugim, zaczęła czytać.

14 czerwca 1879

*Szanowna panno Hargrave!*

*Jako że Pani podanie wpłynęło do naszej szkoły nie poprzedzone podobnym precedensem i jako że w statucie naszej uczelni nie przewidziano takich wypadków, Rada Wydziału Kolegium Medycyny w Lucernę przedstawiła Pani prośbę o przyjęcie na studia Radzie Studentów i tym samym oddała rzecz pod głosowanie. Oto treść postanowienia Rady Studentów:*

*„Uchwalono, że jedną z naczelných zasad rządu Republikańców jest powszechna równość kształcenia obu płci; że wszystkie dziedziny nauki powinny stać otworem dla każdego; że podanie Samanty Hargrave zdobyło nasze całkowite poparcie oraz że w związku z naszym jednomyślnym przyjęciem Jej do naszych szeregów zobowiązujemy się, iż zachowaniem swoim nigdy nie przyczynimy się do tego, aby studentka Hargrave miała żałować rozpoczęcia nauki w tej instytucji.”*

*Proponuję, żeby Pani znalazła sobie kwaterę w tygodniu poprzedzającym rozpoczęcie nowego roku akademickiego, co będzie mieć miejsce w ostatni poniedziałek września. W dniu rozpoczęcia roku akademickiego proszę się stawić w moim gabinecie.*

*Z poważaniem  
Henry Jones, doktor medycyny  
Dziekan Kolegium Medycyny w Lucernę.*

Samanta zamarła na moment. Siedziała na brzegu fotela ze wzrokiem wbitym w list, a potem spojrzała na Joshuę i szepnęła:

— Przyjęli mnie?

— Gratuluję.

Zerwała się na nogi i wiedziona odruchem zarzuciła mu rękę na szyję.

— Przyjęli mnie, doktorze Masefield! Przyjęli!

Oniemiały cofnął się o krok. Oderwała się od niego i przyciskając list do piersi, tańczyła wokół salonu jak fryga. Patrzył, jak z rozjaśnioną twarzą wiruje niczym baletnica, raz po raz wpadając w złociste plamy słońca. Wreszcie odwrócił się, nie mogąc znieść tego widoku.

## 11

Pożegnanie pod płóciennym pasiastym dachem nowego dworca kolejowego, Grand Central Terminal, było powściągliwe. Doktor Masefield zajął się biletami Samanty, sprawdził bagaż, krótko uściśnił jej obleczoną w rękawiczkę dłoń i wrócił do dorożki. Została na peronie sama i patrzyła, jak odjeżdża.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację i stanął przy peronie kilka minut później, przypomniały się jej dawne odjazdy i rozstania, ale to z Joshuą z pewnością było najbardziej bolesne. W tej ostatniej chwili zadawała sobie pytanie, czy dobrze robi wybierając się do Lucernę; gdyby zapisała się do przyszpitalnej szkoły doktor Blackwell, byłaby bliżej niego. Później dostała jeszcze dwa listy, które otwierały jej drogę i na inne uczelnie, obie usytuowane bliżej Nowego Jorku, ale doktor Masefield słyszał wiele dobrych słów o kolegium w Lucernę i namawiał Samantę, żeby nie wypuszczała takiej szansy z rąk. Potem nastąpiło bolesne rozstanie z Estelle i w jej fiołkowych oczach dostrzegła niemy strach, że najprawdopodobniej więcej się nie zobaczą — Estelle nie wierzyła, że

doczeka powrotu Samanty. Nawet pani Wiggen przytuliła Samantę na pożegnanie, a Luiza i Luther ze łzami w oczach obiecywali, że będą często pisać.

Choć rozstanie było niewymownie smutne, jedno ją pocieszało: za dziewięć miesięcy znowu będzie w domu!

Jazda była długa i męcząca. Do miasteczka Lucernę, położonego czterysta osiemdziesiąt dwa kilometry od Manhattanu, na północnym brzegu jeziora Canandaigua (najkrótszego z sześciu jezior zwanych Finger Lakes) jechało się z przesiadkami. Pierwsza z nich miała miejsce w Albany. Tam trzeba było wsiąść do pociągu jadącego do Rochester, którego trasa biegła wzdłuż Mohawk River, i znowuż przesiąść się w Newark do takiego, który jechał przez Genewę nad jeziorem Seneca. Lucernę leżała trzydzieści dwa kilometry dalej i ostatni odcinek trasy należało pokonać wynajętym powozem. Jazda zajęła półtorej doby, doprowadzając Samantę pod koniec drugiego dnia pod jeden z hotelików w Lucernę.

Samanta nic nie słyszała o mieście, które przez następnych dziewięć miesięcy miało być jej domem. Nie wiedziała nic o ciasnocie prowincjonalnych umysłów, która już wkrótce miała się stać przyczyną jej gniewu i frustracji. W pierwszej chwili Lucernę zrobiło na niej wrażenie spokojnej miejsciny nad brzegiem cichego jeziora. Postanowiła nazajutrz zameldować się w szkole i znaleźć jakąś kwaterę. Zajęcia na uczelni rozpoczynały się w następnym tygodniu. Wszystko szło jak najlepiej.

— Kim pani jest?!

Nieco zbita z tropu gwałtowną reakcją mężczyzny Samanta sucho powtórzyła imię i nazwisko.

Burza myśli odbiła się w jego oczach za soczewkami okularów, a potem doktor Jones zajął się przesuwaniem papierów na biurku.

— Ach, tak. Hargrave. Pani podanie wpłynęło do nas w czerwcu.

Samanta drgnęła niespokojnie na krześle. Jego zachowanie wzbudziło w niej podejrzenia.

— Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, doktorze Jones. Przyjechałam we właściwym czasie, prawda? W pańskim liście...

— Tak, tak. — Machnął pulchną dłonią. — Wiem, co tam napisałem. Tylko... — Słowa zamarły mu na ustach i spojrzał na nią badawczym wzrokiem. — Hm, prawdę mówiąc, panno Hargrave, zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałem. Zupełnie inaczej.

Uniosła brwi.

— Czy mój widok pana jakoś obraża?

— Nic podobnego! Wprost przeciwnie, panno Hargrave! — Spurpurowiał. — Chciałem powiedzieć, że spodziewaliśmy się kogoś... kogoś starszego.

— Czy to oznacza, że zostanę teraz zdyskwalifikowana?

Potrząsnął głową i zatrwożony potarł baczki.

— No cóż... Skoro pani już tu przyjechała, to hm... Mój Boże, ależ będzie zamieszanie! — Szukał czegoś w papierach, wreszcie wyciągnął dużą zadrukowaną stronę. — Proszę wypełnić kwestionariusz. To do celów statystycznych. Niech go pani zwróci mojemu sekretarzowi jeszcze w tym tygodniu.

Uważnie złożyła kwestionariusz i wetknęła go do torebki.

— Chciałam pana spytać, doktorze, czy nie mógłby mi pan pomóc w znalezieniu kwatery? Zatrzymałam się na razie w hotelu, ale pokoje tam są bardzo drogie...

— Mamy kilka internatów, panno Hargrave, lecz zajmują je wyłącznie mężczyźni. Jak pani sama wie, studentka jest dużą rzadkością.

Zmarszczyła czoło. Doktor Jones zgodził się ją przyjąć, dlatego więc teraz robił wszystko, żeby ją zniechęcić?

Wstała elegancko.

— Dziękuję, panie doktorze. Kiedy mam się stawić na zajęcia?

— Punktualnie o ósmej rano w poniedziałek.

— Gdzie?

— Niech pani przyjdzie tu do gabinetu.

Znalezienie kwatery okazało się niewykonalne. Wiadomości w takim tempie rozchodziły się po małym miasteczku,

że Samanta wkrótce stwierdziła, że wszystkie panie wynajmujące pokoje już o niej słyszały i wszystkie postanowiły odmówić jej kwatery, zanim jeszcze zdążyła zapukać do drzwi. Kiedy zbliżał się wieczór, miała już za sobą wizytę w dziewięciu pensjonatach i otrzymała dziewięć krótkich odmów.

W hotelu mieściła się kawiarnia dla pań, gdzie nie wolno było palić ani pić alkoholu. Samanta usiadła pod oknem i zamówiła kanapkę ze świeżym ogórkiem. Podparłszy brodę dłońmi, przyglądała się chyłacemu się ku zachodowi słońcu, i walczyła z ogarniającą ją depresją.

Spacerując tego dnia od pensjonatu do pensjonatu, stwierdziła, że Lucernę jest spokojną miejsciną o domkach utrzymanych w kolonialnym stylu, oszalowanych białymi poziomymi deskami i o zadrzewionych ulicach. Radował ją widok zmieniających się kolorów wiązów i dębów, dojrzałych jabłek na gałęziach, zielonych łąk usianych jaskrami i złotymi różgami. Stawała, żeby przyrzeć się czerwonoskrzydłym jastrzębiom na tle błękitnego nieba i popatrzeć na chłopców, którzy siedząc przy koszach pełnych pstrągów i okoni moczyli wędki na brzegu jeziora. W powietrzu aż się roiło od motyli, biedronek oraz komarów i tylko zrywający się co jakiś czas chłodny wiatr, pod którego wpływem na gładkiej tafli jeziora tworzyły się zmarszczki, przypominał jej, że lato dobiega końca.

Ale to wszystko było mało. Spokój w mieście, grzeczne ukłony i uśmiechy, jakimi pozdrawiali ją przechodnie, leniwa atmosfera Lucernę — jakże kojąca po zwariowanym Manhatanie! — i tak nie były w stanie zagłuszyć w niej uczucia wyobcowania i zupełnego odtrącenia.

Nagle usłyszała nad sobą czyjś chropawy głos.

— A tu się zaszyłaś! Jestem cholernie zawiedziona!

Zaskoczona podniosła wzrok. Kobieta stojąca nad nią oparła ręce na szerokich biodrach i przekrzywiła głowę. Miała upięte na czubku głowy gęste rude włosy, a na piegowatej twarzy wyraz rozbawienia.

— Przepraszam panią?

— Miałam nadzieję, że po tym, co już o tobie słyszałam, będziesz miała na przykład chociaż ze dwie głowy. Pędzę tu całą drogę, żeby to zobaczyć, a tu taki zawód!



Samanta patrzyła na nią z bezbrzeżnym zdumieniem.

— Nazywam się Hanna Mallone i słowo daję, miło mi cię poznać.

Hanna Mallone odsunęła krzesło naprzeciwko Samanty i nie proszona usiadła z trzaskiem fiszbin gorsetu. Była kobietą postawną, o dużym biuście i jeszcze większej turniurze, a głos miała gruby, chropawy i mówiła z irlandzkim akcentem.

— Słyszałam o twoich kłopotach, kochana, i powiem ci szczerze, że aż się zagotowałam!

— W dziewięciu pensjonatach zamknięto mi przed nosem drzwi. Czy powie mi pani dlaczego?

— Bo nikt nie chce mieć pod dachem cudaka.

— Cudaka?

Bursztynowe oczy Hanny złagodniały, nabrały miodowej barwy, a jej głos stał się aksamitny.

— Biedna ty, moja mała. Co do jednego nie ma wątpliwości: jestem po twojej stronie! Kiedy ledwie godzinę temu usłyszałam w sklepie u Kendalla o pewnym szurniętym ladaco, które w biały dzień lata po ulicach i myśli, że znajdzie lokum w jednym z porządných domów tego miasta, kiedy posłuchałam sobie, jak dziamgoczą, że nie masz za grosz wstydu, a świat schodzi na psy, skoro kobiety takie jak ty mogą tak po prostu przyjechać do Lucernę...

— Kobiety takie jak ja?

— Upadłe, to mają na myśli.

Samanta oniemiała i sztywno odchyliła się na krześle.

— Biedaczko, nie wiedziałaś o tym? W tym mieście znajdziesz umysły tak ciasne, że nawet nitki przez nie nie przewleczesz. Ludzie nie chcą tu mieć żadnych studentek medycyny, ot i cała sprawa. W niektórych pensjonatach znalazłabyś wiele wolnych pokoi, ale nie wynajmą ich kobietom, o których mówi się: „ladacznice”. Mogę ci współczuć, kochana, bo ja też tu kiedyś swoje przesłam.

Samanta zmarszczyła czoło.

— Dostałam wiele listów z akademii medycznych, w których pisano wprost, że muszę być niemoralna, skoro chcę zostać lekarką, i że przyzwoita kobieta z pewnością nie miała by takich ambicji. — Odwróciła głowę i zmrużonymi oczyma

spojrzała przez firankę na ulicę, przypominając sobie dziwne zachowanie doktora Jonesa. — Teraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego tu mnie przyjęli...

— Nie ma się co zastanawiać. To jest akurat miejsce, jakiego ci trzeba.

Samanta spojrzała na Hannę Mallone.

— Pomoże mi pani?

— Mam duży dom, a ponieważ mój mąż często gdzieś wyjeżdża, doskwiera mi samotność. Byłoby miło mieć towarzystwo.

Samancie spodobała się twarz rudej Irlandki — szeroka, uczciwa, o oczach tryskających życiem.

— To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Mallone.

— Zaczniemy od tego, że będziesz mi mówić: „Hanno”.

Dom Mallone'ów rzeczywiście był duży. Jednopiętrowy, tak zwany kolonialny, stał na zielonej łące u obrzeży miasta. Kiedy Sean Mallone i jego świeżo poślubiona żona piętnaście lat temu zjechali do Lucernę, mieli zamiar założyć liczną rodzinę. Do dzisiaj jednak większość pokoi na piętrze świeciła pustką.

— Niedaleko stąd jest fabryka szelek — mówiła Hanna nad wieczornym kubkiem herbaty. — Sean pracował tam jakiś czas, zanim ruszył na szlak.

Samanta rozejrzała się po ogromnej bawialni.

— Macie tu tyle miejsca, Hanno. Dlaczego nie zaczniecie wynajmować pokoi?

— Sean nigdy by się na to nie zgodził. Jest tak czarny jak ja ruda. A ci czarnowłosi Irlandczycy mają w sobie dumę nieugiętą jak stal. Już dumniejszego od Seana ze świecą by szukać! Nie chciałby, żeby ktoś w mieście myślał, że u nas krucho z pieniędzmi. Sean nieźle zarabia, a jak pewnego dnia zarobi wreszcie dosyć, rzuci to wszystko w diabły i będzie ze mną na dobre.

— Mówiłaś, że czym się trudni...?

Hanna wstała z fotela i podeszła do stojącego przy oknie, wspartego na jednym cokole, obrotowego cylindrycznego stolika, którego korpus wypełniały gęsto umiejscowione szufladki. Miała na sobie wykończoną falbanami suknię z szeroko

wszywanych rękawami zebranych w mankiety. Nie znosiła niewygody, jaką narzucały nowomodne stroje; nie lubiła obcisłych gorsetów, ciężkich spódnic i wlokących się po ziemi halek. We własnym domu ubierała się zawsze po swojemu.

Wzięła do ręki stojącą na stoliku wczesną fotografię — tak zwany dagerotyp — i przyniosła ją Samacie.

— Oto i mój Sean. Ma w sobie krew dawnych królów Irlandii.

Sean zrobił na Samancie wrażenie. Wsparty niedbale na strzelbie z zamkiem kołowym, miał na sobie ubranie z jeleniej skóry i futra. Na jego przystojnej twarzy malował się uwodzicielski uśmiech, a u stóp leżało zabite zwierzę.

— Kiedy go poznałam szesnaście lat temu, pracował w cegielni w Haverstraw. Ale tęsknił do odkrytych przestrzeni i swobody; nie chciał harować jak niewolnik i czekać na rychłą śmierć. Wpadł kiedyś na Manhattan, żeby się rozejrzeć za widokami na przyszłość, i tam mnie właśnie spotkał. Miałam dwadzieścia cztery lata. Do Ameryki przypłynęłam jednym z tych statków, które ratowały nas od głodowej śmierci w Irlandii. Kiedy poznałam Seana, byłam w Nowym Jorku już od czterech lat...

Samanta oderwała wzrok od podobizny Seana. Głos Hanny dochodził gdzieś z daleka.

— Tak, było to ciężkie życie dla dwudziestoletniej dziewczyny. Moi rodzice umarli na statku, do tego ktoś z naszych okradł mnie w czasie podróży. Wylądowałam na amerykańskiej ziemi bez grosza przy duszy. Miałam tylko ogniszcze rude włosy i dumę...

Potrząsnęła głową.

— Ale to już przeszłość. Sean uratował mi życie. Tamten drań dopadł mnie w ciemnej ulicy i tłukł mnie tak strasznie, że miałam świece w oczach; myślałam że tym razem to już naprawdę koniec. I nagle nie wiadomo skąd zjawił się Sean, wielki mocarny niedźwiedź wyrosły gdzieś w County Cork, któremu dobrze poszło w mięśnie, i roztrzaskał o beczkę łąb temu draniowi. Nie interesowała go moja przeszłość. Nie przejmował się tym, że nie byłam niepokalaną dziewicą. Kochał mnie taką, jaka byłam. Słyszał, że tu w okolicy dają dwa-

dzieścia dolarów za pumę, a trzydzieści za szarego wilka. Więc ściągaliśmy do Lucerne. Zwierzyny coraz mniej, dlatego musi polować dalej na północy. Teraz nie ma go przez większą część roku, ale wraca z niezłym groszem i czasem przynosi mi ładną skórkę bobrową na kołnierz. Dobrze tu sobie żyjemy. Żałuję tylko, że nie mamy dzieci.

— Macie jeszcze czas.

— Bój się Boga, dziewczyno, teraz już za późno! Mam czterdzieści lat! Po szesnastu latach prób... — Hanna odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się gardłowo. — O wszyscy święci, jakeśmy próbowali! — Uśmiechnęła się do Samanty. — Jedną rzecz trzeba przyznać mężczyźnie, którego poślubiłam: nie ma mi za złe, że jestem bezpłodna. — Klasnęła w dłonie. — No dobra, moja kochana, na pewno jesteś zdrowo wykończona. Już przestaję gadać i dłużej cię mordować. Mam przecucie, że będzie ci trzeba dużo sił na początek.

Nie tylko sił jej było trzeba, ale powinna była też oslepnąć i ogłuchnąć. Z początku wstrząsnęło nią zachowanie mieszkańców, lecz później zaskoczenie przerodziło się w gniew. Na widok Samanty kobiety ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy, uciekając od niej jak od zadzumionej, szeptały coś pod parasolkami i potrząsały głowami. Dzieciaki drwiły z niej i kpiły, podśpiewując: „Dochtórka, dochtórka, ustrojona w piórka. Leczysz nagniotki czy stare ciotki?”. Mężczyźni przestali uchylać przed nią kapelusza, a kiedy przechodziła pod oknami, po kryjomu z ciekawością odsuwano zasłonki.

Wypełniła kwestionariusz i pewnego popołudnia zaniosiła go do szkoły. Kilku beczynnie stojących studentów, opartych o kolumny rzucającego się w oczy romańskiego portyku, umilkło, gdy przechodziła, i beczelnie się w nią wgapiało; za jej plecami gruchnęli śmiechem. Sekretarz doktora Jonesa, młody człowiek najwyraźniej cierpiący na *rigor mortis*, ostrożnie wziął z jej rąk kwestionariusz i bez słowa położył go na biurku dziekana. Doktora Jonesa nigdzie nie zauważyła.

— Zaczynam wątpić, czy temu podołam, Hanno, czy wytrzymam dwa lata czegoś takiego — skarżyła się tego wieczoru, kiedy we dwie przygotowywały kolację.

— Oczywiście, że tak. — Hanna mieszała na kuchni budyniowaty krem z jajek i mleka w płytkim mosiężnym rondlu do konfitur; żeby nie przywarł do naczynia, wrzuciła do niego dziesięć szklanych kulek. — Wszystko minie, zobaczysz. Jesteś tu teraz nowością, ale z czasem znudzą się tobą i rozejrzą się za nową ofiarą. Myślisz może, że nam z Seanem było łatwo, nam, prostym Irlandczykom w tym protestanckim mieście, gdzie wszyscy zadzierają nosa? Ale przyzwyczaili się do nas. Do ciebie też się przyzwyczają.

Samanta z trudem się uśmiechnęła i otarła czoło rękawem. Może Hanna ma rację? Z początku będzie ciężko, ale wszystko się jakoś ułoży.

## 12

I znów to dziwne zachowanie. Zupełnie jakby miał jednak nadzieję, że Samanta po prostu jakoś zniknie. Pierwszego dnia zajęć stawiła się w jego gabinecie. Wydawał się zaskoczony, zgorzony i zły. Rzucił kilka urywanych słów o właściwym damom zachowaniu, a potem odeskortował ją na górę do sali, gdzie miał się odbyć pierwszy tego roku wykład.

Nie wprowadził jej głównym wejściem, tylko najpierw kazał jej czekać w małym przedsionku, przeznaczonym, jak jej wyjaśnił, dla pacjentów i wykładowców — tam się zatrzymywali przed wejściem do sali.

Za zamkniętymi drzwiami słyszała burzliwe hałasy, tupanie nogami, gwizdy i krzyki, ale gdy tylko dziekan wkroczył do środka, zapadła nagła cisza.

Zarówno doktor Masfield, jak i Emilia Blackwell ostrzegali ją przed powszechnie akceptowaną żywołowością studentów medycyny. Przyszli medycy mieli opinię nieposkromionych młodych mężczyzn, którzy w czasie zajęć dają upust energii. Nawet sławny doktor Lister w czasie wykładu w University College w Londynie z trudem przekrzykiwał wrzawę, ordynarne okrzyki i głośne tupania. Może to właśnie niepo-

koіło doktora Jonesa? Co to za rwetes powstanie, kiedy w sali pojawi się śliczna młoda studentka!

Zwracał się teraz do przyszłych medyków. Nie dziwiło jej, że tak umilkli; ciekawiło ich pewnie, co im zaraz powie. Zza ściany słyszała tylko jego stłumiony głos; nie rozumiała ani słowa.

Podskoczyła, kiedy nagle otwarły się drzwi.

— Panno Hargrave...

Wstała z wdziękiem i weszła za pulchnym dziekanem do sali.

Jasne słońce poranka wdzierało się do wewnątrz przez wysokie okna i zalewało salę światłem. Zamrugała, wychodząc z ciemnego przedsionka. Idąc szerokim przejściem, po lewej stronie zauważyła wiszące na ścianie tablice anatomiczne i tablice do pisania; po prawej rozciągały się ułożone w kształcie podkowy, amfiteatralnie wznoszące się aż pod same okna rzędy pulpitów, za którymi siedzieli wpatrzeni w nią milczący młodzi mężczyźni. Ciszę poranka zakłócał tylko szelest jej spódnicy. Doktor Jones podprowadził Samantę do odseparowanej od reszty sali specjalnej ławki, która stała tuż przy skraju przejścia. Usiadła plecami do kolegów. Zdjęła kapelusik i włożyła go pod pulpit. Potem otworzyła notatnik, zanurzyła pióro w kałamarzu i pełna oczekiwania spojrzała na wykładowcę.

Obydwaj mężczyźni stali jak posągi: otyły doktor Jones i wysoki chudy doktor Page. Za jej plecami stu dziewięćdziesięciu studentów siedziało jak w hipnozie.

Nagle, przywołując się do porządku, dziekan odchrząknął, skinął krótko oszołomionemu wykładowcy i wyszedł najszybciej, jak mu na to pozwalały jego krótkie nogi.

Doktor Page zamrugał nerwowo, poprawił okulary, pociągnął nosem i wreszcie sięgnął po notatki.

— Krażenie w naczyniach wieńcowych, łuk aorty i cztery komory serca — zaczął niepewnym głosem.

Serce waliło jej jak młot, ale za plecami usłyszała szmer otwieranych zeszytów, szuranie nogami i jednogłośnie westchnienie.

Doktor Page wykładał przez dwie godziny. Nikt mu nie przerywał, nikt nie przeszkadzał. Co jakiś czas zerka! na stu-

dentkę, jej pochyloną nad zeszytem głowę i skrzypiące pióro sunące po papierze. Aż mrugał ze zdziwienia. W ciągu wieoletniej pracy nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby studenci siedzieli tak cicho. Ba, robili nawet notatki!

Pod koniec wykładu w drzwiach na końcu przejścia pojawił się doktor Jones. Samanta zebrała rzeczy z ławki, podszła do niego i zniknęła w przedsionku. Kiedy wyszła z sali, w amfiteatrze rozległa się niebotyczna wrzawa wzmocniona głośnym tupaniem.

— I tak to ma wyglądać przez kolejne dwa lata — powiedziała wieczorem przy kominku.

— Chyba nie jesteś zadowolona z pierwszego dnia w szkole, kochana.

— Nie wiem, czy jestem czy nie. Miałam dziś pięć wykładów. Przed każdym z nich musiałam czekać w tej głupiej komórce i wchodzić do sali na sygnał. Potem siadałam przy osobnej ławce i czułam, jak ci z tyłu palą mi wzrokiem plecy.

— To i tak jest twój wielki sukces. I wygląda na to, że poradzisz sobie z tymi diabłami. — Hanna zawiązała supełek i odgryzła niepotrzebną część nitki. — Słyszałam, że w jakiejś szkole studenci dosłownie chwycili dziewczynę i wyrzucili ją przez okno.

Samanta w zamyśleniu skinęła głową. Doktor Elizabeth opowiadała jej o tym i o innych jeszcze gorszych rzeczach. Wstąpienie na wydział medycyny nie oznaczało jeszcze, że kobieta zdoła przebrnąć przez studia; trzeba jeszcze było w kalkulować w trudy nieobliczalne zachowanie kolegów. Ale to przecież właśnie oni zdecydowali o jej przyjęciu! Wszyscy głosowali i podjęli jednomyślną decyzję!

Czuła się jakoś nieswojo, gdy tak siedziała przed kominem i trzymała na kolanach zaczęty list do Luizy. Męczyło ją to od tygodnia — dręczące uczucie, że coś jest nie tak, że na dobrą sprawę rzeczy mają się dużo gorzej, niż to na pierwszy rzut oka wygląda. Mimo ognia w kominku poczuła ogarniający ją chłód.

Już niedługo miała się przekonać, co w trawie piszczy.

Pierwszy wykład następnego ranka dotyczył chorób zakaźnych, a studenci, gdy tylko Samanta zajęła przeznaczone jej miejsce, zachowywali się cicho i grzecznie robili notatki. Jednak w połowie wykładu gdzieś z tyłu nadleciała papierowa strzała i wylądowała na rękawie jej sukni. Choć policzki spłonęły jej rumieńcem, Samanta udała, że niczego nie widzi, i nie sięgnęła po strzałę. Kilka minut później kolejny papierowy pocisk uderzył ją w głowę. Po skończonym wykładzie zebrała przybory i zdenerwowana, nie rozglądając się na boki, wyszła z sali z wysoko uniesioną brodą.

W trakcie popołudniowego wykładu o zaburzeniach nerwowych coś zadrapało ją w gardle. Odkasznąła cicho. Za jej plecami natychmiast kaszlnęło stu dziewięćdziesięciu studentów. Pod koniec wykładu niechcący spadło jej pióro. Natychmiast sto dziewięćdziesiąt piór też spadło na podłogę. Wykładowca, pan Watkins, poczerwieniał jak piwonia, zająknął się, ale nie przerwał wykładu. Po zajęciach wyszła najgodniej, jak umiała.

Kiedy po samotnym przejściu przez miasto — starała się ignorować ciekawskie spojrzenia przechodniów — dotarła do domu, bliska łez opadła na fotel.

— Właśnie to chcą zobaczyć, kochana! Nie daj im tej satysfakcji — ostrzegła Hanna.

— Nie wytrzymam tego dłużej! Czuję się jak na cenzurowanym, tylko czyhają na moje potknięcie! Jestem tak zdenerwowana, że nie mogę się skupić na wykładzie. A i teraz za bardzo się trzęsę, żeby sięgnąć do nauki! Dlaczego mi to robią? Dlaczego nie traktują mnie jak normalnego studenta? Czy to taki grzech być kobietą?

— Nie możesz o tym porozmawiać z dziekanem?

— Chyba tylko po to, żeby mi z radością oznajmił, że skoro nie mogę tego znieść, lepiej będzie, jak wrócę do Nowego Jorku. Po prostu nie rozumiem, Hanno. Sądziłam, że chcą mnie tu przyjąć. Jak widać jednak, robią wszystko, żeby się mnie pozbyć. Medycyna i tak jest na tyle trudna, że dodatkowe nerwy są całkiem niepotrzebne. Czuję się, jakbym chodziła po linie!

— Nie daj się im, kochana! Chcą walki, to walcz.



Do starcia doszło następnego ranka. Siedziała w przed-sionku i wsłuchiwała się w kakofonię wrzasków po drugiej stronie drzwi. Kiedy w sali pojawił się doktor Jones, harmider natychmiast ucichł. Czując na sobie wrogie spojrzenia, podeszła sztywno do ławki, usiłując ukryć przed wzrokiem studentów, jak bardzo się trzęsie. Stała przy ławce, zdjęła kapelusik i już zamierzała usiąść, lecz w porę się powstrzymała. Na środku krzesła spostrzegła wielką plamę czarnego inkaustu.

Coś się w niej odmieniło. Patrząc na rozlany inkaust, poczuła oburzenie i gniew. Bardzo wolniutko, starając się, by nie dostrzegli, jak drży, odwróciła się na pięcie i po raz pierwszy spojrzała na studentów. Przed nią, jak jeden mąż, podniosło się pięć rzędów czarnych mundurków i nieco rozmazanych twarzy. Usłyszała stłumiony chichot.

Opuszczone wzdłuż ciała ręce zacisnęła w pięści i sztywno zrobiła trzy kroki. Stała przy końcu pierwszego rzędu ławek. Dwaj studenci odwrócili wzrok, dwóch innych się uśmiechało — jeden z zawstydzieniem, a drugi bezczelnie.

— Przepraszam pana, czy ma pan może chustkę? — zapytała głosem tak ostrym i mocnym, że aż się sama zdziwiła.

Bezczelny uśmiech zniknął z twarzy młodzieńca.

— Coo?

Wyciągnęła rękę.

— Chustkę do nosa.

— Aaa... Ma się rozumieć. Chciałem powiedzieć: mam. — Szperał po kieszeniach i marszczył brwi, wreszcie podał jej złożony w kwadrat czysty wykrochmalony kawałek lnu.

— Dziękuję. — Elegancko wróciła do swojej ławki i wytarła rozlany inkaust.

Wróciwszy do studenta — tymczasem wszyscy na sali z przejścia wstrzymali oddech—wyciągnęła przed siebie prześląkniętą inkaustem chustkę i podziękowała donośnie.

— Bardzo panu dziękuję. Jest pan niezwykle uprzejmy.

Zawahali się na ułamek sekundy, a potem wszyscy jednocześnie gruchnęli ogłuszającym aplauzem. Zaskoczona podniosła wzrok i ujrzała nad sobą uśmiechnięte, rozradowane

twarze. Klaskali, tupali, darli się i krzyczeli waląc się z uciechy nawzajem po plecach. Nawet miody człowiek, któremu zniszczyła chustkę, uśmiechał się niewyraźnie i stukał kostkami rąk o pulpit. Pierwszy egzamin zdała.

### 13

— To nie są źli chłopcy, panno Hargrave. Wielu z nich to prości wieśniacy z okolicy. Nikomu nie chcą wyrządzić krzywdy.

— Jednak nie rozumiem czegoś, doktorze Jones. To przecież oni głosowali za przyjęciem mnie do kolegium. Dlaczego więc mój przyjazd wszystkich tak zaskoczył?

Siedzieli w jego gabinecie i pili herbatę. W piecyku w kącie płonął wąty ogień, a przez bujne liście kasztanowca sączył się mdły blask jesiennego słońca. Doktor Jones dorzucił kostkę cukru do filiżanki herbaty.

— Dziwnie to zabrmi, panno Hargrave... — zaczął, unikając jej wzroku — ale... pani podanie o przyjęcie na studia zostało tu potraktowane jak żart.

Zamarła, ręka z filiżanką zatrzymała się w pół drogi do ust.

— Nie, nie przez wykładowców — dorzucił czym prędzej. — Wszyscy mieliśmy świadomość, że dla pani to poważna sprawa, ale niektórzy studenci sądzili, że chcą im wyciąć kawał...

— Proszę mówić dalej, doktorze Jones.

Spojrzał jej prosto w oczy.

— Prawda jest taka, panno Hargrave, że kiedy znalazłem pani list na biurku, zostałem postawiony w arcytrudnej sytuacji. Z jednej strony, pani kwalifikacje były doskonałe — mogę w tym miejscu dodać, że znakomicie lepsze od tych, jakimi może się wykazać większość naszych studentów — z drugiej zaś, nie chciałem mieć w kolegium kobiety. Od początku byłem i nadal jestem przeciwny pani obecności w szkole.

W czerwcu prowadziliśmy jednak kampanię zbierania funduszy na potrzeby uczelni i wciąż nam brakowało pieniędzy. Pani związki z paniami Blackwell i doktorem Masefieldem wzbudziły we mnie obawę, że jeśli od razu odrzucę podanie, wówczas pani znajomi mogą użyć swych wpływów i odciąć pewne źródła zasilające nasze fundusze. Niemniej uznałem, że jeśli to studenci wypowiedzą się przeciw pani, wtedy ani mnie, ani szkole nikt niczego nie będzie mógł zarzucić. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło — tu schylił głowę, a na jego świecącej czaszce rozbłysnął promień słońca — że mój genialny plan obrócił się przeciw mnie.

— Jak się to stało?

— Odczytałem studentom pani podanie, przekonany, że je odrzucą bez namysłu. Ku memu ogromnemu zdumieniu stwierdzili, że chcą je poddać pod głosowanie. Kiedy rozgorzała ożywiona debata, wyszedłem z sali, nie chcąc im przeszkadzać. Później przedstawiono mi decyzję.

Zdjął okulary i zaczął je pedantycznie wycierać chustką, byle tylko nie spojrzeć jej w oczy.

— No cóż, panno Hargrave, nie cieszę się zbytnią sympatią studentów. Młodzież gotowa jest zrobić wszystko, żeby mi dokuczyć. Ponieważ chłopcy wiedzieli, że jestem przeciwny przyjęciu do szkoły studentki, specjalnie głosowali za panią tylko po to, żeby mi zrobić na złość. Większość głosowała wyłącznie z chęci zemsty, część, ponieważ sądziła, że będą mieć dobrą zabawę, a reszta dlatego, że podejrzewała mnie o jakąś sztuczkę.

— Ach tak — mruknęła chłodno. — A ja naiwnie uwierzyłam, że zostałam przyjęta ze względu na wiedzę. Teraz widzę, że głosowali za mną jedynie dlatego, że panu chcieli zrobić wbrew.

— Niech im pani nie ma tego za złe, panno Hargrave. W końcu bez żadnych zastrzeżeń i warunków przyjęli panią w swoje szeregi. Wydaje mi się, że teraz, kiedy pani tu jest, nawet się z tego cieszą.

— Niemniej nic z tego, co mi pan powiedział, nie tłumaczy dziwnego przyjęcia, z jakim się spotkałam. Dlaczego wszyscy byli tacy zaskoczeni na mój widok?

Nałożył okulary na perkaty nos.

— Nikt się nie spodziewał, że pani naprawdę przyjedzie. Byliśmy przekonani, że zanim się zacznie semestr, dostrzeże pani szaleństwo tego zamierzenia i że rodzina oraz przyjaciele wybiją je pani z głowy. Jak to zresztą zwykle bywa w przypadku kobiet, które chcą studiować medycynę. Przepuszczaliśmy nawet, że wyjdzie pani za męża. A potem dowiedzieliśmy się od pana Rutledge, właściciela hotelu, że przyjechała pewna studentka... — Doktor Jones wyprostował ramiona. — No i gdy weszła pani do mnie do gabinetu... Sama pani rozumie.

— O czym pan mówi?

Spod przypinanego kołnierzyka doktora Jonesa wypełznął krwisty rumieniec.

— Panno Hargrave, wszyscy spodziewaliśmy się, że będzie pani mierzyć metr osiemdziesiąt, będzie pani mówić basem i będzie pani hodować mały wąsik pod nosem!

Przez chwilę patrzyła na niego bez ruchu, a potem szybko uniosła obleczoną w rękawiczkę dłoń, by stłumić parsknięcie śmiechem.

Zmieszany, znów zajął się herbatą i wrzucił do filiżanki kolejną kostkę cukru.

— Ale skoro pani już tu jest, sądzę, że musimy jakoś sobie radzić. Ma pani po swojej stronie studentów i niektórych pedagogów. Ale mnie pani jeszcze niczym nie przekonała. Postawię sprawę jasno: jestem przeciwnikiem kobiet w medycynie.

— Ależ doktorze Jones, kobieta z natury jest urodzonym lekarzem! Jako matka musi zajmować się ciałem, musi mieć pod ręką zapas środków leczniczych, dbać o chorych, wyciągać drzazgi, przemywać rany, bandażować, kurować, chuchać i dmuchać, a czasem nawet nastawiać złamane kości. Matki przez długie wieki, podczas gdy ich mężowie przebywali poza domem, prowadziły praktykę lekarską w małych domowych szpitalach! Kiedy więc, proszę mi powiedzieć, urodził się ten koncept, że Bóg wybrał mężczyzn do tego zawodu?

— Wtedy kiedy wiedza medyczna wykroczyła poza domowe apteczki, panno Hargrave, i stała się nauką — odpowiedział lodowatym tonem. — A zatem wraz z podniesieniem

statusu medycyny naturalną koleją rzeczy jest to, że powinny się nią zajmować umysły sprawniejsze, czyli męskie.

— Ale przyzna pan chyba, że i dla kobiet znajdzie się tu miejsce. W szpitalu pań Blackwell...

Uniósł dłoń.

— Niech pani nie marnuje słów, panno Hargrave. Nie będę z panią wchodził w żadne dyskusje. Chciałbym tylko wspomnieć, na wypadek gdyby pani nie była tego świadoma, że okolice Nowego Jorku są istną wylegarnią pewnych amazoнок, nazywających siebie feministkami, które prześladują nas krzykiem o prawach kobiet i wyzwoleniu. Znam ten kula-wy argument o kobietach pomagających kobietom i przyznam, że w życiu nie słyszałem tak niesłychanej bzdury! Cierpiący pies nie idzie po ratunek do drugiego psa ani też chore dziecko do innego dziecka, prawda? Oczywiście, że nie. Odpowiedzialność za zdrowie obojga spada na ich pana. A mężczyzna, jako jednostka lepiej wyposażona przez naturę, jest z laski bożej naturalnym stróżem dobrobytu kobiety. Teraz jednak nie będę już dłużej dyskutował. Jak już mówiłem, skoro pani tu jest, spróbujemy jak najlepiej sobie wszystko ułożyć. Mam dużo zajęć, panno Hargrave. Nie mogę na tę rozmowę poświęcić całego dnia. Chciałbym teraz przedstawić pani pewne reguły, które będą tu panią obowiązywać, i oczekuję, że pani się do nich zastosuje.

Musiła odstawić filiżankę i spleść ręce na podołku, żeby przyjąć z godnością to, co miał jej do powiedzenia.

— Poza ogólnie przyjętymi zasadami sprawowania się na uczelni, będzie pani zwracać szczególną uwagę na to, żeby we wszystkich okolicznościach zachowywać się jak prawdziwa dama, a więc pod żadnym pozorem nie będzie się pani fraternizować ze studentami ani z pedagogami...

— Fraternizować, doktorze Jones? Nie rozumiem. To przecież moi koledzy. Musimy się razem uczyć, omawiać wykłady...

— Panno Hargrave. — Oparł ramiona na blacie biurka i pochylił się mocno w przód, by dodać wagi swym słowom. — Musimy dbać o zachowanie dobrego imienia szkoły. Wszelkie spoufalanie się ze studentami bądź pracownikami uczelni

poza godzinami zajęć będzie stanowiło podstawę do natychmiastowego relegowania pani ze szkoły. Rozumiemy się?

Kiwnęła głową.

Wyprostował plecy.

— Ponadto na niektóre wykłady nie będzie pani uczęszczać. Na te, które nie są przeznaczone dla delikatnych damskich uszu. Zwłaszcza zaś nie będzie pani uczestniczyć w jakichkolwiek dyskusjach dotyczących narządów rozrodczych i związanych z nimi chorób.

— Pan chyba nie mówi poważnie!

— Nie będzie też pani brać udziału w zajęciach w prosektorium.

Patrzyła na niego osłupiała.

— Doktorze Jones, jak w takim razie poznam anatomię, jeśli...

— Wolno jest pani badać mężczyzn wyłącznie od szyi w górę.

Słowa uwięzły jej w gardle, głos odmówił posłuszeństwa.

— I to, panno Hargrave — doktor Jones wstał, odsuwając krzesło — już wszystko, co mam pani do zakomunikowania.

## 14

Kiedy pewnego listopadowego dnia miały się zacząć pierwsze zajęcia w prosektorium, Samanta stanęła wobec konieczności podjęcia jakiejś decyzji.

— Nie łam jego zakazów, kochana — ostrzegała ją Hanna, gdy trzymając się pod rękę, spacerowały brzegiem jeziora schowane pod parasolkami, które chroniły je przed opadającymi liśćmi. — To szaleństwo! On tylko na to czeka, żebyś się sprzeciwiła, bo będzie miał wtedy pretekst, żeby cię usunąć.

Samanta obserwowała buszujące w trawie króliki z białymi ogonkami, a po lewej ręce miała gładką taflę jeziora, w której odbijało się jesienne niebo. Gdyby tylko mogła po-

rozmawiać z doktorem Masefieldem! Ale w Lucernę była już siódmy tydzień, a wciąż nie miała od niego listu.

— Nie mogłabym się uważać za lekarza, nie znając anatomii, Hanno. Te zajęcia stanowią podstawę całego kursu.

— Więc co chcesz zrobić?

Postanowiła poddać zakazy doktora Jonesa sprawdzianowi. Miała nadzieję, że jeśli wejdzie na pierwsze zajęcia w prosektorium i sprawdzi się jako studentka, dziekan cofnie swój niesprawiedliwy zakaz. I żeby nie okazać kobiecej słabości, której śladów z pewnością będą się w niej doszukiwać, przygotowała plan.

Doktor Elizabeth Blackwell opowiadała jej kiedyś o swoich przeżyciach na studiach.

„Wszyscy bez przerwy mnie obserwowali, żeby przy najmniejszym potknięciu z mojej strony potem móc krytykować — mówiła. — I choć wiedziałam, że prosektorium zniosę tak samo jak mężczyzna, czułam, że ciało może mnie zdradzić jednym jedynym odruchem, nad którym nie panowałam — rumieńcem. Opracowałam więc plan działania. W czasie tygodni poprzedzających rozpoczęcie zajęć w prosektorium robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby wyrobić w sobie kontrolę nad tym zdradzieckim odruchem. Późną nocą stawałam przed lustrem i wymyślałam sobie najbardziej szokujące i wprawiające w zakłopotanie sytuacje. Wszystko, co tylko mogło mnie sprowokować do czerwienienia się. A potem siłą woli starałam się poskromić rumieniec. Zaczęłam też niemal głodować. Nie jadłam mięsa, nie piłam wina, odmawiałam sobie wszelkich leków — nawet jeśli cierpiałam na skurcze czy ból głowy — bo właśnie te rzeczy rozszerzają naczynia krwionośne na twarzy i dodają skórze różowego zabarwienia. No i co rano lekko pudrowałam twarz talkiem. Dzień wielkiego sprawdzianu nadszedł, kiedy mieliśmy oglądać męskie narządy rozrodcze. Na stole leżał nieboszczyk, a kiedy profesor zaczął wykład, machając nad zwłokami wskaźnikiem, przez całą godzinę tak mocno koncentrowałam się na tym, żeby nie spieć raka, że dopiero po wyjściu z prosektorium zorientowałam się, że z całego wykładu nie usłyszałam nawet jednego słowa!”

Przez trzy tygodnie Samanta się szykowała: przeszła na spartańską dietę, nie piła alkoholu, ćwiczyła przed lustrem. A tego ranka leciutko pociągnęła policzki ałunem. Ale wszystko na darmo. Kiedy o dziesiątej zjawiła się na drugim piętrze pod drzwiami prosektorium, stwierdziła, że drzwi są zamknięte, a studenci kłębią się w korytarzu. Pan Monks, który wykładał anatomię, odmówił prowadzenia zajęć w obecności kobiety.

Następnego dnia sytuacja wyglądała identycznie. Drzwi były zamknięte, studenci odeszli z kwitkiem.

Zwróciła się do doktora Jonesa:

— Przecież nie chce pan chyba pozwolić na to, żeby taka sytuacja trwała cały rok! Niechże pan przynajmniej wpuści resztę studentów na zajęcia!

— Panno Hargrave, decyzja należy do pana Monksa. Pan Monks dobrze wie, że pani chce uczestniczyć w sekcji, to zaś tak obraża jego poczucie przyzwoitości, że w tej sytuacji woli w ogóle nie prowadzić zajęć.

— Przeze mnie cierpią inni — mówiła wieczorem Hannie, spacerując nerwowo przed kominkiem. — Zaczną mnie nienawidzić. Co za dylemat, Hanno! Cokolwiek zrobię, zawsze będzie źle. Jeśli się uprę, żeby chodzić na sekcję, drzwi ciągle będą zamknięte i reszta studentów wkrótce zechce mnie usunąć ze szkoły. Jeśli się zaś poddam i zrezygnuję z zajęć w prosektorium, to we własnych oczach poniosę porażkę i w przyszłości odbiorę oszukiwany dyplom. Tylko to sobie wyobraź: doktor, który nie studiował anatomii! Czyste szaleństwo!

Hanna spokojnie przeciągała igłę przez rozpięty na tamborku lniany materiał; jej pełne piersi łagodnie wznosiły się i opadały.

— Przecież to łatwo rozwiązać, kochana — powiedziała po chwili. Samanta stanęła jak wryta.

— Jak?

Hanna spojrzała na nią z błyskiem w oku.

— No pewnie. I w ogóle bardzo się dziwię, że taka bystra dziewczyna jak ty jeszcze na to nie wpadła. — Opuściła tamborek na kolana. — W ten sposób wszyscy będą zadowoleni: ty, doktor Jones i studenci.



Samanta zamruwała nerwowo.

— O czym ty mówisz?

Idąc na pierwszy tego ranka wykład, wstąpiła do gabinetu doktora Jonesa.

— Proszę powiedzieć panu Monksowi, że nie będę już próbowała wchodzić na jego zajęcia — oznajmiła, strzepując z peleryny krople deszczu.

Doktor Jones patrzył na nią sceptycznie.

— Ma pan moje słowo. Dręczyło mnie sumienie. Nie mogę dopuścić do tego, żeby przez mój upór studenci nie odbywali zajęć w prosektorium. Pan Monks nie musi się tam barykadować, nie będę tam wchodziła.

I nie weszła. Wzięła sobie krzesło z sąsiedniej sali i ustawiła je pod drzwiami prosektorium, jak tylko zaczęła się sekcja. Choć drzwi były zamknięte, gdy się nachyliła, słyszała wykład przez dziurkę od klucza. I cały czas robiła notatki.

Pewien spóźnialski, który pędził na sekcję, na jej widok zatrzymał się zdumiony.

— Co pani tu robi, panno Hargrave?

Powiedziała mu. Przez chwilę nad czymś myślał, potem odwrócił się i zniknął w przyległej sali. Kiedy po chwili wyszedł, niósł ze sobą krzesło. Ustawił je naprzeciwko Samanty i zabrał się do robienia notatek, słuchając wykładu jak ona, przez dziurkę do klucza. Samanta oniemiała.

Kilka minut później w korytarzu zjawił się doktor Jones, który przyszedł sprawdzić, jak przebiega pierwsza tego roku sekcja. Najpierw zapytał Samantę i jej koleżkę, co tam w ogóle robią, a potem, nie zdążywszy jeszcze wysłuchać odpowiedzi, wybuchnął gniewem i przepędził ich stamtąd.

Wieczorem Samanta miała do Hanny pretensje i powiedziała, że nie uważa jej planu za zbyt udany pomysł.

Ale Hanna uśmiechnęła się tylko.

— Spróbuj jeszcze raz, kochanie. Nie doceniasz swoich kolegów. Uwierz na słowo kobiecie, która dobrze wie, jak podejść mężczyzn. Jutro zrób to samo co dziś i niech mnie diabli wezmą, jeśli czegoś tym nie zwojujesz!

Kiedy następnego dnia Samanta weszła na piętro, gdzie mieściło się prosektorium, ku swemu ogromnemu zdumieniu zobaczyła, że korytarz zatłoczony jest wyniesionymi z sąsiednich pomieszczeń ławkami, przy których siedzą studenci. Oniemiała — stanęła i patrzyła bez słowa. Jeden z kolegów, wybrany przez pozostałych, wstał grzecznie i wyjaśnił jej, co to znaczy. Powiedział, że student, który dołączył do niej poprzedniego dnia, zrelacjonował im incydent z doktorem Jonesem, a oni wszyscy stwierdzili, że skoro korytarz jest wystarczająco dobrym miejscem dla ich panny Hargrave, jest równie dobry dla nich.

Z trudem panowała nad łzami — kolejnym odruchem ciała wymykającym się spod kontroli — by im pokazać, że rzeczywiście jest „ich”, gdy w korytarzu pojawił się doktor Jones z panem Monksem i zażądał wyjaśnień. Konfrontacja przed salą prosektorium należała do niemiłych zdarzeń — dziekan straszył, że wszystkich usunie z uczelni — ale w końcu pan Monks nieoczekiwanie ustąpił (widząc po raz pierwszy Samantę, doszedł do wniosku, że jej obecność na zajęciach nie będzie mu jednak przeszkadzała), a dziekan, tocząc złowrogim spojrzeniem, mruknął niechętnie, że wszyscy mogą już pójść na zajęcia, i odszedł.

Tradycyjnie zajęcia w prosektorium zaczyna się od sekcji ramienia. W czasie następnych tygodni jednak, kiedy na Lucernę spadł śnieg, a studenci drżeli z zimna w nieogrzewanych salach, wykłady z anatomii stopniowo zaczęły obejmować bardziej delikatne części ludzkiego ciała. Surowa dyscyplina, jaką Samanta narzucała sobie od wielu tygodni, nie zdała egzaminu.

Przyszła pani doktor spłonęła rumieńcem.

## 15

— Nie możesz ze mną zostać? Sean wróci dopiero na wiosnę.

Samanta nie przerywała składania, zawijania, pakowania; nie podniosła też wzroku, żeby spojrzeć na opartą o futrynę drzwi Hannę.

— Będzie mi smutno bez ciebie.

— Przykro mi, Hanno. — Oderwała się wreszcie od miękkiej torby podróżnej zszytej z kawałków materiału. — Naprawdę bardzo mi przykro, ale w domu też za mną tęsknią. — Była to tylko częściowo prawda. W ostatnim liście Luiza nakłaniała ją do przyjazdu na święta, ale od Masefieldów wciąż nie miała choćby jednego słowa. Niepokoiła się bardzo, że Estelle ostatecznie poddała się chorobie.

Hanna, nadal oparta o framugę, splotła przed sobą ramiona i przyglądała się przyjaciółce. Miała już parę ugruntowanych poglądów na temat Samanty Hargrave, które na zawsze postanowiła zachować dla siebie. Jeden z nich dotyczył zwariowanego uporu Samanty, żeby zostać lekarką. Przecież taka dziewczyna jak ona powinna mężczyznom serca łamać, zamiast je leczyć! To nienaturalne, żeby takie śliczne młode stworzenie, co dzień przebywające w towarzystwie szarmanckich chłopaków, nie wykazywało nimi najmniejszego zainteresowania. I nie można o to winić chłopców. W czasie wieczornych spacerów z Samantą Hanna z rozbowieniem dostrzegała, że niektórzy z nich kłaniają się do ziemi, zrywają z głów kapelusze i patrzą na jej przyjaciółkę z charakterystyczną tęsknotą w oczach. Nie, chłopcy zachowywali się tak, jak należy, to dziewczyna była trochę dziwna.

Hanna nic nie wiedziała o Joshule Masefieldzie. Samanta tylko raz napomknęła o nim niewyraźnie, jeszcze we wrześniu, i nigdy więcej nie wróciła już do tego tematu. Ale Hanna doskonale widziała, z jaką niecierpliwością dziewczyna rzuca się na codzienną pocztę i jak ogromnie zawsze jest rozczarowana. Na czyj list wciąż tak bardzo czekała? Na pewno na list od mężczyzny. I to od kogoś zupełnie wyjątkowego, od kogoś, kto sprawiał, że ślepia na wdzięki czarujących studentów medycyny. Ale kto to taki? I dlaczego Samanta tak to przed nią skrywa?

Potrząsnęła głową i odepchnęła się od framugi.

— Zakręcę się, żeby znaleźć ci jakiś powóz.

Przy pożegnaniu wręczyła zaskoczonej Samancie futrzaną mufkę z wydry. Wzruszona dziewczyna wybąkała tylko, że nic dla niej nie ma.

Kiedy ścisnęły się na do widzenia w sypiącym śniegu, obłoczki pary ich oddechów mieszały się ze sobą.

— Jesteś teraz biedną studentką, kochana, ale nadejdzie taki dzień, kiedy zostaniesz wielką damą, a wtedy zwrócę się do ciebie po rewanż. Teraz już jedź i baw się dobrze wśród przyjaciół.

Nikt nie wyjechał po nią na Grand Central, ale też nie oczekiwała tego. Kiedy dwukołowy cab ze skrzypem zawieszona wiozł ją Bleecker Street, czuła, jak serce bije jej przyspieszonym rytmem. Minęły niemal cztery miesiące, odkąd wyjechała; jak on ją teraz przyjmie?

W hallu zastała kilku pacjentów. Ci, którzy ją znali, uśmiechnęli się przyjaźnie. Postawiła torbę przy drzwiach, zdjęła kapelusz i płaszcz i poszła szukać pani Wiggen.

Gospodyni wycierała w kuchni naczynia po śniadaniu. Na widok Samanty uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła do niej ramiona.

— Tak się ucieszyłam, kiedy panienka napisała, że przyjeżdża na Boże Narodzenie! — Otarła łzy wzruszenia rogiem fartuszka.

— Jak się czuje Estelle?

— Słaba, nieboraczka. Prześladowają ją zaziębienia. Cierpi na bóle i ciężko jej oddychać. Doktor Masefield mówił coś, że płuca przyklejają się jej do piersi.

— A on?

— Jak zwykle. Akurat bada panią Creighton.

Poprawiła włosy i wygładziła sukienkę. Siłą powstrzymała się, żeby nie wybiec z kuchni.

Zastukała lekko do gabinetu i usłyszała:

— Proszę, pani Wiggen!

Weszła cichutko i zamknęła za sobą drzwi. Zawahała się. Patrzyła, jak odwrócony do niej plecami ostukuje mahoniowym młoteczką kolano pacjentki.

— To artretyzm, doktorze, prawda? — zapytała pani Creighton, która nie zdjęła nawet czepka i rękawiczek.

Wyprostował plecy.

— Istotnie, ma pani wszelkie objawy, ale proszę się nie martwić, pani Creighton. Mam coś, co powinno pani ulżyć. Pani Wiggen, czy zechce mi pani podać te specjalne tabletki dla pani Creighton?

Samanta podeszła do szafki, wyjęła z niej butelkę i upuściła ją w wyciągniętą dłoń doktora.

— Dziękuję — mruknął, spojrział na pacjentkę, a potem błyskawicznie odwrócił głowę. — Panna Hargrave!

Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Przyjechałam na przerwę świąteczną, doktorze.

— Zeszczupłała pani — zauważył z surowym wyrazem twarzy.

Spojrzała na siebie i zobaczyła, że sukienka na niej wisi — był to skutek wielu tygodni dyscypliny, jaką narzuciła sobie w ramach treningu opanowywania rumieńców.

— Czyżby w szkole działo się coś takiego, co uniemożliwia pani normalne jedzenie?

— Ja... — Zmieszała ją jego zagniewany głos; poczuła się jak złajane dziecko. — Nie, doktorze Masfield, nic podobnego. Tylko...

Odwrócił się od niej.

— Jedną pigułkę dziennie, przed snem, pani Creighton. Proszę uważać, żeby nie przekraczać dawki, ani nie zapominać o lekarstwie. To bardzo ważne.

— Tak, panie doktorze. — Kiedy mała dłoń w rękawiczce z kozłej skórki przyjmowała butelkę, Samanta wyszła z gabinetu.

Na górze, rozpakowując torbę, drżała — nie tyle z zimna, ile z upokorzenia. Skoro nie chciał jej widzieć na święta, powinien był wysłać telegram! Chciała być tylko tam, gdzie jest miłym gościem. Teraz żałowała, że opuściła miejsce przy ciepłym kominku w domu Hanny Mallone.

Ale nazajutrz spotkała się z Luizą i Lutherem, co bardzo podniosło ją na duchu. Kiedy jechali saniami przez Central Park, wykrzykiwali coś po drodze do łyżwiarzy, co i raz pogry-

zając wyciągnięty z koszyka pasztecik, Samanta czuła, że wraca jej humor. Niesłusznie osądziła Joshuę tak surowo, myślała. Miał mało powodów do radości, kiedy Estelle z każdym dniem nikła w oczach niczym fotografia na cynie. Powie pani Wiggen, żeby ustawiła choinkę w nieużywanym salonie; zapalą świece.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak przedtem. Samanta pomagała przy pacjentach i towarzyszyła mu w trakcie okolicznych domowych wizyt. Nigdy nie zapytał jej o szkołę, o nowych znajomych, nigdy też nie wykazał zainteresowania, jak się jej mieszka w Lucernę ani jak sobie radzi na studiach. Joshua Masefield w dalszym ciągu odnosił się do niej z chłodną rezerwą.

Dlatego właśnie, kiedy na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, w sobotę, późnym i zimnym wieczorem, zastukał do jej sypialni, zupełnie oniemiała.

— Czy mogę pani zająć kilka minut, panno Hargrave? To ważna sprawa.

Cofnęła się, żeby go wpuścić do środka. Zamknęła za nim drzwi i stała niezdecydowana. Doktor Masefield chwilę kręcił się przy kominku, wreszcie usiadł w jednym ze stojących obok foteli.

— Chcę panią prosić o dużą przysługę, panno Hargrave, i nie bardzo wiem, od czego zacząć. — Odwrócony był do niej profilem. Widziała napięte mięśnie wokół jego ust i mocno zaciśniętą szczękę. — Nie powinienem się z tym w ogóle do pani zwracać, ale sytuacja mnie do tego zmusza.

Umilkł, wpatrując się w ogień. Zrozumiała, że czeka na zachętę z jej strony. Usiadła w fotelu obok.

— Proszę mówić dalej, doktorze.

— Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że żaden szpital w Nowym Jorku nie przyjmie pacjenta z rakiem?

— Nie wiedziałam o tym.

— Ludzie boją się, że rak jest zakaźny, i choć lekarze wiedzą, że tak nie jest, nie umieją o tym przekonać opinii publicznej. Gdyby którykolwiek ze szpitali przyjął dziś pacjenta chorego na raka, chorzy natychmiast opuściliby wszyst-

kie oddziały i trzeba by zamknąć szpital. W związku z tym pacjenci chorujący na raka, muszą, podobnie jak moja żona, leżeć w domu bądź w prywatnych klinikach, drogich i usytuowanych daleko od centrum miasta. Dlatego wielu z nich nie jest objętych jakimkolwiek leczeniem ani opieką medyczną — żyją w zapomnieniu i umierają w samotności.

Spojrzał na nią.

— Niedawno powstała inicjatywa, żeby dla chorych na raka zbudować specjalny pawilon przy Woman's Hospital. To bardzo szczytna idea. Oznacza bowiem, że wiele nie leczonych pacjentek zostałoby otoczonych właściwą opieką medyczną.

Słyszała o szpitalu dla kobiet, niezwykle cenionej placówce, założonej przez wspaniałego lekarza, Mariona Simsa, który już za życia stawał się legendą.

— W wigilię Bożego Narodzenia pani Astor wydaje dobroczynny bal, żeby zebrać fundusze na budowę pawilonu. Dostałem zaproszenie.

Umilkł i znów zapatrzył się w ogień. Czekąca, aż zacznie mówić, i wsłuchiwała się w ciszę; za oknem miasto okrywała warstwa łagodnie sypiącego śniegu.

— Stąd i mój kłopot, panno Hargrave — zaczął wreszcie zduszonym głosem. — Nigdy nikomu tutaj nie mówiłem o chorobie żony, nikt na Manhattanie nie wie. Przypuszczam, że pani Wiggen zdażyła już pani opowiedzieć, jak to było w Filadelfii i że przyjechaliśmy tu z Estelle w zeszłym roku. Tak... Estelle bardzo by chciała, żeby nikt się o jej chorobie nie dowiedział, dlatego wciąż muszę udawać, by jej nie sprawić przykrości. Ci nieliczni nowojorczyacy, z którymi zawarłem znajomość, nigdy jej nie spotkali, ale sądzą, że cieszy się dobrym zdrowiem. Zdarzyło mi się nawet przy różnych okazjach sprzedać im jakąś bajeczkę o jej bogatym życiu towarzyskim. Niestety nadszedł czas, kiedy pani Masefield musi się ujawnić.

— Przecież to niemożliwe!

— Oczywiście, że nie. Niemniej muszę ten problem jakoś rozwiązać. Nie mogę nie pójść na bal. Odrzucić zaproszenie pani Astor? To nie do pomyślenia! Ale przede wszystkim

zależy mi na tym, żeby wziąć udział w tak szczytnym przedsięwzięciu.

— Może pan powiedzieć, że pańska żona chwilowo jest niedysponowana.

Zerwał się z fotela.

— Od czasu kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, cztery razy udzielałem się towarzysko. Za każdym razem wymyślałem dla Estelle jakąś wymówkę, to ból głowy, to znów zaziębienie. Nie mogę z tego korzystać w nieskończoność, jeżeli nie chcę narazić na szwank swojej wiarygodności. Pani Astor obrazi się i pomyśli, że Estelle specjalnie unika spotkań.

— Niech więc pan powie prawdę.

Odwrócił się od niej; jego cień tańczył na ścianie.

— Nie mogę. Ze względu na Estelle...

Na chwilę wyraźnie napiął plecy i ramiona, a potem spojrzął jej w oczy.

— Panno Hargrave, czy nie zechciałaby pani towarzyszyć mi na balu u Astorów?

Szeroko otworzyła oczy.

— Wiem, że to szalbierstwo — dodał spiesźnie. — I wiem, że proszę panią o udział w oszustwie. Ale to nieszkodliwa maskarada; nikt na tym nie ucierpi. Wręcz przeciwnie, wszyscy na tym zyskamy. Uratujemy reputację Estelle, a ja dodatkowo będę miał jeszcze satysfakcję, że mam swój udział w tak szlachetnej sprawie.

— Ale co na to powie pańska żona?

— To był jej pomysł.

Z trudem oderwała wzrok od jego oczu.

— Uda się?

Z wyraźną ulgą wrócił na fotel.

— Nikt jej tu nigdy nie widział. Nikt nie będzie oczekiwał od pani niczego specjalnego. Dopilnuję, żeby nikt pani zbyt nie nadweręzał. Zabawimy tam, ile będzie trzeba, i wrócimy.

Miała zamęt w głowie. Myślała o damach, które wystąpią na balu w sukniach sprowadzanych z Paryża od Wortha albo od Luciele'a z Londynu. Przypomniała sobie nazwiska, które



tak często odczytywała Estelle z „Social Register”: Stuyvesant, Belmont, Roosevelt. Wyobraziła sobie Joshuę, jak pięknie będzie wyglądał w szapokłaku i eleganckiej pelerynie. I to, że przez jeden wieczór będzie jego żoną...

— Rezydencja państwa Astorów... Nie mam się w co ubrać!

— A więc pomoże mi pani?

Uśmiechnęła się.

— Tak, doktorze Masefield. Pomogę...

## 16

Chciała wypożyczyć suknię wieczorową, ale Joshua odrzucił ten pomysł bez namysłu, mówiąc, że jego żona nie pokaże się na takim balu w sukni z wypożyczalni. Zwróciła się więc o pomoc do Estelle. Estelle nie chciała nawet słyszeć o żadnym przerabianiu jej sukien. Stwierdziła, że Samanta musi mieć coś własnego. Dała jej adres kupca bławatnego na Piątej Alei i nazwisko krawcowej cieszącej się doskonałą opinią.

— Nie ma na to czasu — denerwowała się Samanta.

Wsparta na poduszkach Estelle protestowała zadyszczanym głosem.

— Pani Simmons nawykła do pośpiechu, zwłaszcza o tej porze roku. Potrafi zdziałać cuda. A jak jej powiesz, że chodzi o bal u Astorów, zagoni szwaczki do roboty i będą szyły przez całą dobę na okrągło. Jaka szkoda, że sama nie mogą iść na ten wielki bal — dodała z żalem. — Ale ciesz się, że ty pójdziesz za mnie, że zrobisz to dla Joshuy. Ten pawilon tyle dla niego znaczy, a maskarada jest w końcu tak niewinna... Jak to miło z twojej strony, że zechciałaś mu pomóc.

Samanta z drzeniem serca poszła do sklepu z galanterią bławatną i wybrała czarną jak smoła taftę na suknię oraz nieduży kawałek czarnego aksamitu na lamówkę. Z koronek, kokardek oraz innych ozdób zrezygnowała, uznała bowiem, że są stanowczo za drogie. Rozmawiając z panią Simmons — na której, tak jak Estelle zapowiadała, bal u Astorów zro-

bil ogromne wrażenie — Samanta kilkakrotnie podkreślała, że suknia ma być spokojna, tradycyjna w linii, niezbyt szeroka na dole, ze skromną turniurą, niewielkim dekoltem dyskretnie odsłaniającym ramiona i bez żadnych nowomodnych akcentów.

Kiedy na pięć dni przed Bożym Narodzeniem suknię przyniesiono do domu, Joshua Masefield wprost zakipiał gniewem.

— Co to, u diabła, ma znaczyć, panno Hargrave?! Co pani strzeliło do głowy, żeby coś podobnego zamówić?! — wybuchnął, nie zważając na obecność wylężnionego pościąca.

Zaskoczona, nie mogła wydusić z siebie słowa. Przed chwilą razem wnieśli pudło, żeby obejrzeć suknię, zanim chłopiec wyjdzie. Kiedy sznurek na pudle został przecięty i pokrywka zdjęta, zaskoczony Joshua jakiś czas patrzył na suknię bez słowa. Później oskarżył chłopca o to, że pomylił pudła. Kiedy jednak Samanta wpadła mu w słowo, wyjaśniając, że zamówiła właśnie tę a nie inną suknię, Joshua Masefield eksplodował.

— Co panią opętało, panno Hargrave?! Skoro nie ma pani gustu, należało zasięgnąć rady pani Simmons!

— Co się panu w tej sukni nie podoba? Myślałam...

— Co mi się nie podoba? Jest wstrętne! To suknia dla ekspedientki! Pani naprawdę sądziła, że w czymś takim pokaże się publicznie jako moja żona?!

Samanta zerknęła na chłopca.

— Doprawdy, doktorze Masefield, chciałam tylko...

Odwrócił się do niej plecami, chwycił pudło z suknią, bibułki i sznurki i cisnął nimi w pościąca.

— Zabieraj się z tym! Nie chcemy czegoś takiego!

Otumaniony chłopak usiłował nieporadnie przygarnąć części przesyłki do siebie.

— Ależ doktorze Masefield, naprawdę nie ma powodu! Mogę sama zrobić poprawki, dodać jakieś falbany, jeśli pan sobie życzy. Pani Wiggen pomoże mi...

Gwałtownie odwrócił się na pięcie. Okolice jego ust i nosa mocno zbladły; źrenice miał dziwnie zwężone.

— Jedyne, co może pomóc tej ohydzie, to tylko ogień, panno Hargrave.

Cofnęła się o krok.

Za plecami Masefielda chłopak drgnął nerwowo. Rozjuszony Joshua patrzył na Samantę przez moment, a potem machnął ręką.

— Zabieraj się stąd — zwrócił się do posłańca. — I powiedz pani Simmons, żeby przysłała mi rachunek.

Chłopak wyleciał jak z procy; trzasnęły frontowe drzwi. W salonie Joshua i Samanta nadal mierzyli się wzrokiem.

— Musimy wymyślić coś innego. Pięć dni to niewiele czasu.

— Gdyby wcześniej zechciał mi pan podsunąć jakiś pomysł, zamiast zdawać się na mnie... — zaczęła lodowatym tonem.

— A cóż to za brednie, panno Hargrave! Do głowy mi nie przyszło, że to w ogóle konieczne. Wielkie rzeczy, zamówić sukienkę!

— Co się panu tak bardzo w niej nie podobało?

— Była brzydka! Moja żona nie będzie się pokazywać w szmatach!

— To nie była szmata, a ja nie jestem pańską żoną. Chciałam tylko...

— I dzięki Bogu, że pani nie jest!

— Czy chociaż raz mogę skończyć zdanie?

Umilkł, a jego zaciśnięte usta utworzyły białą linię.

— Pan się tak zachowuje, jakbym zrobiła panu na złość, jakbym chciała pana rozgniewać i poniżyć. A tymczasem kiedy zamawiałam tę suknię, myślałam przede wszystkim o panu, doktorze Masefield. Chciałam oszczędzić panu wydatków.

Uniósł brwi.

— Pani chyba żartuje!

— Wcale nie.

— Sądzi pani, że jestem biedakiem, panno Hargrave?

— Doktorze Masefield, wychowywano mnie w poszanowaniu oszczędności...

— Mam w nosie, jak panią wychowywano!

Zamrugnęła nerwowo.

— Nie widzę powodu, żeby się pan do mnie w ten sposób odzywał — zwróciła mu uwagę, ledwie panując nad głosem.

Patrzył na nią przez chwilę płonącymi oczyma, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z salonu.

Nie mogąc się ruszyć, bojąc się, że nawet głębszy oddech sprowokuje ją do płaczu, jeszcze jakiś czas stała nieruchomo. Wkrótce usłyszała z hukiem zamykane frontowe drzwi i zobaczyła przez okno, jak Joshua Masefield, w płaszczu i szaliku, schodzi po oblodzonych schodkach i niknie w śnieżnej zamieci.

Nie mówiło się o tym już więcej, podobnie jak nie mówiło się również o balu. Tamtego dnia wrócił późnym wieczorem, zjadł kolację w gabinecie i poszedł do sypialni, która mieściła się tuż przy pokoju Estelle. Następnego ranka Samanta nie siliła się na sztuczną uprzejmość. Po cichym śniadaniu z panią Wiggen wezwała pierwszego pacjenta do gabinetu lekarskiego i w grobowej ciszy pomagała doktorowi.

W wigilię Bożego Narodzenia doktor Masefield został wezwany do porodu. Samanta, niespokojna, siedziała w salonie przy kominku i w myślach ponaglała wlokące się godziny. Na kolanach trzymała składaną kartkę z obrazkiem dwojga rumianych dzieci, przycupniętych u stóp smukłego świętego Mikołaja. Wewnątrz znajdowały się pogodne życzenia od Hanny, schludnie wypisane piórem.

Doktor Masefield wrócił wczesnym wieczorem. Samanta siedziała przy kominku u siebie i pisała listy, gdy usłyszała, że ktoś otwiera frontowe drzwi, zamyka je, a potem tupie, strząsając z butów śnieg. Słyszała też kroki na schodach. Joshua wszedł na pierwsze piętro, lecz ku jej ogromnemu zdumieniu nie zatrzymał się tam, tylko szedł wyżej. Kiedy stanął pod jej drzwiami, wstrzymała oddech.

Zastukał.

Uważnie odłożyła pióro, odsunęła rozek z inkaustem i szybko poprawiwszy schludnie upięte włosy, otworzyła drzwi.

Stał z ponurą miną w progu i trzymał wielkie pudło.

— Nie mamy wiele czasu. — Wysunął paczkę przed siebie. — Powóz będzie za godzinę.

- Zaskoczona, przyjęła zadziwiająco ciężką paczkę.
- Co to jest?
- Pani suknia, panno Hargrave. Chciałem ją wcześniej odebrać od pani Simmons, ale maluch państwa Levy zupełnie nie chciał ze mną współpracować. — Odwrócił się i miał zamiar odejść.
- Nie rozumiem. Jaka suknia?
- Spojrzał na nią z wyraźnym zniecierpliwieniem.
- Ta, w której pani wystąpi dziś wieczorem — tłumaczył jak dziecku.
- Co to znaczy? Nie sądziłam, że w ogóle idziemy. Jego irytacja przerodziła się w umiarkowane zdziwienie.
- Doprawdy? A to z jakiego powodu?
- Z jakiego powodu? Czyżbym naprawdę musiała przypominać panu tę bulwersującą scenę sprzed pięciu dni, doktorze Masefield?
- Patrzył na nią z niekłamanie niewinną miną.
- I co z tego?
- Pański gniew zrozumiałam jednoznacznie. Myślałam, że nie idziemy.
- Mój gniew? Na litość boską, panno Hargrave! Byłem wściekły na suknię, nie na panią!
- Poniżył mnie pan w obecności posłańca! Obrzucił mnie pan zniewagami! A teraz zakłada pan, że pójdę z panem pokornie na ten... ten przeklęty bal!
- Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie.
- Pani się na mnie złości, panno Hargrave.
- Tak! Właśnie tak!
- A ja miałem panią za taką cichą myszkę...
- Nie spuszczała z niego wzroku; jej pierś falowała dramatycznie.
- Wciąż czekam na przeprosiny.
- Aha. Czy trzeba moich przeprosin, żeby raczyła pani towarzyszyć mi dziś na balu? O to chodzi?
- Śmiało patrzyła mu w oczy.
- Tak.
- A zatem przepraszam. Zdąży się pani wyszykować w godzinę?

Miała wrażenie, że spływa ze schodów w obłoku mgły. Nigdy w życiu nie miała na sobie nic równie pięknego. Suknia uszyta była z atłasu w kolorze szafiru i rzeczywiście pani Simmons dokonała cudów, by w tak krótkim terminie uszyć ją idealnie na wymiar Samanty. Wąska talia była mocno opięta, biust ładnie podkreślony i wyokraglony. Ciężkie spódnice, udrapowane z przodu warstwowo niczym podpięte kotary, zebrane były z tyłu nad turniurą i spływały w dół kaskadą, tworząc tren. Mgiełka bladobłękitnego tiulu, haftowanego w srebrne kwiaty ułożone w arabeskę, okalała obnażone ramiona, które podobnie jak miękko wznoszący się biust były głęboko i odważnie odkryte. Dodatkową ozdobę sukni stanowiły wysokie do łokcia wieczorowe rękawiczki z lyońskiego jedwabiu i koronkowy wachlarz.

Szła jak we śnie, ale widok czekającego na nią u stóp schodów Joshuy, który wpatrywał się w nią jak w zjawisko, gwałtownie przywołał ją do rzeczywistości. On widzi Estelle, nie mnie, pomyślała.

Na zgiętym ramieniu trzymał ciężką okrywkę z kapturem, którą teraz strzepnął i rozłożył, by zarzucić ją Samancie na ramiona. Aż jej zabrakło tchu. Wierzch peleryny uszyty był z wełny z merynosów, a spód wybijany futerkiem szynszyli. Poczuła, że przenika ją dreszcz, kiedy cudownie miękkie futro dotknęło jej nagich pleców i ramion.

— To peleryna Estelle. Chciała, żeby pani miała ją dziś na sobie.

Samanta gładziła smoliste futerko, jakby było żywe, a tymczasem Joshua stojąc z tyłu, układał jej pelerynę na ramionach. Kiedy zaszedł od przodu, by zamknąć jej zapinkę pod brodą, miała wrażenie, że przez okrywkę, czuje jego ciepło. Oderwał ręce od zapinki i na moment oparł je na jej ramionach.

— Cudownie dziś wyglądasz, Samanto.

— Dziękuję, doktorze Masefield.

Odsunął się od niej.

— Niech pani nie zapomina, panno Hargrave, dzisiaj wieczorem zwracać się do mnie po imieniu.

Obróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Jego twarz ginęła w mroku. No jasne, maskarada!

Joshua pomógł jej zejść po oblodzonych stopniach i wsiąść do czekającego powozu. Wewnątrz usiadł blisko niej i okrył ich nogi ciężkimi kocami. Jazda była długa, ale przez całą drogę nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

Kiedy ujrzała sznur powozów i karet przed rezydencją przy Piątej Alei pod numerem 350, poczuła, jak opuszcza ją odwaga. Rezydencja jarzyła się światłami; wszystkie okna błyszcząły od złota. Ale o jeszcze większy zawrót głowy pripraviali ją ludzie wysiadający z powozów — dżentelmeni w czarnych wieczorowych pelerynach i damy skapane w biżuterii i futrach. Patrząc na nich, poczuła się całkiem nie na miejscu. Rzeczywiście, jak myszka... Ogarnęła ją nagła panika. Jakże w ogóle mogła mieć nadzieję, że uda się to oszustwo! Co ją opętało, by sądzić, że zdoła wyprowadzić wszystkich w pole? Powóz w ciasnym szeregu zajeżdżał już na miejsce.

— Doktorze Masefield...

— Po imieniu proszę — przypomniał. A kiedy drzwi powozu zostały otwarte, dodał: — I proszę nie zapominać, że teraz jest pani moją żoną.

Włączyli się w procesję gości na schodach i zmierzali w stronę rześście oświetlonej, zapraszającej rezydencji. Trzymając Joshuę pod ramię, wysoko niosła głowę i z godną miną sunęła na spotkanie z panią domu, która stojąc samotnie pod własnym portretem pędzla Carolusa Durana witała wszystkich przybyłych jak królowa odbierająca hołd.

Pani Williamowa Astorowa — wolała być nazywana po prostu panią Astor — była niską kobietą tak bardzo przytłoczoną ciężką suknią i biżuterią, że nie dość, iż nie mogła się przez to w ogóle skłonić, to w ogóle ledwie się ruszała. Stąd wszyscy, którzy pierwszy raz widzieli tę postać królewską, choć całkiem niekrólewskiej postury, i pierwszy raz stykali się z jej sztywnym sposobem bycia, wpadali w przerażenie. Samanta

usiłowała nie wpatrywać się w nią natrętnie, ale suknia od Redferna, którą pani Astor miała tego wieczoru na sobie, była wprost monumentalna — uszyta z purpurowego aksamitu, wykańczana bladoniebieskim atłasem i naszywana pozłacanymi cekinami. Przód i tył sukni był tak bogato zdobiony pająkami i klejnotami, że całość sprawiała wrażenie, jakby pani Astor była tą kreacją po prostu obudowana. Bukiecik z orchidei przypięty do sukni — duża rzadkość w grudniu — stanowił najbardziej tradycyjną ozdobę stroju. Szyję pani domu zdobiła potrójna brylantowa kolia, a pierś dekorowała olbrzymia brosza z brylantów, która ponoć należała niegdyś do Marii Antoniny. Nadgrastki i palce pani Astor kapąły od brylantów, połyskujących również w jej kruczoczarnej peruce — własne włosy tej damy były tak rzadkie, że nie utrzymałyby nawet grzebienia — tworząc sieć lśniących gwiazd zwieńczoną królewskim diademem.

Samanta obserwowała, jak inne kobiety witają panią domu, i w porę powstrzymała się od dygnięcia. Kiedy Joshua przedstawił siebie i swoją „żonę”, pani Astor godnie skinęła głową, obdarowała Samantę królewskim uśmiechem i wyraziła swoją wdzięczność za wsparcie dla szlachetnej sprawy. Później szwajcar w niebieskiej liberii wziął od nich peleryny, cylinder i łaskę Joshuy, a wówczas „państwo” Masefieldowie, w towarzystwie innych sunących przed nimi i za nimi par, udali się po dywanie z Aubusson do sali balowej.

Samanta wstrzymała oddech na widok pałacowej sali.

Oto stanęła przed słynną galerią Astorów, gdzie obrazy wisiły na ścianach zupełnie jak w muzeum, jeden nad drugim aż do samego sufitu — zebrano tu dzieła Jeana F. Milleta, Constantego Troyona i innych malarzy szkoły z Barbizon. Masywne włoskie kandelabry jaśniały tysiącami świateł, a kwiaty o wartości jedenastu tysięcy dolarów, cięte i doniczkowe, sprowadzone od Klindera, przeobrażały śnieżną zimową noc w letni wieczór. Lokaje w niebieskich liberiiach — dokładnych kopiach liberii noszonych w angielskim Windsor Castle — roznosili na tacach szampana i delikatesy. Ponad sześciuset gości krążyło po sali.

— Masz ochotę na coś do jedzenia? — zapytał Joshua.



— Nie, dziękuję. Nie mogłabym nic przełknąć!

— A zatem kieliszek szampana. — Zaprowadził ją do stojących z boku wysokich palm w doniczkach, wokół których kolisto ustawiono krzesła i małe stoliki udekorowane różami z gatunku Gloire de Paris. Potem odwrócił się i wszedł w tłum gości.

Nerwowo manipulując wachlarzem, Samanta nie spuszczała oczu z doktora i zauważyła, że Joshua jakoś sztywno idzie. Kiedy już zginął w tłoku i nie mogła go dłużej widzieć, zebrała się na odwagę i rozejrzała po sali.

Kobiety wyglądały wprost niewiarygodnie. Były tak inne od niej, jakby reprezentowały zupełnie odmienny gatunek. Zastanawiała się, co robią na co dzień, jak żyją. Wszystkie, niezależnie od wieku czy figury, najwyraźniej usiłowały osiągnąć modną talię osy, której idealny obwód wynosił czterdzieści cztery centymetry. Dlatego jedna w drugą boleśnie się sznurowały w gorsetach, co powodowało, że ściśnięte i przemieszczone ciało, uniesione wysoko w górę, wylewało się dekoltem jako pożądany w tym sezonie pełny biust. Estelle powiedziała kiedyś Samancie, że damy z towarzystwa trzymają w letniej szafie około dziewięćdziesięciu sukien oraz tyleż samo dobranych parasolek i długich do łokcia rękawiczek z kozłej skóry.

Zobaczyła Joshuę wracającego z dwoma kieliszkami szampana. Utykał.

Kilka chwil sączyli wino w milczeniu — najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę — a kiedy usadowiona na balkonie i skryta za parawanem z kwiatów orkiestra zagrała *Nad pięknym, modrym Dunajem* i pary ruszyły na środek parkietu, serce Samanty zabiło gwałtowną nadzieją. Z całą pewnością Joshua poprosi ją przynajmniej do jednego tańca!

Orkiestra grała walca po walcu, coraz więcej tancerzy wirowało po parkiecie, gdy wreszcie Samanta uświadomiła sobie, że jej milczący partner nie wystąpi z żadnym zaproszeniem. Wyglądało na to, że cały wieczór spędzą siedząc jedynie i patrząc.

— Chciałabym jednak coś zjeść — powiedziała, odstawiając pusty kieliszek i wyraźnie odczuwając skutki wypitego

szampana. — Czy etykieta zezwala, żebym sama sobie coś wzięła? Chciałabym zobaczyć stół.

Ku jej zdziwieniu nie powstrzymał jej, tylko skinął głową. Przez mgnienie oka zastanawiała się, czy jej nieobecność nie jest mu na rękę.

Stoły ustawione pod samą ścianą przez całą szerokość sali wyglądały jak z bajki. Mogłaby nazwać ledwie połowę wystawionych potraw, a już w ogóle nie wiedziała, jak należy jeść pozostałe. Pani Astor słynęła ze znakomitych kucharzy. Na stole stały: zupa żółwiowa, mousse aux jambon, terrapin, filet de boeuf z truflami, riz de veau a la Toulouse, pate de foie gras en Bellevue z sosem karczochowym na winie, sorbet wiśniowy, ser camembert z paluszkami i pudding Nesselrode. Nie wiedziała, od czego zacząć.

— Pozwoli pani, że polecę befsztyki? — Usłyszała głęboki głos obok siebie.

Oderwała wzrok od stołu i ujrzała czarujący uśmiech i ciepłe brązowe oczy.

— Słucham?

Mężczyzna, wysoki i szczupły, na oko trzydziestoletni, nachylał się w stronę dymiącego półmiska z mięsem.

— Obawiam się, że tylko dlatego polecam to danie, że niczego innego tu nie znam.

Samanta znów omiotła wzrokiem rozległy stół.

— Mam nadzieję, że wszystko zostanie zjedzone.

— Ależ skąd! Napychanie się podczas takich imprez nie należy do dobrego tonu. Ale niech się pani nie martwi tak bardzo; to co zostanie na stole i wszystkie kwiaty trafią do szpitala Bellevue.

— Naprawdę? — Spojrzała na niego.

Przystojny mężczyzna przyglądał się nie znanej mu młodej damie, zaintrygowany jej szeroko rozwartymi z zaciekawienia srebrnoszarymi oczami. Interesowało go również i to, że najwyraźniej nie nawykła do podobnych imprez. Kim była, u licha, i z kim tutaj przyszła?

— Ilekroć pani Astor wydaje bal, pacjenci ze szpitala Bellevue z wdzięczności padają na kolana. Bo widzi pani, normalnie jedzą jedynie pomyje, i to prosto ze stołów, ponieważ

w szpitalu nie ma ani talerzy, ani sztucców. Najprawdziwsze pomyje.

— Nie mówi pan poważnie!

— Ależ oczywiście, że tak. Niedawno komisja badała sytuację w szpitalu Bellevue. Stwierdzono, że pacjenci jedzą w przerażających warunkach... palcami, prosto z blatów stołów, a w całym szpitalu nie znaleziono nawet kostki mydła!

Odstawiła porcelanowy talerz.

— Chyba nie jestem już głodna.

— Proszę mi wybaczyć, zepsułem pani apetyt. W dodatku zapominam o dobrych manierach. A skoro nie ma przy nas nikogo, kto mógłby pełnić honory, pozwoli pani, że się sam przedstawię. Marek Rawlins.

— Miło mi. Należy pan do śmietanki towarzyskiej?

Przez chwilę patrzył na nią uważnie, a potem odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

— Boże, ależ skąd!

Nie bardzo jej się podobało, kiedy się z niej śmiano. Usiłowała odnaleźć wzrokiem Joshuę, ale bez powodzenia.

— Moja obecność tu jest symboliczna. Jestem jednym z biednych, przepracowanych, niedopłacanych i niedocenianych ludzi medycyny, których pani Astor zaprosiła na ten bal o szczytnym celu.

Patrząc na niego, na jego elegancko skrojony frak i spodnie w prążki, nie odnosiła wrażenia, żeby był biedny czy przepracowany. Może tylko z niej kpił?

— A więc jest pan lekarzem?

Skłonił się lekko.

— Chirurgiem. A teraz, skoro już miałem tę czelność i samodzielnie się pani przedstawiłem, czy mogę również zaprosić panią do tańca?

Zmarszczyła czoło, nie mogąc podjąć decyzji.

— To bardzo uprzejme z pana strony, ale tak się składa, że mam towarzystwo.

— Och, a więc przybyła pani pod opieką jakiegoś dżentelmena. Zatem raz jeszcze proszę o wybaczenie. Sądziłem...

— Do licha, w takim razie co ona robi samotnie przy stole? Spojrzał na nią uważniej; nie spieszyła się do swojego partne-

ra. — Sądzi pani, że miałyby jakiś obiekcje, gdybyśmy zatańczyli? — zapytał ostrożnie.

Jeszcze raz próbowała odnaleźć Joshuę w tłumie, ale znowu bez skutku. Spojrzała w uśmiechniętą twarz Marka Rawlinsa i ogarnęła ją ochota, by samodzielnie podjąć decyzję. Tak bardzo chciała zatańczyć, a Joshua najwyraźniej nie zamierzał jej prosić.

— Chyba nie...

Zanim się spostrzegła, już się kręcili po parkiecie. Jedną ręką przyciskał jej talie, drugą obejmował dłoń. Czuła, że wreszcie żyje — wokół muzyka, swoboda, wirująca sala i do tego czarujący uśmiech doktora Rawlinsa.

— Jeszcze mi pani nie zdradziła swojego imienia.

— Sam... — Ugryzła się w język. — Estelle Masefield.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

— Żona doktora Masefielda?

— Tak — wykrztusiła.

Uśmiechnął się szerzej.

— Muszę przyznać, że wygląda pani znacznie lepiej niż wtedy, kiedy ostatni raz panią widziałem, pani Masefield.

Potknęła się i nadepnęła mu na stopę. Stanęli.

— Bardzo pana przepraszam... — Inne pary z maestrią ich omijały, tymczasem zaczerwieniona Samanta wbijała wzrok w mężczyznę, który wciąż nie wypuszczał jej z objęć.

— Nic się nie stało — powiedział szarmancko. — Jeszcze mogę tańczyć. — Znowu wmieszali się w wirujące pary i okrążali parkiet. Zdała sobie sprawę, że za chwilę znajdą się naprzeciwko Joshuy.

— Mocno pani poczerwieniała. Nie ma pani chyba zamiaru zemdleć mi w ramionach?

— Nie wiem, co odpowiedzieć.

Patrzył na jej schyloną głowę, smukłą szyję oblaną rumieńcem i zastanawiał się nad tajemniczym związkiem, który łączy ją z Masefieldem. Była młodą kobietą, dla której mężczyzna mógł łatwo stracić głowę. Czyżby Joshua nie oparł się jej wdziękom?

— A więc jest pani z Joshem. Cieszę się, że go znowu zobaczę.

Spojrzała na niego dużymi srebrzystymi oczami.

— Panowie się znają?

— Przyjaźniliśmy się jeszcze w Filadelfii. Byłem z nim, kiedy odbierał wyniki badań żony z rąk doktora Washingtona. — Bez wysiłku sunęli po parkiecie, wiedzeni muzyką wielu skrzypiec. — Ciekawi mnie, po co ta maskarada...

— Estelle jest zbyt słaba, żeby przyjść na bal. a doktor Masefield nie chciał zmyślać wymówek. Wydawało nam się, że takie jednorazowe zastępstwo jest całkiem nieszkodliwe.

Nieszkodliwe, pomyślał Marek Rawlins. Ba, nawet ekscytujące, prawda? Ciekawe, ile też ona o nim wie? Na pewno nie zwierzył się jej ze wszystkiego...

— A proszę mi powiedzieć, skąd państwo się znają?  
— zainteresowała się głośno.

Powiedziała mu i nagie doktor Rawlins spojrzał na nią inaczej.

— Studentka medycyny. Jestem pod wrażeniem. Pani wybaczy, ale patrząc na panią, nikt by się tego nie domyślił.

Otworzyła usta, lecz nie wydała z siebie głosu, bo tuż nad ramieniem doktora Rawlinsa dostrzegła poważną twarz Joshuy Masefielda. Powoli wstawał z krzesła; dziwnie błądy. z wzrokiem utkwionym w Samantę.

Marek Rawlins obrócił ją w walcu i zasłonił jej widok Joshuy. Kiedy znów mogła zerknąć tam, gdzie go ostatnio widziała, Joshua gdzieś zniknął.

Orkiestra przestała grać, a Samanta chłodziła się wachlarzem.

— Doktorze Rawlins, czy będzie pan tak uprzejmy i przyniesie mi kieliszek szampana?

Najpierw odprowadził ją na krzesło wśród palm, a potem spiesznie rozmył się w tłumie. Samanta szaleńczo szukała wzrokiem Joshuy, a jej niepokój narastał.

— Pani szampan, pani Masefield.

Zaskoczona, spojrzała w górę. Doktor Rawlins trzymał kieliszki.

— Dziękuję...

Usiadł na krześle koło niej i upił łyk szampana.

— No i gdzie to się Josh podziewa? Jakoś go nie widzę.

Wyciągała szyję, wierciła się na krześle, rozglądała się to w lewo, to w prawo, zupełnie nie zauważając wpatrzonego w nią z podziwem Marka Rawlinsa.

— Przed chwilą tu był.

Wiem, gdzie jest, myślał ponuro.

— Zaraz się pewnie zjawi — powiedział z wymuszoną lekkością. — W ogóle nie rozumiem, co mu strzeliło do głowy, żeby tak piękną kobietę zostawić bez opieki.

Skosztowała szampana i usiłowała opanować nerwowe trzepotanie wachlarzem.

— Jak się pani czuje na studiach medycznych? Nie miała pani kłopotów z racji swojej płci?

Zadowolona ze zmiany tematu, opowiedziała mu o pierwszych tygodniach w Lucernę. Ponieważ był uważnym słuchaczem, wyraźnie zainteresowanym jej opowieścią, a szampan działał na nią tak rozluźniająco, w pewnej chwili poczuła, jak wyparowuje z niej zdenerwowanie, i wkrótce już mówiła z ożywieniem.

— Jest tylko jeden stary żuraw, niejaki doktor Page, który z początku nie aprobował mnie na zajęciach. Jest tak wysoki i chudy, że kiedy patrzę na niego na wykładach, spodziewam się, że lada chwila uniesie stopę i stanie na jednej nodze.

Rawlins roześmiał się i sięgnął po dwa następne kieliszki szampana roznoszonego przez krążącego lokaja.

— Mam uczucie, że wciąż zdaję egzamin i że przy najmniejszym potknięciu każą mi zbierać manatki i wracać do domu. — Zamachała wachlarzem; zaczynało jej nieźle szumieć w głowie. — Miałam też wrażenie, że moje pierwsze dni w szkole będą ostatnimi, bo wszyscy okazywali mi niechęć.

Marek Rawlins w milczeniu przyglądał się rozmówczyni; jej błyszczącym oczom, czarującym ciemnym loczkom, które wysunęły się z upiętej fryzury i łaskotały ją w kark.

— Nie mam cienia wątpliwości, że teraz wszyscy już się w pani kochają.

Odstawiła pusty kieliszek.

— Zapewniam pana, że obdarowują mnie wyłącznie braterskim uczuciem.

Przesunął wzrokiem po gościach na sali.

— Wygląda na to, że coś zatrzymało Josha. Zatańczymy raz jeszcze?

Zatańczyli, nawet dwa razy, aż wreszcie, niemal bez tchu, śmiała się w głos i mocno ścisnęła Marka Rawlinsa za ramię. Dochodziła północ i przyjęcie rozkręciło się w najlepsze. Siedemset osób — elita najlepszego nowojorskiego towarzystwa — tańczyło, piło i świadczyło sobie nawzajem drobne usługi. Marek Rawlins oprowadzał Samantę po sali, sprzedając jej plotki o niektórych gościach, nastawiał ucha rozmaitym rozmowom, przedstawiał swoją towarzyszkę znajomym. Jak na człowieka, który mało zarabia i ciężko pracuje, był całkiem nieźle zbratany z wieloma przedstawicielami miejscowej arystokracji.

Zatrzymali się nie opodal stłoczonej grupy gości.

— Kto to? — spytała, próbując zajrzeć do środka kręgu, ponad ich głowami.

— Zaraz zobaczymy.

Zewsząd otaczali ich sławni i majątni ludzie. Na lewo od Samanty stała córka pani Astor i jej niedawno zaślubiony mąż, James Roosevelt; na prawo Ellin Dynley Smith, o której wiele się ostatnio mówiło, jako że wyszła za mąż za jedyne go Żyda przyjętego do śmietanki towarzyskiej miasta. Strzępki rozmów, które wpadały Samancie w ucho, mogłyby równie dobrze być prowadzone w nie znanym jej języku. Zebrani w kółku mówili o wakacjach w Newport, o opalaniu się na plaży Bayley, o wieczorkach w Beechwood, o nowej letniej rezydencji pani Astor, też w Newport, o pierwszych bohater-skich meczach w tenisa, granych bez gorsetu, jakie odbyły się w klubie Casino, i wreszcie o tupecie jakiegoś nuworysza, próbującego dostać się od razu do Newport, gdy tymczasem wszem i wobec wiadomo, że pierwsze kroki stawia się w Bar Harbor. Aż w końcu wypłynął najatrakcyjniejszy temat plotek: gdzie jest William Astor, w czasie gdy jego żona wydaje wielki bal?

Marek Rawlins schylił się nad Samantą.

— Mąż pani Astor pływa w miłym towarzystwie na jachcie u wybrzeży Florydy. Powiadają, że ofiarował pieniądze

gubernatorowi Florydy na zorganizowanie wojska najemników, którzy wyprawią się na poszukiwanie wrogich plemion Seminoli w okolicy Everglades.

W środku niewielkiego kręgu nagle powstało ogromne zamieszanie. Ktoś, kogo przed wzrokiem Samanty zasłaniały wieczorowe suknie i eleganckie fraki, charczał, rzeził i wołał o wodę. Zebrani wokół zaszemrali z niepokojem i zaczęli wzywać doktora. Rawlins natychmiast przebił się przez stłoczonych gości, a tuż za nim ruszyła Samanta. Zobaczyli niskiego dżentelmena z brodą i stojącą obok niego krzepką kobietę, która trzymała w pogotowiu kolejną szklanekę wody.

— Co się stało? — zapytał Rawlins, klękając przy siedzącym mężczyźnie.

— Cygaro — wyjaśniła kobieta, która jak zauważyła Samanta, miała nieruchome, sztuczne oko. — Przez pomyłkę włożył do ust zapalony koniec cygara.

Choć zgromadzeni wokół goście na pierwszy rzut oka byli zaniepokojeni \ zatroskani, Samanta zauważyła tu i ówdzie powściągane uśmiechy i znaczące mrugnięcia. Marek Rawlins przekonał poszkodowanego, żeby na chwilę, niezbędną do przeprowadzenia badania, zechciał odstawić wodę.

— Wszystko będzie dobrze — oznajmił po chwili. — Wyrośnie panu tylko pęcherz na wardze.

Brodacz wytarł urodziwą kwadratową twarz chustką do nosa i na widok drugiej szklanki wody machnął ręką.

— Wołałbym szklaneczkę whiskey, moja droga Julio — powiedział.

— Chyba już dość dzisiaj wypił — Samanta usłyszała czyjeś ciche mruknięcie.

Ulysses S. Grant był wspaniale prezentującym się mężczyzną i kiedy Samanta skojarzyła go z podobiznami na portretach i zdała sobie sprawę, kogo ma przed sobą, ogarnął ją nabożny lęk. Dzięki szybkiej interwencji Marka Rawlinsa zdobyli sobie prawo do tego, by zostać przedstawionym człowiekowi, który ledwie dwa lata wcześniej był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Rawlins wyjaśnił panu Grantowi, jak pielęgnować oparzenie, Samanta tymczasem zaobserwowała, że w czasie słucha-



nia zaleceń lekarskich były prezydent popijał whiskey i przy każdym przełknięciu lekko się krzywił. Przypisywała to oparzeniu, nie wiedząc wówczas — nawet sam Grant jeszcze o tym nie wiedział — że słynny bohater wojny domowej cierpi na raka gardła i że za pięć lat nie będzie go już wśród żywych.

Rawlins odsunął się z Samantą na bok, by inni też mogli dojść do Ulyssesa S. Granta i złożyć mu wyrazy szacunku, gdy tymczasem do byłego prezydenta podszedł kamerdyner i powiedział, że orkiestra będzie ogromnie zaszczycona, jeśli pan Grant zechce złożyć jakieś muzyczne zamówienie.

— O ironio! — szepnął Marek Rawlins Samancie w ucho, kiedy ujmując ją pod łokieć wyprowadzał ją z ciasnej grupki. — Pan Grant jest tak okropnie niemuzykalny, że jak wieść niesie, raz ponoć wyznał, iż zna tylko dwie piosenki. Jedna z nich to *Yankie Doodle*, a druga to nie *Yankie Doodle*.

Roześmiała się, przysłaniając usta wachlarzem, ale znów niespokojnie szukała wzrokiem Joshuy; minęło kilka godzin od czasu, gdy widziała go po raz ostatni.

— Czy chciałaby pani jeszcze raz zatańczyć?

— Jeśli się pan nie obrazi, wołałabym usiąść, doktorze Rawlins.

Wrócili do swojego dawnego stolika, zaopatrując się po drodze w dwa kolejne kieliszki szampana.

— Czy pani wie — zaczął, kiedy usiedli — że jeszcze nie zdradziła mi pani swojego prawdziwego nazwiska?

— Nazywa się Estelle Masefield — usłyszeli nagle za plecami.

Odwrócili się gwałtownie i zobaczyli stojącego pod palmą Joshuę.

— Josh! — Marek zerwał się z krzesła. — Jak dobrze cię znowu widzieć! Szukaliśmy cię!

Masefield wbił twardy wzrok w Samantę.

— Czyżby?

— Nie przysiądziesz się? Chciałem powiedzieć, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zostanę z tobą i twoją śliczną towarzyszką? — Rawlins klepnął Joshuę w plecy. — Ile to czasu minęło? Pracuję teraz w szpitalu Świętego Łukasza. Od sześciu miesięcy.

Z początku Joshua nie zdradzał ochoty dołączenia do nich, tylko ponuro przyglądał się Samancie. Wreszcie obszedł stół i zajął wolne miejsce. Zauważyła drobniutkie kropelki potu nad jego górną wargą.

— Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, kim jest ta młoda dama — wrócił do tematu Rawlins.

— Moją żoną.

Marek Rawlins z niegasnącym uśmiechem na twarzy wpatrywał się chwilę w Masefielda, wreszcie odchrząknął i tak przesunął krzesło, że aż zaskrzypiało o podłogę.

— Doskonale rozumiem powody tej zмовy, Josh. Ta młoda dama już mi je wyjaśniła.

— Doprawdy, kochanie? Nie trzeba było wiele czasu, żebyś zapomniała o naszej umowie — zwrócił się do Samanty Joshua.

— Nie wiń jej, Josh. Tak ją torturowałem, że wreszcie powiedziała mi prawdę. Ale wciąż nie znam jej prawdziwego nazwiska.

— I nie poznasz.

Doktor Rawlins poruszył się na krześle niespokojnie, doskonale wyczuwając podskórne prądy, jakie wyraźnie przepływają między wpatrzonymi w siebie Joshua a dziewczyną. Czyżby naprawdę jeszcze niedawno się zastanawiał, czy Josh jest w niej zadurzony? Hm, wszystko wskazywało na to, że ona jest dokładnie tak samo zapatrzona w niego, jak on w nią. Przedziwny związek... Była nim wyraźnie zafascynowana, a przy tym się go bała...

— Mówiłem tej młodej damie, że zupełnie nie wygląda na studentkę medycyny.

Nagle, jakby biorąc się w garść, Samanta oprzytomniała. Oderwała spojrzenie od hipnotyzujących oczu Masefielda i trzepocząc wachlarzem, odwróciła się do Rawlinsa.

— Już mi mówiono, doktorze Rawlins, że studentka medycyny powinna być starsza i tęższa. Usłyszałam to, kiedy chciano mi zabronić wstępu do prosektorium.

Rawlins próbował nie zważać na krzywe spojrzenia Masefielda.

— Nie wolno pani uczestniczyć w sekcjach?

— Teraz już wolno, ale musiałam o to walczyć. — Opowiadała im o konfrontacji w korytarzu przed prosektorium i cały czas czuła na sobie palące spojrzenie Joshuy. — Od tamtej pory jesteśmy podzieleni na pięcioosobowe zespoły i wieczorami samodzielnie pracujemy w grupach. Zdarza się, że moi koledzy z zespołu wolą pójść do tawerny, więc zostaję sama. Nie znoszę tego, bo boję się po zmroku zostawać sama w szkole.

Marek Rawlins tylko częściowo słuchał jej nerwowej opowieści. Przemiana, jaką zauważył w dziewczynie, była kolosalna — sama obecność Masefieldda wytrącała ją z równowagi. Cóż to za dziwny wpływ Josh na nią wywiera?

— Powiadają, że w budynku kolegium straszy.

Zamrugał, wyrwany z rozmyślań.

— Przepraszam najmocniej?

— Wszystko ma związek z pewną indiańską legendą...

— Kiedy opowiadała im historię dwojga nieszczęśliwych kochanków, którzy tragicznie zginęli w miejscu, gdzie później wzniesiono gmach szkoły, jej głos dochodził jakby z dali.

— Młody Indianin ze szczepu Wilków zakochał się z wzajemnością w dziewczynie z tego samego szczepu. Ale matka dziewczyny obiecała już jej rękę chłopakowi ze szczepu Żółwi. W wigilię zaślubin młody Wilk porwał ukochaną. Uciekli do lasu i tam zostali kochankami. Znieważony Żółw znalazł ich w lesie, zabił narzeczoną i wykastrował kochankę. W oczach Wilków młodzi popełnili występki cudzołóstwa i okryli szczep hańbą. Za karę więc przepędzili nieszczęsnego młodzieńca, który nie mając dokąd pójść, legł obok ciała kochanki i po wielu dniach zmarł. Legenda głosi, że dusze tragicznej pary błakają się po budynku uczelni i wciąż się nawołują, ale ponieważ są na zawsze przeklęte, już nigdy się nie odnajdą.

Kiedy Samanta umilkła, muzyka zabrzmiała nagle wulgarnie i głośno. Marek Rawlins zatopiony w myślach, wbijał wzrok w podłogę.

— Jak widać, miłość sprowadza jedynie cierpienie — odezwał się Joshua; czar prysnął.

— Może też przynieść szczęście, jeśli jej pozwolić — powiedziała Samanta.

I nagle Marek Rawlins zrozumiał wszystko.

— Słuchajcie, państwo — zaczął głośno, wyprostowując plecy. — Widzę doktora Barnesa i jego żonę o końskiej twarzy. Nie widziałem starego Barnesa od czasu studiów. — Wstał i wyciągnął rękę do Masefiełda. — Przepraszam, że uciekam tak spieszenie, ale mam parę spraw do starego Barnesa. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, Josh. Odświeżmy znajomość, co? — Uścisnęli sobie dłonie. Potem zwrócił się do Samanty: — Miło było mi panią poznać, tajemnicza damo. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. I proszę spać spokojnie — dodał znacząco. — Nie zdradzę pani sekretu.

Już odchodził, ale zatrzymał się nagle, jakby coś nowego przyszło mu do głowy.

— Wiesz co, Josh? Wasza maskarada świetnie się udała, ale niektórych pewnie to dziwi, że przez cały bal mąż nie zatańczył z żoną choćby tylko raz. Miłego wieczoru!

Patrzyli, jak odchodzi, wsiąka w tłum gości i wreszcie kieruje się do wyjścia. Samanta otwierała i zamykała wachlarz, każdym nerwem czując obecność milczącego mężczyzny.

— Zatańczymy? — Zaskoczył ją tym pytaniem.

Miała ochotę odmówić, bo przecież Marek Rawlins zmusił go do tego.

— Tak, z wielką przyjemnością.

Idąc na parkiet, znów dostrzegła, że doktor Masefield kuleje.

— Coś się stało, doktorze?

— Nic. — Wyciągnął wyprostowane ramię, tak że stali od siebie w pewnej odległości, a potem lekko położył dłoń na jej talii. Z początkiem taktu dołączyli do korowodu tańczących par, lecz nie był to taki taniec jak z Markiem Rawlinsem. Joshua ruszał się mechanicznie, jakby odrabiał pańszczyznę. Nie patrzył też w dół na Samantę tylko wysoko nad jej głową.

— Niepokoiłam się o pana, doktorze — odważyła się odezwać po kilku minutach. — Długo pana nie było.

— Jednak nie czuła się pani zbyt osamotniona podczas mojej nieobecności.

Zastanawiała się, czy to nie gra rozrzuconych pod sufitem świateł, ale cera Masefiełda nabrała dziwnego zabarwienia.

— Doktor Rawlins mówił mi, że panowie jesteście starymi przyjaciółmi. Myślałam, że będziecie mieli sobie więcej do powiedzenia.

Milczał. Ze wzrokiem wbitym gdzieś ponad jej głową robił wrażenie człowieka, który ze wszystkich sił stara się skoncentrować. Jego czoło rosiła cienka warstwa potu.

— Doktor Rawlins jest chyba miłym człowiekiem.

Wreszcie na nią spojrzął.

— Umówiła się z nim pani na spotkanie?

— A po co?

— Byłby dla pani doskonałym partnerem. Marek cieszy się nienaganną reputacją, ma duże dochody i rozległą praktykę. Jest bez wad, przystojny i wyraźnie w pani zadurzony.

Spojrzała mu w oczy.

Walc nabrał najwyższego tempa. Przy obrocie Joshua przyciągnął ją do siebie.

— Co do tego, z pewnością jest pan w błędzie — zaripostowała bez tchu.

— Znam go od dawna i jeszcze nie widziałem, żeby tak patrzył na kobietę jak dzisiaj na panią. Nie mówię tego tak sobie, Samanto. To, za kogo wyjdzie pani za męża, będzie miało ogromny wpływ na pani zawodową karierę. Moim zdaniem Marek byłby wprost idealny.

— Nie mam ochoty myśleć teraz o małżeństwie.

Zmylił krok i wydawało się, że traci równowagę.

— Doktorze Masefield, czy źle się pan czuje?

Jakby zmalął i oparł się o nią.

— Powinniśmy chyba chwilkę odpocząć...

Opuścili krąg tancerzy i skierowali się do wolnych krzeseł. Jego utykanie było jeszcze wyraźniejsze; otwarcie otarł chustką czoło.

— Może coś panu przynieść, doktorze?

Zamachał ręką.

— Nie czuję się dobrze od rana. To pewnie początek zaziębienia. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdziemy stąd, jak tylko wrócą mi siły...

Dziesięć minut później pomagała mu zejść po śliskich stopniach. Szwajcar sądząc, że doktor nadużył szampana, oto-

czyi go ramieniem i pomógł mu wsiąść do powozu. Samanta weszła za Masefieldem i spiesznie otuliła mu kocem nogi; straszliwie zbladł.

W czasie długiej jazdy do domu — koń uważnie stawiął kopyta, omijając oblodzone kocie Iby i zasy py śniegu — Joshua drżał i pocił się pod kocem. Nie chciał jednak przyjąć jej ramienia przy wchodzeniu po schodkach; twierdził, że świeże powietrze postawiło go już na nogi, i wygnał ją spać. Później szybko wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy wspinała się po schodach, po drodze odpinając pelerynę, doszła do wniosku, że wieczór był jednak udany. Choć żałowała, że już jest po balu, uśmiechała się do wspomnień, a kiedy weszła na pierwsze piętro, pomyślała sobie, że chciałaby jeszcze spotkać doktora Marka Rawlinsa.

Pod drzwiami Estelle dostrzegła smugę światła. Domyśliła się, że Estelle chce pewnie usłyszeć, jak wyglądał bal, nastawić ucha ploteczkom i zobaczyć suknię. Ale gdy zastukała lekko i cicho weszła do środka, ujrzała panią Wiggen schyloną nad łóżkiem.

— Co się dzieje? — spytała, śpiesząc do chorej.

Estelle zatrzepotała rzęsami.

— Och, Samanto kochana... — wyszeptwała. — Tak mi trudno oddychać... Jaka piękną masz suknię... Mądrze, że wybrałaś ten kolor... Przy nim twoje oczy nabierają barwy nieba...

To Joshua wybrał ten kolor, nie ja, pomyślała Samanta, kładąc pelerynę w nogach łóżka. Usiadła i ujęła zimne dłonie Estelle.

— Jak było na balu? Opowiedz...

Udając dobry humor, wyrecytowała nazwiska gości, opisała stroje dam, opowiedziała zabawny incydent związany z byłym prezydentem i robiła, co mogła, żeby wnieść odrobinę balowej atmosfery do tej nieszczęsnej sypialni. Ale im więcej mówiła, im szybciej wyrzucała z siebie słowa, tym większy ogarniał ją ból. Nie wspomniała nic o zniknięciu doktora Masefielda, o jego obcesowym zachowaniu wobec dawnego przyjaciela, o tym, jak na nią patrzył, o przedwczesnym wyjeździe ani o wielu, wielu innych sprawach.

Estelle zamknęła oczy i uśmiechała się rozmarzona, wspominając dni, kiedy wydawała wielkie bale w Filadelfii.

— A Joshua dobrze się bawił? Tańczyłaś z nim dużo, Samanto? On tak uwielbia taniec...

Samanta odwróciła twarz, bojąc się, że Estelle dojrzy w jej oczach łzy.

— Musiałam go siłą stamtąd wyciągać. Sama już byłam tak zmęczona, że myślałam, że lada chwila się przewrócę, ale on mógłby tam tańczyć do białego dnia... — Kłamstwa! Same kłamstwa!

— Taki właśnie jest! Zawsze był najbardziej rozrywającym tancerzem; wszystkie panie tłoczyły się wokół niego, licząc na choćby jeden taniec. Już go widzę na balu u pani Astor... Jest w centrum zainteresowania... Dziękuję ci, Samanto, że znów mógł się poczuć jak za dawnych lat...

Uciekła z sypialni Estelle i po omacku wbiegała po schodach, a potem wprost do swojego pokoju. Przy łóżku opadła na kolana.

Po raz pierwszy w życiu nie mogła zmówić modlitwy; te słowa, które szaleńczo przywoływała z pamięci, nie niosły ukojenia. Przypomniała sobie wersy pacierza z dzieciństwa i modliła się tak, jak ją uczył ojciec, ale poczuła tylko lodowaty chłód w sercu. Wyobraziła sobie, że Bóg wygląda jak ojciec — daleki i mściwy — chodzi w czarnym stroju kaznodziei i ściska w dłoni Biblię. Słyszała, jak pyta ją z wysokiego tronu: „O kogo się modlisz, Samanto? O tę nieszczęśnicę z dołu czy może o siebie?”

O Estelle! — krzyczała jej dręczona wyrzutami dusza. Rozłożyła ramiona i wcisnęła twarz w narzutę na łóżku, żeby stłumić szloch. Modlę się o Estelle! Naprawdę chcę, żeby wyzdrowiała!

Ale surowy Bóg-Samuel patrzył na nią z potępieniem, a ona czuła lodowaty strach. Wszystko na nic. Żeby nie wiadomo jak żarliwie się modliła, żeby nie wiadomo ile razy powtarzała sobie, że chce, by Estelle żyła, On i tak słyszał tę straszną prawdę, którą szeptało jej serce, i oceniał swą córkę tak, jak na to zasługiwała. „Nie zmyjesz występku, modląc się o tę biedaczkę. Tylko w jeden sposób możesz

oczyścić się z grzechu cudzołóstwa, który popełniasz w myślach..."

Na dole rozległ się hałas.

Poderwała głowę i zaczęła nasłuchiwać. Ktoś chodził po gabinetach na parterze.

Wzięła lampę ze stolika przy łóżku, którą pani Wiggen zawnazapaliła, i po cichutku wyszła na korytarz. Widząc, że spod drzwi gospodyni nie sączy się światło, zeszła na palcach piętro niżej i przystanęła. Obie sypialnie tonęły w ciemnościach i ciszy — państwo Masefieldowie spali. Wychyliła się przez balustradę i zobaczyła jasną smugę, dochodzącą z gabinetu lekarskiego. Wstrzymując oddech, zeszła niżej, a na dole stanęła i znów nasłuchiwała. Ktoś buszował po szafce z lekarstwami i nie przejmując się hałasem, strącał z półek butelki i pudełka.

Zastanawiała się, co robić. To na pewno pacjent, któremu na gwałt potrzebne jakieś lekarstwo, tylko nie ma pieniędzy, żeby je sobie kupić. Wiedziała, że takie rzeczy zdarzają się czasem lekarzom. Pacjenci włamywali się do gabinetów i kradli medykamenty. Ale Joshua nie miał dotąd podobnych przypadków, wszystkim było bowiem wiadomo, że tym, którzy nie mają pieniędzy, daje lekarstwa za darmo. Jednak niezależnie od tego, kogo spodziewała się zastać wewnątrz, nie wątpiła, że i tak sobie z nim poradzi.

Powoli przekręciła gałkę i cichuteńko, bez najmniejszego dźwięku otworzyła drzwi.

Zaskoczona głośno wciągnęła powietrze.

Stojący pośrodku straszliwego bałaganu Joshua Masefield odwrócił się gwałtownie.

— Gdzie ją pani schowała, panno Hargrave? — syknął przez zaciśnięte zęby.

Była tak zdumiona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tak szaleńczo szukał czegoś w aptecznych szafkach, że porzucił ich zawartość na podłogę. U jego stóp leżała rozbita butelka chininy.

— Morfina! Gdzie jest morfina?! — Trzymał w dłoni strzykawkę z igłą; podwinięty rękaw obnażał drugie ramię. — Rano była tu butelka Magendie's. Gdzie ona jest?!



— Chłopiec Evansów... Dziś po południu... — wyrzucała z siebie. — Rozciął sobie głowę w czasie gry. Musiałam go pozszywać. Nie było pana wtedy. Zrobiłam zastrzyk...

— Z całej butelki?

— Przestraszył się igły. Wytrącił mi z ręki strzykawkę. Potem przewrócił butelkę. Dużo się wylało.

— To znaczy, że nic nie zostało?

— Nie... nie rozumiem, doktorze Masefield.

— Do diabła, kobieto! Chcesz powiedzieć, że zużyłaś wszystko i nie pisałaś słowa?

— Nie sądziłam, że to takie waż...

— Jutro jest Boże Narodzenie! — ryknął i podszedł bliżej. — Skąd wezmę morfinę? — Widziała, że źrenice ma nie-normalnie rozszerzone, oczy mu łzawią i ciężko dyszy. Szybko zbierając myśli, odstawiła lampę i zamknęła drzwi.

— Jeśli cierpi pan ból, doktorze, mamy różne mieszanki, które może pan przyjąć.

Odwrócił się od niej i pokuśtykał do szafki.

— Skaleczył się pan w nogę?

— Muszę wziąć coś dożylnie — mruknął, przesuając beładnie butelki na półce. Kiedy potracił butlę z roztworem kwasu karbolowego, Samanta rzuciła się na ratunek, ale już było za późno. Butla roztrzaskała się o podłogę, rozchlapując zawartość na balową suknię i napełniając powietrze ostrym zapachem, od którego kręciło się w głowie.

— Co się stało, doktorze? Co pan sobie zrobił?

— Do diabła, kobieto! Muszę ci to powiedzieć wprost? Niczego się nie nauczyłaś przez te półtora roku? Nic sobie nie zrobiłem, jestem morfinistą!

Ze zdumienia otworzyła usta. Miała przed sobą Joshuę, który stał ze zmierzwionym włosom i opętany szaleństwem patrzył na nią niewiarygodnie rozszerzonymi źrenicami, przez co jego oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle. Dyszał jak po męczącym biegu, a koszula miejscami przyklejała mu się do ciała. Wpatrywali się w siebie długą ponurą chwilę, aż wreszcie ona, wciąż czując mocny zapach karbolu, wyminęła Masefielda i podeszła do szafki. Musiała mocno zacisnąć razem obie dłonie, żeby się nie trzęsły.

— Tu na pewno jest coś, doktorze Masefield, co pomoże panu wytrzymać do rana — powiedziała drżącym głosem.  
— Jutro pójdę do DeWintera...

— Wszystko mało. Biorę już trzy gramy dziennie.

Przez wznoszącą się ścianę łez widziała rozmytą, tańczącą szafkę apteczną. Wszystko stało się nagle brutalnie jasne: prawdziwy powód wyjazdu Masefieldów z Filadelfii, prawdziwa przyczyna samotniczego trybu życia Joshiiy, prawdziwa tragedia tego domu... Wyciągnęła rękę po omacku i mocno zacisnęła palce na butelce.

— Morfina jest pochodną opium, prawda?

— Laudanum nie pomoże. Muszę wziąć trzy gramy dożylnie.

Całą siłą woli starała się opanować. Odwróciła się do niego spokojnie i wyciągnęła przed siebie butelkę.

— To przynajmniej zlikwiduje najostrzejsze symptomy. Jutro z samego rana zajrzę do DeWintera. Jeśli go nie zastanę, pójdę do doktora Newmana. Święta świętami, ale nagłe wypadki wymagają pomocy.

Patrzył na nią wzrokiem, w którym widziała smutek i zawstydzenie, a potem potulnie przyjął butelkę i odwrócił się.

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Nie zważając, jak bardzo niszczy sobie elegancką aksamitną suknię, przyklękła i cierpliwie zaczęła sprzątać podłogę.

Dziesięć minut później stanęła w drzwiach jego gabinetu i patrzyła na niego. Siedział niechlujnie w fotelu i wpatrywał się w wygasły kominek. Jeszcze trzymał pustą butelkę.

— Przepraszam za to wszystko — powiedział wreszcie, nie odrywając wzroku od ciemnej czeluści. Jego głos brzmiał głucho, jakby uszło z niego życie. — i za to, co pani tam mówiłem. Nie ma pani pojęcia, jaka mnie ogarnęła panika... Boże! — jęknął. — Straszliwa panika...

Weszła do środka i przyciągnęła sobie podnózek. Siadła koło Masefielda i oparła łokcie na ramieniu jego fotela.

— Lepiej się pan czuje? — zapytała cicho.

Kiwnął głową.

— Na razie pomogło. Kryzys... minął. Ale rano...

— Proszę się nie martwić, doktorze Masefield. Skoro świt pójdę do DeWintera.

— Nie mogę pani o to prosić.

— Nie będzie pan w stanie sam sobie tego załatwić. A ja potraktuję to jako kolejną lekcję niesienia pomocy w nagłych wypadkach.

Wreszcie na nią spojrział. Źrenice mu zmałyły, przestał się pocić, ale cera nie odzyskała jeszcze normalnego zabarwienia.

— Jakże pani mną gardzi!

— Pan mnie obraża, doktorze, sądząc, że mogłabym w ten sposób pana oceniać. Jeśli nie ma pan wiary w siebie, proszę chociaż wierzyć w moją lojalność wobec pana.

Jej słowa najwyraźniej sprawiły mu ból, bo skrzywił się i odwrócił głowę.

— Cudownie powiedziane — zauważył sucho. — Patrzy pani na mnie jak na kolejny przypadek medyczny, doprawdy godne podziwu. Jestem ostatnią wywłoką, panno Hargrave, i czy pani zechce się z tym zgodzić czy nie, nie ma na tym świecie człowieka bardziej zasługującego na wzgardę od narkomana.

Dotknęła jego rękawa.

— Jak do tego doszło?

Patrzył w wygasłe palenisko.

— Zaczęło się dwadzieścia lat temu w czasie pierwszej bitwy nad Buli Run — zaczął głosem stłumionym i dalekim. — Kiedy wybuchła wojna między Północą a Południem, zaciągnąłem się do armii Unii jako chirurg polowy. Wojna trwała dopiero od dwóch miesięcy, dowodził nami generał McDowell i wszyscy byliśmy przekonani, że szybko zdusimy rebeliantów i położymy kres konfliktowi. Ale... sprawy przyjęły inny obrót. Oddziały Konfederatów pod dowództwem Beauregarda, wzmocnione siłami Jacksona, który słusznie zdobył sobie wówczas przydomek Kamienna Ściana, sprowadziły hańbę na nasze wojska. Konfederacka kula trafiła mnie w udo.

Z trudem wciągnął powietrze; nakrył dłonią rękę Samanty.

— Strzaskała mi kość udową. Pięciu chłopca trzymało mnie, kiedy chirurg wlewał dymiący kwas azotowy w rozszarpane ciało. Na szczęście zemdlałem, jak zabierał się do wyciągania kuli; w tamtych czasach nie znaleźliśmy jeszcze znieczulenia. Nie wiem, jakim cudem przeżyłem. W następnych tygodniach przechodziłem istne piekło, co chwila błagałem o śmierć. Ból i gorączka zrobiły ze mnie szaleńca. Żeby ulżyć moim cierpieniom, podawano mi morfinę. Nikt wtedy nie wiedział o uzależniających właściwościach narkotyków. Aplikowano je bez ograniczeń i wielu ludzi wróciło z wojny zniewolonych nałogiem. Nazywa się to „żołnierską chorobą”.

Umilkł, żeby zwilżyć wargi.

— Pewnie powinienem się uznać za szczęśliwca. Po pierwsze uratowali mi nogę. Po drugie, kiedy wojsko ruszyło, zabrało mnie ze sobą. Ta bitwa nad Buli Run miała miejsce w czasach, kiedy armia Unii nie organizowała jeszcze szpitali polowych i nie zatrudniała pielęgniarek. Ciężko ranni i ci, którzy nie mogli iść o własnych siłach, po prostu zostali na polu bitwy, kiedyśmy się cofali. Ponieważ jednak byłem chirurgiem, zatem jednostką dla wojska bardzo cenną, zabrali mnie ze sobą. Ruszyłem z oddziałami, raz popadając w ból nie do zniesienia, to znów w otępienie. W końcu wyzdrowiałem i na własne oczy oglądałem bitwę pod Gettysburgiem, która stanowiła punkt zwrotny wojny; przyłączyłem się nawet do Shermana i razem z nim odbyłem marsz do morza. Ale wtedy byłem już beznadziejnie uzależniony od morfiny.

Obrócił głowę i wreszcie na nią spojrział.

— Nie ma pani pojęcia, jakie piekło przechodzę codziennie.

Przeniosła wzrok na jego dużą silną dłoń obejmującą jej rękę. W przeciwieństwie do tego, co sądził, Samanta miała jakie takie pojęcie o narkotykach. Widziała, jak bardzo opium i morfina mogą zniewolić Bogu ducha winnych ludzi — dwie nauczycielki w Akademii Playellów uzależniły się od opium. Obie zażywały „Kojącego toniku doktora Ritchera.” Zawsze zaczynało się w ten sam sposób. Zaczynało się od niewinnego pójścia do apteki po jakiś środek uśmierzający bóle menstruacyjne. Kobieta kupowała gotową mieszankę w eleganckiej

butelce z nalepką, która zapewniała, że dany specyfik przyniesie ulgę w cierpieniach. Ba, gdyby mikstura zawiodła, producent zobowiązywał się nawet do zwrotu pieniędzy. I rzeczywiście mikstury ulgę przynosiły, bo choć nigdzie nie było o tym wzmianki, zawierały sporą dawkę narkotyku. Wystarczyło, żeby zboleła kobieta wzięła kilka łyżek dziennie, a natychmiast czuła się o niebo lepiej. Ale gdy nadchodził nieunikniony dzień, kiedy ofiara usiłowała już przerwać kurację, z przerażeniem odkrywała, że nie może się na to zdobyć. Samanta, leżąc w łóżku w sypialni u Playellów, słyszała późną nocą krzyki nauczycielki, która nieświadoma skutków własnej nieprzezorności nie zadbała o zapas mikstury. Potem były poty, gwałtowne dreszcze, wymioty i potworny ból. A rano biedna kobieta musiała pędzić co koń wyskoczy do miasta do apteki, gdzie chwyciła właściwą butelkę i cichaczem niecierpliwie popijała z niej już w powozie, żeby wreszcie w rozpaczy zdać sobie sprawę z tego, że stała się więźniem mikstury i ofiarą straszego upodlenia.

— Nie może się pan leczyć? — wyszeptwała.

Parsknął pełnym goryczy śmiechem.

— Leczyć się? Na „żołnierską chorobę”? Zupełna abstynencja jest tu jedynym środkiem. Uwierz mi, Samanto — obrócił głowę w ten sposób, że ledwie centymetry dzieliły ich twarze — że próbowałem. O Boże, jak bardzo próbowałem! Modliłem się, nie przyjmowałem morfiny, a potem znów się modliłem, ale o rychłą śmierć. — Mówił z trudem, urywanie. — Czy wiesz, co znaczy wyzwać się z narkomanii, Samanto? Pierwszy etap jest jeszcze do zniesienia: rozdrażnienie, łzawiące spojówki, ziewanie. Ale to mija szybko i przegradza się w bardziej wysublimowaną torturę. Człowiekowi wydaje się, że każdy nerw ciała jest obnażony i smagany powietrzem. Bóle mięśni są tak silne, że przy nich rwanie zęba wydaje się wprost igraszką. Skóra wydziela pot każdym porzem. Do tego potworne bóle brzucha... I przy tym wszystkim człowiek cierpi dodatkowe katusze, bo jego umysł i ciało toczą ze sobą walkę na śmierć i życie. Umysł wie, że nie może ulec narkotykowi, ale ciało krzyczy rozpaczliwie jak głodujący o jedzenie. Mózg złapany w potrzask imadła, ściskany jak

cytryna, wreszcie ulega szaleństwu. Wierz mi, Samanto, naprawdę chciałem z tym zerwać.

Patrzyła na niego uważnie, ściskając jego dłoń.

— Czy to właśnie chciałeś zrobić dziś wieczorem? Uwolnić się od nałogu?

Gwałtownie wysunął rękę z jej dłoni i zerwał się z fotela.

— Tak.

— Dlaczego?

— Miałem swoje powody.

Nie ruszyła się z miejsca; siedziała wciąż na podnóżku, a tymczasem Joshua, już nie utykając, chodził za jej plecami tam i z powrotem.

— Ostatni raz próbowałem z tym skończyć dwa lata temu. Wtedy się nie udało, ale myślałem, że tym razem będzie inaczej, bo... — Zatrzymał się i spojrzał na nią. — Już wiesz, dlaczego musiałem wyjechać z Filadelfii. Mój nałóg przestał być tajemnicą dla niektórych znajomych. Gdyby się o tym dowiedzieli pacjenci... — Potrząsnął głową. — Nie wyobrażasz sobie nawet, w jakim napięciu żyję. Tak słabo panuję nad ciałem i emocjami. Cały czas walczę o zachowanie równowagi. Musiałem stamtąd wyjechać, nim się rozpadnę w kawałki. Choroba Estelle była doskonałym pretekstem. — Odwrócił się nerwowo i przeszedł na drugą stronę gabinetu.

Kiedy Samanta spostrzegła, że nalewa sobie kieliszek brandy, zerwała się na nogi. Zaplątana w długie halki i spódnice, potykając się pędziła do niego.

— Nie pij tego!

Wychylił brandy do dna.

— Joshua! Przecież brałeś opium!

Posłał jej uśmiech pełen wzdrygi dla samego siebie.

— Dlaczego nie? Moje ciało to zniesie.

— Nie dręcz się tak strasznie. To nie twoja wina.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił spojrzenie.

— Chciałbym... chciałbym cię przeprosić za tę historię z suknią — powiedział nagle, zduszonym głosem. — Zachowałem się nierozsądnie.

— Nic podobnego — zaprotestowała łagodnie. — Powinam się była domyślić, że będziesz chciał, żeby ludzie wi-

dzieli, jak ładnie ubierasz żonę. Myślałam tylko o pieniądzach...

— Bzdury, Samanto! — krzyknął nieoczekiwanie, wprawiając ją w zdumienie. — W ogóle nie chodziło o to, co pomyślą inni o stroju mojej żony! Chciałem pokazać cię! Zawsze ubierasz się jak myszka, ciągle się chowasz. Masz dobrą figurę... — Odwrócił się gwałtownie i niezręcznie sięgnął po karafkę. — Powinnaś pokazać, jaka jesteś zgrabna. Chciałem, żebyś choć raz wyglądała tak, jak powinnaś. — Wlał brandy do kieliszka. — Nie wkłada się róży do blaszanej puszki, prawda?

Oślupiała, mogła tylko na niego patrzeć. Tym razem nie śpieszył się z piciem i po kilku pierwszych łyżkach zaczął cicho, jakby mówił do siebie:

— Półtora roku temu przyszła tu pewna dumna młoda dama, która chciała mi zwrócić rękawiczki. Udawała, że gniewa ją ten prezent, ale sądząc po rumieńcu na twarzy...

Odwrócił się do niej i patrzył na nią wzburzonym wzrokiem. Podszedł, musnął jej policzek końcami palców.

— Są święta, Samanto.

Zamknęła oczy. Miała uczucie, że jego palce zostawiły na jej skórze ślad.

— Nigdy ci nie mówiłem — zaczął z trudem — jak bardzo jestem z ciebie dumny. Przyznaję, że z początku, kiedy przyszłaś tu u mnie pracować, miałem wątpliwości. Byłaś taka młoda i taka bezbronna. Ale zobacz, jak bardzo się zmieniłaś, jak dojrzałaś! Masz teraz w sobie tyle wiary we własne siły, dobrze wiesz, co chcesz osiągnąć! Wyjazd do Lucernę bardzo ci pomógł.

— To nie Lucernę, Joshua, to ty — odparła cicho. — Kocham cię.

Skrzywił się boleśnie.

— Nie wolno ci tak mówić!

— Ale to prawda.

Walczył ze sobą — dreszcz wstrząsnął jego ciałem, na jego przystojnej twarzy odbiło się wahanie, a potem nagle coś w nim pękło i napięcie opuściło mięśnie. Otoczył ją ramionami i mocno przyciągnął do siebie.

— Ja też cię kocham — wymruczał w jej włosy. — Od dawna...

Chciała płakać i śmiać się zarazem, ale milczała i delektując się chwilą, nie miała odwagi choćby drgnąć w jego ramionach. To był uścisk, o jakim długo marzyła, i ponieważ tylekroć przeżywała go w wyobraźni, musiała teraz mocno przekonywać samą siebie, że tym razem rzecz dzieje się naprawdę. Smakowała każde najdrobniejsze doznanie, by nadać chwili rzeczywisty wymiar: zapach ciała Joshuy, głęboki tembr głosu, jego ciepło bijące spod ubrania, rytmiczne bicie serca przy jej piersi.

Nakrył ustami jej usta i to ją tak zaskoczyło — ta nieoczekiwana namacalność pocałunku, nagły smak warg i języka Joshuy, te wrażenia, które dotąd usiłowała sobie tylko wyobrazić, a które były niczym w porównaniu z rzeczywistością — że aż wstrzymała oddech, a świat zawirował. Spadała, osuwała się w ciemną czeluść i nic już nie istniało prócz burzliwego pocałunku Joshuy, gorączkowych pieszczot jego języka i tego łaskotania, które budziło się w niej głęboko, gdy jego twarda męskość niecierpliwie napierała na jej suknię...

I wtem równie nagle oderwał się od niej.

— Nie, nie mogę tego robić! Nie mam do tego prawa! Nie pociągnę cię za sobą w bagno! — Odsunął się, a ona natychmiast poczuła się samotna i zziębnięta.

Obrócił się do ściany po omacku, płasko oparł o nią dłonie, sztywno wyciągnął przed siebie ramiona i zwiesił głowę.

— Nie mam prawa... Nie dla mnie takie szczęście. Za bardzo cię kocham, Samanto, żeby cię ściągać w dół.

Błagalnie oparła dłonie na jego szerokich barkach i poczuła, jak pod jej dotykiem mięśnie Joshuy zyskują twardość granitu.

— Joshua! Joshua, ty mnie nie ściągasz w dół, tylko wynosisz na wyżyny!

— Nie rozumiesz... — jęknął. — Moja kochana, najdroższa Samanto, nic nie rozumiesz. — Z najwyższym trudem odepchnął się od ściany i spojrzał na nią gorejącymi oczami. — Nie jesteś zwyczajną kobietą. Jesteś kobietą szczególną, nawet nie wiesz, jak bardzo. Urodziłaś się, żeby wiele osiąg-



nać, żeby spełnić niezwykle przeznaczenie. Dostrzegłem to już wcześniej i fakt, że pomagam ci w zdobyciu celu, stanowił dla mnie tę odrobinę radości, jaka mi jeszcze została. Ale dziś wszystko się zmieniło. Jestem słaby i pozbawiłem się nawet tego szczęścia.

Nerwowo badała wzrokiem jego twarz.

— Joshua, nie rozumiem...

— Jeśli się dziś poddamy, będziemy kochankami. A wiem, że to zaprowadzi nas tam, dokąd musi. Przerodzi się w obsesję, w pogardę dla samych siebie. Teraz, Samanto, pochłania cię tylko jedna myśl: chcesz zostać lekarką. Ale jeśli zostanę twoim kochankiem, odsunę od ciebie ten cel. Przestanieś skupiać się na karierze, to ja zawładnę twoimi myślami!

— Czy to takie złe?

— Nie, gdybyś była zwyczajną kobietą. Ale nie jesteś. Nie mam prawa egoistycznym pragnieniem zaspokojenia własnej namiętności odbierać ci prawdziwego celu w życiu.

— Mogę studiować i kochać cię jednocześnie.

— Tak sądzisz? — Wykrzywił usta. — Wiem, ile energii pochłaniają studia medyczne, ile trzeba mieć samozaparcia i jak swobodną głowę. Sądzisz, że dużo uwagi będziesz mogła poświęcić studiom, jeśli za dnia będziesz siedzieć przy łóżku chorej Estelle, nocami natomiast będziesz szła w moje ramiona? Czy umiałabyś odsunąć od siebie poczucie winy, wszelkie myśli o mnie i skoncentrować się wyłącznie na wykładach? A po dyplomie, jak niby miałabyś się kształcić dalej, zdobywać dalszą wiedzę i zaistnieć w zawodzie, uwikłana w związek z nie rokującym nadziei narkomanem? Zanim się pojawiłaś, moje życie było jednym pasmem rozpacz, na którego końcu czekał mnie ten ostatni zastrzyk, kładący wreszcie kres memu nieszczęściu. Ale zjawiłaś się i dzięki tobie wstąpiła we mnie nadzieja. Skoro mojego życia nie można już uratować, mogłem mieć chociaż jedną satysfakcję: patrzeć, jak ty się stajesz kimś, jak dojrzewasz i przeobrażasz się w kobietę, która odciśnie piętno na tym świecie. Czerpałem radość z tego, że jestem ci pomocny w osiągnięciu celu. A teraz, jeśli poddamy się szaleństwu, wszystko zostanie stracone. Zboczysz ze swojej ścieżki i pójdziesz moją drogą, a ja będę żył ze świadomości,

mością, że jestem tego sprawcą. Och, Samanto... — W jego oczach załśniły łzy, w urywanym oddechu usłyszała stłumiony szloch.

Wsunęła się w jego ramiona tak swobodnie i pewnie, jakby robiła to już setki razy.

— Kocham cię, Joshua.

— Gdybyś mnie kochała naprawdę, odeszłabyś stąd na zawsze. — Ale ledwie skończył, mocniej otoczył ją ramionami i bezwiednie się do niej przysunął. Sunął ustami po jej włosach, w dół policzka, aż wreszcie odnalazł jej wargi.

Wszystko, co powiedział, zniknęło. Poczucie winy, wyrzuty sumienia, zapowiedzi przyszłej katastrofy, wszystko pierzchnęło w obliczu wielkiej zachłannej żarliwości, jaka ich ogarnęła i wymknęła się spod kontroli. Dwa pragnienia syciły się sobą nawzajem; zapomnieli o mądrych ostrzeżeniach i o tym, że ulegając im, popełniają szaleństwo. Nie zważając na nic, wiedzeni namiętnością, osunęli się na dywan. Samanta podświadomie dziwiła się swemu rozgorączkowaniu, ale nie zdawała sobie sprawy, że rejestruje cokolwiek poza Joshuą; pragnęła rozproszyć jego samotność i zastąpić ją palącą miłością — jakby chciała odcisnąć na nim swoje piętno, sprawić, że odtąd on już na zawsze będzie jej, a ona jego.

W najśmielszym śnie ani w marzeniu nie podejrzewała nawet, że może być aż tak — ból i ekstaza jednocześnie, napełnianie czary, która nigdy pełna być nie może, coraz wyższa wspinaczka, pragnienie, bolesny ucisk, więznący w gardle krzyk, oszałamiające doznanie jego w niej, ciężar przygniatającego ją ciała, mignięcia pełnej uniesienia twarzy widzianej spod rzęs i wreszcie nieoczekiwana eksplozja, która wstrząsnęła nią i jakby roztopiła ją całą. Potem z czułością kołysali się nawzajem w ramionach. Nie zwracała uwagi na zapach kurzu ani na szorstki splot dywanu, drapiącego jej gołe plecy. Trzymała głowę Joshuy na swej nagiej piersi i przepełniało ją uczucie nieopisanej satysfakcji i spokoju.

Kiedy odpoczęli chwilę, poszli do jej sypialni, gdzie nikt ich nie mógł słyszeć, i spędzili ostatnie godziny nocy, żyjąc tylko dla siebie. Poznawali swoje ciała, eksperymentowali i pod osłoną ciemności obdarzali się radością. Ale kiedy przez

zasłonki wpadł pierwszy blask szarawego świtu i Samanta z włosami rozrzuconymi na śnieżnobiałej poduszce zaczęła przysypiać, Joshua wyplątał się z pościeli i na palcach wyszedł z sypialni. A później, kiedy rano popijała kakao, które pani Wiggen przyniosła jej na górę, i kiedy rozpierała ją wielka satysfakcja, znalazła krótki liścik.

*Kiedy będziesz to czytała, moja najdroższa Samanto, ja będę przemierzał ulice w poszukiwaniu morfiny. Jak wrócę, będę zainteresowany wyłącznie jednym: zastrzykiem. Jesteś cierpi od rana, opłucna klei się bardziej podrażniana ostrym i zimnym powietrzem. Podczas gdy my w nocy oddawaliśmy się zaspokajaniu naszych egoistycznych pragnień, moja żona leżała w łóżku osamotniona i cierpiąca. Tego, co się stało, nie da się już cofnąć, najdroższa Samanto, ale nie możemy więcej do tego dopuścić. Jeśli mnie kochasz naprawdę i jeśli osiągnięcie wytyczonego celu jest ci choć trochę drogie, odejdziesz dziś z tego domu. Pozwól, bym mimo całego upodlenia mógł zachować choć odrobinę szacunku do samego siebie.*

## 18

Szła zaśnieżonymi opustoszałymi drogami Lucernę, przebijając się przez tak wysokie zasy, że gdyby wyciągnęła rękę w górę, dotknęłaby drutów telegraficznych. Wsłuchiwała się we własne skrzypiące na śniegu kroki — jedyne dźwięki, jakie zakłócały surową styczniową ciszę. Spacerowała wiele kilometrów; mróz szczypał jej twarz, przemoczony, lodowaty dół spódnicy biczował łydki, a końce palców, mimo futrzanej mufki, drętwiały z zimna. Co jakiś czas docierał do niej daleki odgłos dzwonek sań, ale Samanta rozmyślnie trzymała się z dala od odśnieżonych dróg i okolic jeziora, gdzie bawili się i szaleli łyżwiarze. Nogi niosły ją do wymarłych krańców miasta, w miejsca, gdzie nikt nie mógł jej wyrwać z zadumy i zmusić do pozdrowienia, uśmiechu czy choćby tylko spojrzenia. Chciała być sama.

W domu Hanna co jakiś czas unosiła zasłony w oknie i wyglądała na zewnątrz, licząc na to, że na tle białego światła dostrzeże zakapturzoną postać w ciemnej pelerynie. Potem jednak opuszczała zasłony, potrząsała głową i zaskoczona wracała do swoich zajęć — pieczenia bądź fastrygowania. Na swój prosty sposób była zupełnie przekonana, że cokolwiek nęka Samantę, cokolwiek zdarzyło się w czasie świąt, z czasem przecież minie, jak wszystko na tym świecie co dobre i co złe, a wtedy Samanta będzie znów taka sama jak dawniej.

To, że dziewczyna nigdy nie będzie już „taka jak dawniej”, w ogóle nie przyszło Hannie do głowy. Hanna nigdy nie odczuwała potrzeby zagłębiania się w subtelne zakamarki duszy i święcie wierzyła, że jedyna nieodwracalna zmiana, jaka człowieka spotyka, to śmierć. Ona sama wciąż przecież była tą miłą życie dziewczynką, która wyrosła nad brzegami Shannon. Uważała, że nic się od tamtych czasów nie zmieniła. Ale gdyby choć raz zamyśliła się nad sobą i zajrzała w głąb siebie, tak jak to teraz czyniła Samanta, odkryłaby pewne zaskakujące i niezbyt miłe prawdy. Chyba dlatego zresztą nie chciała grzebać w swej duszy. Te sprawy Hanna Mallone zostawiała filozofom i księżom. Wiedziała, kim jest, czego chce i dokąd zmierza. Nie widziała potrzeby wywracać świata do góry nogami. Hm, skoro tego dziewczynie trzeba, to i niech jej będzie. Z czasem dojdzie do siebie i o wszystkim zapomni.

Kiedy Samanta wróciła do Lucernę, nie miała najmniejszej ochoty cegokolwiek Hannie wyjaśniać. Dwa dni po Bożym Narodzeniu nieoczekiwanie stanęła w drzwiach z wyszczypaną mrozem, pobladłą twarzą; wróciła do promieniejącego blaskiem ciepła małego świata Hanny Mallone i jej domowej opieki. Powiedziała raptem kilka słów, nic więcej, i podporządkowała się rutynie zwykłego dnia. Mechanicznie wykonywała właściwe ruchy, jadła, nie czując smaku potraw, spała, nie zaznając odpoczynku, i codziennie, otulona czarną peleryną, szła na poszukiwania czegoś, czego nie umiała nazwać.

Miała niejasne uczucie, że zakończyła pewien etap życia, że coś — jeszcze nie wiedziała co — zostało na zawsze poza nią. Wychodziła z domu na mróz, obrzucała wzrokiem świeżą warstwę śniegu i myślała: Dzisiaj zaczyna się moja przyszłość.

Dziwiło ją to, bo ludzie zazwyczaj dostrzegają etapy swego życia dopiero z pewnego dystansu, kiedy czas i oddalenie od minionych zdarzeń pozwalają na ich obiektywną ocenę. Czterdziestoletnia kobieta, na przykład taka Hanna, mogła spojrzeć wstecz i powiedzieć: „Tego dnia nastąpił zwrot w moim życiu”. Ale mówiła to z perspektywy minionych dwudziestu lat. Czyżby dziewiętnastolatka mogła zauważyć jakąś graniczną linię w chwili, gdy ją przekraczała? Zwłaszcza że jeszcze nie wiedziała przecież, od czego tak naprawdę odchodzi.

Stawała na brzegu jeziora, nie zważając na wiatr, który uporczywie zrywał jej z głowy kaptur. Przed sobą miała zamrznięte lustro wody — miejscami niebezpiecznie cienki лёд tworzył na mlecznej powierzchni ciemne plamy. Stała tam i zmagła się z myślami, dopóki skóra nie zaczynała jej boleśnie szczypać, przypominając, że nawet w czasie walki duszy ciało domaga się troski. Wodziła wzrokiem po białym bezkresie, w poszukiwaniu jednej jedynej rzeczy. Cóż to takiego było, co desperacko usiłowała pochwycić, a co jej wciąż umykało? Wiedziała, że coś już dobiegło kresu, tylko co? Czasem, kiedy podczas spaceru zaskakiwała nagle zająca bielaka, gdy przestraszony stawał słupka, zastygał i ruszał jedynie wąsami, myślała, że już za chwilę odnajdzie to, czego ciągle szuka. Ale akurat wtedy zając zrywał się do biegu i niedościgły jak puch, który wymyka się palcom, uciekał.

Z czasem miała się dowiedzieć, co w jej życiu skończyło się wówczas bezpowrotnie. Ale na to musiała zaczekać jeszcze wiele lat. Dopiero wtedy, po latach, mogła sobie powiedzieć: „Tak, tego dnia nastąpił zwrot w moim życiu. Skończyła się moja niewinność.”

Zima ustąpiła mokremu błotnistemu przedwiośniu, a potem odrodzonej pachnącej wiosnie. Nadleciały drozdy, głuźce, na łąkach zakwitła tawuła i żółty jastrzębiec. Pod koniec maja wrócił Sean Mallony i Hanna przeszła cudowne przeobrażenie. Odmłodziła, kręciła się po domu ze zdwojoną energią, wskrzeszając dawną dziewczynę znad Shannon, za jaką się zawsze uważała. Jej bursztynowe oczy jaśniały jak

okna rezydencji Astorów, policzki nabrały różanobrzoskwiniowej barwy, zaczęła dbać o włosy, stół zastawiała tonami ulubionych dań Seana, a dom dekorowała pękami kwitnących truskawek i rudbekią.

Samanta radowała się szczęściem przyjaciółki i usuwała się w cień, nie chcąc przeszkadzać małżonkom. Powrót Seana nie zakłócił rytmu jej życia. Nadal, narzucając sobie surową dyscyplinę, która miała ją trzymać w ryzach, chodziła na zajęcia, uczyła się do późna w nocy, samotnie wędrowała po polach i od czasu do czasu zbierała leśne jagody, żeby pomóc Hannie w przygotowywaniu dżemów i galaretek. Żyła dzięki surowej dyscyplinie.

Dopiero w ostatnim tygodniu roku akademickiego trafiła na pewną polankę.

Pod koniec nauki studenci medycyny zachowywali się jak zwykle w sposób urągający wszelkiej przyzwoitości. I jak co roku o tej porze mieszkańcy Lucernę zaczęli między sobą narzekać, że od początku wiedzieli, że nie powinni byli się zgadzać na założenie Kolegium Medycyny. Czterech studentów posunęło się już za daleko. Pewnej mocno zakrapianej alkoholem nocy wyciągnęli nieboszczyka z prosektorium — byle jak sfastrygowanego wzdłuż ramion i nóg, w miejscach gdzie został rozcięty w czasie sekcji — zatargali go na rynek i wsadzili na stojący tam pomnik. Był to pomnik dawno zapomnianego generała na koniu. Usadowili trupa za plecami generała i otoczyli go w pasie bezwładnymi ramionami nieboszczyka. Potem, chichocząc, ukryli się w krzakach. Chcieli doczekać ranka i zobaczyć miny przechodniów. Niestety zasnęli i rano znaleziono ich śpiących w najlepsze na trawniku. Zostali relegowani z uczelni.

Żeby uciec od niesfornych kolegów, Samanta świętowała zakończenie roku na długich samotnych spacerach. Na polankę trafiła przypadkowo, głęboko zatopiona w myślach, i dopiero kiedy stanęła w samym jej środku, zaczęła się z wolna rozglądać. Grodziły ją wysokie topole i brzozy, których rozczapierzone gałęzie tworzyły gęsty dach; między konarami drzew prześwitywało błękitne niebo. Podłoże polanki stanowiła twarda ziemia okryta warstwą liści. Kłoda, prawdo-

podobnie zwałonego piorunem drzewa, mogła z powodzeniem służyć za doskonałą ławeczkę. Samanta przysiadła na niej i zastanawiała się, czy ktoś tu w ogóle zagląda. Nic na to nie wskazywało. Z ciernistych krzewów zwisały ciężkie jeżyny nie tknięte nawet przez ptactwo — niektóre owoce gniły już na ziemi.

Ponieważ najświętsza tajemnica, ludzkie ciało, nie była już dla niej zagadką, a potrzebowała nieco mistycyzmu w życiu, zaczęła sobie wyobrażać, że siedzi w magicznym, zaczarowanym miejscu. Znalazła stary grot strzały i dumiała, czy w dawnych czasach, kiedy Indianie byli dzicy i nieskażeni obcą cywilizacją, nie oddawali czasem właśnie tu, na tej polance, czci swoim bogom. Czciłi duchy, żyjące w kukurydzy, drzewach i w wodzie, takie, których można dotknąć, posmakować i zjednoczyć się z nimi — zupełnie inne od nieznanego Boga Samuela Hargrave. W ostrym zapachu przejrzałych ostrężyn polanka wydała się jej raptem świątynią zmysłów; odurzające powietrze było jak sakramentalne wino; Samanta miała wrażenie, że dawni bogowie są tu wciąż obecni. Zresztą polanka stanowiła doskonałe miejsce do rozmyślań i tego przyprawiającego o omdlenie letniego dnia Samanta — ledwie dwudziestoletnia — bez reszty poddała się jej urokowi. Wymyśliła sobie, że to miejsce czekało właśnie na nią...

Było to wspaniałe zacisze, gdzie spokojnie mogła rozsuptywać węzły, splecione w czasie świąt Bożego Narodzenia. Zaczęła tu więc przychodzić z koszykiem wypakowanym szynką na zimno, sucharami i z butelką herbaty z cytryną. Zjawiała się w perkalowej sukience, wykrochmalonym czepczku, który ją chronił od słońca, i oddawała się magii tego miejsca. Po wczesnym obiedzie składającym się zwykle z luzowanego królika albo pieczonego ptactwa oraz ziemniaków z klarownym sosem i szarlotki na deser dostrzegała często sennie spojrzenia Seana i jego rękę leniwie wyciągniętą do Hanny. Wymyślała wówczas jakiś pretekst, żeby uciec z domu; mówiła, że musi kupić szpulkę nici albo pudełko talku. Najpierw zatrzymywała się przy jeziorze, żeby nasycić wzrok jego istnieniem i widokiem, a potem udawała się znajomą ścieżką na polankę, gdzie ulegała jej kojącemu czarowi. Najczęściej

wystarczało, że wchodziła pod liściaste konary i natychmiast ogarniał ją spokój. (Kilka miesięcy wcześniej poszła na nabożeństwo do kościoła prezbiteriańskiego w Lucernę, ale wychodząc stamtąd czuła się jak głodujący, który nie nasycił żołądka. Ponieważ w okolicy nie było kościoła katolickiego, Hanna co wieczór odmawiała różaniec i Samanta, żeby jej sprawić przyjemność, też się go nauczyła. Codziennie razem recytowały modlitwy, ale to też nie przynosiło ulgi. Leśne sanktuarium zaspokajało jej najistotniejszą potrzebę.)

Nie sprawiało jej przykrości, że jest wyłączana ze związku Seana i Hanny. Tak jak oni pragnęli być razem, tak ona tęskniła za samotnością. Czasem chodząc po lesie myślała bez zawiści o tym, co robią Hanna z Seanem, i znajdowała radość w ich popołudniowej miłości. Cieszyła się z ich szczęścia, którego sama też troszkę zakosztowała, a potem, nie chcąc nawet w ten sposób zakłócać ich prywatności, kierowała myśli w inną stronę.

Z początku na spacerach zawsze myślała o Joshu. Ale z każdym dniem czuła się coraz bardziej wyleczona z tej obsesji i coraz wolniejsza od niego. Czy to naprawdę była miłość? Zaczynała wątpić. Nie miała z czym porównać tego uczucia. Kiedyś, dawno temu, był jeszcze Freddy. Wydawało jej się, że go kochała, ale emocje już bardzo wyblakły i straciły ostrość, nie potrafiła ich przywołać i zanalizować — przypominały starą poruszoną fotografię. Kto wie, może istnieją różne rodzaje miłości? Joshuę adorowała jak bóstwo, tak, kochała go, ale nie tym uczuciem, które w naturalny sposób prowadzi do fizycznego zbliżenia. Nad tym właśnie zastanawiała się najczęściej, bo o dziwo seks, jakiemu się oddali, odmienił jej miłość.

Dni lata mijały, wszystkie podobne do siebie, a ona w leśnej samotni coraz częściej dochodziła do wniosku, że Joshua stał się dla niej symbolem. Był jak kwiat, który wkłada się między kartki pamiętnika. A przecież nie kocha się kwiatu, tylko to, co on przypomina, jakiś moment, chwilę bliską sercu. Joshua też stanowił symbol wydarzenia — jej przemiany z dziewczyny w kobietę. I dlatego właśnie był jej tak bardzo bliski, tej fazy bowiem nigdy już nie mogła przejść po raz



wtóry. Ten pierwszy raz jest zawsze jedyny; cieszyło ją, że Joshua był jej pierwszym mężczyzną.

Dzięki leśnemu zaciszu i pomocy dawnych bogów wreszcie znalazła dla niego właściwe miejsce w sercu, gdzie miał już pozostać na zawsze i gdzie co jakiś czas będzie go mogła odwiedzać. Kiedy zbliżała się jesień, a wraz z nią początek nowego roku akademickiego, na dobre pogodziła się z faktem, że już nigdy ani Joshuy nie zobaczy, ani też nie dostanie od niego wiadomości.

Skoro już zadbała o miejsce Joshuy w swoim życiu, mogła teraz bez przeszkód poświęcić myśli czemuś zupełnie innemu i zamiast rozpamiętywać minione wydarzenia, swobodnie spojrzeć w przyszłość. Odkryła następną prawdę, której z początku nie mogła się nadziwić, ale im dłużej analizowała to nieoczekiwane odkrycie, tym bardziej się z nim godziła, aż wreszcie zaczęła je traktować jako coś całkiem oczywistego: naprawdę urodziła się po to, żeby studiować medycynę. Spoglądając wstecz dostrzegała znaczące momenty w swym życiu. Mimo upływu lat widziała je teraz wyraźnie jak na dłoni — ratowanie starego kocura, opiekę nad Freddym i poparzoną ojcem, i wreszcie panią Steptoe. Właśnie wtedy czuła się w swoim żywiole, w największej harmonii ze sobą. Widział to dawno temu pan Hawksbill, widzieli Elizabeth Blackwell i Joshua. Teraz zobaczyła i ona. Dostrzegła to, zaakceptowała, poczuła się z tym dobrze i pewnego dnia w leśnej samotni doszła do wniosku, że jej droga jest już wytyczona i żeby nie wiadomo co, nikomu nie da się z niej sprowadzić.

W sierpniu dostała radosną wiadomość, że Luiza z Lutherem wybierają się do Cincinnati, żeby wziąć ślub. Sięgnęła więc do chudej portmonetki i wysłała młodej parze serwis do herbaty kupiony w sklepie galanteryjnym pana Kendalla. Jesień nadeszła nagle. Miasto i okolice załśniły purpurą, złocieniem i brązem, a zajęcia w szkole zaczęły się pełną parą. Ponieważ był to już drugi rok studiów, miała więcej pracy — właśnie na drugim roku odpadało wielu studentów — lecz uwolniona od wszelkich innych myśli i trosk, tak jak sobie tego życzył Joshua, całym sercem i duszą oddała się studiom i wypełnianiu swego przeznaczenia.

W październiku Sean ruszył w góry. Dom dziwnie opustoszał, a kiedy nastąpiły listopadowe deszcze, Hanna znów zaczęła rozmyślać o Samancie. Z najwyższą niechęcią musiała w końcu przyznać, że dziewczyna jednak się zmieniła.

Hanna nie analizowała innych ludzi, jej myśli przede wszystkim krążyły wokół domu. Nie lubiła nabijać sobie głowy abstrakcyjnymi pojęciami i rozważaniami, ale tym razem po prostu nie mogła się od tego powstrzymać. Siedziała z filiżanką herbaty pod ręką, w ciepłym kręgu ognia płonącego w kominku, i słuchała, jak za ciężką kotarą, po drugiej stronie okna, deszcz bije o szyby. Co jakiś czas podnosiła wzrok znad szycia i przyglądała się młodej głowie pochylonej nad medyczną książką — otwartą skądinąd na nieprzyzwoitej ilustracji. Zastanawiała się wtedy, dlaczego, w odróżnieniu od wszystkich innych kobiet, które Pan Bóg stworzył, Samanta Hargrave nigdy nie mówi o sobie.

Przecież to f akie naturalne, żeby dwie kobiety mieszkające bądź co bądź pod jednym dachem, siedząc nad herbatą przy tym samym kominku przy akompaniamencie zegara, który odmierza minuty deszczowego wieczoru, poczuły nieprzepartą ochotę, by wyznać sobie drobne sekrety, podzielić się kobiecymi kłopotami i szukać w przyjaciółce współczucia i pocieszenia. Kobiety przecież nigdy nie mogą się nasycić wymianą intymnych zwierzeń, podobnie jak nigdy nie dosyć im dzielenia się kulinarnymi przepisami. Wieczory takie jak ten zawsze stają się świadkiem obnażenia jakiejś tajemnicy. Można wtedy wspomnieć o skutecznym środku na bóle menstruacyjne, o dziwnych snach w czasie periodu, o tej cudownie nieskromnej książce pod poduszką, o niepokojącym subiekcie w sklepie galanteryjnym Kendalla...

Hanna w zamyśleniu przyglądała się swojej robótce. Od czasu do czasu próbowała ułatwić nadejście godziny szczyrości, ponieważ święcie wierzyła, że solidna dawka zwierzeń podziała jak środek przeczyszczający i od razu postawi Samantę na nogi. Czasem więc opowiadała Samancie jakąś historyjkę bądź sen czy też dzieliła się jakimś intymnym spostrzeżeniem, czekając na zwykły w takich sytuacjach rewanż.

Nie doczekała się nigdy. Samanta zazwyczaj mruczała coś niewyraźnie i szczerze zamykała jej drzwi przed nosem. („Wiem, o czym mówisz, Hanno, ja też zwykle mam gwałtowniejsze sny w trakcie niedyspozycji. Nie widzę powodu do zmartwienia.”)

To nie było w porządku, zwłaszcza kiedy się wzięło pod uwagę zajęcie, do jakiego dziewczyna się przygotowywała. Nieślychanie niedyskretny zawód, żeby nie powiedzieć więcej, myślała Hanna. Zagląwanie w najtajniejsze zakątki ciała. Przed doktorem niczego nie da się ukryć: żadna szczelina, otvorek ani najbardziej intymne zakamarki ludzkiego wnętrza nie zdołają się schować przed badaniem. Doktor widzi nagie ciało i wysłuchuje najsekretniejszych wyznań, jakich z pewnością nie słyszą nawet księża. A Samanta uczy się, żeby zostać właśnie kimś takim, komu nic co ludzkie nie może być obce. Jakże więc to możliwe, żeby sama przy tym była tak bardzo zamknięta w sobie?

Ha, myślała Hanna, może to właśnie jest odpowiedź? Jasna i prosta. Kto wie, czy wówczas, kiedy przed człowiekiem nie ma już tajemnic ciała ani ludzkiej duszy, nie trzeba zachować dla siebie choćby niewielkiego obszaru prywatności? Może natura ludzka nie jest w stanie znieść takiego obnażenia i instynktownie walczy o to, żeby pewne tajemnice zachować tylko dla siebie? Jak się nad tym dobrze zastanowić, to stary doktor Shaughnessey był niezwykle tajemniczym człowiekiem. Wiedział wszystko o wszystkich, ale sam na zawsze pozostał wielką zagadką. Zabrała się znowu za szycie. Może tacy są właśnie doktorzy? Może... Samanta Hargrave najwyraźniej zmierzała w tę stronę.

Hanna poruszyła się w fotelu, westchnęła i zerknęła na Samantę. Z ulgą stwierdziła, że nie widzi już strony z nieprzyzwoitym rysunkiem. Przyglądała się więc profilowi dziewczyny tak cudnemu, jakby wprost przeniesionemu z kamei — długiej smukłej szyi, klasycznemu noskowi, elegancko ukształtowanej brodzie, gęstym rzęsom, cienko zarysowanymi brwiami i zaskakująco wysoko sklepionemu czołu. Zamyśliła się nad nią (hm, cicha woda, jak to mówią), a potem odsunęła od siebie myśli o Samancie, uznając, że i tak się na tym nie zna.

Ale tak naprawdę to Hanna trafiła właśnie w dziesiątkę.

— W życiu nie czułam się tak poniżona — powiedziała Samanta zajęta cerowaniem jednej z pończoch. — Odechnę, kiedy szkoła się skończy i wreszcie dostanę dyplom. Wtedy już będę doktorem i raz na zawsze przestaną mnie obrażać.

Hanna spojrzała na nią spod oka. „Nie licz na to zbyt, moja kochana” — ostrzegęła bez słów, ale nie rozwijała tematu, bo zaprzętały ją całkiem inne sprawy.

Był ponury, szary, gasnący dzień stycznia. Ciepło bijące od kuchennego pieca nie stanowiło przeciwwagi dla lodowatych podmuchów, jakie hulały po domu. Samanta miała skostniałe ręce, a kipiąca w niej złość nie sprzyjała trzymaniu igły. Była niespokojna, czuła się osamotniona i miała wrażenie, że dobrze by jej zrobił spacer do leśnego zacisza, ale o tej porze roku polanka ginęła pod śniegiem.

Hanna siedziała plecami do Samanty i kroić marchew w równiutkie kostki, które zamierzała dorzucić do pyrkającego gulaszu z zająca.

— Więc dlaczego kazali ci siedzieć za parawanem?

Wspomnienie tego wydarzenia sprawiło, że gniew chwycił ją znów za gardło i przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Przypomniała sobie specjalnie ściągniętego do Lucernę wykładowcę, drażliwy temat wykładu, święte oburzenie zaproszonego gościa, kiedy odkrył, że w sali siedzi studentka, a wreszcie jego pompatyczną odmowę prowadzenia zajęć. Potem przed oczami stanął jej doktor Jones, który błagał ją, żeby ten jeden jedyny raz zechciała ustąpić. Uparła się, doszło do kolejnej próby sił, która ostatecznie skończyła się kompromisem — wykładowca zgodził się prowadzić wykład, jeżeli widok niewiasty nie będzie go kłuł w oczy. Ustawiono więc w rogu sali parawan i usadowiono za nim Samantę, której tylko pod tym warunkiem zezwolono na wysłuchanie wywodu o seksualizmie człowieka. Zeszła wykładowcy z oczu i tym samym nie narażała go już na atak nagłej apopleksji. W pewnym momencie, kiedy akurat mówił o tym, jak przeprowadzić

badanie przez pochwę, kichnęła, a dystyngowany dżentelmen na katedrze musiał sobie aż przysiąc, żeby dojść do siebie.

— Zazwyczaj studenci chichoczą, głośno ryczą i robią nieprzyzwoite uwagi — tłumaczył jej doktor Jones po pierwszym z pięciu wykładów kursu. — Ale ponieważ wiedza, że pani jest na sali, nie pozwalają sobie na żadne wybryki.

Po raz pierwszy wówczas zirytowali ją koledzy. Doktor Miller przykazał niedoszłym doktorom, żeby w trakcie badania dwuręcznego zestawionego trzymali kamienną twarz, wbili obojętny wzrok w dowolny przedmiot, prowadzili badanie wyłącznie pod ubraniem pacjentki i nigdy nie wkładali w pochwę więcej niż jeden palec naraz.

Jakiś student zachichotał, a inny natychmiast kaszlnął, żeby go zagłuszyć, ale i tak usłyszała.

— Wiesz, zgadzam się z twoim profesorem — zaczęła Hanna, nie przerywając krojenia marchewki. — Nie podoba mi się, że siedzisz na takich zajęciach. To nie uchodzi.

— Lekarz musi nauczyć się wszystkiego.

— To mąż ma uczyć żonę seksu. Prawdziwa dama nie wysłuchuje takich rzeczy w towarzystwie mężczyzn. Nie pójdziesz do małżeńskiego łóża niewinna, a niewielu mężczyznom to się pewnie spodoba.

— Ty też nie byłaś niewinna, Hanno, a Seanowi to nie przeszkadzało.

Hanna wzruszyła ramionami. Jej przypadek był zupełnie inny.

Samanta odłożyła cerowanie. Przypomniała sobie ostatni z wykładów doktora Millera. „Pamiętajcie, panowie, że ponieważ na większość damskich dolegliwości i tak nie ma lekarstwa, rola lekarza sprowadza się głównie do tego, żeby stworzyć odpowiednią uczoną atmosferę. Sami zobaczycie, że pacjentki będą przychodzić do was z błahostkami, wokół których zawsze robią wiele szumu. Zacytuję w tym miejscu szanownego doktora Olivera Wendella Holmesa: «Kobieta to istota dwunożna cierpiąca na wieczne obstrukcje i łupanie w krzyżu».”

Hanna pochyliła się, otworzyła duchówkę i sprawdziła, w jakim stanie są dwa duże ziemniaki pieczone w mundur-

kach. Zazwyczaj gotowanie sprawiało jej przyjemność, dziś jednak nie znajdowała w tym żadnej radości — była zbyt niespokojna. Los nie obdarował jej tą szczęśliwą zdolnością porządkowania myśli, w jaką wyposażył Samantę, dlatego w głowie miała absolutny mętlik. Mężczyźni... Jej kłopot wiązał się z mężczyznami.

Niedzyscyplinowane myśli Hanny wróciły do pierwszego dnia Bożego Narodzenia i wydarzenia sprzed raptem trzech tygodni, które okazało się zupełnym niewypałem. Przed świętami wpadła na pomysł, że byłoby miło zaprosić jakiegoś kolegę Samanty na uroczystą kolację. Kogoś takiego, kto nie ma domu ani rodziny, do której mogłyby na czas ferii wyjechać. Jakiegoś grzecznego młodzieńca, rzecz jasna, w dodatku takiego, który doceni okazję, że będzie mógł spędzić z Samantą świąteczne popołudnie. Nie miała wątpliwości, że takich znajdzie się wielu.

Miody człowiek przyszedł w ciemnozielonym surducie i czarnych spodniach z tak gatunkowego sukna i tak nienagannie skrojonych, że Hanna natychmiast uznała go za możnego człowieka i znakomitą partię dla Samanty. W bawialni, gdzie ogień trzaskał wesoło, a sosnowe polana mocno pachniały żywicą, nieśmiało wręczył paniom po prezencie: Hanna dostała saszetkę z lawendą, a Samanta dopiero co wydaną książkę „Ben Hur” pióra gubernatora Nowego Meksyku. Hanna wymyślała rozmaite preteksty, by jak najdłużej przesiadywać w kuchni, młodzi natomiast zasiedli w bawialni.

Podśłuchiwała oczywiście, o czym mówią.

— Panno Hargrave, słyszałem, że jakiś polski chirurg w Wiedniu eksperymentalnie używa w czasie operacji sterylnych lnianych rękawiczek. Koledzy co prawda naśmiewają się z tego, ale osobiście uważam, że nie jest to takie bezcelowe. Co pani o tym sądzi?

— Moim zdaniem to bardzo prawdopodobne, że właśnie ręce chirurgów infekują rany. Oczywiście podstawową sprawą w tym przypadku jest to, czy się wierzy w teorię Pasteura o istnieniu mikrobów. Jeśli rzeczywiście zarazki istnieją, to wtedy przenoszone rękami chirurgów będą naturalnie powo-

dować choroby. Tyle tylko że chirurg, pracując w rękawiczkach, musi niestety tym samym stracić czucie w palcach.

Młody człowiek usiłował skierować rozmowę na nieco bardziej osobisty temat.

— Mam nadzieję, że spodoba się pani ta książka, panno Hargrave — odważył się powiedzieć. — To ponoć doskonała opowieść o życiu Chrystusa.

— Muszę ze smutkiem wyznać, że niewiele mam czasu na powieści, panie Goodman. Ale skoro już mówimy o czytaniu... Niedawno wyczytałam w „Boston Journal”, że angielskiemu chirurgowi, doktorowi Taitowi, udało się wyciąć wyrostek robaczkowy i pacjent przeżył operację! Doktor Tait zrobił przy tym rzecz zupełnie niesłychaną: przed operacją wysterylizował narzędzia...

Hanna z trudem opanowała przemożną chęć, by wpaść do bawialni i mocno Samantą potrząsnąć. Chciała krzyknąć: „Do licha, dziewczyno! A niech cię! Otwórz lepiej serce i niechże ten chłopiec cię kocha! Wykierujesz się na starą pannę, zobaczysz!”

Tymczasem odcedziła marchew oraz rzepę i wrzuciła je do wrzącego sosu. Potem otarła czoło wierzchem dłoni. Co się z nią dzisiaj działo? Po prostu ją nosiło. Stała przy kuchennym piecu. Twarz jej pociemniała. Doskonale wiedziała, w czym rzecz. Udawanie przed samą sobą nie mogło tu nic pomóc. Był tylko jeden problem: co z tym dalej zrobić? Hm, tę przerażającą decyzję podjęła już przed kilkoma tygodniami. Teraz należało się tylko zdobyć na odwagę i zwrócić się do Samanty z prośbą...

Choć mieszkały pod jednym dachem, żyły jednak w zupełnie odrębnych światach. Hanna była przybita swoim kłopotem, a Samanta miała swoje zmartwienia. Niepokoiły ją ostatnie listy od Luizy. Niezależnie od tego, ile razy czytała je zdanie w zdanie, wciąż nie umiała wytropić przyczyny owego niepokoju, mimo to wyraźnie czuła, że u przyjaciółki i Luthera coś jest nie tak.

Hanna umyła ręce, wytarła je o fartuch i usiadła na krześle przy stole.

— Jestem wykończona. Muszę na chwilę przysiąść.

— Nie jesteś czasem chora, Hanno?

Nie odpowiedziała. Zdjęła uszyty z materiału ocieplacz z imbryka, nalała sobie filiżankę herbaty i posłodziła ją dwiema łyżeczkami miodu dzikich pszczoł. Objęła filiżankę dłońmi, jakby chciała sobie ogrzać ręce, choć mocno zaczerwieniona twarz świadczyła o tym, że i tak jest jej za gorąco.

Samanta odłożyła robótkę do koszyka. Tak, jak się nad tym porządnie zastanowić, to Hanna już od paru tygodni nie ma apetytu. Na stole stało mięso w cieście, resztki śniadania. Podniosła ściereczkę, odłamała chrupką skórkę i włożyła ją do ust.

— Mam wrażenie, że potrzebny ci jakiś wzmacniający tonik. Niektórym ludziom krew rzadnie zimą.

Hanna zamyśliła się.

— Może masz rację, kochana.

Z niezwykłym u niej znużeniem ciężko podniosła się zza stołu, podeszła do serwantki i wyjęła z niej butelkę irlandzkiej whiskey Seana. Wróciła na swoje miejsce, odkorkowała butelkę i wlała sobie trochę alkoholu do herbaty. Potem uniosła butelkę i pytająco spojrzała na Samantę.

I wtedy Samanta ujrzała coś dziwnego w oczach przyjaciółki. Jeden jedyny raz widziała już takie spojrzenie — podczas zajęć na uczelni, kiedy przyprowadzono studentom pacjentkę i doktor Page oznajmił profesorskim tonem: „panna Bates cierpi na raka.” Panna Bates tak właśnie wtedy patrzyła. Hanna przez ułamek sekundy miała dokładnie taki sam, zupełnie bezbarwny wzrok — jakby na moment jej dusza się poddała. Ale to trwało tylko chwilę. Później w jej oczach dostrzegła tylko zwyczajne znużenie.

— Dziękuję, Hanno. Mnie też dobrze zrobi parę kropel whiskey.

Kilka minut popijały w milczeniu. Z piecyka dochodził bulgot, co jakiś czas z dachu obrywała się czapa śniegu i głuchym tąpnięciem spadała na ziemię. Im dłużej przeciągała się cisza w bawialni, tym wyraźniej Samanta czuła, że dzieje się coś niedobrego.

— Chcę ci coś powiedzieć... — zaczęła Hanna wreszcie. Samanta czekała.



— Pewnie zauważyłaś tego... — Hanna uniosła filiżankę, a wolną ręką zaczęła kręcić spodeczkiem po stole — ...tego nowego... dżentelmena u Kendalla?

Tak, zauważyła go, choć nie nazwałaby go nigdy dżentelmenem. Nikt o nim nic nie wiedział. Nowy subiekt Kendalla w październiku, ni stąd ni zowąd, zjawił się w mieście i pan Kendall, właściciel sklepu z galanterią, zatrudnił go tylko na dniówkę w zamian za kolację. Przybysz jednak okazał się tak chętnym, sympatycznym i obrotnym pracownikiem, że kupiec dał mu stałą pracę. Wiedziała tylko tyle, że nowy subiekt ma na imię Ohver i że nie podoba jej się spojrzenie, jakim ją obrzuca, kiedy pan Kendall wychodzi ze sklepu.

— Co chcesz mi o nim powiedzieć, Hanno?

— No więc, kochana... — Spodeczek skrzypiał, wirując po wyszorowanym blacie stołu. — No wiesz... chyba mu wpadłam w oko i był dla mnie taki uprzejmy... Zawsze dbał, żebym na każdym metrze materiału zaoszczędziła parę groszy... Wiesz, jaki z Kendalla centuś, ale jak tylko starego nie było w pobliżu, Oliver zawsze dobrze mnie obsługiwał. Kiedyś zaniósł mi paczki do domu i zaprosiłam go na herbatę.

Samanta nie odrywała wzroku od równomiernie kręcącego się spodeczka.

— I pewnego dnia po południu... kiedy zdawałaś ten ważny egzamin...

Kiedy któregoś dnia pod koniec listopada zjawiła się w domu, nie zwróciła uwagi na dziwną ciszę, jaka towarzyszyła im w czasie kolacji. Teraz to sobie przypomniała.

Spodeczek stanął w miejscu. Hanna ze stukotem odstawiła filiżankę.

— Został u mnie do samego wieczora. — Samanta czuła, jak fala wstydu płynie ku niej nad stołem. — I to nie był jedyny raz...

Teraz spojrzała na Hannę. Szeroko otwarte bursztynowe oczy patrzyły na nią przejrzystym spojrzeniem. Głos Hanny brzmiał tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać, ale w jej oczach nie było śladu łez.

— Boję się, Samanto.

— Że Sean się dowie? W jaki sposób?

Przyjaciółka potrząsnęła głową.

— Wszystko odbywało się tak po kryjomu, że nie ma mowy, żeby się dowiedział...

— Czy to... już skończone?

— Daj spokój, dziewczyno! Trwało dwa tygodnie, a potem go przepędziłam!

— Więc czym się teraz martwisz?

— Jestem w ciąży.

Samanta patrzyła na nią w zdumieniu.

— Jesteś pewna? Byłaś u doktora?

— Nie potrzebuję żadnego doktora, żeby wiedzieć, co znaczy brak miesiączki. Rano mam nudności, a kostki u nóg spuchły mi jak banie! Widziałam to u kobiet tyle razy, że sama wiem najlepiej!

— Och, Hanno...

Hanna uniosła brodę i mocno zacisnęła szczęki.

— Dlatego ci to mówię, Samanto. Chcę, żebyś mi pomogła.

— Ale co ja mogę zrobić?

— Uwolnij mnie od tego.

Dziewczyna zamrugała, jakby dostała w twarz.

Widząc wyraz jej twarzy, Hanna odwróciła wzrok. Wstała i podeszła do pieca. Uniosła pokrywkę rondla i zamieszała gulasz.

— Pewnie się zastanawiasz — zaczęła stłumionym głosem — dlaczego to zrobiłam. No bo właściwie dlaczego, skoro mam Seana przez pięć miesięcy w roku, miałabym się zadawać z jakimś innym mężczyzną, w dodatku takim jak ten Ołiver?

Samanta patrzyła na przyjaciółkę i milczała.

— No cóż, kochana, teraz pewnie i tak tego nie zrozumiesz. Masz dwadzieścia lat. Jesteś smukła jak trzcina i masz mleczną cerę, taką od której mężczyznom ślinka cieknie po brodzie. Kiedyś też byłam taka. Wiele lat temu... — Kręciła się po kuchni, dotykając rozmaitych przedmiotów, jakby nie chciała tracić kontaktu z rzeczywistością. — Przez ostatnie lata patrzyłam w lustro i widziałam, że robią mi się zmarszcz-

ki, tyję w pasie, a w moich rudych włosach, z których niegdyś byłam taka dumna, widać coraz więcej srebrnych nitok. Nocami rozmyślałam, czy Sean aby nie kocha mnie tylko z przyzwyczajenia, tylko dlatego, że mu ze mną wygodnie. A potem doszłam do wniosku, że nie podobam się już mężczyznom tak jak dawniej.

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na Samantę.

— Nagle ujrzałam to, co mnie niechybnie czeka. Z każdym rokiem będę coraz grubsza i coraz bardziej siwa i kto wie, czy pewnego ranka Sean nie obudzi się w łóżku i nie zobaczy mnie takiej, jaka naprawdę jestem. Nie byłoby tak źle, Samanto, gdybyśmy mieli dzieci. — W jej głosie zabrzmiało napięcie. — Jak kobieta ma dzieci, to niech sobie tyje i siwieje do woli, bo ma coś, z czego może być dumna. To jest jej dowód, że kiedyś budziła pożądanie i była na coś przydatna. Ale ja? Co ja mam? Mówię ci, dziewczyno, że naprawdę się złąłam.

Wróciła do stołu i nalała sobie jeszcze whiskey.

— Nie zakochałam się w OHverze. Nie wzniecał we mnie nawet namiętności... Ałe przy nim poczułam się znów młoda. Flirtował ze mną, mówił do mnie „panno Mallone”, a kiedy mnie dotknął, zdawało mi się, że znowu mam dwadzieścia lat i jego dotyk rozbudził mnie mocniej niż w ciągu ostatnich lat cała miłość Seana. — Hanna pociągnęła duży łyk whiskey. — A potem, po dwóch tygodniach, to moje uczucie zgasło i znowuż byłam tylko starą kobietą, która ośmiesza się z młodszym kochankiem, więc przegnałam go i zakazałam mu więcej przychodzić... — Samanta wzięła Hannę za rękę. — Wiesz, co trzeba zrobić, dziewczyno. Uczyłaś się o tym przecież... Wiesz, co zrobić, żeby mnie z tego wszystkiego... Może wystarczy jakaś mikstura...

— Hanno... — szepnęła Samanta — Naprawdę tego chcesz?

— Nie, wcale nie chcę, ale muszę to zrobić. Taka jest prawda. — W jej topazowych oczach zalśniły w końcu łzy. — Jeden Bóg wie, jak bardzo pragnęłam dziecka. Były czasy, kiedy tak długo klęczałam, modląc się do Najświętszej Panny, że aż mi krwawiły kolana. I teraz kiedy sobie pomys-

łę... — Spojrzała ze zdumieniem na swój brzuch. — Kiedy pomyśle, że to najcudowniejsze maleństwo zwinięte gdzieś głęboko śpi sobie spokojnie i mogłoby z irlandzką werwą przyjść na świat... — Zachmurzyła się. — Kocham to swoje dziecko, Samanto, ale jeszcze bardziej kocham mojego Seana. Musisz je usunąć.

— Przecież wcale nie musisz między nimi wybierać! Możesz mieć dziecko i Seana. Powiesz Seanowi, że ten mężczyzna wziął cię siłą, że ci groził. Sean jest taki wyrozumiały i pełen współczucia, że na pewno zatrzyma dziecko i wychowa jak własne...

— Nie o to chodzi, dziewczyno. Nie chodzi o mnie. Nie martwię się o swoją reputację i nie dla siebie to robię! Chodzi o reputację Seana. Kochana, naprawdę nie rozumiesz? Przez wszystkie te lata myśleliśmy, że to ja jestem bezpłodna. A teraz ciąża? To by przecież znaczyło, że właśnie Sean nie może być ojcem, i to by mu odebrało męskość! Nie mam prawa mu tego robić. Musisz mi pomóc uratować godność Seana.

Samanta rozglądała się po bawialni, szukając odpowiedzi.

— Mówiłaś OHverowi?

— Nie.

— Ma prawo wiedzieć.

— Nie ma żadnych praw! To, na czym mu zależało, dostał w sypialni na górze. Jesteśmy kwita. Nic mu nie jestem winna. — Niespokojnie schyliła się nad stołem. — Nie musi być szybko i bezboleśnie, nie o to cię proszę. Spodziewam się, że Bóg zechce, żebym pocierpiała. Chcę tylko, żebyś mi obiecała, że zrobisz z tym porządek. Raz, a dobrze.

Samantę ogarnęły dreszcze. Gdyby nie wiedziała, jak sporządzić potrzebną Hannie miksturę, decyzja nie należałaby do niej. Ale niestety wiedziała! Recepta sama cisnęła się jej na usta. Wystarczy herbatka z nasion bawełny albo z kory wiązu, nawet olej z wrotycza, który z pewnością bez trudu można dostać w drogerii, a następnego dnia będzie po kłopotcie.

— Hanno, naprawdę jesteś pewna? — wyszeptwała.

— Och, moja kochana... Sądzisz, że nie myślałam o tym na okrągło przez dziesięć ostatnich nocy? Myślisz, że nie wiem,

o co proszę? Uważasz, że sama nad tym nie boleję? — Usiłowała wstać z godnością, ale łzy gęsto spływały jej po twarzy i zostawiały mokre plamy na sukience. — To kara za grzech, którego się dopuściłam. Nie miałam prawa zabawiać się z innym mężczyzną. Teraz dosięgnęła mnie Boża sprawiedliwość. Nigdy nie pójdę do nieba, wiem, że po wsze czasy będę się smażyć w piekle, ale... — Zachwiała się i wyciągnęła po omacku rękę; położyła ją ciężko na oparciu krzesła. — Zrobię wszystko, byle tylko Sean nie poznał prawdy o sobie!

Samanta zerwała się zza stołu i objęła zapłakaną Hannę. Czuła, że i jej wilgotnieją oczy, ale wysiłkiem woli zwalczyła napływające łzy.

— Błagam cię, zrób to dla mnie! — Hanna szlochała, zakrywając twarz dłońmi. — Niech będzie tak jak dawniej, a ja przyjmę całą winę na siebie. Wiem, że to niesprawiedliwe obarczać cię tym wszystkim, ale nie mam do kogo się zwrócić... — Jej głos przycichł. — Jestem zupełnie sama — wyszeptwała.

— Nieprawda, Hanno, masz jeszcze mnie. Wspólnie się tym zajmujemy. — Łagodnie gładziła rude włosy przyjaciółki. — Jesteś pewna, że nie ma możliwości, żeby zachować dziecko? Może wyjedziemy gdzieś razem, a potem powiemy Seanowi, że to moje?

Hanna głośno pociągnęła nosem i czknęła.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziewczyno, zrobiłabyś to dla mnie? Przecież musiałabyś rzucić szkołę i zszargać sobie opinię. Kto wie, czy kiedykolwiek w ogóle dostałabyś dyplom? Nie, nie chciałabym tego wziąć na swoje sumienie. Poza tym i tak nie wmówiłybyśmy nikomu, że to nie moje dziecko, bo jego ogniście rude włosy i tak by nikogo nie zwiodły. Nie, kochana, myślałam nad każdym możliwym rozwiązaniem. Nie ma innego sposobu.

Samanta wbiła wzrok w garnki nad piecem.

— Moim najświętszym obowiązkiem jest ratowanie życia, Hanno — powiedziała głosem pełnym napięcia. — To właśnie moje posłannictwo. Nie mogę... zabić dziecka...

Hanna oderwała dłonie od twarzy i załzawionymi oczami spojrzała na Samantę.

— A ty uważasz, że ja co? Nie działałam wbrew swoim przekonaniom? Popełniam śmiertelny grzech i pójdę za to do piekła! I myślisz, że nie kocham tej drobinki, którą noszę w brzuchu?

— Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Mogę sobie wyobrazić, przez co teraz przechodzisz. Chciałam tylko, żebyś zrozumiała dlaczego... dlaczego muszę się nad tym zastanowić. Mam zupełny mętlik w głowie. Daj mi trochę czasu. Można poczekać z tym do jutra, a jutro coś wymyślę.

Obfite piersi Hanny uniosły się i opadły w wyraźnym westchnieniu. Wyswobodziła się z objęć Samanty i otarła łzy fartuchem.

— Jestem jakoś strasznie zmęczona, kochana. Myślę, że pójdę już do siebie. — Rozwiązała fartuch i powoli odwiesiła go na kołek.

— Naprawdę coś wymyślę.

— Oczywiście, kochana. Pamiętaj tylko, że nie chcę z tym zwlekać za długo. Jeśli nie będziesz mogła mi pomóc, będę musiała odwiedzić wdowę Dorset, a to prawie czterdzieści kilometrów stąd.

— Wdowę Dorset?

Hanna usiłowała się dzielnie uśmiechnąć.

— Jest to pewna dyskretna starsza pani, która nie zadaje pytań i można do niej iść bez najmniejszych obaw. Dziwię się, że dotąd o niej nie słyszałaś. Najlepsza babka w okręgu. Nie zastanawiaj się zbyt długo.

Samanta nie mogła jeść. Zestawiła rondel z gulaszem na podstawkę, zawinęła czerstwiejącą bułkę w wilgotną bawełnianą gazę i postawiła mleko na parapecie przy oknie. Wreszcie udała się do swojej sypialni.

Czas biegł w zatrważającym tempie, nawet nie czuła, że upływa. Było już ciemno, kiedy szła na górę, ale teraz za oknem panowała głucha noc i wiał lodowaty wiatr. Samanta owinięta szalem niespokojnie spacerowała przed kominkiem, zmuszając ciało do nieustannego wysiłku, jakby ten marsz miał jej pomóc w podjęciu decyzji.

Była wściekła. Nie wiedziała na kogo; z pewnością nie na Hannę, której szczerze współczuła. Może gniew ogarniał ją

na myśl o sprytnym Ołiverze, który niczym kocur zakradł się niepostrzeżenie, zlizał śmietankę z mleka i nie przyłapany uciekł? Niewykluczone, że gniewała ją własna nieumiejętność opanowania sytuacji, zajęcia zdecydowanego stanowiska — nienawidziła w sobie bezradności. Doświadczała też poczucia winy, winy spowodowanej działaniem innej kobiety. A do tego wszystkiego nie mogła się pozbyć wrażenia, że w pewien sposób zawiodła przyjaciółkę.

Wiele godzin zmagala się ze sobą; usiłowała rozplatać skłębione, poszarpane myśli, ale za każdym razem tylko jedna rzecz niezmiennie przychodziła jej do głowy — musi pomóc Hannie.

Okazało się to takie proste, kiedy nareszcie do niej dotarło: Hanna ma kłopoty i oczekuje pomocy. Tak jak ja kiedyś, myślała Samanta, kiedy wreszcie po godzinach spacerowania przed kominkiem zatrzymała się w miejscu. Nikt nie chciał mi wynająć pokoju, wszystkie drzwi w mieście zamknięto mi przed nosem, tylko Hanna była tak dobra i uprzejma, że wzięła mnie do siebie. Co bym bez niej zrobiła?

Ale tu przecież nie chodziło wyłącznie o rewanż za przyjacielską przysługę. Rzecz sięgała zdecydowanie głębiej: Hanna była w kłopotcie, jaki przytrafić się może wyłącznie kobiecie. Zwróciła się z tym też do kobiety. Ileż to razy od początku dziejów rozgrywał się podobny dramat? Ileż to stuleci zrozpaczone, zdane na siebie kobiety zwracały się z takim kłopotem do przyjaciółki, siostry czy jakiejś wdowy Dorset? Zwyczajna kolej rzeczy, stara jak świat.

Stała w sypialni — jej smukły cień tańczył na dywanie — i nagle uświadomiła sobie, że tu się nie ma nad czym zastanawiać. Raz tylko przemknęła jej przez głowę myśl: Czy mam prawo uśmiercić nienarodzone dziecko? Ale natychmiast znalazła na to odpowiedź: A czy mam prawo odmówić Hannie wiedzy, która powinna być naszym wspólnym dobrem? Doszła do wniosku, że czas na rozmyślenia minął, i wyszła z pokoju. Stała przed drzwiami sypialni przyjaciółki i cicho zastukała.

Nie zdziwiło jej, że nikt nie odpowiada. Lodowaty chłód ciągnący po korytarzu najlepiej świadczył o tym, że jest głąbo-

ka noc, a kto wie, czy zaraz nie zacznie aby świtać. Hanna zapewne śpi.

Jeszcze raz zastukała, tym razem zdecydowanie głośniej. Nacisnęła klamkę i drzwi ustąpiły. W pokoju Hanny było mrocznie i zimno jak w jaskini. Hanna zniknęła. Samanta zbiegła pędem po schodach, wołając przyjaciółkę. Zaglądała po drodze do wszystkich ciemnych i pustych pokoi, aż wreszcie zatrzymała się w sieni. Szybko naciągnęła botki i rękawiczki, owinęła szyję wełnianym szalikiem i zarzuciła na ramiona ciężką pelerynę. Kiedy otworzyła wyjściowe drzwi, mroźne powietrze stało przed nią jak lodowa ściana.

W nocy spadł śnieg; teraz świat otulała świeża warstwa białego puchu. Ślad prowadzący z domu był tak wyraźny, jak-by ktoś przeciągnął palcem po bitej śmietanie. Kroki Hanny i ciągnący się za nią dół peleryny tworzyły w śniegu wyraźną ścieżkę, która jak strzała wskazywała kierunek.

Samanta ściągnęła kaptur ciasno wokół twarzy i chwytając go mocno pod brodą, ruszyła przed siebie. Szła ze wzrokiem wbitym w ślady, oddychała wolno i płytko, bo lodowate powietrze aż kłuło ją w płuca, i usiłowała nie zważać na złowrogie cienie, które ją zewsząd otaczały. Te czarne powykrzywiane konary i wiejące grozą przykucnięte krzaki, które tak bardzo cieszyły oko za dnia, w nocy stawały się niesamowite i przerażające. Ślad prowadził skrajem lasu w kierunku jeziora. Otoczona złowieszczą ciszą, zakłócaną jedynie głośniejszym niż zwykle oddechem uwiecznionym w kapturze, ostrożnie schodziła po zboczu. Z przerażeniem stwierdziła, że ślady wiodą ją wprost nad zamarznąętą toń.

Złożyła dłonie w kształt muszli przy ustach i zawołała Hannę. W lodowatej ciszy jej głos zabrzmiał brutalnie i nieprzyjemnie. Krzyknęła jeszcze raz. Noc była dość ciemna; jezioro tworzyło niezwykłą plamę bieli, przy której straż pełniły wyniosłe czarne cienie. W najwyższym napięciu czekała na jakiś ruch; wstrzymała oddech, by nie przegapić najbliższego szmeru, ale świat przypominał martwą fotografię — zamarznięty, bezdźwięczny, nieruchomy.

Zimno było tak dojmujące, że nawet przestała już drzeć; to nie był ten chłód, który sprawia, że drętwieją palce i marz-



nie czubek nosa, a ciało okrywa się gęsią skórą. Zimno tej nocy przypominało nóż, który tnie aż do szpiku kości i ziębi od wewnątrz. Nie czuła już palców u rąk ani u stóp. Chciała się poruszyć i rozgrzać, machnąć energicznie ramionami, zatupać, ale dziwna atmosfera nocy powstrzymała ją; Samanta trwała w bezruchu niczym fragment zimowego zdjęcia.

Wreszcie coś usłyszała. Daleki cichy dźwięk, przypominający trzask kurzej kostki, którą się lamie, licząc na to, że w ręku zostanie dłuższy kawałek i spełni się pomyślane życzenie. Tak, tam na lodzie dostrzegła jakiś ruch.

— Hanno! — krzyknęła. Bez namysłu weszła na lód i chciała jak najszybciej przejść po jego śliskiej tafli. Upadła. Miała wrażenie, że pękną jej wszystkie kości. Pozbierała się z trudem i bez tchu nadal wołała przyjaciółkę. Teraz ostrożnie stawiała stopy i rozłożyła ramiona, żeby zachować równowagę. Co kilka kroków przystawała i rozglądała się. Sprawdziała, czy nie zbacza z właściwego kierunku. Na lewo, za drzewami, niebo zaczynało już jaśnieć. Słabe pastelowe światło wylewało się zza ciemnej ściany i ogarniało jezioro. Teraz już wyraźnie widziała Hannę — stała dziwnie nieruchoma, wpatrzona przed siebie, głucha na swoje imię wykrzykiwane aż pod niebo.

— Nie ruszaj się! Lód pęka! O Boże... — jęknęła Samanta. Rzuciło ją w przód, szarpnęła się w tył, zakreślając ramionami niewielkie kółka w powietrzu. Samanta robiła wszystko, żeby podejść do niej jak najszybciej. Wokół rozlegały się ostrzegawcze trzaski pękającego lodu.

Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że przyjaciółka się chwieje. Cóż to za absurd, Hanna miała przypięte do butów drewniane łyżwy!

— Hanno... — sapnęła bez tchu. — Nie ruszaj się!

Ale ona najwyraźniej jej nie słyszała, bo zrobiła krok naprzód i w następnej chwili zniknęła.

Samanta aż zamrugała z niedowierzania. Zaciśniętymi dłońmi przetarła oczy. A potem spróbowała podbiec. Poczuła tylko, że nogi spod niej uciekają, i rąbnęła kolanami o lód. Podparła się wyprostowanymi rękami; lód zakołysał się

niebezpiecznie. Dopelzła na czworakach do czarnej czeluści i krzyknęła, ile tchu w piersiach: „Hanno! Hanno!” Na lodzie leżała jeszcze kawałek peleryny i powoli zsuwał się do wody. Samanta złapała za materiał i usiłowała przyciągnąć go do siebie. Później usłyszała kolejny złowróżbny trzask i zgrzyt — taki jaki wydaje łupina orzecha, przydeptana obcasem — aż wreszcie poczuła, że łód pod jej kolanami ugina się, potem wznosi, aż w końcu gwałtownie ustępuje.

Woda była tak lodowata, że zmroziła jej zmysły i zablokowała wszelkie doznania. Samanta wydała z siebie tylko ciche sapnięcie i woda zalała jej płuca. Zaczęła młócić czarną toń rękami i nogami, lecz spódnica i peleryna nieubłaganie ciągnęły ją w dół. W pewnej chwili, tam na dole, uderzyła nogami o coś twardego. Za wszelką cenę usiłowała jedną ręką chwycić się umykającej krawędzi lodowej kry, drugą wczepiła we włosy Hanny. Ale nie mogła jej wyciągnąć! Zapadła się pod wodę jak kamień; otoczyła ją ciemność.

To koniec, pomyślała z zadziwiającym spokojem. A wszystko przez to, że się zawahałam...

Nieoczekiwanie już po chwili leżała na plecach i z trudem łapiąc powietrze, patrzyła w jaśniejące niebo. Potem poczuła bolesny ucisk pod pachami i zdała sobie sprawę, że ktoś ciągnie ją po zamrożniętym jeziorze do brzegu.

Między okresami maligny odzyskiwała przytomność i docierały do niej strzępki rozmów. — Cóż im strzeliło do głowy, żeby iść na łyżwy po nocy? — ponuro pytał pan Kendall. — Proszę rozpuścić pół łyżeczki proszku w ciepłej wodzie i poić ją tym na siłę co cztery godziny. To zatrzyma gorączkę — wyjaśniał doktor Jones. A zatroskana, macierzyńska pani Kendall mówiła: — Biedna kobieta... To szczęście, że się nie męczyła. Nawet nie czuła, że umiera.

Spała, ale niespokojnym snem nawiedzanym koszmarami. Z wirujących mgieł wyłaniali się: Freddy (jego przystojną twarz widziała zaskakująco wyraźnie); James na stole w prosektorium z siną pętlą na szyi, pamiątką po sznurze kata; stary pan Hawksbill uwięziony w słoju, bezradnie próbujący się z niego wydostać. Często budziła się w nocy; koszulę miała

mokną od potu. Wówczas pani Kendall pochylała się nad nią i po matczynemu ją uspokajała.

Wreszcie, gdy dzięki troskliwej pielęgnacji pani Kendall i sumiennej opiece doktora Jonesa pod koniec lutego najgorsze już miała za sobą, ze zgrozą stwierdziła, że leżała w gorączce pełnych sześć tygodni. Dopiero wtedy dowiedziała się, że to farmer McKinney i jego syn wyciągnęli ją z wody. Dla Hanny zjawili się niestety za późno.

Doktor Jones siedział przy łóżku i wpatrzony w zegarek delikatnie ujmował jej nadgarstek. Wreszcie, zadowolony, z cichym trzaskiem zamknął kopertę zegarka, włożył go do kieszeni kamizelki i łagodnie ułożył rękę Samanty na łóżku.

— No, młoda damo, wygląda na to, że wyszła pani z tego ambarasu cało — powiedział z szerokim uśmiechem. — Ma pani niezwykle silny organizm, panno Hargrave. Znam tylko nieliczne przypadki, żeby chorzy z tak poważnym zapaleniem płuc jak pani wyszli z niego obronną ręką.

Patrzyła na niego otępiąłym wzrokiem.

— Niech się pani tylko niczym nie martwi. Pani Kendall postanowiła wynająć pani ten pokój do końca semestru. Pan Kendall przeniósł już pani rzeczy z domu państwa Mallone. Jeśli zaś idzie o szkołę, to jest pani tak znakomitą studentką, że nie wątpię, iż błyskawicznie nadrobi pani braki. Zresztą w pierwszym okresie potraktujemy panią ulgowo.

Miała wysuszone i spękane usta; usiłowała jej oblizać.

— Co... z Seanem?

Doktor Jones sposepniał.

— Zostanie zawiadomiony, jak tylko ustalimy miejsce jego pobytu. Niech pani teraz odpoczywa, moja droga. Ma pani za sobą okropne przeżycia. Wyciągnięto panią z wody dosłownie w ostatniej chwili; jeszcze kilka sekund, a zamarzałyby pani na śmierć.

Hanna Mallone została pochowana w pierwszym tygodniu roztopów. Pastor Patterson miał w tym czasie pełne ręce roboty — uczestniczył przecież w pogrzebach wszystkich mieszkańców zmarłych w zimie. Ponieważ w skutej mroźnej ziemi trudno było kopać groby, nieboszczyków trzymano w piwnicy

kościół. Pastor Patterson żywił szaloną awersję do śmierci, więc z ulgą odetchnął, kiedy martwe ciała trafiły wreszcie do ziemi. Hanna miała skromny nagrobek i jeszcze skromniejszy pochówek. Pogrzeb odbył się pod koniec marca, w jeden z tych dni, kiedy zima nie może się jeszcze zdobyć na ostateczną decyzję, czy rzeczywiście chce już ustąpić pola wiosnie — kiedy z głuchym łoskotem ziemia spadała na wieko sosnowej trumny, niebo sypnęło mokrym śniegiem.

Doktor Jones zakazał Samancie udziału w ceremonii na cmentarzu, bo wciąż była bardzo osłabiona, ale Samanta gotowa była doczołgać się na pogrzeb nawet na czworakach. W końcu niechętnie ustąpił i zaproponował jej swoje męskie ramię, ale o dziwo Samanta wolała wesprzeć się na pani Kendall. Otoczyli grób małą cichą gromadką, a pastor Patterson robił co w jego mocy, by wlać katolickiego ducha w protestanckie modlitwy.

Wszyscy wbili wzrok w ziemię, posępnie zwieszając głowy, i pograżyli się we własnych myślach. Pan Kendall z żalem żegnał dobrą klientkę; jego żona niepokoiła się o pyrkający na kuchni łój; doktor Jones z ciekawością obserwował kredowobłądą Samantę (Doprawdy, co też one wyrabiały po ciemku na łyżwach?), a Samanta ciężko wsparta na pani Kendall przyglądała się niektórym pedantycznie zadbanym grobom, oczyszczonym ze śniegu przez pamiętających krewnych, i nie mogła się temu nadziwić. Przecież spoczywającym w ziemi szczątkom naprawdę już wszystko jedno, myślała.

Ale z nadejściem cieplejszych dni, kiedy już samodzielnie mogła chodzić na cmentarz, sama zaczęła sadzić kwiatki i plewić chwasty na świeżym kopczyku — dbała o grób tak czułe, jakby pielęgnowała Hannę.

Po roztopach polanka znów stała się miejscem spacerowym, ale teraz bardziej niż las przyciągał Samantę cmentarz. Chodziła tam codziennie, szukając odpowiedzi. Co się stało, Hanno? Wiedziałaś przecież, że ci nie odmówię pomocy. Dlaczego to zrobiłaś? Dlatego, że tak niezręcznie z tobą rozmawiałam? Czy to moje wahanie, moje oświadczenie, że muszę chronić życie, ustawiły twój grzech w takim świetle, w jakim wcale nie chciałaś go widzieć? Nie byłam ci podporą, moja

najdroższa przyjaciółko, przeze mnie się jeszcze bardziej wstydiłaś. Zawiodłam cię. Nie ma przecież żadnej wdowy Dorset, prawda? Powiedziałaś tak tylko po to, by otworzyć mi furtkę odwrotu, gdybym nie umiała podjąć tej decyzji, na którą tak bardzo czekałaś. A łyżwy? Chyba też włożyłaś je dla mnie; dzięki temu nie musiałam nikomu tłumaczyć, dlaczego zginęłaś. Hanno, nie byłam przygotowana na taką sytuację. Uczą nas tylko tego, że człowiek składa się z kości i z krwi, ale nic, zupełnie nic nie mówią nam o duszy. Nie ma takich książek, z których mogłabym się nauczyć, jak leczyć zranioną duszę.

Od błotnistej ziemi zerwał się zimny powiew wiatru i przyniósł ze sobą szept Hanny: „Nie martw się tym, kochana. To moja kara. Nie miałam prawa zadawać się z innym mężczyzną. To kara Boża za to, czego się dopuściłam.”

Samanta poczuła, jak ogarnia ją złość. Gdzież więc jest kara dla Olivera, Hanno? On też nie miał prawa zadawać się z tobą. Dlaczego jego nie dosięgnie ręka sprawiedliwości?

Dni mijały, a Samanta z codziennych rozmów z Hanną czerpała coraz więcej siły i zrozumienia. Głęboki żal z czasem przerodził się w gniew, gniew zaś wzmacniał jej duszę. Mężczyźni nie mają najmniejszego pojęcia o tym, co tu się naprawdę stało, nie czują doniosłości tego, co Hanna zrobiła. Gdyby coś przeczuwali, gdyby coś niebezpiecznie zaświtało im w głowach, na pewno odwróciliby się od tego śmiertelnie przerażeni. A prawda jest taka: mężczyźni nie wiedzą, kim są. Niesłusznie uważają się za panów tego świata, wyznaczonych przez Boga strażników życia i śmierci. Tylko się im wydaje, że panują nad światem i decydują o losie innych. A wszystko dzięki temu, że kobiety im na to pozwalają. Kobiety stwarzają tę iluzję, by zadowolić mężczyzn. Podstawowe decyzje związane z życiem i śmiercią leżą wyłącznie w rękach kobiet zjednoczonych tajemnym zrozumieniem — najlepszym dowodem jest Hanna. Przez długie wieki kobiety spotykały się potajemnie i spłonione, zjednoczone podobnymi kłopotami, przekazywały sobie wiedzę z siostry na siostrę i z matki na córkę — niszczyły życie, nim się naprawdę zaczęło. Zupełnie tak jak Hanna. To małe nienarodzone życie leży tu wraz z nią, a oni, mężczyźni, nic o tym nie wiedzą i nigdy wiedzieć nie będą...

Mamy przerażającą moc w naszych rękach, Hanno. Nic dziwnego, że tak się nas boją...

Pewnego rozśpiewanego dnia w kwietniu, kiedy złote różgi miały rozkwitnąć już za chwilę, a Samanta zmagająca się z wiatrem, nie chcąc mu oddać peleryny, przeżyła nagle prawdziwe objawienie. Zupełnie jakby zza grobu słyszała głos Hanny, dotarły do niej słowa, które na zawsze miały zmienić jej życie: „Dlatego, że się nas boją, zrobili z nas niewolnice, ale to wszystko odbyło się wyłącznie za naszą zgodą; trzymają nas w niewoli, lecz to my jesteśmy ich strażniczkami.”

Upadła na kolana i wyrecytowała „Zdrowaś Mario”, tak jak ją Hanna uczyła. A potem wyszeptała do kopczyka, porośniętego świeżą zieloną trawą:

— Wynagrodzę ci to, Hanno, przyrzekam. Jakoś odkupię swój błąd. Nie mogę przywrócić ci życia, nie mogę naprawić tej krzywdy, jaką ci wyrządziłam, ale przysięgam ci uroczysto, Hanno, moja najdroższa przyjaciółko, że zawsze będziesz przy mnie i we mnie twoja dusza odnajdzie nieśmiertelność, a twoja śmierć nie będzie daremna, bo z niej czerpię odrodzoną siłę. Nigdy już nie pozwolę, by mną zarządzili mężczyźni; ja jestem panią siebie. Do końca swoich dni będę cię nosić w sobie, moja najdroższa przyjaciółko. I jeśli kiedyś w przyszłości napotkam nasze siostry, równie nieszczęsne jak ty, będę wiedziała, co robić. I przysięgam ci też, najdroższa moja Hanno, że przez pamięć o tobie już nigdy się nie zawaham.

## 20

Wydawała się całkiem spokojna, ale naprawdę była spięta i zdenerwowana. Pochód profesorów i absolwentów medycyny zatrzymał się u stopni kościoła, by fotografowie zdążyli zrobić zdjęcia. Stała z dumnie uniesioną głową, ale nie mogła otrząsnąć się ze smutku. Zaczęło się od tego zatrważającego snu, ponurego i czyżby złowróbnego? A teraz jeszcze doszedł przygnębiający bojkot kobiet...

Dlaczego jej to zrobiły? Wiedziała, że niektóre z mieszkanki Lucernę nadal żywią do niej pewne uprzedzenia; pani Kendall w dobrotliwy sposób zwróciła Samancie uwagę, że uczęszczając na męską uczelnię niepotrzebnie nadszarpuje swoją reputację. Niektóre uparte damy jeszcze wczoraj na jej widok ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy. Owszem, to wszystko prawda, ale wyobrażała sobie, że po dwóch latach jej pobytu w mieście większość kobiet dostrzegła mimo wszystko, że ona przecież nie jest osobą niemoralną, a jej obecność w szkole nie okryła Lucernę skandalem. To straszny cios, myślała. Hanno, gdybyś żyła, na pewno przyszłabyś na tę uroczystość...

Sean Mallone ściągnął z gór na święto Kwitnących Jabłoni. Wrócił do olbrzymiego pustego domu i szalał z rozpaczy. Ale Samanta zatrzymała straszliwy sekret Hanny dla siebie. Tym samym dała szansę zboliałemu Seanowi, by znalazł pocieszenie w myśli, że śmierć Hanny była zupełnie przypadkowa. Z czasem Sean jakoś doszedł do siebie, powierzył duszę Hanny wszystkim świętym, sprzedał dom i na zawsze wywdrował w góry.

Samanta uspokoiła sumienie, odstąpiła od grobu, by nie zakłócać Hannie wiecznego odpoczynku, i w ostatnim miesiącu szkoły zabrała się ostro do pracy. Ku zdumieniu wszystkich z dwudziestego miejsca w całym roczniku — w końcu kilka tygodni leżała złożona chorobą — awansowała pod koniec roku na trzecie. Fotografowie i reporterzy z uwagą odnotowali ten fakt, nie mogąc się nadziwić, że dziewczyna tak ładna i młoda może sięgnąć aż po takie laury. Bzik!

Indianie odsunęli się na bok, zagrali *America* i procesja ruszyła przed siebie. Samanta sunąc lekko po posadzce kościoła usłyszała nagle dziwny szelest jedwabiu i szepty. Po chwili zupełnie nieoczekiwanie ujrzała rząd czepeczków i przybranych piórami kapeluszy.

Kobiety!

Zasiadały w ławkach, zajmowały miejsca na chórze, tworząc morze barw i wymyślnych fryzur; wachlarze trzepotały, klejnoty lśniły — kobiety ubrały się w najświetniejsze stroje, żeby uhonorować jej święto. Żeby ją uhonorować! Serce zabi-

lo w niej jak szalone, dwie wielkie łzy podpłynęły do oczu. A więc nie opuściły jej w końcu!

Studenci zajęli przednie ławki, mężczyźni natomiast wciskali się w wolne miejsca w przejściach i pod ścianami. W powietrzu wisiało napięcie, takie jakie się czuje przed letnią gwałtowną burzą — dla małego miasteczka Lucernę był to wielki dzień. Doktor Jones spiesznie skierował się do podium wzniesionego przed ołtarzem i nałożył aksamitny biret. Podczas gdy jego mocny głos odbijał się echem nad głowami zgromadzonych — doktor Jones wygłaszał tę samą mowę co roku, tym razem tylko dodatkowo przeklinał w duchu Simona Kenta i ręcznie pisany dyplom — Samanta przeżyła drugi tego dnia wstrząs. Na podium, razem z resztą profesorów uczelni, zasiadał Marek Rawlins!

Nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć. Dlaczegoż nie zauważyła tego wcześniej? Marek Rawlins był wybitnie przystojnym mężczyzną. Teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego, co straciła na balu u pani Astor pochłonięta Joshua Masefeldem. Patrzyła na gęste kasztanowe, zatrważająco długie włosy — drobne, skręcone na końcach kosmyki leżały na kołnierzu surduta! Takie fryzury nosili artyści i aktorzy, ale nie lekarze. Widziała ciepłe brązowe oczy, duży prosty nos i kwadratową szczękę. Był wysoki i szczupły, ale to, jak siedział i jak materiał spodni opinał się mu na udach, sugerowało, że pod ubraniem kryją się silne mięśnie. Wyglądał bardziej na sportowca niż na człowieka, który dzień dzieli pomiędzy godziny siedzenia przy biurku a pracę na szpitalnym oddziale.

Przelotnie spojrział w jej stronę. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, potem uśmiechnął się kącikiem ust, gdzie — zobaczyła to dopiero teraz — widniała mała biała blizna, drobna niedoskonałość urody. Później zaś oboje przenieśli uwagę na doktora Jonesa.

Jak się okazało, doktor Rawlins został specjalnie zaproszony na uroczystość wręczania dyplomów i miał z tej okazji publicznie zabrać głos. Doktor Jones dokonał prezentacji, po czym Marek Rawlins wstał i górując nad pulchnym dziekanem, długim pewnym krokiem podszedł do ustawionego na



podium stolika. Samanta przypominała sobie, jak czuła się w jego ramionach w walcu.

Mówił spokojnie i ze swadą; jego miękkie gesty i bostoński akcent przyczyniały się do wrażenia, że szacowny gość przemawia tak, jakby prowadził przy kominku prywatną rozmowę z przyjaciółmi. Wszyscy słuchali go z najwyższym zainteresowaniem, a Samanta na gwałt usiłowała przywołać z pamięci, co jej mówił o sobie w czasie balu. Nadaremnie. Zajęta Joshua Masefieldem, prawie nie słuchała Marka Rawlinsa. Teraz patrzyła na niego jak na obcego człowieka.

Kiedy doktor Rawlins wrócił na swoje miejsce, za stolikiem stanął doktor Jones i zdecydowany nie czekać już dłużej na Kenta i specjalny dyplom dla Samanty Hargrave, zaczął wyczytywać nazwiska absolwentów.

Wyczytywał je w porządku alfabetycznym. Kiedy *domine* Gower i *domine* Jarvis odebrali już swoje dyplomy, Samanta doszła do wniosku, że profesor specjalnie zostawił ją na koniec. Ceremonia ciągnęła się w nieskończoność. Studenci kolejno wchodzili na podium, odbierali dyplom i ściskali dłoń dziekana. Nikt nie zauważył, jak bardzo doktor Jones jest zdenerwowany, ani też że w stercie owczej skóry brakuje jednego dyplomu. Absolwenci pilnowali, by nie przegapić kolejki, a Samanta walczyła z nieprzepartą ochotą spojrzenia na Marka Rawlinsa.

W pewnej chwili przy końcu nawy powstało zamieszanie. Jakiś człowiek bezpardonowo przeciskał się pod ścianą. Dotarł do pierwszej ławki, nachylił się i szepnął coś woźnemu. Potem wręczył mu jakiś przedmiot i stanął z boku. Woźny uniósł się nieco, wyciągnął przed siebie i położył coś na blacie stołu w chwili, gdy doktor Jones wyczytał: „*Jomine* Young”. Dziekan ledwie dostrzegalnie odetchnął z ulgą, wziął do ręki ostatni już dyplom i z dumą powiedział:

— *Domina* Hargrave...

Próbowali spokojnie wyjść z kościoła, ale kiedy znaleźli się na zewnątrz, nowo upieczeni doktorzy zerwali z głów kapelusze i zaczęli głośno wiwatować i skakać z uciechy, zupełnie jak mali chłopcy. Okolice kościoła ogarnął istny chaos:

rodzice przytulali synów, panowie ściskali sobie dłonie, panie dyskretnie, chusteczkami, ocierały łzy, dzieci płątały się pod nogami, reporterzy wpadali na siebie nawzajem i nawet psy szczekały. Samanta lustrowała tłum. Doktor Rawlins zniknął.

— Panno Hargrave... — Znowu ten reporter z „Baltimore Sun”. — Jak należy się teraz do pani zwracać? Panno doktor? A może: doktorko?

Udała, że go nie słyszy, i nadal się rozglądała. Jak to możliwe, że kościół pomieścił aż tylu ludzi? Podeszła do niej pani Kendall ze łzami w oczach i monologowała bez tchu, jakie to wszystko było arcypiękne i jak ślicznie Samanta wyglądała. Potem nadszedł dziekan, nadęty jak paw, i mówił głośno, tak by go reporter słyszał, że Samanta jest dumą uczelni. Coraz więcej ludzi podchodziło do niej z uśmiechem; składali jej gratulacje i najlepsze życzenia — była gwiazdą dnia. Ściskali jej dłoń, chwalili ją; kobiety, które dotąd nie chciały z nią zamienić ani jednego słowa, zachowywały się jak najserdeczniejsze przyjaciółki. Koledzy, profesorowie, reporterzy tłoczyli się przy niej. Uśmiechała się grzecznie, ledwie słysząc, co do niej mówią. Gdzie zniknął Marek Rawlins?

— Pani doktor, czy zechce pani przyjąć nasze najszczerze gratulacje? — usłyszała nagle czyjś niski kulturalny głos.

Odwróciła się. Zobaczyła dwie nie znane jej kobiety. Ta, która ją zagadnęła, ubrana w suknię z czarnej bombazyny, z włosami ściągniętymi z tyłu w surowy koczek, choć była po sześćdziesiątce, odznaczała się urodą. Jej głęboko osadzone oczy, surowe policzki i ostro rzeźbiony podbródek nadawały jej twarzy wyraz wyjątkowej godności. Ale kiedy wyciągnęła dłoń do Samanty i uśmiechnęła się, promieniała ciepłem i urokiem.

— Jestem panna Anthony, a to moja przyjaciółka, pani Stanton.

Druga dama była zdecydowanym przeciwieństwem pierwszej. Ubrana w suknię z różowego atłasu przybraną szczypankami, falbaneczkami i koronką, była niska, pulchna, a jej okragłą jak księżyc twarz okalała burza siwych loczków.

— Przyjechałyśmy tutaj, żeby na własne oczy zobaczyć pani sukces i złożyć pani najserdeczniejsze powinszowania od

naszych sióstr z całego kraju. To, czego pani dokonała, panno Hargrave, jest niemałym osiągnięciem i zapewne nie pójdzie ono w niepamięć — mówiła panna Anthony. — Jest to mocny cios w walce o sprawę kobiet.

Samanta lekko zmarszczyła czoło.

— Pani pewnie nie wie — panna Anthony odwróciła się do niej profilem — kim jesteśmy i o co walczymy, ale to teraz bez znaczenia. Nie przyjechałyśmy tu po to, żeby prowadzić krucjatę ani też panią agitować. Przyjechałyśmy, żeby złożyć pani nasze serdeczne podziękowanie.

— Podziękowanie? Za co?

— Za to, co pani już zrobiła. Rzecz w tym, panno Hargrave, że kobiety w tym kraju są ciągle w okowach. Ich poddańczość jest tym bardziej dla nich uwłaczająca, że w ogóle sobie z niej nie zdają sprawy. Pani osiągnięcie jest kolejnym krokiem naprzód. Trzeba je zbudzić z letargu, dodać im odwagi, nauczyć je, że mogą mówić i działać w obronie własnej wolności.

Samantę zdumiewała dziwna poza panny Anthony, to, że konsekwentnie ustawiała się do niej profilem. Susan B. Anthony miała defekt fizyczny — jedno oko uciekało jej w bok. Pewien niewprawy chirurg usiłował kiedyś ten feler naprawić, ale tylko pogorszył sytuację. Panna Anthony była bardzo wrażliwa na tym punkcie, dlatego zawsze starała się do rozmówcy ustawiać profilem, a już szczególnie dużą wagę przywiązywała do pozowania do portretów.

Pani Stanton oparła dłoń na ramieniu Samanty.

— Pani doktor, reprezentuje pani młode pokolenie — zaczęła cicho. — Panna Anthony i ja jesteśmy już stare. Zaczęłyśmy tę walkę i prowadziłyśmy ją najlepiej, jak umiałyśmy. Teraz jej zakończenie musimy złożyć w ręce młodszych kobiet.

Zaskoczona Samanta patrzyła, jak odchodzą. Nie dostrzegła w ogóle Jacka Morieya z „Baltimore Sun”, który znów przy niej wyrósł.

— To pani przyjaciółki?

Spojrzała na niego, zauważyła, że już czeka z przygotowanym ołówkiem i notatnikiem, i powiedziała uprzejmie:

— Pan raczy wybaczyć, ale muszę teraz dołączyć do innych.

Odprowadzał wzrokiem jej wysoką smukłą postać, przytknął koniec ołówka do ust, a potem szybko naskrobał w notesie coś, co chciał telegraficznie przesłać wydawcy w Baltimore: „Śliczna doktorka Hargrave powinna swoją praktykę zawodową poświęcić leczeniu serc!”

Stał na stopniach kościoła zajęty cichą rozmową z doktorem Page'em. Samanta przystanęła i patrzyła na niego. Widok Marka Rawlinsa przywołał tyle wspomnień, którym od dawna nie poświęcała już wiele uwagi: w oczach stanął jej bal w rezydencji Astorów, walce, od których kręciło się w głowie... Wspominała szampana, pocałunek Joshuy i swoją pierwszą miłosną noc.

Patrząc teraz na doktora Rawlinsa, kiedy tak stał swobodnie, leniwie poruszając dłońmi w czasie rozmowy, przypomniała sobie i inne dawno zapomniane szczegóły. Tę niezręczną scenę z Joshuą w jego obecności, jego wyraźne skrepowanie i słowa, którymi zmusił Joshuę, by z nią wreszcie zatańczył, a wreszcie i to, co mówił Joshua, a co ją wówczas tak bardzo zabolalo i wprawiło w zmieszanie... „Znam go od dawna i jeszcze nie widziałem, żeby tak patrzył na kobietę jak dzisiaj na panią... Wyraźnie jest w pani zadurzony... Byłby dla pani doskonałym partnerem.”

Wtedy szybko zapomniała o tych słowach. Ale teraz, kiedy patrzyła na Marka — na dobrą sprawę widziała go dziś po raz pierwszy — zaczęła się zastanawiać, czy Joshua się czasem nie mylił. Wówczas być może było tak, jak mówił. Przy dobrej muzyce i szampanie każdy mężczyzna może na chwilę stracić głowę. Ale minęło już półtora roku. Czy doktor Rawlins pamięta tamten wieczór? Czy ją pamięta? A może wcale nie znalazł się tu przypadkiem?

Spojrzał w jej stronę, jakby wiedział, że ją tam zobaczy, i jeszcze raz na krótko spotkali się wzrokiem. Później zwrócił się do doktora Page'a, powiedział kilka uprzejmych słów i szedł ze schodów.

— Pani doktor Hargrave — zaczął z serdecznym uśmiechem — proszę przyjąć moje najszczerze gratulacje.

— Dziękuję panu. Naprawdę pamięta pan, że mieliśmy okazję się spotkać?

— Ależ naturalnie! Sądziła pani, że mógłbym zapomnieć? — Spojrzał w dół, w jej oczy, bo chociaż należała do wysokich kobiet, i tak była o głowę od niego niższa. Jego brązowe tęczyki jeszcze pociemniały. — Nie zdawałem sobie sprawy, gdy bawiłem w pani towarzystwie, że oto stoję u boku kobiety, która przejdzie do historii.

Przez chwilę stała jak zahipnotyzowana — a więc pamiętała ją! — później czar prysł.

— Aaa, tu pan jest! — zawołał doktor Jones zza jej pleców. Pocił się mocno, a jego twarz przybrała barwę piwonii. — Proszę mi wybaczyć, doktorze Rawlins, że nie zająłem się panem należycie, ale ten gryziپیórek z „Boston Journal” dosłownie mną zawładnął! — Dziekan chwycił dłoń Rawlinsa i krzepko ją uściśnął. — Nie umiem wprost wyrazić mojej wdzięczności dla pana, że zechciał pan przyjąć nasze zaproszenie i przyjechać! Dodał pan splendoru naszej niewielkiej ceremonii. Ale czyżbym się mylił, czy pani Rawlins nie przyjechała z panem?

— Niestety, zdrowie nie pozwoliło jej na tak długą podróż.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego?

— Nie, skąd. Chwilowa niedyspozycja.

Przestała ich słuchać. A więc ożenił się! — myślała.

— ...o czwartej — mówił doktor Jones. — Na pewno pan trafi. To dom na rogu, duży, biały z żółtymi okiennicami.

Doktor Jones uchylił przed nimi kapelusza i spiesznym krokiem odszedł.

— Czy będzie pani na tym przyjęciu?

— Oczywiście. Mieszkam u pani Kendall.

— A zatem proszę mi wybaczyć, pani doktor. Pewne sprawy czekają na mnie w hotelu. — Uśmiechnął się z wahaniem, jakby rozważał, czy jeszcze coś dodać, a w końcu zdjął cylinder, ukłonił się lekko i rzekł: — Do zobaczenia o czwartej.

Pani Kendall wprost przeszła samą siebie. Stół uginał się pod ciężarem obfitych dań. Błyszczał od srebra i blasku por-

celany, a w powietrzu unosił się zapach ciętych róż i dymiącego jedzenia. Pani Kendall spędziła cztery dni na przygotowywaniu wystawnego obiadu i teraz, siedząc za stołem, promieniała radością, gdy goście chwalili jedno pyszne danie po drugim. Pan Kendall, usadowiony naprzeciwko żony, na drugim końcu stołu, kiwał głową zadowolony, że gościom smakują wystawione na stół przysmaki: zupa krem z ostryg, pieczona szynka w sosie z rodzynkami, sznyce cielece, placek zapiekany z pomidorami, marynata z selera i kapusty, grubo smarowany masłem chleb w kolorze szafranu i wino z winnic okalających jezioro Canandaigua. W kuchni stały jeszcze: pudding z kasztanami, babeczki ze śliwkową galaretką i nasączane brandy brzoskwinie.

Samanta zajmowała miejsce pośrodku długiego stołu, między doktorem Jonesem a jego żoną. Dalej, po obu stronach państwa Jonesów, siedzieli doktor Page i jego małżonka, naprzeciwko pastor Patterson z pastorkową, dziennikarz z „Boston Journal”, pan Collins — właściciel lokalnej gazety — i wreszcie, dokładnie na wprost Samanty, doktor Marek Rawlins.

Wszyscy rozmawiali z ożywieniem. Samanta grzecznie słuchała opowieści pani Jones o wnukach, gdy tymczasem dziekan konwersował nad stołem z Markiem Rawlinsem.

— Czy pana ojciec także jest lekarzem?

Marek Rawlins zwrócił się do Henry'ego Jonesa z czującym uśmiechem.

— Mój ojciec jest prawnikiem, panie dziekanie. Tak samo jak jego ojciec. Obaj skończyli prawo na Harvardzie, a mój pradziadek miał zaszczyt być doradcą Jerzego Waszyngtona.

— Doprawdy? Pochodzi pan więc z prawniczej rodziny. Dziwne, że nie kontynuuje pan rodzinnej tradycji.

— Właśnie tego chciałem ze wszech miar uniknąć. Będę z panem szczerzy, doktorze Jones. Postanowiłem studiować medycynę wyłącznie po to, żeby sprzeciwić się ojcu, który szalenie despotycznie kieruje rodziną. Kiedy się ma osiemnaście lat, niewiele można zrobić, żeby się przeciwstawić ojcu. Można co prawda zdecydować się na otwarty bunt przeciwko obowiązującym wzorcom moralności i porządkowi społeczne-

mu, ale nie chciałem przecież walczyć ze społeczeństwem, tylko z własnym ojcem. I zależało mi na tym, żeby to zrobić godnie. Ojciec żądał, żebym został prawnikiem, zostałem więc lekarzem.

Doktor Jones roześmiał się w Inianą serwetkę.

— Cóż, muszę przyznać, że istotnie jest pan ze mną szczerzy. Ale czy wobec tego medycyna jest dla pana tylko tyle warta, co bunt przeciwko despotyzmowi ojca?

— Z początku rzeczywiście tak było, ale kiedy wstąpiłem na uniwersytet Cornell, z radością stwierdziłem, że mam do medycyny wrodzone zdolności. W gruncie rzeczy jestem ojcu wdzięczny za to, że pchnął mnie do tego.

— Co pański ojciec teraz o tym myśli?

— Kiedy oznajmiłem mu, że wybieram się na studia medyczne, a było to w moje osiemnaste urodziny, po prostu mnie wydziedziczył. Było to trzynaście lat temu i od tamtej pory nie zamieniliśmy ze sobą choćby jednego słowa.

Doktor Jones aż opadł na oparcie krzesła.

— Jakie to przykre!

— Wcale nie, szanowny doktorze! Moi trzej bracia są do dzisiaj tyranizowani przez ojca i cierpią straszliwe katusze, tymczasem ja jestem wolnym człowiekiem!

— Ale za jaką cenę! Został pan wydziedziczony!

— Z początku było mi ciężko, przyznaję, ale teraz naprawdę nie mogę narzekać. Trudno powiedzieć, żeby lekarz z praktyką przy Piątej Alei w Nowym Jorku klepał biedę.

— Sądzi pan, że nazwisko pana ojca może mi być znajome?

— Przypuszczam, że tak. Nazywa się Nicholas Rawlins.

— Król Lodu? Ależ naturalnie, że o nim słyszałem! Zastanawiałem się nawet, czy nie jesteście panowie czasem spokrewnieni, ale do głowy mi nie przyszło, że to pana ojciec! Z wielką chęcią wysłuchałbym jego historii, bo jak sądzę, jest chyba dość niezwykła.

Marek zerknął na Samantę. Ledwie skubała jedzenie i choć udawała, że słucha pani Jones i jej opowieści o wnukach, zauważył, że myśłami błądzi gdzie indziej. Zastanawiał się, co ją tak pochłania.

— Historia mojego ojca jest rzeczywiście ciekawa, panie doktorze...

Nicholas Rawlins za swoich młodych lat doszedł do wniosku, że lód, który powstaje zimą na pobliskim jeziorze, można by sprzedawać tak samo jak zboże. Zaryzykował więc śmiało, gdyż był nieustraszony z natury i zainwestował aż dziesięć tysięcy dolarów w te lodowe „plony”. Osobiście towarzyszył stutrzydziestotonowemu ładunkowi lodu i udał się statkiem na posępną wyspę Martynikę. Tam chełpił się przed właścicielem słynnego Tivoli Garden, że szybko i tanio będzie mu produkował lody. Lody stały się natychmiast przebojem wyspy. Co prawda pod koniec szóstego tygodnia lodu już nie było i Nicholas stracił na tym cztery tysiące dolarów, ale ludzie na Martynice nie mogli już sobie wyobrazić życia bez czarki lodowego deseru.

W Hawanie napoje chłodzone lodem sprzedawał w tej samej cenie co inni niechłodzone. W ten nader chytry sposób przyzwyczajął klienta do zimnego napoju. Kiedy konkurenci sprowadzili statki z lodem z Nowej Anglii, Nicholas sprzedawał lód po pensie za funt, gdy tymczasem lód importowany przez konkurencję, nie kupowany, roztopiał się w porcie. Zasady naginał do potrzeb, nie powstrzymywały go żadne skrupuły, aż wreszcie zdobył monopol na handel lodem i wyłączne prawa na budowę chłodni od Charleston po St. Croix. Wtedy podniósł ceny i powetował sobie wcześniejsze straty. A zanim skończył trzydziestkę, niemal wszyscy i w Nowym Orleanie, i na Antylach zakosztowali już w tej czy w innej postaci wody z Nowej Anglii.

— Przypuszczam, że pański ojciec nie czuje się urażony, kiedy nazywają go Królem Lodu? — zapytał doktor Jones.

— O nie! — Marek uniósł kieliszek z winem, pociągnął łyk i ze zdumieniem stwierdził, że Samanta otwarcie się w niego wpatruje.

Tymczasem pani Jones wymieniała już z panią Page anegdoty o wnukach; dziekan wdał się w rozmowę z siedzącym naprzeciwko niego panem Collinsem, reszta gości zaś rozmawiała, z kim komu było najwygodniej. Tylko Samanta i Marek patrzyli na siebie w milczeniu.



Po jakimś czasie doktor Rawlins sięgnął po kawałek chleba pieczonego z dodatkiem dyni i posmarował go obficie masłem.

— Proszę mi powiedzieć, pani doktor, jakie są pani plany na przyszość.

— Myślałam o otwarciu gabinetu, w którym będę przyjmować okolicznych pacjentów.

Zupełnie jak Joshua, pomyślał.

— Widzi pan, doktorze Rawlins, chciałabym być tam, gdzie będę ludziom potrzebna. Interesowałam się trochę statystyką i zauważyłam, że w Nowym Jorku gabinety lekarskie rozmieszczone są wprost szokująco. Paradoks polega na tym, że w dzielnicach o największym zaludnieniu pracuje najmniej lekarzy.

I wtedy dostrzegł w jej oczach coś, czego nie widział jeszcze półtora roku temu. Bez wątpienia Samanta Hargrave przeszła jakąś metamorfozę. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak samo — była czarująco piękna, choć jakby pewniejsza siebie — ale to, co go uderzyło, to blask wewnętrznej siły, jakiej nie dostrzegał w zmieszanej dziewczynie na balu u pani Astor. Półtora roku temu Samanta Hargrave była zdenerwowana i wyraźnie zatrwożona przejawami wszelkiej ekstrawagancji. Samanta, którą miał teraz przed sobą, była inną kobietą: spokojną, pewną swych możliwości, zdecydowaną. To już nie była dziewczyna, lecz kobieta.

— Proszę mi powiedzieć, doktorze Rawlins, co słyhać u państwa Masefieldów.

Drgnął, otrząsnął się z myśli.

— Z przykrością muszę donieść, pani doktor, że Estelle Masefield ostatecznie poddała się chorobie. Styczeń był bardzo mroźny tego roku i biedna pani Masefield nie znalazła w sobie dość sił, żeby go przetrzymać.

— Och... tak mi przykro... — bąknęła. Wszystko natychmiast odżyło; zupełnie jakby nagle zerwała się jakaś tama. Odżyła dawna namiętność i dawno pogrzebane wspomnienia. Teraz znów walczyły w niej sprzeczne uczucia: smutek z powodu śmierci Estelle i radość z odzyskanej wolności Joshuy. Nie, przecież mu obiecała! Obiecała sobie, że wszystko skończone. Na zawsze...

— O proszę! — usłyszała wyraźny głos doktora Jonesa.  
— Jeśli się nie mylę, państwo się chyba znają?

— Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego — odparł Marek z wysiłkiem.

— Ach tak! A zatem to panna Hargrave jest tą znaną panu osobą, o której wspominał pan w liście.

— Przepraszam, panie profesorze? — zainteresowała się Samanta.

— Doktor Rawlins już jakiś czas temu pytał mnie listownie, kiedy organizujemy naszą skromną uroczystość wręczenia dyplomów. Oboje z panią Rawlins chcieli nas tu właśnie z tej okazji odwiedzić. Doktor Rawlins pisał, że ktoś z jego znajomych kończy naszą uczelnię.

Spojrzała na Marka.

— To prawda? Przyjechał pań ze względu na mnie? A więc to nie przypadek...

Marek Rawlins już otwierał usta, ale doktor Jones nie dopuścił go do głosu.

— Pamiętam, że rozmaite myśli przebiegły mi wówczas przez głowę. Ponieważ większość naszych studentów rekrutuje się z okolicznych farm, rzadko mamy zaszczyt gościć tak szanownego gościa. Zebrałem się więc na odwagę i poprosiłem doktora Rawlinsa, żeby zechciał wygłosić mowę w czasie uroczystości. Ale nie miałem najmniejszego pojęcia, panno Hargrave, że to właśnie pani jest tą „znajomą osobą”!

Śmiało spojrzała Rawlinsowi w oczy.

— Jestem zaszczycona, panie doktorze, że fatygował się pan taki szmat drogi wyłącznie z mojego powodu.

Na jego urodzivej twarzy odbił się wyraz zakłopotania. Tym razem zauważyła. Doktor Rawlins stawał się coraz bardziej niespokojny; ciekawiło ją dlaczego.

Oboje skupili uwagę na jedzeniu i dokończyli obiad w milczeniu. Kiedy najęte dziewczyny sprzątnęły ze stołu, pan Kendall wstał i zaprosił panów do palarni na brandy i cygara. Pani Kendall, której już bardzo dokuczła! gorset, zamówiła dla pań kawę. Samanta wstała zza stołu z zamiarem dołączenia do pań w krzykliwie udekorowanym saloniku, ale po drodze zatrzymał ją Marek Rawlins.

— Mógłbym z panią zamienić kilka słów na osobności?  
— zapytał cicho.

— Naturalnie. — Uspokoiła panią Kendall, że za chwilę przyjdzie, i kiedy wszyscy wyszli już z jadalni, zamknęła za nimi drzwi i obróciła się do doktora Rawlinsa.

— Prosiłem o chwilę prywatnej rozmowy, bo chcę pani coś powiedzieć. I dać.

Czekała oparta o drzwi, a tymczasem doktor Rawlins sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął z niej kopertę. Obracał ją najpierw w palcach, marszczył czoło, aż wreszcie spojrzął Samancie prosto w oczy.

— Obawiam się, że mylnie zinterpretowała pani powody, dla których tu jestem. To nie ja wymyśliłem sobie, żeby przyjechać tu na wręczenie dyplomów. To pomysł Joshuy.

Wstrzymała oddech.

— A to jest właśnie od niego. Prosił, żebym to pani wręczył.

Patrzyła na ciemnożółtą kopertę, którą jej podsuwał. Zawahała się na ułamek sekundy i wyciągnęła rękę.

— Dziękuję panu.

Usiłowała otworzyć list, nie niszcząc koperty, ale ręce jej drżały i rozdarła papier. Rozłożyła pojedynczą stroniczkę i spostrzegła, że list nie jest pisany ręką Joshuy.

*Moja droga Doktor Hargrave!*

*Zwracam się do Pani w ten sposób, prosiłem bowiem Marka, aby wręczył pani ten list dopiero wówczas, gdy będzie Pani już po dyplomie. A zatem kiedy dostanie Pani ten list do ręki, będzie Pani nareszcie prawdziwym doktorem. Spełniła Pani moje najgorętsze pragnienie. Przykro mi, że nie mogłem osobiście przyjechać na tę uroczystość i że w zastępstwie wysyłam Marka, ale życie już ze mnie uchodzi — kiedy ten list dotrze do Pani, mnie już nie będzie wśród żywych.*

Schylona nad kartką papieru wbijała wzrok w ostatnie przeczytane zdanie. Gdzieś z głębi domu doszedł ich tubalny głos pani Kendall, a potem usłyszeli wybuch męskiego śmiechu. List nagle zaczął rozplływać się jej przed oczami.

— Pan wybaczy, doktorze, ale nie mogę tego tutaj czytać...

Wymruczał coś pod nosem, pełen zrozumienia, a ona po omacku chwyciła za klamkę, gwałtownie otworzyła drzwi i wypadła do hallu. Nie zastanawiając się, jaka jest pogoda, odruchowo złapała pelerynę i ściskając list w dłoni, zbiegła po schodach, a później popędziła w kierunku jeziora.

Kiedy weszła na polankę, słońce już zachodziło — cienie wydłużyły się, nabrały ciemnogrnatowego koloru, a niebo przybrało różowołososiową barwę. Opadła na kłodę, na której podjęła już tyle ważnych decyzji, i w gasnącym świetle dnia zaczęła doczytywać list od Joshuy.

*Marek Rawlins rozpoznał u mnie zastoinową niewydolność serca; lewa komora nie opróżnia się do końca przed kolejnym rozkurczeni. Wygląda mi to na zapalenie wsierdzia. Pasteur powiedziałby pewnie, że chorobę wywołały bakterie wprowadzone do organizmu na igłę. Niewykluczone, że miałyby rację. Któż dzisiaj może z całą pewnością twierdzić, że zna jednoznaczne odpowiedzi w medycynie? Na skutek straszliwej niewiedzy popełnialiśmy niewybaczalne błędy. Niech Pani nie zapomni, Samanto, że to właśnie niewiedza lekarzy wpędziła mnie w narkomanię. Gdyby dwadzieścia lat temu wiedzieli to, co wiedzą dzisiaj, nie byłbym teraz w tak opłakanym stanie. Wszystko musi się zmienić. Świętym obowiązkiem lekarza jest pomóc w sposób właściwy. Medycyna, moja droga, wciąż jeszcze nie opuściła mroków średniowiecza i my, lekarze, jesteśmy niewiele lepsi od zwykłych znachorów.*

*Piszę ten list, pani Doktor, by wymóc na Pani obietnicę. I wiem, że w imię tego, co nas niegdyś łączyło, zechce Pani spełnić moje ostatnie życzenie. Chciałbym, by pracowała Pani ze wszystkich sił i poświęciła swoją energię na rozświetlenie mroków medycyny. Walcz o to, co ważne, Samanto! Błagam Cię, nie ugrzęźnij przy jakiejś nieważnej praktyce, tak jak to ja zrobiłem zmuszony przez los — każdy przeciętny lekarz poradzi sobie z czymś takimi Ale Ty, Ty jesteś stworzona do wyższych celów. Wiem, że masz w sobie niezbędną moc, Samanto. Wykorzystaj*

*swą wiedzę i talent dla rozwoju nauk medycznych, walcz dalej, nie zadowolaj się dyplomem! Pozwól mi umrzeć w przekonaniu, że wprowadziłem w ten świat doktora, który dokona ważnych zmian.*

*Zostawiam Ci narzędzia, Samanto. Marek dopilnuje, żeby do Ciebie trafiły. Ofiarowuję Ci je w przekonaniu, że zrobisz z nich lepszy pożytek niż ja.*

*Nie było nam pisane wspólne życie, Moja Najdroższa Samanto. Od początku nasz los był przesądzony. Nie mam już tchu, żeby więcej mówić; serce słabnie z każdym uderzeniem. Marek opowie Ci resztę. Wie, co ma powiedzieć. Zegnaj, Ukochana.*

Na końcu listu widniały niewyraźne litery, które ledwie przypominały podpis Joshuy.

Choć zmrok już zapadł i niewiele widziała, jeszcze raz przeczytała list. Oczy zaszyły jej łzami, które skapując na papier rozmazywały inkaust. Nie szlochała, nie łkała; płakała cicho, jakby szeptem. Łzy spływały jej po twarzy, ale nie drażniły oczu. Wtem usłyszała trzask łamanej gałązki, podniosła głowę i zobaczyła przed sobą Marka Rawlinsa.

Otworzyła usta i wyrzuciła z siebie tylko jedno słowo:

— Kiedy?

— Sześć tygodni temu.

Zupełnie bez sensu, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, próbowała przypomnieć sobie, co wtedy robiła. Nagle to, czym się zajmowała wtedy, o czym myślała, gdy Joshua umierał, wydało jej się najważniejsze w świecie.

— Śmierć była szybka i bezbolesna — odezwał się Rawlins cicho. — Kiedy zorientował się, że z nim niedobrze, posłał po mnie. Stwierdziłem, że stan jest ciężki, ale pozwolił mi wyłącznie na dożyłne podanie naparstnicy. Wystarczyło na godzinę i dokładnie tyle zajęło mu podyktowanie listu. Chciał umrzeć.

Nie odrywała od niego wzroku, łzy napływały jej wciąż do oczu i toczyły się po policzkach.

— Dlaczego? Dlaczego chciał umrzeć? — szepnęła.

Niczym cień przeszedł po dywanie ze zbutwiałych liści i usiadł koło Samanty na kłodzie. Przez konary drzew strużkami sączył się blask księżyca, srebrną poświatą opromieniając skąpaną we łzach twarz Samanty. Doktor Rawlins pomyślał wtedy, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety.

— Spierałem się z nim... Chciał, żebym pani coś powiedział, choć zupełnie nie rozumiem po co... Uparł się... Twierdził, że pani będzie dobrze wiedziała, dlaczego muszę spełnić jego wolę... — Jego głos przygasł, jakby dochodził skądś z daleka. — Estelle nie umarła z wycieńczenia. Joshua ją zabił.

Nie drgnęła, nie zrobiła nic, żeby mu dać znak, że w ogóle usłyszała. Siedziała w ciemności blisko niego — dotykali się ramionami — i patrzyła mu prosto w oczy.

— Estelle bardzo cierpiała. Co raz atakowały ją infekcje i niszczyły bóle; słabła z każdym dniem. Wychudła tak, że wyglądała jak szkielet. Błagała go... — O ironio, to Samanta oparła dłoń na rękę Marka Rawlinsa, żeby go pocieszyć! — Podał jej śmiertelną dawkę morfiny, tej morfiny, która jego trzymała przy życiu. Kiedy wreszcie uwolniona od bólu ostatni raz odetchnęła, dziękowała mu...

Tak, Joshua, myślała ze smutkiem. Wiem, dlaczego chciałeś mi o tym powiedzieć. Nie ma prostych, wyraźnie zaznaczonych dróg w medycynie. Nic nie jest albo tylko białe, albo wyłącznie czarne. Czy zabić dziecko, żeby uratować kobietę, czy zabić kobietę, by wreszcie zakończyć jej cierpienia? Czasem lekarze muszą się zgodzić na śmierć, żeby zachować życie; czasem znów muszą zadać sobie pytanie: co ważniejsze — długość życia czy może jego jakość? Nie wszystkie odpowiedzi są w podręcznikach, niektórych trzeba szukać w sobie. Dlatego właśnie chciałeś, żeby Marek powiedział mi prawdę o Estelle. Nawet w tym ostatnim wyznaniu zawarłeś dla mnie naukę. Tu właśnie widać cechę, która odróżnia lekarzy wybitnych od szarej przeciętnej masy...

Wiedział, myślała Samanta, gdy ogarnięta nagłym zmęczeniem oparła się o Rawlinsa. Wiedział, że mam tę cechę. Nawet po śmierci wskazuje mi kierunek...

— Doktorze Rawlins, czy zechce mnie pan teraz zostawić samą?

— Tutaj? — Rozejrzył się po ciemnej polanie, ledwie oświetlonej mdłym blaskiem księżyca. — Czy to bezpieczne?

— Nic mi nie będzie. Naprawdę nic złego nie może mnie tu spotkać.

— Ale...

— Proszę... Chciałabym coś przemyśleć, a to jedyne miejsce, gdzie mogę się skupić. To nie potrwa długo. I proszę mnie wytłumaczyć przed panią Kendall.

Długo po tym, jak zniknął, siedziała bez ruchu i wpatrzona w noc słuchała znanych odgłosów lasu, które tak często towarzyszyły jej decyzjom i olśnieniom. Wyczuwała wokół siebie czyjaś nie narzucającą się obecność: bogów zamieszkujących drzewa, duchów Indian, którzy ongiś tu przychodzili, i drogich przyjaciół, Hanny i Joshuy, którzy chcieli jej pomóc w zrozumieniu siebie.

Przed sobą widziała przerażającą, pełną niebezpieczeństw drogę, po której dotąd nie szła żadna z kobiet. Teraz dostrzegła, wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd, że to jej droga i że chce nią iść. Z pomocą Bożą, tych, którzy już przeszli tym szlakiem, i tych, których dopiero na nim spotka, Samanta Hargrave postanowiła rozjaśnić czarną noc w medycynie.

NOWY JORK 1881

## 1

Doskonale wiedziała, o co chodzi doktorowi Prince'owi; przejrzała jego zamiary. Od czasu kiedy cztery tygodnie temu, uciekając się do podstępu, wślizgnęła się do szpitala Św. Brygidy, stawał na głowie, żeby się jej tylko pozbyć. Teraz zastał pułapkę, ale choć starannie to sobie zaplanował, popełnił fundamentalny błąd. Nie docenił Samanty Hargrave. Ona też miała swój plan.

Na to, co zamierzała zrobić tej nocy, nie porwała się dotąd jeszcze żadna kobieta i choć wierzyła, że odniesie sukces, była mocno zdenerwowana. Chodziła tam i z powrotem po małym gabinecie, zaciskała i rozplatała dłonie i z niecierpliwością czekała na dzwonek z zajezdni ambulansu.

Nie chciała już uciekać się do żadnych sztuczek, tak samo jak nie chciała tego robić przed czterema tygodniami, ale podobnie jak wtedy, dziś także nie miała innego wyjścia. Tuż po powrocie z Lucernę ubiegała się o przyjęcie na staż do większości nowojorskich szpitali, które go prowadziły. Doktor Jones wytłumaczył jej, że to jedyna droga, by zostać kimś w lekarskim świecie. Każdy może otrzymać dyplom medycyny, ale dopiero świadectwo ukończenia szpitalnego stażu, jego zdaniem, stawiało lekarza pośród najlepszych w zawodzie. A zatem postanowiła odbyć taki staż i wtedy się okazało, że żaden szpital w mieście nie zatrudni lekarki.

Wszystkie szpitale, do których zaglądała, natychmiast odrzucały jej podanie. Ledwie przekraczała próg szpitala, a dy-



rektor czy kierownik placówki obrzucał ją spojrzeniem i nie fatygując się nawet przeglądaniem dyplomu ani opinii z uczelni, natychmiast jej oznajmiał, że szpital ma już komplet stażystów. Po dwóch tygodniach wiedziała, że tą drogą nic tu nie zwojuje i zanim wyczerpie wszystkie możliwości w mieście, musi zmienić taktykę. Do ostatnich szpitali, jakie jej zostały, nie udała się osobiście, lecz wysłała podanie, do którego dołączyła wyciąg ocen z doskonałego świadectwa końcowego i kopie listów polecających, jakie otrzymała od doktora Jonesa i doktora Page'a. Podpisała się S. Hargrave, doktor medycyny.

Denerwowała się, czekając na odpowiedź, ale warto było. Dyrektorzy czterech szpitali natychmiast zażądali pisemnej weryfikacji listów polecających od dziekana Kolegium Medycyny w Lucernę. Henry Jones odpisał błyskawicznie, nie mogąc się wprost nachwalić „dr Hargrave”. A zatem zainteresowani dyrektorzy szpitali wyrazili gotowość przyjęcia na staż tak znakomitego lekarza.

Wybrała Św. Brygidę z dwóch powodów. Po pierwsze była to duża placówka (czterysta łóżek), a poza tym oferowała również szkolenie w zakresie chirurgii. Samanta była szalenie zadowolona z siebie, czego nie można powiedzieć o doktorze Prince. Stawiła się u niego w gabinecie, a wtedy wstrząśnięty odkryciem, że owym „dr Hargrave” jest kobieta, Silas Prince, sześćdziesięcioletni dyrektor administracyjny, poinformował ją z ledwie skrywanym oburzeniem, że tak naprawdę w tej sytuacji szpital nie może jej przyjąć. Ale była przygotowana na taki obrót spraw i bardzo powściągliwie oraz szalenie kulturalnie oświadczyła Prince'owi, że nagła zmiana decyzji jest jednostronnym nieuzasadnionym zerwaniem umowy, wobec czego ona, Samanta Hargrave, zmuszona będzie oddać sprawę do sądu.

Naturalnie blefowała, bo nie miała środków na wynajęcie adwokata, ale doktor Prince potraktował jej groźbę poważnie i zawiesił decyzję do czasu narady z kierownictwem szpitala.

Okazało się jednak, że przez nieuwagę doktora Prince'a doktor Hargrave rzeczywiście mogła wygrać sprawę — miała w garści list zatwierdzający przyjęcie jej na staż z własnoręcznym podpisem szefa; co więcej — o ironio! — w szpitalnym

statucie nie znaleziono najmniejszej wzmianki, że nie zatrudnia się kobiet na stanowisku lekarza. No cóż, w czasie debaty zauważono słusznie, że nie było dotąd potrzeby robić takiego zastrzeżenia w statucie, ponieważ nie bez kozery zakładano, iż żadna kobieta nie będzie miała czelności ubiegać się o staż. Ta sprawa mogła być tylko wodą na młyn prawników, feministek i liberalnych gazet. Sprawa Samanty Hargrave przeciwko Św. Brygidzie wywołałaby w końcu jedynie niepotrzebny rozgłos, stawiając szpital w niekorzystnym świetle — sponsorzy szpitala niewątpliwie kręciliby nosami na szykanowanie bezbronnej kobiety.

— Hm, doktorze Prince, jesteśmy zmuszeni ją przyjąć. W najbliższym czasie trzeba będzie dopisać stosowny ustęp w statucie, żeby na przyszłość uniknąć podobnych sytuacji. Wierzymy też, że w przyszłości zechce pan wnikliwiej sprawdzać przyjmowanych stażystów. Poza tym należy zadbać o to, żeby wieść, że zatrudniamy lekarzkę, nie rozniosła się czasem po mieście. Lepiej by było, żebyśmy nie zapoczątkowali nowej mody, prawda?

— Ależ panowie! Nie możemy do tego dopuścić! To przecież kobieta! Jakże wyobrażacie sobie badania pacjentów w obecności męskiego personelu? Przecież to nie do pomyślenia, żeby mieszkała w męskiej kwaterze i korzystała z męskiej łazienki!

— Właśnie o to nam chodzi, doktorze Prince. Ta pani z pewnością oczekuje od nas, że będziemy ją z racji jej płci traktować jakoś inaczej. Tymczasem bardzo się zdziwi. Pan osobiście dopilnuje, by doktor Hargrave wypełniała wszystkie zadania związane z programem stażu i żeby była traktowana na równi z mężczyznami. Nie wytrzyma tu długo.

Duża pomyłka. Przede wszystkim cieszył ją fakt, że nie będzie traktowana ulgowo. Możliwe też, że gdyby wychowała się w innym środowisku, warunki mieszkaniowe mogłyby ją cokolwiek przerazić, ale dla dziewczyny wyrosłej przy Crescent Street pokój na męskim piętrze i wspólne używanie łazienki oraz wysłuchiwanie przez ścianę soczystych opowieści przy akompaniamencie brzęku kieliszków nie były niczym zatrważającym.

Niemniej jej pobyt w szpitalu nie zapowiadał się różowo; doktor Prince został upokorzony i nie zamierzał puścić tego płazem.

Kierownik administracyjny szpitala nie był zresztą jedyną osobą, której obecność Samanty wadziła. Pomijając już stażystów, którzy przewidywali, że ich wieczory męskich rozrywek zostaną mocno ograniczone sąsiedztwem kobiety, pielęgniarki gorszyły się nie na żarty, że będą musiały jej słuchać. Samanta wywracała ich świat do góry nogami — dotychczas mężczyźni byli zwierzchnikami, a kobiety podporządkowywały się ich lekarskim poleceniom. Ale gdzie w tym wszystkim umieścić lekarza kobietę? Najbardziej zaś oburzona była pani Knight, siostra przełożona.

Do jej obowiązków należało kontrolowanie słabo opłacanych, źle ułożonych i niewykształconych pielęgniarek (system szkolenia niższego personelu medycznego, zapoczątkowany w Anglii przez Florence Nightingale, jeszcze nie dotarł do Stanów) oraz pilnowanie porządku w kwaterach stażystów. Siostra przełożona zaprowadziła Samantę do wolnego pokoju na końcu korytarza.

— Przyślę tu stróża, żeby założył zamek w drzwiach łazienki — powiedziała, brzęcząc kluczami przypiętymi do paska. Nawet nie usiłowała ukryć niezadowolenia. — Ale tymczasem musi pani głośno śpiewać w łazience, żeby zapobiec kłopotliwym sytuacjom. Proszę na noc ryglować drzwi do sypialni i pod żadnym pozorem nie wychodzić na korytarz w niekompletnym stroju. Stołówka dla personelu mieści się na drugim piętrze. Posiłki wydawane są punktualnie, a jeśli pani się spóźni, jedzenie przepadnie. Nie chciałam przystać na to, żeby jadała pani z moimi dziewczętami, ale doktor Jones twierdzi, że jako członek personelu medycznego ma pani wszelkie prawo. — Pani Knight była otyłą kobietą o stalowosiwych włosach; przypominała Samancie „Orszulę, wieprzkami i mięsiwem kupczącą”\* ze sztuki Bena Jonsona „Bartłomiejowy Jarmark”. Zaplotła ręce na wielkim brzu-

chu i z wyrazem niesmaku pociągnęła nosem. — Chcę, żeby pani wiedziała, pani doktor, że jestem przeciwna pani obecności w szpitalu. Już raz doszło do podobnego eksperymentu w Szpitalu Pensylwania, w sześćdziesiątym dziewiątym. Te tak zwane doktorki nie wytrzymały nawet jednego dnia. Pacjenci pluli na nie tytoniem. Kobiety nie nadają się na doktorów. Nie są w stanie przyjąć na siebie takiej odpowiedzialności. Dają pani miesiąc.

Zadzwoniła kluczami, podkreślając swoją rangę w szpitalu.

— A, i jeszcze jedno. Musi pani pamiętać, żeby nie zgłaszać się do pracy w czasie miesięcznej niedyspozycji. Nie wpuszczamy na oddział siostr w trakcie periodu, bo nie wolno nam przecież dopuścić, żeby niezrównoważone kobiety kręciły się przy chorych.

Pokój wyglądał okropnie. Miał zakopcone okno, przez które niewiele było widać, kulawą komódkę i zapadające się łóżko, ale Samanta cieszyła się nim jak pałacem. Praca w szpitalu okazała się zajęciem wielogodzinnym i bardzo męczącym, lecz entuzjazm Samanty i jej determinacja sprawiły, że ku zdumieniu wszystkich umiała sprostać trudom i obowiązkom. Bolała jedynie nad tym, że inni stażyści wyraźnie nie chcą jej zaakceptować. Szpital przyjął dziewięciu młodych lekarzy, z których dwóch natychmiast się zwolniło, kiedy ją przyjęto — nie mogli znieść tak straszego policzka. Ci, którzy zostali, nie znosili jej, bo uznali, że przez nią cierpi dobre imię placówki, a oni sami stają się pośmiewiskiem miasta. Każdy z nich wybrał się ze skargą do doktora Prince'a i każdy usłyszał, że lekarka nie wytrwa tu długo. Traktowali ją jak powietrze — nikt nie siadał z nią do stołu w jadalni, urywano rozmowy, kiedy zjawiała się w pobliżu, a wieczorem, gdy młodzi mężczyźni odpoczywali po wyczerpującym dniu, a w korytarzu słychać było śmiech i dźwięki bandzo, nikt nie zapukał nigdy do jej drzwi.

Doktora Prince'a nieustannie kłuła w oczy swoją obecnością. Nie mógł zapomnieć o popełnionym błędzie, więc cieszy się, kiedy po czterech tygodniach jej pobytu w szpitalu nareszcie nadszedł dzień jego zemsty.

Plan był prosty. Samanta wślizgnęła się do szpitala, wykorzystując lukę w statucie, i na podstawie tego samego dokumentu będzie musiała odejść.

Po pierwsze, statut zawierał punkt, w którym stwierdzano jasno, że każda kobieta zatrudniona w placówce musi się przyzwoicie prowadzić, nie wolno jej używać tytoniu, grubych słów ani alkoholu, a poza tym jej wygląd nie może w żadnym wypadku obniżać prestiżu szpitala — suknia ma zakrywać kostki u nóg, nadgarstki i szyję. Kobieta przyłapana na niestosownym zachowaniu, w myśl zarządzeń statutu, zostaje zwolniona w trybie natychmiastowym.

Po drugie, w jednym z dalszych punktów na wszystkich stażystów nałożono obowiązek odpracowania określonej liczby godzin na dyżurach rotacyjnych: w izbie nagłej pomocy, na położnictwie i w pogotowiu. Nie przewidywano tu żadnych wyjątków, nawet dla stażystki, która prawdopodobnie nie będzie w stanie wywiązać się z dyżurów w mieście ze względu na utrudniający pracę strój. Ubrana w długą suknię i halkę, wspinając się od tyłu na platformę ambulansu będzie musiała albo rozedrzeć sobie spódnicę, albo paść na twarz. A ponieważ nie wolno jej chodzić w spodniach jako okryciu „nieprzyzwoitym” dla kobiety, doktor Prince nie wątpił ani przez chwilę, że w tej sytuacji Samanta zrezygnuje z dyżurów w pogotowiu. Wtedy zaś będzie mógł ją nareszcie zwolnić — szybko, po cichu i zgodnie z regulaminem.

Ale Samanta znów go przechytryła. Kiedy w zeszłym tygodniu ujrzała swoje nazwisko na rozpisce dyżurujących w pogotowiu i zdała sobie sprawę, że zostało jej tylko siedem dni na obmyślenie sensownego planu działania, natychmiast wybrała się do pobliskiego krawca przy Pięćdziesiątej Ulicy i złożyła mu przedziwne zamówienie.

Żeby zdobyć pieniądze na zapłatę za ubranie, musiała zastawić śliczny fonendoskop o srebrnej końcówce w kształcie dzwoneczka, który dostała w prezencie od doktora Jonesa na zakończenie studiów. Ale krawiec, stary Żyd, odmówił przyjęcia zapłaty. Powiedział jej, że uszycie tego stroju jest dla niego wyzwaniem i dobrą reklamą zarazem. Chciał tylko, żeby wszystkim dokoła mówiła, że uszył go

Rabinowitz. Na tym mu zależało, a ubranie mogła wziąć za darmo.

Tydzień później nic nikomu nie mówiąc poszła do Rabinowitza.

Strój był cudownie zwodniczy. Na tyle krótki, by gwarantować bezpieczeństwo, a przy tym dość długi, żeby uchodzić za skromny; prosty, a jednak kobiecy. Rabinowitz uszył go z mocnego granatowego sukna. Miał elegancko dopasowany żakiet i dół, który wspaniale udawał spódnicę — składał się z dwóch bardzo szerokich i ślicznie układających się nogawek. Doktor Prince nie mógł jej więc zarzucić, że jest nieprzyzwoicie ubrana, ona natomiast z łatwością będzie mogła wskoczyć na platformę ambulansu. Krawiec naszył też przemyślnie mnóstwo wygodnych, zapinanych na guziki kieszeni, a na rękawach złotą nitką wyhaftował nazwę szpitala.

Dziś nadeszła godzina wielkiej próby i Samanta niespokojnie chodziła po pokoju.

Większość stażystów zazwyczaj kładła się spać, kiedy padał ich dyżur w pogotowiu — dźwięk dzwonka niósł się wyraźnie aż na drugie piętro, a młodym chłopakom nie trzeba było więcej niż przepisowych trzech minut, żeby się błyskawicznie ubrać i zbiec na dół. Ale dla niej ta noc miała charakter egzaminu, dlatego w ogóle nie myślała o spaniu. Wszyscy przecież na pewno będą czekać, żeby zobaczyć, co też ona zrobi. Na przykład doktor Prince. Choć na ogół rzadko zostawał na noc w szpitalu, tego wieczoru zrezygnował ze snu w wygodnej sypialni przy Park Avenue, bo chciał na własne oczy zobaczyć swoje zwycięstwo.

Samanta zapomniała już o niezwykłym kostiumie i nie ciekawiło jej, jak zostanie przyjęty; przeżywała swój pierwszy dyżur w pogotowiu. Co ją dziś czeka? Czy da sobie radę? Nie czekając na wezwanie, już wcześniej zbiegła na dół, żeby poznać woźnicę i obejrzeć ambulans. Potem nakazała sobie spokój i wróciła na górę. Co jeszcze mogła zrobić, żeby się lepiej przygotować do pierwszego dyżuru?

Nagle zamarła w pół kroku, a potem obróciła się gwałtownie. Na korytarzu usłyszała znajome kroki. Natychmiast ogarnęła ją furia. No nie! — pomyślała. Akurat dzisiaj!

Pierwszego wieczoru, gdy zjawiła się w Sw. Brygidzie, z lekkiego snu wybudził ją odgłos kroków w korytarzu. W pierwszym momencie nie przejęła się nimi zbyt, ale już po chwili uświadomiła sobie, że przecież łazienka jest na drugim końcu, a przy jej pokoju mieszczą się tylko schody ewakuacyjne. Zesztywniała. Kroki zbliżyły się do jej sypialni i ucichły. Ktoś stanął pod drzwiami. Wstrzymała oddech i zastanawiała się kto to. Nasłuchiwała. Miała niemiłe uczucie, że nieproszony gość zagląda przez dziurkę od klucza. Po jakiejś minucie odszedł i jego kroki rozmyły się w głębi korytarza. Ciekawski, pomyślała i zasnęła.

Ale kroki wciąż wracały. Słyszała je na ogół trzy razy w tygodniu, zazwyczaj późną nocą. Zawsze cichły pod jej drzwiami, jakby ktoś nasłuchiwał albo ją podglądał. Rozważała, czy nie poskarżyć się pani Knight, ale doszła do wniosku, że wie, co usłyszy od siostry przełożonej. Pani Knight powie jej, że sama jest sobie winna, i na tym skończy rozmowę. Niezależnie od tego, kto to był, najwyraźniej nie chciał jej zrobić krzywdy; nie mógł tylko powściągnąć ciekawości, jaką w nim budziła. Postanowiła więc nie zwracać na niego uwagi.

Ale tym razem była naprawdę wściekła. Słyszając, że kroki się zbliżają, porwała z komódki butelkę z wodą kolońską i ustawiła się pod drzwiami. Kiedy ktoś zatrzymał się po drugiej stronie i uznała, że z pewnością właśnie zagląda do środka, jednym ruchem wsadziła rozpylacz w dziurkę od klucza i porządnie, kilkakrotnie nacisnęła gruszkę. Usłyszała zdziwiony krzyk i głucho łupnięcie, jakby ktoś z rozmachem usiadł na podłodze. Oparła się plecami o ścianę i rozłoszczona cisnęła butelkę na łóżko. Zaraz potem spokój nocy zakłócił jazgotliwy dźwięk dzwonka. Wzywano ją do obowiązków.

Konie niespokojnie szarpały uprząż. Jake, nocny woźnica, zeskoczył z kozła, żeby pomóc jej wsiąść, ale ruchem ręki kazała mu wracać na miejsce. Zza jakiejś firanki obserwował ją pewnie doktor Prince. Chwyliła poręcz wozu i podciągnęła się z taką siłą, że omal nie zaryła nosem w podłogę. Zanim zdołała odzyskać równowagę, konie ruszyły i wyjechały z zajzdni, rzucając Samantę na kolana.

Przy dźwięku dzwonka pędzili Piętnastą Ulicą, a Samanta, oburącz ucepiona poręczy, dziękowała w duchu Rabinowitzowi, że wyposażył ją w niezliczone kieszenie, w których teraz bezpiecznie wiozła podręczną apteczkę. Był jeszcze wczesny wieczór, po ulicach chodziło więc sporo ludzi. Ci, którzy dostrzegli ją z tyłu platformy, stawali zdumieni i pokazywali ją sobie palcami — miała wrażenie, że ogląda żywe obrazy, posagi z rozdziawionymi ustami. Serce biło jej do taktu dzwonka. Nie miała pojęcia, dokąd jedzie.

Niedaleko East River zajechali pod jasno oświetloną kamienicę z burego kamienia, gdzie nad drzwiami płonąła czerwona latarnia. Dogoniła ich grupka ciekawskich gapiów, którzy teraz tłoczyli się przy drzwiach. Kiedy Samanta torowała sobie i Jake'owi drogę przez ciżbę, usłyszała skandowanie małych chłopców: „Męż-czyz-ny! Męż-czyz-ny!”

Na spotkanie wyszła im kobieta o wąskiej twarzy ubrana w surową suknię z szarej bombazyny. Zaprowadziła ich na górę. Tam czekały już skąpo odziane kobiety różnej urody i koloru skóry, młode i stare — jedne szłochały, inne przyglądały się Samancie z ponurą fascynacją.

— Ostatnimi dniami trochę słabowała — wyjaśniała niesympatyczna właścicielka przybytku, kiedy Samanta przepchała się wreszcie do pokoju.

Na łóżku leżała dziewczyna, najwyżej czternastoletnia, w narzuconym na chude ciało koronkowym peniuarze. Zdawało się, że śpi z rękoma złożonymi na brzuchu. Samanta natychmiast dostrzegła sinawy cień wokół jej ust i nosa.

— Co brała?

Kobieta wskazała pustą butelkę „Eliksiru doktora Hansena”.

— Wszystkie moje dziewczęta zażywają tego. Na nalepce pisze, że to bezpieczny środek. Nie wiem, jak to się stało.

Samanta uniosła nieprzytomnej powieki i ujrzała mocno zwięzione źrenice. Dziewczyna z trudem oddychała, ale puls miała nie najgorszy.

— Zatrucie opium. Jake, bierzemy ją szybko do szpitala.

Ułożyli dziewczynę na noszach i szybko znieśli ją do ambulansu. Po drodze słyszeli niemiły głos właścicielki.



— To nie moja wina! Prowadzę tu czysty interes! Żadna z moich dziewcz...

Konie ruszyły z kopyta, a Samanta, pochylona nad dziewczyną, rozcierała jej lodowate ręce i błagała w myślach: Proszę cię, nie umieraj! Tylko nie umieraj!

W izbie nagłej pomocy nie było nikogo. Ułożyli dziewczynę na stole i Samanta wysłała Jake'a po pomoc — teraz niebezpieczna ofiara zsiniała już całkiem.

Najpierw usiłowała robić jej płukanie żołądka, ale z gumowej rurki wyciekła zaledwie odrobina „eliksiru”; Samanta wiedziała, że na ten zabieg jest już za późno. Musiała się teraz uciec do drastycznych środków. Zadzwęczał jej w uszach głos doktora Page'a: „Przywrócić sztucznie oddychanie, uderzać brzuch mokrym ręcznikiem, rozgrzać ręce i nogi, podawać czarną kawę i zmusić pacjenta do ruchu...”

Kiedy Jake wrócił, Samanta rytmicznie wymachiwała bezwładnymi ramionami dziewczyny. „Do góry nad głowę, opuścić na brzuch, przycisnąć, do góry nad głowę, opuścić na brzuch, przycisnąć...” Za Jakiem, dopinając jeszcze celuloidowy kołnierzyk, stanął jakiś doktor — jeden ze starszych specjalistów szpitala. Podszedł do stołu, przyłożył palce do szyi dziewczyny i zerknął na jej siną twarz.

— Moja droga, pracuje pani nad trupem.

Samanta przerwała na chwilę zabiegi i poszukała pulsu nieprzytomnej. Jest! Na nowo zabrała się do reanimacji dziewczyny.

— Potrzebna mi pomoc, doktorze. Dopóki sama nie znacznie normalnie oddychać, musimy robić to za nią.

Potrząsnął głową.

— Traci pani czas, panno Hargrave. Chce pani wskrzesić nieboszczyka. Proponuję, żeby wypisała pani akt zgonu i poszła już spać. Sądząc po tym, jak to dziewczę wygląda, nie trudno zgadnąć, czym się zajmowała. Na tamtym świecie pewnie jej będzie lepiej.

Wyszedł.

— Sprowadź mi kogokolwiek! — syknęła do Jake'a.

Kiedy nadszedł z panią Knight, osłabiona wysiłkiem sama prawie mdlała. Pani Knight bez słowa zajęła jej miejsce i utrzy-

mując właściwy rytm, przejęła reanimację. Ale Samanta nie usiadła. Z tego, czego się nauczyła o ofiarach zatrucia, wiedziała, że tej nocy na pewno nie pójda spać. Zdjęła kapelusz i żakiet, a potem co jakiś czas słuchała przez fonendoskop bicia serca pacjentki. Co piętnaście minut zmieniały się przy stole z milczącą panią Knight.

Około północy, kiedy dwie kobiety wciąż walczyły w opustoszałej izbie, w drzwiach stanął jeden ze stażystów. Kilka minut przyglądał się im bez słowa, a potem nagle zdjął tużurek i zastąpił przy stole panią Knight. Jake siedział w rogu i obserwował zafascynowany. Na jego oko ta mała dziwka była i tak stracona, ale musiał przyznać, że z doktor Hargrave naprawdę twarda sztuka.

Stażysta, który zabrał się do dzieła z niedużym wigorem, w pewnej chwili powiedział:

— Jej już nic nie pomoże, pani doktor. Powinna ją pani spisać na straty.

— Nie zrobię tego, póki nadal wyczuwam puls, choćby bardzo słaby. Jeśli zmęczył się pan, doktorze, zastąpię pana.

Ale pracował uparcie. W ten sposób ratowali dziewczynę jeszcze przez dwie godziny: podtrzymywali oddech, słuchali bicia serca, masowali jej zsiniałe ręce i stopy. Aż wreszcie, kiedy czoło stażysty pokryły wyraźne krople potu, twarz dziewczyny odrobinę zmieniła kolor. Sinica zaczęła wolniutko ustępować, policzki zaróżowiły się, a w końcu pacjentka z trudem głęboko odetchnęła i zakaszła.

Stażysta przerwał wymachy ramion i wraz z panią Knight przyglądali się niemo Samancie. Ona zaś wzięła ręcznik, zmoczyła go w lodowatej wodzie, rozsunęła poły koronkowego peniuaru, obnażyła brzuch chorej i zaczęła okładać go ręcznikiem. Przy każdym uderzeniu dziewczyna z krótkim westchnieniem wciągała powietrze i toczyła głową z boku na bok. Samanta zauważyła drżenie powiek pacjentki.

— Pani Knight — zwróciła się do przełożonej — potrzebujemy dużo czarnej kawy.

Niebawem ściągnęły dziewczynę ze stołu i podtrzymując ją z obu stron pod pachy, maszerowały po izbie tam i z powrotem. Co jakiś czas poły ją czarną kawą.

Świtało prawie, kiedy Samanta uznała wreszcie, iż pacjentka jest już w takim stanie, że można ją odesłać na oddział. Skonana sięgnęła po żakiet i kapelusz. W drzwiach, blokując przejście, stał młody stażysta. Wyciągnął do niej rękę.

— Poddaję się bezwarunkowo. Jeżeli o mnie chodzi, to pani jest w porządku, doktor Hargrave.

Przy śniadaniu mówiło się wyłącznie o zamachu na prezydenta Garfielda. To wydarzenie wstrząsnęło opinią publiczną bardziej niż zamach na Lincolna przed szesnastoma laty. Kiedy zamachowiec strzelił do Lincolna, naród w ciągu minionych czterech lat nawykł już do zabijania i do zbrodni — Lincoln był po prostu kolejną ofiarą wojny. Ale do zamachu na Jamesa Garfielda doszło w czasach pokoju, a sam prezydent w czasie trwania kadencji zdążył już stać się symbolem dobrobytu. Stąd wymierzona w niego zbrodnia wywołała tak wielkie poruszenie. Prezydent Garfield leżał w Białym Domu i z każdym dniem był coraz bliższy śmierci. Chirurdzy bez przerwy zaglądali mu w ranę — raz grzebali w niej metalowymi kateterami, to znów dłubali brudnym palcami. Profesor Alexander Graham Bell skonstruował nawet urządzenie z magnesem, które miało zlokalizować kulę w brzuchu. Niestety metalowe sprężyny prezydenckiego łóżka uniemożliwiały skuteczne zastosowanie wynalazku, ponieważ urządzenie Bella dzwoniło niezależnie od tego, nad którą częścią ciała prezydenta je prowadzono. Szacowni doktorzy nie odstępowali od rannego pacjenta, ale nie mieli niestety pojęcia, jak go uratować. Przypadek prezydenta stanowił ulubiony temat rozmów przy śniadaniu w Św. Brygidzie.

— Za tym na pewno stoją demokraci! — stwierdził stary chirurg, atakując widelcem jajka na bekonie.

— Powiadam wam, panowie — mówił inny znad grzanki z masłem i kubkiem kawy — że jakakolwiek próba otwarcia brzucha jest czystym szaleństwem. To, że kula utkwiała w środku, nie ma żadnego znaczenia. Otwarcie brzucha to pewna śmierć dla pacjenta.

Właśnie w tym momencie do jadalni weszła Samanta. Umilkli. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę — nawet

nieproszony gość, nocny marek, patrzył na nią zaczerwienionymi i spuchniętymi od wody kolonńskiej oczami. Doktor Prince wstał z za stołu i wolno do niej podszedł. W rękę trzymał poranne wydanie „Tribune”. Patrzył na nią zimno, a jego siwe faworyty a la Franciszek Józef I niemal sypały iskrami.

— Czy pani to widziała, panno Hargrave? — zapytał i podsunął jej gazetę.

Widziała. Ktoś jej podrzucił gazetę pod drzwi; natknęła się na nią, gdy wychodziła do łazienki. Na pierwszej stronie zauważyła drobną wzmiankę o bohaterskiej postawie pewnej lekarki ze szpitala Św. Brygidy.

— Jestem przeciwny takim historiom, doktor Hargrave. Za to, co tutaj widzę, odpowiedzialny jest woźnica z nocnej zmiany, niejaki Jake, który najwyraźniej chciał pokazać, jaki jest tu ważny, i przechwalał się reporterowi o nocnej przygodzie. Teraz mamy już sześciu dziennikarzy na dole i wszyscy chcą koniecznie poznać „panią doktor”. Postawiłem Jake'a do raportu i wpisałem mu naganę do akt. A pani, doktor Hargrave, radzę, żeby zachowywała się pani dyskretnie i nie szukała taniego poklasku. Szpital Świętej Brygidy nie jest jarmarkiem.

Trzymała głowę wysoko i śmiało patrzyła mu w oczy.

— Oczywiście, doktorze Prince. — W absolutnej ciszy jej głos zabrzmiał bardzo wyraźnie.

Zmrużył oczy. Miał jej bardzo za złe to małe zwycięstwo, to oczywiste. Ta kobieta jest szczwana jak lis, myślał. Obiecał sobie, że w przyszłości potraktuje ją z większą uwagą.

— I jeszcze jedno, doktor Hargrave. To, że zajmowała się pani całą noc jakąś nic nie wartą wywłoką, świadczy o pani kłopotach z podejmowaniem trafnych decyzji. Po takiej nocy będzie pani mało wydajna na porannym obchodzie. Poza tym naraziła pani szpital na dalsze straty: siostra naczelna po ostatniej nocy jest całkiem wykończona, to samo zresztą można powiedzieć o jednym ze stażystów. Trzeba też zauważyć, że gdyby w czasie gdy pani tkwiła w izbie nagłej pomocy, nadeszło z miasta kolejne wezwanie, nie byłaby pani gotowa do wyjazdu. Będzie pani musiała się nauczyć, co w tym zawodzie warte jest trudu, a co nie.

— Tak, doktorze Prince.

Przez moment rozważał, czy powiedzieć coś jeszcze, ale raptem odwrócił się gwałtownie i wymaszerował z jadalni.

Sztywna ze złości z trudem usiadła samotnie przy stole na swoim zwykłym miejscu. Kiedy podeszła do niej dziewczyna z herbatą i sucharkami z miodem, Samanta udawała, że nie zauważa wpatrzonych w nią dwudziestu par oczu.

I nagle usłyszała coś, co przypominało leciutkie uderzenia pierwszych kropli wiosennego deszczu. To stażysta przy sąsiednim stoliku zaczął bić brawo.

Zaskoczona podniosła głowę.

Do stażysty dołączyli inni. Przez chwilę jadalnia personelu medycznego tętniła burzą oklasków. Zaskoczona Samanta patrzyła na uśmiechnięte i przyjazne twarze i nie mogła przełknąć herbaty.

## 2

Zaskoczyło ją, jak bardzo Luiza się zmieniła. Nie chodziło tylko o jej wygląd, o dodatkowe kilogramy, zmierzwione włosy i nabrzmiałą twarz. W jej sposobie bycia dostrzegła duże zmiany — ruszała się nerwowo, jej zielone oczy niespokojnie wędrowały od jednego przedmiotu do drugiego, a w głosie słychać było nuty hysterii. Nie był to typowy obraz kobiety w ósmym miesiącu ciąży. Przeróżające. I to miał być skutek rocznego stażu małżeńskiego?

Kiedy Luiza podparła ręką krzyż, ciężko dźwignęła się z kanapy i kaczym chodem wyszła z saloniku, Samanta skorzystała z okazji i rozejrzała się po pokoju.

Luther, jako wspólnik pana DeWintera, już całkiem nieźle zarabiał; w rogu salonu stała nowiuteńka muzyczna maszyna do szycia, widomy dowód mieszczańskiego dobrobytu — każdy ruch koła napędzającego igłę nakręcał przy okazji walec pozytywki. Niestety to wymyślne urządzenie stało nie-

używane i pokrywała je gruba warstwa kurzu. Luiza nigdy nie przejawiała skłonności do zbytnej pedanterii, ale ten brudny, zabałaganiony salon był wyraźnie zaniedbany. Podobnie jak jego gospodyni, która przesiadywała tu całymi dniami. Czyżby na niczym już jej nie zależało?

— Garfield, Garfield i jeszcze raz Garfield! — Luiza westchnęła, siadając na kanapie. Przyniosła tacę z dwiema szklanekami ciemnego płynu, z kawałkami makowca i z czymś zupełnie nowym, o czym Samanta nigdy jeszcze nie słyszała — z oleomargaryną. Najwyraźniej Luiza nie straciła zamiłowania do rozmaitych nowinek, jakie się pojawiały na rynku, nawet jeśli wyraźnie kłóciły się z dobrym smakiem. — Korzenna limoniada — wyjaśniła. Samanta sięgnęła po szklankę. — Nie, nie, to moja — powiedziała szybko, wyjmując jej szklankę z ręki. Samanta zauważyła, że w szklance Luizy pianny było mniej.

Luiza wyciągnęła na kanapie opuchnięte stopy i niedbale strąciła na podłogę „Księgę życzeń” z księgarni wysyłkowej.

— Mamy lato prezydenta. O nikim innym się teraz nie mówi. Mam tego po dziurki w nosie.

Samanta ze wszystkich sił usiłowała ukryć rozczarowanie. Tak bardzo cieszyła się na to spotkanie z przyjaciółką, tak dawno jej nie widziała! Kiedy nareszcie zdołała zorganizować sobie wolny dzień, włożyła najlepszą sukienkę, rozemocjonowana wsiadła do omnibusu i triumfalnie przejechała Piątą Aleją, spodziewała się ujrzeć dawną Luizę, tę o starannie ułożonych złocistych loczkach — dziewczynę pełną odwagi i wigoru. Niestety drzwi otworzyła jej zupełnie inna osoba, inna Luiza.

Choć naprawdę ucieszyła się z jej przyjścia i ścisnęła ją tak mocno, że Samanta poczuła nawet kopnięcie maleńkiej nie-narodzonej stopki, po kwadransie ożywionego wspomnienia dawnych czasów Luiza straciła zainteresowanie gościem — zupełnie jakby Samanta była zabawką, która z czasem traci urok nowości. Teraz leżała na kanapie i najwyraźniej nie mogła znaleźć wygodnego miejsca dla dużego wzdętego ciała. Jej zielone oczy ani przez chwilę nie zatrzymywały się dłużej w jednym punkcie.

Samanta chciała zapytać, co się naprawdę dzieje, ale obawiała się, że tym pytaniem sprawi przyjaciółce przykrość.

— Jak tam Luther?

— Dobrze.

— Pewnie się bardzo cieszy, że pan DeWinter przyjął go do spółki.

Spojrzenie Luizy wreszcie znalazło punkt oparcia — zieloną zakurzoną paproć w oknie.

— Całymi dniami przesiaduje w aptece. Zaczynają sprzedaż lodów w części drogeryjnej.

Musi być przecież coś, co ją interesuje! Jeśli nie mąż — chociaż to dziwne, żeby znudziła się nim w niecały rok po ślubie — to może oczekiwane dziecko?

— Jesteście pewnie zajęci przygotowywaniem pokoju dla maleństwa.

Luiza spojrzała na nią bezbarwnym wzrokiem.

— A może jest już gotowy? Chciałabym go zobaczyć.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami i ciężko podniosła się z kanapy. Idąc za nią na górę, Samanta zastanawiała się, czy wszystkie ciężarne kobiety tak się zachowują. Kto wie, może ośmiomiesięczne czekanie na coś, co wydaje się nigdy nie nastąpić, sprawia, że kobieta traci zainteresowanie wszystkim dookoła? Urodzi i znów będzie sobą.

— O... — Żałowała teraz, że w ogóle wyraziła chęć obejrzenia pokoiku dziecka. Mieścił się na piętrze, tuż przy sypialni Luizy i Luthera. Najpierw niechęć zobaczyła niezaścielone małżeńskie łóżko, potem pustą sypialenkę, w której stała tylko częściowo odmalowana kołyska, a rolki tapety niedbale leżały na podłodze. — Hm, jeszcze macie czas...

Przyjaciółka znowu spojrzała na nią nijako, bez śladu zainteresowania. Najwyraźniej małżeństwo nie układa się dobrze, pomyślała Samanta.

Deliberowała nad czymś, kiedy schodziły do salonu, aż wreszcie zapytała:

— Co się tu u was złego dzieje, Luizo?

— Wszystko — odpowiedziała Luiza z nieoczekiwaną gwałtownością. — Wszystko, Samanto. — Jej twarz wreszcie

się ożywiła. — Nie chcę cię obarczać moimi troskami, ale komuś muszę to wreszcie powiedzieć. Jestem tu uwięziona od tak dawna, że jeszcze trochę, a pewnie oszaleję. To niesprawiedliwe, Samanto, że kobiety w ciąży nie mogą wychodzić do miasta! Ludzie są tacy obłudni! Niby uwielbiają dzieci, ale nie chcą, żeby im czasem przypomniano, skąd one się biorą. Mam uczucie, że powinnam się wstydić swego stanu. Społeczeństwo każe ci wyjść za mąż i mieć dzieci, ale jak tylko dziecko jest w drodze, ci sami ludzie nie chcą cię już oglądać. Gdybym wyszła teraz na ulicę, patrzyliby na mnie ze zgrozą i od razu wiedzieliby, co robiłam. Ha, Luther też to robił, ale jemu wolno wychodzić z domu i po nim tego nie widać! Kobiety chodzą naznaczone piętnem stosunku, a mężczyznom uchoździ to na sucho! To takie niesprawiedliwe!

Aha, a więc nie chodzi wyłącznie o ciążę, pomyślała Samanta, czytając między wierszami. Wyczuwała już coś dziwnego w listach, które Luiza pisała, zanim zaszła w ciążę. Tak, jej problemy wynikały z czegoś głębszego, z czegoś, do czego nie umiała się przyznać.

— Masz jakieś kłopoty z pożyciem małżeńskim? — zapytała łagodnie, chcąc pomóc.

Luiza skubnęła riuszkowany rękaw szlafrocza i bez słowa skinęła głową.

— Nie wiesz, jak to jest, Samanto. Nie jesteś mężatką.

Zakłuło ją coś boleśnie. Pomyślała o Joshu, a zaraz potem — bardzo ją to zdziwiło — o Marku Rawlinsie. Nie widziała go od czasu przyjęcia u pani Kendall. Dał jej swój adres na Manhattanie i zaprosił ją do siebie. Mogła przyjść do niego w dowolnym terminie i odebrać narzędzia Joshuy, ale odkładała wizytę. Wmawiała sobie, że nie ma jeszcze gdzie trzymać cennych instrumentów i że na razie nie są jej potrzebne, a w ogóle lepiej im będzie tymczasem w domu Marka Rawlinsa. Wymyślała rozmaite powody, żeby go tylko nie spotkać. Od dwóch miesięcy udawała przed sobą, że nie chce go oglądać, bo przypomina jej Joshuę... Ale teraz, w tym dusznym saloniku, prawda uderzyła ją z całą gwałtownością — • Marek Rawlins budził w niej niechciane uczucia...

Luiza spojrzała na nią zamglonym wzrokiem.



— Nie wiem, czego się spodziewałam, Samanto. Ale chyba wyobrażałam sobie, że nasze zbliżenie będzie czyste i uduchowione. Przeżyłam szok w noc poślubną. Luther wciąż mnie zapewniał, że wszystko jest dobrze, że właśnie tak ma być... Za każdym razem, kiedy mi to robił, płakałam. Mdliło mnie, a on nie chciał przestać. Mówił, że to zupełnie naturalne, że tego nie lubię, bo tylko mężczyźni czerpią z tego radość. Wiesz, jak się ucieszyłam, że jestem w ciąży? Wiedziałam, że wreszcie da mi święty spokój!

Nie mówiła Samancie prawdy. Sprawy wyglądały inaczej. W noc poślubną Luiza była ogromnie podniecona i zafascynowana tym, co robił Luther, ale odkrycie, że znajduje przyjemność w takich strasznych rzeczach wstrząsnęło nią do głębi. Bardzo szybko poczuła niesmak do siebie i niechęć do męża — to przez niego przychodziły jej do głowy takie wstrętne myśli i przez niego zawładnęły nią żądze. Nienawidziła siebie za to, że go pragnie. Płakała, gdy uświadomiła sobie, że niecierpliwie czeka na to, by już być z nim w łóżku. Wreszcie doszła do wniosku, że jest na pewno kobietą zepsutą i zdegenerowaną. Ale ponieważ nie lubiła źle myśleć o sobie, po kilku miesiącach udało jej się przenieść całą niechęć na Luthera. Co noc wmawiała sobie, że nie czuje żadnego podniecenia, że to przez niego tak się jej tylko zdawało, aż wreszcie z czasem zaczęła go prawie nienawidzić; udało jej się nawet wmówić w siebie, że seks nigdy nie sprawiał jej przyjemności i zawsze był jej wstrętny, tak jak powinien.

— Luther robi mi takie rzeczy, że aż strach o tym mówić. Nie jest nawet na tyle przyzwoity, żeby zaczekać, aż się rozbiorę i włożę koszulę. Nie mam czasu nawet wejść pod kołdrę, a on już jest w sypialni. Każe mi zdejmować... niewymowne. I do tego jeszcze pali światło! — Wstrząsnął ją dreszcz. — Chce, żebym na niego patrzyła i go dotykała... Och, na samą myśl o tym robi mi się mdło!

Zal jej było ich obojga. Jakie to dziwne, że ten sam akt może wywoływać tak zupełnie odmienne uczucia...

— Mówiłaś Lutherowi, co wtedy czujesz?

Przyjaciółka spojrzała na nią rozszerzonymi zdziwieniem oczami.

— Pytasz, czy rozmawiałam z nim o tym?! Samanto, co ci przychodzi do głowy!

— Ale z pewnością zamieniłaś z nim przy okazji chociaż kilka słów...

— O tak, słowa! Słowa! Chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej bulwersującego? Wiesz, co robi Luther, kiedy jesteśmy w łóżku? Mówi! Mówi mi do ucha różne świństwa. Niektórych słów nawet nie znam!

— Luizo... — zaczęła łagodnie. — Może Luther nie wie, że to dla ciebie jest aż tak niemiłe? Wiele młodych mężatek na początku pożycia nie lubi zbliżeń fizycznych, ale z czasem przyzwyczajają się do nich, a niekiedy zaczynają im nawet sprawiać przyjemność. Luther pewnie myśli, że tak będzie i z tobą. Jeśli nie wyjaśnisz z nim tej kwestii, rozchorujesz się nerwowo, Luizo.

— Nie mogę z nim o tym rozmawiać, i kropka. Tobie jednej jedynej mogę o tym powiedzieć, a to też tylko dlatego, że jesteś moją najbliższą przyjaciółką, i w dodatku lekarką. Przy tobie łatwo mi to przychodzi. Jesteś wyrozumiała i kiedy rozmawiamy, nigdy nie odnoszę wrażenia, że w duchu myślisz o mnie: „Głupia gęś”!

— Przy innych masz takie wrażenie?

— Tak, przy doktorze McMahanie! To obrzydliwy starzec i traktuje mnie zupełnie jak dziecko. Kiedy mu się skarżę, że dolega mi to czy owo, klepie mnie po głowie i chichocze pod nosem. Widzę po jego oczach, że nie ma dla mnie ani odrobiny współczucia. Mówi mi tylko, że powinnam się czuć piękna, bo spełniam święty obowiązek. Spójrz na mnie, Samanto! Spójrz na to ciało! Gdyby mężczyźni zachodzili w ciążę, od razu przestaliby paplać o pięknie!

Samanta zafrasowała się. Dlaczego Luiza to robi? Kobieta w ciąży naprawdę może być piękna, ba! — może nawet błyszczeć urodą. Odnosiła wrażenie, że przyjaciółka przestała dbać o siebie i o dom z pełną premedytacją, jakby na znak buntu czy zemsty.

— Samanto... — usłyszała zgaszony głos. — Powiem ci coś jeszcze, do czego przed nikim się nie przyznałam. Nienawidzę tego dziecka. Nienawidzę go za to, jak mnie zdeformo-

walo, i za to, że przez niego jestem więźniem w domu. To takie straszne, Samanto! Nie chcę tego dziecka! Nic dobrego do niego nie czuję. Jest jak mały pasożyt, który wdarł się do środka i teraz na mnie żeruje. Gdyby nie dziecko, wychodziłabym do miasta, na zakupy, pracowałabym u Bella!

Samanta chciała zrobić Luizie przyjemność i okazać, jak bardzo smakuje jej poczęstunek, ale ciepła limoniada nie zabijała smaku makowca smarowanego oleomargaryną.

— No więc nadszedł czas, żebyś nareszcie wyszła na dwór, Luizo — odezwała się, strzepując z sukni okruchy ciasta. — Powinnaś zażywać ruchu i świeżego powietrza. Dobrze by ci to zrobiło.

Przyjaciółka była wyraźnie wstrząśnięta tą radą.

— Samanto, zostałeś lekarką i całkiem ci się przewróciło w głowie! Co powiedzieliby ludzie?!

— Cięża nie jest chorobą, dlaczego więc kobieta przy nadziei nie miałaby wychodzić na dwór i trochę rozruszać mięśni? Moglibyśmy wybrać się gdzieś razem we trójkę, jak za dawnych czasów. Przekąsilibyśmy coś u Macy'ego, a nawet moglibyśmy podjechać pod hotel Everett, żeby zobaczyć nowe żarzące się lampy Edisona. Słyszałam, że ich tam mnóstwo; podobałyby ci się, Luizo! Ludzie mówią, że wyglądają cudownie.

Luiza trochę się ożywiła.

— Kiedy?

— Kiedy? Hm, nie wiem... Mam wolne co drugą niedzielę, ale wtedy muszę pracować i cerować...

— Wszystko jedno, Samanto. I tak w tym stanie nigdzie nie mogę wyjść. Może jak dziecko się już urodzi... — Zmarnotniała, a oczy jej ściemniały. Znów przyszły jej do głowy te natrętne myśli: Nigdzie nie mogę wyjść. Nie mam już przyjaciół. Nikt nie ma czasu dla kobiety w ciąży. Ale gdyby tak dziecko umarło, wszyscy okazywaliby mi dużo współczucia, przychodziliby do mnie i obchodzili się ze mną jak z jajkiem. Albo gdyby tak Luther zginął w jakimś wypadku... Wtedy wszyscy by się o mnie troszczyli, a ja już nigdy więcej nie musiałabym wychodzić za męża.

— Już nigdy nie dam się na to namówić — zaczęła, nie zdając sobie sprawy z tego, że to, co mówi, w jakiś sposób zdradza jej najskrytsze myśli. — Niech się Luther nauczy bez tego obywać. A jeśli już koniecznie musi zaspokajać te zwierzęce żądze, bez trudu znajdzie kobiety, które...

Nagle zawstydziła się tonu własnego głosu. Spojrzała Samancie w oczy i natychmiast umilkła. Nastała chwila ciszy. Luiza mrugała nerwowo powiekami i usiłowała coś z siebie wykrztusić.

— Ciepło dzisiaj, kochanie. Chciałabym się odświeżyć, jeśli pozwolisz. Gdzie jest łazienka?

Luiza wskazała kierunek — łazienka mieściła się na końcu korytarza, w tylnej części domu. Jej oczy wyrażały nieme błaganie: „Tylko mnie nie znieńwierz, Samanto!” Samanta ustawiła na tacy puste szklanki i talerz po makowcu i zabrała naczynia do kuchni.

W domu Arndtów były wszelkie udogodnienia wymyślone dla nowoczesnej pani domu, o jakich zwykła kobieta mogła tylko marzyć. Ale i wszędzie panował bałagan i psuł efekt starannie wyposażonej kuchni. Samanta postawiła tacę koło zlewu, przy którym stały dwie puste butelki po korzennej limoniadzie Levisa & Hiresa. Tuż obok leżał jeden z wyszukanych „automatycznych” otwieraczy do konserw. Wzięła go do ręki i w zamyśleniu bawiła się nożykiem w kształcie kółka. Nagle dostrzegła przy zlewie jeszcze jedną butelkę — „Kojący syrop doktora Poole’a dla oczekujących matek”. Odkorkowała butelkę i pociągnęła nosem. Poczowała mdląco-słodki zapach, który nie wyprowadził jej jednak w pole — syrop doktora Poole’a zawierał narkotyki. A Luiza go piła!

Chwilę później Samanta stała już w elegancko urządzonej łazience (państwo Arndtowie mieli nawet klozet z rezerwuarem — wystarczyło pociągnąć za łańcuch, żeby spuścić wodę!) i mokrą myjką chłodziła kark. Obok kubka Luthera z pędzlem i mydłem do golenia stał „Cudowny kordiał doktora Raphaela na prolongację męskiej żywotności”.

Co tu się dzieje? Przypomniała sobie dwoje młodych radosnych ludzi, z którymi nie tak dawno spędzała niedziele — energiczną, flirtującą Luizę i pełnego dumy, wspaniało-

myślnego Luthera. Teraz wydawali jej się tacy obcy. Nie wiedziała nic, co mogłoby ją łączyć z Luizą; nie miały już o czym ze sobą rozmawiać, coraz częściej zapadała między nimi cisza. Luizie potrzebne były inne przyjaciółki — kobiety zamężne, matki.

Schludnie złożyła myjkę i odwiesiła ją na miejsce. Nasze drogi rozchodzą się, Luizko, myślała. Ty też to widzisz, prawda? Dlatego jesteś taka na mnie zła, zła na cały świat? Urodzisz dziecko i przepaść, która nas dzieli, powiększy się jeszcze bardziej — nigdy nie zdołamy przerzucić nad nią mostu. Czy za to też winisz Luthera?

Usłyszała, że ktoś wchodzi do domu. Po raz ostatni zerknęła w lustro i wyszła z łazienki. Zobaczyła go na końcu korytarza. Mocno uściśnął jej rękę. Nic się nie zmienił. Był wysoki, prosty, modnie uczesany — gładko przylizane włosy dzielił przedziałek na środku głowy — a błękitne oczy promieniały serdecznością. Nachylił się, żeby pocałować żonę; Luiza nadstawiła mu policzek. A kiedy spytał o jej samopoczucie, odparła, że dokucza jej krzyż. Stara się go ukarać, myślała Samanta.

Siedzieli w salonie i udawali, że nic się nie dzieje.

— Słyszałam, że ostatnio jesteś bardzo zajęty w aptecę — zaczęła Samanta.

— Rzeczywiście mam sporo zajęć i spoczywa na mnie duża odpowiedzialność, ale nie narzekam. — Co chwilę zerknął na żonę. — Pan DeWinter jest stary i konserwatywny w poglądach. Któregoś dnia zostawi mi całą aptekę. Na razie usiłuję od czasu do czasu uaktualnić trochę jego przekonania, ale nie obywa się to bez walki.

Luiza ziewnęła głośno; nawet nie próbowała zasłonić ust dłonią. Luther pochylił się w przód i złączył ręce między rozstawionymi kolanami.

— Chciałbym, żeby ta nasza apteka była nowoczesna, rozumiesz, Samanto? W moim kraju wymyślono niedawno pewien lek: biały krystaliczny proszek, który znosi wszelkie bóle i gorączkę, a przy tym nie ma żadnych skutków ubocznych. To kwas salicylowy i Towarzystwo Bayera w Berlinie przygotowuje się już do produkcji tabletek tego kwasu, które

wejdą na rynek pod nazwą Aspiryna. I wiesz co? Pan DeWinter nie chce o tym nawet słyszeć!

Samanta spojrzała ukradkiem na Luizę. Luther bardzo się starał, ona ani trochę. Zachwianie równowagi sił tego związku wyraźnie czuło się w powietrzu.

— Wygląda mi to na środek, który moglibyśmy stosować w szpitalu. Mówisz Aspiryna...

Luther zatarł ręce.

— Luizo, moja najdroższa, co dzisiaj mamy na obiad?

— Miałaś coś przynieść z miasta.

Zaczerwienił się aż po jasne brwi.

— Rzeczywiście, zapomniałem. A nie zaprosilibyśmy Samanty...

— Chętnie zostanę, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, Luizo.

— Nie...

— Znakomicie! — Luther wstał, podszedł do serwantki i nalał wszystkim po kieliszku nalewki.

— Może porozmawiamy jeszcze później, miałabyś ochotę? — zapytała cicho Samanta.

Luiza uśmiechnęła się.

— Tak, Samanto, nawet wielką.

Po obiedzie i długich rozmowach Luther odprowadził Samantę do drzwi.

— Przechodzi trudny okres, Samanto — powiedział zniżonym głosem, żeby Luiza nie słyszała. — Musimy wykazać cierpliwość.

— Rozumiem. Dziecko przyjdzie na świat i wszystko wróci do normy.

— Bardzo się o nią martwię. Jest przerażona.

— Czym?

— Porodem. Nabiła sobie głowę myślą, że umrze przy porodzie. Nie chce rodzić. Na samą myśl o tym zaczyna histeryzować.

W zamyśleniu patrzyła w stronę salonu.

— Przyślij po mnie, kiedy się zacznie.

Było gorące sierpniowe popołudnie. Powietrze stało w miejscu, nie przeganiając z zatechłych sal szpitalnych złowrogich miazmatów. Ośmiu stażystów skupionych wokół jednego z doświadczonych lekarzy nerwowo przestępowało z nogi na nogę i wodziło palcami pod celuloidowymi kołnierzykami. Usiłowali skoncentrować uwagę na tym, co mówi doktor przy łóżku pacjentki.

— A zatem panowie, mamy tutaj przypadek astmy. Jakie leczenie pan by zaordynował, doktorze Weston?

— Marihuana trzy razy dziennie.

— Doskonale. Dalej widzimy kobietę, która... — Przerwało mu nagłe zamieszanie powstałe kilka łóżek dalej.

Tam, oparta o żelazne wezglowie, siedziała tęga kobieta około czterdziestki i dramatycznie naciągała na siebie pościel aż pod samą brodę. Z przerażeniem wbijała wzrok w mężczyznę w surducie, który się nad nią pochylał. Najwyraźniej o coś się spierali.

— Doprawdy, proszę pani — mówił zdenerwowany mężczyzna. — Jak mam pani pomóc, skoro pani mi na to nie pozwala!

— Nie dam się panu macać!

Mężczyzna, doktor Miles, z desperacją wyrzucił w górę ramiona. Potem zrobił krok w stronę pacjentki, która natychmiast krzyknęła przeraźliwie.

— Do diabła, durna babo! — ryknął. — Albo będzie mnie pani słuchać, albo każę wyrzucić panią ze szpitala!

Kobieta wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w kocu.

Młodzi doktorzy zaszemrali cicho, a Samanta czym prędzej podeszła do zapłakanej pacjentki. Usiadła na jej łóżku i otoczyła ramieniem wstrząsane szlochem barki.

— No już, już...

— Niech pani nie da mu mnie macać! — łkała kobieta, wciąż zasłaniając twarz kocem. — Umarłabym ze wstydu!

Samanta spojrzała na doktora Milesa.

— Co jej dolega?

— A skąd mam wiedzieć! To durne babsko nie da się przecież zbadać...

— Nie! — Kobieta gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na niego ze złością. — Myślicie, że jak nie płacę za szpital, to można mną tak pomiatać? Swoją godność mam i nie dam się obmacywać!

Samanta uspokajająco klepała ją po ramieniu i coś jej łagodnie szeptała. Do podobnych scen na oddziałach kobiecych dochodziło tak często, że o nic nie musiała pytać.

Wreszcie kobieta uspokoiła się trochę i zwróciła okrągłą twarz do Samanty.

— Pani chyba rozumie, prawda?

— Oczywiście. — Problem dotyczył większości pacjentek. W społeczeństwie, które żądało, by kobieta za wszelką cenę strzegła swojej skromności, i w czasach, kiedy widok damskiej kostki mógł rozbudzić męskie pożądanie, większość kobiet wolała znosić cierpienia i choroby w domowym zaciszu niż poddać się badaniu.

— Została przyjęta w nocy z silnymi bólami brzucha — tłumaczył doktor Miles, zirytowany. — Niewykluczone, że były to bóle porodowe, ale ta durna baba jest tak gruba, że nawet nie wie, czy jest w ciąży czy nie.

— Uważa pani, że mógł się zacząć poród? — zapytała łagodnie Samanta.

— Nie wiem.

— Ma pani dzieci?

— Dziewięć żyje.

Samanta zamyśliła się.

— Trzeba panią zbadać, żeby zobaczyć, co pani dolega...

— Nie! Nie dam się dotykać obcemu mężczyźnie!

— Ja też jestem doktorem. Ja panią zbadam. Co pani na to?

Kobieta spojrzała na nią szeroko rozwartymi oczami.

— Pani jest doktorem?

— Proszę posłuchać...

Samanta podniosła wzrok na doktora Milesa.



— Mam wrażenie, że pacjentka nie będzie się bronić, jeśli ja ją zbadam, doktorze. Za pana pozwoleniem, błyskawicznie ustalę, w czym rzecz.

— Ale żeby go tutaj nie było! — szepnęła kobieta.

— Czy zechciałby pan zostawić nas na chwilę same?

Oburzony doktor Miles mruknął coś pod nosem o *pestis mulieribus* i odszedł kilka kroków.

— Co pani zrobi? — Kobieta chwyciła Samantę za rękę.

— Szybciotko zbadam panią pod kocem. Nie będę pani odślaniać, obiecuję. Proszę się teraz rozluźnić...

Kilka minut później podeszła do doktora Milesa.

— Wypadnięcie macicy, doktorze.

— Hm! — prychnął. — I nic dziwnego! Na pewno przez ten gorset. Głupia baba przyszła tu tak zasznurowana, że mało nie trzasnęła!

— Pani doktor... — W drzwiach na końcu oddziału stał doktor Prince. — Zechce pani wyjść na korytarz? Chciałbym zamienić z panią kilka słów.

— Nie miała pani prawa mieszać się do spraw doktora Milesa — oznajmił, kiedy już oboje znaleźli się poza oddziałem. — To nie jest nasza pacjentka.

— Potrzebowała pomocy, a doktor Miles wyraźnie sobie nie radził.

— A jak miał sobie radzić, kiedy wpadła w histerię?

— Krzykiem i tak nic by nie wskórał.

— Krzyk to właśnie jedyny skuteczny sposób, żeby okiełznać takie baby. Trzeba być zasadniczym, surowym i pokazać im, kto tutaj rządzi. Nie możemy się z nimi pieścić, doktor Hargrave. Doprawdy nie rozumiem, co też wstępuje w te durne babska, przecież jesteśmy lekarzami!

Samanta zacisnęła usta, żeby zamilczeć. Korciło ją, żeby zapytać, jak on by się poczuł, gdyby kobieta miała mu na przykład zbadać jądra.

— Proszę się na przyszłość od takich spraw trzymać z daleka, pani doktor. I nich się pani cieszy, że doktor Miles nie jest mściwym człowiekiem.

Chciał odejść, ale Samanta go zatrzymała.

— Przepraszam, ale skoro już rozmawiamy, doktorze, chciałabym przy okazji poruszyć pewną szalenie ważną kwestię.

Odwrócił się do niej z nieskrywaną niecierpliwością, jakby już za sekundę i tak miał zniknąć. Uciekał się do tej sztuczki, żeby jego rozmówca musiał spieszenie wyrzucać z siebie słowa, jąkać się nerwowo i w ogóle występować w pozycji petenta. Zazwyczaj manewr się udawał; w ten sposób doktor Prince wygrywał większość potyczek. Ale Samanta nie chciała dopuścić do tego, by nią manipulował.

— Nie zauważyłam swojego nazwiska na planie zajęć z chirurgii w tym miesiącu — zaczęła wolno pewnym siebie głosem, co go zirytowało. — Jestem tu już od ośmiu tygodni, przesłam przez wszystkie oddziały i dyżury zgodnie z harmonogramem, a teraz widzę, że znowu zostałam odesłana na położnictwo. Powinam już trafić na chirurgię. Czy to przeoczenie?

— Żadne przeoczenie, doktor Hargrave. Została pani wyłączona z kursu chirurgii.

Była na to przygotowana, dlatego zdołała opanować gniew.

— Ależ doktorze Prince, to jawna niesprawiedliwość! Dlaczego zostałam wykluczona z zajęć na chirurgii?

— Ponieważ sala operacyjna nie jest miejscem dla kobiet z wyjątkiem pielęgniarek. Pielęgniarki myją podłogę i okna oraz opróżniają wiadra z krwią. To wszystko. Operacje są domeną mężczyzn. Kobiety nie są w stanie, z racji konstrukcji fizycznej, przeprowadzać jakichkolwiek zabiegów.

— Pan pozwoli, że się nie zgodzę...

— Nie będę tu sterczał, panno Hargrave, i dyskutował z panią o sprawach niepodważalnych. Już prędzej wdałbym się w utarczkę o kolorze nieba! Kobięca comiesięczna niemoc i niestabilność w naturalny sposób wyłącza ją z udziału w sprawach decydujących o ludzkim życiu, a co za tym idzie i z sali operacyjnej. Mogę się zgodzić od biedy, że niektóre, wyjątkowe kobiety mają w sobie niezbędną odwagę i przenikliwość chirurga, ale raz w miesiącu stają się równie nieodpowiedzialne jak ich pacjenci! To nie do pomyślenia, żeby ktoś, kto ulega zupełnemu rozchwianiu i traci zdolność podejmowania

decyzji, mógł się szkolić na chirurga! Nawet pani, doktor Hargrave, nie będzie się o to spierać.

— O ile dobrze zrozumiałam, doktorze Prince, oczekiwaliście panowie, że wezmę udział we wszystkich zajęciach związanych z programem stażu i nie chcieliście mi pobłażać w czymkolwiek tylko dlatego, że jestem kobietą.

— I nie pobłażamy pani, doktor Hargrave. Nie ze względu na panią zdecydowaliśmy wykluczyć panią z chirurgii, ale ze względu na bezpieczeństwo pacjentów.

Doktor Prince uwielbiał akcentować zdania dramatycznymi gestami; w ten sposób przypominał słuchaczowi o swojej wyższości. Ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że panna Hargrave jest zdolna do długiej i zażartej dyskusji, wybrał właśnie ten moment, by swym ostatnim zdaniem definitywnie zakończyć debatę. Odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Wściekła wbijała wzrok w jego plecy. Chwilę to trwało, zanim uspokoiła się na tyle, by wrócić do pacjentów. Tak, oczekiwała takiego obrotu spraw, gdy tylko spostrzegła, że nie ma jej na liście. Ale doktor Prince i tak w końcu ulegnie. Jak tego dokonać, na razie nie wiedziała. Jakoś znajdzie sposób i sforsuje zazdrośnie strzeżone drzwi sali operacyjnej.

Obróciła się, żeby wejść na salę oddziału, i gwałtownie stanęła w miejscu. Na końcu korytarza zauważyła dwoje ludzi. Skręcali właśnie z hallu wejściowego. Wyglądali niezwykle elegancko i wyraźnie odcinali się od ponurego szpitalnego otoczenia. Mężczyzna był wysoki, wyprostowany jak oficer, ale szedł swobodnie, tak jak zwykli się poruszać arystokraci. Miał na sobie doskonale skrojony frak, który podkreślał jego szerokie ramiona i wąską talię, a kiedy zdjął czarny cylinder, odsłonił kasztanowe, wijące się włosy, troszkę za długie, jak na przyjęte obyczaje — nie smarowane brylantyną opadały mu na kołnierz. Dama u jego boku robiła nie mniejsze wrażenie. Była wiotka, pełna wdzięku, ubrana w cudowną suknię z ciemnogranatowego jedwabiu, która barwą podkreślała kolor jej oczu i ładnie kontrastowała z bardzo jasnymi, aż srebrzystymi, zaczesanymi do góry włosami. Pani mogła mieć jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, jej perlisty śmiech przywodził na myśl srebrne dzwoneczki, a poza tym

najwyraźniej czuła się swobodnie, wsparta na ramieniu swojego towarzysza.

Samanta patrzyła na nich bez słowa; w wyobraźni stworzyła sobie najzupełniej niesprawiedliwy obraz pani Rawlins. Dama, którą teraz widziała, po prostu zapierała dech.

Doktor Rawlins zauważył Samantę i uśmiech zamarł mu na twarzy. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, ogarnęło ją znów to od dawna doświadczane uczucie, które poruszyło ją bardzo głęboko, a którego wbrew wszelkim nadziejom wcale nie zwalczyła. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Chciała uniknąć spotkania z Markiem Rawlinsem, a jednocześnie z drugiej strony czuła, że coś ją ciągnie do niego zupełnie magnetycznie. Zanim jednak zdążyła uciec na oddział, Marek Rawlins zauważył ją i poznał.

Dama towarzysząca mu dostrzegła zmianę w jego twarzy i z zainteresowaniem spojrzała w stronę, w którą patrzył. I jej uśmiech również zastygł na wargach, ale zupełnie inaczej — stwardniał, stracił naturalność. Kiedy podeszli do Samanty, twardość sięgnęła już oczu młodej damy. W tym momencie z powodów, które dopiero później miała zrozumieć, Janelle poczuła do Samanty natychmiastową antypatię.

— Doktor Hargrave... — Ukłonił się.

— Dzień dobry, doktorze Rawlins. Cóż za miła niespodzianka! — Nagle zaprzątnęła ją tylko myśl o plamie na dole sukienki. Obróciła się lekko bokiem, żeby ją ukryć.

— Obawiam się, pani doktor, że jestem w nieco korzystniejszej sytuacji niż pani. To, że tu panią widzę, dla mnie niespodzianką nie jest. W gruncie rzeczy spodziewałem się, że kiedyś trafię na panią przypadkiem.

— Doprawdy! A skąd pan wiedział, że jestem w Świętej Brygidzie?

Roześmiał się ciepło, przez co chłód jego towarzyszki stał się tym wyraźniejszy.

— Moja droga pani doktor, całe miasto trąbi o pewnej lekarce, która szturmem zdobyła mury Świętej Brygidy! Różnie się też o pani na mieście mówi. Jedni określają panią mianem amazonki, inni czarownicy. W żadnym wypadku nie pada słowo: „dama”!

— Nic o tym nie wiedziałam!

— No i właśnie z pani powodu wszystkie szpitale w mieście przeżywają prawdziwe oblężenie lekarek i ich prawników! Zrobiła pani niezłe zamieszanie, pani doktor!

Roześmiali się, a tymczasem towarzysząca Rawlinsowi młoda kobieta mocniej ścisnęła go za ramię.

— O przepraszam, zapominam o dobrym wychowaniu. Janelle, pozwól, że ci przedstawię odważną panią doktor, Samantę Hargrave.

Janelle nie miała ochoty na żarty; jej oczy pozostały twarde jak okruchy kobaltu.

— Miło mi panią poznać — powiedziała.

— I mnie również, pani Rawlins.

Na twarzy Marka odbiło się zdumienie.

— Pani Rawlins?! Wielkie nieba, ależ Janelle nie jest moją żoną! Zupełnie pokpiłem sprawę, pani doktor. To jest panna Janelle MacPherson, moja stara i dobra przyjaciółka.

Czyżby Samancie się tylko wydawało, czy rzeczywiście czarne źrenice Janelle zabłyśły gniewem na dźwięk słowa „stara”?

— Panno MacPherson, proszę wybaczyć mi gafę. Sądziłam, że jest pani żoną doktora Rawlinsa.

Janelle nie odezwała się słowem. Najwyraźniej pomyłka nie rozśmieszyła jej wcale. Panna MacPherson właśnie bardzo chciała uchodzić za żonę doktora Rawlinsa. Oczy Marka błyszczały wesołością, świetnie się tą sytuacją bawił.

— A skąd pani przyszło do głowy, że w ogóle jestem żonaty?

— Nie jest pan?

— Kiedy ostatnio zadałem sobie to pytanie, jeszcze nie byłem.

— A zatem naprawdę czuję się zakłopotana. Po uroczystości wręczenia dyplomów doktor Jones dopytywał się o panią Rawlins.

— Ach tak! Pytał o moją matkę. Miała mi towarzyszyć do Lucernę, ale jeden z napadów artretyzmu zatrzymał ją w domu. — Jego zniewalające piwne oczy patrzyły na nią z uśmiechem. — A więc myślała pani, że jestem żonaty...

— Bardzo mi było miło panią poznać, pani doktor Hargrave — usłyszeli lodowaty głos. — Marek, kochanie, przecież się spóźnimy.

Z roztrzepaniem poklepał ją po ręce.

— Jeszcze chwileczkę, Janelle, bądź tak dobra. Pani doktor, sądziłem, że przyjdzie się pani upomnieć o to, co do pani należy.

Jeden rzut oka na zimną, jakby wykutą z marmuru twarz Janelle MacPherson powiedział Samancie wszystko, co chciała wiedzieć o jego „starej dobrej przyjaciółce”. Panna MacPherson zaborczo strzegła swojej zdobyczy — niczym kocica myszy — i najwyraźniej wyzywała Samantę na pojedynek. Jeszcze nie jesteś jego żoną, pomyślała Samanta przelotnie. Ale na pewno chciałabyś nią zostać. Wychodząc za męża za syna Króla Lodu, zostałabyś lodową księżniczką. Sprytne.

— Nie mam zbyt wielu możliwości, żeby się wyrwać ze szpitala, doktorze Rawlins, ale naturalnie wpadnę po moją schedę przy najbliższej okazji. Mam nadzieję, że instrumenty Joshuy nie przeszkadzają panu zbyttnio.

— Zupełnie nie. Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak pani znosi szpitalny reżim.

— Owszem, jest męczący, ale i stymulujący zarazem.

— Ile miesięcy jeszcze pani zostało?

— Trzydzieści.

— Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem o pani wyjazdach arribulansem!

— Gdyby nie Jake, nie wiem, co bym zrobiła. Jake powozi ambulansem od dobrych kilku lat i często jest dla mnie przewodnikiem. Nauczył mnie, jak wskakiwać na platformę, żeby nie polecieć na nos aż do samego końca, a poza tym doskonale wyczuwa, kiedy trzeba pędzić z chorym na złamanie karku, a kiedy można jechać nieco spokojniej.

— Czytałem o pani wyczynach. Doprawdy godne uwagi. Niestety przez te przechwałki Jake'a, całe miasto czytało o nieustraszonej lekarce ze Świętej Brygidy!

— Obawiam się, że doktor Prince znalazł się w kłopotliwej sytuacji. W pierwszej chwili chciał zakazać Jake'owi wszelkich rozmów z prasą, ale okazało się, że niektórzy z naszych

fundatorów nie mieliby nic przeciwko odrobinie rozgłosu. Z całą pewnością Święta Brygida przestała być nudnym szpitalem.

Z uśmiechem w oczach przyglądał jej się zafascynowany.

— Pani życie musi być bardzo frapujące.

— W pewnym sensie tak, w innym nie — odparła i na tym skończyła.

Nie przyznałaby mu się za nic w świecie, że za rozgłos i wyjątkową edukację płaci samotnością. Chociaż z biegiem czasu jej koledzy stażyści jakoś pogodzili się z jej obecnością i wreszcie ją zaakceptowali — niektórzy z nich wręcz podziwiali jej hart ducha — to jednak na gruncie towarzyskim była im nadal całkowicie obca. W związku z absolutną wyjątkowością sytuacji (czasem nawet mieli wątpliwości, czy mimo wszystko nie urągającej aby przyzwoitości) młodzi lekarze robili wszystko, co w ich mocy, byle tylko nie zakłócić Samancie spokoju po pracy ani też jej nie obrazić. Zachowywali się jak stuprocentowi dżentelmeni, niezwykle grzecznie, szalenie poprawnie, i wychodzili ze skóry, żeby — broń Boże! — nie uchybić żadnym konwenansom. Czasami, kiedy siedziała wieczorem nad książką albo nad reperowaniem ubrania, za ścianą słyszała damski chichot i odgłos odkorkowywanego szampana. Co za ironia losu, że za sukcesy zawodowe musiała płacić aż taką cenę! Cóż z tego, że jako jedyna kobieta wdarła się do świata mężczyzn, była wśród nich, pracowała z nimi, jadała, a nawet z nimi mieszkała, skoro trzymali się od niej na dystans, jakiego nie zachowywali wobec zwykłych kobiet! Bywały takie chwile, kiedy aż do bólu pragnęła męskiej uwagi.

Usłyszeli szelest jedwabiu — to Janelle przypominała o swojej obecności.

— Wybacz mi, moja droga — doktor Rawlins zwrócił się do panny MacPherson. — Masz oczywiście rację; musimy już iść. Pani doktor Hargrave, panna MacPherson prezesuje dobroczynnej Lidze Pań z Madison Avenue. Szpital Świętej Brygidy korzysta z ich szlachetnych i wartościowych działań. A ponieważ jestem pracownikiem szpitala, szanowne panie zaprosiły mnie na swoje dzisiejsze posiedzenie.

Samanta uprzejmie skinęła głową; usiłowała ukryć wrazenie, jakie zrobił na niej pewien fragment jego wypowiedzi.

— Pan jest pracownikiem szpitala? Nigdy pana tutaj nie widziałam.

— Większości z moich pacjentów jest tu nie po drodze, stąd częściej bywam w szpitalu Świętego Łukasza. Ale od czasu do czasu przywożę tu pacjenta na operację, ponieważ sprzęt i warunki w Świętej Brygidzie są wprost znakomite. Czy pani też jest tego zdania, doktor Hargrave?

— Nie miałam okazji jeszcze tego stwierdzić, doktorze Rawlins, ale z całą pewnością nie omieszkam nadrobić braków. A teraz proszę mi wybaczyć, ale spóźniłam się już na obchód... Doktorze Rawlins, panno MacPherson, życzę państwu miłego dnia.

## 4

Samanta patrzyła na mały zegareczek w dłoni, a kiedy wskazówka sekundnika dotarła do dwunastki, szybko odłożyła zegarek i sięgnęła po skalpel. Szybkość była sprawą fundamentalnej wagi; choć pacjent leżał w narkozie, wstrząs nadal stanowił poważne zagrożenie. Zrobiła trzy gładkie cięcia, a potem upuściła skalpel i sięgnęła po piłę. Tu było najgorzej.

Wymacała hak do odsłaniania rany, ale wyslizgnął się jej z ręki i z brzękiem upadł na podłogę.

— Do diabła! — szepnęła i ze złością rzuciła poduszkę na łóżko. Przez chwilę stała w bezruchu; bolały ją nogi i krzyż i już miała zamiar dać sobie spokój tej nocy, kiedy jej wzrok padł na otwartą kasetkę na podłodze. Kasetka miała bez liku rozmaitych szufladek i półeczek oraz srebrną tabliczkę z wygrawerowanym nazwiskiem: JOSHUA MASEFIELD, DOKTOR MEDYCYNY. No dobrze, Samanto, spróbuj jeszcze raz, pomyślała.

Nie szło jej najlepiej, ale była zdecydowana za wszelką cenę dojść wreszcie do wprawy. Wysłała Jake'a na Madison Avenue do domu Marka Rawlinsa po kasetkę Joshuy, potem



kupiła sobie najlepszy dostępny podręcznik chirurgii, obejrzała dokładnie każdy instrument po kolei, starała się zapamiętać, do jakiej części ciała należy go użyć, a wreszcie zaczęła własny kurs chirurgii. Jej jedyną pomoc stanowiły narzędzia Joshuy, książka i poduszka, którą już tylekroć kroiliła i szyła, że w końcu nie mogła już na niej wygodnie spać.

Jeszcze raz stanęła nad poduszką i wzięła się do roboty. Przez okienko nad drzwiami słyszała męski śmiech, na który od czasu do czasu nakładał się wysoki damski chichot. To pewnie Amy Templeton, młodsza pielęgniarka znowu zabawia doktorów stażystów. Czasami przemycali ją jakoś na górę, omamiali błyskotkami, a potem używali jej całą siódemką.

Samanta nie miała cienia wątpliwości, że opanuje chirurgię. Naprawdę każdy człowiek po drobnym szkoleniu mógł z powodzeniem przeprowadzać operacje, gdyż większość z nich ograniczała się do zabiegów na kończynach. Prezydent Garfield umarł niedawno, dlatego że nikt nie miał odwagi otworzyć mu brzucha i wyjąć z niego kuli. Tylko jedną operację na brzuchu przeprowadzano ze względnym sukcesem — nacięcie jajnika. Przez malutkie nacięcie powłok chirurg błyskawicznie wprowadzał skalpel do wnętrza jamy brzusznej. Nikt jeszcze nie odważył się otworzyć brzucha, po to żeby usunąć kulę, i dlatego prezydent umarł. Zamachowiec, Guiteau, oświadczył na procesie: „Zabili go lekarze, ja tylko postrzeliłem.”

Samanta udawała, że piłuje kość, i myślała: Jakie by to było cudowne, gdybyśmy nauczyli się otwierać brzuch. Ile ludzkich istnień można by uratować, ilu tragediom zapobiec... Chorobom macicy, ciężom jajowodowym... Pod dwoma centymetrami ciała leżał świat tak nieznanym, jak gwiazdny kosmos.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Wstrzymała oddech i spojrzała w górne okienko.

- Słucham!
- Doktor Hargrave — usłyszała głos pani Knight.
- Doktor Prince czeka na panią u siebie w gabinecie.
- Teraz?
- Jak najszybciej.

W ciągu minuty schowała narzędzia do kasetki. Na wypadek czyjejs nieproszonej wizyty kasetkę wepchnęła pod łożko i zadawała sobie w duchu pytanie, co też Prince znowu wymyślił.

Nigdy nie mogła się nadziwić, że zawód lekarski przyciąga aż tylu opryskliwych, gburowatych mężczyzn. Wiedziała, że w większości przypadków ta ich burkliwość to tylko maska („Zawsze bądźcie poważni i surowi — uczono ich w akademiach. — Pacjent nie ufa wesołkowi.”) Podejrzewała jednak, że nieuprzejmość i surowość doktora Prince'a wynika głównie z jego charakteru. Stała teraz przed nim — nigdy jej nie zapraszał, by usiadła — a tymczasem on celowo udawał, że jej nie dostrzega. Wreszcie odłożył papiery i spojrzał na nią zimno.

— Doktor Hargrave, co roku członkinie pewnego stowarzyszenia dobroczynnego organizują bankiet dla przedstawicieli kilku nowojorskich szpitali. Celem tego spotkania jest wybranie szpitala, który w danym roku otrzyma lwią część zebranych przez to stowarzyszenie pieniędzy. Pech chciał, że szpital Świętej Brygidy w ciągu ostatnich kilku lat nie otrzymał żadnej zasadniczej kwoty, ale w tym roku widzę dla nas duże szanse. Bankiet ma charakter ważnego wydarzenia towarzyskiego i stażyci z zasady nie są na niego zapraszani. W tym roku jednak zwrócono się do nas z życzeniem, by przedstawić szanownemu gremium osobę, która jest nowym nabytkiem w programie naszego szkolenia. Jest pani zaproszona na ten ważny wieczór.

Spojrzał na nią pytająco, ale Samanta milczała.

— Niektóre członkinie owego stowarzyszenia od dawna chciały widzieć w szpitalach lekarki. Są to pewne elokwentne damy z towarzystwa, które nazywają siebie feministkami. Prosiły o pani udział w tym spotkaniu, by mieć sposobność poznania pani osobiście. Zapewniłem je, że pani naturalnie przyjdzie. Spotkanie odbędzie się od jutra za tydzień, a towarzyszył pani będzie doktor Weston. Mam nadzieję, że zrobi pani dobre wrażenie, doktor Hargrave. Stan finansów naszego szpitala zależeć będzie od tego, jak się pani zachowa.

Ty stary obłudniku, pomyślała. Więc nagle jestem jednak coś warta? Ha, może zatem dobijemy targu...?

Odwrociła się, żeby wyjść.

— Doktor Hargrave, nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo mi zależy na pani obecności podczas tego wieczoru. — W jego zimnych oczach dostrzegła błysk groźby. — Proszę się nie spóźnić, pani doktor, i proszę zadbać o to, by panie odniosły jak najkorzystniejsze wrażenie.

Zapinała niezliczone guziczki swojej dyplomowej sukni z szarego jedwabiu i uśmiechała się do lustra. Wiedziała, co zrobi. Skoro Prince'owi tak bardzo zależy na jej współpracy, będzie musiał za tę współpracę zapłacić.

Spojrzała za okno. Na ulicach zapalano już lampy gazowe; we mgle wyglądały jak dmuchawce.

— Tak, pani Stuyvesant — rzekła głośno, ćwicząc swoją kwestię. — U Świętej Brygidy czuję się wspaniale. To bardzo szlachetnie ze strony dyrekcji szpitala, że umożliwiła mi odbycie stażu. Niestety jednak czuję, że jestem szykanowana z powodu męskich uprzedzeń. Bo widzi pani, chciałabym też przejść kurs chirurgii. Ale do chirurgii nie chcą mnie dopuścić...

Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi.

— Kto tam?

— Ktoś czeka na panią w hallu, doktor Hargrave — usłyszała młody głos siostry Amy.

Samanta zerknęła na zegarek przypięty do stanika sukni. Niedługo pewnie przyjdzie doktor Weston.

— Kto taki?

— Jakiś pan Ar... Arnold i mówi, że to pilne.

Luther!

Nerwowo spacerował po hallu, błądy jak ściana. Chodziło o Luizę. Zaczęła rodzić i cały czas wołała Samantę. Tak, owszem, mają akuszerkę, ale Luiza nie daje się jej dotknąć.

Samanta pobiegła do swojej sypialni, na drzwiach zostawiła karteczkę z informacją dla doktora Westona — napisała, żeby szedł sam, ona dołączy później — a potem chwyciła perlerynę i torebkę, wzięła Luthera pod ramię i wyszła w mglistą noc.

Z początku nie wiedziała, dlaczego Luiza kazała ją sprowadzić. Zbadała przyjaciółkę i stwierdziła normalny poród w toku. Nie widziała żadnych komplikacji. Wygląd akuszarki budził zaufanie, a jej ręce były aż różowe od szorowania. Ale nagle ujrzała strach w oczach Luizy, i wszystko zrozumiała.

— Będzie dobrze, Luizo. To najnormalniejszy poród w świecie. Wszystko idzie tak, jak powinno. Nie masz się czym martwić.

— Samanto! — Luiza wczepiła pulchne palce w nadgarstek przyjaciółki. — Umrę! Wiem, że umrę! Śniło mi się, że tego nie przeżyję!

Samanta usiłowała ukryć zaniepokojenie.

— Zaraz wrócę, Luizo. Tymczasem zostajesz pod opieką pani Marchand. — Wyrwała się z uścisku Luizy i zeszła na dół. Opuszczony, zagubiony Luther siedział w zabałaganionej kuchni. Słyszac Samantę, podniósł wzrok.

— Ona nie chce tego dziecka, Samanto. Nienawidzi go.

— Jest po prostu przestraszona. — Usiadła koło niego i oparła mu dłoń na ramieniu. — Jak tylko urodzi, od razu inaczej spojrzy na świat.

Potrząsnął głową.

— Po tym wszystkim jeszcze bardziej znienawidzi i dziecko, i mnie.

Patrzyła na niego i myślała: On może mieć rację.

— Samanto... — odezwał się znowu, z ledwie słyszalnym obcym akcentem. — Pozwól mi przy tym być. Nie powinna przechodzić przez to sama. To nasze dziecko, więc musimy być razem.

Wahała się. Na wsiach mężowie często asystowali przy porodach i nikt się temu nie dziwił, ale jakoś powszechnie uznano, że mężczyźni z miast muszą się od takich spraw trzymać z daleka. To nieprzyzwoite! — krzyczano. W wielu miejscach nie chciano nawet słyszeć o lekarzach. W okolicach Św. Brygidy stażystom często z oburzeniem zamykano drzwi przed nosem. Pomoc przy rozwiązaniu należała do kobiet, a mężczyznom od tego wara!

Pomyślała o swoim szefie i o bankierce. O pani Marchand na górze — zatwardziałej członkini hermetycznego kręgu akuszerki, która jak lwica będzie bronić Lutherowi dostępu do sypialni. I nagle wiedziała już, co robić.

Kiedy pani Marchand zobaczyła za plecami Samanty Luthera, zerwała się na równe nogi i zaczęła żywo protestować.

— Pan Arndt nam pomoże — uspokoiła ją Samanta.

Luther opadł na kolana przy łóżku Luizy i zaczął głaskać jej spocone czoło; akuszerka zmrużyła oczy i z wyrazem najwyższej dezaprobaty zacisnęła usta. Nie dość, że wołają doktora, to jeszcze i mąż będzie się tu plątał! Hm, państwo Arndtowie mogą sobie od razu upatrzeć inną akuszerkę na przyszłość.

Od chwili kiedy Luther stanął przy Luizie, poród zaczął iść zupełnie gładko. Pani Marchand na prośbę Samanty została w sypialni, choć w gruncie rzeczy zupełnie nie wiedziała po co; siedziała sobie w rogu i od czasu do czasu obrzucała spojrzeniem spod oka doktóreczkę-elegantkę i jej wymyślną jedwabną suknię.

Kiedy skurcze się nasiliły, Luiza zaczęła krzyczeć.

— Nie pozwólcie mi umrzeć! To mnie zabije!

A gdy w kanale rodnym ukazała się główka, Samanta zwróciła się do Luthera:

— Twoje dziecko przychodzi na świat. Chodź tutaj, usiądź, podłóż ręce...

Przy następnym skurczu Luiza jęknęła głośno i gwałtownie poczerwieniła na twarzy.

— Spokojnie — kołła Samanta. — Widzimy już czubek głowy dziecka.

Luther zamrugał nerwowo, w ciągu sekundy kołnierzyk jego koszuli zrobił się mokry od potu.

— Uważaj, Luther. Teraz, przy następnym skurczu... — Sięgnęła pod jego ręce i ułożyła je właściwie; jedną nad mającą się zaraz ukazać główką, drugą niżej. Nie odchodziła od Luizy.

Małeńka główka to pojawiała się tuż przy wyjściu, to znów cofała — niczym fala, która dobija do brzegu. Przy każdym

skurczu Luiza po trochu wypychała ją do przodu. Luther siedział jak zaczarowany i trzymał ręce w pogotowiu, aż wreszcie kiedy maleńki łebek wystrzelił na zewnątrz, zaczął szybko działać. Niżej ułożoną ręką delikatnie podtrzymywał buzię noworodka, a tymczasem drugą chronił malutką czaszkę, która już się wolno obracała.

Patrzył na to zupełnie zafascynowany, jak człowiek, na którego ktoś rzucił czar. Jego ręce ruszały się całkiem bezwiednie, instynktownie, jakby nigdy nie robiły nic innego. Nie ciągnął za główkę, czego Samanta przez chwilę się obawiała; czekał cierpliwie, aż dziecko przestanie się obracać, i szykował się do następnego skurczu. Przy kolejnym parciu Luiza wypchnęła z siebie maleńkie ramionko. Luther nachylił się, rozprostował podtrzymującą dłoń i przyjął na nią maleńkie ciało, które wyslizgnęło się z łona matki.

Samanta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Luther był szybszy. Błyskawicznie wytarł rogiem ręcznika noski i usta noworodka i wiedziony instynktem, delikatnie poklepał malca w plecki. Dziecko zakrzusiło się i cicho zapłakało.

— Chłopiec? — krzyknęła Luiza.

Teraz Samanta wkroczyła do akcji. Szybko podwiązała pępowinę, przecięła ją i natychmiast zawinęła malucha w koczek, po czym wręczyła go Lutherowi. Przytulił dziecko do piersi, wstał i na drżących nogach obszedł łóżko. Uklęknął z drugiej strony i włożył zawiniątko w wyciągnięte ramiona żony.

— Tak, Luizo, mamy chłopca — szepnęła.

— Chłopca! Chłopca! — Młoda matka przyciągnęła malca bliżej i z zaciekawieniem oglądała maleńką buzię dziecka.

— Och, Luther, jest taki podobny do ciebie...

Samanta aż usiadła, kiedy i ją ogarnęło ich uniesienie i przepełniło jej serce radością. Potem spojrzała na zegarek i zmartwiła. Była trzecia nad ranem.

Luther uparł się, że ją odprowadzi. Choć do świtu została jeszcze godzina, udało im się bez trudu znaleźć dorożkę. W gęstej mgle jechali opustoszałymi ulicami Manhattanu.

— Ona już kocha to dziecko, Samanto — powiedział ze zdziwieniem w głosie. Dorożka skrzypiała, kołysała się, a stu-

kot końskich kopyt odbijał się echem od uśpionych budynków. — Teraz wydaje mi się, że i mnie kocha.

— Zawsze cię kochała — odparła Samanta ze znużonym uśmiechem. Nie bardzo wiedziała, na czym polegał cud tej nocy, ale nie miało to znaczenia. W głębi serca czuła, że między Lutherem i Luizą wszystko się dobrze ułoży. Dopiero kiedy ujrzała przed sobą kamienny fronton Św. Brygidy, pomyślała o sobie.

Luther kazał dorożkarzowi czekać i podprowadził Samantę na schody. Stanęła przy drzwiach.

— Tu już jestem bezpieczna. Dziękuję, że mnie odwiozłeś.

— Nigdy nie będziemy mogli ci się odwdziżyć, Samanto, za to, co dzisiaj zrobiłaś.

— Wracaj do swojej rodziny. Pani Marchand pewnie chce już pójść do domu.

Niewiele się zastanawiając, Luther otoczył Samantę ramionami i mocno ją uściskał. Odpowiedziała mu tym samym, przytulając go do siebie jak brata.

Po drugiej stronie masywnych dębowych drzwi jakiś mężczyzna szedł ciężkim krokiem przez słabo oświetlony hall. Wezwano go w nocy do ponownego zaszycia rany, a teraz śpieszył do domu, żeby złapać jeszcze choć trochę snu przed poranną operacją.

Marek Rawlins otworzył szeroko drzwi i znieruchomiał. Wystarczyły sekundy, żeby scena, którą ujrzał przed sobą, na długo została mu w pamięci. Samanta Hargrave w gorącym uścisku z jakimś młodym człowiekiem! Cofnął się natychmiast do środka, przytrzymał ciężkie drzwi, żeby nie huknęły, i postanowił opuścić szpital innym wyjściem.

Silas Prince był tak potwornie rozsierzdzony, że w ogóle nie usiłował zachować najmniejszej dyskrecji ani też jakichkolwiek form dobrego wychowania. Kiedy Samanta rano weszła do jadalni, zerwał się zza stołu i niemal przewracając krzesło, podbiegł do niej i zagroził jej drogę.

— Gdzie pani wczoraj była, doktor Hargrave?!

Jego wybuch tak ją zaskoczył, że przez chwilę nie odpowiadała, urażona jego grubiaństwem i spojrzzeniami znad innych stołów.

Sztwywny z wściekłości i roztrzęsiony powtórzył pytanie. Oburzona, że żąda od niej, żeby opowiadała się przed nim publicznie, milczała.

Z tyłu, zza jej pleców, odezwał się Marek Rawlins, który siedział nad śniadaniem w towarzystwie dwóch kolegów. Mylnie zinterpretował jej milczenie; sądził, że nie odpowiada, bo nerwowo szuka usprawiedliwienia.

— Pani doktor była ze mną, doktorze Prince.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Zdawało się, że brwi Silasa Prince'a skoczyły aż na czubek czoła.

— Co takiego?

Samanta gwałtownie spojrzała na Rawlinsa. Właśnie wstał i do nich podchodził. Miał nadzieję, że swoim swobodnym sposobem bycia rozluźni napiętą atmosferę w jadalni.

— Tak naprawdę to moja wina, doktorze Prince. Doktor Hargrave zwracała mi uwagę, że możemy nie zdążyć, ale bytem uparty jak muł i zmusiłem ją, żeby towarzyszyła mnie i mojej matce w wycieczce wokół Long Island. Niestety zanim się spostrzegliśmy, gęsta mgła uniemożliwiła nam powrót o właściwej porze.

Samanta spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Przepraszam bardzo, doktorze Rawlins, ale nie musi pan wyrhyślać historyjek, żeby mnie osłaniać. Sama sobie poradzę. — Odwróciła się od Marka. — Doktorze Prince, wczoraj wieczorem wezwano mnie do porodu. Mogę panu podać nazwisko i adres ludzi, którzy mnie wezwali, jeżeli życzy pan sobie sprawdzić moją wersję.

Przez twarz Silasa Prince'a przetoczyła się burza najróżniejszych uczuć. Zdezorientowany spojrzał na Marka Rawlinsa.

— Mogła pani podesłać tam kogoś w zastępstwie, doktor Hargrave. Nie miała pani wczoraj dyżuru.

— Pacjentka jest moją przyjaciółką. Obiecałam jej, że będę przy rozwiązaniu.

— Nie mieli akuszerki?



— Owszem, mieli.  
— Więc po co pani tam szła? Były komplikacje?  
— Żadnych.  
— A zatem — znowu podniósł głos — dlaczego nie widziałem pani u Vanderbiltów?

— Jak już mówiłam, doktorze, obiecałam przyjaciółce, że może na mnie liczyć.

— Doktor Hargrave... — Silas Prince najwyraźniej usiłował okiełznać ogarniającą go furję. — Wczoraj wieczorem postawiła mnie pani w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Okryła pani hańbą nasz szpital. Czekaliśmy na panią cały wieczór. Nie wiedziałem, jak się usprawiedliwić przed paniami. Zrobiła pani ze mnie durnia! Doktor Weston powiedział, że została pani wezwana w pilnej sprawie. Nasze panie były w najwyższym stopniu zawiedzione. — Zacerpnał tchu. — Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co pani narobiła, doktor Hargrave?! Pozbawiła pani nasz szpital jedynej szansy na fundusze w tym roku! Za pieniądze, których nie dostaniemy, mogliśmy kupić nowe łóżka, materace, zatrudnić dodatkowe pielęgniarki, nabyć zapas chininy... — Urwał, powstrzymując nieuchronny wybuch. — Naczelną zasadą, jaka obowiązuje w tej placówce, jest posłuszeństwo — ciągnął, z trudem panując nad głosem. — Nie możemy tolerować jawnego lekceważenia służbowych poleceń. Proszę spakować swoje rzeczy i zabierać się stąd natychmiast!

— Ależ panie doktorze, są przecież jakieś wyjątki. Dobro pacjenta jest chyba ważniejsze od najsurowszych nakazów.

Przeszył ją lodowatym wzrokiem.

— Czy życie pacjentki było zagrożone?  
— Nie, ale...  
— A może jej bezpieczeństwo albo bezpieczeństwo dziecka?

— Nie.

— Zostawiono ją bez pomocy?

— Nie. — Samanta westchnęła.

— A zatem nic nie usprawiedliwia pani wczorajszego wybryku. Proszę więc jak najszybciej opuścić szpital.

Stała na środku sali jak wmurowana. Najpierw wyszedł Silas Prince, a potem inni, pojedynczo i dwójkami, zakłopotani sytuacją. Aż wreszcie została sam na sam z Markiem Rawlinsem.

— Doceniam pańską rycerskość, doktorze Rawlins — zwróciła się do niego. — Ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego doszedł pan do wniosku, że musi mnie pan ratować.

Doktor Rawlins rozejrzał się po jadalni, żeby sprawdzić, czy nikt już na pewno nie został.

— Dziś nad ranem, kiedy wychodziłem ze szpitala, trafiłem na scenę pożegnania na schodach — rzekł cicho.

Zmarszczyła czoło.

— Nie rozumiem...

— Sądziłem, że nie zechce pani mówić Prince'owi, że dlatego nie przysłała pani na bankiet, bo umówiła się pani na wieczór z pewnym dżentelmenem.

— Dżentelmenem! Pan myśli o Lutherze. To mąż mojej przyjaciółki, która wczoraj rodziła! — Nagle rozumiejąc, w czym rzecz, szerzej otworzyła oczy. — A pan myślał... Pochlebia mi to bardzo, doktorze Rawlins, ale źle pan zinterpretował tamtą scenę! Dziękuję za pańską chęć niesienia pomocy, ale zapewniam pana, że sama świetnie potrafię ratować się z opresji.

— Tak pani sądzi? Obawiam się, że przez swoją szczerość, doktor Hargrave, straciła pani miejsce w tym szpitalu.

— Tak — przyznała ze smutkiem. — Wszystko na to wskazuje.

— I co pani zrobi?

— Nie wiem. Nie sądziłam, że doktor Prince rozprawi się ze mną aż tak surowo.

— Czy pozwoli mi pani na jeszcze jeden akt rycerskości?

Patrzyła na jego uśmiech i przez chwilę miała wrażenie, że Marek Rawlins kpi. Ale dostrzegła głęboką troskę w jego oczach.

— Co pan proponuje?

— Dyrektor szpitala Świętego Łukasza jest mi winien uprzejmość...

— Dziękuję, doktorze Rawlins, ale będę się źle czuła wiedząc, że moja posada została na kimś wymuszona.

Przyglądał się jej ślicznej twarzy, tak dumnie uniesionej, i widział w niej też wzruszającą bezbronność.

— Proszę nie rezygnować z tej propozycji pochopnie. Szukanie pomocy u przyjaciół nie jest oznaką słabości.

Spojrzała na niego. Dostrzegła szczerłość w piwnych oczach, a jego bliskość na chwilę ją sparaliżowała. Czuła jego zniewalającą męską woń, mieszaninę zapachu wełnianego sukna, wody kolońskiej i cygara. Marek Rawlins, jak żaden inny mężczyzna, miał zdumiewającą zdolność sprawiania, że tak wyraźnie czuła się kobieta. W tej chwili w dodatku bezradną.

— Chyba ma pan rację, doktorze — przyznała. — Teraz skorzystam z wszelkiej oferowanej pomocy.

— Czy mogę porozmawiać z doktorem Prince'em w pani sprawie?

— Nie chciałabym dawać mu tej satysfakcji, bo jestem przekonana, że i tak panu odmówi.

— A zatem z dyrektorem Świętego Łukasza?

Wytrzymała jego spojrzenie i choć wiedziała, że stoją zbyt blisko siebie, nie była w stanie się cofnąć.

— Święty Łukasz jest dobrym szpitalem, Samanto. Mogłaby pani trafić dużo gorzej.

Uśmiechnęła się wreszcie.

— Jestem głęboko wdzięczna za pana troskę, doktorze Rawlins. Nie wiem jeszcze, co zrobię. Gdybym jednak zmieniła zdanie...

— Zna pani mój adres. Proszę wpaść o dowolnej porze. Jestem do pani usług.

Spakowała już ostatnie swoje rzeczy i usiadła przy oknie. Jeszcze raz przeliczyła pieniądze w nadziei, że tym razem doliczy się większej kwoty. Niestety. Miała dokładnie dwadzieścia dziewięć dolarów i czterdzieści siedem centów.

Usłyszała pukanie. Otworzyła drzwi i ujrzała sekretarza doktora Prince'a.

— Pani doktor, mam pani przekazać, że zostaje pani w szpitalu aż do końca stażu.

Patrzyła na niego i nad czymś rozmyślała.

— Proszę powiedzieć doktorowi Prince'owi, że chciałabym to usłyszeć od niego osobiście, inaczej odejdę, jak było ustalone.

Pięć minut później usłyszała decyzję od samego szefa.

— Proszę bardzo, było osobiście — mruknął, odwrócony do niej plecami.

— Dlaczego zdecydował się pan mnie zatrzymać?

Odwrocił się i spojrzał na nią z niechęcią.

— Święta Brygida dostaje duży zastrzyk pieniędzy od Ligi Pań, doktor Hargrave, ale czek został wypisany imiennie. Na panią.

— Dlaczego?

— Dzięki rozgłosowi w prasie panie z Ligi mają uczucie, że już panią znają. Wygląda na to, że decyzję w tej sprawie podjęły przed bankietem, a przyjęcie było jedynie formalnością. — Obszedł biurko i spojrzał jej prosto w oczy. — Doktor Hargrave, przez wzgląd na dobro szpitala, jestem skłonny do dużych ustępstw; gotów jestem poświęcić nawet własne zasady, ale ostrzegam panią raz na zawsze, pani doktor, że w dalszym ciągu niechętnie patrzę na pani obecność w szpitalu. Ponieważ jednak Świętej Brygidzie potrzebne są pieniądze, będę panią tolerował, doktor Hargrave, ale śpieszę też dodać, że moja cierpliwość ma jednak swoje granice. Wczorajszego incydentu nie puszczę w niepamięć. Radzę, żeby od-tąd pani uważała...

## 5

Zimna wilgotna jesień ustąpiła kaszającej mrozem zimie. Wszystkie koce, jakimi szpital dysponował, rzucono na łóżka, a piece na oddziałach dymiły pełną parą. Zima ukróciła też kontakty Samanty ze światem — głęboki śnieg uniemożliwił jej wizyty u Luizy, a ofiary wypadków na ulicach i liczne zapalenia płuc trzymały w szpitalu.

Rzadko widywała Marka Rawlinsa, ale miała wrażenie, że ich niby przypadkowe spotkania są przez niego ukartowane. Najczęściej widywali się w stołówce. Dostrzegała, że czasem patrzy na nią nawet wówczas, kiedy zajęty jest rozmową z kimś innym. I zdarzało się również, choć nieczęsto, że uśmiechał się do niej ciepłym, porozumiewawczym uśmiechem, jakby łączył ich wspólny sekret.

Janelle MacPherson często zjawiała się w salach szpitalnych oddziałów, w kapeluszu i długiej pelerynie z soboli, którą zamiatała posadzki. Za nią snuł się korowód pełnych dobrej woli i znudzonych młodych dam, które znosiły do szpitala koce i Biblie dla pacjentów, a potem na corocznym bankiecie gratulowały sobie dobrych uczynków. Ilekroć Samanta spotykała pannę MacPherson, wymieniały tylko oficjalne ukłony, niemal nie przyznając się do znajomości.

Często natomiast miała okazję spotykać Letycję MacPherson, ładniutką i sympatyczną młodszą siostrę Janelle. Letycja dużo się śmiała, miała włosy koloru pierwszego brzasku słońca i wyraźnie współczujące serce, które chętnie okazywała pacjentom. Była też jedyną osobą z wyższych sfer, która w ogóle zatrzymywała się przy ubogo odzianej lekarce Św. Brygidy i choćby kilkoma słowami dodawała jej otuchy.

Samanta nadal spędzała wieczory na potajemnym studiowaniu chirurgii. To jej ambitne zajęcie skazywało ją na jeszcze większą samotność, tym dotkliwszą, że z korytarza dochodziły odgłosy świątecznej zabawy. Ale też, prawdę mówiąc, jeszcze nigdy niczego nie robiła z większą zawziętością. Wreszcie poznała już całą teorię, zapamiętała wszystkie informacje z książki, swobodnie operowała narzędziami, nauczyła się zakładać szwy. Teraz mogła już tylko czekać, żeby wykorzystać to wszystko w praktyce.

Pierwszy dzwonek wyrwał ją ze snu, ale przy drugim, ubrana w strój roboczy, pędziła korytarzem i naprędce przypinała szpitalną czapkę do włosów. Jake dla rozgrzewki machał ramionami i krążył przy koniach.

— Okropna noc, pani doktor — mruknął i pomógł jej wejść na platformę.

— Co dzisiaj mamy, Jake?

— Wypadek w Meadowland. Nie wiem nic więcej.

Chwyciła się poręczy i ruszyli w śnieżną noc. Mimo dwóch par rękawiczek czuła lodowaty chłód metalu. Meadowland. Pewnie ranny akrobata. Takie rzeczy często się zdarzają w lokalach rozrywkowych. Akrobaci ryzykują nadmiernie, żeby tylko ściągnąć jak największą publiczność.

Po drodze w oknach mijanych domów zauważyła ciepły blask świec i przypomniała sobie, że to Wigilia. Było jej wszystko jedno. Po to, żeby inni stażyci mogli spędzić ten wieczór z rodziną, na ochotnika zgłosiła się na dyżur w pogotowiu. Arndtowie zaprosili ją na kolację, ale tak naprawdę nie była im wcale potrzebna — wyłączając małego puciołowatego Johanna świata poza sobą nie widzieli. Dla Samanty ten wieczór nie będzie się różnił niczym od innych wieczorów w roku — tak postanowiła.

Fronton Meadowland ustrojony światłami i kolorowymi afiszami wyglądał jak świąteczna choinka. Modnie ubrane panie w wieczorowych sukniach i panowie w eleganckich pelerynach szli od powozów oblodzonym chodnikiem. Kilkoro z nich obejrzało się, kiedy zajechał ambulans.

— Doktorko... — wysapał zdenerwowany malutki człowieczek o rozbieganym spojrzeniu. — Idziemy na zaplecze, tylko po cichu... Nikt o niczym nie wie.

Samanta i Jake weszli za dyrektorem tylnym wejściem po schodkach. Przedarli się przez płataninę lin i rekwizytów oraz przez ludzi w najcudacniejszych kostiumach. Zza zsuniętej kurtyny dobiegały dźwięki muzyków strojących instrumenty, a z widowni szmer ożywionej publiczności.

— Że też musiała sobie wybrać akurat ten wieczór! — oburzał się dyrektor, kiedy stanęli pod drzwiami z przyklejoną lśniąca gwiazdą. — Sala wypełniona po brzegi! W Wigilię ludzie mają ochotę się zabawić, a tej akurat dziś musiało to strzelić do głowy!

Drzwi zostały otwarte, ukazując zagraconą garderobę rozjarzoną błękitnymi płomykami gazowych lampek. Wewnątrz

znajdowały się dwie osoby. Jedna spoczywała na leżance, a druga klęczała obok. Tylko ta klęcząca słysząc, że ktoś wchodzi, odwróciła głowę.

— To jest doktorka ze Świętej Brygidy — oznajmił dyrektor.

Kobieta ubrana w obcisły trykot naszywany cekinami i ustrojona w strusie pióra podniosła się z podłogi i zrobiła Samancie miejsce przy leżance.

— Co się stało?

Kobieta w trykocie zerknęła na dyrektora i woźnicę.

— Miała wypadek z drutem do dziergania.

Opadła na kolana i sięgnęła po koc, który okrywał leżącą na wznak dziewczynę. Samanta obróciła głowę i przez ramię spozjrzała na mężczyzn. Odebrali ten znak właściwie i natychmiast wyszli z garderoby. Dopiero wówczas Samanta odchyliła koc.

— Kiedy to zrobiła? — zapytała. Uniosła jedną ręką spódnice nieprzytomnej, a drugą badała jej puls.

— Nie wiem. Chyba z pół godziny temu. Miała dziś występować. Wie pani, ona jest Złotym Słowikiem. No więc ta się szykuje do wyjścia, a tu wpada on i...

Samanta słuchała relacji, a jednocześnie badała skutki samookaleczenia. Poczwała, że ogarnia ją dzika furia. Do jakiej to desperacji można przywieść kobietę!

— Strasznie się pokłócili! Wszyscy w teatrze słyszeli! Ona mu mówiła, że jest przy nadziei, a on jej na to, że to nie jego bachor, a z niej lepsza kurew. Potem go błagała, żeby jej nie zostawiał, a on sobie wyszedł. Wreszcie pan Martinelli, to jest dyrektor, przysłał mnie tu, żeby zobaczyć, czy ona dzisiaj zaśpiewa. No więc wchodzę, a ona robi to właśnie drutem do swetrów, ale już jest za późno, bo krew z niej tak sika...

— Niech pani zawoła mojego woźnicę — powiedziała Samanta. Obciągnęła sukienkę nieprzytomnej i owinęła jej nogi kocem.

— Włożyłam jej tam ręcznik — wyjaśniła kobieta w drodze do drzwi. — Dobrze zrobiłam, pani doktor?

— Prawdopodobnie uratowała jej pani życie.

Ambulans kołysał się szaleńczo i ślizgał na lodzie; pędził, alarmując dzwonkiem. Samanta nachylona nad nieprzytomną pacjentką, miała twarz jak wykutą z marmuru; można by sądzić, że nie myśli o niczym, ale w jej głowie szalała istna burza myśli. Kobieta zadała sobie bardzo poważne rany — przekłuła macicę, otrzewną i prawdopodobnie uszkodziła jelito. Samanta wiedziała, że jej szanse na przeżycie są równe zeru. Chyba że natychmiast zostanie przeprowadzona operacja.

Błyskawicznie oceniała sytuację. U doktora Prince'a właśnie odbywało się wigilijne przyjęcie i niemal wszyscy doktorzy Św. Brygidy aktualnie u niego bawili; pięciu stażystów dostało dispensę i pojechało do domów; w pogotowiu była tylko ona, a na oddziałach dyżurował Weston.

Kalkulowała, ile czasu zajmie ściągnięcie do szpitala lekarza z przyjęcia u Prince'a, a ile zostało go pacjentce. Poczowała ucisk w gardle. Za mało...

Biegła przodem, gdy Jake wnosił kobietę do hallu. Kiedy wpadła do wymarłej izby nagłej pomocy i gwałtownie zerwała z siebie pelerynę, doktor Weston wygrzewał sobie plecy przy żelaznej kozie.

— Czy poza nami jest jeszcze ktoś w szpitalu, doktorze? Potrzęsnał głową i spojrział nad jej ramieniem.

— Co się stało?

— Próba aborcji. Myślę, że doszło do obrażeń wewnętrznych. Pacjentka się wykrwawia, doktorze. Musimy natychmiast operować. Czy pan to zrobi?

Znowu potrząsnął głową.

— Dopiero zacząłem kurs chirurgii. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Lepiej wysłać Jake'a po kogoś.

Odwróciła się na pięcie.

— Jake, leć no po kogoś, tylko migiem. Po kogokolwiek, po tego, kto jest najbliżej. Ale najpierw zanieś ją na salę operacyjną.

— Co... — zaczął doktor Weston.

Odwróciła się do niego.

— Musimy sami zacząć, doktorze. Ta kobieta jest w stanie krytycznym. Mamy niedużo czasu.

— Ale nie możemy operować bez specjalisty chirurga!



— Możemy zacząć, doktorze. Czy pan umie podawać narkozę?

— Ależ doktor Hargrave, pani nie przeszła...

— Jake, ruszaj się! Chodźmy, doktorze. Tracimy czas!

Pani Knight usłyszała dzwonek ambulansu i wyszła na schody. Teraz jej duża postać tarasowała przejście.

— Co się dzieje, doktor Hargrave?

— Zabieramy pacjentkę na salę operacyjną. Pomoże nam pani?

Samanta minęła panią Knight na schodach.

— Ale kto będzie operował, pani doktor?

— Ja — odparła, śpiesząc na górę.

Ruszała się płynnie, precyzyjnie, choć czuła, że jest szalenie spięta i trochę przestraszona. Jednak tygodnie samotnych ćwiczeń zrobiły swoje — jej ciało i mózg pracowały jak w zegarku; nie poddawała się panice. Wyjmowała z szaf komplet narzędzi (nigdy przedtem nie była w sali operacyjnej), pani Knight zapalała lampy gazowe, a doktor Weston przypinał do stołu nieprzytomną kobietę.

Kiedy Samanta odchodziła od szaf, niosąc przed sobą górę instrumentów, zapach eteru rozchodził się już w powietrzu. Wrzuciła narzędzia do miski.

— Pani Knight, proszę tu wlać roztwór kwasu karbolowego.

— Do miski? — Na twarzy siostry przełożonej odbiło się zdumienie, ale zrobiła, czego od niej żądano.

Samanta nie włożyła żadnego ze sztywnych od krwi fartuchów, tylko się przepasała czystym ręcznikiem. A potem zrobiła coś, co zaskoczyło zarówno panią Knight, jak i doktora Westona — zanim przystąpiła do operacji, zanurzyła ręce w kwasie karbolowym.

— Pani Knight, proszę przytrzymać nogi pacjentki — instruowała spokojnym głosem, ale w myślach dramatycznie poganiała Jake'a: Och, Jake, szybko, szybko!

Krwotok ustał, lecz nie uznała tego pochopnie za dobry znak; kobieta mogła krwawić do wewnątrz. Światło też było fatalne. Z reguły operacje przeprowadzano za dnia, kiedy za oknem świeciło najostrzejsze słońce; jeśli niebo zasłaniały

chmury, zabiegi najczęściej odwoływano. Niemal nigdy nie operowano w nocy. Samanta czuła, że usta ma suche, a pulsowanie krwi boleśnie dudni jej w uszach.

— Pani Knight, muszę mieć więcej światła. Jakaś lampę, jeśli to możliwe...

Od eteru zakręciło się jej w głowie.

— Doktorze Weston, myślę, że już wystarczy. Proszę co parę minut podawać kilka kropli...

Wyjęła z miski ostry haczyk chirurgiczny, wysiłkiem woli opanowała drżenie rąk i delikatnie wsunęła go w pochwę. Przypomniała sobie ilustrację z książki i zwinne dłonie doktor Blackwell przy pani Steptoe. Oparła czubek instrumentu o szyjkę macicy i wprowadziła narzędzie do wewnątrz. Teraz w świetle lampy, którą pani Knight postawiła na stole, mogła zobaczyć perforację ścianki.

Wydawało jej się, że noc ciągnie się w nieskończoność, ale zdawała sobie sprawę z tego, że upłynęło dopiero kilka minut. W myślach błagała Jake'a, żeby już wreszcie wrócił z jakimś chirurgiem, a mimo to kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał spokojnie:

— Jak tam puls, doktorze Weston?

— Około dziewięćdziesięciu, miarowy.

— Proszę sprawdzać co parę minut.

Boże, daj mi siłę, modliła się w myślach. Spraw, żeby ona mi tu nie umarła.

Minuty, naznaczone dojmującą ciszą, wlokły się niemiłosiernie. W sali było nieprzyjemnie zimno. Doktor Weston drżał. Pierś pacjentki unosiła się i opadała sennie. Samanta zacisnęła usta i pracowała w milczeniu; przy rogu stołu, niczym wierna i oddana strażniczka, stała pani Knight.

Samanta czuła, że palce ma zeszywniałe i nieposłuszne woli; bez przerwy musiała walczyć z narastającą paniką. I choć robiła wszystko tak, jak zapamiętała z książki, w myślach wdawała się w dysputy sama z sobą: Nie powinnam była w ogóle się za to zabierać. Nie powinnam była zaczynać tej operacji. Właśnie że nie, właśnie tak należało zrobić. To była jedyna szansa. Umarłaby, czekając na chirurga. A teraz jeszcze żyje. Ledwie, ledwie, ale jeszcze żyje. Tylko jak długo utrzymam ją

przy życiu? Boże, pewnie zaraz mi umrze! Nie powinnam była zaczynać...

Podwójne drzwi otworzyły się z impetem.

— Jak pacjentka? — zapyta! Marek Rawlins, jeszcze w paltocie i w przyprószonym śniegiem cylindrze.

Odczuła niewiarygodną ulgę.

— Żyje, doktorze. Ale ledwo, ledwo.

W następnej chwili stanął przy stole na miejscu pani Knight. Szybko obejrzał, co Samanta zrobiła.

— O tak... — Ujął haczyk chirurgiczny i ustawił go pod innym kątem. — W ten sposób. Dzięki temu więcej pani widzi, prawda?

— Tak... — wyszeptała.

— A teraz niech pani weźmie te szczypce zaciskowe... — Jego ręka łagodnie prowadziła jej dłoń, a niski męski głos wypełniał salę. — Proszę śmieiej używać gąbek osuszających. Pole zabiegu trzeba mieć zawsze dobrze widoczne, pani doktor. Pani Knight, światło jest fatalne. Doktorze Weston, pacjentka czuje ból, więcej eteru.

Zamiast przejąć operację w swoje ręce, na co liczyła Samanta, Marek tylko dołączył do niej, pracował z nią, instruował, prowadził.

— Dobrze pani zaczęła, pani doktor, ale ten haczyk odda pani większą przysługę, jeśli umieści go pani w taki sposób... — Objął jej rękę dłonią. — Niech pani nie naciska zbyt mocno, bo rozerwie pani tkankę. Czy ligatury są przygotowane?

— Tak. Moczą się w karbolu.

Oderwał wzrok od rany. Samanta pochylała głowę nad pacjentką — na koronie splecionej z kruczoczarnych włosów zobaczył roztopione płatki śniegu, które teraz lśniły jak diamenty. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Kiedy wzięła imadło z igłą, delikatnie ułożył jej palce właściwie, a gdy drżącą ręką zaciągnęła pierwszy węzeł, włożył do ręki nożyczki i poprowadził dłoń tak, by należycie uciąć nić.

Nawet na chwilę nie oderwała wzroku od rany. Była tak skupiona na pracy, że miał wrażenie iż ledwie dostrzega jego obecność w sali. A przecież bardzo wyraźnie czuła jego

bliskość, dotyk jego dłoni — stanowczy i delikatny zarazem. To, że Marek był przy niej — tak wspaniale opanowany — uspokajało ją i dodawało pewności siebie.

Pracowała szybko i sprawnie; niczego nie trzeba jej było pokazywać dwukrotnie. Marek nawlekał zagięte igły i przyglądał się, jak Samanta schludnie zszywa rozerwane tkanki, jak zręcznie i bez wahania wiąże supły — tak, jakby to robiła wiele razy. Zerknął na narzędzia w misce — wszystkie prawidłowo wybrane; spojrzął na ligatury — odpowiednio przycięte; aż wreszcie zadumał się nad odwagą, która ją pchnęła do samodzielnego rozpoczęcia operacji.

— Uratowała pani życie tej kobiecie, doktor Hargrave — powiedział.

Dopiero teraz uniosła głowę. W świetle gazowego płomyczka jej skóra przywodziła mu na myśl kość słoniową; oczy Samanty ginęły w głębokim cieniu.

— Straciłabym ją, gdyby nie pan.

Spojrzął w jej srebrzyste, ocienione długimi rzęsami oczy, w których lśniła siła i determinacja, i spostrzegł, że podobnie jak mróz za oknem okrywa szyby cienką taflą lodu, tak i jej oczy przysłania warstewka zwątpienia i niepewności.

— Zrobiła pani wszystko doskonale.

Kiedy wyciągnął do niej rękę, spuściła wzrok. Właśnie w tej chwili, gdy jego ciepło i energia spłynęły na jej palce, przeżyła jedną z najszczęśliwszych chwil w życiu. Uratowała skazaną na śmierć kobietę, odważnym krokiem przestąpiła próg sali operacyjnej i zakochała się w Marku Rawlinsie.

— Przez najbliższe pięć dni trzeba ją otaczać bardzo ścisłą opieką, pani doktor — powiedział, cofając rękę. Siegnął po czysty ręcznik, który mu już podsuwała pani Knight. — Istnieje duże niebezpieczeństwo wystąpienia zapalenia otrzewnej i posocznicy. Trzeba osłuchiwać jej brzuch co najmniej trzy razy dziennie i kontrolować temperaturę.

Uśmiechnęła się.

— Tak, doktorze Rawlins.

Zdjął fartuch przez głowę i podszedł do drzwi, żeby odwieźć go na kołku. Wyjął z kieszonki zegarek i nacisnął sprężynkę; koperta odskoczyła.

— Mamy już Boże Narodzenie, pani doktor.

Spojrzała na koronkową zasłonę z płatków śniegu za oknem.

— Mamy święta — zgodziła się cicho.

Podszedł do niej i jeszcze raz oburącz ujął jej dłonie. Staął tuż przy niej, nie zważając na doktora Westona ani na panią Knight. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Zdobyła sobie pani dziś mój niegasnący podziw, doktor Hargrave. Nigdy tej nocy nie zapomnę.

Niepokoiliła się. Samowolnie przeprowadziła operację i doktor Prince nareszcie weźmie odwet. Czy wstawiennictwo Marka uchroni ją przed usunięciem ze szpitala? Nie mogła przełknąć świątecznej kolacji, na którą zaprosili ją Luiza i Luther, nie mogła spać w nocy. Minęła jedna niespokojna doba, potem druga, a doktor Prince jeszcze nie rzucał gromów. Przeczuwała, że na pewno coś knuje. Tak, tym razem rozegra to powoli, za wiele razy mu się wywinęła. Choć nie żałowała tego, co zrobiła, żeby ratować piosenkarkę z Meadowland (kobieta wracała do zdrowia), zaczynała mieć wątpliwości, czy nie pośpieszyła się jednak zanadto.

Silas Prince wezwał ją dwa dni później.

W gabinecie ujrzała ponurego szefa, który z godnością nagrobka stał za swoim biurkiem i — co ją lekko zdziwiło — jakiegoś obcego mężczyznę.

— Doktor Hargrave — zaczął Prince cierpko — pozwoli pani, że przedstawię jej doktora Landona Fremonta. Doktorze Fremont, oto doktor Samanta Hargrave.

Ostrożnie skinęła głową w stronę nieznanego. Miała uczucie, że jego nazwisko już się jej obiło o uszy. Dostrzegła uśmiech w jego oczach. Zerknęła na niego dyskretnie i doszła do wniosku, że mimo nieco pogłębianych zakoli na skroniach i tendencji do tycia, mężczyzna jest ledwie po trzydziestce. Był dobrze ubrany i patrzył na nią z niekłamany m zdumieniem.

— Proszę, państwo zechcą usiąść — powiedział Prince i sam usiadł uroczyście jak sędzia w sali rozpraw. — Doktor

Hargrave, doktor Fremont chciałby zamienić z panią kilka słów.

Fremont jakby stracił kontenans i aż odchrząknął, żeby ukryć zakłopotanie.

— Proszę mi wybaczyć, pani doktor, ale nie sądziłem, że jest pani taka... Hm, spodziewałem się zobaczyć bardziej dojrzalą kobietę. Rozumie pani, tyle o pani słyszałem i czytałem w prasie, że hm, no właśnie... — Zamachał gładkimi pulchnymi dłońmi. — Nie będę pani długo zatrzymywał. Chciałbym tylko zadać kilka pytań, jeśli pani pozwoli. Widzi pani, doktor Hargrave, opowiadano mi o operacji, jaką przeprowadziła pani kilka dni temu, i właśnie w związku z tą operacją chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Zaskoczona wyraziła zgodę.

Doktor Fremont szukał jakiegoś miejsca w gabinecie, o które mógłby zaczepić wzrok. Przez chwilę wpatrywał się w haftowany napis nad biurkiem Prince'a: NIHIL HUMANUM MIHI ALIENUM EST, aż wreszcie jego żywe oczy ze szczerym zainteresowaniem znowu spoczęły na Samancie.

— Proszę pani, doktor Rawlins mówił mi, że przed rozpoczęciem operacji umyła pani narzędzia i ręce w roztworze kwasu karbolowego. Czy mogę zapytać, co panią do tego skłoniło?

— Mój dawny nauczyciel, doktor Joshua Masefield, stosował antyseptykę i tego mnie nauczył.

— A więc rozumiem, że wyznaje pani teorię o zarazkach?

— Nie mam jednoznacznego poglądu w tej sprawie, ale jeżeli zarazki istnieją, kwas karbolowy je niszczy i zmniejsza prawdopodobieństwo zakażenia rany. Jeżeli zaś zarazków nie ma, to kwas karbolowy i tak pacjentowi nie szkodzi.

Doktor Fremont w zamyśleniu kiwnął głową.

— Od lat używałem wina do obmywania ran; wino zawiera większe stężenie polifenolu niż karbol. Przez długie lata koledzy naśmiewali się ze mnie. A przecież moi pacjenci nie umierali tak licznie na choroby z ran jak pacjenci kolegów. Teraz, kiedy Pasteur jest już o krok od udowodnienia teorii, która dotychczas była jedynie hipotezą, nie śmieją się już tak często. — Zerknął na Silasa Prince'a. — Dowiedziałem się

również, że w czasie operacji zleciła pani doktorowi Westonowi, żeby co kilka minut kontrolował tętno pacjentki. Chciałbym dowiedzieć się, co panią kierowało?

— Tyłu ludzi umiera w czasie operacji na skutek wdychania eteru i z jakichś innych, nie znanych nam przyczyn, że wydawało mi się, iż jeśli będziemy dokładnie kontrolować reakcje organizmu podczas operacji, uda nam się być może zapobiec nagłym śmierciom.

— Nigdy o niczym podobnym dotąd nie słyszałem. Gdzie się pani tego nauczyła?

— Nigdzie. To był mój pomysł.

— A gdzie uczyła się pani chirurgii?

— Uczyłam się z książek. Sama.

— Nie przeszła pani żadnego kursu?

— Nie. Czy mogę się dowiedzieć, panie doktorze, dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

Silas Prince pochylił się nad biurkiem i splótł przed sobą dłonie.

— Doktor Landon Fremont jest nowym członkiem naszego lekarskiego zespołu, pani doktor. Dostaliśmy subwencję na otwarcie nowego oddziału w szpitalu. Otwieramy ginekologię. Oddział ginekologiczny umieścimy na parterze we wschodnim skrzydle budynku. Doktor Fremont będzie ordynatorem ginekologii i przyznano mu jednego stażystę, którego będzie szkolił w tej specjalizacji.

Spojrzała na doktora Fremonta.

— Proszę wybaczyć, że tak panią wypytywałem, pani doktor — spieszenie wtrącił Fremont — ale kiedy doktor Rawlins opowiedział mi o pani wyczynach w sali operacyjnej...

Na chwilę odżyła w niej magiczna godzina spędzona z Markiem Rawlinsem. Stał przy niej, dodawał jej otuchy. Ta jego bliskość w wąłym świetle lamp, spokój, jakim napawał ją męski głęboki głos, ręce prowadzące jej dłonie, jego wewnętrzna moc, jego siła... intymność chwili... Wiedziała, że niezależnie od tego, dokąd zaprowadzi ich życie, dokąd los zawiedzie kiedyś każde z nich, ta godzina w sali operacyjnej połączy ich na zawsze.

— I dlatego, pani doktor Hargrave...

Samanta spojrzała na Landona Fremonta. Cały czas coś do niej mówił, a ona nic nie słyszała!

— ...byłbym niezwykle zaszczycony, gdyby zechciała pani ze mną pracować na tym nowo utworzonym oddziale.

— Doktorze Fremont, naprawdę brak mi słów! — Zerknęła na Silasa Prince'a, który siedział z kamiennym wyrazem twarzy. — To ja czuję się bardzo zaszczycona. Przyjmuję pańską propozycję z największą radością i obiecuję solennie, że nie dam panu nigdy powodu do tego, żeby miał pan żałować swojego wyboru.

Landon Fremont wstał i wyciągnął do niej rękę. Potem ku jej zdumieniu doktor Prince zrobił dokładnie to samo — jakby na chwilę podpisywał zawieszenie broni.

— Życzę powodzenia, doktor Hargrave. — Na ułamek sekundy w jego lodowatych oczach zaślniła odrobina podziwu.

Ale to Markowi Rawlinsowi chciała wyrazić swoją najgłębszą wdzięczność. Nie widziała go od świąt, lecz nie miała wątpliwości, że zobaczy go znowu. I to już niedługo.

## 6

Pod fundamentami szpitala Św. Brygidy leżały kości samobójców, których z zakołkowanymi sercami grzebano wzdłuż głównej drogi w osiemnastym wieku. Tego czerwcowego wieczoru o zmierzchu, kiedy Samanta przechodziła przez oddział już oświetlony gazowymi lampami, ujrzała nagle jedną z takich zjaw nie mogących zaznać spokoju. Korytarzem sunęła postać z rozwianym długim włosom i wyciągniętymi przed siebie ramionami.

— Chodźmy, pani Franchimoni — powiedziała łagodnie, ujmując kobietę pod łokieć. — Nie może pani wstawać z łóżka. Kobieta patrzyła nieprzytomnym wzrokiem.

— Moje dziecko! Widziała pani moje dziecko?

Samanta zaprowadziła ją do sali i zapakowała do łóżka.



— Nie możemy pani zezwolić na żadne spacery, pani Franchimoni. Po takim wysiłku musi się pani trochę podreperować.

— A co z moim małym?

— Teraz potrzebny jest pani sen. Proszę już spać...

— Została przy łóżku, aż wreszcie kobieta zamknęła oczy i zapadła w sen, który przynosi zapomnienie. Samanta wygładziła jej pościel, wyprostowała się i obrzuciła wzrokiem oddział. Zanim się spostrzegła, noc, jak to zwykle o tej porze roku, nadeszła znienacka — oddział pograżył się w ciemności rozświetlanej na szczęście co kilka metrów bladą poświatą gazowych płomyków. Kobiety spały — na jakiś czas ogarnął je błogi spokój, tak jak panią Franchimoni, która nie wiedziała jeszcze, że jej dziecko zmarło. Kiedy Landon zdecyduje się jej o tym powiedzieć? Czy w ogóle jest taki dobry moment, gdy można powiedzieć matce, że dziecko nie żyje?

Z westchnieniem odwróciła się i przeszła na koniec oddziału, gdzie przy stoliku siedziała pielęgniarka i związała bandażę. Jednym z radykalnych posunięć Landona i wielką innowacją było to, że zatrudnił wykształcone pielęgniarki, absolwentki szkół prowadzonych na wzór tej, którą otworzyła Florence Nightingale. W odróżnieniu od reszty sióstr w Św. Brygidzie, pielęgniarki Landona Fremonta były douczone, czyste, uczciwe i oddane pracy. Mildred, młoda dziewczyna, uniosła głowę znad bandaży i uśmiechnęła się do Samanty.

— Może tym razem czeka nas spokojna noc, pani doktor.

Samanta usiadła ciężko, jak stara kobieta — cały dzień przestała przy stole operacyjnym — i zaśmiała się cicho. Co za pomysł! Spokojna noc! Nie miała takich złudzeń; na oddziale ginekologicznym zawsze się coś działo.

— Mildred, a może byśmy się tak napiły herbaty?

— Już, pani doktor! — Mildred poderwała się zza stołu i zniknęła.

Samanta znów westchnęła i wyciągnęła spod stolika niewielki podnózek. Oparła na nim stopy i skonstatowała w duchu, że jest zbyt zmęczona, by zasnąć. Nie zmartwiło jej to specjalnie. Minione sześć miesięcy warte były trudu; te cztery, które zostały jej do ukończenia stażu, też będą tego warte.

Praca pod kierunkiem Landon'a Fremonta okazała się tak wspaniałym i tak cennym doświadczeniem, że z góry wiedziała, iż ciężko będzie się jej z nią rozstać.

Jedynym ciemnym punktem ostatniego półrocza była nieobecność Marka.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia Nicholas Rawlins dostał poważnego zawału serca i zmarł w swej ponurej rezydencji na Beacon Hill. Od tamtej pory widziała Marka tylko raz, króciutko, kiedy przyszedł prosić doktora Milesa o przejęcie jego pacjentów. Spotkała go na oddziale. Był wytrącony z równowagi, wyraźnie zdenerwowany. Ledwie złożyła mu kondolencje, a zaraz zniknął. Wciąż go wyglądała w ciągu następnych miesięcy, nastawiała ucha, co się o nim mówi — raz nawet podsłuchiwała, że Marek ciągle siedzi w Bostonie i usiłuje rozsupłać zagmatwane interesy ojca. Mijały tygodnie i miesiące, aż wreszcie z rozpaczą zaczęła myśleć, że więcej go już nie zobaczy.

Janelle MacPherson też przestała odwiedzać szpital, co tym bardziej wzmagało jej niepokój.

Czyjś jęk dobiegający z ciemności natychmiast postawił ją na nogi. Błyskawicznie znalazła się przy łóżku chorej; nachyliła się nad nią, głaskała rozpalone czoło, kołowała. Przed sobą miała jeden z wielu tragicznych przypadków.

Tego dnia po południu tę młodą osiemnastoletnią dziewczynę przyprowadził szalejący z niepokoju mąż. Cierpiała na ostre bóle w podbrzuszu i miała wysoką gorączkę. Pierwsza diagnoza Landon'a brzmiała: zapalenie ślepej кишки, ale wpływ jasnoczerwonej krwi kazał im zmienić rozpoznanie. To była ciąża jajowodowa. Landon i Samanta robili, co mogli, ale ich działania sprowadzały się do dość beznadziejnych zabiegów — przepłukiwali macicę i jajowody roztworem soli w nadziei, że w ten sposób wypłuczą płód, zanim rozerwie jajowód. Nie udało się. Takie irygacje rzadko odnosiły skutek i teraz nieprzytomna dziewczyna umierała na szpitalnym łóżku, podczas gdy jej bezsilna lekarka stała obok i kipiła milczącym gniewem.

Bez wątpienia półroczna praca z Fremontem nauczyła ją jednego: uprawianie medycyny na oddziale ginekologicznym

przynosi zdecydowanie więcej rozczarowań niż satysfakcji; tutaj więcej pacjentek umierało, niż wracało do zdrowia. Dowiedziała się również, że ginekologia jest wiedzą składającą się przede wszystkim z półprawd, spekulacji i wielkiej niewiadomej. Nawet genialny Landon Fremont, który swoimi innowacjami w sali chirurgicznej tworzył już historię, nie umiał tak otworzyć brzucha, żeby nie zabić pacjentki. Dopóki ktoś nie znajdzie metody na operowanie wewnątrz jamy brzusznej, dla niezliczonych kobiet tak drobna komplikacja jak ciąża jajowodowa będzie równoznaczna z wyrokiem śmierci, myślała.

Odwróciła się słysząc kroki — Mildred już stawiała na stole filiżanki. Podeszła do pielęgniarki i zobaczyła, że dziewczyna przyniosła również talerz smarowanego masłem placzka. To jej przypomniało, że jest sobota, dzień, kiedy do szpitala wkraczają panie z Ligi.

Usiadła na krześle i uniosła filiżankę z herbatą. Znowu zamyśliła się nad Janelle MacPherson i nad tym, że nie widywano jej w szpitalu od Bożego Narodzenia, choć młodsza panna MacPherson, Letycja, nadal przychodziła.

A to z kolei skierowało jej myśli na mroczniejsze ścieżki — jej ręka z filiżanką znieruchomiała przy ustach. Tak, Letycja MacPherson niepokoiła ją ostatnio.

Od pierwszego spotkania polubiła wesołą siostrę Janelle. To, że Letycja zadawała sobie trud, by z każdym pracownikiem szpitala zamienić choć kilka słów, wzbudziło sympatię Samanty. Na ogół damy z Ligi sunęły przez korytarze oddziałów, jakby trafiły tu z innej planety; nigdy nie zbliżały się zbyt do pacjentek, a Samantę i pielęgniarki traktowały niewiele lepiej niż służbę. Ale Letycja, mimo że dobrze urodzona, ubrana w kosztowne suknie i wyraźnie ciesząca się wysoką pozycją społeczną, nie stwarzała barier między sobą a ciężko zapracowanymi pielęgniarkami i nie stroniła od krótkich rozmów z doktor Hargrave. Jej uśmiech zawsze jaśniał słonecznym blaskiem.

Ale... no właśnie, kiedy to było? Pewnego dnia w zeszłym miesiącu Samanta akurat zmieniała opatrunek pacjentce i kiedy sięgała po nożyczki, przypadkiem spojrzała na drzwi przy końcu oddziału. Dostrzegła w nich Letycję zajętą — jak się jej

wydało — nadmiernie zażyła rozmową z doktorem Westonem. Weston uśmiechał się szeroko, najwyraźniej oczarowany panną MacPherson. Samanta szybko zapomniała o tym incydencie i nie zaprzętałaaby sobie nim głowy, gdyby nie fakt, że tydzień później zauważyła Letycję w podobnym tete-a-tete z doktorem Sitwellem.

Od tego czasu zaczęła uważniej obserwować Letycję w czasie tych cotygodniowych obchodów szpitala, kiedy panie z Ligi przynosiły kwiaty i ciasta. Za każdym razem Letycji udawało się zostać gdzieś z tyłu korowodu dam, zając sobą lekarza, który się akurat napatoczył, i jawnie go kokietować. Co do tego, że efekt, jaki wywierała na mężczyzn, sprawiał jej przyjemność, Samanta nie miała najmniejszej wątpliwości, ale czy dziewczyna wiedziała, że igra z ogniem? Wysokie sfery chroniły swoje księżniczki. Od chwili narodzin Letycja MacPherson ani moment nie zostawała bez czyjejś czujnej opieki. Najwyraźniej wyprawy do szpitala stanowiły dla niej jedyną okazję, żeby oddać się intrygującej grze, której zasad nie знаła. Samanta bez trudu odczytała intencje doktora Sitwella, Letycja nie.

— Co dolega pani Mason, doktor Hargrave?

Spojrzała na Mildred.

— Słucham?

— Łóżko dziesiąte. Przywieziono ją rano. Co jej dolega?

Samanta odwróciła głowę i chciała zobaczyć pacjentkę, ale odległy koniec oddziału tonął w ciemności.

— Ma żółtą skórę, swędzi ją całe ciało, a od czasu do czasu dokuczają jej ostre bóle z prawej strony górnej części brzucha. Przyczyny mogą być różne, ale myślę, że w tym przypadku możemy się kierować regułą Trzech „P”.

— Trzech „P”?

— Pulchna, płowowłosa i po czterdziestce. Jeśli pacjentka spełnia te trzy warunki, można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że cierpi na chorobę woreczka żółciowego. A pani Mason doskonale odpowiada temu opisowi.

— Można ją wyleczyć, pani doktor?

Już właśnie miała odpowiedzieć „nie”, kiedy na końcu ciemnego korytarza otworzyły się drzwi i na tle oświetlonego hallu stanął mężczyzna w cylindrze i pelerynie.

Stal tak daleko, że trudno było zobaczyć, kim jest, ale Samanta wiedziała. Odstawiła filiżankę na stolik i wolno wstała. Czowała, że coś ją ciągnie między rzędy łóżek, unosi nad salą i popycha do niego. Wreszcie wyciągnęła rękę i szepnęła:

— Doktorze Rawlins...

Objął jej dłoń ciepłym uściskiem.

— Cieszę się, że pani jeszcze nie śpi. Jest już tak późno.

Na dźwięk jego głosu wróciły dawne emocje. Minione pół roku zniknęło gdzieś bez śladu — znów stali przy stole operacyjnym, zjednoczeni chwilą wyjątkowej bliskości; znów uświadomiła sobie, choć to uczucie zepchnęła gdzieś w odległe zakamarki duszy, jak bardzo jest w nim zakochana.

— Mam dzisiaj dyżur na oddziale. Co u pana słysząc, doktorze? Bardzo nam pana brakowało.

— Ja też tęskniłem. Obawiam się, że w ostatnich miesiącach odstałem całkiem od świata. Byłem więźniem rodzinnego domu. Usiłowałem uporządkować straszliwy bałagan, jaki mój ojciec zostawił po sobie.

— Tak mi przykro z powodu jego...

— Niepotrzebnie — powiedział głosem cichym, niewiele głośniejszym od szeptu. — Był okrutnym despota, który i tak długo sprawował swą władzę. Zapewniam panią, że nikt nie uрониł ani jednej łzy.

— Tym większa tragedia. — Spojrzała na jego mocną rękę, którą ujmował jej dłonie, i zastanawiała się, czy już zawsze, ilekroć go spotka, będzie pragnęła, żeby ta chwila, kiedy on jest przy niej, nigdy się nie skończyła.

— Dopiero co wróciłem. A teraz jeszcze mnie czeka uporządkowanie rozgardiaszu, jakiego narobiłem swoją nieobecnością!

— Wypije pan z nami filiżankę herbaty? — spytała.

Poruszył się lekko, żeby spojrzeć nad jej ramieniem, i płomień lampy oświetlił jego twarz. Ledwie się powstrzymała, żeby nie krzyknąć. Czy zawsze był taki przystojny? A może to jej miłość tak bardzo zniekształca jego obraz? Nawet ta skaza, ta maleńka szramka deformująca mu usta wydała jej się droga ponad wytrzymałość.

— Niestety jestem tu tylko przejazdem, pani doktor. Wpadłem, żeby zaprosić panią na rodzinną kolację, którą mama wydaje od jutra za tydzień.

— Na kolację? Z największą przyjemnością.

Wciąż na nią patrzył i uśmiechał się tajemniczo. Jak na człowieka, który wpadł tylko na chwilę, nie bardzo się śpieszył.

— Jak się pani pracuje z Landonem?

— Jak w bajce. I to panu jestem winna podziękowania, doktorze.

— Nonsens. Zasłużyła sobie pani na to — odparł cicho. Jego ukryte w cieniu oczy ani na chwilę nie odrywały się od jej twarzy; poczuła, że miękną jej kolana. W kwietniu, w te deszczowe noce, kiedy krople bębniły o szyby, a korytarz piętra stażystów tętnił śmiechem, leżała w łóżku i wpatrzona w ciemność myślała o nim, marzyła, fantazjowała — dobrowolna więźniarka uroku, jaki na nią rzucił. A teraz, kiedy zaczęła się bać, że nigdy go już nie zobaczy, stał tuż obok, taki bliski i zniewalający, a ona znów czuła ten znajomy prąd, jakim napełniał ją jego dotyk.

— Obawiam się, że muszę iść — powiedział cicho, intymnie. — Powóz zajedzie po panią o ósmej. — Uścisnął jej dłoń i dodał: — Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo nie mogę się tej kolacji doczekać.

## 7

Wiedziała, że Rawlinsowie mają pieniądze, ale nigdy wiele o tym nie myślała. Tymczasem okazało się, że rezydencja Rawlinsów przy Madison Avenue mogła spokojnie konkurować z pałacem Astorów. Wysokie sufity, rozświetlone kandelabry, obrazy, tureckie dywany, piękne meble, złociste ałtaso-we draperie i palmy w donicach mogły z powodzeniem należeć do rodziny monarchów. A mieszkańcy i goście tego domu tak doskonale komponowali się z wnętrzem, że kiedy kamerdy-

ner prowadził Samantę przez dwuskrzydłowe drzwi wiodące do wielkiego salonu, pomyślała z lękiem, że nigdy nie będzie pasowała do tak dostojnego towarzystwa.

Ale zaraz potem dostrzegła przy kominku Marka, zajętego ożywioną rozmową z Janelle, i zmieniła zdanie. A właśnie że pasuje tu jak ulał!

Młody człowiek siedzący przy fortepianie spojrzął na nią i przerwał żwawego poloneza. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, a kiedy kamerdyner dźwięcznym głosem głośno ją zapowiedział, miała uczucie, że wychodzi na scenę. Marek natychmiast oderwał się od kominka, a wszyscy panowie w salonie wstali.

— Doktor Hargrave! Zastanawialiśmy się, co panią zatrzymało! — Ujął ją pod ramię i wprowadził do środka.

— Proszę wybaczyć, doktorze Rawlins. W ostatniej chwili musiałam się jeszcze zająć pacjentką. Mam nadzieję, że nie sprawiłam państwu tym kłopotu.

— Ależ skąd! — odezwał się młody człowiek znad fortepianu. Zbliżał się do niej leniwym krokiem. — Punktualność jest szalenie nudna.

— Pani doktor, chciałbym przedstawić pani mojego brata Stephena — powiedział Marek.

Byli do siebie podobni, ale tylko trochę. Stephen, można by rzec, cierpiał na nadmiar urody — żadna cudowna szramka nie deformowała mu wargi, a w jego uśmiechu czaiła się próżność. Ujął jej obleczoną rękawiczką dłoń i strzelając obcasami, złożył na niej szarmancki pocałunek.

— Stephen niedawno wrócił z Europy — poinformował ją Marek.

W dalszej kolejności zostali jej przedstawieni Henry i Joseph, obydwaj młodszy od Marka, lecz starsi od Stephena — oceniała, że mają dwadzieścia kilka lat. Byli to sympatyczni przystojni mężczyźni, ale brakowało im czegoś nieuchwytnego, tego, co sprawiało, że Marek wyraźnie nad nich wyrsał. Uśmiechnęli się do niej, a ona czuła, że za ich eleganckimi manierami niewiele się kryje. Szwagierki Marka wyglądały zwyczajnie; na skutek cięż i wygodnego życia ich talie już

niecو przybrały. Samanta odniosła wrażenie, że wciąż rywalizują ze sobą o palmę pierwszeństwa.

Na końcu zjawiła się Letycja, dziwnie ubrana w czerwoną aksamitną suknię, w której wcale nie było jej do twarzy, oraz Janelle w jasnobłękitnym atłasie, podkreślającym jej urodę.

— Czekamy na mamę — powiedział Marek i wskazał Samancie miejsce na obitej brokatem sofie. — Zawsze przychodzi ostatnia, to jej przywilej.

Nadeszła pokojówka z tacą maleńkich kanapeczek. Samanta wzięła jedną z nich, nie mając pojęcia, co bierze, i przyjęła lampkę szampana. Po krótkotrwałej niezręcznej ciszy goście wrócili do przerwanych rozmów: Joseph i Henry do prawniczej dyskusji, a ich żony do zabawnych anegdotek o dzieciach, w czym się wprost prześcigały. Letycja zasiadła przy fortepianie i usiłowała wygrać na nim melodię modnej piosenki, którą Samanta kiedyś już słyszała; teraz uznała, że jej słowa są jednak zbyt śmiałe, żeby je odśpiewać w tym gronie. Kiedy Marek podszedł do serwantki, żeby napełnić kieliszek Janelle, Stephen skorzystał z okazji i przysiadł się do Samanty.

— Mama nie zezwala na czytanie „New York Herald” w tym domu; uważa, że to zbyt sensacyjna gazeta. Ale i tak udaje mi się ją czytać i przyznam, że nieraz zajmowały mnie opisy pani zaskakujących wyczynów.

— Obawiam się, że te informacje są mocno przesadzone, panie Rawlins.

— Chyba nie, sądząc po tym, co Marek opowiada! Ale spodziewałem się, że będzie pani miała trzy metry wzrostu, a w ręku tarczę i włócznię!

Zerknęła na Marka. Znów stał przy Janelle. Zapewne rozmawiali o czymś bardzo istotnym, bo na twarzy Marka nie było cienia uśmiechu, Janelle zaś z pochyloną głową patrzyła na niego poważnie i coś mu cicho, z przejęciem opowiadała.

W pewnej chwili dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i do salonu weszła Klara Rawlins. Fortepian ucichł, jakby złączony z drzwiami ukrytym mechanizmem, a czterej bracia jak na komendę stanęli na baczność. Nie ulegało wątpliwości, że w salonie zjawiła się kobieta, z którą należy się liczyć.



Ubrana całkowicie na czarno — od wysokiej stójki przy szyi, przez długie rękawy zakrywające nadgarstki, aż po dół sukni, którym zamiatała podłogi — jak na osobę w jej wieku, ruszała się zaskakująco lekko. Srebrzyste włosy miała zaczesane w królewską koronę; była wysoka i szczupła, a przy oczach trzymała różową lornetkę, przez którą lustrowała zgromadzone towarzystwo i która pod światłem kandelabru lśniła diamentowymi rautami.

— Dobry wieczór wszystkim — przywitała zebranych jak monarchini. Jej wzrok zatrzymał się na Samancie. Wtedy Marek przeprosił Janelle.

— Mamo, chciałbym ci przedstawić panią doktor Samantę Hargrave. Pani doktor, oto moja matka, pani Rawlins.

Klara Rawlins opuściła lornetkę i Samanta ze zdziwieniem ujrzała łagodne brązowe oczy. To były oczy Marka, pełne uczucia i ciepła — wyraźny dowód łagodnego i współczującego serca, oczy kobiety, która wie, co to miłość i cierpienie.

— Miło mi panią poznać, pani Rawlins.

Po chwili Klara nieznacznie skinęła głową, zupełnie jakby szukała czegoś w swoim młodym i dumnym gościu, i ku własnemu zadowoleniu znalazła.

— Cieszę się; że wykroiła pani dla nas czas, panno Hargrave. Marek rzadko nas raduje wizytami kolegów po fachu.

— Mamo, czy mogę ci zaproponować lampkę szampana? Odzęgnęła się od tego pomysłu machnięciem ręki.

— Szampan zabija apetyt. Chciałabym poznać bliżej pannę Hargrave.

Jej ton zabrzmiał władczo, wszyscy usłuchali. Letycja wznowiła grę na fortepianie; dla wprowadzenia kojącej atmosfery zagrała *Liebstraum*, a reszta towarzystwa wróciła do przerwanych zajęć. Nawet Marek i Janelle, jak zauważyła Samanta, podjęli swoją rozmowę.

— Jest pani dla mnie wielką zagadką, panno Hargrave. Jak to się stało i dlaczego, że zdecydowała się pani na studia medyczne?

Zabrzmiało to jak rozkaz udzielenia odpowiedzi, a nie uprzejme pytanie. Samanta zaczęła opowiadać historię swojego życia, jak to robiła już wiele razy wcześniej, ale w trakcie

monologu obudziły się w niej wątpliwości, czy tą wersją zadowolili wielką damę. Klara Rawlins chciała wiedzieć więcej. W pewnej chwili Samanta pomyślała: To jest sąd nade mną.

Kiedy rozbrzmiał dzwonek wzywający do stołu, Samanta wsparta na ramieniu Stephena wraz z innymi przeszła do jadalni. Okazało się, że przeznaczono jej miejsce po prawej stronie pani Rawlins. Marek, wyraźnie zirytowany takim porządkiem przy stole, zasiadł naprzeciw matki, mając po obu stronach siostry MacPherson.

Kolacja była niewiarygodnie wystawna, ale Samanta podszła do niej ze spokojem, udając, że nawykła do jedania dwunastu dań o trudnych do wymówienia nazwach. Do każdego dania podano osobne sztucce, które elegancko ułożono wokół talerza, każdą zaś potrawę wnosił pochód służących. Dwa lata walki o przeżycie w akademii medycznej nauczyły ją wdzięcznego fortelu: za każdym razem, kiedy wnoszono nowe danie, piła najpierw odrobinę wody i patrzyła, jakim widelcem czy łyżką inni biorą się do jedzenia.

— Proszę mi wyznać, panno Hargrave, czy pani zajęcie nie kłóci się z kobiecą delikatnością i poczuciem przyzwoitości?

Samanta ujęła, jak się jej zdawało, właściwy widelec i przekroiła nim dorsza.

— Kiedy człowiek wie, że uratował życie, pani Rawlins, przyzwoitość staje się wartością o niewielkim znaczeniu.

— Przypuszczam, mamó, że panna Hargrave woli, żeby się do niej zwracać per „pani doktor” — zauważy! Stephen, siedzący naprzeciwko Samanty.

Klara z ubolewaniem pokiwała głową, jakby komentując zachowanie małego niegrzecznego chłopca.

— Nonsens. Panna Hargrave jest przede wszystkim kobietą, a dopiero w drugiej kolejności lekarką, dlatego z całą pewnością woli, żeby się do niej zwracać jak do damy. Prawda, moja droga?

— W gruncie rzeczy pani syn ma rację, pani Rawlins. Wolę, żeby zwracano się do mnie „pani doktor”.

Klara ostentacyjnie odłożyła widelec i spojrzała na Samantę z niekłamany zdziwieniem.

— Niesłychane!

— Jestem przede wszystkim lekarką; mimo wszelkich trudności zasłużyłam sobie na ten tytuł.

— Ale skąd wobec tego ludzie będą wiedzieć, jaki jest pani stan cywilny, jeśli wszyscy zaczną panią tytułować „doktor”?

— Przypuszczam, że jeśli zechcą się tego dowiedzieć, po prostu zapytają.

— Moja droga panno Hargrave — Klara zaczęła tonem, jakim zwykła się zwracać do synowych („Moja droga Elaine, na przyjęcie zaprosisz dwanaście osób i podasz bażanta.”)

— żaden dobrze urodzony dżentelmen nie ośmieli się zadać tak obcesowego pytania! Wielu założy sobie, że pani jest zamężna, i w ten sposób ominie panią wiele szans na dobre zamażpójście. Jakże się więc pani wyda za męża?

Akurat tak się złożyło, że rozmowy przy stole ucichły i Samanta skupiła na sobie uwagę wszystkich biesiadników.

— Mamo, wprawiasz panią doktor w zakłopotanie — odezwał się Marek z drugiego końca stołu.

Samanta uśmiechnęła się do niego z wdziękiem.

— Nic podobnego, doktorze Rawlins. — Teraz odwróciła się do Klary. — Doceniam pani troskę o mnie, pani Rawlins, ale zapewniam panią, że mój zawód nie zagraża ani mojemu małżeństwu, ani kobiecości. Jeśli zdecyduję się kiedykolwiek wyjść za męża, mój wybranek będzie musiał być bardzo niezablonowym mężczyzną, bo chyba zgodzi się pani, że i nasz związek będzie nietypowy. Mam szczerą nadzieję, że jeśli taki wyjątkowy mężczyzna stanie mi w przyszłości na drodze i dojdzie do wniosku, że chce mnie poślubić, będzie na tyle bezpośredni i uczciwy, że spyta mnie wprost o mój stan cywilny. Taką otwartość poczytywałabym za dowód charakteru, pani Rawlins, a nie za brak dobrych manier.

Wszyscy patrzyli w nią przez chwilę jak zaczarowani. Wreszcie zajęli się swoimi talerzami, a tymczasem pani Rawlins i Samanta twardo mierzyły się wzrokiem. Tylko Marek przyglądał się im nadal jak zahipnotyzowany. Nikt na świecie, nawet jego ojciec, nie odważył się przeciwstawić matce!

— A cóż to za mężczyzna ożeniłby się z lekarką? — zapytała Klara cierpko.

Zanim Samanta zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli Marka:

— Lekarz, naturalnie.

Klara popatrzyła twardo na swego ukochanego syna. Ale nie umknęło jej uwadze spojrzenie, jakie wymienili Marek i Samanta. Janelle MacPherson też je zauważyła i drgnęła niespokojnie na krześle, szeleszcząc jedwabną suknią.

Niezręczną ciszę przerwał Stephen, który nachylony nad stołem uwodzicielsko uśmiechał się do Samanty.

— Ja też nie miałbym nic przeciwko małżeństwu z lekarką.

Samanta roześmiała się cicho i sięgnęła po kieliszek z winem.

— Gdyby przyszło panu co jakiś czas jadać przypaloną kolację, bo pańską żonę akurat wezwano do nagłego wypadku, mógłby pan szybko zmienić zdanie.

Kiedy wniesiono kaczkę w galarecie, rozmowy zeszyły na inne tematy. Mówiono o nowych prądach wywodzących się ze sztuki impresjonizmu, które nazwano „niewiarygodną ohydą”, a które najwyraźniej dawały się zauważyć (z tym zgodzili się wszyscy) w potwornym *UEstaque* Cezanne'a. Kiedy już ten temat wyczerpano — a zbiegło się to akurat z wniesieniem malin w cukrze — zaczęto dyskutować nad ostatnią powieścią Henry'ego Jamesa pod tytułem „Portret damy”. Samanta dzieliła uwagę między Stephena, który wyraźnie jej nadskakiwał, a Klarę Rawlins, która była od tego jak najdalsza; poza tym co jakiś czas zerkała na Marka, by stwierdzić, że i on czasem też na nią patrzy.

— Uważam — mówił Joseph Rawlins siedzący z jej prawej strony — że zasadniczą kwestią, jaką James porusza, jest sprawa wolnej woli. Bohaterką jest młoda dziewczyna, bardzo inteligenta zresztą, która na własną rękę kieruje swoim losem. Popełnia jednak fatalną omyłkę, za którą musi płacić aż do końca życia.

— A zatem z tego co mówisz, Josephie, jest w tej książce zawarty pewien morał — skomentowała Klara i zapytała Samantę: — Czytała pani „Portret damy”, panno Hargrave?

— Niestety, pani Rawlins, mam za mało czasu, żeby czytać cokolwiek poza literaturą fachową.

Brwi Klary wymownie wygięły się w łuk.

— Szkoda.

Samanta schyliła głowę i zanurzyła łyżeczkę w malinach. Ukradkiem spojrzała na Marka. Oczekiwała, że obdarzy ją jednym ze swoich sekretnych uśmiechów, i ze zdziwieniem stwierdziła, że Marek uśmiecha się szeroko, ale do Janelle, która tryskała radością, ponieważ udało jej się przykuć jego uwagę jakąś zajmującą historią. Kiedy Janelle się uśmiechała, jaśniała niczym brylant, który jej wisiał u szyi, a kiedy wybuchala śmiechem, z wdziękiem przykładala do piersi dłoń, żeby zwrócić uwagę na głęboko odsłonięty dekolt.

— Panno Hargrave... — Samanta usłyszała cierpki głos Klary. — Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie zostanie pani jednak wezwana do nagłego wypadku.

— Słucham?

— Po kolacji, przy kawie, Letycja będzie nam recytować „Annabel Lee”; robi to bardzo wzruszająco. Ale później chciałabym zamienić z panią kilka słów na osobności, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie, pani Rawlins.

— Prawdę mówiąc, ta prywatna rozmowa jest głównym powodem, dla którego zaprosiłam dziś panią. Chciałabym porozmawiać z panią o czymś ważnym. W cztery oczy.

Przez chwilę Samanta nie odrywała od niej wzroku, a potem gwałtownie spojrzała w prawo. Marek z odrzuconą w tył głową śmiał się głośno i serdecznie, ku radości rozanielonej Janelle.

Zmieszana, zajęła się malinami. A więc to nie Markowi zależało na niej dziś wieczorem, a Klarze — tej królewskiej Klarze, której nic się w Samancie nie podobało i która nie facygowała się nawet, by tę dezaprobatę ukryć. Chciała rozmawiać o czymś ważnym tylko w cztery oczy...

Klara miała rację. Letycja rzeczywiście cudownie deklamowała „Annabel Lee” i Samanta na pewno by się wzruszyła, gdyby nie była tak zaprzątnięta czym innym. Wszyscy usiedli

w salonie nad filiżankami kawy wzmocnionej brandy i w przysgaszonym dla większego efektu świetle wpatrywali się w recytującą Letycję, a Samanta nie przestawała gubić się w domysłach, dlaczego została zaproszona na kolację; nie potrafiła też stłumić w sobie uczucia zawodu — najwyraźniej źle odczytała intencje Marka.

Ale kiedy Letycja zakrywając dekolt dramatycznie złożonymi dłońmi wykrzyknęła przejmująco:

*Byliśmy dziećmi, ja i ona  
W królestwie nad mórz pianą,  
A miłowaliśmy się miłością  
Nad miłość innym daną.\**

Samanta spojrzała na Marka i poczuła na sobie jego palące spojrzenie. Siedział po drugiej stronie salonu i w niedbałej pozie wyciągał przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi. Jego twarz niknęła w mroku, ale Samanta czuła, że bije z niego jakaś siła — zupełnie jakby wyciągał po nią rękę i chciał jej dotknąć. Jak zahipnotyzowana znieruchomiała z filiżanką przy ustach; nie mogła przełknąć kawy. Miała wrażenie, że słowa poety odmieniły Marka, że teraz inny Marek Rawłins patrzy na nią poprzez mroczny salon. Maska uprzejmości zniknęła, zniknął gdzieś kulturalny džentelmen, który dotąd leniwie się jej przyglądał. Wyraźnie odbierała jego zwierzęcą siłę, jego męskość; czuła, że ją przenika i bierze w posiadanie. Usta zacisnął w surową wąską linię, a poza, jaką przybrał, była tylko pozornie niedbała. Wyczuwała jego napięcie, jego zdecydowanie. Nie była w stanie drgnąć, a chwila ciągnęła się wprost w nieskończoność. Wreszcie odgłos braw przywołał ją do rzeczywistości. Stephen podkręcał płomień lamp; wszyscy dokoła chwalili Letycję za świetną deklamację, a kiedy Samanta zerknęła na Marka, zauważyła, że wciąż nie odrywa od niej wzroku. Teraz, w jaśniejszym świetle, dostrzegła wyraz powagi na jego twarzy i mroczną głębię oczu. Zadrzała.

\* Tłumaczenie B. Beaupre.

— Spodobał się pani ten poemat, Samanto? — zapytał tak cicho, żeby tylko ona słyszała.

— Tak.

— Ale był taki tragiczny.

— W tragedii też może być piękno.

Reszta gości już wstała i zaczęła przechodzić do sąsiednich pomieszczeń — panowie wybierali się na cygaro, panie, żeby wygodnie oprzeć nogi na podnóżkach. Tylko Marek i Samanta stali nieporuszeni.

— Który poemat lubi pani najbardziej?

Zastanawiała się przez chwilę.

— „Więźnia Czyllonu”.

— Byron. Kolejna tragedia.

— A pan?

Jego usta już składały się do uśmiechu, kiedy w salonie zadźwięczał władczy głos Klary Rawlins.

— Panno Hargrave, czy mogę teraz na kilka minut prosić panią do siebie?

Samanta usiadła w przepastnym skórzanym fotelu pachnącym olejkiem cytrynowym do odświeżania mebli i patrzyła, jak Klara nalewa brandy do dwóch kryształowych kieliszków. Ukryły się w bibliotece Rawlinsów, ze wszystkich stron otoczone regatami, wypełnionymi skarbami ludzkiej wiedzy — samotne wśród chłodnych marmurowych spojrzeń Juliusza Cezara, Woltera i Napoleona Bonaparte. Znad kominka z portretu w złoconej ramie patrzył na nie Nicholas Rawlins, Król Lodu.

Klara wręczyła Samancie kieliszek i usiadła w fotelu obok.

— Pewne znane mi panie z Towarzystwa Wstrzemięźliwości głośno krytykują, że od czasu do czasu wypijam sobie kieliszeczek, same natomiast zapijają się hektolitrami aptecznych toników, które zawierają tyle alkoholu, że dawka takiej mikstury powaliłaby konia. Nawet Nicholas, Panie świeć nad jego duszą, nie pochwała! mojego obyczaju.

Klara spojrzała na wielki obraz nad kominkiem.

— Niełatwo go było kochać, panno Hargrave — dodała łagodniej. — Ale ponieważ ciągle musiałam walczyć, żeby go zatrzymać, był dla mnie tym cenniejszy.

— Przykro mi było słyszeć o śmierci pani męża.

— Zabrała go błyskawicznie. A teraz, panno Hargrave, chciałabym przejść do sprawy, dla której ściągnęłam tu panią. Uważam, że kobiety nie powinny się trudnić pracą zawodową. Lekarki, prawniczki, sędziny czy fotografki zbyt wiele z racji pracy muszą złożyć w ofierze; kiedy o nich myślę, sama czuję się mocno zakłopotana. Nie znoszę kobiet, które tracą kobiecość. A jednak — uzna pani zapewne, że jestem hipokrytką — znalazłam się w sytuacji, która zmusza mnie do tego, bym u pani szukała pomocy. Potrzebna mi rada lekarki, panno Hargrave. To złamanie zasad dużo mnie kosztuje.

Klara upiła łyk brandy i w zamyśleniu obracała kieliszek.

— Zawsze byłam silną kobietą i cieszyłam się wyśmienitą kondycją. Uważałam, że zdrowy ruch i odpowiednia dieta leczą większość chorób. Zawsze irytowały mnie te wydelikacjone, cierpiące na wapory damy, wyhodowane przez nasze społeczeństwo. Kobieta może być równie krzepka fizycznie i sprawna umysłowo jak mężczyzna i nie traci przy tym nic ze swojej kobiecości. Nigdy nie wykorzystywałam też dni miesięcznej niedyspozycji, żeby uciekać od obowiązków, co tak chętnie czyni większość dam. I niech mi pani wierzy, panno Hargrave, że przez całe życie nie szukałam pomocy u lekarza.

Z łatwością mogła w to uwierzyć. Bez trudu rozumiała, że wiele lat Klara Rawlins krzepła, twardniała i opancerzała się niewidzialną siatką ochronną, która pozwalała jej zachować niezależność względem męża i społeczeństwa. Ale za niewzruszoną fasadą widziała też łagodne brązowe oczy i właśnie w nich ujrzała zupełnie inną kobietę, ukrytą gdzieś wewnątrz — czułą, delikatną, która jak więzień za kratami patrzy na nią wzrokiem pełnym tęsknoty za wolnością.

— Obawiałam się, że okaże się pani niewłaściwą osobą, panno Hargrave. Bałam się, że jest pani taka jak większość doktorów, wyuczona eleganckich uników, uprzejmych kłamstewek i pochlebstw. Ale przy kolacji przekonałam się, że jest pani silna i szczerą. Wiem, że pani mi powie prawdę.



— Jaką prawdę, pani Rawlins?

— Ile mi zostało życia.

Samanta patrzyła na nią bez słowa.

— Chcę, żeby mnie pani zbadała. Jak pani będzie najwygodniej?

— Co będę badać?

— Piers.

Samanta odstawiła kieliszek i wstała.

— Najlepiej będzie na kanapie. Nie mogę pani zbadać przez ubranie...

Klara machnęła ręką.

— Nie jestem aż tak pruderyjna. Zależy mi tylko na jednym: chcę usłyszeć prawdę.

Kilka minut później Samanta zapytała:

— Od jak dawna ma pani tego guza, pani Rawlins?

— Od czterech miesięcy.

— Dlaczego od razu nie wezwała pani lekarza?

— Panno Hargrave, jedynym mężczyzną, przed którym się rozbierałam, był mój mąż.

— To głupia i niebezpieczna w skutkach duma.

— Jestem tego świadoma, panno Hargrave. Zresztą myślałam, że guz sam zniknie. Ile mam czasu?

Guz był wielkości mandarynki, twardy, ruchomy, wyraźnie odcinający się od reszty tkanki i wciągał brodawkę. Samanta przytknęła do brodawki chusteczkę — została na niej brązowa plama. Pod pachą badanej kobiety wyczuła inne guzy.

— Kilka miesięcy, nie więcej.

— To mało. Za wcześniej po śmierci męża. Moja rodzina nie da sobie jeszcze rady beze mnie. Potrzebny mi rok życia.

— Tego nie mogę pani ofiarować. — Pomogła pani Rawlins nasunąć ramiączko halki i przyszło jej do głowy powiedzenie żołnierzy z lat wojny secesyjnej: „Niewielka to różnica, czy zginiemy dzisiaj czy jutro, ale wszyscy wolimy umrzeć jutro.” — Gdyby od razu wezwała pani lekarza, pani Rawlins, można było usunąć pierś...

— Mam zamiar dożyć swych dni na tym świecie jako kompletna kobieta, panno Hargrave. Moja siostra umarła na raka

piersi, więc dobrze wiedziałam, co mnie czeka. Amputowano jej pierś i owszem, żyła trochę dłużej, ale przy operacji usunięto też wszystkie mięśnie pod pachą tak, że jej ramię bezużytecznie zwisało z barku, do tego jeszcze mocno ściągnięte przy klatce. Została okrutnie okaleczona i wciąż cierpiała bóle. Po operacji już nigdy nie oglądała słońca, a do sypialni wpuszczała tylko rodzinę. Tak, panno Hargrave, może zyskałabym kilka dodatkowych miesięcy, ale co by to było za życie?

Samanta pomogła jej zapiąć guziki sukni.

— Czy Marek o tym wie?

Klara machnęła ręką, jakby omawiały nieważny jadłospis lekkiego obiadu. Patrząc na nią, można by sądzić, że wyrok śmierci nie poruszył jej w najmniejszym stopniu, ale kobieta uwięziona pod twardym pancerzem płakała.

— Gdybym zwróciła się z tym do Marka, zareagowałby zbyt emocjonalnie. Jesteśmy sobie bardzo... bliscy. Ten wyrok jest na tyle trudny, że lepiej go nie usłyszeć z drżących ust ukochanego syna. I Marek się nie może dowiedzieć, panno Hargrave. To by go zdruzgotało. Nikt się nie może dowiedzieć. Chcę to zachować w tajemnicy aż do ostatniej chwili.

Wróciły na fotele i Klara uniosła kieliszek.

— Brumaire... — szepnęła. — Ulubiona brandy mojego męża. Nicholas był tyranem i nie budził miłości. Nikt po jego śmierci nie zapłakał. W głębi serca obawiam się, że Joseph i Henry po cichu cieszą się z tego, że odszedł. Nikt nie będzie za nim tęsknił, co do tego nie mam wątpliwości. A teraz zastanawiam się, jak przyjmą moją śmierć... — Spojrzała błyszczącymi oczami na Samantę. — Nie boję się śmierci, panno Hargrave. Tylko jeszcze nie jestem gotowa... — Głos jej się załamał.

Samanta wyciągnęła rękę i nakryła dłonią dłoń pani Rawlins. Spoglądałam w lustro przyszłości, myślała. Czy kiedy skończę pięćdziesiąt dwa lata, będę taka jak Klara? Czy będę nadal walczyć o zachowanie godności, nawet wówczas gdy wszystko wokół sprzysięgnie się przeciw mnie? Co pani poświęciła, pani Rawlins, żeby się stać kobietą niezależną? Jak się pani udało oddać ukochanemu mężczyźnie i zachować

przy tym tożsamość i odrębność? Klara chlipnęła i poklepała dłoń Samanty.

— Będzie mi miło, jeśli zechce pani chwilę ze mną posiedzieć.

— Oczywiście.

— Czy będę bardzo cierpiała na koniec?

Marek siedział naprzeciwko Samanty w łagodnie kołyszącym się powozie. Obserwował jej twarz, oświetlaną mijanymi latarniami. Od wyjścia z biblioteki wydała mu się cichsza i zaprzątnięta myślami. Niepokoił się, bo znał swoją matkę. Nie umiał też poskromić ciekawości — o czym tam rozprawiły za zamkniętymi drzwiami?

Chociaż Marek cieszył się szczególnymi względami matki — podziwiała w nim siłę i odwagę, gdy rezygnując z majątku walczył o to, co uważał za słuszne (kiedy czternaście lat temu wyszedł z rodzinnego domu, doszła do wniosku, że kocha go bardziej niż pozostałych synów) — i choć w niektórych sytuacjach zwracała się do niego o wsparcie i o radę, tym razem jednak nie chciała zwierzać się Markowi. Słyszała o pannie Hargrave ze Św. Brygidy, wypytała więc o nią Marka, aż wreszcie zażądała, żeby ją przyprowadził do domu na kolację.

— Skoro dostąpiła już pani tego wyjątkowego zaszczytu poznania mojej matki, chciałbym się dowiedzieć, co pani o niej sądzi. — Powóz wmieszał się w falę późnego ruchu na Broadwayu.

Uśmiechnęła się z trudem.

— To niezwykła kobieta.

— O czym tak długo rozmawiały panie?

— O różnych rzeczach.

— To tajemnica?

— O sprawach kobiecych.

Spojrzał na nią uważniej.

— Jest chora?

Samanta nie spuściła wzroku, choć czuła się niepewnie.

— Pana matka prosiła, żebym nie powtarzała naszej rozmowy nikomu, i obiecałam jej, że tego nie zrobię.

— Rozumiem. — Marek uniósł łaskę i od niechcienia obejrzał jej ozdobną srebrną gałkę. — Czy chodzi o jakiś zdrowotny problem?

— Nie wolno mi nic mówić w tej sprawie.

— Mam chyba prawo wiedzieć — zauważył łagodnie.

W tej chwili zrobiło się jej żal nie Klary, która czeka na śmierć ze stoickim spokojem, ale Marka, który już niedługo pograży się w żałobie. Bardzo chciała powiedzieć mu o chorobie matki i dać mu czas, by przygotował się na przyjęcie jej śmierci z godnością, ale Klara Rawlins wyraźnie zabroniła mówić. Samanta ze wszystkich sił walczyła ze sobą, żeby zachować się zgodnie z zasadami etyki lekarskiej. Kochała Marka i chciała go uprzedzić, złagodzić jego ból, nie mogła jednak zawieść zaufania pacjentki! Musiała być albo wierna swoim prywatnym zasadom, albo kodeksowi lekarza. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że któregoś dnia jedne będą musiały ustąpić drugim.

— Prosiła mnie o radę i otrzymała ją. Tylko tyle mogę panu zdradzić.

Rozważał to jakiś czas, w końcu przyjął wyjaśnienie Samanty do wiadomości i skinął głową.

— Cieszę się, że była pani dziś z nami na kolacji. Dzięki pani ten wieczór nabrał dla mnie szczególnego znaczenia.

Spuściła wzrok. W myślach poganiała konie, by przyspieszyły kroku. Marek siedział tak blisko, a ona tak bardzo go pragnęła! Czuła, że za chwilę gotowa stracić panowanie nad sobą. Chciało się jej płakać, nie ze względu na Klarę, a z powodu Marka. Ta nieszczęsna obietnica złożona w bibliotece! Gdybyż tylko mogła mu powiedzieć...

— A to pani zna, Samanto? — Usłyszała jego niski, intymnie brzmiący głos.

*O pani śpi! Obyź jej spanie,  
Co trwa, głębokie było Panie!  
Ty przyjmij ją pod swe czuwanie.  
Gdy świętym stało się to łoże,  
Ściany tej izby bardziej boże,  
Spraw, Panie, niechaj śpi przez wieki*

*Z nie rozwartymi wciąż powieki  
Śród widm schodzących z mgły dalekiej... \**

— Samanto!

— Przepraszam — starła łzę z policzka.

W ciągu sekundy znalazł się tuż przy niej i objął ją ramieniem.

— Proszę mi wybaczyć — wymruczał i wyciągnął chustkę.

— Rozstroilem panią.

Przycisnęła chustkę do oczu; materiał delikatnie pachniał jego wodą kolońską.

— Przepraszam — szepnęła jeszcze raz i głęboko nabrała tchu. — To nie pana wina; jestem zmęczona.

— Landon za mocno panią eksploatuje.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się przepraszająco. Ledwie centymetry dzieliły ich twarze. Przez pelerynę czuła ciepło jego ciała — przytulał ją tak blisko, tak opiekuńczo. I znów jego oczy stały się równie mroczne jak w salonie, kiedy Letycja deklamowała „Annabel Lee”. Patrzył na nią tak intensywnie, z takim skupieniem... Jeszcze raz się zdumiała. Nigdy nie знаła nikogo, kto jak Marek Rawlins, na zewnątrz czarujący lekkoduch, dowcipny i kulturalny — takim go poznała na balu u pani Astor — pod dżentelmeńską powłoką kryłby tajemniczą siłę i najprawdziwszą męskość. Dwa razy dostrzegła w nim tego innego Marka i ten nieznaną Marek mocno rozbudził jej zmysły. Zamknęła oczy i rozsmakowywała się w jego bliskości. Choć raz nie miała ochoty udawać, że jest silna, że wszystko kontroluje; teraz chciała się poddać słabości i znaleźć schronienie w jego ramionach.

Przytulał ją całą drogę, milczał i koił swoją siłą i spokojem. I myślał tylko o niej, bo tak jak Samanta nie mogła się nadziwić reakcjom, jakie w niej wzbudzał, tak samo Marek nie wiedział, co myśleć o uczuciach, które w nim wywoływała. Jak to możliwe, żeby kobieta była tak silna i niezależna,

a równocześnie krucha i bezbronna? Jak to się dzieje, że budzi w nim taki podziw dla swej odwagi i hartu, że widzi w niej kobietę, która sama o sobie stanowi, a przy tym wszystkim sprawia, że on tak bardzo chce ją ochraniać przed światem? Gwałtowne podniecenie, jakie odczuł patrząc na nią w trakcie deklamacji Letycji, mocno go zaskoczyło. Jeszcze żadna kobieta nie miała nad nim takiej ogromnej władzy, żadna nie pochłaniała jego myśli aż tak bez reszty, nie wywoływała w nim takiego zamętu i nie sprawiła, że stał się niewolnikiem swoich pragnień. Była dla niego równie wielką zagadką jak on dla niej. Zaskakiwała go, wciąż ukazując mu swą nową twarz. Za każdym razem, gdy myślał, że ją wreszcie zna, Samanta Hargrave na nowo wprawiała go w bezbrzeżne zdumienie.

Pragnął, żeby ta jazda nigdy się nie skończyła — chciał już zawsze oglądać światła ulicznych latarni, wdychać woń letniej nocy i zapach skórzanego obicia powozu; chciał już zawsze czuć Samantę przy sobie. Za szybko dojechali na miejsce.

Marek wprowadził Samantę do oświetlonego hallu, gdzie senny portier strzegł szpitala przed bezdomnymi włóczęgami. Zatrzymał się i ujął ją za ramiona.

— Czy na pewno już dobrze się pani czuje? — zapytał cicho, patrząc jej w oczy.

Kiwnęła głową.

Czekał. Tyle jej chciał powiedzieć, słowa same cisnęły się na usta, ale z jakichś niezbadanych przyczyn elokwencja nagle go zawiodła.

— Dobranoc, Samanto — powiedział zwyczajnie.

Nie miała doświadczenia ani z mężczyznami, ani w miłości. Nie miała też daru wystawiania się.

— Dobranoc, Marku — szepnęła i odeszła.

Choć pora była późna, w sypialni doktora Westona zabawa trwała w najlepsze. Korytarzem niósł się dziewczęcy chichot i brzdąkanie na bandžo. Samanta szybko minęła hałaśliwy pokój Westona, wpadła do swojej sypialni i oparta plecami o drzwi usiłowała zapanować nad szalejącymi w niej uczuciami.

Miłość nie powinna nieść ze sobą tyle cierpienia.

Usłyszała czyjeś ciężkie kroki w korytarzu, a potem gwałtowne stukanie do drzwi. Myślała, że to jeden z jej podpitych kolegów wreszcie zdecydował się zaprosić ją do kompanii. Raptownie otworzyła drzwi i w progu zobaczyła Marka. Wdarł się do środka, ze złością trzasnął drzwiami i chwycił ją za ramiona.

— Do diabła, Samanto! Kocham cię!

Przyciągnął ją mocno do siebie, a ona rozpląnęła się w jego uścisku. A kiedy nakrył jej usta swoimi, jęknęła. Zaskoczyła go jej namiętna reakcja. Oderwał się od niej i spojrzął na nią rozszalałym wzrokiem.

— Boże, kocham cię, Samanto! Kocham cię...

Teraz zdumiał się, jaka jest krucha w jego ramionach, a przy tym jak bardzo zmysłowa; jakie przejrzyste i nieprawdopodobnie głębokie są jej oczy — bez trudu mógł w nich utonąć. Budziła w nim gwałtowne żądze i jednocześnie chęć, by wybiec, gdzie oczy poniosą, i dla niej zabijać smoki. Od dawna jej pragnął, od dawna już zaprzętała jego myśli, ale tego, co teraz doświadczył, zupełnie się nie spodziewał. Nie przeczuwał, że tak raptownie puści tama namiętności, o jakie w ogóle jej nie podejrzewał.

Równie mocno zaskoczyło go własne — pierwsze w życiu — wyznanie. Miewał kobiety, ale w tamte związki miłość nie wkraczała nigdy. Nie czuł jej nawet przy Janelle. Miłość była dla Marka zupełnie obcym zjawiskiem; jego rodzice nigdy jej sobie nie okazywali. Wychował się w domu chłodnym, pozbawionym uczucia i zawsze uważał, że nie potrafi kochać. A teraz, proszę! Słowa same mu się wymknęły, jakby od dawna je chciał powiedzieć. Zdziwił się, że zabrzmiały tak właściwie, że tak dobrze się z nimi czuł. Naprawdę kochał...

Odkrycie tego zajęło mu ułamek sekundy. Wstrząśnięty odsunął się od Samanty; zaczynał uświadamiać sobie, co zrobił.

— Wybacz mi — szepnął ochryple. — Wpadłem tak bez pytania, złapałem cię tak brutalnie...

— Żałujesz tego? — Jej szept dochodził gdzieś z ciemności; pokój tonął w mroku.

— Nie — odparł po prostu. — Chcę, żebyś została moją żoną, Samanto.

Usłyszał, jak Samanta gwałtownie wciąga powietrze; teraz przyszła jej kolej na zdziwienie. Wykorzystał pełną zaskoczenia ciszę.

— Nie spodziewam się odpowiedzi od razu — dodał szybko. — Chciałbym, żebyś tylko wyświadczyła mi tę łaskę i powiedziała, że się zastanowisz. Możemy sobie razem ułożyć dobrze życie, Samanto. Możemy założyć udaną rodzinę. Łączy nas zawód, praca ramię w ramię... — Boże, skąd brały się te słowa?

Poczuł na swojej ręce jej chłodną dłoń; przyciągnęła go blisko i wspięła się na palce, żeby go pocałować w usta. Otoczył ją ramionami, czując, że nareszcie jest w domu. Nie zrobił nic, żeby ukryć podniecenie, bo wiedział, że i ona go pragnie. A kiedy zaczął rozpinąć guziki jej sukni, pomogła mu.

Całe swoje życie oddał dwóm sprawom: sprzeciwianiu się woli ojca i praktyce lekarskiej. Teraz mógł do nich dodać trzecią — resztę życia zamierzał oddać miłości do Samanty Hargrave.

## 8

— Musi być jakiś sposób, Landon — powiedziała Samanta, odsuwając od siebie talerz z grzanką i z boczkiem. — Nie będę stała z założonymi rękami i patrzyła na bezsensowną śmierć pacjentek.

Nie odpowiedział; co tydzień odbywali podobną dyskusję. Kiedy zgłaszały się do nich pacjentki z ciążą jajowodową, po prostu umierały. Świat jest tak a nie inaczej zorganizowany. Dlaczegoż nie chciała przyjąć tego do wiadomości?

Stuknęła łyżeczką o blat stołu.

— Robisz małe nacięcie, szybko podwiązujesz jajowód, wyciągasz płód i pacjentka staje na nogi! Dlaczego nie można tego zrobić?



Patrzył na nią bez słowa. Doskonale wiedziała, dlaczego — pacjentki zawsze wykrwawiały się na śmierć.

— Landon, tylko pomyśl chwilę! Przecież musi być jakaś metoda, żeby zapobiec krwotokom! Gdybyśmy tylko zdołali opanować krwawienie, wiesz, ile operacji można by wykonać? Można by bezpiecznie usuwać wyrostki robaczkowe, woreczki żółciowe, macice...

Drzwi do jadalni otworzyły się i wszedł Marek Rawlins. Za każdym razem kiedy spotykała go w szpitalu, oblewał ją rumieniec; już od trzech miesięcy byli kochankami.

Omiótł wzrokiem jadalnię, skłonił się kilku lekarzom przy dalszych stolikach i podszedł do Samanty i Landona.

— Dzień dobry państwu. Przeszkadzam może?

— Wciąż maglujemy to samo, Marek — odparł Landon. Wyciągnął z kieszeni zegarek i otworzył kopertę. — Brzuchy.

— Mhm. Na pewno do tego dojdzie, któregoś dnia. Halsted twierdzi, że jego nowe kleszczyki zaciskowe zdają egzamin.

— Oglądałem jedną z tych teatralnych operacji Halsteda. Usuwał woreczek żółciowy. Z otwartej rany sterczało z pięćdziesiąt zacisków i przez to w ogóle nie miał pola na jakikolwiek manewr. Operował ponad godzinę.

Marek uniósł brwi.

— Operował całą godzinę?

Landon zamknął kopertę i włożył zegarek do kieszonki.

— Pójdę sprawdzić, co słyhać u pani O'Riley. Rodzi już dwie doby. Pachnie mi to cesarskim.

— Dopiję herbatę i zaraz do ciebie przyjdę — obiecała Samanta.

W zamyśleniu kiwnął głową i odszedł od stołu.

— Jak się pani dziś miewa, doktor Hargrave? — zapytał Marek z błyskiem w oku.

— Doskonale, doktorze, a pan? — Trzy miesiące temu sprzeczali się na temat tej gierki. Marek gotów był wejść na szczyt wieży kościoła Św. Patryka i wykrzyzczyć światu o ich zaręczynach, ale Samanta nalegała, żeby zachować to na razie w tajemnicy. W Św. Brygidzie obowiązywały bardzo wyraźnie określone zasady dotyczące zatrudnionych kobiet

i Samanta nie chciała stwarzać sytuacji, w której zdobycie zaświadczenia o ukończeniu stażu mogłoby zostać czymkolwiek zagrożone, zwłaszcza teraz, kiedy do końca praktyki został jej raptem miesiąc. Reguły były proste i wyraźne: kobiety zatrudnione w Św. Brygidzie nie mogły być zamężne, zaręczone ani też nie mogły się umawiać z mężczyznami tak długo, jak długo pracowały w szpitalu. A Samanta Hargrave w oczach Silasa Prince'a była taką samą pracownicą Św. Brygidy, jak pielęgniarki czy salowe. Marek uważał, że jej ostrożność jest nieuzasadniona, ale ona nie podzielała tej opinii, a w każdym razie nie chciała sprawdzać na własnej skórze, które z nich ma rację. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Silas Prince zwolnił bardzo zdolną i oddaną chorym siostrę, kiedy się okazało, że jest zaręczona.

Po tamtej pierwszej nocy w sypialni Samanty nie ryzykowali więcej. Spotykali się potajemnie w mieszkaniu Marka przy Pięćdziesiątej Siódmej i żeby chronić Samantę do czasu ukończenia przez nią stażu, zgodził się — choć niechętnie — nikomu nie mówić o zaręczynach. Nawet matce. Nawet Janelle, mimo że ukrywanie tego faktu przed nią mogło prowadzić do wielce niezręcznych sytuacji.

Kiedy kelnerka podeszła z kawą do ich stolika, umilkli. Marek zamówił jajka i zaczął wypytywać dziewczynę, jakie owoce może dostać do śniadania. Samanta, sącząc herbatę, obserwowała go spod rzęs.

Myślała o jego ciele. Zwłaszcza o szerokiej piersi. Miał wspaniałą klatkę piersiową, masywną, porośniętą włosami, i cudownie silne, dobrze umięśnione ramiona. A jego mocne uda... Dziewczyna odeszła.

— Ależ pani doktor, pani się czerwieni! — zauważył.

Cóż za nieprawdopodobnych odkryć dokonywali w swoich ramionach, do jakiej ekstazy i szaleństwa się doprowadzali! Mieli uczucie, że są dla siebie stworzeni, duszą i ciałem. Nie wiedzieli, co to wstyd i zakłopotanie; nic nie ograniczało ich pieszczot. A kiedy przestawali się kochać, z całą powagą planowali wspólną przyszłość — zastanawiali się, gdzie Samanta otworzy praktykę, z którym szpitalem się zwiąże, gdzie będą mieszkać i jak wychowają dzieci. Joshua miał świętą

rację — Marek Rawlins zapowiadał się na idealnego męża dla Samanty.

— Jak się czuje pańska matka, doktorze Rawlins? — zapytała Marka, kiedy dziewczyna przyniosła mu zamówione jajka.

— Dobrze. Dlaczego pani pyta?

Samanta widziała ją kilka razy w ciągu ostatnich trzech miesięcy, a każde z kolejnych spotkań coraz bardziej pogłębiało ich przyjaźń. Klara nad kieliszkiem brandy — co powoli stawało się tradycją ich spotkań — opowiadała Samancie o swojej przeszłości: o tym, jak trudno było żyć u boku Nicholas Rawlinsa i utrzymać przy sobie mężczyznę o niespożytej energii; o tym, że usiłowała tak wychować synów, by umieli sami stanowić o sobie, ale osiągnęła to tylko w przypadku jednego; i wreszcie o jej walce o prawo do tego, by otoczenie postrzegało ją jako samodzielnego człowieka, a przy tym by nie odmówiło jej kobiecości — a więc o tej cienkiej granicy, jaka dzieli jedno od drugiego. Samanta próbowała przekonać Klarę, że wysiłki, które opisuje, dokładnie odpowiadają działaniom kobiet, które podejmują pracę zawodową, ale bezskutecznie. „Kobieta ma tylko jedno powołanie — upierała się Klara. — Ma być żoną i matką. Moim zdaniem kobieta właśnie w ramach tych ról, a nie poza nimi, może walczyć o swoją niezależność. Nie powinna przekraczać pewnych granic i współzawodniczyć z mężczyznami. Jej miejsce jest u boku mężczyzny, a nie naprzeciw niego.” Rozmawiały tak godzinami i sprawiało im to przyjemność. Kilkakrotnie Samanta była tylko o krok, żeby zdradzić pani Rawlins swój sekret, ale w ostatniej chwili uznawała, że ryzykuje zbyt wiele — Silas Prince nie zawahałby się użyć broni, którą sama włożyłaby mu w rękę.

Został już tylko miesiąc, myślała przyglądając się, jak Marek kończy śniadanie. Za cztery tygodnie skończą staż.

Odsunął talerz i osuszył usta serwetką. Przypominała sobie uczucia, jakie ją ogarniają, kiedy ją całuje, i zastanawiała się, czy inne kobiety też ciągle rozmyślają o tych intymnych chwilach, które łączą je z ukochanymi mężczyznami. Ale kiedy spojrzał na nią, w jego oczach ujrzła powagę i jej figlarny uśmiech zniknął.

— Co się stało, Marek?

— Obawiam się, że mam dla ciebie wiadomość, która cię nie ucieszy — odparł. — Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć. Będę musiał w przyszłym tygodniu wyjechać do Londynu...

Patrzyła na niego bez słowa, aż wreszcie otrząsnęła się, przypominając sobie, gdzie są.

— Wytypowali mnie w Świętym Łukaszu. Mam reprezentować szpital na amerykańskim kongresie.

— Nie mogą wysłać tam kogoś innego?

— Ten wyjazd jest ważny dla mnie tak samo jak dla szpitala. Jestem tylko szeregowym lekarzem w Świętym Łukaszu. Ta podróż wzmocni moją pozycję, przez co zdobędę sobie prawo do większej samodzielności.

Kiwnęła głową. Praca już zaczynała kolidować z ich życiem prywatnym; musieli się z tym pogodzić, jeśli ich małżeństwo miało być harmonijne.

— Rozumiem, kochany — odparła cicho. — Jak długo cię nie będzie?

— Tylko miesiąc. Mam już zarezerwowany bilet na statek. Płynę *Excaliburem* do Bristolu. Jeśli tylko pogoda dopisze, powinien być z powrotem w ostatnim tygodniu października. Na cztery dni przed uroczystością wręczania zaświadczeń o ukończeniu stażu.

— Sercem będę przy tobie.

— Moje zostanie z tobą.

— Cztery tygodnie.

— Wieczność.

— Jak ja to przetrwam?

— Samanto... — Zaczął przesuwac dłoń w jej stronę, ale szybko ją cofnął. — Pobierzmy się. Zanim wyjadę.

Myślała przez chwilę, ale potrząsnęła głową.

— Twoja mama nie przeżyłaby tego. Tak bardzo czeka na dzień twojego ślubu... Chciałaby ci urządzać wesele, które zaćmi wszystkie bale wydawane przez panią Astor. Nie możemy odbierać jej tej radości, Marku.

— Och, mama potrafi zdusić w sobie każdy zawód. To twarda sztuka. Przebolałaby szybko.

— Nie, Marku, zostały tylko cztery tygodnie. Potem będziemy wolni.

Wpatrywali się w siebie bez słowa. Miała ochotę wstać i krzyknąć na całą jadalnię: „A niech was wszyscy diabli!” i śmiało, na oczach wszystkich pocałować Marka. Mogliby szybko wziąć ślub cywilny i jeszcze wyjechać gdzieś na kilka dni przed jego podróżą. A może nawet po tylu latach zobaczyłaby Londyn, doktor Blackwell, St. Agnes Crescent... Pokazałaby Markowi miejsca, które odkrywała jako mała dziewczynka. Byłoby jak w raju...

Ale nie. Ukończenie stażu było sprawą ogromnej wagi, a Silas Prince uchwyciłby się każdego pretekstu, byleby tylko pozbawić ją zaświadczenia. W dodatku odebraliby Klarze ostatnią radość w życiu.

— Ależ ze mnie szczęściarz. — Jego głos zabrzmiał cicho i poważnie. — Zastanawiam się, czy pewnego dnia nie obudzę się i nie odkryję, że to tylko sen.

— Idę zobaczyć, co tam robi Landon — powiedziała z wymuszoną lekkością. — Mamy cztery porody dziś rano! Pan wybacz, doktorze Rawlins.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

— Dziś wieczorem?

Myślała przez chwilę. Minał już tydzień, Landon da jej wolne.

— Wieczorem — szepnęła i szybkim krokiem wyszła z jadalni.

— Dzień dobry, doktor Hargrave!

Uniosła wzrok znad pacjentki, którą właśnie osłuchiwała, i zobaczyła uśmiechniętą Letycję MacPherson. Dziewczyna trzymała w ramionach kosz róż, który z pewnością poprzedniego dnia ozdabiał jej stół przy kolacji, a za nią stała służąca z naręczem czegoś, co z daleka wyglądało jak stos prześciera-deł.

— Dzień dobry, Letycjo — odpowiedziała i nakryła pacjentkę kocem.

— Przyniosłam pościel na bandaże. Mamie już się sprzykrzyła, ale jest w dobrym stanie.

— Podziękuj mamie w naszym imieniu. Pearl, zanieś ją siostrze przy stoliku.

— A komu mam dziś wręczyć te kwiaty?

Samanta zerknęła na świeże róże i rozejrzała się po oddziale. Sierpniowe słońce padało na schludnie zaścienione łóżka; złoty pyłek tańczył w rozświetlonym powietrzu jak słoneczny kurz. Samanta zatrzymała spojrzenie na pani Murphy i mimowolnie się uśmiechnęła.

Babcia Murphy została przyjęta w zeszłym tygodniu z ostrymi bólami brzucha i chronicznymi wymiotami. Stara kobieta ze starej Europy w życiu nie widziała lekarskich słuchawek. Kiedy Samanta przytknęła do jej piersi srebrny dzwoneczek fonendoskopu, pani Murphy, której zdawało się, że to już cała nowoczesna kuracja, westchnęła głęboko. „Od razu mi pomogło” — oznajmiła.

— Pani Murphy na pewno dobrze się nimi zaopiekuje — uznała Samanta. — To ta, która właśnie zakręca papiloty.

Letycja żwawo się odwróciła i pośpieszyła do łóżka numer siedem, a tymczasem Samanta obserwowała ją w zamyśleniu. Naprawdę zaczynała się o nią mocno niepokoić.

Przypomniała sobie ostatnią kolację u Rawlinsów. W pewnym momencie wyszła do kuchni po ciepłe mleko, w którym chciała rozpuścić morfinę dla Klary, i idąc labiryntem wyłożonych dywanami korytarzy, mijała właśnie lekko uchylone drzwi, zza których, jak się jej zdawało, dobiegał czyjś jęk. Zawodowy odruch kazał jej stanąć pod drzwiami i chwilę nasłuchiwać. Pchnęła niedomknięte drzwi o kilka centymetrów i zajrzała do środka. W pokoju panowała ciemność; ledwie widziała zarysy ciężkich mebli i palm — było to dodatkowe pomieszczenie przeznaczone na odpoczynek dla pań w czasie eleganckich balów wydawanych przez Klarę Rawlins. Teraz niewielki salonik świecił pustkami, tyle że gdzieś w mroku kryła się jakaś postać najwyraźniej ogarnięta cierpieniem.

Pomyślała, że to pewnie służąca, która przyszła tu sprzątać, upadła i nie może wstać. Weszła więc do środka, gdy wtem usłyszała niski męski śmiech. Zamarła i zaczęła słuchać uważniej. W dochodzących ją odgłosach ze zdziwieniem roz-

poznała pełne uniesień westchnienia i namiętne jęki. Czym prędzej stamtąd uciekła.

Od zaskoczonej jej wejściem kuchennej — goście nigdy tutaj nie zaglądali — dostała ciepłe mleko i chciała wrócić wprost do biblioteki. Musiała jednak szybko schować się w załomku korytarza, gdyż nagle drzwi ciemnego saloniku zaczęły się otwierać. Z pokoju wyszedł Stephen Rawlins, który wygładzał włosy, a z głębi pomieszczenia dobiegł ją głos Letycji.

Opowiedziała o tym Markowi, który z kolei rozmawiał ze Stephenem, ale to oczywiście w niczym nie mogło pomóc Letycji, która — jak Samanta podejrzewała — obdarowywała łaskami niejednego mężczyznę.

Dumała nad tym teraz, patrząc jak Letycja z wdziękiem wiąże szmatki na głowie pani Murphy. Ostatnio dziewczyna zjawiała się w szpitalu jedynie w towarzystwie swojej panny służącej. Dlaczego?

Akurat w tym momencie do sali wszedł doktor Weston. Kiedy zobaczył Letycję, nieznacznie zmylił krok, a kiedy Letycja spojrzała na niego, jej twarz okrył rumieniec. Doktor Weston minął ją na pozór obojętnie, a ona nie przerwała rozmowy z panią Murphy, ale Samanta dostrzegła porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili, i ogarnął ją strach. Czy zachowanie moje i Marka też nas zdradza na tysiące sposobów?

Kiedy Letycja odchodziła już od łóżka pani Murphy, Samanta strzepywała termometr i wkładała go pacjentce pod pachę. Powinnam z nią porozmawiać, myślała. Letycja nie wie, na jakie niebezpieczeństwo się naraża.

W gruncie rzeczy Letycja MacPherson doskonale wiedziała, co jej grozi. Bardzo wczesnie odkryła radość płynącą z pewnej samotnie uprawianej czynności, a kilka lat później, w ogrodowej altanie letniego domu, w ramionach kuzyna o imieniu Will, przeżyła swoją pierwszą przygodę seksualną. Od tamtej chwili wiedziała, że żadne inne zajęcie nie wyda się jej nigdy równie zajmujące. Na pianinie grała bardzo przeciętnie, słabo haftowała i malowała najwyżej średniej urody obrazy, za to w męskich ramionach przeistaczała się w najprawdziwszą primadonnę.

Uznała również, że emocje płynące z seksu co najmniej w połowie potęgowało zagrożenie ewentualnym przyłapaniem na gorącym uczynku. Zamażpójście i łóżko dzielone co noc z tym samym mężczyzną nie wydawało jej się ani odrobinę tak ekscytujące jak zbliżenia z coraz to nowym partnerem. Najwspanialsze w seksie były różnorodność i niebezpieczeństwo nakrycia. Jeśli zaś chodzi o zabezpieczenie się przed ciążą, Letycja za namową koleżanki udała się do pewnej kobiety w Greenwich Village. Ta kobieta sprzedała jej buteleczkę „roztworu ochronnego” i gąbeczkę, którą należało skropić nim obficie i włożyć do pochwy przed stosunkiem.

Samanta nic o tym nie wiedziała. Na pierwszy rzut oka Letycja MacPherson była spłonioną, świeżą i niewinną dziewczyną. To, że uwielbiała seks, było jej najgłębszą tajemnicą, skrywaną przede wszystkim przed licznymi dżentelmenami, z których każdy, zwiedziony jej dziewczęcym uśmiechem i naiwnym obejściem, uważał, że jest tym pierwszym.

— W tę sobotę wybieramy się na widowisko „Dziki Zachód”, doktor Hargrave. Podobno występują w nim prawdziwi Indianie!

Samanta uśmiechnęła się i wyciągnęła termometr spod pachy pacjentki. Patrząc na słupek rtęci, myślała: Za bardzo się nią martwię; Letycja jest zbyt dobrą i rozsądną dziewczyną, żeby pozwolić mężczyźnie na zbyt dużą poufałość.

— Doktor Hargrave!

Na końcu sali, przytrzymując w pół otwarte drzwi, stał doktor Weston i machał w jej stronę.

— Może pani przyjść? Jest pani potrzebna!

Kiedy doszła do izby nagłej pomocy, ujrzała nieopisany chaos. Na noszach leżeli ludzie, dokoła biegały pielęgniarki, doktorzy zakasywali rękawy. Na sąsiednim skrzyżowaniu doszło do wypadku spowodowanego przez znarowionego konia. Kilku przechodniów zginęło na miejscu, a woźnice w stanie krytycznym leżeli teraz na stołach.

— Tutaj, pani doktor! — krzyknął Jake. Pomagał policjantowi utrzymać szarpiącego się mężczyznę, któremu koło dorożki obcięło nogę.



Samanta kazała zdjąć mu paltot i zrobiła zastrzyk z morfiny. Kiedy się uspokoił, zaczęła oglądać ranę. Noga została ucięta równo w kolanie, a policjant, sprytny chłopak, obwiązał kikut jakimiś szmatami, żeby zatamować krwawienie. Cały czas też pilnował, żeby opatrunek nie spadł. Dopiero kiedy na scenę wkroczyła Samanta, odsunął się od rannego. Łagodnie zdejmowała szmaty, którymi policjant oмотał kikut ofiary. Ze zdumieniem stwierdziła, że szmaty są lodowato zimne, a w środku opatrunku wyczuła coś twardego jak skała.

— To sztuczka, jakiej się nauczyłem jako sanitariusz w armii Unii — wyjaśnił, widząc jej zdziwienie. — Jeden z pojazdów na skrzyżowaniu przewoził lód. Wziąłem, co mi było trzeba...

Spojrzała na okaleczoną nogę rannego i zauważyła, że istotnie krwawienie było niewielkie. Ale pod wpływem ciepła w szpitalu naczynia w ranie rozszerzały się i ciało zaczynało się coraz bardziej różowić. Od razu widziała, że noga zagoi się dobrze, nie będzie bardzo ropicć, a pacjent nie stracił dużo krwi.

Lód, pomyślała z ożywieniem. Lód...

## 9

Był jeden z tych październikowych dni, kiedy koty chodzą zjeżone, a damskie halki szeleszczą przy każdym stąpieniu. Na chodnikach leżały liście, czerwone i złote — wyglądało to tak, jakby ktoś pacnął na ulice pędzlem maczanym w zachodzie słońca. W powietrzu czuło się napięcie. Było sucho i zimno; nadchodziła zima.

Samanta umyła ręce w końcu sali i westchnęła głęboko. Miała ciężki dzień; ogarnęło ją zmęczenie. Zachodzące słońce zapowiadało jednak wieczór, a tym samym koniec dyżuru. Ktoś jej powiedział, że na górze czeka na nią list; ta myśl od razu postawiła ją na nogi. Pewnie od Marka!

Uśmiechnęła się do samej siebie całkiem bez powodu. Po prostu tak sobie. Wczoraj *Excalibur* wypłynął z Bristolu i Marek już za tydzień będzie w domu!

Zza drzwi wychyliła się Mildred.

— Pani doktor, bardzo panią przepraszam, ale doktor Weston mówi, że ma dla pani przypadek ginekologiczny.

Samanta uśmiechnęła się ze znużeniem.

— Zaraz tam będę, Mildred.

Weston nachylał się nad młodą damą na krześle i osłuchując ją, usiłował nie zbliżać się do niej zanadto. Przy takich właśnie okazjach żałował, że nie stać go na takie słuchawki, jakie ma doktor Hargrave, i przestać już korzystać ze stetoskopu, czyli drewnianej trąbki, która w czasie badania zmuszała go do zbyt bliskiego kontaktu z piersią dziewczyny.

Na dźwięk kroków wyprostował się. Samanta zauważyła ze zdumieniem, że pobladł jak ściana.

— Co się dzieje, doktorze Weston?

Odwrócił się do niej i odszedł od pacjentki na dyskretną odległość.

— Jej rodzina twierdzi, że to ślepa kiszka — mruknął.  
— Ale ja nie sądzę.

Zauważyła nerwowy tik jego ust.

— Dlaczego?

— Krwawi dołem.

Minęła go i stanęła jak wryta. Na krześle siedziała Letycja MacPherson.

Głowa opadła jej na bok; miała zamknięte oczy i rozpalone gorączką policzki.

— Połóżmy ją na stole, doktorze Weston. Czy była przytomna, kiedy rodzina ją przywiozła? — Delikatnie uniosła spódnice dziewczyny i obmacała jej brzuch.

- Tak — odparł Weston i oblizał wyschnięte wargi.

— Podobno cały dzień skarżyła się na mdłości, a tuż po dwunastej dostała ostrego bólu brzucha i zemdłała. Zapakowano ją do łóżka i wezwano lekarza domowego. To on właśnie zalecił przewiezienie jej do nas.

— Gdzie on jest?

— W hallu, z jej matką i siostrą.

Zerknęła na Westona i z jego spopielalej twarzy wyczytała wszystko, co chciała wiedzieć. A więc Letycja pozwalała sobie na więcej niż niewinne zabawy. A jeśli jest w ciąży, kierowała swe myśli do doktora Westona, ty teraz uważasz, że to twoja wina.

Jej długie smukłe palce znalazły niewielkie zgrubienie pod warstwą mięśni. Obmacała je delikatnie, zbadała miękką macicę i ani przez chwilę nie oderwała wzroku od dziwnych czerwonych plam na twarzy Letycji. Obok stali Weston i pani Knight; milczeli zaniepokojeni. Niemal podskoczyli, kiedy się odezwała.

— Ciąży pozamaciczna. Pękł jajowód.

Pani Knight ze smutkiem potrząsnęła głową i przeżegnała się; jako osoba praktyczna zastanawiała się już, czy w szafie został choćby jeszcze jeden całun. Miała nadzieję, że tak.

— Pani Knight — Samanta zwróciła się do niej, obciągając sukienkę Letycji. — Proszę przygotować salę operacyjną. I proszę zapalić wszystkie lampy, jakie tylko pani tam znajdzie.

Oczy siostry przełożonej rozszerzyły się ze zdumienia.

— Pani będzie operować, pani doktor?

— Tak. Czy w kuchni jest lód?

Kobieta skinęła niepewnie i odwróciła się, żeby wykonać polecenia.

— Operacja! — wykrzyknął doktor Weston i ciężko opadł na krzesło. — Pani chyba oszalała!

— Pan będzie podawał eter, doktorze. Proszę też posiąć po doktora Fremonta. Potrzebna mi jego pomoc.

Głęboko zaczerpnęła tchu, wyprostowała się i wyszła do hallu. Janelle MacPherson zerwała się na jej widok, ale krusza starsza kobieta siedziała.

Samanta, stając przed Janelle, mocno zacisnęła splecione przed sobą dłonie.

— Możemy usiąść, panno MacPherson? — zapytała jak najłagodniej. — Mam niestety niedobre wiadomości.

— Wolę stać, doktor Hargrave. Co dolega siostrze?

— Letycji potrzebna jest natychmiastowa operacja.

Twarz Janelle stała się nagle tak blada jak jej platynowe włosy.

— Operacja? A od kiedy to operuje się ślepą kiszkę?

— Proszę, usiądźmy.

Kiedy już usiadły na ławce, Samanta chciała jak najdelikatniej wyjaśnić im, w czym rzecz.

— Letycja nie ma ataku ślepej кишки, panno MacPherson. To ciąża jajowodowa. Jej stan wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej.

Lodowate podmuchy wiatru wpełzły po frontowych schodkach i precyzyjnie się przez szpary w drzwiach głównego wejścia; teraz szumiały w hallu jak złośliwe szepty.

— Co pani powiedziała? — W ciemnoniebieskich oczach Janelle błysnęła stal.

Samanta chciała oprzeć dłoń na jej ramieniu, ale Janelle odsunęła się gwałtownie.

— Letycja jest w ciąży, przykro mi. Płód utkwiał w jednym z jajowodów prowadzących do macicy i jajowód pękł. Niewiele jej czasu zostało.

— Jak pani śmie!

— Przepraszam?

— Jak pani śmie oskarżać moją siostrę o coś podobnego!

— Zapewniam panią, że nie jest to oskarżenie, panno MacPherson. Jeśli natychmiast nie zacznę operacji...

— Nie będzie jej pani operować!

— Proszę posłuchać... — Usłyszała nagle niski baryton. Spojrzała w górę i zobaczyła mężczyznę, który dotąd stał przy matce Janelle. Był bardzo stary, miał dystyngowany wygląd, a stawy skrzypiały mu przy każdym kroku. — Sam postawiłem diagnozę. Panna MacPherson cierpi na zapalenie ślepej кишки.

Samanta szybko oszacowała go w myślach. Od wielu, wielu lat uprawiał medycynę jako lekarz domowy i to zajęcie polegało przede wszystkim na głaskaniu pacjentów po głowach, przepisywaniu im pastylek cukrowych oraz na wysłuchiwaniu wyimaginowanych dolegliwości dostojnych matron i młodych dziewczątek zamieszkałych przy Piątej Alei. Poza tym pan doktor wygłaszał pewnie mądre uwagi, patrzył w skupieniu przez monokl i pobierał astronomiczne honoraria.

— Obawiam się, że nie mogę się zgodzić z pańską diagnozą, doktorze Grimes — zaczęła ostrożnie. — Ślepa kiszka nie daje krwotoku.

— Dziewczyna ma zwyczajną menstruację.

— Ale wyraźnie czuje się zgrubienie na brzuchu i ból jest umiejscowiony z lewej strony, nie z prawej.

— To nie są objawy ciąży, proszę pani.

— To prawda. Niemniej zdecydowanie bardziej jest to ciąża niż atak ślepej kiszki. I taką diagnozę stawiam.

— Nawet jeżeli pani się nie myli, to operacja nie jest właściwą kuracją.

— Pijawki też nie, proszę pana.

Zamrugął nerwowo. W jego starych oczach zauważyła błysk strachu człowieka, który uświadomił sobie nagle, że świat nie czeka! na niego, tylko ruszył naprzód. Doktor Grimes był już przeżytkiem, dinozaurem skazanym na zagładę, i dobrze o tym wiedział.

— Panno MacPherson, wiem, jakie to jest straszne dla pani, ale niestety Letycja jest w ciężkim stanie, który pogarsza się z każdą minutą — zwróciła się do Janelle łagodniej. — Jeśli natychmiast nie zaczniemy operacji, pani siostra nie dożyje rana.

— Doktor Hargrave — odparła Janelle, z trudem trzymając emocje na wodzy. — To niepodobna, żeby moja siostra mogła być w ciąży! To, co pani tutaj suponuje, to wprost niewiarygodna potwarz! Chce pani zszargać reputację niewinnej dziewczyny, żeby wyciągnąć z tego zawodowe korzyści i wyrobić sobie nazwisko... — Stonowała głos. — Nie pozwolę, żeby wykorzystała pani Letycję jako królika do swoich doświadczeń. Jeśli chce pani podrzucić prasie kolejną sensację, niech sobie pani znajdzie inną ofiarę.

Samanta spojrzała na smutną małą kobietę za plecami Janelle. Pani MacPherson nie miała tyle szczęścia co Klara Rawlins, by u boku męża wywalczyć prawa dla siebie. Pani MacPherson wyglądała na steraną wiekiem kobietę, przedwcześnie przywiedłą. Całe życie kryła się w cieniu męża, rekiną z Wall Street, a jej jedynym zadaniem było urodzić mu dzieci. Ale w jej nieszczęsnych oczach zabłysła na chwilę daw-

na moc sprzed lat. Pani MacPherson najwyraźniej znała prawdę; podejrzewała, jak niebezpiecznie bawi się jej córka, i była o krok od tego, by przyznać Samancie rację. Nie znalazła jednak w sobie dość siły; nie miała wprawy w wygłaszaniu własnych sądów, zwłaszcza wobec apodyktycznej córki, która od czasu kiedy pan MacPherson zapomniał o jej istnieniu i przestał rozstawiać ją po kątach, przejęła na siebie obowiązki głowy domu. Tak więc pani MacPherson poddała się, spuściła oczy i wbiła wzrok w swoje dłonie.

— Niech się pani nie waży choćby tknąć mojej siostry, doktor Hargrave, bo wytoczę pani sprawę w sądzie!

Samanta wróciła do izby nagłych wypadków. Doktor Weston mierzył Letycji puls.

— Landon już jest? — zapytała, podchodząc do stołu.

Potrząsnął głową, a potem schował zegarek i spojrzał na Samantę.

— Jest w szoku, doktor Hargrave. Co mówi jej rodzina?

— Nie zgadza się na operację.

— Hm... To i dobrze, bo i tak nic by z tego nie było.

Posłała mu twarde spojrzenie.

— Nie zgadzam się z panem, doktorze.

— Ależ doktor Hargrave, nikt tego jeszcze nie robił! Otwarcie brzucha, żeby usunąć ciężą jajowodową, jest równoznaczne z podpisaniem na pacjentkę wyroku śmierci!

Samanta już chciała mu odpowiedzieć, kiedy Letycja jęknęła i obróciła głowę. Zatrzepotała powiekami i chwilę koncentrowała wzrok.

— Doktor Hargrave... — szepnęła wreszcie.

— Jak się masz, Letycjo... — Samanta ujęła jej dłoń i lekko ją ścisnęła.

— Gdzie... Gdzie ja jestem?

— W szpitalu Świętej Brygidy. Wszystko będzie dobrze.

Letycja oblizwała suche wargi i obróciła głowę, by spojrzeć na Westona.

— Umieram...

— Nie, nic podobnego — odparł zdławionym głosem.

— Letycjo... — Samanta chciała skupić rozproszoną uwagę dziewczyny — ...czy wiesz, co ci dolega?

— Nie...

— Musisz mieć operację, Letycjo. I ja cię chcę operować. Myślę, że potrafię ci pomóc. — Nachyliła się nisko nad dziewczyną. — Ale Janelle nie wyraża zgody. Letycjo?

— Niech mnie pani ratuje... — szepnęła dziewczyna. — Boże, niech mnie pani ratuje...

— Posłuchaj, operacja jest twoją szansą. Rozumiesz mnie? Letycjo!

— Tak... Niech pani robi, co trzeba, doktor Hargrave... Niech pani operuje... Niech mnie pani ratuje...

Samanta wyprostowała się i spojrzała na Westona. Z trudem przełknął ślinę.

Na górze w lodowatej sali operacyjnej Samanta przypominała właśnie pani Knight, by lód był zawsze pod ręką, kiedy wszedł Landon Fremont.

— Co tu się dzieje, Samanto?

Opisała objawy Letycji, a doktor Fremont podszedł do stołu i spojrzał na dziewczynę.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Zrobię to, Landon.

— Zabijesz ją.

— Umrze, jeśli nie zaczniemy działać. Mam plan, który powinien się udać... Ten lód, Landon...

— Samanto, ta dziewczyna umrze tak czy siak. — Patrzył z powagą w oczach. — Sprawa i tak jest poza naszą kontrolą. Chodzi jedynie o to, Samanto, gdzie ona umrze. Jeśli w łóżku na oddziale, nie będziemy ponosić za to odpowiedzialności, ale jeżeli umrze nam na stole, powiedzą, że to myśmy ją zamordowali.

— Landon, posłuchaj mnie dobrze. Nic przełomowego nie zdarzyło się jeszcze w medycynie bez ryzyka. A ja mam już dosyć biernego patrzenia, jak kobiety nam tu umierają! Myślę, że tym lodem zdołam powstrzymać krwawienie. Jeśli się uda, uratujemy jej życie. Ale nie przekonamy się o tym, dopóki nie spróbujemy!

— A co będzie, jeśli otworzysz jej brzuch i okaże się, że nie trafiłaś z diagnozą? Co będzie, jeśli się okaże, że to jednak jest ślepa kiszka albo jakieś historie z jelitami? Nie mamy pojęcia, co wtedy robić. Dziewczyna i tak umrze, a ty tymczasem zniszczysz swoją pozycję w szpitalu i wywołasz towarzyski skandal!

Samanta oglądała przygotowane narzędzia.

— Postawiłam właściwą diagnozę, Landon, i wiem, że możemy uratować dziewczynę. Ale musisz mi pomóc. Nie dam rady sama.

Przyglądał się jej długo i badawczo. Widział jej sztywno wyprostowane ramiona i plecy, ułożenie głowy, zdradzające upór. Nagle pomyślał sobie: Jeśli chciałem wieść bezpieczne życie, trzeba mi było zostać urzędnikiem.

— Hm... — mruknął w końcu. — Tyle zrobiliśmy już razem, że gdybym teraz odmówił ci wsparcia, byłoby to kpina z naszych osiągnięć.

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję ci, Landon — powiedziała, ale w duchu myślała: Och, Marku, mój najdroższy, że też nie ma cię przy mnie! Tu jest nasze miejsce, nasza praca i nasza przyszłość...

Stanął przy stole operacyjnym.

— Po kilka kropel na raz, doktorze Weston — przypomniała. — Proszę nie lać za dużo.

Z przejściem skinał głowę. O jedno mogli być spokojni — Letycja nie umrze przez jego zaniedbania.

Landon przyglądał się twarzy Samanty oświetlonej gazowymi płomykami. To albo będzie nasz koniec, albo nasz początek, myślał. Chciałbym mieć twoją odwagę, dziewczyno.

Rozczapierzyła palce na brzuchu Letycji, żeby napiąć jej skórę, i opuściła skalpel.

Były takie chwile, kiedy Landon myślał, że już po pacjentce — nie wyczuwało się pulsu, a rana bardzo krwawiła — ale Samanta z zaciśniętymi ustami parła naprzód. Bez przerwy wkładali do rany lód — kiedy stopniał, usuwali przemoczone szarpie i wkładali świeży. O dziwo, krwawienie ustawało, a Landon pomyślał: No jasne...



— Jest — odezwała się Samanta. — Pęknięty jajowód. Widzę sterczącą kosmówkę. Teraz podwiążę wiązadło szerokie...

## 10

— Jesteśmy w poważnych tarapatach — stwierdził Landon z nieszczęśliwą miną.

Samanta skinęła głową ze znużeniem. Nie spała całą noc, a lodowaty poranek nie dodał jej wigoru. Letycja jeszcze żyła, ale ledwie, ledwie, a przed chwilą do gabinetu Silasa Prince'a wszedł adwokat MacPhersonów. Sprawa nie wyglądała dobrze. Ba, wyglądała fatalnie!

— Przepraszam, Landon, że cię w to wciągnęłam. Ale musiałam operować, sam wiesz najlepiej.

Pokiwał głową i rozejrzał się po jadalni. Na szczęście o tej porze nie było jeszcze nikogo.

— Teraz kiedy już wiem, jak było, oczywiście zgadzam się z tobą, ale nadal uważam, że działałaś nazbyt pochopnie. Nowatorskie zabiegi chirurgiczne muszą odbywać się w idealnych warunkach.

— Dziewczyna żyje. Tylko to się liczy.

— A my mamy na karku sąd.

— Nie zrobiliśmy nic złego — zauważyła spokojnie. — Letycja wyraziła zgodę.

— Ty mówisz jedno, oni drugie, a dopóki dziewczyna będzie nieprzytomna, nie masz żadnych szans.

— Doktor Weston jest świadkiem.

Chciał coś w tej sprawie powiedzieć, chciał zwrócić jej uwagę, że Weston tak się boi Prince'a, że wcale nie powinna na niego liczyć, ale zrezygnował.

Drzwi do jadalni uchyliły się lekko i doktor Weston zajrzał do środka. Zobaczył, że nikogo oprócz nich tam nie ma, więc wszedł i usiadł koło nich. Położył na blacie złożoną gazetę i potarł nieogoloną brodę.

— No i doegraliśmy się! Jak myślicie, co nam teraz zrobić?

— Pan nie ma się czym martwić — uspokajał go Landon.

— Pan tylko wykonywał polecenia.

Doktor Weston rozchmurzył się na moment, ale już po chwili znów siedział ze zgaszoną miną. Zupełnie nie tym się martwił. Bał się, że kiedy Letycja odzyska przytomność, wskaże palcem człowieka odpowiedzialnego za ciążę, a przecież doktor Weston żył w przekonaniu, że jest jedynym mężczyzną, którego czarowi panna MacPherson nie mogła się oprzeć.

— Jak pacjentka?

— Dalej w śpiączce.

— Ale żyje, dzięki Bogu. — Spojrzał z nadzieją na Samantę. — Rodzina wycofa oskarżenie, kiedy usłyszy od niej, że sama zgodziła się na operację.

Napięcie spłynęło na jej dłonie. Bezmyślnie skubała gazetę doktora Westona. Wątpię, czy to aż tak proste, myślała. Wiedziała — o czym jej koledzy nie mieli pojęcia — że rzecz ma daleko głębsze korzenie i że zacierzewienie Janelle MacPherson mniej dotyczy kwestii tak zasadniczych jak sprawa życia i śmierci bądź tak nadętych jak akrobacje prawne, a wiąże się raczej z bardzo prymitywnym i starym jak świat konfliktem dwóch kobiet, które walczą o miłość tego samego mężczyzny.

W drzwiach stanął sekretarz doktora Prince'a i wezwał Westona. Kiedy młody lekarz wyszedł z jadalni, Samanta usiłowała uspokoić Landona; przekonywała go, że nie ma się czym martwić, bo ona weźmie całą winę na siebie. Ale gdy doktor Weston wrócił po kilku minutach, Samanta nie zdołała ukryć zdenerwowania. Z brzękiem odstawiła filiżankę na spodeczek.

— Jakoś szybko poszło. Zdaje się, że nie mieli do pana wielu pytań?

— O nic mnie nie pytali i zaraz poszli. To było bardzo dziwne, pani doktor. Siedzieli w gabinecie: panna MacPherson, ten jej stary doktor, dwóch odsztafirowanych adwokatów i doktor Prince. Ledwie usiadłem, a panna MacPherson krzyknęła, zemdlała i osunęła się na podłogę. Ułożyli ją na kozetce

doktora Prince'a, a kiedy się ocknęła, powiedziała, że nie może już uczestniczyć w spotkaniu i musi wrócić do domu.

— A co się stało?

— Właściwie nie wiem. Zauważyłem tylko, że kiedy wszedłem do gabinetu, panna MacPherson wpatrywała się w gazetę doktora Prince'a i zaraz potem krzyknęła.

Landon wziął do ręki gazetę Westona. Rozłożył ją.

— O Boże! — wykrzyknął.

— Co takiego?

— Statek zatonął! — Położył rozprostowaną gazetę na stoliku, żeby Weston i Samanta też mogli przeczytać. Sensacyjny nagłówek skoczył im do oczu.

Samanta poczuła, że serce w niej zamiera.

— „Statek pasażerski poszedł na dno” — przeczytał na głos Weston. — To *Excalibur!* — Szybko przebiegał wzrokiem reportaż i mruczał pod nosem: — Uderzył w górę lodową... Wszyscy marynarze i pasażerowie zginęli... Nie znaleziono rozbitków... — Oderwał wzrok od gazety. — *Excalibur* \ Czy czasem Marek Rawlins nie...

Jadalnia zaczęła wirować. Samanta słyszała przytłumione głosy. Chwyciła się brzegu stołu; czuła, jak zalewają ją bezlitosne, lodowate wody Atantyku i wciągają w głębinę. W mgnieniu oka zniknął *Excalibur*, zniknął Marek...

Otaczały ją czyjeś ramiona; wciągnęła gryzący zapach amoniaku. Wszystko wokół nabrało ostrości. Siedziała przy stole, a obok niej klęczał Landon i trzymał jej pod nosem buteleczkę z solami trzeźwiącymi.

— No, no, staruszek... — mruzczał. — Tylko nie fiknij nam znowu.

Zamrugała nieprzytomnie, widząc przed sobą dwie pary wpatrzonych w nią oczu.

— Spóźnił się na statek. Żyje... — wymamrotała.

— Wstawaj, dziewczyno. — Landon pomógł jej podnieść się z krzesła. — Musisz trochę odpocząć. Od dwunastu godzin ciągle żyjesz w napięciu. Zaprowadzę cię do pokoju.

Letycja walczyła ze śmiercią. Skorzystała z osiągnięć nowoczesnej medycyny i odwagi pewnej dzielnej lekarki, a teraz

już musiała radzić sobie sama. Samanta siedziała przy jej łóżku niemal nieustannie, nie odrywając szarych oczu od uśpionej twarzy pacjentki. Jadała tylko wówczas — i zawsze na siłę — kiedy Mildred podetknęła jej tacę z jedzeniem. Wszyscy wokół sądzili, że jest taka milcząca, ponieważ rozprawa wisi nad nią jak topór. Nie podjęto jeszcze konkretnych kroków, czekano, aż stan Letycji wreszcie się wyklaruje. Tylko Silas Prince na nic już nie czekał — od razu wręczył Samancie za wiadomienie, że została skreślona z listy stażystów. Oficjalnie nie należała już do personelu lekarskiego, ale i tak siedziała przy łóżku Letycji; tylko od czasu do czasu dawała sobie dyspensę i szła na górę się przespać. Wszelkie inne sprawy — manewry prawne i fizyczne usunięcie Samanty ze szpitala — czekały w zawieszeniu na wyzdrowienie bądź śmierć Letycji.

Tragedia Samanty nie wiązała się jednak z faktem, że miała być sądzona za działanie, które uważała za słuszne, lecz z niesprawiedliwością losu, który kazał jej w samotności i w ukryciu opłakiwać stratę ukochanego mężczyzny. Głośno mogła jedynie ubolewać z powodu śmierci kolegi, gdy tymczasem w głębi serca czuła, że sama tonie. Krucha nadzieja, że Marek nie zdażył na statek albo że nastąpiła pomyłka reporterów i jednak kilku rozbitków odnaleziono — w tym być może Marka — gasła w niej z każdym dniem. Wiedziała, że tak jak część jej duszy Marek Rawlins umarł na zawsze.

Jej tragedia stała się tym większa, kiedy potwierdziło się to, co od pewnego czasu już podejrzewała — była w ciąży.

I nie mogła nikomu o tym powiedzieć! Luiza i Luther zabrali Johanna do dziadków w Ohio, a Landon Fremont zanadto martwił się wiszącym nad nim procesem, żeby wysłuchiwać jej zwierzeń. Dwukrotnie chciała się widzieć z Klarą, ale kamerdyner o kamiennym wyrazie twarzy dwukrotnie nie wpuścił jej do środka, informując, że rodzina jest pogrążona w żałobie i nie przyjmuje nikogo. To Janelle — kiedy ubrana na czarno i wspierana przez przyjaciółki pojawiała się przy łóżku Letycji — odbierała wyrazy współczucia i słowa pocieszenia, które tak naprawdę należały się przecież jej. Co za niesprawiedliwość! Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i tak opuszczona.

Los jednak chciał, żeby śmierć Marka stała się dla niej wybawieniem. Gdyby *Excalibur* nie zatonał, Janelle MacPherson podjęłaby kroki prawne bez względu na stan siostry i wygrałaby sprawę, bo jak się okazało, Letycja nie pamiętała nic z rozmowy z Samantą. Ale śmierć Marka powstrzymała Janelle od szybkich działań i dzięki temu Letycja zdążyła się już podkurować na tyle, że jej życiu nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo.

To był prawdziwy cud. Wszyscy tak mówili. Personel szpitala nie mógł się nachwalić Samanty za to, co zrobiła. Sprawa procesu ucichła, a Letycję zabrano, by w domu nabierała sił. Między paniami MacPherson i Samantą zapanowała cisza. Wyglądało to tak, jakby dla nich Samanta Hargrave w ogóle nie istniała, a operacja Letycji nigdy nie miała miejsca.

Tylko Silas Prince nie stracił ochoty do zemsty.

Tego dnia gdy wypisano Letycję ze szpitala, Samanta dostała od niego notkę, w której informował ją, iż jeśli chce zostać ponownie przyjęta do Św. Brygidy, musi go publicznie przeprosić za wywołany skandal.

## 11

W pierwszej chwili, gdy usłyszała stukanie, nie chciała otwierać drzwi. Miała już spakowane bagaże i myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej opuścić swój pokój.

Było to dla niej bolesne, ale schowała dumę do kieszeni i wybrała się do Prince'a z przeprosinami; sprawa zakończenia stażu miała dla niej pierwszoplanowe znaczenie. Okazało się jednak, że powtórne przyjęcie jej w szeregi personelu miało być warunkowe. Silas Prince umiał napawać się wygraną — chciał przy okazji umniejszyć znaczenie lekarskiego sukcesu Samanty — poinformował ją zatem, że jej staż został przedłużony. Nie była jeszcze gotowa — oznajmił jej pompatycznie — by wziąć na siebie obowiązki w pełni wykształconego chirurga. Miała się jeszcze nauczyć lojalności i posłuszeństwa

wobec władz szpitala. Na certyfikat o zakończeniu szkolenia musiała poczekać jeszcze sześć miesięcy.

Landon Fremont nie widział nic obelżywego w ofercie Silasa Prince'a i nakłaniał Samantę, żeby na nią przystała, ale bezskutecznie. Powiedziała mu tylko, że nie może, że musi już wyjechać, nawet jeśli tym samym zaprzepaści tyle miesięcy trudu. Teraz stała więc pośród walizek i czekała na zamówioną dorożkę.

Stukanie do drzwi było natarczywe, więc w końcu otworzyła. W korytarzu stała Janelle MacPherson.

Patrzyły na siebie przez próg i bez słów wymieniały myśli. Samanta cofnęła się, robiąc przejście. Janelle weszła do środka; zobaczyła spakowane walizki.

— Pani wyjeżdża?

— Tak.

— Dlaczego?

Rozdzierały ją sprzeczne uczucia. Teraz Janelle była już tylko dawną przeciwniczką w walce, która na zawsze wygasła. To, o co się biły, przestało istnieć, i Janelle stała się po prostu zwyczajną kobietą. A przecież Samanta nie mogła się przed nią odsłonić. Rany były nazbyt głębokie. Nie mogła powiedzieć jej o decyzji Prince'a, którą musiała odrzucić ze względu na ciążę.

— Po prostu wyjeżdżam — odparła.

Janelle włożyła dłoń do torebki i wyciągnęła z niej kartkę, którą podała Samancie.

— Sądziłam, że zechce pani to zobaczyć. Telegram z towarzystwa przewozowego. Potwierdzają w nim obecność Marka na statku i jego śmierć.

Usiłowała czytać, ale litery rozmazywały się jej przed oczami. Uniosła głowę.

— Dlaczego mi to pani przynosi?

— Na wypadek gdyby pielęgnowała pani w sobie płonną nadzieję, że on jednak żyje. Ja się tak łudziłam. — Głos się jej załamał.

— Dziękuję.

— Wiem, że kochała go pani, doktor Hargrave. Obie go kochałyśmy. Sądzę też, że łączyło was coś więcej niż praca.

Bałam się nawet, że Marek zakochuje się w pani... Z zazdrości nienawidziłam pani.

Samanta patrzyła na nią zażawionym wzrokiem. Janelle uniosła dumnie brodę.

— Przypuszczam, że odkąd pani zjawiła się na horyzoncie, miałam niewielkie szanse. Miała mu pani więcej do zaoferowania niż ja. Łączyło was tu wszystko... — Zatoczyła ręką w geście, którym obejmowała szpital i wszystko, co się z nim wiąże. — Obawiam się, że winna pani jestem przeprosiny. I to jest drugi powód, dla którego tu jestem. Pani uratowała Letycję. Teraz już wszystko rozumiem. Opowiedziała mi o swoich... poczynaniach. Dziękuję, że uratowała ją pani, doktor Hargrave.

Janelle sięgnęła jeszcze raz do torebki i wyciągnęła z niej małe zawiniątko. Wetknęła je Samancie w rękę.

— Letycja prosiła, żebym to pani dała. To wiele dla niej znaczyło. Nie umiała lepiej wyrazić swojej wdzięczności dla pani.

Samanta otworzyła dłoń. W miękkiej bibułce leżał twardy przedmiot, a kiedy rozwinęła papier, zobaczyła niebieskozielony kamień wielkości srebrnego dolara.

— Kupiła go dawno temu od Cyganów w cyrku. Powiedzieli jej, że kamień ma paręset lat i że przynosi szczęście właścicielowi. Jest pewien przesąd związany z tym turkusem. Podobno może zmieniać kolor. Legenda głosi, że jeśli zaczyna blaknąć, oznacza to, że szczęście z nim związane zaczyna się wyczerpywać i trzeba go przekazać następnej osobie; wtedy nabierze mocy. Letycja miała go przy sobie tej nocy, kiedy pani ją operowała.

Był to mocno wypolerowany turkus o barwie jaja drozda i o środku dziwnie poprzecinanym żyłkami. Okalała go metalowa koperta, jakby ktoś kiedyś nosił go jako naszyjnik.

— Letycja twierdzi, że kamień już zbladł. Ja tego nie widzę, ale moja siostra jest szalenie przesadna...

Samanta zacisnęła palce wokół turkusa; bibułka zaszleściła.

— Proszę jej ode mnie podziękować. Jest dla mnie bardzo cenny...

Janelle spojrzała na walizki.

— Dokąd pani jedzie?

— Do... Przed siebie. — Do Kalifornii, myślała. Zacząć nowe życie. Nic mnie tu już nie czeka, prócz bolesnych wspomnień. Na Zachodzie jest nadzieja na całkiem nowe życie.

— Czy mogę być w czymś pomocna?

Samanta zamyśliła się.

— Tak, jeśli można panią prosić. — Sięgnęła po kopertę, która leżała na nocnym stoliku; była już zaklejona i zaadresowana, brakowało jej tylko znaczka. — Zechce pani przekazać to Klarze Rawlins? Boję się, że jeśli wyślę ten list pocztą, może go nie otrzymać. Chciałam się z nią zobaczyć, ale nie przyjmuje nikogo.

— Pani Rawlins wyjechała do Bostonu. Śmierć Marka powaliła ją bardziej, niż można się było spodziewać. Rozchorowała się i nie wstaje z łóżka. Z chęcią przekażę jej ten list, pani doktor. Czy mogłabym zrobić coś jeszcze?

— Zrobiła pani dużo, przychodząc tu dzisiaj do mnie.

Uścisnęły się krótko i w tym momencie Samanta poczuła, że jest już pojednana z dawną rywalką. W tej krótkiej chwili wzajemnie głęboko sobie współczuły, bo wiedziały, że nikt inny tak dobrze nie zrozumie ich bólu. A Samanta pomyślała przy tym, że to ironia losu, by tak długo oczekiwane pocieszenie znaleźć w końcu w ramionach byłej przeciwniczki.

Kiedy Janelle wyszła, wciągnęła rękawiczki i po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Nie wiedziała, co ją czeka w Kalifornii ani jaką drogę wyznaczy jej życie. Ten odległy brzeg wybrała właśnie dlatego, że był stąd tak daleko. Wiedziała tylko, że musi wyjechać i znaleźć miejsce, gdzie zagoi rany, miejsce, w którym będzie mogła urodzić nowe życie — dziecko Marka.

Zacniemy razem wszystko od początku, a częśćka Marka zawsze będzie przy mnie...



## 1

Samanta wrzuciła monetę do pudełka, wzięła cieką świeczkę, przytknęła jej knot do świeczki płonącej obok, a potem nabiła ją mocno na sterczący ząbek wolnego lichtarza. Oparła łokcie o barierkę kłęcznika i z dłońmi złożonymi pod brodą spojrzała w uduchowione oczy Najświętszej Marii Panny. Choć nie była katoliczką, już dawno odkryła spokój i kojącą atmosferę kościoła misyjnego. Dwa lata temu właśnie tu, u dobrodusznego księży misjonarza znalazła pocieszenie po śmierci córeczki, Klary, która umarła na dyfteryt w czasie epidemii. Dziś był dzień urodzin Klary; dziecko skończyłoby trzy lata.

Samanta wpatrywała się w Madonnę zażawionym wzrokiem. Płomienie świeczek ustawionych u stóp Najświętszej Pani przez zasłonę łez przypominały drżący kalejdoskop. Ogarnięta smutkiem wiedziała, że nigdy nie przestanie opłakiwać śmierci córeczki ani Marka, ale ukojenie, jakie znajdowała w tej maleńkiej kaplicy, sprawiało, że ból stawał się znośniej sży.

Pod suknią, na jej piersi, leżał dziwny turkus od Letycji i dodawał jej otuchy. Kiedy któregoś dnia przyjrzała mu się uważniej, odkryła w nim coś szczególnego.

Nie był idealnie okrągły i miał kopertę z złotego metalu z wygrawerowanym w obcym języku napisem. Była tam też data, ale tak wytarta, że nie dało się jej już odcyfrować, oraz jakieś nieznanne symbole. Rudawe żyłki, które cięły lico ka-

mienia, układały się raz w postać kobiety wyciągającej przed siebie ramiona, to znów w dwa węże owinięte wokół pnia drzewa — zależnie od tego, z której strony się je oglądało. Kiedy stać ją już było na to, by pójść do jubilera, zamówiła łańcuszek, na którym mogła nosić przy sobie ten niezwykle turkus. Jubiler uznał, że jest to stary i dość cenny klejnot; domyślał się, że kamień pochodzi z okolic Synaju. Zwrócił też uwagę na jego niezwykle intensywną niebieskawą barwę.

Ten turkus był dla niej jedynym namacalnym ogniwem, które łączyło ją z przeszłością. Często wyjmowała go spod sukni, by gładzić jego wypolerowaną powierzchnię, i nieodmiennie ogarniał ją przy tym spokój.

Tuż po przyjeździe do San Francisco czuła się bardzo samotna i bardzo opuszczona. Odkryła wtedy, że godzina wyciszenia, refleksji i wspomnienia, jeśli nawet nie niesie ze sobą pełnej pociechy, to przynajmniej łagodzi ból. Wtedy właśnie delikatnie pieściła gładki kamień i doznawała wrażenia, jakby energia niezliczonych dłoni, które przez wieki robiły to samo, zasilala ją nadzwyczajną mocą i z niezwykle wyrazistością przywoływała przeszłość.

Zamykała wówczas oczy i znów znajdowała się na Crescent Street, u boku opiekuńczego Freddy'ego; słyszała jego głos, jakby stał tuż obok niej — „Jeśli ten stary piernik tknie cię choćby palcem, już ja mu porachuję kości!” Z Crescent Street ruszała zazwyczaj w dalszą szczęśliwą drogę. Przypominała sobie pierwsze dni w gabinecie Joshuy Masefielda, cudowne miesiące w szkole w Lucernę, narodziny małego Johanna, noce w ramionach Marka...

Nabrała zwyczaju stawania z boku i przyglądania się swemu życiu jak geograf, który bada mapę. I dopiero teraz, po latach, dostrzegła, że choć jej życie było dotychczas nadzwyczajnie pełne, jednego w nim brakowało. I tak jak wcześniej w ogóle się nad tym nie zastanawiała, tak teraz ten problem stał się nagle sprawą, nad którą dumiała niemalże codziennie. Jestem zupełnie sama na świecie, myślała. Mogę mieć przyjaciół, znajomych, nawet kochanków, ale tak naprawdę z nikim nie łączy mnie ten najprawdziwszy związek — związek krwi.

Zdawała sobie sprawę, że te nachodzące ją raz po raz refleksje wiążą się bezpośrednio z wykonywanym przez nią zawodem. Przecież dzień w dzień miała do czynienia z czyjąś rodziną. Czuła ją przy porodach i wówczas gdy oglądała matki oraz ich dzieci, potomstwo i rodzeństwo — wciąż ocierała się o czyjąś rodzinę. I ten codzienny kontakt z pacjentami wciąż jej przypominał, że ona nie ma na tym świecie nikogo, kogo mogłaby wskazać palcem i powiedzieć: „Wywodzimy się z tego samego pnia”. Hargrave'owie już nie żyli, w tym nawet mała Klara, a o rodzinie matki nic nie wiedziała. Przez wszystkie lata ponurego dzieciństwa przy St. Agnes Crescent ani razu nie słyszała wzmianki o żadnym wujku; nie odwiedzali jej też dziadkowie ani wścibska ciotka. Zupełnie jakby Samanta Hargrave powstała z próżni. Jestem sama na świecie, myślała.

Z zamyślenia wyrwał ją ruch tuż obok. Spojrzała na klęczące koło niej dziecko, które naśladując ją złożyło rączki do modlitwy i patrzyło w figurę Najświętszej Marii Panny. Uśmiechnęła się z pełnym miłości smutkiem. Nie, nie jestem tak zupełnie sama. Pan odjął, Pan dał, pomyślała i ogarnęła ją nagła fala miłości do klęczącej dziewczynki.

Dokładnie rok temu, gdy wracała z wizyty w kościele, ściągnięto ją z ulicy do kobiety, która mieszkała w jednej z oficyn na tyłach Opery. Kiedy weszła po schodach do mieszkania, zobaczyła, jak akuszerka wyciąga z łona umierającej matki nieżywego noworodka. Matka leżała na gazetach rozścielonych na podłodze, a spod desek natychmiast wyskoczyły szczury i zaczęły szarpać łożysko. W kącie pokoju dostrzegła chudą małą dziewczynkę, która niemo przyglądała się tragicznej scenie. Mała wetknęła do buzi całą rączkę i ssała paluszki. Matka umarła, a akuszerka utyskiwała, że będzie musiała przygarnąć tę niespełna rozumu małą, bo dziecko nie ma ojca ani żadnych krewnych.

Mimo wyraźnego niedożywienia i grubej warstwy brudu oblepiającej dziewczynkę Samanta dostrzegła w drobnej cygańskiej buzi dziwny urok. Coś w spojrzeniu dziecka poruszyło w niej macierzyńskie uczucia, które nie wygasły wraz ze śmiercią Klary.

— To mała czarownica — mruzczała akuszerka. — Jedyne dziecko Megan, które zostało przy życiu, a do tego niemo-  
wa. Gapi się tylko i gapi, aż ciarki chodzą po krzyżu.

Samanta nie dowiedziała się nigdy, ile dziewczynka ma lat, ale oceniła ją na mniej więcej osiem — na imię miała Jennifer. I tak zabrała ją do domu, adoptowała i dała jej nazwisko Hargrave. Skoro musimy być same, bądźmy same razem...

Usłyszała na posadzce kłaśnięcie sandałów i szelest brązowej zakonnej sukni; brat Dominik zatrzymał się w półmroku. Uśmiechnął się dobrodusznie na widok dwóch postaci przy ołtarzu Panienki. Lekarka przychodziła tu już niemal cztery lata. Przypomniawszy sobie, że kiedy zjawiła się w kościele po raz pierwszy, była w ciąży — zapalała świeczkę mężowi, który zginął na morzu. Brat Dominik od dawna żywi nadzieję, że uda mu się nawrócić tę panią, ale ona wyraźnie bała się religijnych deklaracji i zaglądała do kościoła jedynie wówczas, kiedy czuła potrzebę. Po swojemu oddawała cześć Bogu. Cóż, brat Dominik nie nalegał. Wyraz jej twarzy wymownie świadczył o tym, że pani doktor szczerze miłuje Przenajświętszą Panienkę, a widoczne ukojenie, jakie znajdowała w kościele, było najlepszym dowodem, że Matka Boska odpłaca jej tym samym.

Mała Jennifer wierciła się na twardym klęczniku i Samanta pogłaskała jej gęste czarne loki. Jennifer była głuchoniema i Samanta nie umiała wyjaśnić jej znaczenia modlitwy, ale dziewczynka cierpliwie klęczała obok, gdyż widziała coś, czego nie dostrzegali inni — w twarzy posągu rozpoznawała twarz klęczącej obok niej pani. Mała Jenny, wiedzioną szczególną mądrością, wiedziała, że Samanta przychodzi tu po to, żeby rozmawiać z własną matką.

— Musimy już iść, Jenny — szepnęła cicho Samanta; zawsze do niej mówiła, mimo że dziewczynka nie słyszała.

Samanta nie lubiła wychodzić z kościoła. Uwielbiała zapach kadzidła, siedemnastowieczne posągi, rzeźbione meksykańskie ołtarze. Wiedziała jednak, że pacjenci już na nią czekają. Rzadko zamykała gabinet, rzadko robiła cokolwiek dla siebie, ale bez tych wyjść do kościoła nie zaznałaby

chwili spokoju. Zawsze, ilekroć czuła się samotna i ogarniała ją gwałtowna tęsknota za przeszłością, przychodziła tu i tu znajdowała ukojenie. Ale mogła wykroić na to najwyżej godzinę.

Z początku, jako lekarka z praktyką w robotniczej dzielnicy San Francisco, przeżywała niezwykle trudne chwile. W mieście wiszącego mostu, Golden Gate Bridge, trudno się żyło kobietom samotnym, zwłaszcza zaś ciężarnym. Ale wynajęła mieszkanie przy Kearny Street i otworzyła gabinet. Zrazu nie dowierzali jej, gdyż większość „lekarek” w San Francisco trudniła się przede wszystkim aborcją, ale z wolna rozeszła się wieść, że naprawdę leczy, i zaczęła mieć pacjentów. Odwiedzały ją głównie robotnice i prostytutki; niektóre z nich płaciły, wiele było bez grosza. W tamtym okresie zdarzały się jej noce, kiedy złamana bólem i nieszczęściem nie mogła wcale spać. Wreszcie pewnego dnia odkryła kościółek zakonników i wróciła do równowagi. Jej praktyka się rozrastała i zaczęło się jej żyć wygodniej. W sypialni na górze bez niczyjej pomocy urodziła córkę i pierwsze, co w niej zauważyła, to duże piwne oczy Marka. A potem, gdy mała Klara padła ofiarą epidemii dyfterytu, Samanta rozciąła jej gardziółko, żeby ułatwić małej oddychanie, ale niestety zrobiła to za późno. Pochowała dziecko na cmentarzu na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na ocean, lecz nigdy nie chodziła na jej grób. Małej Klary wcale tam przecież nie było; mała Klara była w niebie, a opiekowała się nią kochająca Matka Boska.

Z terenu kościoła wyszły przez przykościelny ogród. Było lato, a bielone surowe ściany świątyni płonęły purpurą i szkarłatem bugenwilli; wokół starych nagrobków kwitły fuksje i hibiskus, a wzdłuż wysypanych drobnymi kamyczkami ścieżek rosły gwiazdy betlejemskie, paprocie i mchy. Tak żegnał je kościół — boską obietnicą życia.

Samanta, trzymając małą rączkę Jenny, skrzyła w kierunku Market Street i poczuła, jak pod wpływem ciepłego słońca nabiera ochoty do życia. Po trudnych chwilach i smutkach wracał jej dawny optymizm. Choć z początku tęskniła za Nowym Jorkiem, nigdy nie myślała o tym, żeby tam wrócić. Powrót nie był żadnym rozwiązaniem; wiedziała, że musi iść

naprzód — ku swemu przeznaczeniu i ku lepszym dniom. Choć tuż po przyjeździe do San Francisco często korespondowała z Landonem Fremontem, z czasem listy od niego zaczęły przychodzić coraz rzadziej, a od czasu gdy Landon wyjechał do Wiednia, ich korespondencja ustała na dobre. Tak się też przypadkiem złożyło, że Luther zabrał Luizę, Johanna i maleńką Gretchen do Niemiec i tam w Monachium otworzył aptekę. Więzy łączące ją z Nowym Jorkiem rozluźniały się coraz bardziej, aż wreszcie zerwały się na dobre.

Była zadowolona, że ten nowojorski rozdział ma już na zawsze za sobą; tyle cierpienia i bolesnych wspomnień łączyło się z tym miastem. Polubiła San Francisco. Już tylko przy bardzo nielicznych okazjach spoglądała w przeszłość, tylko w jakieś niezwykle ważne dni. Patrzyła wtedy w kalendarz i myślała: Dzisiaj są urodziny Marka, skończyłyby trzydzieści trzy lata, albo: Tego dnia zatonął *Excalibur*, muszę wziąć Jenny do kościoła i zapalić świeczkę. Marek zaglądał do niej w czasie nocnych rozmyślań i w snach, ale nie dopuszczała go do swoich codziennych żmudnych zajęć, bo gdy tylko zaczynała wspominać, za każdym razem odbierał jej część siły i czuła się zupełnie bezbronna. Nigdy nie przestanie go kochać, nigdy nie przestanie go też opłakiwać, ale na pierwszym miejscu musiały stać sprawy żywych.

Lipcowe słońce grzało ciepłem i rozpalało jej energię; tętniące życiem miasto pobudzało do czynu — zawsze lubiła powrotny spacer z kościoła. Dziś jednak, kiedy drewnianym chodnikiem szła z małą Jenny, czuła, że jej pogodny nastrój wyniesiony z kaplicy przysłania drobna chmurka. Ostatnio z niejaką zgrozą stwierdzała u siebie pewien niepokój duszy.

Minęły Crocker Woolworth Building, słyszały brzęk tramwaju na Market Street, a Samanta zamyśliła się nad tym niepokojem i nad jego przyczyną.

Czyżby jej brakowało mężczyzny? Chyba nie. Jej dni namiętnej miłości już przecież minęły; skończyły się wraz ze śmiercią Marka. Poza tym nie mogła w końcu narzekać na brak zainteresowania z męskiej strony. Choć miała już dwadzieścia sześć lat i najlepsze swoje dni za sobą, wciąż otrzymywała od mężczyzn deklaracje uczuć i propozycje małżeństwa.

Składali je pacjenci — nauczyła się przy okazji, że nierzadko myłą wdzięczność za ulgę w cierpieniach z miłością — oraz mężczyźni z sąsiedztwa, pan Finch, owdowiały aptekarz mało nie wypadął przez ladę, ilekroć zjawiała się w aptece. Oświadczył się jej również Derry McDonough, uprzejmy posterunkowy, który stanął w jej obronie, gdy wytoczono jej sprawę o robienie pokątnych skrobanek. Wszyscy ci uprzejmi panowie usiłowali ją przekonać, że sama, bez ich opieki, po prostu nie da sobie rady.

Nie, to nie brak mężczyzny wywoływał w niej taki niepokój. Ani też nic, co miało związek z zarabianiem na życie, ze stworzeniem wygodnego domu, ze zorganizowaniem sobie towarzystwa i grona przyjaciół — wszystko to miała. Więc do czego tak bardzo tęskniła?

W pierwszym okresie San Francisco zdumiało ją i przytłoczyło. Było to miasto przedziwnych społeczności, od Chinatown i jego ubranych w luźne niebieskie piżamy drobnych mieszkańców w stożkowych kapeluszach, spod których wystawały cieniutkie warkoczyki, do zapijających się rumem marynarzy na Barbary Coast; od przypominających weselne torty rezydencji na Nob Hill do burdeli w okolicy Portsmouth Square, gdzie w maleńkich domach mieszkało czasem — jak zwierzęta w klatce — aż po czterysta dziewcząt. Przyjazd do San Francisco wydał się jej podróżą do obcego kraju. Musiała więc walczyć, by przeżyć. Najpierw walczyła, by zaakceptowano ją jako lekarkę, potem biła się z chorobą o Klarę, a wreszcie stawiała czoło wyzwaniu, jakim było porozumienie się z głuchoniemą Jenny. Cztery lata spędzone w San Francisco były dla niej ciągłym zmaganiem się z losem i niekończącą się walką. Ale teraz nareszcie miała to już za sobą — zaakceptowano ją, czuła się nareszcie wygodnie zdomowiona.

Może, myślała, jest mi z tym za wygodnie?

Weszły na zatłoczony chodnik Kearny Street. Samanta zastanawiała się właśnie, czy pani Keller będzie dziś na tyle trzeźwa, żeby im przygotować kolację, kiedy w oddali zauważyła pewne zamieszanie. Przy krawężniku stała elegancka karetka, wokół której zebrała się czereda małych gapiów.

Wygląda na to, że pani Seagram ma dziś ważnego klienta.

Kiedy cztery lata temu Samanta wynajmowała tu mieszkanie, z radością przyjęła fakt, że jej najbliższa sąsiadka jest dagerotypistką i jak można było wnosić z jej strojów i owalnych portretów wystawionych w oknie, prowadzi nieźle prosperujący zakład. Z biegiem czasu jednak zorientowała się, że pani Seagram przyjmuje tylko mężczyzn, którzy zresztą zawsze zatrzymują się u niej dość długo — czasem nawet na noc — i że nikt nigdy nie widział, by którykolwiek z nich wychodził od pani Seagram ze zdjęciem pod pachą.

Kiedy stanęła pod swoimi schodkami, ze zdziwieniem spostrzegła na nich nie znaną jej pannę służącą, od której dowiedziała się, że karetka nie przywiozła klienta do pani Seagram, lecz tajemniczą pacjentkę, która właśnie u niej chciała szukać pomocy.

## 2

Mimo ciepłej lipcowej pogody kobietę z karety od stóp do głów okrywała niezwykle elegancka wełniana peleryna, której kaptur był mocno zsunięty do przodu, tak że zasłaniał twarz. Kiedy przy pomocy stangreta wychodziła z karety i później, gdy z trudem, jakby złamana bólem, wspinała się po schodkach, nie sposób było odgadnąć jej wieku. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości — tajemnicza dama była bardzo bogata.

Samanta zaprowadziła ją do małego saloniku przy gabinecie przyjęć, dokąd często zabierała pacjentki na rozmowę — koronkowe firanki i wazy ciętych kwiatów nieraz miały zbawienny wpływ na najbardziej nawet zdenerwowane kobiety. Nieznajoma przysiadła ostrożnie na małym, obitym brokatem krzeselku i Samanta natychmiast odgadła, z czym do niej przyszła. Zamknęła drzwi i usiadła na krzesle obok. Panna służąca stała przy swojej pani.



— Czy pani jest doktor Hargrave? — usłyszała płynący spod kaptura kulturalny subtelny głos, który zadziwił ją młodzieńczym brzmieniem.

— Tak, to ja.

Spod peleryny wysunęły się obleczone w rękawiczki dłonie i rozsypały wiązanek kaptura. Dama zsunęła z siebie pelerynę i odsłoniła cudowną dzienną suknię z błękitnego atłasu, naszywaną guziczkami z macicy perłowej. Kaptur opadł na plecy, a spod niego wyrzała śliczna młoda i gładka twarz, naznaczona cierpieniem i śladami wyczerpania. Na tej młodzieńczej skórze pojawiły się już przedwczesne zmarszczki, a pod oczami widać było sińce. Nadmierna bladość cery zdradzała, że kobieta jest chora.

— Pani doktor, moja choroba ma bardzo delikatny charakter. Zwracałam się z tym kłopotem do wielu lekarzy i zawsze słyszałam, że na to nie ma lekarstwa. O pani dowiedziałam się od mojej pokojówki. Cierpiała na tak straszne bóle menstruacyjne, że czasem nie mogła w ogóle wstać z łóżka. Kiedy wysłałam ją do mojego lekarza, powiedział jej, że to są urojenia. Usłyszała o pani od jednej ze szwaczek, więc przysłała tutaj i pani ją wyleczyła. Nazywa się Elsie Withers.

Samanta przypomniała sobie ten przypadek. Zwykle wykrobanie macicy przyniosło dziewczynie znaczną ulgę. Zaleciła jej jeszcze ćwiczenia fizyczne i popijanie herbatki z rumianku.

— Tak dobrze się o pani wyrażała, więc...

— Najpierw panią zbadam, jeśli pani pozwoli, a dopiero wówczas będę mogła powiedzieć, czy jestem w stanie pomóc — zastrzegła się Samanta jak najłagodniej, widząc, że kobieta jest u granic wytrzymałości.

— Tak, naturalnie...

W Św. Brygidzie widziała wiele pacjentek z taką dolegliwością, na jaką cierpiała jej nowa pacjentka, i dopóki w szpitalu nie zaczął pracować Landon Fremont, który wprowadził ulepszoną wersję metody Simsa, nieszczęsne kobiety skazane były na męki aż do końca życia. Była to przetoka pęcherzowo-pochwowa — niewielkie łączenie między pęcherzem moczowym

wym i pochwą spowodowane zazwyczaj trudnym porodem, jedno z najgorszych nieszczęść, jakie spotyka kobiety. Przez otwór w ścianie pochwy skapywai do niej mocz i wywoływał nieznośne, opierające się leczeniu stany zapalne. Wkrótce na ścianach pochwy tworzyły się cuchnące wrzody, a straszliwego odoru, jaki im towarzyszył, nie dawało się usunąć nawet najczęstszym myciem. W końcu nieszczęsna ofiara przetoki nie śmiała wychodzić z domu, gdyż jej halki i suknie szybko przesiąkały uryną, a bijący od niej smród trzymał ludzi na odległość. Kobiety, u których powstała taka przetoka, skazane były na leżenie w łóżku, nie mogły bowiem zbyt długo siedzieć na krześle, w obawie że je zabrudzą. Nie wychodziły więc z łóżka i leżały w przemoczonej pościeli. Na delikatnych częściach ciała tworzyły się rany, a ból i ciągłe moczenie się stwarzały niewypowiedziane tortury. Najgorszą zaś rzeczą w tym wszystkim była tragiczna świadomość, że skazane są na dożywotnie cierpienia. Były więc przykute do łóżka, z dala od rodziny i przyjaciół, wstrętne nawet dla samych siebie. Wiele takich przypadków kończyło się samobójstwem.

Kiedy Samanta ujrzała, w jakim stanie znajduje się młoda kobieta, miała ochotę zapłakać. Kiedy po badaniu zasiadły znów w saloniku, łagodnie zadała jej kilka pytań.

— Kiedy to się stało?

— W ostatnie święta Bożego Narodzenia, kiedy rodziłam córkę. Kleszcze rozdarły mi ciało.

Samanta kiwnęła głową ze zrozumieniem; powściągnęła falę gwałtownie ogarniającego ją gniewu. Tylu położników niecierpliwie sięga po kleszcze, nie czekając, aż natura sama sobie poradzi; śpieszy im się do interwencji i do tego, żeby zarobić na wyższe honorarium. Ta biedna kobieta nie była jedyną ofiarą zbędnego pośpiechu.

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia cztery.

— Ma pani inne dzieci poza córeczką?

W błękitnych oczach załśniły łzy.

— Mary jest moim pierwszym dzieckiem i będzie ostatnim... — odpowiedziała młoda dama drżącymi ustami.

— Mówiła mi pani o wizytach u innych lekarzy.

— Twierdzili, że nie można mi pomóc. — Nachyliła się do Samanty i powiedziała żarliwie: — Doktor Hargrave, nie ma pani pojęcia, jakim koszmarem stało się moje życie. Całe dni spędzam w sypialni; nie mogę nawet przejść do innych pokoi w obawie, że zabrudzę meble. Mój mąż śpi oddzielnie i nie utrzymujemy już małżeńskich stosunków. Elsie jest mi jedyną towarzyszką. Nie przyjmuję znajomych, bo wiem, że jestem im wstrętna. Kilka razy dziennie zmieniam halki i spódnice, a żadne kąpiele ani irygacje pochwy i tak nie usuwają ze mnie cuchnącego odoru. I to pieczenie, pani doktor! Przez to pieczenie nie mogę nocą spać. Leżę bezsennie i myślę, że którejs nocy albo zwyczajnie zwariuję, albo ze sobą skończę!

Samanta przyglądała się jej pełnej napięcia twarzy i zrozpaczonym oczom i serce jej się krajało.

— Sądzę, że jestem w stanie zaradzić pani cierpieniom — odezwała się cicho. — Ale konieczna jest operacja.

— Operacja... — Dama zmarszczyła gładkie czoło. — Wolałabym nie iść do szpitala, pani doktor, ale jeśli to jedyny sposób...

— Przeprowadzę operację u siebie w gabinecie.

Kobieta przyjęła to oświadczenie z wyraźną ulgą.

— Naprawdę, pani doktor? A na czym ona polega?

Samanta krótko opisała metodę, której nauczyła się od Landona Fremonta — jego z kolei szkolił sam wielki doktor Sims, jej wynalazca. Ponieważ operacja była nowa i rewolucyjna, a Sims nie cieszył się uznaniem konserwatywnych kręgów medycznych, jego metoda przyjmowała się bardzo powoli. Dlatego właśnie lekarze, których porady zasięgała młoda kobieta, nie próbowali jej zastosować — albo nie wiedzieli o jej istnieniu, albo nie umieli jej przeprowadzić.

— Nie mogę jednak zapewnić pani, że ta operacja zakończy się sukcesem. Zniszczenie tkanek jest już daleko posunięte. Istnieje nawet zagrożenie, że pani stan ulegnie pogorszeniu.

— Zaryzykuję, pani doktor. Jak długo to potrwa?

— Ponieważ będę musiała podać pani eter, a szew będzie szalenie delikatny, zatrzymam panią u siebie na okres rekonwalescencji. Przyjmijmy, że dziesięć dni, co pani na to?

f — Powiem mężowi, że muszę wyjechać do siostry w Sacramento.

Dostrzegła zdumienie na twarzy Samanty i zakłopotana spojrzała na swoje ręce.

— Muszę coś pani wyznać, doktor Hargrave. Mój mąż nie wie, że tu teraz jestem. Gdyby się dowiedział, wpadłby w straszną wściekłość. Uważa, że lekarki to zwykłe szarłatki, i bałby się, że pani zrobi mi krzywdę.

— A pani?

Uniosła wzrok i spojrzała Samancie prosto w oczy.

— Wierzę, że pani mi pomoże.

— Więc proszę przyjsć do mnie, gdy będzie pani gotowa. I proszę przyprowadzić Elsie. Moja córka, Jenny, też nam będzie pomagać.

Nazywała się Hilary Gant.

— Gdyby cokolwiek mi się przydarzyło, Elsie będzie wiedziała, co robić. Nie będzie pani wmieszana. Nie będzie pani ponosić za nic winy, obiecuję to pani, doktor Hargrave — oznajmiła Samancie, zanim Elsie przytknęła jej do nosa zwinięty szmaciany rożek.

Samanta uśmiechnęła się i trzymała rękę na jej ramieniu, aż pani Gant zasnęła. Nie martw się o mnie, myślała, nie spuszczać wzroku z Elsie i z butelki z eterem. Przetrwałam niejedną burzę. Martwmy się lepiej o to, żebyś wyzdrowiała.

— Tylko kilka kropel, Elsie. Już dość. Obserwuj panią. Jak zauważysz, że zaczyna mrugać, kapnij kilka kropel.

Elsie była blada i drżała ze zdenerwowania, ale spokój Samanty dodawał jej pewności. Uśmiechnęła się dzielnie i trzymała butelkę w pogotowiu. Jej pani nie będzie już musiała znosić ani chwili bólu.

Jennifer posłusznie trzymała haki pochwowe, a Samanta zabrała się do pracy. Głuchoniema dziewczynka miała wprawę w asystowaniu przy zabiegach. Wystarczyło tylko raz jej coś pokazać, a nigdy nie zapominała. Nie zadawała pytań, nie wykazywała najmniejszego zainteresowania operacjami, ale też nigdy nie usiłowała wykręcić się od pomocy

— zawsze robiła grzecznie i z oddaniem to, co jej zlecono, właśnie tak jak teraz. Stała bez najmniejszego ruchu, aż bolały ją nogi, a zaciśnięte na retraktorach palce drętwiały. Dużymi oczami śledziła szybkie i pewne ruchy Samanty

Samanta pracowała z najwyższą uwagą. Sprawdzała, czy dokładnie łączy tkanki i czy kiedy ściąga szew, srebrny drut nie rozdziera delikatnego ciała. Wreszcie założyła niedawno wprowadzony na rynek samotrzymający się cewnik i z westchnieniem odeszła od stołu.

— Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, moje drogie. Teraz pani Gant jest w rękach Boga.

Razem z Elsie zaniósłszy nieprzytomną kobietę do sypialni na dole i położyły ją ostrożnie do świeżo zaścielonego łóżka. Sypialnia robiła przyjemne wrażenie — przygotowana tak, by w miłym otoczeniu kwiatów, ładnych obrazów i kolorowej kołdry mogły się goić i ciało, i dusza. Samanta uważała, że jest to nieodzowny element rekonwalescencji, tak ważny jak baseny, bandaże czy słuchawki lekarskie. Przez pierwsze dwie noce spała obok pacjentki na wniesionej do sypialni kozetce. Później zainstalowała tam Elsie, która czujnie drzemała przy swojej pani, bo srebrne szwy były delikatne i łatwo się przemieszczały.

Hilary Gant spędziła w pokoju gościnnym Samanty dziewięć dni. Była niewymagającą, cierpliwą pacjentką i w milczeniu poddawała się trzy razy dziennie badaniu. Niewiele ze sobą rozmawiały. Te kilka minut, które przy okazji badania spędzały razem, upływały niemal w milczeniu i w bardzo medycznej atmosferze. Między odwiedzinami w sypialni pani Gant Samanta przyjmowała pacjentów i chodziła na wizyty domowe. Aż wreszcie pod koniec dziewiątego dnia zdjęła srebrne szwy, a nazajutrz oznajmiła, że pacjentka jest wyleczona, i odesłała ją do domu.

Tydzień później dostała wypisane na eleganckiej papeterii zaproszenie na herbatę. Adres brzmiał: California Street, Nob Hill.

Samanta widziała już tę rezydencję w czasie jednego ze spacerów po mieście. Przystanęła wówczas nawet, żeby się przyjrzeć kwadratowej bryle pałacu, który wyrastał z zielonych trawników, i zastanawiała się, jacy w nim ludzie mieszkają. Teraz jednak, kiedy wjeżdżała przez kutą w żelazie bramę powozem nadesłanym przez Gantów, widziała z bliska wznoszące się przyczółki, wieżyczki, bogato dekorowane okna oraz nawy i czuła, że została zaproszona do iście królewskiej posesji.

I w pewnym sensie tak było. Państwo Gantowie „zamieszkali przy California Street” należeli do jednej z najstarszych i najbogatszych rodzin w San Francisco.

Służący Chińczyk prowadził ją przez hall zdobiony witrażami, lustrami w złożonych ramach, ciemnymi okładzinami z importowanego drewna, wschodnimi dywanami, paprociami i posążkami. Potem otworzył przed nią rozsuwane drzwi i zobaczyła przebogate wnętrze salonu.

Były tam cztery wysokie podwójne okna o tak przejrzystych, że niemal niewidocznych szybach. Słońce wpadające z zewnątrz wnikało w każdy kąt salonu i odbijało się od kryształowego kandelabru, od wypolerowanych intarsjowanych mozaiką blatów, przedmiotów ze srebra i złota oraz od chińskiej porcelany; rozświetlało czerwone aksamitne kotary, złotawą tapicerkę mebli, bukiety róż i bżów. Pokój urządzone z ostentacyjnym snobizmem. Widać było, że ludziom, którzy tu mieszkają, zależy nie tyle na tym, jak zamanifestują swoje ogromne bogactwo, ile na tym, by je po prostu pokazać.

Na środku salonu, niczym królowa na tronie, siedziała Hilary Gant. Na widok Samanty wstała z wdziękiem i zaszeleściła dwudziestoma metrami jedwabiu. Przez chwilę Samanta nie mogła jej poznać. W czasie dziesięciodniowego pobytu przy Kearny Street pani Gant ani przez moment nie demonstrowała swojej wysokiej pozycji społecznej i finansowej — przyjechała do Samanty w prostej sukience i położyła się do łóżka w zwyczajnej koszuli. Ale tu, w tym pałacowym oto-

czeniu, Hilary Gant biła w oczy lśnieniem rudych, wysoko podpiętych brylantowymi szpilkami włosów, jedwabną suknią w kolorze cynamonu, błyszczącą w promieniach słońca, oraz brylantową biżuterią w uszach i na palcach, która migotała jak gwiazdy. Szła do Samanty z wyciągniętymi ramionami. Zatrzymała się przed nią, uśmiechnęła się do niej bez słów, a jej błękitne oczy przysłoniły łzy. Samanta podała jej obie ręce.

— Doktor Hargrave... — szepnęła Hilary.

Kiedy tak patrzyły na siebie, były jedynie dwiema równymi sobie kobietami, które z powodzeniem mogły się spotkać w zupełnie dowolnym miejscu, w pralni czy choćby na środku dzikiej prerii. W tej chwili niczym się nie różniły i nie dzieliła ich przepaść wynikająca z urodzenia czy stanu posiadania — jednoczyło je odwzajemniane spojrzenie. Niema wdzięczność, którą widziała w niebieskich oczach Hilary, przypominała Samancie, że właśnie po to żyje — by ujrzeć taki błysk w oczach pacjenta; niczego więcej nie oczekuje od życia.

— Tak się cieszę, że mogła mnie pani odwiedzić — wymruczała Hilary.

— Jestem zaszczycona pani zaproszeniem, pani Gant.

Hilary ani na moment nie oderwała od niej oczu i wzrokiem mówiła więcej, niż mogły to wyrazić słowa; Samanta mimo rękawiczek czuła ciepło rąk mocno ściskających jej dłonie.

— Za to, co pani dla mnie zrobiła, powinnam upaść pani do stóp.

— Wprawia mnie pani w zakłopotanie, pani Gant.

Hilary jeszcze mocniej uściśnęła jej ręce i odstąpiła o krok.

— Proszę usiąść, pani doktor, i napić się ze mną herbaty.

— Obawiam się, że nie mogę zatrzymać się zbyt długo, panu Gant. Zostawiłam córkę pod opieką sąsiadki, ale gdyby tak panią Seagram odwiedził niezapowiedziany gość, Jenny będzie musiała natychmiast stamtąd wyjść.

Herbatę podano w srebrnym samowarze tak wybłyszczonym, że wyraźnie odbijał się w nim zminiaturyzowany salon. Samanta usiadła na biedermeierowskim krześle i ujęła filiżankę z sewrskiej porcelany.

— Córka — powtórzyła Hilary w zamyśleniu. — Musiała ją pani urodzić w bardzo młodym wieku, pani doktor!

— Bardzo mi to schlebia, bo zapewniam panią, że z powodzeniem mogłabym mieć własną dziewięcioletnią córkę. — Roześmiała się. — Ale adoptowałam ją prawie rok temu. Miałam maleńką córeczkę, która umarła w czasie epidemii dyfterytu...

— Och, jakże mi przykro. Rozumiem, co pani przeżywa. Moja malutka Mary jest dla mnie czymś najdroższym w świecie. Nie wiem, co bym zrobiła...

Umilkła i wbiła wzrok w herbatę, tak że przez chwilę, kiedy obie zadumały nad dziećmi, życiem i stratami, jakie ze sobą niesie, jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę było tykanie zegara. Wreszcie Hilary, taktowna pani domu, zrećnie zmieniła temat.

— Radość, że panią widzę, doktor Hargrave, sprawiła, że całkiem zapomniałam, po co panią zaprosiłam. — Podała gościowi kopertę z wytłoczonym wzorem. Samanta odstawiła filizankę, przyjęła kopertę i zajrzała do środka. Wewnątrz był czek na tysiąc dolarów.

Zaskoczona wpatrywała się w czek bez słowa — za operację wzięła pięćdziesiąt dolarów. Przez króciutką chwilę zastanawiała się, czy go nie zwrócić, ale potem przypomniała sobie o czesnym, jakie miała zapłacić za szkołę dla głuchoniemych w Berkeley, do której chciała wysłać Jenny w przyszłym roku.

— Dziękuję, pani Gant — powiedziała cicho i ostrożnie schowała kopertę do torebki.

— To wszystko mało, pani doktor. Gdybym mogła dać pani milion dolarów, dałabym natychmiast, a i tak nie odpłaciłabym się pani za to, co pani dla mnie zrobiła. Uratowała mi pani życie. I moje małżeństwo. — Niebieskie oczy zalśniły łzami. — Mąż wrócił do mojej sypialni...

Samanta spojrzała przez okno i patrzyła na zapierający dech w piersiach widok, jaki się rozciągał z salonu. Ponad zdobnymi dachami widziała niebieskie wody zatoki San Francisco usiane drobnymi punktami łodzi i białe smugi kilwateru, po drugiej stronie zaś oliwkowe w kolorze wzgórza, które



pięły się aż pod błękitne niebo. Wydaje nam się, że te boginki i bogowie, mieszkający we wspaniałych pałacach, nie mają się czym martwić na tym świecie, ale i oni są tylko ludźmi i ulegają tym samym chorobom, co najbiedniejsi z biednych...

Rozsuwane drzwi otworzyły się; do salonu weszła schludna niania w wykrochmalonym fartuszk i wniosła małą dziewczynkę o rudych kędzierzawych włosach. Samanta poczuła ukłucie w sercu. Mała Mary nie była wiele starsza niż Klara, kiedy umarła.

Hilary wstała, wzięła dziecko na ręce i coś do niego zaszcebiotała. Samanta uśmiechnęła się i przypomniała sobie ten dzień sprzed roku, kiedy przyprowadziła Jenny do domu. Jenny zdumiewała ją od samego początku. Kiedy została porządnie wyszorowana, jej uroda skoczyła Samancie do oczu jak wiosenny księżyc. Włosy małej zmierzwiły się jak miękki baranek, cerę miała śniadą, bez skazy, a buzię egzotyczną. Łagodny charakter dziewczynki zarówno zadziwił, jak i intrygował Samantę — zazwyczaj dzieci chowane na ulicy bywają krnąbrne i zadziorne. Ale nie Jenny; Jenny była łagodna i posłuszna. I nigdy się nie uśmiechała.

Kiedy pod choinkę dostała od Samanty lalkę, nie wiedziała zupełnie, co z nią zrobić, gdy zaś w kwietniu Samanta dała jej czekoladowe jajko, Jenny przyjęła je z absolutną obojętnością. Pewnego razu Samanta zabrała ją na wycieczkę nad ocean. Pojechali konnym autobusem aż do Seal Point i patrzyli, jak fale rozpryskują się o skalisty brzeg pod Cliff House. Jenny przyglądała się temu bez wzruszenia, ale jej bystre, ciekawe oczy, dostrzegły wszystko: foki, mewy, pióropusze wody. Jednak kiedy już trzeba było wracać i Samanta wzięła ją za rękę, dziewczynka grzecznie poszła za nią i ani razu nie odwróciła głowy, by spojrzeć na ocean.

Była dziwnym, zamkniętym w sobie dzieckiem, ukrytym za ochronną barierą głuchoty — ufnym i pokornym, ale czujnie obserwującym. Tak, Jenny wciąż obserwowała. Samanta podejrzewała, że dziewczynka wcale nie jest opóźniona w rozwoju; przeciwnie, sądziła, że jest nawet inteligentna. Usiłowała zatem nauczyć ją alfabetu i podstawowych działań arytmety-

tycznych, nie odniosła jednak sukcesu. Nie znalazła też drogi do dziecięcego serca — Jenny przywozila jej na myśl niezapisaną kartkę papieru, która czeka na pierwsze słowa.

Mary, zwana Gwiazdką, zaczęła płakać i jej płacz wyrwał Samantę z zamyślenia. Niania wyjęła dziecko z ramion matki; Hilary koiła je i całowała, aż wreszcie kiedy niania z małą już wyszły, usiadła na krześle i roześmiała się wesoło.

— O Boże, ależ te dzieci potrafią człowieka zmęczyć!

Przez jakiś czas w salonie panowała cisza i obie panie sęczyły herbatkę w milczeniu. Ale była to cisza miła; obie czuły się swobodnie i spokojnie. Samanta przypomniała sobie twarze kobiet z przeszłości — Elizabeth Blackwell, Luizy, Estelle Masefield, Hanny... Poczula, jak lekko drży jej serce, podobnie jak już dwukrotnie od czasu, jak się tu sprowadziła, drżało San Francisco. Poczula takie właśnie drobne trzęsienie serca, gdy pomyślała z czułością o dawnych przyjaciółkach, które przez chwilę towarzyszyły jej w drodze — dołączały do niej na jakiś czas, by w pewnej chwili odejść. I nagle zateęskniła znowu za towarzystwem w swojej dalszej wędrówce. Przyglądała się delikatnym rysom Hilary Gant. Hilary, mimo otaczającego ją zbytku, nie była afektowaną snobką, tylko szczerą, bezpośrednią młodą kobietą, wolną od potrzeby przypominania światu o swym bogactwie. Samanta nagle stała się jej ciekawa, chciała wiedzieć o niej wszystko i w ciągu sekundy zapragnęła być jej przyjaciółką.

Żeby chronić siebie po śmierci Marka i po incydentach przeżytych w szpitalu Św. Brygidy, nauczyła się trzymać na dystans wobec ludzi i rzadko się otwierała. Ale teraz, po raz pierwszy od czterech lat, poczuła, że jej serce wrywa się do innej kobiety, a jej dusza złąkniona jest przyjaźni. I zupełnie cudownym zbiegiem okoliczności akurat dobrze trafiła, bo Hilary Gant, co prawda nieco przestraszona tą panią doktor w prostej skromnej sukni, pragnęła tego samego.

Ponieważ jednak trudno jest nagle zwrócić się do obcej osoby ze słowami: „Proszę cię, zostanmy przyjaciółkami”, obrały taktykę drobnych kroczków. Hilary odchrząknęła.

— Myślę, że najgorszym cierpieniem, jakie mi przyszło znieść w zeszłym roku, był ten śmiertelny wstyd, kiedy musia-

łam się rozbiierać przed lekarzami, którzy patrzyli na mnie tak surowo. Nie mieli dla mnie odrobiny współczucia, pani doktor. A to przecież oni mnie okaleczyli, a później odmówili pomocy.

Powiedziała to bez goryczy, jak najzwyczajniejsze zdanie. Samanta nie mogła się nadziwić wyrozumiałości tej młodej kobiety, która tyle wycierpiała fizycznie i psychicznie, a mimo to nie trzymała w sercu urazy.

— Elsie już kilka miesięcy wcześniej wspomniała mi o pani, doktor Hargrave, a ja tak długo rozważałam, czy się do pani wybrać. Nigdy nie spotkałam jeszcze doktora w spódnicy, a jedyna lekarka, o jakiej słyszałam w tym mieście, prowadzi nader podejrzaną praktykę. Prawdę mówiąc, bałam się pani. Ale wreszcie sięgnęłam kresu wytrzymałości i nie mogłam już dłużej znosić kuracji doktora Robertsa. Przyczepiał mi do pochwy pijawki i trzymał je tam tak długo, aż łkałam o zmiłowanie. Doszłam w końcu do wniosku, że wolę umrzeć, niż dać mu się jeszcze raz dotknąć. Elsie przekonała mnie, żeby pójść do pani. A pani dokonała cudu.

— Cud polega jedynie na tym, że jestem kobietą.

— Żeby robić to, co pani robi, doktor Hargrave, trzeba mieć wielki talent. Kiedy byłam młodsza, zanim wyszłam za męża, chciałam zostać kimś takim jak pani, ale moje pragnienie musiało zostać na zawsze w sferze marzeń, bo w moim świecie miałam przed sobą tylko jedną drogę. — Nutka smutku, która zabrzmiała w jej głosie, nasyciła tę chwilę intymnością. Samanta czuła, że Hilary przed nikim się z tego jeszcze nie zwierzała. — Proszę mnie źle nie zrozumieć, pani doktor. Bardzo kocham męża i jestem zadowolona z życia. Ale czasami, kiedy tak sobie siedzę i patrzę na mgły nad zatoką, zaczynam się zastanawiać...

Cienie na dywanie coraz bardziej się wydłużały; Samanta zerknęła na zegar na kominku.

Hilary dobrze rozumiała jej spojrzenie.

— Zatrzymuję panią.

— Niepokoję się o córkę. Pani, którą prosiłam o opiekę nad nią, mogła poświęcić jej tylko godzinę, a Jenny nie jest jeszcze dość samodzielna. Naprawdę żałuję, że nie mogę

zostać dłużej. Mam uczucie, że mogłabym tu z panią rozmawiać przez długie godziny!

W oczach Hilary zabłysnął uśmiech wdzięczności.

— A więc będziemy to robić. A od dzisiaj wszystkie swoje znajome będę kierować wyłącznie do pani. Znam pewną damę, która straszliwie cierpi, a nie chce dać się zbadać mężczyźnie. Jestem przekonana, że przy pani czułaby się swobodnie. — Po czym dodała cicho: — Tak jak ja.

Wstały.

— Czy będzie pani mogła przyjść do nas w niedzielę na kolację, doktor Hargrave? Mówiłam mężowi o pani i o tym, co pani dla mnie zrobiła. Bardzo chciałby panią poznać.

— Z przyjemnością.

Hilary odprowadziła ją do drzwi, gdzie znów uściśniły sobie ręce. Stały tam wśród palm, w otoczeniu boazerii i uśmiechały się do siebie, bez słów potwierdzając to, co już się stało i co, jak przeczuwały, miało jeszcze nastąpić.

I tak to się zaczęło. Następnego dnia na Kearny Street zawitała kolejna karetka zaprzężona w czwórkę koni, a elegancka dama w aksamitnej sukni koloru starego wina wbiegła po schodkach do domu Samanty, dyskretnie zasłaniając twarz welonem.

Dahlia Mason miała dwadzieścia osiem lat i po siedmiu latach małżeństwa wciąż była bezdzietna. Odwiedziła wszystkich najbardziej uznanych lekarzy w San Francisco, którzy jednomyślnie stwierdzili, że jest bezpłodna. Na skutek takiego obrotu spraw małżeńskie zapędy jej męża znacznie osłabły, a ona sama znajdowała się na granicy wyczerpania nerwowego. Nie dowierzała tej nieznaney lekarce, bała się szarlatanerii, ale uleczenie Hilary było tak zdumiewające, że zebrała w sobie odwagę i mimo wszystko przyszła.

Pierwszą rzeczą, jakiej Samanta się od niej dowiedziała, było to, że żaden z dotychczas odwiedzanych przez nią lekarzy nie zbadał jej ginekologicznie, drugą zaś, że pani Mason nie ma bladego pojęcia, jak dochodzi do zapłodnienia. Po zbadaniu pacjentki Samanta wiedziała już, że pani Mason ma zagiętą macicę — tego inni lekarze nie mogli naturalnie

stwierdzić „na oko”. Później narysowała pani Mason schematyczny rysunek narządów rodnych i delikatnie wyjaśniła, jak zagięta szyjka macicy uniemożliwia zajście w ciążę. Udzieliła jej prostej i łatwej do zastosowania rady.

— Proszę leżeć na plecach przynajmniej pół godziny po stosunku z mężem i nie podmywać się potem, jak to ma pani w zwyczaju. Nie mogę obiecać, że zajdzie pani w ciążę, gdyż pani bezpłodność może wynikać z innych, nie znanych mi przyczyn. Ale jeżeli to, co widzę, jest tu jedyną przeszkodą, nie widzę powodu, dla którego nie mogłaby pani mieć dzieci.

Dahlia Mason wyszła z gabinetu z uczuciem niepewności. Doktor Hargrave nie przepisała jej żadnych proszków, nie dała gorzkiej mikstury i w ogóle nie zrobiła nic konkretnego. Pani Mason nie była też przekonana, że sprawę tak poważną jak jej bezpłodność można wyleczyć takim banalnym zabiegiem. Doszła zatem do wniosku, że wizyta u doktor Hargrave była stratą czasu. A jednak po następnym zbliżeniu z mężem zastosowała się do zaleceń lekarki, bo pomyślała sobie, że nie ma nic do stracenia. Robiła tak za każdym razem do czasu, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży.

Wiadomość o tym trafiła do kroniki towarzyskiej i nazwisko Samanty Hargrave znów pojawiło się w gazetach.

Ale to nie cud, jakiego udało jej się dokonać w przypadku Dahlii Mason, sprawił, że bez mała z dnia na dzień stała się osobistością w towarzyskich kręgach San Francisco, lecz jej znajomość z panią Hilary Gant. Samanta i Hilary przyciągały się nawzajem za sprawą niezaprzeczalnej potrzeby oraz fascynacji i wypełniały sobie wzajemnie puste miejsca w życiu. Dzięki tej znajomości Samanta stała się częstym gościem na Nob Hill, gdzie poznała przedstawicieli dość szczególnej arystokracji miasta.

Brakowało im wrodzonej finezji i ogłady, zbyt ostentacyjnie podkreślali swoje bogactwo, naśladowując warstwę społeczną, o której nie mieli pojęcia. Towarzyska śmietanka San Francisco składała się z kipiących energią i entuzjazmem nuworyszów — prężnych, śmiało spoglądających w przyszłość i dumnych ze swych trudnych początków. Dariusz Gant, mąż Hilary, stanowił tego najlepszy przykład. Był dużym, nieco

chropawym w obejściu sympatycznym niedźwiedziem, który zbił majątek w kopalni Con-Virginia i przy karcianym stoliku rżnąc w faraona. Ojciec Hilary, który w czterdziestym dziewiątym, podczas gorączki złota, ściągnął tu na S.S. *California* i był jednym z protoplastów tutejszej arystokracji, wiązał z córką ogromne nadzieje. Ale kiedy Hilary zakochała się w głośnym i rubasznym milionerze, stary snob ustąpił i z niechęcią musiał jednak przyznać, że w głębi ducha podziwiał szczerą uczciwość Ganta. Samanta też go polubiła, od samego początku. Dariusz miał udziały we wszystkich sferach przeżywających w Kalifornii niezwykle gwałtowny rozkwit: w produkcji wina, cygar, w przetwórstwie ostryg, w towarzystwie dróg żelaznych, a ostatnio nawet w gajach pomarańczowych w Los Angeles. Był ciekawym, barwnym i szczodrym człowiekiem — w tym mecenasem sztuk — i chętnie manifestował, jak bardzo lubuje się w najnowszych prądach. Ale w głębi serca Dariusz Gant pozostał wiejskim chłopakiem, który przyjechał tu do Kalifornii z marzeniem zbitcia fortuny, a na „Weselu Figara” po dziś dzień wprost ryczał ze śmiechu.

Samanta jakoś zawsze umiała wykroić trochę wolnego czasu, by raz w tygodniu spotkać się z Hilary. Leniła się wówczas tak, jak w czasach, gdy z Freddym biegali po St. Agnes Crescent. Poznawała San Francisco, jakiego istnienia nawet nie przeczuwała. Hilary wprost wychodziła ze skóry, żeby jej sprawić przyjemność. Jeździły razem do Isaaca Magnina, by obstałować Samancie nową garderobę, to znów do City of Paris, żeby kupić dodatki i „niewymowne”, ale gdy pewnego dnia trafiły do Gumpa po serwis, a do Shreva i Spółki po wieczne pióro, Samanta wreszcie powstrzymała Hilary od dalszego trwonienia pieniędzy. Hilary brała ją na przejażdżki konne po Golden Gate Park, gdzie na zmianę jeździły na siodłach o lewostronnym i prawostronnym wieńcu, by równomiernie rozwijać mięśnie. Wreszcie Hilary wciągnęła Samantę w nowy, modny sport — łucznicstwo — któremu od niedawna poświęcała się z ogromną pasją. A ponieważ dwie świeżo upieczone przyjaciółki są niczym dwoje kochanków, niebawem więc zaczęły ze sobą spędzać wszystkie poniedziałki, których punktem kulminacyjnym był cichy obiad w dyskretnej restauracji

przy Montgomery Street, gdzie damy mogły zaglądać bez męskiej asysty.

To właśnie w Chez Pierre Samanta zaczęła się zwierzać przyjaciółce ze swoich osobistych trosk i kłopotów zawodowych.

— Twoje znajome, Hilary... — mówiła nad kanapkami z ogórkiem i herbatą Ulung — usiłują mnie zmusić, żebym przeniosła gabinet. Twierdzą, że nie chcą przyjeżdżać do takiej dzielnicy jak moja. Nie mam im tego za złe, ale jeżeli wyprowadzę się z Kearny Street, co zrobią moi ubodzy pacjenci? Jeśli założę gabinet w centrum miasta, będą musieli wydać na bilet tramwajowy, żeby do mnie przyjechać. Teraz mnie mają na miejscu, jestem tuż pod ręką. Myślę, że łatwiej jest twoim znajomym przyjechać do mnie kareta, niż moim robotnikom dojechać do centrum.

— No to zostań, gdzie jesteś — odparła Hilary bez namysłu.

— Nie koniec na tym. Zaczynam mieć tylu pacjentów, że przestaję sobie z nimi radzić. Zresztą wolno mi przeprowadzać tylko drobne zabiegi, co bardziej skomplikowane przypadki muszę z najwyższą niechęcią odsyłać do innych lekarzy, bo sama nie mam ukończonego szpitalnego stażu.

Hilary skinęła głową. Wiedziała, że Samanta nie dostała upragnionego certyfikatu o odbyciu praktyki w Św. Brygidzie, i wiedziała dlaczego. Uznała to za głupią formalność, która uniemożliwiała takiemu świetnemu chirurgowi, jakim była Samanta, wejście do szpitali w San Francisco. Kiedy tak sobie jadły i piły w Chez Pierre, w głowie Hilary z wolna krystalizował się plan.

— A ta istna epidemia niewiedzy, jaka szerzy się wśród moich pacjentów, jest wprost przerażająca! — żołądkowała się Samanta. — I nie mam na myśli jedynie biednych i niewykształconych kobiet, Hilary. Twoje przyjaciółki są równie niedouczone! Umarłabyś ze zdziwienia, gdybyś wiedziała, ile z twoich znajomych święcie wierzy, że noszenie na szyi wianka z czosnku uchroni je przed ciążą! Znam nawet taką jedną panią, która uważa, że jeśli w trakcie stosunku będzie leżała bez ruchu i nie dozna najmniejszej przyjemności, to nie zaj-

dzie w ciąży! — Samanta upiła łyk herbaty, ale nie czuła jej smaku. — Już sama nie wiem, Hilary. Gdybym mogła wymyślić jakiś sposób, żeby je nauczyć... Ale jestem tak szalenie zajęta, że wszystko, co mogę zrobić, to zbadać pacjentkę i wypisać receptę. Nie mam czasu na to, żeby z każdą z nich usiąść i porozmawiać.

Hilary ugryzła kęs kanapki.

— Moja droga Samanto — zaczęła po chwili. — Rozwiązanie jest tak proste i tak widoczne gołym okiem, że widzę je wyraźniej niż twój szlachetny nos.

— Co masz na myśli?

— Otwórz własny szpital.

Samanta patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Co mam zrobić?

— Otworzyć szpital. — Rozochociona myślą, która nagle wydała się jej genialna, Hilary mówiła szybko: — Szpital dla kobiet z żeńskim personelem. Mogłabyś tam przeprowadzać wszelkie operacje, o jakich byś zamarzyła. Zatrudniłabyś personel i miałabyś czas na indywidualne rozmowy z pacjentkami. Przecież to takie proste, moja kochana. Dziwię się, że nie wpadłyśmy na to już dawno!

Samanta przyglądała się uśmiechniętej Hilary i nagle wszystko wydało jej się jasne jak słońce. Zrozumiała nareszcie ten niepokój, który ogarnął ją, gdy wracała z kościoła do domu. Znalazła w końcu to, czego jej brakowało w życiu. Musiała zrobić nowy krok, znaleźć sobie wyzwanie, na którym mogłaby skoncentrować siły.

— Mój własny szpital!

— Ustaliłabyś swoje zasady, zatrudniłabyś, kogo uznałabyś za stosowne...

— Sama mogłabym organizować staże, szkolenie pielęgniarek, bezpłatne szczepionki, porady... Hilary, myślisz, że jesteśmy w stanie to zrobić?

— Ależ oczywiście!

Chwyciły się za dłonie. Ten prąd, który sobie przekazywały, zelektryzował je obie i w tym momencie zrozumiały, dlaczego los złączył ich ścieżki. Teraz miały przed sobą wspólny cel — cel życia. W tym ułamku sekundy obie widziały to samo



i obie czuły przez skórę, że ich plan się powiedzie i że we dwie odniosą sukces.

## 4

— W życiu pani tego nie zrobi, doktor Hargrave. Tego planu nie da się zrealizować.

Samanta patrzyła na mówiącego. LeGrand Mason, bankowiec, mąż Dahlii, był krępy baryłkowatym mężczyzną, który lubił wypowiadać uwagi tonem stanowczym, jak ostateczna wyrocznia. Ale nie jego tonem teraz się przejęła, lecz tym, że LeGrand Mason mówił dokładnie to samo, co słyszała wcześniej — najpierw od Dariusza, a potem od jego prawnika, Stanton Weatherby. Tych trzech ekspertów finansowych niezależnie od siebie przejrzało przedstawiony przez nią projekt i jednomyślnie oświadczyło, że planu nie da się wcielić w życie.

Samanta wstała z krzesła i przeszła do wysokiego okna. Było już późno; miasto tonęło we mgle, a gdzieś zza mlecznej zasłony dobiegało niskie zawodzenie ostrzegawczej syreny Fort Point. Wsłuchując się uważnie przez minutę, można było po długości trwania pojedynczych sygnałów określić położenie i rozmiary mglistej czapy. Choć rozpalony w kominku ogień ogrzewał salon Gantów, Samantę przeszedł dreszcz.

To zimno miało źródło w niej samej; umierała ze strachu, że jej od niedawna hołubione marzenie za chwilę rozsypie się w proch.

Od chwili kiedy w restauracji Chez Pierre Hilary wpadła na ten pomysł, wyśniony szpital walczył o przeżycie. Samanta wspólnie z Hilary rozpracowała strukturę i zasady funkcjonowania wielu szpitali w kraju i naszkicowała finansowy projekt własnej kliniki. Ale jak się okazało wkrótce, zestawione na papierze liczby były niestety źle zbilansowane — ona i Hilary przewidziały za dużo wydatków, a zbyt mało wpły-

wów. Mason przejrzał szkic i na jego podstawie rokował, że Szpital dla Dzieci i Kobiet w San Francisco w ciągu sześciu miesięcy splajtuje.

— Nikt nie zechce inwestować w deficytowe przedsięwzięcie — mówił teraz. — Gdyby panie pobierały opłaty od każdego chorego, znalazłoby się wielu inwestorów.

Odwróciła się od okna.

— Panie Mason, to przecież czysty absurd oczekiwać zysków od placówki dobroczynnej. Ludzie, którzy będą nas wspierać finansowo, nie będą inwestorami, a filantropami.

— To się nie może udać. Nawet jeżeli założymy, że skłoni pani Crockersów i Stanfordów, by zechcieli ofiarować pieniądze na uruchomienie szpitala, to i tak nie można liczyć na to, że będą regularnie zasilać jego kasę. Tak pomyślany szpital jest workiem bez dna, pani doktor. Pani musi mieć jakies zyski.

— Zyskiem, panie Mason, będzie ludzkie życie.

Spojrzała na Dariusza, szukając w nim podpory.

— Samanto, niewykłuczone, że uda ci się zebrać odpowiednią kwotę, żeby otworzyć szpital, ale nie zdołasz go utrzymać — włączył się Gant. — A wtedy nikomu już nie uratujesz życia.

— Wszystko można załatwić. Zorganizuję pieniądze.

— Jak?

— Mamy z Hilary kilka pomysłów. Dobroczynne wenty, loterie fantowe... Będziemy też zbierać indywidualne zobowiązania.

— To wszystko może ci zorganizować fundusze na pokrycie miesięcznych wydatków.

— I dobrze. Co zrobić z pozostałymi jedenastoma, będziemy myśleć potem.

Dariusz potrząsnął głową i znów zapatrzył się w ogień. Lubił Samantę Hargrave, czuł wielką admirację dla jej hartu ducha i optymizmu (na swój własny użytek gotów był jej nawet przyznać najwyższy komplement: nie ustępowała mężczyznom), ale złościł go jej upór. Ba, zaraziła mu tym uporem żonę. Odkąd zaczęły się przyjaźnić, Hilary coraz częściej broniła własnego zdania.

W salonie zapanowała cisza, a pięcioro zgromadzonych w nim ludzi zatoneło w myślach, wsłuchując się w dalekie dźwięki syreny, która ostrzegała statki przed przybrzeżnymi skałami.

LeGrand Mason stał przy kominku i niecierpliwie bębnił palcami w kamienną półkę. Nie miał nic przeciwko szpitalowi, na dobrą sprawę, od czasu gdy doktor Hargrave sprawiła ten cud, że Dahlia zaszła w ciążę, wprost wychodził ze skóry, żeby tylko pomóc jej we wspaniałej pracy. Ale rzecz w tym, że pani doktor zabierała się do założenia szpitala od niewłaściwej strony. To on tu jest bankierem, ekspertem od finansów i jego powinna słuchać. Charytatywny szpital, też coś! Do Stanfordów i Crockersów stały wciąż długie kolejki wszelkich możliwych organizacji dobroczynnych w San Francisco — schroniska dla psów, domy emerytowanych marynarzy, sierocińce, wszystko to wisiało u ich kłamki, a teraz jeszcze miał dojść i szpital! Gdyby tylko zdołał przekonać doktor Hargrave, że od każdego pacjenta należy pobierać opłatę...

Trzeciego dżentelmena w salonie, Stantona Weatherby — prawnika Gantów — Samanta podbiła gruntownie. Był to pięćdziesięcioletni kulturalny i czarujący wdowiec, który od piętnastu lat, od czasu gdy zmarła mu żona, żył w przekonaniu, że w jego życiu nie będzie już innej kobiety. Kiedy jednak kilka tygodni temu poznał Samantę Hargrave, doszedł do wniosku, że czas to przekonanie zmienić.

Dariusz otrząsnął się z zadumy.

— Zresztą i tak nie mamy jeszcze lokalizacji szpitala, a póki jej nie znajdziemy, wszelka dyskusja o pieniądzach jest zupełnie jałowa.

— Och, lokalizację już mamy! — powiedziała Hilary z ożywieniem.

Trzej mężczyźni zwrócili się w jej stronę. Hilary nerwowo zerknęła na Samantę — obie z lękiem szykowały się na tę chwilę.

— W gruncie rzeczy mamy nie tyle lokalizację — wyjaśniała spieszenie — ile sam lokal, i to tak doskonały, jakby był budowany z myślą o szpitalu. Jest dobrze usytuowany, w po-

blizu linii tramwajowych, w samym sercu miasta, tak że pacjentki bez trudu będą tam mogły trafić.

— Gdzie to jest? — zapytał LeGrand.

— Przy Kearny Street.

Mężczyźni czekali w ciszy, aż wreszcie Dariusz zapytał:

— Gdzie przy Kearny Street?

— Niedaleko od Portsmouth Square.

Uniósł wysoko brwi.

— Co to za budynek?

Splotła dłonie i mocno je zacisnęła.

— To Gilded Cage.

— Gilded...! — wybuchnął Dariusz, zrywając się na nogi.

— Wielki Boże, chyba nie mówisz poważnie!

LeGrand stłumił śmiech; w pierwszej chwili myślał, że panie żartują, ale po chwili spochmurniał — to nie był dowcip.

— Pani, czyś ty postradała zmysły? — zagrział Dariusz.

— Proszę cię, nie krzycz, kochanie. Gilded Cage jest idealnym miejscem na szpital — wyjaśniała spokojnie. — Obejrzałyśmy ten budynek uważnie. Górne piętro doskonale nadaje się na pomieszczenia dla siostr. A poza tym są tam windy, które wożą jedzenie z kuchni...

— Moja droga! — wykrzyknął. — Chcesz powiedzieć, że weszłyście do tego budynku?!

— Nie poszłyśmy tam same.

— A z kim?

— Z przedstawicielem agencji nieruchomości.

Huknął pięścią w półkę nad kominkiem tak mocno, że aż zadzwonił stojący na niej zegar.

— Pani, tyś chyba doprawdy oszalała!

LeGrand uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

— Zaczekaj chwilę. Chciałbym się dowiedzieć, czy właściwie zrozumiałem nasze panie. Budynek Gilded Cage jest wystawiony na sprzedaż i panie we dwie w towarzystwie agenta wybrały się, żeby go obejrzeć?

— Tak.

— Ależ drogie panie, czy zdajecie sobie sprawę z tego, że...

— Panie Mason — spokojnie przerwała mu Samanta — wiemy, czym jest Gilded Cage, ale to przecież nie może mieć wpływu na nasze decyzje. Ważne jest to, że można ten budynek kupić i że jest doskonale przystosowany do potrzeb szpitala.

— Nie — odezwał się Dariusz.

Wszyscy na niego spojrzeli.

Odwrócił się do nich wolno ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

— Wykluczone.

— Ależ Dariusz, kochanie...

— Sprawa nie podlega dyskusji, moja pani.

Samanta jak skamieniała siedziała na krześle, wiedząc, że najłżejszy ruch może zdradzić gniew, jaki ją ogarnął. Spodziewały się podobnej reakcji. Tak naprawdę, to czekając na dobry moment, specjalnie zwlekały z informowaniem panów o miejscu, jakie wybrały. Problem polegał jednak na tym, że nigdy dotąd takiego momentu nie było. Nawet Hilary podczas lunchu w Chez Pierre była zaszokowana sugestią Samanty, żeby zamienić dawny dom publiczny na szpital. Ale Hilary dała się przekonać. Z panami sztuczka widać się nie uda.

Zaczynała się z wolna przyzwyczajając do szokowania ludzi. Kiedy zawitały u agenta i wyraziły chęć obejrzenia lokalu, propozycja wstrząsnęła nie tylko nim, ale jego współnikami i sekretarzem. Przypomniała sobie też zaskoczenie na twarzy dorożkarza, który je tam zawiózł, a potem pomagał im wysiąść z dorożki. No i zdumienie odźwiernego w Gilded Cage (lokal nadal pracował pełną parą), hazardzistów przy stołach, barmanów, pianisty, aż wreszcie samego Choppy'ego Johnsona, właściciela.

Czuły się skępowane bezczelnymi spojrzeniami mężczyzn (czyżby wszyscy sądzili, że oglądają właśnie przyszłe „hostesy“?), ale Choppy Johnson, mimo wątpliwej reputacji i podejrzanych kontaktów, był jednak dżentelmenem i potraktował je jak poważne kontrahentki. Nie obejrzały wszystkiego dokładnie, bo wiele pokoi było akurat zajętych, ale Samanta obrzuciła budynek fachowym okiem lekarza. Pokoje zajmowane obecnie przez dziewczęta byłyby doskonałe jako kwate-

ry dla siostr i zatrudnionych na stałe lekarek; magazyn na górze, w którym przechowywano zdezelowane koła do ruletki, spłowiałe damskie akty i połamane krzesła, nadawałby się doskonale na salę operacyjną. Gilded Cage mieściła się w solidnym budynku, a Choppy Johnson z myślą o dogadaniu klientom zainstalował w nim wszelkie wygody: nowoczesną kanalizację, gazowe oświetlenie we wszystkich pomieszczeniach, najlepsze niklowane piece w kuchni i zbiornik na gorącą wodę. Samanta rozglądała się na prawo i lewo, nie zauważając wcale kobiet w świecących sukienkach i siatkowych pończochach, mahoniowego baru zdobionego mosiężnymi okuciami, zasłon z czerwonego aksamitu ani wpatrzonych w nią mężczyzn; wyobrażała sobie rzędy schludnych łóżek, pielęgniarki w wykrochmalonych fartuchach, wózki z jedzeniem i medykamentami. Remont lokalu byłby niekłopotliwy. Wystarczyłaby sprawną armia pań uzbrojonych w wiadra z wodą i czyścik Bon Ami...

— Jaka jest cena lokalu? — zapytał LeGrand. — Nie wiedziałem, że Choppy postanowił go sprzedać.

— Żąda dwudziestu tysięcy.

LeGrand szybko oszacował w myślach wartość zakupu.

— To sporo.

— W tej cenie mieści się jeszcze „interes”. — Uśmiechnęła się.

— Oczywiście. Może z powodzeniem liczyć na to, że ktoś przejmie całość.

— Do licha! — warknął Dariusz. — Nie będę tu stał i dyskutował o takich sprawach przy paniach!

— Pomyśl o tym jako o szpitalu, kochanie — odezwała się Hilary.

Pod jego surowym, przywołującym ją do porządku wzrokiem spłonęła rumieńcem; przekroczyła pewne granice i spodziewała się ostrej reprimendy, kiedy goście wyjdą.

— Szpital powinien się mieścić za miastem, tam, gdzie jest świeże powietrze — zauważył LeGrand. — Sądziłem, że pomyślała panie o czymś w okolicach Richmond.

— Panie Mason, szpital powinien być w miejscu, do którego pacjenci mogą dojechać bez trudu — zwróciła mu uwagę

Samanta. — Wielu kobiet, które do mnie przychodzą, nie stać na bilet tramwajowy, a tym bardziej więc na stratę dnia na dojazdy. Dlatego właśnie Gilded Cage jest doskonałym rozwiązaniem.

— Pani ma rację, Dariusz.

Wszyscy spojrzeli na Stantona Weatherby'ego, który dotąd nie zabrał głosu. Czarująco uśmiechnął się do Samanty.

— Myślę, że pani propozycja jest całkiem rozsądna, doktor Hargrave.

Odpowiedziała mu pełnym wdzięczności uśmiechem.

— Dziękuję panu. Gdyby jeszcze zechciał pan przekonać naszych dżentelmenów, żeby chociaż...

— Mowy nie ma! — krzyknął Dariusz.

— Ciekawe, dlaczego Choppy sprzedaje interes? — nie mógł się nadziwić LeGrand Mason.

— Powiedział nam, że należy mu się już emerytura i że zamieszka u brata w Arizonie.

— Emerytura?! Choppy ma ledwie pięćdziesiąt lat!

Samanta też się zastanawiała nad tą decyzją, dopóki Choppy Johnson nie stanął pod oknem, gdzie zauważyła jego zaskakującą bladość, sińce pod oczami i zapadnięte policzki; zwróciła też uwagę, że co jakiś czas Choppy odruchowo masuje sobie żołądek. Choppy Johnson był bardzo chory.

— Nigdy nie zbierzecie dwudziestu tysięcy dolarów — zawyrokował LeGrand.

— Myślę, że zdołam namówić pana Johnsona, żeby opuścił cenę do osiemnastu.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałyby się zgodzić. W mieście jest wielu biznesmenów, którzy chętnie zapłacą mu dwadzieścia. Po co miałyby sprzedawać ten lokal za mniej, i to jeszcze komuś, kto zlikwiduje interes?

Samanta też brała to pod uwagę. Żaluzjowe zamknięcie blatu biurka było uniesione, dlatego na blacie zauważyła ulotki nawołujące grzeszników do powrotu na drogę cnoty. Przypuszczała, że ciężka choroba i co za tym idzie, myśl o spotkaniu ze Stwórcą kazały Johnsonowi myśleć o odprawieniu pokuty.

— Kiedy wyjawiliśmy mu nasze zamiary, powiedział, że przez tydzień wstrzyma się od rozważania innych ofert.

— I obiecał, że obniży cenę do osiemnastu tysięcy?

— Niezupełnie... — mruknęła Samanta.

— Hm...

— Dyskusja jest bezprzedmiotowa — zawyrokował Dariusz. — Odmawiam prowadzenia wszelkich interesów z kimś takim jak Choppy Johnson. Nawet w imię dobrej sprawy. Nie będę napełniał kieszeni tak zdeprawowanym ludziom!

— Niemądrze się upierasz — wytknął mu Stanton. — Uważam, że gra jest warta świeczki. Możemy chociaż obejrzeć ten jego lokal.

— Och, bez wątpienia łatwo go będzie przerobić na szpital — powiedział LeGrand, a potem spiekł raka i szybko dodał: — W każdym razie na to wygląda z tego, co panie mówią.

Kiedy po kilku minutach narada dobiegła końca, Stanton Weatherby zaproponował, że odwiezie Samantę swoim powozem. Jechali wolno przez zamglone miasto. Samanta zamysliła się, a jej towarzysz wykorzystał tę chwilę, żeby bez przeszkód uważniej się jej przyjrzeć. Doszedł do wniosku, że z każdym spotkaniem podziwia ją coraz bardziej.

Wyglądał młodziej niż na pięćdziesiąt lat. Ubrany był modnie i miał przystojną twarz oraz starannie zadbaną brodę i wąsy.

— Jest takie stare powiedzenie, doktor Hargrave, że komitet jest to zgromadzenie ludzi, którzy w pojedynkę nic nie mogą zdziałać, ale gdy się spotkają, zgodnie dochodzą do wniosku, że nic się zrobić nie da.

Jego stwierdzenie wyrwało ją z zadumy.

— Słucham? Bardzo pana przepraszam, panie Weatherby. Miałam nadzieję, że nasze spotkanie dzisiaj lepiej się potoczy. Wprost nie umiem wyrazić, jak doskonale Gilded Cage odpowiada potrzebom szpitala.

W jego oczach zalśniły iskierki wesołości. Ten upór w kimś tak młodym i ładnym jak ona wydał mu się szalenie atrakcyjny. Samanta Hargrave całkiem go oczarowała.



— Proszę się nie frasować, moja pani; porozmawiam z Dariuszem. A tymczasem proponuję, żeby pani starała się zorganizować pieniądze.

— Dziękuję, tak właśnie zrobię. — Po czym dodała z uśmiechem: — Dziękuję za wsparcie.

I on się uśmiechnął. Dlaczegoż ta kobieta nie wyszła za mąż? — myślał w duchu.

— Proszę wybaczyć natarczywość i pozwolić mi spytać, czy widziała już pani Victorię Reginę w Golden Gate Park? — zapytał zupełnie mimochodem. — Podobno to największy kwiat na świecie; ma sto pięćdziesiąt centymetrów średnicy.

— Nie miałam okazji, panie Weatherby.

— A więc może zechce mi pani wyświadczyć ten zaszczyt i wybrać się tam ze mną któregoś dnia po południu? Na przykład w niedzielę?

— Niestety właśnie w niedzielę jestem najbardziej zajęta. Ponieważ wiele moich pacjentek to pracujące kobiety, przyjmuję je w ich wolny dzień.

— Ach tak. Rozumiem... — Skubnął rękawiczkę. — W każdym razie, pani doktor, proszę się nie martwić Gilded Cage. Mogę pani niemal gwarantować, że zdołam przekonać Dariusza.

Dariusz nie zmienił zdania ani na jotę. Wygłosił Hilary w tej sprawie surowe kazanie, a na koniec nakazał jej, żeby trzymała się z dala od wszelkich działań związanych z kupnem Gilded Cage. Wobec czego kiedy obie z Samantą stanęły na trotuarze przed imponującą rezydencją Jamesa Flooda, Hilary swoją obecnością u boku Samanty wykazała absolutny brak posłuszeństwa wobec męża. Po raz drugi w życiu przeciwstawiła się jego woli i czuła, że nie po raz ostatni.

— Hm... — mruknęła Samanta, wykreślając państwa Flood z listy w małym notesie. — Wciąż nam dużo brakuje.

Hilary zmarszczyła czoło. W ciągu trzech dni odwiedziły większość rezydencji Nob Hilł i jak dotąd niemal wszystkie arystokratyczne rodziny odmówiły współpracy przy kupnie jednego z najbardziej znanych lokali publicznych w San Fran-

cisco. Mimo że wszyscy byli z Hilary zaprzyjaźnieni, stanowczo odżegnywali się od jej planu. Twierdzili, że wypracowana w ciągu pół wieku zła opinia, jaka się wiąże z tym miejscem, już w zarodku zniszczy reputację szpitala. Co więcej, mówili, że lokal jest usytuowany w niedobrej dzielnicy, a zatem większość jego pacjentek będą naturalnie stanowiły kobiety o wątpliwej moralności. Żadna szanująca się kobieta — zapowiedzieli — bez względu na to, jak będzie biedna czy chora, nie pójdzie do tego szpitala.

— Za trzy dni Johnson sprzeda lokal komuś innemu — powiedziała Hilary. — Żałuję, że nie mam własnych pieniędzy, Samanto. Ojciec zostawił mi w spadku olbrzymi majątek, ale cały jest zapisany na Dariusza.

— Nie możemy się jeszcze poddawać, Hilary. A może zajdziemy do pani Elliot?

Hilary spojrzała na drugą stronę ulicy. Za dziewięciometrowym ogrodzeniem, niczym średniowieczne zamczysko, stała ozdobiona wieżyczkami najstarsza rezydencja San Francisco. Otaczała ją aura ciszy i tajemniczości. W tym domu nie była ani Hilary, ani też większość przedstawicieli śmietanki towarzyskiej miasta. Jediną mieszkanką tej posesji była bardzo stara kobieta, pani Lydia Elliot, która kilka dziesięcioleci temu przybyła tu z Bostonu u boku swego niepiśmiennego męża, poszukiwacza złota, Jamesa Elliota, legendy San Francisco. James Elliot przed dwudziestoma pięcioma lary zginął w pojedynku u brzegów jeziora Merced, zostawiając żonie i synowi spadek w postaci aktów własności towarzystwa kolei żelaznych. W dniu pojedynku pani Elliot przybrała kirem frontowe drzwi rezydencji i od tamtej chwili nie pokazała się już publicznie. O ich jedynym synu krążyły różne pogłoski, ale nikt nie wiedział, co się naprawdę z nim stało.

— Wątpię, czy zechce nas przyjąć, Samanto. Podobno nie lubi gości.

— Możemy jednak spróbować.

Kiedy pięły się w górę stromego podjazdu — dwie eleganckie młode damy w etolach z nutrii i długich prostych spódnicach mocno ściągniętych w pasie — miały dziwne uczucie, że ktoś je obserwuje. Ale kotary, zasunięte w oknach już

ćwierć wieku temu, nawet nie drgnęły, a dom wyglądał jak wymarły. Wokół nie było widać ogrodników ani powozów; nawet ptaki trzymały się z dala od tego miejsca.

— Kto wie, może już nie żyje? — mruknęła Hilary.

Samanta uniosła i swobodnie puściła kołatkę u drzwi. Kurz z kołatki posypał się na próg. Hilary zdążyła tylko szepnąć: „Chodźmy stąd”, kiedy drzwi się otworzyły i ku swemu zdumieniu ujrzały bardzo dostojnego kamerdynera w nienaganej liberii.

— Słucham panie.

Hilary krótko wyjaśniła cel wizyty i wręczyła mu tłoczoną wizytówkę. Kamerdyner odszedł z wizytówką na srebrnej tacy, a one usiadły w olbrzymim hallu i szeroko otwartymi oczyma oglądały wystrój wnętrza.

— Jak tu pięknie... — szepnęła Hilary. — I czysto.

Samanta oglądała wybłyszczone kandelabry, blaty stolików, lustra i wazy.

Kamerdyner wrócił i — co zdziwiło je niepomiernie — zaprosił je do bogato, ale ze smakiem urządzonego dziennego saloniku. Usiadły i czekały. Kilka minut później zjawiła się pani Elliot.

Szła o lasce, mocno zgarbiona, a jej twarz pokryta była siateczką drobnych zmarszczek. Wyglądała bardzo staro, ale żywe oczy świadczyły o bystrym i sprawnym umyśle. Jej siwe włosy zasłaniające uszy i zebrane z tyłu głowy w koczek dzielił równiutki przedziałek. Każdemu stąpięciu leciwej pani towarzyszyło skrzywienie, ale nie starych stawów, a krynoliny pod czarną suknią. Podobnie jak uczesanie, suknia też była staromodna — uszyta według kanonów obowiązujących w czasach wojny domowej, ale wyraźnie nowa. Wyglądało to tak, jakby pani Elliot chciała zatrzymać czas.

Po prezentacji (powieki zatrzepotały nad małymi oczkami staruszki, gdy usłyszała, że ma przed sobą lekarkę) pani Elliot rzekła:

— Jak panie wiedzą, rzadko przyjmuję gości, ale to dlatego, że tak mało ludzi składa ostatnio wizyty. Mój kamerdyner powiedział mi, że przyszły tu panie w sprawie szpitala dobroczynnego.

Hilary zaczęła mówić, a pani Elliot słuchała z zainteresowaniem.

Kiedy jednak Hilary napomknęła o kupnie Gilded Cage, stara dama zbladła.

— Dość! Ani słowa więcej! Proszę natychmiast odejść. Charnley odprowadzi panie.

— Ależ pani Elliot... — zaprotestowała Hilary, gdy starszka podnosiła się z krzesła.

— Młoda damo — zwróciła się do niej pani Elliot, stukając laską w podłogę. — Jak pani śmie przychodzić do mojego domu i w ogóle wspominać o tym miejscu! Kiedy Charnley powiedział mi, z czym tu panie przyszły, otworzyłam przed wami serce. Ale nadużyłyście mojego zaufania. Proszę natychmiast wyjść!

— Pani Elliot — włączyła się szybko Samanta. — Przepraszam, jeśli obraziłyśmy panią, ale Gilded Cage jest znakomitym lokalem na...

— Obraziłyście? — przerwała jej starszka. — Rozdrażniłyście dawną ranę i posypałyście ją solą!

Samanta i Hilary patrzyły na nią zdumione.

— O proszę! — wykrzyknęła drżącym głosem i wskazała palcem portret nad kominkiem. — Mój mąż. Zastrzelił go właściciel takiego właśnie przybytku! W tamtych czasach mieliśmy straż obywatelską, ale ona nigdy nie wymierzała przestępcom sprawiedliwej kary! Mówiono, że poległ w pojedynku. Honorowo!

— Bardzo mi przykro, pani Elliot.

— Przykro? To mi nie wróci mego biednego męża. Ani syna. Proszę już iść.

Hilary zbierała się już do odwrotu, ale Samanta jeszcze nie wychodziła.

— Co się stało z pani synem, pani Elliot? — zapytała łagodnie.

W bystrych starych oczach zalśniły łzy, a pani Elliot opadła na krzesło.

— Chodził tam. — Miały wrażenie, że jej głos dobiega z bardzo daleka. — Nic o tym nie wiedziałam. Trudno mi było samej wychowywać syna. Philip zaglądał tam prawie co noc.

A kiedy poznał tam tę nierządnicę, zupełnie zawróciła w głowie memu naiwnemu chłopcu.

Samanta i Hilary stały bez słowa.

— Gilded Cage zabiła moje dziecko — ciągnęła pani Elliot. — Był dobrym chłopcem, ale łatwo ulegał złym wpływom. Nauczył się tam pić i hazardować. A potem jedna z tamtejszych dziewcząt powiedziała mu, że jest z nim w ciąży. Philip zachował się honorowo i poślubił ją. Nie było jednak żadnego dziecka. Dziewczyna wydała tylko pieniądze Philipa i uciekła z innym. Mój syn się zastrzelił.

Samanta i Hilary wciąż stały bez słowa.

— Przepraszamy, że zakłóciłyśmy pani spokój — odezwała się wreszcie Hilary.

— Pani Elliot, ma pani teraz okazję pomścić śmierć Philipa — powiedziała Samanta.

Stara kobieta uniosła ze znużeniem głowę.

— Odejdźcie już, proszę. Co się stało, to się nie odstanie. Nic nie zmienia przeszłości.

— Wiem, ale jeśli kupimy Gilded Cage i założymy tam szpital, zapobiegniemy podobnym tragediom.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z tak ohydnyim miejscem. Nie dam pieniędzy właścicielowi domu publicznego. — Wstała godnie i pokuśtykała do dzwonka. Szarpnęła za pas i dodała: — Odgrzebałyście bolesne wspomnienia i zbudziłyście niezszcześnie duchy. Na przyszłość będę patrzeć, komu otwieram drzwi.

— Pani Elliot — Samanta zwróciła się do niej niemal błagalnym tonem — jeśli my nie kupimy Gilded Cage, zrobi to kolejny Choppy Johnson i inni chłopcy dalej będą cierpieć, tak jak cierpiał Philip. Mamy przed sobą szansę oczyszczenia San Francisco z zarazy, która je toczy zbyt długo. Czy może być coś sprawiedliwszego niż nowe zagospodarowanie miejsca, gdzie tak się poniża kobiety? Coś szczytniejszego niż zorganizowanie szpitala, w którym się je leczy?

Pani Elliot patrzyła na nią zimno.

— Proszę natychmiast opuścić mój dom.

Schodzili już podjazdem do ulicy, kiedy Hilary przerwała milczenie.

— Nie powinnyśmy tam w ogóle były chodzić, Samanto. Ta biedna staruszka może przez nas dostać ataku serca.

Samanta tak się trzęsła, że ozdobne pióro czapli na jej kapeluszu drżało. Zatrzymała się przy bramie, zwrócona twarzą pod wiatr, i nic nie widząc, spoglądała w stronę białych czap grzywaczy i bałwaniastych chmur nad zielonymi wzgórzami Marina.

— Musi być jakiś sposób, żeby przejrzeni na oczy.

— Dajmy sobie spokój z Gilded Cage. Znajdziemy coś innego. Może powinnyśmy jednak pójść za radą Masona i zbudować szpital w Richmond?

Ale Samanta nie chciała odstąpić od planu, który uznała za słuszny. W chwili gdy weszła do sali tańców, ujrzała oddział położniczy; w kuchni wyobraźnia podsunęła jej widok setek wydawanych posiłków; a na górze ujrzała schludne pokoiki personelu medycznego. Na zewnątrz zaś, oczami wyobraźni, zamiast krzykliwej markizy zachwalającej najpiękniejsze i najbardziej swawolne „hostessy” w mieście, widziała skromną tablicę informującą, że tutaj mieści się Miejski Szpital dla Kobiet i Dzieci. Zbyt wyraźnie miała to już w oczach, zbyt mocno wierzyła, że robi słusznie, żeby się teraz wycofać.

— Pani Gant!

Odwróciły się i zobaczyły biegnącą do nich pokojówkę w czepeczku i w fartuszkach. Stała przy nich zdyszana i wyciągnęła przed siebie kopertę.

— Pani mnie przysłała, żeby to oddać paniom.

Hilary zajrzała do koperty. Wewnątrz znalazła dwie rzeczy: czek na dziesięć tysięcy dolarów i wypisaną drżącą dłonią prośbę o to, by jeden oddział w szpitalu nazwać imieniem Philipa Elliota.

Dzięki zastrzykowi pieniędzy od pani Elliot mogły już co prawda kupić budynek, ale nadal brakowało im funduszy na umeblowanie go, wyposażenie i na opłatę personelu.

Usiadły więc z LeGrandem Masonem i Stantonem Weatherby (Dariusz ratował gnijące pomarańcze z wykolejonego wagonu pod Los Angeles) i wspólnie naszkicowali wysokość projektowanych wydatków. Zgodzili się co do tego, że na roz-

ruch i utrzymanie szpitala przez rok należy zgromadzić dziesięć tysięcy dolarów, a potem trzeba będzie obmyślić nowy sposób zbierania następnych funduszy. Na razie z niezbędnych dziesięciu tysięcy miały tylko cztery.

Samanta i Hilary z dużą energią i zawziętością zabrały się za zbiórkę brakujących sześciu, a ponieważ elita San Francisco w większości przypadków nadal odnosiła się z głęboką dezaprobatą do kupna Gilded Cage, postanowiły zwrócić się o wsparcie do prostych ludzi.

Dahlia Mason, choć za plecami męża, też chciała im pomóc. Kiedy się okazało, że ma niezwykle talent do malowania eleganckich fiołków, powierzyły jej zadanie dekorowania i wypisywania kart z podziękowaniami. Karty te później wręczały każdemu, kto wnosił swój wkład czy to w postaci wpłaty gotówki, czy darowizny w naturze (na przykład rzeźnik z sąsiedztwa obiecał im tuzin oskubanych indyków). Te karty malowane ręką Dahlii wkrótce stały się niezwykle popularne. Można je było zobaczyć w całym mieście, dumnie wystawiane na pokaz w bawialniach — wszyscy chwalili się nimi tym chętniej, że na karneciku nie było wzmianki o wielkości czy rodzaju darowizny. Dlatego właśnie w niedługim czasie nastąpiła moda na ofiarowywanie nowemu szpitalowi, co kto miał pod ręką — zegara, znoszonego szlafroka bądź dwudziestu pięciu kilogramów starej pościeli — i puszenie się kartą Dahlii Mason.

Kiedy strumień napływających darów zaczął wyraźnie wysychać, Samanta namówiła właściciela gazety, żeby w nie sprzedanej części działu ogłoszeń zamieszczał nazwiska ofiarodawców wszelkich prezentów dla szpitala. Napływ darowizn zwiększył się natychmiast, bo ludziom zależało na tym, żeby ich nazwisko trafiło na szpalty. Dla tych, którzy składali datki o wartości powyżej stu dolarów, wygospodarowała ścianę w przedzielonym nowym przepierzeniu hallu (dawniej klienci wieszali tam płaszcze i kapelusze) i na tej właśnie ścianie" kamieniarz, nieodpłatnie, wykuwał nazwiska fundatorów. Do jednych z najcenniejszych prezentów należały te, które uchodziły za zbytek, takie, co to miło byłoby je mieć, ale któ-

rych szpital sam nigdy by nie zakupił: dywaniki do saloników, wazony na kwiaty do pokojów sióstr, książki do szpitalnej biblioteki i piękny fortepian ofiarowany do świetlicy przez Stantona Weatherby.

Podczas gdy robotnicy i zastępy sprzątaczek harowali dzień i noc, by nadać Gilded Cage wygląd szacowności, przed budynkiem zbierały się grupki ludzi, którzy przyglądali się robotom i je komentowali — Hilary nigdy nie zapominała, by przy takich okazjach puścić między zebranych talerz na drobne datki. I kiedy z biegiem dni z budynku znikwały ślady dawnego domu publicznego, arystokracja San Francisco zaczęła spoglądać na szpital coraz łaskawszym okiem.

Wtedy właśnie Hilary wymyśliła nowy plan zebrania dalszych pieniędzy — „Opłać jedno łóżko”. Plan polegał na znalezieniu ludzi, którzy zobowiązaliby się do pokrycia całorocznych kosztów utrzymania kolejnych pacjentek leżących w konkretnym łóżku. LeGrand oszacował z grubsza, o jaką kwotę chodzi: wyliczył, że koszt prania zmian pościeli z jednego łóżka wyniesie w ciągu roku około trzydziestu centów, posiłki powinny zamknąć się w kwocie czterdziestu ośmiu dolarów, a opieka pielęgniarska będzie w przybliżeniu kosztowała dwanaście centów na dobę. I tak dalej, i dalej. Dodał do tego szacunkową wartość podawanych lekarstw i przeprowadzanych zabiegów i wreszcie obliczył, że koszt utrzymania jednego łóżka wyniesie siedemdziesiąt pięć dolarów rocznie. Dahlia Mason przepięknie wykaligrowała złotą farbą plakietki, które z wpisaniem nazwiskiem sponsora miały zawisnąć nad każdym łóżkiem w szpitalu. Pomysł chwycił. Zanim jeszcze kupiono nowe materace, wszystkie pięćdziesiąt łóżek miało swoich sponsorów.

Hilary i Samanta spędzały długie godziny nad planami. Poza tym że projektowały założenie Komitetu Pań, który miał zostać utworzony z dam najbardziej elitarnego towarzystwa — do obowiązków Komitetu miało należeć zajęcie się żywotnymi dla szpitala sprawami — Hilary chciała zorganizować wielki bal z okazji otwarcia szpitala. Tymczasem Samanta każdą wolną chwilę spędzała w remontowanym budynku — nadzorowała ekipy robotników, wyklócała się z architektem



— on uparł się, żeby wzorem innych szpitali zbudować kostnicę przy sali operacyjnej, tak ja się to robiło już od stuleci, gdy tymczasem ona nalegała, żeby kostnicę umieścić w piwnicy. No i jeszcze rozmawiała ze zgłaszającymi się do pracy ludźmi.

Pierwszą osobą przez nią zatrudnioną była dawna mieszkanka Gilded Cage, czterdziestokilkuletnia kobieta, której Choppy Johnson nie wyrzucił na bruk z pobudek czysto sentymentalnych, a która teraz nie mogła już nigdzie znaleźć dla siebie zajęcia. Samanta skierowała ją do pracy w kuchni. Drugą pracownicą przyjętą do zespołu została Charity Ziegler („Niebiosy mi ją zesłały, przysięgam ci” — tak Samanta opowiadała o niej Hilary), która niedawno z mężem ściągnęła do miasta. Pani Ziegler pracowała sześć lat jako przełożona pielęgniarek w Buffalo General Hospital i umiała nie tylko znakomicie kierować zespołem siostr i praktykantek, ale nauczyła się również „kuchni dla chorych”, mogła zatem układać jadłospisy. Owej cennej dla szpitala Charity Ziegler Samanta zaproponowała astronomiczną pensję w wysokości sześciuset dolarów rocznie.

Pierwszą internistką przyjętą do zespołu została Willella Canby, niska i pulchna młoda kobieta, która niedawno ukończyła studia w Toland Medical College przy uniwersytecie w San Francisco. Miała doskonałe opinie z uczelni, była bystra, pełna zapału i nie kręciła nosem na proponowane warunki — zgodziła się pracować bez wynagrodzenia, tylko za pokój, wikt i opierunek.

Stopniowo szpital zaczynał nabierać kształtów. Hilary utworzyła Komitet Pań, Stanton Weatherby ułożył regulamin, stan i miasto udzieliły zgody na otwarcie i prowadzenie placówki, Samanta skompletowała personel i w lipcu tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego roku, w niecałe dwanaście miesięcy od narodzin pomysłu w Chez Pierre, Szpital Miejski dla Kobiet i Dzieci był gotów na otwarcie.

Wszystko, czego Samancie teraz było trzeba, to pacjentów.

Robotnicy wyszli, ostatnie wiadro i szczotka zniknęły z pola widzenia, a sale pachniały świeżą farbą i olejem do

czyszczenia mebli. Na każdym piętrze stał piec węglowy (Samanta chciała zainstalować w szpitalu ogrzewanie parą, ale to usprawnienie kosztowałoby dodatkowo pięć tysięcy dolarów). Przy każdym łóżku wisiał pas do dzwonka, którym pacjentka mogła przywołać siostrę, a cały budynek oplatała genialnie opracowana sieć tub nagłaśniających, pomyślana na wzór podobnych rozwiązań na statkach. Kwatery dla personelu czekały na swoje mieszkanki; w każdej sypialni były dwa łóżka, chodniczek, stojak z miednicą, toaletka i biurko. Niebawem miało tu zamieszkać piętnaście pielęgniarek i praktykantek, doktor Willella Canby, doktor Mary Bradshaw, absolwentki Cooper Medical College, i doktor Hortense Lovejoy, która skończyła medycynę w Women's Medical College w Pensylwanii. Na dole zaopatrzona w żywność kuchnia lśniła czystością. W świetlicy z kominkiem na rekonwalescentki, które mogą chodzić, czekały wygodne krzesła, fortepian i półki z książkami. W głębi korytarza mieściły się gabinety lekarskie, izba nagłej pomocy i prywatny gabinet Samanty. A w hallu na dole, nad biurkiem siostry rejestratorki, wisiała duża tablica ze świeżo wymalowaną informacją, że lekarzom i odwiedzającym panom nie wolno palić tytoniu w żadnej części szpitala.

Miejski Szpital dla Kobiet i Dzieci stał pusty i czekał. Samanta też czekała. Po raz ostatni przed wyjściem sprawdziła, czy wszystko jest na swoim miejscu, i szykowała się już do wyjścia, by w domu przebrać się na bal u Hilary. Na chwilę jednak przystanąła w korytarzu. Zapadał zmierzch, a przez otwarte drzwi słychać było ruch na ulicach. Odwróciła się wolno, by spojrzeć na wypolerowane ławki, kwiaty, skrzyneczkę na datki, i choć wielce rozemocjonowana, z niejakim lękiem zaczęła się zastanawiać, jak to będzie dalej. Postawiły na swoim, osiągnęły ten niezwykły cel, ale nie miały najmniejszej gwarancji, że odniosą sukces. Czy dobrze zrobiła? Czy kobiety zapomną, że w tym miejscu mieścił się niegdyś dom gry i burdel? Przyjdą się u niej leczyć?

Przesunęła dłonią po wyczyszczonym i lśniącym blacie biurka i pomyślała o Marku. Gdybyż tylko mógł tu dzisiaj z nią być!

Usłyszała jakiś szmer za plecami. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach małą kobietę, która delikatnie chrząkała, by zwrócić jej uwagę. Wyglądała blado; miała na sobie prostą sukienkę, a głowę okrywała szalem.

— To pani jest doktorką? — zapytała.

Samanta podeszła do niej.

— Dopiero jutro otwieramy szpital. Czy mogę pani w czymś pomóc?

— To pani jest tą doktorką? Pracuję na targu z kwiatami. Nie mogłam przyjść wcześniej.

— Coś pani dolega?

— Mam straszne bóle głowy. Już od miesiąca.

— Jak często?

— Raz dziennie. Zawsze w południe.

— Szpital otwieramy jutro — wyjaśniła łagodnie Samanta. — Proszę przyjść jutro, powiedzieć pielęgniarce, co pani dolega, a ona zaprowadzi panią do lekarza.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie, nerwowo skłoniła głowę i wyszła na ulicę.

Samanta chwyciła klamkę i zamknęła oczy. Jutro...

## 5

Gdyby ktoś rozgarnął atmosferę ziemską i spojrzął w niebo, zobaczyłby gwiazdy takie, jakie są naprawdę: nieruchome punkty zimnego światła, prawdopodobnie odarte z tajemniczości i czaru. Tak właśnie mała Jennifer postrzegała świat. Wchłaniała go czystą duszą, nieskalaną uprzedzeniem, lekkiem, nieprawdą czy złudzeniem. Jennifer nigdy nie słyszała kłamstwa, fałszywego pochlebstwa, słów oszukańczych i zwodniczych — nie miała pojęcia, że ludzie mówią po to, żeby się skryć za słowami. Dlatego kiedy Dahlia Mason weszła do dzibcięcej sypialni i znów zaczęła utyskiwać na małego biednego Roberta, który chciał wyłącznie tego, żeby mu dano spokój i pozwolono spać, Jenny, obserwując tę scenę z kąta, nie

wiedziała, że oczy Dahlii mówią jedno, a jej usta drugie. Niania słyszała.

— Co za piękny pokoik! Chciałabym, żeby moje dziecko miało to wszystko, co ma Gwiazdka Gant! — Unosiła się w głos, ale zmrużone oczy zdradzały jej prawdziwe myśli. Nigdy w życiu nie rozpuszczę Roberta aż tak ostentacyjnym zbytkiem!

Usta stanowiły centralny element maskarady, odciagały uwagę od prawdomównych oczu i innych znaków, które zdradzają człowieka. Dzięki modulacji głosu, jego natężeniu oraz okrągłym zdaniom ktoś, kto mówi szybko i gładko — pochlebca i kłamca — sprzedaje się światu tak, jak tego pragnie. Jennifer Hargrave nigdy nie dała się zwieść gładkiej mowie i widziała ludzi takimi, jacy naprawdę są. A często to, czego się w nich dopatrzyła, zupełnie się jej nie podobało. Dahlia Mason należała do ludzi, którzy nie budzili sympatii Jenny, ale dziewczynka czuła, że Dahlia jest nieszkodliwa i nie stanowi zagrożenia. Byli jednak i inni, niebezpieczni ludzie, i tych się lękała. Dziś jeden z nich siedział na dole; myśli Jenny krążyły wokół niego.

Kiedy dziesięć lat temu Megan O'Hanrahan wydała na świat dziecko, ledwie spojrzała na niespokojne niemowlę, a od razu je odrzuciła. W związku z tym Jenny była na garnuszku u obcych, którzy dotykali jej wyłącznie wtedy, kiedy ją chcieli odepchnąć. Uważali dziewczynkę za niespełna rozumu i nikt nie zadawał sobie trudu, żeby się z nią porozumieć. Z czasem obrosła brudem, a to co brudne wywołuje niechęć. Jenny nigdy nie poznała miłości, bo tak jak dzieci uczą się przez naśladownictwo, tak samo uczą się przez rewanżowanie tym, co otrzymują od innych — nikt niczego jej nigdy nie dawał i niczego od niej nie oczekiwał. Ale choć nic nie wiedziała o miłości, nie poznała też bólu, a gdy dwa lata temu umarła jej matka, Jenny w ogóle to nie obeszło.

Nie kochała swojej Pani, bo tego rodzaju uczucie jeszcze w niej nie zapączkowało, kierowały nią jednak zdrowe instynkty, zwłaszcza zaś dwa — poczucie lojalności i czujność wobec niebezpieczeństwa. Nie kochała Pani, ale darzyła ją psim oddaniem, zupełnie jak zwierzątko, które uratowano od

śmierci i odkarmiono. Miejska dżungla zaś wyostrzyła w niej zmysł, który bezbłędnie ostrzega! ją przed zagrożeniem. Dziś właśnie te dwa instynkty wyraźnie doszły do głosu.

Niania zabrała dziewczynki na schody, skąd mogły się przyglądać bankietowi w salonie. Jenny doskonale widziała, że pewien srebrzystowłosy mężczyzna nie odrywa oczu od jej Pani. Ten mężczyzna budził w niej nieufność.

Samanta witała w drzwiach salonu spóźnionego gościa. Przybyła pani Beauchamp, pięćdziesięciokilkuletnia wdowa i zarazem jedna z jej pacjentek. Mimo że od śmierci jej męża minęło dwadzieścia lat, wciąż na czarno ubrana pani Beauchamp mocno ścisnęła dłoń Samanty.

— Moja droga, nawet sobie pani nie wyobraża, jaka to dla mnie radość być tu dzisiaj z panią!

Samanta uśmiechnęła się. Ucisnęła już ze trzysta rąk, ale nadal wyglądała tak świeżo, jakby pani Beauchamp była pierwszym gościem. Według wszelkich praw ziemskich powinna była już padać ze znużenia, a tymczasem wciąż czuła w sobie tę ożywczą siłę, jaka emanuje z głębi radosnego serca. Wszyscy zeszli się tu, żeby uczcić otwarcie szpitala; w takiej sytuacji nie mogła być zmęczona!

Ponad ramieniem pani Beauchamp spojrzała na przeciwną stronę salonu. Uśmiechnęła się na widok pełnej energii przyjaciółki. Hilary była w czwartym miesiącu ciąży i szokowała elitę towarzyską miasta, nie próbując tego stanu ukryć — nadzorowała ten wspaniały bal z taką łatwością, jakby wydawała kameralną herbatkę. Opanowana i skuteczna w działaniu, w białej atłasowej sukni przybranej gronostajami (strój cokolwiek ostentacyjny, który włożyła na życzenie Dariusza) wydawała zlecenia szefom kuchni, zawiadywała armią służących i jeszcze do tego, pełna wdzięku, poświęcała uwagę każdemu gościowi — równie swobodna w towarzystwie księżniczki Hawajów jak dawnych szkolnych koleżanek. Zaróżoniona z emocji promieniała blaskiem jak królowa, a kiedy napotkała wzrok Samanty uśmiechnęła się porozumiewawczo i tajemniczo, przekazując sekretną wiadomość: to jest nasz wieczer!

Pani Beauchamp mówiła coś o kolorze fartuchów pielęgniarek. Czy nie byłoby lepiej wybrać jakiś stosowniejszy do okoliczności kolor, zamiast tego niepraktycznego bladego błękitu?

— Szpital jest i tak na tyle ponurym miejscem, pani Beauchamp, że nie trzeba dodawać mu jeszcze smutnych barw — ripostowała łagodnie. — Jasne kolory podnoszą ludzi na duchu, a kiedy dusza się weseli, to ciało też się goi dużo lepiej. Czyż nie mam racji?

— Ależ naturalnie! Naturalnie! — Oczka pani Beauchamp niespokojnie błędziły po sali w poszukiwaniu znanych osobistości. Samanta zorientowała się, że pani Beauchamp przed przyjściem na bal wypłała sporą miarkę mikstury doktora Mortona. Pewnego dnia zgłosiła się u niej w gabinecie narzekając na żylaki i choć w zasadzie stosowała się do zaleceń Samanty, przy jednym się uparła — za nic na świecie nie chciała zrezygnować z zażywania mikstury. Twierdziła, że dzięki temu specyfikowi udaje jej się przetrwać dni, kiedy w niej „wzbiera żółć”, i nie przyjmowała do wiadomości, że mieszanka doktora Mortona może być szkodliwa. W końcu można ją było kupić w najlepszych aptekach! Nie sprzedawano by jej, gdyby ludziom szkodziła! Samanta usiłowała wyjaśnić pani Beauchamp, że mikstura jest mocno zaprawiana opium, które zaczyna wywoływać już uzależnienie, ale to tylko oburzyło wdowę. Jej zdaniem jedynie plebs mógł popaść w narkomanię. Kiedy praczka piła łyżkę mikstury dziennie, znaczyło to, rzecz jasna, że jest narkomanką, ale kiedy to samo robiła wielka dama, rozumiało się samo przez się, że zażywa wyłącznie niezbędnego lekarstwa.

W progu salonu stanęli państwo Charlesowie Havensowie. Wylewnie wyrażali nadzieję, że szpital odniesie sukces — to oni sfinansowali urządzenie sali operacyjnej. Rosemary Havens też była pacjentką Samanty. Od lat faszerowała się arsenikiem popijając „Tynkturę Fowlera”, która miała dodać jej cerze blasku. Tyle że w odróżnieniu od pani Beauchamp, Rosemary Havens wzięła sobie do serca ostrzeżenie Samanty, odstawiła tynkturę i zaczęła myć twarz sokiem ze świeżych ogórków.

Państwo Havensowie przeszli w głąb salonu i tam przedstawiono ich księżniczce Liliuokalani z Hawajów, a Samanta rozważała, czy nie jest to dobry moment, żeby uciec na chwilę od ludzi i zaczerpnąć świeżego powietrza.

To wydarzenie towarzyskie nie ustępowało w niczym balowi u pani Astor — najznakomitsze rody San Francisco zapomniały już o niechęci do szpitala w budynku Gilded Cage i swoim przybyciem na bal oddawały cześć osiągnięciu dwóch przyjaciółek. Pośród zagranicznych dygnitarzy, polityków i znanych ludzi sztuki byli też Crockersowie, Stanfordowie i DeYoungowie. Popijali szampana Mumms i rozprawiali o kopalniach srebra i walkach kogutów w Marina. Panowie występowali we frakach, panie w sukniach zdobnych w koronki.

Ale różnica między tym balem a tamtym sprzed ośmiu lat polegała na tym, że dziś Samanta jaśniała tu jako honorowy gość i wszyscy przyszli właśnie ze względu na nią. Poza tym na balu u pani Astor miała przy sobie Marka Rawlinsa.

Był lipiec. W ogrodzie Gantów upajająco pachniały kwiaty i świeżo ścięta trawa. Niektórzy goście, podobnie jak ona, też wyszli z salonu, by odetchnąć wieczornym powietrzem — rozmawiali po cichu w świetle lamp ogrodowych i częstowali się przekąskami roznoszonymi na tacach. Z okazji tej wielkiej gali Hilary wynajęła najlepszych kucharzy w mieście i wystąpiła przed trzystoma gośćmi ze wspaniałym stołem. Były tam flaczki a la modę de Caen, steki z zielonego żółwia, ragout z kaczki, krewetki w galarecie, kraby w zaprawianym śmietaną sosie z sherry. Służący uwijali się między gośćmi, nosząc tace z kawiozem, wędzonym łososiem, najróżniejszymi serami, owocami i orzechami. A poza tym, co typowe dla wyższych sfer San Francisco, podawano wyłącznie kalifornijskie wino, rozlewane z kryształowych karafek. Do Samanty podeszła służąca z szampanem. Samanta uśmiechnęła się i odmówiła. Nie tknęła szampana od pięciu lat, od czasu kiedy po raz ostatni jedli z Markiem kolację w jego mieszkaniu. Poprzysięgła sobie później, że nigdy już nie wypije szampana — zachowa go we wspomnieniach związanych tylko z przeszłością.

Podeszła do samotnie stojącej marmurowej ławki i usiadła. Nie myślała o szpitalu ani o wielkim balu, który odbywał się za jej plecami, lecz upojona uczuciem ogromnej satysfakcji i spełnienia, pozwoliła sobie na rzadki luksus rozmyślań o Marku.

Powinien być tu, obok niej...

— Przepraszam, doktor Hargrave...

Uniosła wzrok.

— Czekałem na stosowną chwilę. Może źle wybrałem?

— Stosowną chwilę na co?

— By złożyć pani słowa uznania i szacunku. Kiedy przyszedłem, otaczał panią taki zbity tłum... Wolę indywidualne audiencje. Warren Dunwich, do usług.

Patrzyła na niego zaintrygowana. Był zbyt elegancki, zbyt wyrafinowany na to, by pochodzić z San Francisco, a jednak jego akcent niezbitcie świadczył o tym, że pan Dunwich jest rodem z Zachodniego Wybrzeża. Przekroczył już pięćdziesiątkę, myślała, ale wygląda młodo. Te piękne srebrzyste włosy nie postarzają go ani odrobinę. Dodają mu raczej siły i wigoru.

— Miło mi pana poznać, panie Dunwich. Pan w San Francisco chyba od niedawna?

Błysnął dziwnie chłodnym uśmiechem. Był przystojny surową, nawet oschłą urodą; linia jego podbródka, nieco zapadnięte policzki, wąski orli nos przywodziły na myśl starą europejską arystokrację i Samanta przez moment wyobraziła sobie pana Dunwicha — właściciela murszejącego zamku — w otoczeniu wolno podupadających prastarych szlacheckich rodów.

— Teoretycznie tu mieszkam, choć jestem w San Francisco rzadkim gościem. Ciągłe jestem w drodze.

Warren Dunwich miał niewiarygodnie niebieskie oczy. Patrzył na nią przenikliwie i z napięciem, jakie zresztą emanowało z całej jego postaci — trzymał się sztywno i tylko lekko pochylał tułów w ukłonie. Samanta miała wrażenie, że emabluje ją hrabia.

— Czy mogę pani coś przynieść ze stołu?

— Nie, dziękuję, panie Dunwich. Powinnam już wracać do gości.



— Czy wolno mi zatem panią odprowadzić?

Wsunęła rękę pod jego zgięte ramię.

— Czym się pan zajmuje, że aż tyle pan jeździ?

— Mam udziały w wielu rozmaitych przedsięwzięciach, łaskawa pani. Ale wolałbym raczej dowiedzieć się czegoś bliższego o tym niezwykłym szpitalu, a jeszcze bardziej o jego założycielce.

Hilary rozmawiała z Lily Hitchcock, legendarną maskotką Knickerbocker Hose No. 5, kiedy ujrzała Samantę wspartą na ramieniu obcego mężczyzny. Ze zdziwienia uniosła mocno brwi — Samanta śmiała się całkiem swobodnie.

Hilary ściągnęła usta. Jakże on się nazywa? Należał do prywatnego klubu dżentelmenów, tego samego co Dariusz, i budził w niej dziwnie mieszane uczucia. Był niezwykle przystojny, pewnie bogaty i nie związany z kobietą. Ale dostrzegła w nim coś chłodnego, coś sztywnego, coś, co wydało jej się odpychające.

Przeprosiła Lily i skrzyła w ich stronę, z wdziękiem omijając licznych gości. Po drodze słyszała strzępki rozmów i nie zdziwiło jej, że goście wciąż poruszają pewien kontrowersyjny temat. Dookoła dyskutowano zawzięcie, czy szpital Samanty Hargrave powinien przyjmować pacjentki o wątpliwej reputacji. Hilary uśmiechnęła się pod nosem. Niech sobie tak dyskutują, choćby do końca świata! Samanta i tak w tej sprawie nie zmieni zdania. Niektóre z darowizn wpływały do nich z zastrzeżeniami ofiarodawców — jedni żądali, żeby do szpitala nie przyjmowano prostytutek chorych wenerycznie, inni, żeby nie leczono w nim Chinek czy Meksykanek. Samanta odsyłała wówczas pieniądze. Jej zdaniem szpital miał służyć wszystkim.

— Ależ Samanto, wygląda na to, że towarzyszy ci jedyna osoba w tym salonie, którą znasz ty, a ja nie!

Samanta przedstawiła pana Dunwicha przyjaciółce i dostrzegła w jej oczach charakterystyczny błysk. Hilary nie zwlekała ani chwili.

— Mam wrażenie, że należy pan do tego samego klubu cornój małż. Miło mi pana poznać. Czy będziemy miały okazję spotkać też pańską żonę?

Samanta posłała przyjaciółce złowrogie spojrzenie, ale Hilary nic sobie z tego nie robiła; była urodzoną swatką i wbrew spokojnym protestom Samanty i tak uważała, że Samancie potrzebny jest mężczyzna.

— Moja żona nie żyje, pani Gant. Już od ośmiu lat.

— Czy mieszka pan w San Francisco, panie Dunwich?

— W Marina, ale często bywam w mieście.

— A zatem musi pan koniecznie przyjść do nas któregoś dnia na kolację...

— Hilary, kochanie, wydaje mi się, że Dariusz cię szuka.

— O! — Hilary odwróciła uwagę od Dunwicha i spojrzała za siebie.

Dokładnie w tym momencie Samanta poczuła nagły zawrót głowy. Hilary też. Kiedy obie w tej samej chwili dotknęły palcami skroni, rozległ się głuchy pomruk przypominający grzmot, jaki się często słyszało nad zatoką San Francisco. Ten grzmot dobywał się gdzieś z wnętrza ziemi i towarzyszyło mu delikatne dzwonienie kryształów. Orkiestra przestała grać, rozmowy ucichły. Grzmot szybko się przetoczył i w salonie zapanowała dziwna cisza. Nikt z gości nie drgnął ani się nie odezwał. Wreszcie jak na komendę wszyscy odetchnęli, a potem roześmiali się nerwowo. Kiedy zebrani wrócili do przerwanych rozmów, Hilary spojrzała na Samantę.

— O Boże, ależ to był silny...

Huk, który wstrząsnął domem, omal nie zwałił jej z nóg. Tym razem grzmot był wprost ogłuszający i ludzie nie patrzyli już na rozkołysane kandelabry, tylko rzucili się szukać schronienia. Samanta zachwiała się i tylko dlatego nie upadła, że pan Dunwich chwycił ją mocno w talii. Zdawało się, że wstrząs trwa wieki, choć w gruncie rzeczy po krótkiej chwili było już po wszystkim. Samowary spadły z bufetów, wiaderka z butelkami szampana huknęły o podłogę, panie krzyczały lub mdlały.

Kiedy ziemia się uspokoiła, nikt nie drgnął, nikt nie odetchnął głębiej, jakby czekając na zapowiedź następnego wstrząsu. I nagle wszyscy — wiedzeni instynktem mieszkańców San Francisco — wstali w przekonaniu, że nic podobnego już się nie wydarzy.

Warren Dunwich wciąż asekurował Samantę i właśnie otwierał usta, by spytać, czy nic jej nie jest, kiedy zaskoczyła go tym samym pytaniem, a potem szybko rozejrzała się po sali. Z góry dobiegł ich płacz.

— Dzieci! — krzyknęła i pobiegła na schody.

Kilka osób rzuciło się do sypialni na górze, ale Samanta wyprzedziła wszystkich. Gwiazdka chlupała w ramionach niani, a Dahlia porwała na ręce krzyczącego wniebogłoso Roberta. Jennifer siedziała w kącie — jej buzia nie zdradzała żadnych uczuć. Dziewczynka patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczyma.

Samanta opadła na kolana i niespokojnie badała twarz dziecka.

— Nic ci nie jest, kochanie? — spytała odruchowo. Obejrzała źrenice Jenny i zabarwienie skóry; szukała objawów szoku bądź strachu, ale niczego nie dostrzegła, jakby nic się w ogóle nie stało.

Nikt nie mógł rzecz jasna wiedzieć, że Jenny, zamknięta w świecie ciszy, odbiera te same wyraźne ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem co sfera psów myśliwskich państwa Gantów. Jenny czuła nadchodzące ruchy sejsmiczne, więc grzmoty wcale jej nie zaskoczyły. Samanta pogładziła gęste ciemne loki.

— Wszystko w porządku, kochanie. To był tylko drobny wstrząs.

W tym momencie dziewczynka uniosła głowę i kiedy ujrzała coś nad ramieniem Pani, jej źrenice gwałtownie zogromniały. Samanta, dostrzegając przestraszony wyraz na twarzy dziecka, odwróciła się i spojrzała w górę. Warren Dunwich przed chwilą wszedł do sypialni i stanął za jej plecami. Patrzył na Jenny. Samanta przeniosła wzrok wyżej i z przerażeniem ujrzała ogromną szczelinę, która przecięła sufit sypialni.

— Nie denerwuj się, kochanie — uspokajała dziewczynkę, biorąc ją w ramiona. — Sufit nie spadnie nam na głowę, daję ci moje słowo.

Ale to nie szczelina tak nagle przeraziła małą, która teraz biernie poddawała się uściskom. Jennifer patrzyła na Warre-

na dużymi czujnymi oczami, a on, też obdarzony wrażliwością, spojrzął na nią i zrozumiał, co zobaczyła.

## 6

— Coś nie w porządku, pani doktor. Jest oporna na eter. Samanta odeszła od sterylizatora i stanęła przy pacjentce.

— Niech pani doda jeszcze kilka kropel — poleciła i spoglądała z uwagą, jak siostra kapie eterem na maskę. Chora ruszyła się niespokojnie pod prześcieradłem, a po chwili zapadła w bezruch. — Teraz chyba wystarczy — orzekła Samanta i wróciła od sterylizatora.

Sterylizator był urządzeniem jej pomysłu. Większość chirurgów, jeśli w ogóle stosowała aseptykę, używała do dezynfekcji kwasu karbolowego, ale Samanta zauważyła, że kwas bardzo drażni delikatne tkanki pacjentek. Wyczytała, że podjęto już próby sterylizacji nową techniką — parą — i po doświadczeniach, które przeprowadziła na własną rękę, zaprojektowała sterylizator. Nie słyszała jeszcze o podobnym urządzeniu i jej nowatorstwo wywołało wiele komentarzy. Zwłaszcza że w Szpitalu Miejskim było mniej wypadków zakażeń, niż notowano średnio w kraju.

Kiedy wyjmowała gorące narzędzia i układała je w misce, zauważyła, że para osiada na szklanych drzwiczkach stojącej obok szafki. W duchu nakazała sobie pamiętać, żeby przesunąć sterylizator w inne miejsce, wzięła ściereczkę i wytarła szybki. Ta szafka miała dla niej szczególne znaczenie.

Wewnątrz przechowywała instrumenty Joshuy. Leżały tam od dawna nie używane i przypuszczała, że już nigdy nie będzie z nich korzystać, bo są zbyt staroświeckie. Ale i tak nie mogła się z nimi rozstać. Te wspaniałe narzędzia stanowiły dla niej symbol przyszłości i postępu. Przypominały jej, że zaczęła się nowa epoka. W sterylizatorze leżały instrumenty, które zrobiono jej na zamówienie i których używali wszyscy chirurdzy zatrudnieni w szpitalu. Były to instrumenty w całoś-

ci wykonane z metalu i właśnie takie, metalowe, zdobywały sobie popularność w całym kraju. Od chwili gdy teoria Pasteura zaczęła zyskiwać sobie coraz więcej wyznawców, stało się oczywiste, że trzeba porzucić narzędzia dawne, oprawne w kość i drewno, gdyż nie można ich skutecznie wysterylizować. Te wspaniałe, bogato zdobione dzieła sztuki — wykonane w czasach, kiedy przy ocenie jakości narzędzia brano pod uwagę bardziej jego elegancki wygląd niż to, w jakim stopniu spełnia swoje zadanie — wychodziły właśnie z użycia. Samanta mogła je sprzedać, ale z dwóch powodów wolała zatrzymać je przy sobie. Po pierwsze chciała, by wciąż jej przypominały, że musi iść z postępem. Po wtóre, nie zapomniała, że niegdyś złożyła pewną obietnicę.

Gdzieś z niższych pięter dochodziły ciche i słodkie dźwięki „Cichej nocy” towarzyszące damom z Komitetu Pań, które roznosiły po oddziałach keks i likier jajeczny. Był dzień Wigilii — rześki i słoneczny — a w szpitalu panował ruch jak w ulu. Zresztą od pięciu miesięcy, od dnia otwarcia szpitala, nie miały tu jeszcze jednego spokojnego dnia. Bały się z Hilary, że nie będą mieć wcale pacjentek, ale już z samego rana nazajutrz po uroczystym balu pod drzwiami Szpitala Miejskiego Samanta zobaczyła sporą grupkę spokojnie czekających kobiet. Od tamtego dnia wszystkie łóżka były zawsze zajęte.

Ale co za paradoks! Wzięcie, jakim się cieszył szpital, tak jak to przepowiadał LeGrand Mason, zaczęło zagrażać jego powodzeniu. Duży przepływ pacjentów robił swoje — po raptem pięciu miesiącach działalności kończyły się fundusze przewidziane na roczne wydatki.

— Doktor Hargrave!

Gwałtownie uniosła głowę. Siostra Collins walczyła z pacjentką miotającą się pod maską z eterem. Samanta szybko znalazła się przy chorej i przycisnęła jej ramiona do stołu.

— Więcej eteru, siostro!

— Za chwilę dojdziemy już do śmiertelnej dawki, pani doktor!

— Eter najwyraźniej nie działa! Niech pani poda więcej!

Siostra zbladła i drżącymi rękami wykonała polecenie. Po chwili chora znów się uspokoiła.

Do sali operacyjnej weszła doktor Canby, kończąc upina-  
nie czepeczka na włosach.

— Przepraszam, pani doktor, że się spóźniłam, ale zosta-  
łam wezwana na wizytę... Och, pani nie zaczęła jeszcze!

— Pacjentka jest oporna na eter. Proszę jej przypilnować  
chwilę, dobrze? — Samanta wzięła kartę choroby wiszącą na  
haczyku w nogach stołu i jeszcze raz przeczytała wszystkie  
informacje o pani Cruikshank oraz przejrzała wyniki jej ba-  
dań. Z zaskoczeniem stwierdziła, że nie znajduje w opisie  
niczego, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego organizm chorej nie  
poddaje się działaniu eteru.

Kiedy pacjentka znowu zaczęła się niespokojnie ruszać,  
a doktor Canby musiała ją oburącz przytrzymywać na stole,  
Samanta zrezygnowała z operacji.

— Cóż, musimy odwołać operację do chwili, kiedy do-  
wiemy się, o co tutaj chodzi.

— Przedziwne! Nigdy nie widziałam czegoś podobnego  
— zauważyła doktor Canby.

— A ja tak — odparła Samanta, marszcząc czoło. — Raz.  
Jeszcze w Nowym Jorku. Mieliliśmy amputację u robotnika  
portowego i nawet największą dawką eteru nie dało się go  
uśpić na tak długo, żeby zdążyć go zoperować. Późniejszy  
wywiad ujawnił, że pacjent palił mnóstwo papierosów i najwy-  
raźniej dlatego nie dochodziło do wymiany gazów w płucach.

Doktor Canby spojrzała na panią Cruikshank, kobietę  
w średnim wieku, która cierpiała na cystę jajnika.

— Ale to chyba nie ten przypadek, prawda?

— Mało prawdopodobne. Siostró Collins, proszę nie  
spuszczać jej z oka, dopóki się całkiem nie wybudzi, i proszę  
ją zaprowadzić do łóżka. Później z nią porozmawiam.

Obie lekarki wyszły z sali operacyjnej.

— Musi pani koniecznie zejść na oddział dziecięcy, dok-  
tor Hargrave, i zobaczyć, co tam panie z Komitetu wyszyko-  
wały!

— Co byśmy zrobiły bez tych naszych pań! — Samanta  
westchnęła, śpiesząc po schodach. — Zajrzę za chwilę.

Willella Canby została z tyłu i potrząsnęła głową. Od kie-  
dy zaczęła pracować w szpitalu, nie widziała jeszcze doktor

Hargrave na wolniejszych obrotach. Dla całego zespołu pracowników dyrektorka stanowiła nieustającą zachętę do wysiłku. Któż mógł się migać od obowiązków, skoro doktor Hargrave po bezsennej nocy ani na moment nie opuszczała się w pracy? Ale w trosce o przełożoną Willella życzyła jej, żeby od czasu do czasu zwolniła nieco tempo.

Willella dopiero co wróciła z paskudnej wizyty w terenie. Trafiła do domu, w którym nieszczęsna, przykuta do łóżka kobieta została tak zaniedbana, że na jej ciele powstały sączące się odleżyny. Co gorsza rodzina w ogóle się tym nie przejmowała i puszczała mimo uszu wszelkie lekarskie zalecenia. Doktor Canby doszła teraz do wniosku, że chętnie zajrzy na chwilę do sypialni, żeby się nieco odświeżyć.

Nikt nie narzekał na ciasnotę kwater. Pielęgniarki były wdzięczne, że w ogóle znalazły pracę (z ponad stu kandydatek Samanta przyjęła piętnaście) i chętnie po dwie zajmowały pokoiki, w których z trudem mieściła się jedna. A trzy lekarki rezydentki — całej trójce odmawiano zajęcia gdzie indziej, jedynie ze względu na płeć — uważały, że ich mały apartament, usytuowany w korytarzu za salą operacyjną, jest wprost komfortowy. W większym z dwóch przydzielonych im pokoi mieściły się trzy łóżka, a skoro zawsze któraś z nich odsypiała dyżur, jedno z łóżek było wiecznie zajęte. Z sypialnią łączył się drugi pokój, w którym znajdowały się: piec węglowy, fotele, chodniczek, książki i spirytusowy palnik do gotowania herbaty. Nadeszły święta Bożego Narodzenia, więc apartament świecił pustkami — doktor Bradshaw wyjechała odwiedzić rodzinę w Oakland, a doktor Lovejoy dyżurowała teraz na oddziałach. Willella Canby podeszła do miski z wodą.

Spojrzała w lusterko, żeby skontrolować fryzurę. Doktor Hargrave narzuciła surowe zasady w sprawie wyglądu personelu; niejedna pielęgniarka została odesłana z oddziału, bo jakiś niesforny kosmyk wysunął się jej niedbale spod czepeczka. Pani doktor przeniosła wzrok na odbicie swojej twarzy i długo się sobie przyglądała.

Willella należała do tej grupy kobiet, które są od urodzenia pulchne. Z początku, kiedy była młodsza, mówiono o niej,

że ma „dziecięco kragłą buzię”, potem po prostu „okragłą”. Tej podskórnej warstewki tłuszczu nie mogła usunąć najbardziej drakońskimi ćwiczeniami ani dietą. Policzki miała pełne, buzię śliczną jak lalka z porcelany; była niska, krępa i nie musiała nosić turniury. Jej sposób bycia i osobowość idealnie pasowały do całej postaci. Willella odznaczała się pragmatyzmem, uczciwością oraz wrodzoną prawością. Personel ją lubił, pacjentki wprost uwielbiały, a doktor Hargrave miała nadzieję, że po skończeniu stażu Willella zostanie na stałe.

Ale prawda wyglądała tak, że mimo swojej rzeczowości i odpowiedzialności w głębi serca doktor Canby była romantyczką, idealistką i marzyła o tym, żeby się zakochać. Pod poduszką ukrywała książkę Sary Mitchell — „Życie Napoleona” — wydaną z zapierającymi dech ilustracjami i nie miała najmniejszych wątpliwości, że ze sposobu pisania tej biografii wynika niezbicie, iż panna Mitchell potajemnie kocha się w Małym Kapralu, tak jak i ona.

I oto stawała przed wielkim dylematem. Chociaż cieszyła się bardzo, że została lekarką (od najmłodszych lat o niczym innym nigdy nie marzyła) i choć dobrze się czuła w szpitalu i naprawdę radował ją fakt, że uczy się pod okiem doktor Samanty Hargrave, i chciałaby zostać w szpitalu na stałe, była przecież młodą kobietą, która śni o wielkiej miłości, o mężu i dzieciach. Ale dni i tygodnie mijały, a ona wciąż spotykała tylko żeński personel i tylko chore kobiety. Zaczęła w końcu dostrzegać, że wiedzie życie zakonnicy. Nie widziała na widnokręgu mężczyzny. Miała dwadzieścia pięć lat, już była starą panną i nabierała obaw, że wszystkie jej marzenia rozmyją się w próżni.

Pomyślała o doktor Hargrave, którą podziwiała, ale której zazdrościła zarazem. Dyrektorka nie mogła narzekać na brak męskiej adoracji. Przede wszystkim odwiedzali ją ten zabawny Stanton Weatherby i niezwykle arystokratyczny pan Dunwich. Samanta Hargrave ma szczęście! Najwyraźniej to, że jest lekarką, zupełnie nie przeszkadza jej w romansach. Na pewno niedługo wyjdzie za mąż. Ale jakie ona, Willella, ma szanse? Niska, pulchna i do tego lekarka! W całym San Fran-



cisco nie znajdzie mężczyzny, który by pomyślał o niej choć dwa razy!

Hm, nie traćmy nadziei! — krzepiła się w duchu. Józefina miała trzydzieści dwa lata, jak poznała Napoleona.

Wyszczypała sobie policzki, żeby im dodać rumieńców, jeszcze raz sprawdziła, czy strój dobrze leży, i ze stoickim spokojem wyszła na korytarz.

Co byśmy zrobiły, gdyby nie Komitet Pań? — myślała Samanta, gdy wchodziła na oddział ogólny. Damy z koleją na ustach właśnie opuszczały salę. Były to młode eleganckie kobiety w bluzkach o bufiastych rękawach zebranych ciasno od łokcia do nadgarstka, długich wąskich spódnicach i małych futrzanych etolach wspaniale komponujących się z dobranymi kapeluszami. Wszystkie były znajomymi Hilary i tworzyły drobną armię kobiet pełnych energii i pomysłów. Jakże inaczej się zachowywały od członkiń Ligi Janelle MacPherson w Św. Brygidzie! Komitet Pań założony przez Hilary w krótkim czasie stał się sławny w mieście. Jego aktywistki nie były znudzonymi damami, które raz w tygodniu wpadają do szpitala z kwiatami i stertą Biblii. Te panie, mimo że zajeżdżały pod szpital eleganckimi ekwipażami — i zawsze w otoczeniu nadskakujących im dżentelmenów — stanowiły siłę, z którą należało się liczyć. Ich obowiązki nie sprowadzały się wyłącznie do przynoszenia kwiatów i ciast; wykraczały też dużo dalej poza główne zadanie Komitetu — w jakże cenną, zwłaszcza teraz, zbiórkę pieniędzy. Komitet Pań zajmował się porzuconymi na schodach szpitala dziećmi, noworodkami osieroconymi przez zmarłe przy porodzie matki — to właśnie dzielne członkinie tej organizacji troszczyły się o znalezienie maluchom dobrych domów i załatwienie adopcji. To one biegały po mieście, wynajdowały najbardziej dramatyczne przypadki ludzkich nieszczęść i składały o nich meldunek Samancie, która z kolei natychmiast wysyłała tam jedną z pielęgniarek. To one siadały przy szpitalnych łóżkach i czytały znudzonym, słuchały strapionych, pocieszały załęknionych, doradzały skłopotanym, a umierających trzymały za rękę. Szpital Miejski dla Kobiet i Dzieci szybko zdobył sobie opinię placówki, któ-

ra jest czymś daleko więcej niż zwykłym szpitalem — stał się ośrodkiem kobiecego współczucia i pocieszenia, w którym kobiety pomagają kobietom w najtrudniejszych momentach życia. Komitet Pań Hilary Gant miał w tym olbrzymi udział.

Hm, po Nowym Roku będą miały mniej pracy, pomyślała stając przy jednym z łóżek, by sprawdzić opatrunek.

Fundusze topniały tak bardzo, że już teraz musiała kupować węgiel i drewno na kredyt. Pod koniec miesiąca trzeba będzie zrezygnować z dostaw od rzeźnika. Hilary jak zwykle wymyśliła kilka zbawiennych rozwiązań, ale ponieważ termin jej porodu przypadał za tydzień, nie mogła aktywnie uczestniczyć w pracach Komitetu. Obiecała jednak, że jak tylko dojdzie do siebie, zwoła zebranie i zorganizuje wspólnie z resztą pań jakieś dobroczynne wenty i imprezy. Jedną z nich nazwała „Jarmark miesiący”. Każda z wystawionych na kiermaszu budek miała przedstawiać inny miesiąc, tak że chodząc od jednej do drugiej można się będzie zaopatrzyć w walentynki, prezenty dla czerwcowych pań młodych, w ręcznie robione upominki z jesiennych darów natury i tak dalej, i dalej. Drugim pomysłem, jaki jej przyszedł do głowy, był rowerowy maraton pań, który chciała zorganizować w Golden Gate Park.

Samancie bardzo brakowało Hilary. Z powodu bliskiego terminu rozwiązania zarzuciły chwilowo cotygodniowe wypadki na obiad w mieście; Hilary nie mogła już też strzelać z łuku, a Samanta liczyć na to, że przy okazji odwiedzin w szpitalu przyjaciółka wpadnie do niej prywatnie do gabinetu na filiżankę herbaty. Samancie udawało się co prawda od czasu do czasu wyrwać ze szpitala i podjechać na California Street, ale rozmowy z Hilary dotyczyły wówczas przede wszystkim spraw związanych ze szpitalem i ze zbiórką funduszy.

Przy następnym łóżku Samanta uśmiechnęła się i zamieniła z pacjentką kilka słów — była to bystra młoda kobieta, która siedziała w pościeli i sączyła likier. Dwa tygodnie temu przywieziono ją nieprzytomną z gorączką i z pękniętym wyrostkiem. Samanta i Willella stanęły do operacji i teraz dziewczyna była jak nowo narodzona. Samanta obejrzała ładnie zagojoną różową bliznę i przypomniała sobie dawne przypad-

ki ataku wyrostka; sięgnęła pamięcią aż do czasów Isaiaha Hawksbilla — wszyscy pacjenci ze stanem zapalnym wyrostka zawsze umierali. Teraz, choć operacja wciąż była ryzykowna, pacjent miał przed sobą przynajmniej jakąś szansę.

Kiedy po przeciwnej stronie oddziału drzwi się otworzyły i do sali weszła pielęgniarka z naręczem czystej bielizny, Samanta poczuła delikatny aromat pieczonej gęsi. Dla tych chorych, którym zdrowie na to pozwalało, w kuchni przygotowywano właśnie świąteczną kolację — pieczoną gęsą, słodkie ziemniaki, sos podrobowy, mięsną zapiekankę i herbatę z cytryną. Zapachy z kuchni wywołały w niej myśli o jedzeniu i czuła, że odżywa się w niej głód. Dawno minęło południe, a ona nie jadła ani śniadania, ani lekkiego obiadu — nie miała na to czasu. Ale dzisiaj wieczorem wszystko to nadrobi — wybierała się z Warrenem Dunwichem do Coppa.

Te nieliczne wolne wieczory, których nie spędzała z Jenny, dzieliła między Stantona Weatherby'ego i Warrena Dunwicha. Obydwaj panowie wytrwale się o nią starali. Hilary z początku wiązała z tym duże nadzieje i delikatnie namawiała Samantę do małżeństwa, ale zrezygnowała w końcu. Już dawno obie nauczyły się rozmawiać szczerze i wyznawać sobie rzeczy, o których nigdy dotąd nikomu nie mówiły. Dlatego kiedy pewnego dnia Hilary zapytała, jakiego rodzaju stosunki łączą Samantę z obydwojma dżentelmenami, usłyszała szczerą odpowiedź: „Są mili, ale w naszych związkach po prostu brakuje iskry”.

I choć nie było tej iskry, z niecierpliwością czekała na wieczór. Warren Dunwich był doskonałym kompanem, miłą odmianą po szaleńczym tempie, z jakim dzień w dzień pracowała w szpitalu — dworny, w najwyższym stopniu rycerski, stawał na głowie, żeby jej sprawić przyjemność. Kiedy pewnego razu wyraziła ochotę zajrzenia do Monkey Bloc, zgodził się bez wahania.

Monkey Bloc była w San Francisco dzielnicą bohemy, gdzie spotykali się artyści i pisarze. Była to okolica barwnych postaci oraz francuskich i baskijskich restauracji. Odwiedzanie tego zakątka stało się modne w wyższych sferach, więc często po spektaklu w operze panowie i panie kończyli wie-

czór właśnie w Monkey Bloc. Warren w jedwabnym cylindrze na głowie i podbijanej czerwonym atłasem czarnej pelerynie zabierał Samantę do Coppa. Tam w zatłoczonym i zadymionym wnętrzu siedzieli nad osławionym daniem, kurczakiem Portola — było to luzowane kurczę serwowane z podsmażanym boczkiem, papryczkami, cebulą, kukurydzą, pomidorami oraz wiórkami kokosowymi, zalewane tajemniczym sosem i przez godzinę duszone w skorupie kokosa. Do tego brali butelkę Cios Vougeot za ogromną kwotę czterech dolarów.

I rozmawiali. Warren pytał o szpital i słuchał jej relacji z niekłamana uwagą; opowiadał jej o swoich tartakach w Seattle i rozpieszczał ją zalotami w europejskim stylu. Aż w końcu Samanta w pewnej chwili spostrzegła, że zrobiło się późno, przypominała sobie o Jenny, którą zostawiła pod opieką gosposi, o obowiązkach w szpitalu już od samego rana i prosiła Warrena, żeby ją odwiózł do domu. I tak to wyglądało. A Warren Dunwich, mężczyzna o patrycjuszowskiej urodzie — rozsiewający wokół atmosferę starej szlacheckości — nie wzbudzał w niej najmniejszej nawet iskry...

Stanton Weatherby był za to klasycznym przykładem człowieka San Francisco. Jego bystre uwagi i cięte dowcipy zawsze ją pobudzały do śmiechu. Zabierał Samantę w rozmaite niebanalne miejsca — na przykład do wesołego miasteczka Woodwarda albo na kolację do Poodle Dog. Wiecznie dowcipkował, układał gry słowne i cytował zabawne powiedzonka („Wędką to taki kij, gdzie na jednym końcu wisi haczyk, a na drugim głupek”). I tak jak Warrenowi, jemu też bardzo zależało na tym, żeby jej sprawić przyjemność. Ale i w tym związku nie czuła żadnej iskry.

Lubiła obu mężczyzn, lecz gdy traciła ich z oczu, natychmiast o nich zapominała, kiedy zaś była z nimi, nie mogła się powstrzymać, żeby nie myśleć o Marku.

Marek Rawlins był i miał na zawsze pozostać jej jedyną miłością. Codziennie od rana do wieczora setki drobiazgów wciąż go przywoływały. Do gabinetu wchodził pacjent, a już po chwili myślała: Marek przepisałby mu... Kiedy w sali operacyjnej brała do ręki narzędzie, przypominała sobie, że to on nauczył ją je trzymać w taki właśnie sposób. Na widok wcho-

dzącego do szpitala lekarza, którego zatrudniała na godziny, nachodziła ją refleksja, że i Marek nosił taki płaszcz, tylko jemu było w nim bardziej do twarzy... A wieczorami, kiedy kładła głowę na poduszce, ostatnie myśli przed snem poświęcała Markowi. Wskrzeszała jego obraz, ożywiała go, wyobrażała sobie, że znów się kochają; wspominała jego czułe pocałunki. Czasem te wspomnienia podnosiły ją na duchu — radowała ją myśl, że przeżyła z nim tyle szczęśliwych chwil — czasem znów wręcz odwrotnie, zaczynała płakać ogarnięta smutkiem, że to co minęło, nigdy już nie wróci.

— Doktor Hargrave?

Naciągnęła koc na pacjentkę i uniosła głowę.

Dziś w izbie przyjęć dyżurowała siostra Hampton, która teraz stała w nogach łóżka.

— Mamy nową pacjentkę, pani doktor. Chce się widzieć z panią.

— Dziękuję. Już idę — obiecała, a do chorej zwróciła się ze słowami: — Jutro już będziesz jadła świąteczny obiad z rodziną, Marto. — Uścisnęła rękę dziewczyny i odeszła od łóżka.

Po drodze do drzwi jak zwykle przeprowadzała inspekcję i na bieżąco wydawała polecenia.

— Proszę przykryć namiotem nogi pani Mayer. Pamiętajcie, że cierpi na dnę. Pani Faber nie dosięga do pasa dzwonka. Chora w łóżku szóstym ma kłopoty z oddechem. Proszę podłożyć jej dodatkową poduszkę.

Tyle trzeba było wciąż zrobić, o tylu sprawach myśleć, tylu rzeczy dopilnować. Kiedy otwierała szpital, nie miała pojęcia, jak wiele będzie miała nowych obowiązków; wyobrażała sobie, że będzie się zajmować wyłącznie pacjentami. Ale być dyrektorką szpitala znaczyło więcej, niż tylko stawiać diagnozy i leczyć. Charity Ziegler przychodziła do niej skarżyć się na pielęgniarki; pani Polański narzekała na swoją pomoc w pralni; pan Buchanan, stróż, znowu się upił, a w piwnicy zaległy się myszy.

Zanim weszła do gabinetu, zerknęła na wiszący na dewizce zegarek. Robiło się już późno, a chciała jeszcze spędzić trochę czasu z Jenny, zanim przyjedzie Warren.

Poprzedniego wieczoru Samanta pokazała Jenny, jak się ubiera choinkę. Dziewczynka doskonale naśladowała jej gesty, wiazała na gałęziach wstążeczki, wieszła łańcuchy z kukurydzy, i uważnie śledząc każdy ruch Samanty wielkimi oczami, wszystko robiła bezbłędnie. Ale jak zwykle nie okazała tą czynnością żadnego zainteresowania ani ciekawości, a kiedy drzewko było już przybrane i świeceki zapalone, patrzyła na nie obojętnym wzrokiem.

Samanta kilka miesięcy temu zrezygnowała z pomysłu wysłania Jenny do szkoły dla głuchoniemych w Berkeley. Doszła do wniosku, że chce mieć Jenny przy sobie i znaleźć wreszcie sposób na dotarcie do tego niezwyklego dziecka. Ale jak słusznie zauważyli Dariusz i Hilary, nie miała na to czasu. Nauczenie Jenny kontaktowania się z otoczeniem było zadaniem ambitnym i pełnoetatową pracą. A zatem poszła na kompromis. Po Nowym Roku miał z nimi zamieszkać pewien nauczyciel, niejaki pan Adam Wolff, rekomendowany przez szkołę jako doskonały specjalista od nauczania głuchoniemych dzieci. Choć pan Wolff mówił, był głuchy.

Decyzja o przyjęciu do domu nauczyciela na stałe zmuszała ją do zrobienia kolejnego kroku. Przejęta myślą o stworzeniu Jenny jak najlepszych warunków, doszła do wniosku, że od czasu kiedy pacjenci zaczęli ją odwiedzać wyłącznie w szpitalu, mogłaby znaleźć dom w innej części miasta. W końcu Kearny Street była niebezpieczna, bo panował na niej zawsze duży ruch, a i otoczenie też nie było najzdrowsze. Poza tym dom stawał się za mały, żeby pomieścić ją, dziecko, gosposię na stałe i jeszcze pana Wolffa. Dariusz polecał jej Pacific Heights, cichą dzielnicę z nie za wielkimi, a jednak wygodnymi domami, z których każdy miał własny ogródek. Taki mały ogródek na tyłach domu przydałby się Jenny, a Samanta z chęcią urządziłaby sobie osobny kąt do pracy. Może po świętach poprosi Dariusza, żeby się za czymś rozejrzał.

Pchnęła drzwi pokoju badań.

— Dzień dobry, jestem doktor Hargrave.

Młoda dziewczyna, najwyżej siedemnastoletnia, zerwała się z krzesła. Zanim Samanta doszła do miski z wodą, żeby

umyc ręce, zdążyła szybkim spojrzeniem ogarnąć dziewczęcą postać. Dziewczyna nerwowo skubała brzeg szala, miała bardzo bladą cerę i zachowywała się niepewnie i sztywno.

— Mamy dziś Wigilię — zauważyła z uśmiechem Samanta, wycierając ręce. — Przychodzi mi do głowy wiele rozmaitych miejsc, w których wolałabym się teraz znaleźć bardziej niż w szpitalu. A pani?

— Tak, pani doktor..

Wskazała dziewczynie krzesło, a potem usiadła naprzeciwko.

— Słucham panią.

Dziewczyna spiesznie wyjaśniła, że od dwóch miesięcy przestała miesiączkować, a rano męczą ją mdłości. Samanta słuchając pacjentki znów zwróciła uwagę na jej kanciaste ruchy i proste ubranie, które wskazywały na to, że ma przed sobą młodą robotnicę. Coś się jej nie zgadzało. Młode robotnice rzadko chodzą do lekarza, żeby potwierdzić ciążę. Podstawowych spraw związanych z rozrodczością uczą się już u zarania życia i często mieszkają z liczną rodziną, gdzie radą służy im matka albo ciotka. Niemniej zbadała pacjentkę.

— Moje gratulacje, pani Montgomery, jest pani w ciąży.

Reakcja dziewczyny wcale jej nie zdziwiła.

— Jestem panna Montgomery i nie przyszłam tu po gratulacje. Wiedziałam, że jestem w ciąży.

— Więc po co pani przyszła?

Panna Montgomery unikała wzroku Samanty.

— Nie chcę.

— Dziecka?

— To była omyłka. Widzi pani, wypłam trochę dżinu, a ten chłopak chciał mnie odprowadzić do domu. Nie jestem łatwa, pani doktor, ale zrobił to, zanim się połapałam, i zniknął. Więcej go już nie zobaczę. To omyłka, sama pani widzi.

— I czego pani ode mnie oczekuje? — Już wiedziała, te prośby nie należały do rzadkości, ale chciała usłyszeć wszystko z ust dziewczyny.

Panna Montgomery wbiła wzrok w podłogę.

— Chcę, żeby pani usunęła dziecko.

— Dlaczego nie chce go pani urodzić?

Dziewczyna podniosła głowę; w jej oczach malował się strach.

— Nie mogę siedzieć w domu i opiekować się dzieckiem. Zarabiam na tatusia i małych braci. Żywię całą rodzinę i jeśli przestanę zarabiać, oni umrą z głodu.

— Gdzie pani pracuje?

— W pralni na Mission Street, w Union Laundry. Mogłabym tam robić, jak długo brzuch mi nie urośnie, ale potem pan Barnes wyrzuci mnie na bruk... — W jej oczach błysnęły łzy — ...a tatuś i bracia nie będą mieli co jeść i wszyscy będziemy głodować. Pani doktor, żałuję tego, co zrobiłam, ale nie mogę urodzić.

Samanta skinęła głową i głęboko się zamyśliła.

— Panno Montgomery, wydaje mi się, że niebiosa panią wysłuchały i że znalazłam rozwiązanie.

— Jakie?

— Znam pewną damę, bardzo dobrą istotę, która pomimo wielu lat starań nie może mieć dzieci. Niedawno wspólnie z mężem postanowili adoptować dziecko, ale widzi pani, panno Montgomery, jest pewien szkopuł. Ta pani chciałaby, żeby jej dziecko było jak najbardziej podobne do niej, a jedyne sieroty, którymi się teraz zajmujemy, to dzieci pochodzenia orientalnego i meksykańskiego. Kiedy tak jednak patrzę teraz na panią i widzę, że ma pani ten sam kolor włosów i oczu, co owa bezdzietna dama, uważam, że naprawdę opatrzność nad panią czuwa.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

— Nie chodziło mi o to, żeby pozbyć się dziecka, jak już przyjdzie na świat, tylko teraz, zanim się urodzi.

— Zrozumiałam panią właściwie, panno Montgomery, ale właśnie przyszło mi do głowy, że to bezdzietne małżeństwo bardzo by się cieszyło, gdyby mogło zaadoptować pani maleństwo. To dobrzy ludzie, zapewniam panią, i mają wygodny dom. A pani dziecko rośłoby...

Dziewczyna błagalnie pochyliła się w przód.

— Nie mogę urodzić! Jak miałabym chodzić do pralni z takim wzdętym bębniem?



— No tak. Rzeczywiście niemożliwe — przyznała Samanta. — Ale wie pani co? Tak się akurat składa, że bardzo mi potrzebna jeszcze jedna praczka w szpitalu. Właśnie dziś rano pani Polański prosiła mnie o najęcie kogoś do pomocy. A może by pani rzuciła tę pracę w Union Laundry i przeszła do nas? Mogłaby pani zostać aż do rozwiązania, a ja dopilnowałabym, żeby dostawała pani tylko lekką robotę. Później zostałaby pani u nas, gdyby pani chciała. Nie wyrzucimy pani. Co pani na to?

Panna Montgomery otarła łzy.

— Sama nie wiem...

— Zapłacimy pani tyle samo, ile pani dostaje w Union. — Samanta myślała szybko. Będzie musiała zmniejszyć jakieś wydatki, żeby wykroić dodatkową pensję. I będzie musiała wyjaśnić pani Polański, skąd wzięła się ta nowa pomocnica.

— Pani to wszystko mówi naprawdę, pani doktor?

— Naturalnie! I może pani od razu zaczynać.

Twarz dziewczyny wyraźnie się rozpogodziła. Panna Montgomery rozprostowała ramiona, jakby ktoś zdjął z nich wielki ciężar.

— Dobrze, pani doktor! I tak wolałabym pracować u pani. Samanta wstała i stanęła przy drzwiach.

— Niech się pani zgłosi do nas po świętach. Pani Polański wprowadzi panią w obowiązki.

— Dziękuję, pani doktor!

— Panno Montgomery, jeszcze jedno! Nie musi pani oddawać nam dziecka. Jeśli potem dojdzie pani do wniosku, że chciałaby je pani...

— Nie, nie, pani doktor! Wolałabym, żeby zajęła się nim jakaś dobra dama. Dziękuję i niech Bóg panią błogosławi!

Po drodze do swojego gabinetu Samanta wyjęła z kieszeni fartucha notes i ołówek i zapisała: „Znaleźć kogoś, kto adoptuje dziecko panny Montgomery”.

— Pani doktor! Doktor Hargrave!

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Korytarzem biegła siostra Hampton; jedną ręką unosiła spódnicę, drugą gwałtownie machała.

— Pani doktor, poród! Przed szpitalem! Nie możemy wyjąć pacjentki z dorożki!

Samanta rzuciła się do wyjścia.

Dorożka parkowała przy krawężniku przed budynkiem szpitala — konie niespokojnie szarpały uprząż, woźnica stał przy otwartych drzwiach pojazdu i w nieprawdopodobnym tempie wyrzucał z siebie jakieś włoskie słowa. Samanta przechnęła się obok.

— Pani doktor, niech ją pani stąd zaraz zabiera, bo zniszczy mi tapicerkę!

Nie zwróciła na niego uwagi, weszła do wnętrza budy i uklękła przy kobiecie, która leżała na siedzeniu i ścisnęła wielki brzuch.

— Jestem doktor Hargrave — powiedziała Samanta. — Pomogę pani wejść do szpitala.

Kobieta skrzywiła twarz z bólu i zacisnęła zęby tak mocno, że aż jej żyły nabrzmiały na skroniach.

— Nie dam... rady!... — wysapała. — Już idzie!... Boże!

— Zaniesiemy panią.

— Nie! — krzyknęła kobieta i przewróciła się na bok.

Samanta spojrzała za siebie.

— Siostró, proszę mi przynieść słuchawkę, koc, ręczniki i narzędzia położnicze. I latarnię!

— Hej! Nie wolno jej rodzić w dorożce! — zaprotestował woźnica.

— Proszę zamknąć drzwi! W takiej chwili mężczyźni trzymają się z dala!

Samanta szybko zmierzyła kobiecie puls i uniosła w górę jej ciężką aksamitną spódnice.

— Teraz sprawdzę dziecko. To nie będzie bolało.

Rodząca zbyt mocno cierpiała, żeby zwrócić uwagę na badanie — miała skurcze co dwie minuty i przy każdym krzyczała. Samanta wymacała maleńką główkę — była jeszcze wysoko, a szyjka macicy w pełni się już rozwarła. Kiedy otworzyły się drzwi dorożki i pielęgniarka podała stetoskop, Samanta przyłożyła go do brzucha kobiety i słuchała bicia serca płodu. Na ulicy siostra Hampton i policjant rozpędzali zbierający się

tłum. Samanta słuchała uważnie. Spojrzała na zegarek — tylko sto uderzeń na minutę.

Z dzieckiem działo się coś niedobrego.

Szybko otworzyła kasetkę z narzędziami.

— Niech pani mnie wysłucha. Przebiję teraz pęcherz płodowy. Pani tego nawet nie poczuje, tylko proszę przez chwilę się nie ruszać...

Uważnie, w mdłym świetle latarni, wprowadziła szczypce i nożyczki do pochwy rodzącej, przecięła błonę pęcherza i oglądała uwolnione wody.

Potwierdziły się jej najgorsze obawy. Zazwyczaj przezroczysty płyn miał zielonobrunatne zabarwienie, co oznaczało, że zawiera smółkę — wydzielinę płodu, której obecność w wodach wskazywała na to, że dziecko jest w złym stanie.

Samanta jeszcze raz zmierzyła dziecku tętno.

Spadło do dziewięćdziesięciu.

Musiała podjąć natychmiastową decyzję. Mogła albo poczekać i przenieść rodzącą na salę operacyjną, żeby zrobić cesarskie, albo odbierać poród w dorożce.

Decyzja zapadła — nie było już czasu na transport do sali.

W kasetce z narzędziami znalazła francuskie kleszcze położnicze. Unikała ich na co dzień, ale w chwilach dużego zagrożenia oddawały czasem nieocenione usługi.

Główka się już ukazała, ale dziecko nie wysuwało się dalej. Matka krzyczała przy każdym skurczu.

Samanta nie wiedziała, czy kobieta ją słyszy.

— Zaraz będę wyciągać pani dziecko. Kiedy poczuje pani szarpnięcie, proszę przeć z całej siły.

— Chcę odpocząć! — krzyknęła kobieta. — Boże, niech się ten ból wreszcie skończy! Uśpijcie mnie!

— Nie mogę. Pani musi teraz współpracować. Proszę zdobyć się na wysiłek.

Samanta delikatnie wsunęła łopaty kleszczy do kanału rodniego, zamknęła oczy i palcami drugiej ręki wymacała główkę i buzię dziecka. Kleszcze należało założyć tak, żeby nie uszkodzić czaszki — tuż pod uszami, na guzach policzkowych. Po chwili była gotowa.

— No dobrze, teraz go wyciągamy. Niech mi pani pomaga. Przecież!

Samanta pociągnęła raz i odczekała, potem drugi raz i znów zrobiła przerwę — naśladowała naturalny mechanizm porodu, a kiedy główka do połowy wysunęła się na zewnątrz, zdjęła kleszcze i delikatnie, oburącz, ujęła miękką czaszkę.

— O, Jezu! Dosyć! — jęczała rodzająca. — Dosyć!

— Niech pani prze! Już prawie po wszystkim. Jeszcze raz!

Samanta obróciła główkę i wysunęła ramionko. To był najtrudniejszy moment dla matki, najbardziej urazowy. Żeby zapobiec rozdarciu krocza, rozszerzyła je palcami, podłożyła dłoń pod dziecko i wysunęła z matki jego drugie ramionko. Reszta małego ciała błyskawicznie wyskoczyła na zewnątrz.

Normalnie od razu przecięłaby pępowinę; dziecko zawinięte w koc zostałoby zaniezione z matką do szpitala, by tam, w bezpieczniejszych i bardziej higienicznych warunkach, matka urodziła łożysko. Ale teraz nie było na to czasu.

Samanta chwyciła noworodka za nóżki i uderzyła malucha w pięty. Nie było żadnej reakcji. Uszczypnęła dziecko w pośladki. Uderzyła je w pupę otwartą dłonią.

Nie tracąc ani chwili, oczyściła zatkany wydzieliną nos i usta noworodka gumową gruszką. Dziecko było białe i zimne. Ale małe serduszko, choć słabo, nadal biło.

Na szczęście matka zemdląca. Nie widziała, jak doktor Hargrave przytyka usta do usteczek dziecka i wdmuchuje powietrze w jego płuca. Nie widziała poblądłej twarzy lekarki, która za wszelką cenę usiłowała tchnąć życie w umierające dziecko. Nie zobaczyła też łez w oczach pani doktor.

Żyj! — Samanta błagała dziecko w myślach. Proszę cię, żyj!

Wdmuchnęła weń powietrze; patrzyła, jak mała klatka piersiowa unosi się i opada. Jeszcze raz nachyliła się nad dzieckiem licząc na to, że w pewnej chwili samo zacznie oddychać.

Ale kiedy ciało ziębło coraz bardziej i tętno zanikło, wiedziała, że jej wysiłki są na nic. Przytuliła dziecko do piersi, zwiesiła głowę i cicho zapłakała.

Powóz był dla niej nazbyt elegancki, ale Samanta nie mogła go nie przyjąć. Pani Bethenia Taylor, żona magnata kolejowego, przez długie lata cierpiała na przepuklinę udową i wyleczyła ją z niej dopiero Samanta za pomocą techniki, której się nauczyła od Landona Fremonta. Z wdzięczności pani Taylor ofiarowała jej elegancką karetę jednokonną wyposażoną w sześciennie latarnie naftowe ze srebra i skośnie ciętego szkła oraz w gumy, które sprawiały, że jazda kareta była wprost komfortowa.

W pierwszej chwili Samanta miała ochotę sprzedać powóz, ale Hilary nie chciała o tym nawet słyszeć — uważała, że lekarzowi powóz jest niezbędny i nie wypada, żeby Samanta na domowe wizyty jeździła zwykłym tramwajem. A mimo to Samanta wciąż czuła się skrępowana, kiedy wsiadała do eleganckiej karety, i z ulgą witała moment, kiedy ekwipaż znikał po drugiej stronie ulicy w wynajętej wozowni.

Zmęczona wchodziła po schodach. Nie miała już żadnej ochoty dokądkolwiek iść dzisiaj z Warrenem. Chciała tylko zostać sama z Jenny, ze swoją córką, swoim dzieckiem...

Przez trzy lata — od chwili gdy przygarnęła dziewczynkę — wciąż nie traciła nadziei, że pewnego dnia Jenny wybiegnie jej na spotkanie i obejmie za szyję. Ale kiedy jak zwykle zatrzymała się w progu, nasłuchując tupotu dziecięcych nóg, usłyszała jedynie pianino za ścianą, panią Seagram wyśpiewującą kolędy i ożywiony świąteczny ruch na ulicy.

Westchnęła i zamknęła za sobą wejściowe drzwi.

Pani Peoples, gosposia na stałe, wyszła do korytarza i wytarła ręce o fartuch.

— Doktor Hargrave, nie jest pani chora? Jakoś blade dziś pani wygląda.

— Jestem bardzo zmęczona, pani Peoples. Miałyśmy okropny dzień w szpitalu.

Pani Peoples nauczyła się już rozpoznawać nastroje swojej pani. Dostrzegła teraz jej wielkie znużenie, niezwykłą bladłość cery i głęboki smutek. Znowu ktoś umarł, pomyślała.

— Przepraszam, pani doktor, ale pan Dunwich już przyjechał — powiedziała cicho, odbierając od Samanty płaszcz i torebkę.

— Co takiego? Przecież to o wiele za wcześnie!

Gospodyni bezradnie rozłożyła ramiona.

— No dobrze, pani Peoples. Niech mu pani zaproponuje kieliszek brandy i przekaże, że za kilka minut zejdę.

Ruszyła w górę po schodach, zastanawiając się, co skłoniło Dunwicha do tak nieoczekiwane wczesnego przyjazdu. To zupełnie do niego nie pasowało! Zirytował ją. Tak bardzo chciała chwilę odpocząć i pomyśleć.

Dlaczego? Dlaczego dziecko umarło? Taki ogromny postęp dokonał się w medycynie, a wciąż umierało tyle noworodków!

Co za niesprawiedliwość!

Ale śmierć bezimiennego malca nie była jedyną przyczyną ponurego nastroju Samanty. Jej myśli zaprzętały także inne sprawy, w tym też przypadek pani Cruikshank.

Po śmierci noworodka odsiedziała chwilę u siebie w gabinecie i w końcu wybrała się na oddział, żeby porozmawiać z panią Cruikshank.

Wyjaśniła jej, dlaczego nie doszło do operacji.

— Nie możemy ryzykować. Eter pani nie uspił...

Zadała jej kilka pytań, na które w historii choroby nie znalazła odpowiedzi, ale nie dowiedziała się niczego nowego. Nie, pani Cruikshank nie paliła, nie piła alkoholu, nawet małego kieliszka wina z okazji wielkiego święta i nikt w jej rodzinie nie cierpiał na zaburzenia układu oddechowego. Samanta zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć, kiedy pani Cruikshank w pewnej chwili rzekła:

— Całe życie byłam zdrowa jak koń, pani doktor. Dopiero teraz zrobiła mi się ta cysta. A... i jeszcze cierpiałam na anemię.

— Na anemię?

— To było dawno temu. Ale anemia została wyleczona, dlatego nie wspominałam o niej. Mam teraz pierwszorzędną krew.

— Jak pani wyleczyła anemię, pani Cruikshank?

— Lekarz zalecił mi jakiś środek na wzmocnienie krwi. Poszłam więc do apteki i aptekarz dał mi „Tonik Johnstona”. I pani wie, że jak tylko zaczęłam go używać, od razu poczułam się lepiej?

— Kiedy to było?

— Siedemnaście, może osiemnaście lat temu.

Samanta potrząsnęła głową. Nie widziała żadnego związku.

— Oczywiście, jak przeczytałam na etykiecie ostrzeżenie, że przerwanie kuracji spowoduje nawrót anemii, dalej piję ten tonik.

— Bierze pani „Tonik” już osiemnaście lat?

— Regularnie jak w zegarku. — Kobieta sięgnęła do małej szafki między łózkami i wyciągnęła z niej butelkę. — Nigdzie się bez niej nie ruszam. Zawsze ją noszę przy sobie.

Samanta wzięła butelkę i przeczytała etykietę. Doktor Johnston obiecywał tam wszystko, od poprawy owłosienia na głowie do likwidacji impotencji, ale głównym zadaniem toniku było „zagęszczenie i reperacja krwi”. Nigdzie ani słowem nie wspomniał natomiast o składzie swojego cudownego środka.

— Ile pani tego bierze, pani Cmikshank?

— Ha, osiemnaście lat temu wystarczała mi łyżka rano i łyżka wieczorem, ale już niedługo poczułam, że muszę zwiększyć dawkę. Myślę, że organizm uodparnia się na leki, pani doktor. Teraz muszę już pić po szklance rano, w południe, przy kolacji i przed pójściem spać.

— Ależ pani Cmikshank, toż to cała butelka!

— Tak, teraz muszę pić już prawie całą butelkę. Ale to świetne lekarstwo! Dzięki niemu jestem w pierwszorzędnej formie. Jak czasem sobie zapomnę o uzupełnieniu zapasów, od razu czuję, jaką mam cienką krew. Robię się słaba, dygotczę i jestem całkiem nie w sosie.

Samanta odkorkowała butelkę i powąchała jej zawartość. Zapach alkoholu był tak silny, jakby wąchała whiskey. I tu znalazła wyjaśnienie oporności pacjentki na eter. Poza paleniem tytoniu jeszcze jedna rzecz uniemożliwiała anestezję

— alkoholizm. Pani Cruikshank, nic o tym nie wiedząc, była alkoholiczką!

Kiedy teraz Samanta usiadła przed toaletką i energicznie zabrała się za szczotkowanie włosów, poczuła, jak ogarnia ją bezsilny gniew. Z jednej strony szpital stanowił dla niej źródło wielkiej satysfakcji, z drugiej natomiast przyprawiał ją o frustrację. Cóż z tego, że stworzyła najlepszą placówkę w mieście i zatrudniła najbardziej wykwalifikowany personel, kiedy główne źródło nieszczęścia nadal w najlepsze istniało — ludzka niewiedza! Zdała sobie sprawę, że zapewnienie kobietom i dzieciom opieki medycznej po wystąpieniu choroby jest działaniem niewystarczającym. Należy oświecać kobiety, zanim dojdzie do wszelkich katastrof na skutek wypadków, nałogów i braku higieny.

Nie było to łatwe zadanie. Trzeba by pokonać nie tylko niewiedzę prostych ludzi, ale i uprzedzenia wykształconych sfer. Raptem tydzień temu czytała w „Chronicie” artykuł redakcyjny, w którym krytykowano zaprowadzoną przez nią w szpitalu praktykę podawania noworodkom sterylizowanego mleka. „Wszystkie skarby zawarte w mleku zostają wygotowane — czytała. — Równie dobrze można w tej sytuacji karmić dzieci wodą.” Pasterowska metoda oczyszczania wina i mleka z trudem się przyjmowała w Ameryce. Samanta czuła, że dopóki ponad wszelką wątpliwość nie zostanie udowodniona teoria o zarazkach, pasteryzacja będzie tu wciąż uważana za rodzaj szarlatanerii.

Jak daleko rozciąga się odpowiedzialność lekarza, a gdzie są jej granice? Setki przypadków, z jakimi spotkała się w szpitalu, uświadomiły jej, że wiele z nich wykracza poza zwykłe zalecenia lekarskie — wymaga również osądu moralnego i społecznego. Do jakiego stopnia ona, lekarka, może w te sprawy ingerować?

Zaczęło się od bardzo intymnych problemów. Kobiety zwracały się do niej z pytaniami, co robić, żeby pożycie małżeńskie uczynić znośniejszym i nie odtrącać męża. Przychodziły również pacjentki, które nie mogły już lub nie chciały zająć w kolejną ciążę — te zamykały sypialnie na klucz przed mężami — i pytały o środki antykoncepcyjne.



Wreszcie leczyła też i prostytutki, kobiety, do których zwracali się odepchnięci mężowie. Te przypadki wykraczały poza porady lekarskie, a stawały się problemami natury społecznej. Niestety, mimo że widziała przyczynę tego stanu rzeczy, nie umiała jej jednak zaradzić. Najistotniejsze zagadnienie, z jakim stykała się wśród pacjentek, stanowiła sprawa antykoncepcji. Jeśli można by dokonać tej sztuki, żeby kobiety poddawały się zalotom mężów bez strachu przed kolejną ciążą, z pewnością stałyby się im bardziej powolne, bardziej kochające i łatwiej by im było przytrzymać mężczyzn w domu. Samanta nie znajdowałaby na schodkach przed szpitalem tylu porzuconych niemowląt, nie dochodziłoby do tylu prób samodzielnego usunięcia ciąży, mniej kobiet umierałoby w trzydziestym roku życia przy dwunastej ciąży i niewykluczone, że San Francisco stałoby się w ogóle bezpieczniejszym miastem. Ale prawo jasno określało te sprawy — rozprowadzanie środków antykoncepcyjnych kwalifikowane było jako przestępstwo.

Samanta z przerażeniem odkryła, jak niewiele kobiet wie o mechanizmach rządzących ich ciałem i o elementarnych zasadach dbania o zdrowie. Na przykład taka alkoholiczka, pani Cruikshank, która wypija ponad pół litra whiskey dziennie! Czy choćby kobiety, które myją naczynia w wodzie trzymanej w balii od sobotniej kąpieli całej licznej rodziny! Albo te, które święcie wierzą, że ich najbezpieczniejsze dni przypadają na środek cyklu, bądź te, które żyją w głębokim przekonaniu, że bransoletka z goździków bądź natychmiastowe oddanie moczu po stosunku zapobiegnie ciąży. Myślała o damach z wyższych sfer, które tak mocno sznurowały gorsety, że aż deformowały sobie żebra, i o matkach robotnicach, które uspokajały płaczące niemowlęta „Kojącym syropem Winslowa”, nie mając pojęcia, że jednym z jego składników jest morfina. Codziennie stykała się z przypadkami chorób, którym można było zapobiec przy odrobinie wiedzy i minimalnej ostrożności.

Spostrzegła nagle, że zapomniała już o szczotkowaniu włosów i tylko patrzy na swoje odbicie w lustrze. Pani Peoples ma rację, nie wygląda najlepiej...

Z każdą śmiercią kobiety czy dziecka ubywa mnie po kawałku, myślała.

Poczuła piekące łzy. Tylu ludziom nie była w stanie pomóc, aż tylu ludziom... Tak dużo dzieci rodziło się z wadami serca czy płuc, tyle niewidomych i kalek; wiele z tych przypadków spowodowały matki niewłaściwym zachowaniem w ciąży, nie zdając sobie sprawy z jego konsekwencji. Co za niesprawiedliwość! Tyle małych bladych ciałek przychodziło na świat bez szans na przeżycie. Szpital Miejski miał niższą umieralność noworodków niż notowana średnia krajowa, ale i tak za wysoką. Zbyt wiele dzieci umierało na sali porodowej, a potem zbyt wiele niemowląt ginęło w wyniku chorób, które podstępnie szerzyły się w mieście.

Samanta wsparła głowę na rękach.

Ciche stukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała na zegarek. Czas minął tak szybko! Do domu wróciła już godzinę temu! Dunwich!

Gospodyni otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

— A, tu pani siedzi, pani doktor! Myślałam, że może pani przysnęła.

— Przepraszam, pani Peoples. Straciłam poczucie czasu. Mam nadzieję, że pan Dunwich nie jest zdenerwowany.

— Siedzi sobie spokojnie w salonie i popija brandy. Wyjaśniłam mu, że pani się musi przebrać i w ogóle. Jest bardzo wyrozumiały.

— Tak, bardzo. Pośpieszę się.

— Chciałam zapytać panią o Jenny. — Gospodyni weszła do sypialni i wprowadziła ze sobą dziewczynkę. — Mam jej teraz dać kolację?

Wszystkie niepokoje i wątpliwości natychmiast wyparowały z Samanty. Jenny była jej dzieckiem. Opadła na kolana i wyciągnęła ramiona.

— Chodź do mnie, kochanie.

Pani Peoples pchnęła Jenny lekko i dziewczynka biernie poddała się uściskowi Samanty.

— Obawiam się, że wcześniejszy przyjazd pana Dunwicha zburzy! nasze plany — zwróciła się do gosposi Samanta, głaszcząc włosy Jenny. — Nie będę miała dla niej dużo czasu.

Jenny miała już jedenaście lat, ale wciąż była nieduża jak na swój wiek. Samanta obejmując ją, czuła kruchość drobnego ciała.

— Przepraszam cię, kochanie — wymruczała. — Obiecuję, że odbijemy to sobie innym razem. Jutro będziemy mieć dla siebie aż cały dzień. Najpierw obejrzymy prezenty, a później pojedziemy na wspaniałą przejażdżkę kareta...

Pani Peoples, starsza kobieta o miękkim sercu, ze smutkiem przyglądała się tej scenie. Chciało się jej płakać, kiedy patrzyła, jak doktor Hargrave przemawia do dziewczynki, jak do normalnego dziecka. Czemuż to nie pogodzi się z faktem, że Jenny jest, jaka jest?

Zeszłego lata, kiedy Samanta zdecydowała, że nie wyśle dziewczynki do Berkeley, postanowiła dowiedzieć się czegoś o rodzinie Jenny, żeby sprawdzić, co mogło stanowić przyczynę jej głuchoty. Ale jak gosposia dobrze wiedziała, skończyło się na tym, że biedna pani doktor wybrała się do dawnej dzielnicy Jenny tylko po to, by stwierdzić, że zaniedbane oficyny zostały wyburzone, a mieszkający tam niegdyś Irlandczycy rozpierzchli się po całym mieście. Na terenach dawnych domów biedoty szykowano plac pod wielki skład. Samanta znalazła tylko starego katolickiego księdza, który co prawda pamięta! O'Hanrahanów i ich dziwną córkę, ale wszystko, co mógł powiedzieć w ich sprawie, to raptem tyle, że kiedy mała miała ze dwa lata, w San Francisco rozszalała się epidemia szkarlatyny — pewnie więc szkarlatyna spowodowała jej głuchotę. Szkarlatyna nie tłumaczyła jednak, dlaczego dziewczynka jest równocześnie niema ani dlaczego jest zamknięta w sobie i tak się dziwnie zachowuje.

Samanta długo tuliła Jenny do siebie i nadaremnie czekała na uścisk z jej strony. Wreszcie podniosła się z kłęczek.

— Proszę powiedzieć panu Dunwichowi, że będę za pięć minut. — Odwróciła się do toaletki.

Ani Samanta, ani pani Peoples, która wyprowadzała dziewczynkę z sypialni, nie zauważyły, że mała Jenny odwróciła głowę i tęsknym wzrokiem spojrzała na piękną Panią, której czarne włosy spadały kaskadą na plecy.

Warren Dunwich zerknął najpierw na zegar na kominku, a potem na swój, kieszonkowy. Zauważył, że różnica we wskazywanym czasie wynosi trzy minuty. Zamknął z trzaskiem kopertę i wsunął zegarek na powrót do kieszonki kamizelki. Ten na kominku źle chodził. Jeśli istniała jakaś rzecz, z której Dunwich był dumny, było nią bezbłędne wyczucie czasu. Fakt, że przyjechał tu dziś aż tak wcześnie, był krokiem wbrew obowiązującej etykiecie, ale przecież niezbędnym. Pan Dunwich od wielu dni rozważał pewną kwestię i doszedł do wniosku, że dzisiejszy wieczór będzie wprost idealny, żeby zadać doktor Hargrave bardzo ważne pytanie. I dlatego właśnie musiał się spotkać z Samantą sam na sam.

Obrzucił salonik krytycznym wzrokiem. To niesłychane, żeby kobieta ciesząca się tak wysoką pozycją społeczną i takim prestiżem żyła w takich warunkach! Dom był czysty, schludny i urządzone ze smakiem, ale brakowało mu błysku i poloru. Ostatnio doktor Hargrave wspominała o przeprowadzce do bardziej eleganckiej dzielnicy. Hm, on miał lepszy pomysł. Chciał kupić starą rezydencję Harroldów i poprosić Samantę, żeby zechciała ją z nim dzielić jako żona.

Nie znaczy to bynajmniej, że Warren Dunwich kochał Samantę. Jako człowiek o zimnym sercu, nie był zdolny do tak delikatnych uczuć. To co odczuwał wobec pani doktor, można by określić mianem głębokiej fascynacji, niemal obsesyjną chęcią zgłębienia jej tajemnicy.

Pięć miesięcy temu Warren Dunwich przyjął zaproszenie na bal u Gantów tylko po to, żeby odświeżyć dawne znajomości, gdyż częste podróże w interesach sprawiały, że tracił kontakt z socjetą San Francisco. Nie spodziewał się, że zostanie na balu tak długo. Ale przecież ujrzał tam niezwykle czarującą osobkę, niejaką doktor Hargrave, którą wyobrażał sobie wcześniej jako zdecydowanie męski typ. Ujęła go natychmiast. Nic już nie interesowało Dunwicha poza tą tajemniczą kobietą. Ze wszystkich sił pragnął ją podbić i zbadać dogłębnie jak nieznaną kontynent, aż wreszcie, kiedy ją pozna na wskroś, odepchnąć na bok i rozejrzeć się za innym, nowym wyzwaniem. Dotychczas tylko jedna kobieta wciąż mu się wymykała i tak go bardzo zajęła, że w końcu się z nią ożenił — bo

przecież nie mógł się poddać, dopóki nie rozszyfrował jej całkiem. Tą kobietą, pierwszą panią Dunwich, Warren szybko się znudził i wkrótce ich małżeństwo przeistoczyło się w związek uprzejmym, ale obcych sobie ludzi. Teraz znalazł nową tajemnicę, i po wielu latach zadawania się z rozmaitymi niewiastami musiał przyznać, że Samanta Hargrave stanowiła wśród nich zagadkę po stokroć najśłodsza.

Natychmiast zabrał się za jej rozpracowywanie i zaczął zbierać o niej informacje, gdzie się tylko dało. Ze zdziwieniem stwierdził — co skądinąd znacznie ożywiło jego ciekawość — że otacza ją nimb pilnie strzeżonej tajemnicy. Zupełnie jakby odgadując intencje Warrena, Samanta specjalnie odgradzała się od niego intrygującymi barierami i tylko od czasu do czasu pozwalała mu zerknąć poza nie. Nie tylko go to nie zniechęciło, ale wręcz wzmoгло jego ciekawość.

Wreszcie doszedł do wniosku, że żadne, choćby nie wiadomo jak intensywne zaloty i tak mu nie odsłonią prawdziwej Samanty; nie pozna jej ani w operze, ani na przechadzce po Golden Gate Park. Żeby osiągnąć cel, musiał się zdecydować na drastyczniej szy krok. Warren nie uważał małżeństwa — jak to czyniło wielu innych mężczyzn — za akt poświęcenia, a raczej za środek służący osiągnięciu upragnionego celu i choć nie ulegał sentymentom, nie był tym samym pozbawiony namiętności — małżeństwo z Samantą nie tylko umożliwiłoby mu poznanie jej w pełni, ale również niosło ze sobą obietnicę radości w małżeńskiej alkwie.

— Panie Dunwich, proszę mi wybaczyć.

Wstał i wyszedł jej na spotkanie na środek salonu.

— To ja winien jestem prosić o wybaczenie, pani. Mój wczesny przyjazd z pewnością zburzył codzienny porządek rzeczy. Ale zapewniam panią, droga doktor Hargrave, że nie działałem nieprzemyślanie.

Warren Dunwich był mężczyzną, na którego patrzyło się z przyjemnością. Miał piękne srebrzyste włosy zaczesane na tył kształtnej głowy, które teraz lśniły w blasku kominka, a jego szczupłe policzki i męski surowy podbródek tworzyły płaszczyzny, jakby wykute dłutem rzeźbiarza. Gdybyż tak jeszcze jego osobowość szła w parze z atrakcyjnym wyglądem!

— Proszę spocząć, panie Dunwich. Czy mogę panu zaproponować kolejny kieliszek?

Stała koło okna, przy barku na kółkach, i wyjrzała na ulicę. Zdziwiła się. Dzień był taki słoneczny, teraz jednak nad oceanu płynęły ciężkie chmury, które wraz ze zrywającym się wiatrem zapowiadały burzę.

Usiedli w dwóch wysokich fotelach z uszami naprzeciwko kominka.

— Co słyhać w szpitalu, pani doktor? — zapytał jak zwykle.

Zawahała się.

— Dużo pracy, ale wszystko dobrze. A jak tam w tartaku?

— Praca wre. — Upił nieco brandy. — Jak się miewa Jenny?

— Wciąż jest moją największą radością i największym zmartwieniem.

— Pani troska o małą jest doprawdy godna podziwu, droga Samanto. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że to nie pani dziecko.

Spojrzała na niego ostro, a potem odwróciła wzrok, gdy przypomniała sobie w porę, że nie każdy wyznaje filozofię, którą można by ująć hasłem: „Wszystkie dzieci są nasze”. Uświadomiła też sobie, że choć Warren Dunwich od pięciu miesięcy zabiega o względy Jenny (przy każdej wizycie na Kearny Street ofiarowywał jej jakiś drobiazg), nie zdobył sympatii dziewczynki. Jenny nie pozwoliła sobie na żaden gest niechęci wobec niego, na żadną minę pod jego adresem, ale Samanta wyczuwała jej strach i nieufność. Zastanawiało ją to nawet.

— Jenny ma jedenaście lat i za następnych kilka stanie się młodą kobietą. Boję się o nią, panie Dunwich. Jest zupełnie bezbronna, jak małe kocię. Zupełnie bezbronna...

Choć nie odezwał się słowem, w tym miejscu nie przyznał jej racji. Na tyle często spoglądał w wielkie i ciemne oczy dziewczynki, żeby dostrzec w nich najróżniejsze prądy — dziecko nie było wcale tak bezbronne, jak to sobie Samanta wyobrażała. To była bystra dziewczyna, aż za bystra. Miał

uczucie, że Jenny czyta w nim jak w otwartej księdze, i zupełnie mu się to nie podobało.

— Może powinna pani jeszcze raz rozważyć, czy nie wysłać jej jednak do szkoły dla głuchoniemych?

— Nie. Zdecydowałam, że absolutnie jej tam nie wyślę. Pan Wolff, którego już umówiłam, podobno odnosi w pracy znaczne sukcesy.

— Czy dobrze pamiętam, że sam jest głuchoniemy?

— Stracił słuch w jakimś wypadku, ale mówi normalnie.

— Kiedy przyjeżdża?

— W przyszłym miesiącu. Umieszczę go w pokoju gościnnym na dole, a mój dawny gabinet, w którym przyjmowałam pacjentów, kazałam już przerobić na salę szkolną. Mam tylko wielką nadzieję, że Jenny polubi pana Wolffa.

Warren poczuł zawód, że Samanta nie da się nakłonić do wysłania dziewczynki do Berkeley, ale tak naprawdę przez to, że nie dawała sobą manipulować, tym bardziej go fascynowała.

— Jenny wyrośnie na piękną kobietę — ciągnęła Samanta. — Już teraz mężczyźni się za nią oglądają. Nie zawsze będę przy niej, żeby móc ją chronić. Jeżeli pan Wolff zdoła ją nauczyć elementarnych środków porozumiewania się z otoczeniem, będę głęboko wdzięczna.

— Wygląda na to, droga pani, że dziecku potrzebny jest opiekun.

— Ma mnie. A kiedy wychodzę z domu, zawsze jest pani Peoples.

— Myślałam o kimś ważniejszym w życiu dziecka i bardziej odpowiedzialnym niż gospodarz domowa. Dziewczynka potrzebuje ojca.

— Niestety, panie Dunwich, nie znamy ojca Jenny.

— Myślałam o sobie, łaskawa pani.

Spojrzała na niego.

— O czym pan mówi, panie Dunwich? Czy proponuje mi pan małżeństwo?

— Tak.

Nie wiedziała dlaczego, ale nagle ogarnął ją smutek.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, że tak się pan troszczy o Jenny...

— Troszczyć się również o panią, moja droga.

— Uważa pan, że i ja wymagam opiekuna?

— Skądże znowu! Myślałem raczej o towarzyszu.

Odwróciła od niego wzrok. Jej smutek się nasilił.

— Ale ja pana nie kocham, panie Dunwich.

— Ani ja pani. Ale udane małżeństwo można oprzeć i na innych rzeczach. Na wzajemnym szacunku i wspólnych interesach.

— W moim życiu byli inni mężczyźni.

— Droga pani doktor, mam pięćdziesiąt dwa lata i niewiele złudzeń.

Spojrzała w ogień, przypominając sobie inne oświadczenia sprzed lat. Jak żywy stanął jej w oczach Marek. Wpadł do maleńkiej sypialni niczym burza i porwał ją w ramiona; wspomniała ich namiętny pocałunek i jego moc.

A tu miała przed sobą Warrena Dunwicha, który proponuje jej małżeństwo tak obojętnym tonem, jakby czynił błahą uwagę na temat deszczu bijącego w okna.

— Wielkie nieba! — zauważył cicho. — Boję się, że wytrąciłem panią z równowagi.

— Muszę wyznać, że tak, panie Dunwich, ale to nie pańska wina. Nie wróciłam dziś z pracy w najlepszym nastroju, bo przeżyliśmy w szpitalu śmierć. Śmierć dziecka.

— Bardzo mi przykro.

— A poza tym pańskie oświadczenia wywołały pewne wspomnienia sprzed wielu lat...

Ledwie panował nad podnieceniem. Ha, zatem ta niezależna doktor Hargrave ma jednak słabe punkty!

— Zbłądziłem — wyznał i ujął jej rękę. — Zaślepiony rosnącym podziwem, jaki dla pani żywię, nabrałem szaleńczej nadziei, że i pani odwzajemnia moje uczucie. Obawiam się jednak, że się omyliłem.

— Panie Dunwich, proszę się nie oskarżać. Jeśli coś w moim zachowaniu skłoniło pana do tego, by myślał pan, że mam intencje poważniejszej natury, najmocniej pana przepraszam.



Uściskał jej dłoń i cofnął rękę.

— Proszę mi nie odmawiać od razu, szanowna pani, ale wyświadczyć mi przysługę i spokojnie rozważyć moją propozycję.

— Panie Dunwich, w ogóle nie myślałam o wychodzeniu za męża. Tu nie idzie o pana osobę. Jestem szalenie pochłonięta pracą i nie mogłabym panu ofiarować ani czasu, ani tyle uczucia, jakiego ma pan prawo oczekiwać od żony.

— Droga doktor Hargrave, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jaka odpowiedzialność ciąży na pani jako na lekarce. Ani mi przez myśl nie przeszło, żeby odrywać panią od jej obowiązków! Nasz związek nie byłby zwykłym małżeństwem, a raczej układem opartym na koleżeństwie i przyjaźni. A gdyby — choć przyrzekam nie egzekwować swych mężowskich praw w tej delikatnej materii — gdyby jednak zechciała pani pewnego dnia mieć dzieci...

Gwałtownie wstała z fotela i niezdecydowana stała jakiś czas przed kominkiem. Odwróciła się po chwili i podeszła do barku, żeby nalać sobie jeszcze trochę brandy. Zauważyła, że deszcz rozpadał się na dobre.

Warren Dunwich zupełnie nieświadomie dotknął czułego punktu. Patrzyła na ociekające wodą konie i powozy i przypominała sobie inną burzliwą noc, noc, gdy cztery lata temu rodziła Klarę.

Skurcze dopadły ją tak nagle, że nie zdążyła zawołać akuszerki. W sypialni na górze całkiem sama wydała na świat córeczkę. Potem sama przecięła pępowinę i przytuliła niemowlę do piersi, czekając na poród łożyska. To były najcudowniejsze chwile w jej życiu.

Mogłaby jeszcze mieć dziecko...

Upiła łyk brandy i poczuła, jak alkohol rozgrzewa ją od środka.

Oświadczyły Warrena nie były dla niej wielką niespodzianką; przypuszczała, że i Stanton Weatherby wystąpi z identyczną propozycją. Na pierwszy rzut oka nie miała się w ogóle nad czym zastanawiać. Nie kochała żadnego z nich, miała pracę, która ją zajmowała bez reszty — nie musiała wychodzić za męża. Tyle kobiet decydowało się na mał-

żeństwo bez miłości tylko po to, żeby uniknąć staropanieństwa; inne wychodziły za mąż ze strachu przed samotnością. Takich pobudek w ogóle nie brała pod uwagę.

Przytknęła do ust brzeg kieliszka. A może jednak jestem samotna? Odpowiedź, jaką usłyszała w duszy, przyprawiła ją o dreszcz. Tak, czasami... Ale czy to ma być powód, żeby wychodzić za mąż?

Patrzyła na swoje odbicie w szkłe i na obraz, jaki widziała za kieliszkiem — Warren Dunwich siedział przed kominkiem, elegancki i nie budzący najmniejszych emocji; siedział i cierpliwie czekał na odpowiedź.

Nie mogła znaleźć nic, co by ją miało nakłonić do wyjścia za niego za mąż.

Zacisnęła palce na kieliszku. Dlaczego więc mu nie odmawiam z miejsca? Dlaczego się waham?

Jakże to byłoby pięknie mieć jeszcze dziecko...

A potem pomyślała o Marku i nagle zapragnęła być sama.

W korytarzu gospościa delikatnie kuksała przed sobą dziewczynkę i jak większość ludzi, z przyzwyczajenia do niej mówiła.

— No, panienko, teraz powiemy mamie dobranoc i zapakuję cię do łóżka. Dzisiaj w nocy Święty Mikołaj odwiedzi nas przez komin.

Kiedy znalazły się w hallu, pani Peoples chciała co prawda zastukać do drzwi salonu, ale gdy zobaczyła, że są uchylone, nie namyślając się wiele otworzyła je szerzej i lekko pchnęła dziewczynkę do środka. Chciała właśnie głośno oznajmić swoje wejście, kiedy nagle ujrzała, jak pan Dunwich wstaje i nie zdając sobie sprawy z obecności intruzów, podchodzi szybkim krokiem do okna, kładzie doktor Hargrave ręce na ramionach i odwraca ją twarzą do siebie. Gospościa zorientowała się, że zrobiła błąd, i chciała natychmiast wyciągnąć Jenny z salonu.

Ku jej zdumieniu dziewczynka stawiała opór. Stała sztywno w miejscu i jak sroka w gnat gapiła się w mężczyznę o srebrzystych włosach, który trzymał jej Panią i szybko ruszał ustami.

A Pani miała taką nieszczęśliwą minę!

Kiedy Warren schylił głowę i dotknął ustami warg Samanty, Jennifer wyrwała się z uścisku gospodyni. Z piskliwym krzykiem rzuciła się na niego. Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie. Dziewczynka wyła jak zwierzątko i okładała go małymi piąstkami. Potem mocno przywarła do Samanty i objęła ją w pasie.

— Co, u diaska! — zawołał.

Oniemiała Samanta usiłowała oswobodzić się z uścisku Jenny, ale mała przylgnęła do niej ze zdumiewającą siłą. Z jej gardła dobywał się dziwny, zawodzący jęk.

Gospościa pośpieszyła na ratunek.

— Bardzo przepraszam, pani doktor! Chciałyśmy tylko powiedzieć dobranoc. Drzwi były otwarte. Nie wiedziałam, że przeszkadzimy...

— Jenny? — Samanta patrzyła na ciemną głowę dziecka wtuloną w fałdy spódnicy. Delikatnie rozluźniła ramiona dziewczynki i opadła na kolana, by móc spojrzeć jej w twarz. Zdziwiło ją, że wielkie oczy dziecka są przepełnione strachem, że małej drżą wargi, a na jej buzi maluje się wyraźny lęk.

— Jenny... — wymruczała w zamyśleniu i pogłaskała ją po głowie.

— Co to, u diaska, znaczy? — Warren żądał wyjaśnień.

— Myślała, że pan mi robi krzywdę — tłumaczyła Samanta. W jej oczach zalśniły łzy. — A więc jednak coś czuje... Spójrzcie tylko, teraz próbuje mówić!

Jenny sztywno ruszała żuchwą raz w górę, raz w dół i wbijając wzrok w Samantę, usiłowała naśladować mowę.

— Kochanie, do tego jeszcze trzeba użyć głosu — zauważyła Samanta łagodnie. — Och, Jenny, jak ci to przekazać? — Z jej oczu spłynęły łzy. — Spójrzcie, jak rusza buzią! Och, nic nie rozumie. Boże, daj jej głos!

Warren patrzył z wysoka, jak mała rączka unosi się i dotyka policzka Samanty. Jenny koniuszkami palców śledziła drogę łzy, a potem oderwała palce i tym samym gestem przyłożyła je do swojej buzi.

— Chce płakać — powiedziała Samanta cicho. — Dalej, Jenny, płacz...

Jej oczy znów wypełniły się łzami i dziewczynka raz jeszcze zdjęła łązy końcami palców i przeniosła je na swój policzek.

— Tak bardzo chcę... — zaczęła Samanta ze ściśniętym gardłem. — Tak bardzo chcę, żebyś mnie mogła rozumieć. Tak mocno pragnę wejść do twojego zamkniętego świata! Jak to zrobić, Jenny?

— Samanto...

Uniosła wzrok. Warren patrzył na nią nieporuszony.

— Lepiej już idź, Warren.

Otworzył usta, lecz zaraz się rozmyślił i podszedł do stolika, żeby wziąć kapelusz i rękawiczki.

— Panie Dunwich, Jenny wyraźnie się pana boi. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się w ogóle widywać.

Krótko skinął głową, zbyt dumny na to, by okazać oburzenie. Ale kiedy pani Peoples odprowadzała go do drzwi wyjściowych, jego gniew przerodził się w irytację, a po kilku minutach, gdy siedział w powozie, zaprzętała go już wyłącznie myśl o kolacji.

Samanta z trudem wstała z klęczek. Poprosiła gosposię o zaparzenie herbaty i zaprowadziła Jenny do kominka. Usiadła w fotelu i ustawiła dziewczynkę przed sobą. Z napięciem przyglądała się małej twarzą — Jenny nadal pracowicie otwierała i zamykała usta.

— Moje kochane dziecko — wymruczała Samanta. — Przecież ulegasz takim samym emocjom jak inni i umiesz wydobyć z siebie głos. Co mam zrobić, żeby go z ciebie uwolnić? Czy do tego trzeba aż strachu? Czy musisz się czuć zagrożona? Jenny, och, moja Jenny, jak do ciebie dotrzeć?!

Dziewczynka dotknęła warg Pani, a potem swoich. Samanta ujęła jej dłoń i położyła ją sobie na gardle.

— Zobacz, czujesz? Musisz wydobyć z siebie głos. Masz struny głosowe! Możesz mówić!

Jenny zamrugnęła z zaciekawieniem. Oderwała dłoń od Samanty i przytknęła ją do swojego gardła. Ułożyła usta tak, jakby chciała powiedzieć „a”, potem „e”. Ale wszystko na nic! Nadal nie rozumiała w czym rzecz.

— Jenny, zrobiłaś krok naprzód! To pierwszy krok. Co zrobić, żebyś poszła dalej? Nie wystarczy samo naśladowanie, ty dalej nie wiesz, o co chodzi... O Boże, spraw, żeby mnie zrozumiała!

Kiedy usłyszała dzwonek u drzwi, pomyślała, że to Warren wrócił, a ponieważ gosposia była zajęta w kuchni, sama poszła otworzyć. Zamierzała twardo obstawać przy swojej decyzji. Ich znajomość uznała za skończoną. Nie mogła spotykać się z mężczyzną, którego bała się jej córka!

Ale zamiast Warrena ujrzała w progu ociekającego deszczem szczupłego młodego mężczyznę z przemoczoną torbą — miał mokre, przyklejone do czaszki włosy i o wiele za mały garnitur.

Zamruga! powiekami, strzepując z nich krople deszczu.

— Pani doktor Hargrave? — zapytał sztywno. — Jestem Adam Wolff ze szkoły dla głuchoniemych. Czy zjawiłem się w porę?

## CZĘŚĆ PIĄTA

SAN FRANCISCO 1895

### 1

Powstrzymując łzy Hilary całowała każde z dzieci w czoło i odsyłała je do czekającej niani. Gwiazdka, już jedenastoletnia, przyjęła pocałunek nie odwzajemniając go wilgotnym cmoknięciem, jak to robili jej bracia i siostry — była już prawdziwą młodą damą, a młode damy, nawet jeżeli w głębi serca pragną okazać serdeczność, trzymają emocje na wodzy. A zatem chłodno przyjęła matczyny pocałunek i odwróciła się z godnością. Ośmioletnia Ewa natomiast nadal jeszcze swobodnie zarzucała matce ramiona na szyję i lgnęła do niej mokrymi usteczkami. Następny w kolejce był Juliusz, poważny siedmiolatek. Uważał, że byłoby dostojniej, bardziej po męsku uścisnąć mamie rękę, ale jak zwykle w ostatniej chwili zmieniał zdanie i rzucał się jej na szyję, manifestując tym tę dziwną mieszankę synowskiej miłości, łączącą uczucia władcy i kochanka.

Łzy, które Hilary wstrzymywała, nie były przeznaczone dla tej trójki dzieci — ta trójka, poczęta i urodzona w radości, stanowiła jej dumę. Chciało się jej płakać na myśl o następnych: o niepozornej małej Myrtle, którą tak źle nosiła w ciąży i z takim trudem rodziła; o czteroletniej nieplanowanej Peony — gdyż po urodzeniu Myrtle Hilary usiłowała ograniczyć zbliżenia z mężem do „bezpiecznych” dni — i wreszcie o dwuletnim Korneliuszu na kaczyczych nóżkach, którego poczęcie przyprawiło ją o wstrząs, ponieważ w utajeniu przed Dariuszem sekretnie stosowała antykoncepcję.

Dzieci odmaszerowały do łóżek, a Hilary wyprostowała się i założyła ręce na brzuchu. Była o krok od płaczu. Sześcioro dzieci w dziewięć lat! — myślała. I siódme w drodze...

— Pamiętaj, żeby wysterylizować butelkę Korneliusza, Griseldo — przypomniała, kiedy stara niania w wykrochmalonym fartuchu brała najmłodsze na ręce.

— Tak, proszę pani. — Griselda miała sześćdziesiąt kilka lat i na swój prywatny użytek uważała, że ta mania sterylizacji, która rozpanoszyła się już w całym kraju, jest jedną wielką bzdurą. W ciągu czterdziestu lat pracy nigdy nie spotkała się z tak idiotycznym przewrażliwieniem matki i z takimi wariacjami, do jakich zmuszała ją pani Gant. I nie tylko u Gantów tak było. Kiedy raz w tygodniu, po południu, zasiadała w wianuszkach zaprzyjaźnionych niań, wszystkie skarżyły się dokładnie na to samo: moda na zarazki strasznie komplikowała im życie. Przecież zaledwie kilka lat wcześniej nikt nie miał pojęcia o jakichś małych żyjątkach, a teraz wszyscy podnosili rwetes i wciąż krzyczeli: „Bakterie!” A nianki i pokojówki w całej Ameryce musiały przez to sterylizować domy! Piasunki mlaskały z dezaprobatą i wzdychały do starych dobrych czasów. Kiedy w pewnej chwili Griselda, trzymając opróżniony z sherry kieliszek, krzyknęła: „Patrzcie, zarazek!” i mocno tupnęła w dywan, wszystkie gruchnęły śmiechem.

Hilary ruszyła korytarzem. Nagle stanęła, by wsłuchać się w ciszę ogromnego domu. Zdusiła w sobie szloch — służący nie mogą oglądać jej w tym stanie. Pomyślała o Dariuszu, który spędzał weekend u znajomego na łodzi (nastała właśnie moda na łodzie) i natychmiast ogarnęła ją niechęć. Po raz pierwszy w ciągu piętnastu lat małżeństwa Hilary z niechęcią myślała o Dariuszu jako o wolnym mężczyźnie. A potem znów ze wstrętem o tym, że jej ukochany mąż budzi w niej takie niemiłe uczucia.

Zagłębiając się w zawile myśli, pozwoliła sobie na chlipnięcie i szybkim krokiem przemierzyła korytarz. Wpadła do sypialni, trzasnęła za sobą drzwiami i wreszcie się rozpłakała. Nienawidzę cię, Dariuszu, za to, co mi znowu zrobiłeś! Nienawidzę cię za to, że nie chcesz tego dziecka!

Jakież to wszystko było zagmatwane! Kochała męża równie mocno jak w dniu ślubu, ale niewiele brakowało, by miłość przekształciła się w nienawiść.

Kiedy się już uspokoiła, osuszyła twarz chusteczką i zaczęła rozpinąć suknię. Normalnie pomagała jej w tym Elsie, ale ostatnio Hilary nie życzyła sobie, żeby wszyscy wokoło wyręczali ją w najdrobniejszych sprawach. W ciągu trzydziestu trzech lat życia nigdy nie kwestionowała faktu, że armia najętych ludzi ciągle jej służy, ale w ostatnich miesiącach odkryła, że irytują ją lokaje otwierający przed nią drzwi, mężczyźni oferujący pomocne ramię, kiedy wchodzi na schody, i pokojówki przy porannej i wieczornej toalecie.

Zastygła w bezruchu. Odczuła bolesne łupnięcie w skroniach. Była raptem w trzecim miesiącu, a już czuła się równie fatalnie jak wtedy, gdy nosiła Myrtle. Czekają ją jeszcze siedem miesięcy mdłości, bólu, apatii. I tego nienawistnego puchnięcia. Weszła do łazienki, otworzyła szafkę i wyjęła z niej butelkę „Przyjaciela każdej pani” firmy Farmer's. Ten środek poleciła jej Dahlia Mason, która źle znosiła swoją drugą i trzecią ciążę. „Mówię ci, działa cuda” — wyznała pewnego dnia. Hilary zażywała tej mikstury, kiedy nosiła Korneliusza, i od tamtej pory co jakiś czas chętnie po nią sięgała, gdyż lekarstwo naprawdę znosiło bóle krzyża i dolegliwości związane z miesiączką. Hilary wyczytała na etykiecie, że ów środek został przygotowany w oparciu o wyniki badań naukowych przede wszystkim z myślą o ciężarnych kobietach. „Jeśli dokuczają Pani apatia, znużenie, niepokój, mdłości, niesmak w ustach, ogólne pogorszenie samopoczucia, suchość skóry, częste oddawanie moczu, mroczyki przed oczyma, ból w skroniach, uczucie zagrażającego niebezpieczeństwa, bezsenność, palpacje serca, depresja, bądź też ma Pani inne objawy naturalnie wynikające z odmiennego stanu, firma Farmer's uwolni Panią od nich natychmiast, w innym wypadku gwarantujemy natychmiastowy zwrot pieniędzy.”

Niektórych z wymienionych objawów nie miała, inne tak. Przede wszystkim odczuwała depresję i niepokój. A lekarstwo przynosiło ulgę i zawsze rozpraszało jej smutek.



Połknęła łyżkę mikstury. Odczekała chwilę i wypita następną.

Tym razem nie chodziło wyłącznie o lęki związane z ciążą. Ostatnimi czasy Hilary stała się niespokojna i znudzona, przygnieciona ciężarem bezcelowości życia. W ciągu minionych siedmiu lat praca na rzecz szpitala dawała jej wiele satysfakcji, ale Hilary mogła jej poświęcić bardzo niewiele czasu, ponieważ niemal bez przerwy była w ciąży. Po urodzeniu Korneliusza miała już nadzieję na zawsze uwolnić się od tego stanu, który ją więził w domu, i chciała rzucić się w wir prac Komitetu. Teraz nadzieja pękła jak bańka mydlana.

Tydzień temu, kiedy uświadomiła sobie, ile miesięcy dzieli ją od rozwiązania, pomyślała, że mogłaby włączyć się do spraw związanych z zarządzaniem domem, wziąć na siebie część odpowiedzialności i dzięki temu czuć się jakoś potrzebna. Kiedy poprosiła Dariusza, żeby wprowadził ją w domowe finanse, parsknął śmiechem; gdy wyraziła chęć obejrzenia książeczki czekowej, spojrział na nią dziwnie; a kiedy go spytała, jak wyglądają ich aktywa i pasywa, mąż oburzył się nie na żarty i kazał jej przestać zadawać bzdurne pytania.

Wtedy właśnie zaświtała jej mrożąca krew w żyłach myśl: Jestem niepotrzebna!

Teraz, kiedy siedziała przed toaletką i czekała na zbawienne działanie lekarstwa, poczuła, że rozsypuje się na kawałeczki i traci nad wszystkim kontrolę.

Musi porozmawiać z Samantą. Ale w ostatnich czasach Samanta była nieuchwytna.

Szpital rozrósł się bardziej, niż przewidywały. Dwa lata temu odremontowały i dołączyły do niego następny budynek, zainstalowały w nim pięćdziesiąt łóżek, a szkołę dla pielęgniarek przeniosły do domu po drugiej stronie ulicy. Zakupienie nowego sprzętu, zatrudnienie dodatkowego personelu i lawina odkryć w medycynie skutecznie pozbawiły Samantę resztek wolnego czasu. Spotykały się tylko na zebraniach Komitetu i przy okazji omawiania palących spraw finansowych, ale poza tym Samanta nie miała już czasu na prywatne spotkania z przyjaciółką. Od ich ostatniego obiadku w Chez Pierre minęło sześć tygodni.

Hilary zamyśliła się. Czuła, że mimo wszystko musi porozmawiać z Samantą. Spojrzała na zegarek przy łóżku i zastanawiała się, gdzie o tej porze mogłaby zastać Samantę — w domu czy raczej w szpitalu? Rankiem zajrzała do szpitala i dowiedziała się, że Samanta jest na sali operacyjnej. Pojechała więc do Dahlii, ale tam lokaj ją poinformował, że pani nie ma w domu, bo właśnie jeździ konno.

One są wolne, ja nie.

Spojrzała w lustro. Wydało jej się, że wygląda staro jak na swój wiek. Nagle doznała uczucia, że jest straszliwie samotna.

Wyciągnęła rękę i otworzyła szufladę. Wyjęła z niej kartonowe lakierowane chińskie puzderko na biżuterię, które gdy się je otworzyło, wygrywało fragment „Dla Elizy”. Puzderko wyglądało niepozornie, jakby zawierało tanie błyskotki z Chinatown. Gdyby Dariusz kiedykolwiek przez przypadek na nie zerknął, nie zainteresowałoby go w najmniejszym stopniu.

Ale tak naprawdę chowało w sobie narzędzie decydujące o życiu lub śmierci.

Samanta oparła plecy o krzesło i zdjęła z nosa okulary; jakoś wyraźnie ciążyły jej tego wieczoru. Wiedziała jednak, że tak naprawdę to nie okulary są ciężkie, a sprawa, jaka jej wisi nad głową — doktor Willella Canby została formalnie oskarżona o przeprowadzenie w Szpitalu Miejskim nielegalnej operacji usunięcia ciąży.

Oderwała wzrok od biurka i zdziwiła się, że za oknem jest już całkiem ciemno. Kiedy siadała, na dworze był jeszcze dzień. Wstała i włączyła elektryczną lampę. Potem podeszła do dużego balkonowego okna i zobaczyła w szybie idącą z naprzeciwka wysoką, wdzięczną kobietą postać. Wyglądała na mniej niż trzydzieści pięć lat, choć okulary nieco ją postarzały. Niewiele się zmieniła od czasów, gdy trzynaście lat temu, jako niepewna przyszłości młoda kobieta, przyjechała do San Francisco, by tu pośród wzgórz odnaleźć swoje marzenie. W odbiciu w szybie wyglądała tak, jakby się wybierała na przechadzkę w ten wrześniejszy wieczór; żałowała, że nie stać jej

na takie szaleństwo. Chciałaby zrobić sobie taką przyjemność, ale sprawa jutro trafiała na wokandę i musiała się do niej przygotować.

Willella była tym bardzo wstrząśnięta. Pacjentka załatwiła ją starą jak świat sztuką — kupiła żywego kurczaka, poderżnęła mu gardło, nasaczyła krwią szmatę, a potem ze szmatą wetkniętą między nogi, słaniając się na schodach, weszła do szpitala i krzyczała, że roni. Jak zwykle w tego typu przypadkach zabrano ją na salę operacyjną. Faktycznie Willella dokonała aborcji, jednak z etycznego punktu widzenia wykonała rutynowy w danych okolicznościach zabieg.

Samanta patrzyła przez szyby wielkiego okna i nasłuchiwała ciszy domu. Dariusz i Hilary kupili jej fonograf Edisona, jeden z pierwszych w mieście, żeby miała czym wypełnić nie-naturalną ciszę, która zawsze panowała w jej domu, ale Samanta i tak nigdy go nie używała. Przyzwyczała się do nie zakłócanego niczym spokoju i nawet go polubiła.

Zerknęła na mały naręczny zegarek (kolejny z nowoczesnych wynalazków — prezent od Dariusza) i doszła do wniosku, że dzieci już pewnie śpią.

Ta myśl zawsze wywoływała uśmiech na jej twarzy. Nie była zbyt młoda na to, by matkować Jenny, ale z pewnością miała za mało lat, żeby można było uznać Adama za jej syna. A mimo to nieodmiennie myślała o nich z czułością jako o swoich dzieciach. Od dnia, kiedy stanął przed jej drzwiami, przemoczony i zagubiony w ten deszczowy wigilijny wieczór, uważała go zawsze za syna. A przecież był od niej młodszy ledwie o sześć lat.

Pokusa spaceru w ogrodzie okazała się w końcu zbyt wielka. Samanta zdecydowała się odłożyć na chwilę papiery.

Dwupiętrowy dom przy Jackson Street w Pacific Heights po jazgocie i gwarze szpitala wydawał się jej najprawdziwszym rajem. Kiedy siedem lat temu wyruszyła na poszukiwanie domu, myślała o kupnie czegoś w okolicy centrum miasta, niedaleko od szpitala i przyjaciół. Nie chciała niczego równie wielkiego jak rezydencja Hilary, rzecz jasna, ale miała nadzieję znaleźć gniazdko na tyle duże, by każdemu z jego mieszkańców gwarantowało swobodę i prawo do osobności. Natu-

ralnie marzyła o tym, by oprócz kawałka zielonej trawki dom miał jeszcze widok na zatokę. Znalazła go niemal od razu. Stał na szczycie wzgórza, opodal Divisadero, i z jego okien mogła oglądać Marina, wyspę Alcatraz i most Golden Gate. Nie był specjalnie duży, jednak na tyle obszerny, żeby Samanta mogła w nim mieć kilka pokoi dla siebie i gabinet wychodzący na ogród. Dało się w nim urządzić sypialnie dla Jenny i Adama oraz ich pokój do pracy. Na samej górze zaś znalazło się miejsce dla dwóch pokojówek i dla gospodyni. Frontowe schodki prowadziły niemal wprost na chodnik przy ulicy, ale z jednej strony domu wąski trawnik oddzielał go od sąsiedniej posesji, z drugiej natomiast stała wozownia z pomieszczeniem dla koni, a na tyłach znajdował się opadający w dół pagórka ogród z punktem widokowym.

Samanta wystawiła twarz pod wiatr; wdychała ostre słońce powietrze i z przyjemnością przyglądała się mrugającym światełkom w zatoce za przystanią. Teraz nastały dla niej takie czasy, że kiedy wreszcie znajdowała kilka chwil dla siebie, rozkoszowała się nimi do utraty tchu.

I wówczas, podczas tych skradzionych obowiązkowych momentów, nie mogła się nadziwić temu, jak nieoczekiwanie dla niej samej ułożyło się jej życie. Spełniło się wiele marzeń: jako lekarka osiągnęła dużo; szpital z roku na rok rozkwitał; otaczali ją oddani przyjaciele; żyła wygodnie i w zadowoleniu i do tego miała jeszcze dwoje „dzieci”.

Cud zapoczątkowany siedem lat temu w Boże Narodzenie trwał po dziś dzień. Zupełnie jakby tamten wieczór został wybrany spośród innych istnym zrządzeniem losu — Jenny wyrwała się z zamkniętego świata i dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie tego dnia przyjechał Adam. Jakby wszystko zostało tak zaplanowane.

Miała uczucie, że Adam został jej zesłany przez Boga. W ciągu zaledwie godziny od przyjazdu nawiązał z Jenny niezwykle i bardzo szczególne porozumienie, które z każdym rokiem coraz bardziej przybierało na sile. Ta wyjątkowa więź, która ich łączyła, owocowała tak wspaniale i zdobyła mu podziw oraz pochwały otoczenia, tak że dziś ci, którzy go kochali, nie zauważali już jego brzydoty.

Adam Wolff miał szanse być przystojnym mężczyzną. Wypadek zdarzył się w 1876 roku, kiedy Adam, wówczas dziesięciolatek, pracował wraz z ojcem w zespole kamieniarzy, którzy wysadzali Telegraph Hill, żeby wydobyć z niego ukryte skarby skał. Adam, urodziwy zdrowy chłopak, pracował przy taczce zarabiając dziesięć centów dziennie; pewnego dnia znalazł się zbyt blisko miejsca wybuchu. Odniósł ciężkie obrażenia twarzy, stracił słuch i ojca. Dzięki księżom misjonarzom, jako chłopiec z ludu, został umieszczony bez opłaty w szkole dla głuchoniemych, gdzie przez sześć lat uczył się języka migowego i czytania mowy z ruchu warg. Następne pięć lat spędził w tej samej szkole jako nauczyciel.

Umowa z doktor Hargrave przewidywała krótkotrwały pobyt Adama w charakterze prywatnego instruktora. Adam Wolff miał nauczyć Jenny jedynie podstawowych środków porozumiewania się z ludźmi, ale właśnie zdarzył się ów najprawdziwszy cud. W trakcie cierpliwego uczenia dziewczynki alfabetu migowego Adam zupełnie niechcący uwolnił też przy okazji jej piękną eteryczną duszę.

Nie doszło do tego tak całkiem z dnia na dzień — był to stopniowy proces — aż wreszcie pewnego dnia wszyscy zapomnieli, że Adam ma wracać do szkoły. Został z Samantą i Jenny, stał się członkiem rodziny i odkrył, że jego serce, które w dniu wypadku opancerzył przeciwko uczuciom, zdolne jest znów do miłości.

Samanta miała nadzieję, że zdoła jakoś podreperować twarz Adama, ale gdy się jej bliżej przyjrzała, doszła do wniosku, że blizny są zbyt głębokie i zbyt zastarzałe. Tak naprawdę Adam miał szczęście, że po wypadku nie oślepnął. Jego szpetota uderzała jedynie przy pierwszym kontakcie. Wszyscy, którzy widzieli go po raz pierwszy, z początku byli zszokowani, ale już wkrótce, gdy ujmował ich swoją łagodnością oraz wrażliwością, zapominali o szramach, o zniekształceniach jego fizjonomii i dostrzegali w nim młodego człowieka o duszy poety.

Razem z Jenny tworzyli wyjątkową parę.

Jennifer miała dziewiętnaście lat i wyrosła na niezwykle piękną młodą kobietę, której milczenie w przejmujący sposób podkreślało jej wielką urodę i dodawało tajemniczości. Jenni-

fer miała też szczególny sposób patrzenia. Patrzyła inaczej niż inni ludzie, „wsłuchiwała” się w mówiącego i tym samym sprawiała wrażenie, że rozumie więcej niż słowa — porozumienie, jakie nawiązywała z mówiącym, miało charakter innej, wewnętrznej komunikacji. A gdy stała przy Adamie, jej uroda błyszczała tym intensywniej. Kiedy wychodzili razem na miasto bądź gdy jechali kareta, za każdym razem zwracali na siebie uwagę przechodniów. Kiedy natomiast zagłębiali się we własną krainę, w której porozumiewali się za pomocą rąk, obcym, innym językiem, tworzyli parę zupełnie nie z tego świata — on taki straszliwie szpetny, a ona niebiańsko piękna.

Tyle cudów wydarzyło się w ciągu ostatnich siedmiu lat, myślała Samanta. Wyzwolenie głęboko czującej duszy uwięzionej w milczącym ciele Jennifer. Otwarcie samotnego, zgorzkniałego i nietowarzyskiego Adama, który nauczył się w przyjaznym domu łagodności oraz miłości. Wreszcie i to, że Samanta ujrzała swą prawdziwą Jenny i przeżyła jedyną w swoim rodzaju chwilę, gdy dziewczynka po raz pierwszy w życiu, migając palcami zwróciła się do niej: „Mamo”.

Samanta patrzyła zażawionym wzrokiem na zatokę i roześmiała się pod wpływem wzruszających wspomnień. Kiedy Adam wyuczył Jenny alfabetu, zabrał się za naukę czytania. Pokazał jej wyraz „ciągnąć”, a potem zademonstrował czynność, żeby wiedziała, co to słowo znaczy. Ale któregoś dnia Jenny przeczytała w jakiejś książce, że ktoś „ciągnie fajkę”. Później natknęła się na zdanie w „Chronicie”, że pan taki a taki „ciągnął weksel”. Jej zdumienie przybrało na sile, gdy trafiła na „krew i natura go ciągnęła”, „ciągnęli posepną rozmowę”, „ulicami ciągnęły wojska”, „ciągnęło przejmującym zimnem”, aż wreszcie „ciągnął pasjansa” i „ciągnął korzyści”. Jej zdziwienie doprowadzało Adama do bezsilnej rozpacz, aż wreszcie pewnego wieczoru Samanta wybuchnęła śmiechem.

Tyle radości zaznała w ciągu tych siedmiu lat...

Usiadła na ławce wśród kwiatów i wróciła myślami do Marka. Zawsze jej towarzyszył, nigdy od niej nie odszedł, ten jedyny mężczyzna w jej życiu. Od chwili kiedy zerwała znajomość z Warrenem, zrozumiała jedno — nie chciała wycho-

dzic za mąż. Jej mężem na zawsze miał zostać Marek Rawlins. Doszła też do wniosku, że może już zrezygnować z myśli o własnych dzieciach; poza Jennifer i Adamem miała ich wiele w szpitalu, i te chore, bodaj tylko przez chwilę, traktowała jak swoje. Tak więc delikatnie ukróciła zaloty Stantona Weatherby (był teraz jej wiernym przyjacielem i doradcą), zniechęciła Hilary do dalszych swatów i powstrzymywała kręcących się wokół niej mężczyzn od jakichkolwiek poważniejszych myśli.

Z ławki, na której siedziała u stóp pagórka, nie słyszała telefonu. Pani Peoples wybrała się tego wieczoru na spacer; pokojówki miały wolne, a Adam i Jenny nie mogli niczego usłyszeć. Nikt więc nie odpowiedział na alarmujący dzwonek.

Przyglądała się sunącym po wodzie światłom prywatnego jachtu w Marina i uświadomiła sobie, że na jednej z takich łodzi właśnie teraz jest Dariusz. Hilary wyraziła kiedyś zaniepokojenie męzkowskim upodobaniem do tego wodnego sportu, ale nie zdołała go wyperswadować Dariuszowi. Jeśli coś było nowe i modne, on natychmiast tego pragnął. Przypomniała sobie dzień, kiedy kupił ręczny aparat do zdjęć, produkt firmy George'a Eastmana, i na siłę ustawiał w ogrodzie kogo się tylko dało, by tam zmusić swoje ofiary do przybierania nienaturalnych póz, a tymczasem on ćwiczył robienie „fotek”. Zastanawiała się, skąd w Dariuszu bierze się taka energia i taka wyobraźnia. Ostatnio bardzo się zaangażował w handel pomarańczami i choć rozmaici ludzie ostrzegali go przed wielkimi stratami, wciąż żywił niezłomne przekonanie, że pomarańcze przyniosą mu ogromne zyski, jak tylko opracuje właściwy dla nich transport, taki, który uchroni je przed niszczeniem w drodze. Dzielił więc czas między Los Angeles i Sacramento, gdzie ślezczał nad planami prototypu przewoźnej chłodni.

Jesteśmy teraz tak szalenie zajęci, skonstatowała w duchu i wstała z ławki. Nie mamy już czasu żyć.

Szła do domu wykładaną kamieniami ścieżką i myślami wróciła do szpitala. Jak zwykle główną bolączką były wciąż finanse. To wymarzone i niezwykle przydatne ogrzewanie na parę nadal nie wyszło poza sferę planów. Za każdym razem,

gdy szpital dostawał jakiś zastrzyk gotówki, okazywało się, że są pilniejsze potrzeby. A teraz jeszcze rosły naciski z zewnątrz, żeby otworzyć oddział okulistyczny.

Kiedy dotarła do gabinetu, natychmiast zasiadła za biurkiem, poprawiła okulary i jeszcze raz przejrzała notatki, które zrobiła z myślą o obronie Willelli. Stanton Weatherby zapewnił ją, że powód (ojciec dziewczyny) wycofa oskarżenie, jak tylko ujawnione zostaną wszystkie okoliczności sprawy (chytra sztuczka panienki). Teraz Samanta chciała więc poświęcić czas na to, by obmyślić jakieś mechanizmy ochronne, które w przyszłości zapobiegą takim właśnie wypadkom.

Wyczytała, że fałszywe poronienia stały się w miastach już tak nagminne, iż jeden z lekarzy w jakimś szpitalu nawoływał, by zamiast natychmiast kierować pacjentkę na operację, badać najpierw krew pod mikroskopem. Takie badanie stanowiłoby najlepszy dowód, czy poronienie rzeczywiście jest w toku — w czerwonych ciałkach krwi kurczaka widać jądro, w ludzkiej krwi go nie ma. Samanta wzięła pióro i zaczęła pisać.

Nigdy cię już nie ma w domu, Sam. Można cię zobaczyć wyłącznie wtedy, jak człowiek zachoruje, myślała Hilary, wpatrując się w telefon.

Wstała zza biureczka. Narzuciła na siebie szlafrok. Każdemu jej stąpięciu towarzyszył cień młodej kobiety, która już dawno straciła młodzieńczą wiotkość. Hilary oglądała krytycznym okiem swoje zaokrąglone kształty. Od lat nie siedziała na koniu, a z łuku strzelała raptem raz na kilka miesięcy. Zaczynała przemieniać się w rozlazłą ropuchę. Patrzyła na siebie ze wstrętem.

Rozgoryczeni nie widzą obiektywnie. Jej nasilające się rozczarowanie życiem zniekształcało oglądany obraz. Hilary była teraz równie śliczna i atrakcyjna jak dawniej; kto wie, czy nawet nie bardziej? W gruncie rzeczy te kilka kilogramów więcej dodawało jej iście dziewczęcego uroku — kiedy się uśmiechała, w policzkach Hilary tworzyły się dołki i naprawdę wszyscy wokół mówili, że wygląda cudownie. Ale nie podnosiło jej to wcale na duchu — była niezadowolona ze swojego wyglądu.



Ciężko opadła na stołek przy toalecie i spojrzała na małe kartonowe pudełko.

Uniosła lakierowane wieczko i spojrzała na dziwny przyrząd, który leżał w środku. Kiedyś bardzo ją ekscytował i bardzo się nim cieszyła; teraz budził w niej gwałtowną nienawiść. Pozorne bezpieczeństwo jest gorsze od jawnego zagrożenia. To przez to małe urządzonek znów nosiła niechciane dziecko.

Antykoncepcja, choć stara jak świat, w Ameryce była nielegalna. Podczas gdy w Europie kobiety swobodnie korzystały z kważków dopochwowych i kapturków szykowych, Amerykanki zmuszone były uciekać się do nader zawodnych środków, jakich używały jeszcze ich babki i matki — wkładek z gąbki nasączanych chininą, czopków z plastra pszczelego, naszyjników z czosnku. Kiedy do Nowego Świata dotarły wreszcie wieści o nowym europejskim wynalazku, wśród kobiet zapanowało szalone ożywienie. Te nieliczne kważki, które zdołano przeszmuglować przez granicę, osiągały zawrotne ceny. Do Szpitala Miejskiego co miesiąc zgłaszały się setki kobiet po ten nowy środek antykoncepcyjny, ale kierownictwo szpitala miało związane ręce — rozprowadzanie kważków równało się z natychmiastowym cofnięciem licencji na prowadzenie placówki.

Samanta bez końca zmagala się z tym dylematem. Z jednej strony chciała pomóc pacjentkom, z drugiej natomiast nie mogła narażać szpitala na zamknięcie. Od czasu do czasu udawało się jej i personelowi wyposażyć niektóre z kobiet we wkładki z gąbki i strzykawki pod pozorem kuracji infekcji pochwowej. Tak naprawdę gąbki nasączane były płynem plemnikobójczym. Działanie to niosło ze sobą ryzyko i wszystkie lekarki bały się wykrycia jak ognia, lecz gdy trafiała do nich jakaś wyniszczona, sterana życiem kobieta, która z rozpaczą w głosie zapowiadała, że jeśli znów zajdzie w ciążę, popełni samobójstwo, nie mogły zostawić jej bez pomocy. A kiedy Hilary zwróciła się do Samanty z prośbą o środek antykoncepcyjny, Samanta bez wahania ofiarowała przyjaciółce gąbeczkę i plemnikobójczą galaretkę.

Gąbeczka działała bezbłędnie przez całe sześć miesięcy — o tym Dariusz naturalnie nie wiedział — aż wreszcie pewnej nocy zawiodła. I ten jeden raz wystarczył. Urodził się Korneliusz.

Później Hilary, dzięki staraniom innej przyjaciółki, zdobyła nielegalny krążek. Samanta założyła jej krążek i objaśniła, jak go używać — doskonale wiedziała, że gdyby ktokolwiek to odkrył, obie natychmiast trafiłyby do aresztu. To cudowne francuskie urządzenie spisywało się świetnie przez dwa lata, ale i ono zawiodło. Hilary czuła, że doszła do kresu wytrzymałości.

Ze znużeniem zakryła pudzderko, schowała je w sekretnej szufladzie i wstała. Skronie wciąż boleśnie jej pulsowały.

Wróciła do łazienki i wyjęła z szafki butelkę „Przyjaciela”.

## 2

Samanta czuła gniew.

Nie był to pierwszy tego typu przypadek, z jakim zetknęła się w szpitalu. Na oddziały trafiało tyle kobiet z podobnymi objawami, że aż nie chciała o tym myśleć. Patrzyła na bladoniebieskie powieki, spokojną, uśpioną twarz dziewczyny i zaklęła w duchu: A niech ich wszystkich wreszcie diabli porwą!

Wyprostowała plecy. Wyglądało na to, że dziewczyna wygrzebie się z tego, choć jeszcze rano była o włos od śmierci. Dzięki Bogu, Willella okazała przytomność umysłu, przepłukała dziewczynie żołądek i tym samym uratowała jej życie. Teraz Samanta musiała czekać, aż pacjentka się zbudzi; jej obowiązkiem było poinformować dziewczynę, że nadal jest w ciąży. „Regulator cyklu”, który pewnie nabyła gdzieś w pobliskiej aptece, nie przyniósł spodziewanych skutków.

Samanta złożyła słuchawki i wsunęła je do kieszeni spodnicy. Coraz częściej miała do czynienia z niezamierzonymi przedawkowaniami rozmaitych aptecznych specyfików. Coraz więcej niewinnych dziewcząt i kobiet albo się uzależniało

od jakiegoś środka, albo zatrzymało się śmiertelnie lekiem, który miał być „zdrowy i nieszkodliwy”.

W zamyśleniu spojrzała na rząd szpitalnych łóżek. Naliczyła co najmniej dwanaście pacjentek, które trafiły tu na skutek sprzedawanych w aptekach, patentowych, czyli przemysłowo wytwarzanych leków. Dziesięć innych cierpiało na choroby ginekologiczne, z którymi medycyna nie umiała sobie jeszcze radzić. Cztery kolejne były przypadkami hysterii — dolegliwości tych kobiet miały podłoże psychiczne, a nie fizyczne. Dwóch kolejnych nie sposób było w ogóle zdiagnozować. Z czterdziestu, osiem musiało umrzeć, dziesięć należało poddać operacji, a spośród nich jedynie osiem miało szanse przeżyć. Wiedziała, że piętnaście opuści szpital w stanie niedoleczenia — wyjdą stąd skazane na wieczną dolegliwość tego czy innego rodzaju — i wreszcie reszta leżących na sali dzięki szczęściu czy medycznej interwencji odzyska zdrowie.

Nie zadowalały jej te proporcje.

Tymczasem postanowiła wrócić do gabinetu. Co kilka kroków przystawała jednak przy łóżkach, żeby zamienić kilka słów to z tą, to z ową pacjentką. Zatrzymała się przy doktor Lovejoy, by omówić z nią wielkiego włókniaka u jednej z pacjentek, przejrzała jadłospis sporządzony przez Charity Ziegler i kolejny raz wysłuchała opowieści o tym, jak to znów na stole sekcyjnym znaleziono urzędnego stróża. Kiedy wreszcie, marząc o filiżance herbaty, dotarła do gabinetu, siostra Constance przekazała jej wiadomość, że w pokoju badań czeka na nią nowa pacjentka.

Samanta udała się na spotkanie z pacjentką. Ujrzała pulchną matronę, w niemodnej już turniurze i kapeluszu przybranym strusimi piórami, które ledwie mieściły się w pokoju. Kobieta była pogodna, krzepka i nie okazywała cienia nieśmiałości tak charakterystycznej dla pacjentek w czasie pierwszej wizyty. Od razu poinformowała ją, że wcale nie jest chora i przyszła tylko o coś panią doktor zapytać. Miała pięćdziesiąt dwa lata, od roku już nie miesiączkowała, ale znowu zaczęła krwawić i chciała wiedzieć, czy może jeszcze zająć w ciążę.

Samanta przywołała na usta zawodowy uśmiech. Objawy kobiety bynajmniej nie wskazywały na to, że nagle wróciły jej dni płodności. Pomogła pacjentce wejść na stół, zbadała ją delikatnie i potwierdziła swoje najgorsze obawy. To był rak.

Jakiś czas jeszcze siedziała z panią Paine, podsuwając jej na zmianę to sole trzeźwiące, to chusteczkę do nosa, aż wreszcie szarpnęła za pas dzwonka. Przykazała siostrze Hampton, żeby w jednym z prywatnych saloników zajęła się pacjentką. Kiedy siostra wyprowadziła panią Paine, Samanta nie od razu wstała z krzesła.

Nie można było usunąć zaatakowanej rakiem macicy, nie uśmiercając jednocześnie pacjentki. Operacja nie ograniczała się do jednego tylko organu, a tkanka nowotworowa silnie krwawiła. Nawet przy zwykłych włókniakach histerektomia była wysoce niebezpiecznym przedsięwzięciem — co piąta kobieta przypłacała ją śmiercią. Pani Paine usłyszała przed chwilą nieodwołalny wyrok.

Ktoś nieśmiało zastukał. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa siostry Constance.

— Doktor Hargrave...

— Słucham, Constance.

— Przyszedł do pani jakiś Chińczyk. Mówi, że to pilne.

Pilne sprawy nie były niczym nowym, ale Chińczyk! Odwróciła się i zobaczyła służącego Gantów. Był wyraźnie wytrącony z równowagi.

— Pani Gant bardzo ciężko chora. Iść ze mną.

Samanta zerwała się na nogi.

— Kto?

— Duża pani Gant. Iść ze mną szybko, proszę.

Szła za nim korytarzem, dziwiąc się, że cienki chiński warkoczyk sterczy sztywno mimo szybkiego chodu jego właściciela, i czuła, jak ogarnia ją coraz większy niepokój. Zostawiła szpital pod pieczę doktor Canby, wsiadła do powozu Gantów i ruszyła przed siebie w zapadający zmierzch.

W drzwiach czekała na nią gospodyni. Zawsze nienaganie wyglądająca pani Mainwaring była mocno wzburzona i nerwowo wyłamywała sobie palce. Zaprowadziła Samantę

po schodach i przez wykładany grubymi dywanami korytarz piętra do drzwi na samym jego końcu. Zastukała.

— Przyjechała doktor Hargrave — powiedziała ściszym głosem.

Drzwi otworzyła Elsie. Samantę uderzyła bladość pokójki.

— Co się stało, Elsie? — zapytała, spieszenie zrzucając z ramion płaszcz. Ale zanim Elsie zdążyła odpowiedzieć, sama zobaczyła nieprzytomną Hilary na łożku.

— Och, doktor Hargrave! — pisnęła zrozpaczona Elsie, depcząc Samancie po piętach. — To było takie straszne! Pani spadła ze schodów!

Samanta przeprowadziła podstawowe badanie; tętno Hilary było słabe i wolne, skóra wilgotna, ręce zimne jak lód, usta sinawe, a źrenice zwężone.

— Jak to się stało, Elsie? — zapytała i sprawdzała, czy Hilary nie połamała kości.

Wyglądało na to, że Elsie zaraz wyłamie sobie palce ze stawów.

— Pani Gant od rana zachowywała się dziwnie. Nie mogłam jej wcale dobudzić, a potem chodziła taka jakby przyćmiona... Cały dzień spędziła w sypialni. I dopiero niedawno usłyszeliśmy wielki huk, a jak przybiegliśmy to już leżała pod schodami!

Samanta zmarszczyła czoło.

— Co masz na myśli, mówiąc, że chodziła „przyćmiona”, Elsie? Możesz to jaśniej opisać?

— No, tak się jakoś snuła... Mówiła, że strasznie ją boli głowa. I chciało jej się pić. Nie nadażalam napełniać dzbanka. Och, doktor Hargrave, czy ona umrze?

— Muszę wiedzieć, czy coś zażywała. Brała jakieś pigułki, jakieś lekarstwa?

— O, to! — Elsie podsunęła Samancie pustą butelkę po „Przyjacielu każdej pani”.

Samanta ściągnęła brwi i wgłębiła się w drobny druk na etykiecie. „Gwarantowane uwolnienie od depresji i smutków. Usuwa uczucie zagrożenia typowe dla stanu ciąży.”

— Ile tego wypija, Elsie?

— Wczoraj wieczorem była cała butelka, pani doktor. Samanta wpatrywała się w etykietę. „Uczucie zagrożenia...”

— Wiesz, kiedy ją kupiła?

— Tę butelkę? Chyba wczoraj. Jak skończyła poprzednią.

Samanta uniosła głowę.

— Poprzednią? Chcesz powiedzieć, że pani Gant zażywała tego już wcześniej?

— Bierze to od jakiegoś czasu. Chyba od ostatniej ciąży. Tak, od czasu jak nosiła małego panicza. Wyzdrowieje, pani doktor?

— Tak, Elsie — odparła spokojnie. — Wyzdrowieje, musimy tylko mieć dużo czarnej kawy. Bardzo mocnej. — Spojrzała na zaleknioną pokojówkę. — Elsie?

— Już leczę, pani doktor! — Służąca wybiegła z sypialni, szczęśliwa, że może coś zrobić, a Samanta znowu spojrzała na butelkę. Już wcześniej miała do czynienia z ofiarami toniku firmy Farmer's. Mikstura była mocno zaprawiona opium, choć na etykiecie o tym nie informowano. Nie znalazła też choćby jednej wzmianki, jaka jest dopuszczalna dobową dawką tego specyfiku.

Patrzyła na uśpioną twarz przyjaciółki i serce ścisnęło się jej z bólu. Och, Hilary...

Razem z Elsie przez godzinę ciężko pracowały, starając się docucić Hilary — masowały jej stopy i dłonie, wymachiwały energicznie jej nogami i ramionami, klepały ją po policzkach. Hilary na moment odzyskiwała przytomność, a już za chwilę znów się im wymykała; powieki jej drżały, jęczała. Samanta tylko wówczas przerywała zabiegi, gdy chciała sprawdzić tętno przyjaciółki — serce biło coraz żywiej. Wreszcie Hilary zaczęła normalnie oddychać, zniknęło zasinienie warg.

Kiedy się w końcu ocknęła i ospale otworzyła oczy, Samanta podtrzymała ją ramieniem i zaczęła jej wolno wlewać mocną kawę do ust. Hilary zakrztusiła się, odkaslnęła.

— Och, jak ja się czuję... — jęknęła. — Co się stało?

— Spadłaś ze schodów.

- Spadłam? Nie pamiętam...
- Na szczęście byłaś tak odurzona, że leciałaś jak gumowa lalka. Mogłaś sobie skrócić kark.
- Odurzona? — Hilary usiłowała skupić spojrzenie na twarzy Samanty. Miała wrażenie, że nie czuje własnego ciała.
- Odurzona?
- „Przyjaciółka każdej pani.” Chyba wypijała całą butelkę naraz.

Hilary jęknęła.

— Zbudziłam się z takim bólem głowy. Najwyraźniej straciłam poczucie tego, ile biorę...

— Masz, pij kawę. To cię obudzi. Musimy podać ci coś, co zwalczy działanie opium.

— Opium? Nie brałam żadnego opium... Co ty! Nawet by mi do głowy nie przyszło...

— Pewnie, że nie. Nie wzięłabyś, gdybyś o tym wiedziała. Ale „Przyjaciółka” firmy Farmer's zawiera tego dużo.

Hilary zamrugała wyraźnie zdezorientowana. Upiła łyk kawy i oblizwała wargi.

— Nie... Mylisz się. To tylko tonik na wyciągach roślinnych. Tu tak napisali... Samanto, czuję się fatalnie. Straciłam dziecko?

Samanta przyjrzała się przyjaciółce. Hilary nic jej nie mówiła, że jest w ciąży.

— Nie kochanie, dziecku nic się nie stało.

Kiedy Hilary oparła głowę na jej piersi, Samanta odstawiła filiżankę z kawą i pogłaskała miętutkie kasztanoworode włosy przyjaciółki. Długo tuliła ją do siebie.

Z odrętwienia wyrwało ją stukanie. Wstała z krzesła, na którym siedziała od dwóch godzin, i otworzyła Dariuszowi drzwi. Miał na sobie żeglarski blezer, białe spodnie i czapkę z daszkiem.

— Samanto! Pani Mainwaring powiedziała mi...

Przytknęła palec do ust.

— Zejdźmy na dół.

— Nic się jej nie stało? Pani Mainwaring mówiła, że Hilary spadła ze schodów.

Łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie możemy jej teraz przeszkadzać. Porozmawiamy na dole.

W salonie Dariusz stanął przed kominkiem; jego cień wypełnił pokój i tańczył z płomieniami. Usiadła naprzeciwko niego i mocno zacisnęła ręce.

— Hilary wypija lekarstwo, po którym nie wiedziała, co robi — wyjaśniała spokojnie. — Straciła równowagę i upadła.

— Co to za lekarstwo?

— Takie, które podobno ma leczyć depresję. Wiedziałaś, że Hilary cierpi na depresję?

— Nie, nie wiedziałem... — Dariusz usiadł w fotelu. — Ostatnio rzadko bywam w domu, ale przecież gdyby cierpiała na depresję, chyba powiedziałyby mi o tym, prawda?

Samanta westchnęła.

— Jestem jej najlepszą przyjaciółką, a też nie miałam pojęcia, że Hilary ma kłopoty. Dariusz, to lekarstwo przeznaczone jest przede wszystkim dla ciężarnych. Czy Hilary źle znosi tę ciążę?

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

— Nie wiedziałem nawet, że jest w ciąży.

Samanta zamyśliła się i przypomniała sobie, że poprzedniego dnia Hilary szukała jej w szpitalu, tylko że ona akurat była przy operacji. Chciała nawet zadzwonić do niej wieczorem, ale tymczasem wyniknęła sprawa z doktor Canby... Przypomniała sobie też i inne rzeczy — straszny nastrój Hilary w czasie ostatniej ciąży, sekretnie zdobyty krążek, jej nadzieję, że wreszcie skończy się to wieczne noszenie i rodzenie dzieci. I nagle wszystko zrozumiała.

Coś ją zakłuło boleśnie. Potrzebowała mnie, a mnie przy niej nie było!

— Dariuszu — zaczęła cicho — zawiedliśmy ją. Ty byłeś zaprzątnięty pomarańczami, a ja szpitalem.

— Ale przecież Hilary ma co robić! Ma swój Komitet Pań, ma sześcioro dzieci i dom, którym się trzeba zająć!

— Może wcale jej to nie wystarcza? Albo nie tego chce? Od dłuższego czasu była nieszczęśliwa, a myśmy tego w ogóle nie zauważyli!



— Nie rozumiem. Dlaczego miałyby być nieszczęśliwa? Zwłaszcza jeżeli znowu jest w ciąży. Powinna skakać ze szczęścia pod sufit!

— A może ona nie chce mieć więcej dzieci?

— To absurd!

— Wiedziałaś, że używa środków antykoncepcyjnych?

Patrzył na nią zupełnie zaskoczony.

W tym momencie Samancie przysłała do głowy zupełnie nowa myśl. Spadła ze schodów... Czy ten upadek był całkiem przypadkowy?

— Dlaczego, na miłość boską? — wydusił z siebie Dariusz. — Dlaczego miałyby nie chcieć następnego dziecka?

— Posłuchaj... — Ujęła jego rękę. — Hilary jest dobrą żoną i matką, ale chce czegoś więcej. Od naszego pierwszego spotkania przed laty połowę czasu spędziła tu w tym domu, zamknięta jak więzień. Doszła już chyba do kresu wytrzymałości. Chce być wolna.

— Wolna? Wolna od czego?

— Od niekończących się ciąży.

— Ależ to jest przecież celem życia kobiety!

— Ona ma już sześcioro dzieci, Dariuszu. Spełniła swój kobiecy obowiązek.

— To nie jest w porządku. — Mruknął rozgoryczony. — Używała środków antykoncepcyjnych bez mojej wiedzy. Chyba mam jeszcze jakieś prawa!

— Ona też je ma. Ma prawo być wolna. Antykoncepcja jest dla niej wyzwoleniem, dlatego po nią sięgnęła.

— Nie rozumiem, Sam.

— Wydaje mi się, że antykoncepcja jest najdobitniejszym aktem wyzwolenia kobiety. Dopóki będziesz ją mógł zapładniać, będzie się czuła od ciebie zależna. Ale jeśli wyzwoli się spod tej tyranii, ogłosi tym samym swoją wolność. — I myślę, dopowiedziała sobie w duchu, że kupując te butelki pocieszenia, ogłosiła też swą niezależność ode mnie.

Patrzył na nią, jak rażony gromem.

— To znaczy, że ją straciłem?

Poczuła nagły ból, bo przed chwilą i ją uderzyła ta myśl.

— Nie, nie straciłeś jej wcale — odparła spokojnie. — Nadal ją masz, masz też swoje małżeństwo i miłość, którą dzielicie.

— Nie, jeżeli Hilary nie chce już moich dzieci.

— Tu nie chodzi wyłącznie o dzieci. Problem jest dużo głębszy. Sięga korzeniami dnia, kiedy dziewięć lat temu Hilary cichaczem przyszła do mnie do gabinetu, a o operacji powiedziała ci dopiero po fakcie. Od tamtego czasu walczyła o swoją niezależność. Hilary chce zdobyć odrobinę wolności, ale chciałyby do niej dojść w sposób uczciwy.

— Nie rozumiem. Myślisz, że chce rozwodu?

— Kobieta może być zameżna i wolna zarazem.

Dariusz tylko zmarszczył czoło. Samanta mówiła dziwne rzeczy. Zupełnie jakby zupa mogła być jednocześnie zimna i gorąca.

— Ona mnie już najzwyczajniej nie chce.

— Porozmawiaj z nią. To, że chce być wolna, nie znaczy, że kocha cię mniej niż w dniu waszego ślubu. Porozmawiaj z nią i słuchaj uważnie, co mówi.

Niepewnie skinął głową.

— Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

Samanta uśmiechnęła się przelotnie. Wstała z fotela i obciągając spódnice, pomyślała: Ja już wiem, co teraz muszę zrobić.

### 3

Zatrzymała się tuż za progiem, żeby po jasnym słońcu wrześniowego popołudnia przyzwyczać wzrok do mroku.

Ten sklep drogeryjno-apteczny nie różnił się niczym szczególnym od innych w mieście. Na półkach, od podłogi do sufitu, stały najrozmaitsze butelki i pudełka. W oszklonych ladach widać było środki medyczne i wody kolońskie; sklep miał również saturatory i kilka wysokich stołków, a na dużym lustrze napisy reklamujące Coca-Colę, Bromo Seitzer

i Moxie. Na blatach lad, między wystawionymi medykamentami, znajdowało się urządzenie do sprzedaży znaczków, specjalne stanowisko, gdzie przyjmowano klisze filmowe do wywołania, a na obrotowej półeczce — okrągłe płyty fonograficzne. Paru klientów oglądało wystawione towary, a jedna osoba odbierała z rąk aptekarza zawiniętą paczuszkę. Samanta postanowiła się najpierw rozejrzeć.

Medykamentów było zatrzęsienie. Wszystkie obiecywały skuteczne wyleczenie najróżniejszych chorób, począwszy od pękniętego paznokcia u nogi, skończywszy na raku mózgu. Etykieta na butelce „Gono” zapewniała, że klient trzyma w ręku „niezrównany specyfik, który usuwa wszelkie stany zapalne i nietypowe wydzieliny, leczy rzeżączkę i śluzowo-ropny wyciek z cewki po rzeżączce”. Na pudełku „Odcudzających tabletek pudrowych” firmy Dr Rosę znalazła inwokację do „Tłuściutkich” i zapewnienia o gwarantowanym zrzuceniu nadwagi „w stosunkowo krótkim czasie”. „Środek Barry’ego” obiecywał przywrócenie utraconych włosów; firma Sozodont gwarantowała, że używanie ich specyfiku „wzmocnia i pielęgnuje zęby”; „Nalewka z żelazem” niejakiego Browna obiecywała zatrzymać „szkodliwe procesy w wątrobie, nerkach i jelitach”, a pani Lydia Pinkham gwarantowała, że w każdej butelce jej „Roślinnej mieszanki” siedzi potencjalne dziecko. Można tu było znaleźć tuby maści z winianem antymonylo-potasowym, które zatroskani rodzice mieli wcierać synom w genitalia, żeby zapobiec masturbacji pociech, butelki z „Kompanem pechowców”, który jakoby leczył kiłę, i tampony dopochwowe zawierające „cudowny środek, który na pewno przywróci cykl miesięczkowy zaburzony napięciem nerwowym bądź innymi przyczynami”.

Samanta z wolna przesuwiała się wzdłuż lady, przystając, żeby obejrzeć z bliska strzykawkę i igły, Żanety do lewatywy, wśród których widać było „Kojący opiat na winie” i wkładki, mające „powiększyć i upiększyć biust”. Powoli zbliżała się do kasy, przy której aptekarz o rybiej twarzy doradzał coś starszej pani, aż wreszcie zatrzymała się przed wystawką ustawionej w piramidkę „Cudownej mieszanki Sary Fenwicko-

wej". U stóp owej piramidki leżały schludnie ułożone broszury, a obok nich kartka z napisem: „Wolne od opłaty. Weź i przeczytaj”.

Wzięła jedną z butelek i zagłębiła się w druk na etykiecie. Producent cudownej mieszanki roślinnej zapewniał, że jej ingrediencje pokrzepią, wzmocnią i odmłodzą każdą panią, a poza tym wyleczą wszelkie choroby kobiece. Nie znalazła natomiast ani słowa o składzie tego działającego cuda środka.

Zainteresowała się broszurą. „Każda pani może być dla siebie lekarzem” — wyczytała w pierwszym akapicie. „Sama się może wyleczyć bez potrzeby obnażania przed obcym swoich intymnych problemów i narażania na szwank niewieściej skromności podczas badania lekarskiego. Czy Pani chce opowiadać nieznanemu mężczyźnie o swych najbardziej kępujących dolegliwościach? Czy dobrze się Pani czuje, siedząc przed obcym i zwierając mu się ze spraw, o których winna wiedzieć jedynie kobieta? Pod żadnym względem nie jst to sytuacja naturalna, gdyż stoi w wyraźnej sprzeczności z niewieścią subtelnością i wrodzonym poczuciem skromności. Każda prawdziwa kobieta musi odczuwać straszliwe przerażenie na myśl, że miałyby wyznać swe najbardziej osobiste kłopoty mężczyźnie, nawet wówczas, kiedy mężczyzna jest lekarzem. Pani Fenwickowa świetnie rozumie te sprawy, gdyż tak jak i Wy jest kobietą. Napiszcie więc, Panie, do niej po bezpłatną poradę. Żaden mężczyzna nie zajrzy do Waszych listów. W naszym biurze nie zatrudniamy nawet chłopców na posyłki. Całą korespondencją zajmują się wyłącznie kobiety — one czytają listy i odpisują na nie. Zatrudniamy wyłącznie kobiety!”

Dalej przedrukowywano fragmenty listów wybrane z „niezwykle obfitej korespondencji, napływającej z całego kraju”.

Pani G.V. ze Scranton pisała:

„Przez długie lata cierpiałam na ciągłe dolegliwości macicy. W ciągu czterech lat dostałam pięć guzów i bez końca odwiedzałam lekarzy. Ale wizyty w lekarskich gabinetach nic mi nie pomagały. Lekarze traktowali mnie niesympatycznie i tylko mi wciąż zapisywali morfinę. Mówili, że muszę się poddać operacji usunięcia macicy, ale właśnie wtedy dowiedzia-

lam się o pani Fenwickowej i zwróciłam się do Niej o radę. Zaleciła mi łyżkę stołową «Cudownej mieszanki» po każdym posiłku i w przypadku odzywiania się dolegliwości. Guzy natchmiast zniknęły. Czuję się teraz zdrowa i silna. Jestem też pogodna, a mój mąż codziennie wraca na noc do domu! Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że gdyby nie «Cudowna mieszanka Sary Fenwickowej», już by mnie na tym świecie nie było."

Samanta spojrzała na butelkę. Z tyłu opakowania odkryła drugą etykietę. „Szok związany z operacją jest zbyt wielki dla większości kobiet. «Cudowna mieszanka» rozpuszcza guzy macicy w sposób szybki i bezbolesny."

Zerkając na aptekarza, który dzwonkiem przy kasie ogłaszał dokonanie kolejnej sprzedaży, szybko odkorkowała butelkę i pociągnęła nosem. „Mieszanka" zawierała co najmniej trzydzieści procent alkoholu.

Odstawiła ją na miejsce, odłożyła broszurę i patrzyła na nie w zamyśleniu. „Rozpuszcza guzy macicy..."

— Czym mogę służyć szanownej pani?

Spojrzała na aptekarza.

— A, tak... Poproszę „Przyjaciela każdej pani".

— Służę łaskawej pani. — Sięgnął na półkę za sobą i zdjął z niej butelkę.

Samanta wzięła ją do ręki i przeczytała informację na etykiecie.

— Czy to bezpieczne lekarstwo? — zapytała.

— Gwarantowanie bezpieczne.

— Dla kobiety w ciąży?

— Właśnie z myślą o takich niewiastach zostało sporządzone.

— Wezmę.

Aptekarz zaczął zawijać butelkę w kwadratowy arkusz brązowego papieru, a tymczasem Samanta, jakby mimochodem, oglądała zawartość półek za jego plecami.

— „Listerine"... — mruknęła. — Przypadkowa zbieżność z nazwiskiem doktora Listera, jak sądzę?

— Nie ma tu nic przypadkowego, proszę łaskawej pani. Na ten pomysł wpadli dwaj sprytni chłopcy z Missouri. Dok-

tor Lister sprzedał im prawo do używania swojego nazwiska. Teraz on dostaje tantiemy, a ja produkt, który należy do najlepiej sprzedających się środków w aptece.

— Ma pan tu świetne zaopatrzenie.

— Staram się mieć wszystko, czego ciało może zapragnąć. — Odwinął sznurek ze szpuli, urwał kawałek i omotał go wokół zawiniątka. — Szanowna pani rozumie, jak to jest. Ludzie nie lubią chodzić do lekarza, żeby wydać dwa dolary i usłyszeć, że niestety lekarz nie może im pomóc. Przychodzą więc do mnie, mówią mi, co im dolega, a ja podsuwam coś odpowiedniego. Tak jest szybko, tanio, niekłopotliwie i skutecznie. O jakim lekarzu można to samo powiedzieć?

Sięgnęła do torebki i położyła jednodolarowy banknot na kontuarze. Rozległ się dzwonek otwieranej kasy.

— Ja, proszę szanownej pani, sprzedaję to, co ludzie chcą dostać. Weźmy na przykład panie z Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Robią tyle szumu na temat piwa, krzyczą, żeby zamknąć browary, a potem przychodzą do mnie i kupują „Roślinny tonik Parka”. Piwo ma co najwyżej osiem procent alkoholu, a tonik Parka aż czterdzieści jeden! — Odliczał resztę, wysypując monety w jej otwartą dłoń. — Hipokrytki, rozumie mnie pani dobrodziejka?

Wrzuciła bilon do torebki.

— Może nie wiedzą, co piją — zauważyła, wskazując butelkę z tonikiem, której nalepka krzyczała: „Bez alkoholu”. Sięgnęła po swój zakup.

— Albo weźmy, dajmy na to, tamten, którego sprzedażą zainteresowane jest duchowieństwo. „Balsam Gileadu”. Siedemdziesiąt procent alkoholu! Towarzystwo Wstrzemięźliwości mnie nie przestraszy. Oby tak dalej, proszę bardzo. Niech tylko zamkną bary w mieście, a wszyscy zaraz przybiegną do aptek!

Samanta kiwała głową z zainteresowaniem.

— Czy pan ręczy za środki, które pan sprzedaje?

— Oczywiście, łaskawa pani. Jeśli uważam, że coś nie jest dobre, nie sprowadzam tego.

— Czy pan ma świadomość, że lekarstwo, które przed chwilą tu u pana kupiłam, ma dużą domieszkę opium?

Zamruga! nerwowo.

— Co takiego?

— „Przyjaciółka każdej pani”. Zawiera dużo opium. Czy pan nie wie, że to szkodliwe dla kobiet w ciąży i ich nienarodzonych dzieci?

Upzejmość aptekarza wyparowała bez śladu.

— A kto mówi, że tam jest jakieś opium?

— Chyba ja.

— Nie ma o tym słowa na etykiecie.

— Niechże pan da spokój! Oboje znamy się na etykietach. Jestem tylko zdumiona, że pan z pełną świadomością gotów jest sprzedać klientowi szkodliwy dla zdrowia specyfik.

— W tej mieszance nie ma żadnego opium, droga pani.

— Sama chciałabym się o tym przekonać. Czy zechce mi pan podać adres wytwórcy?

— Tego nie mogę zrobić.

— Mam chyba prawo wiedzieć, co zażywam. Proszę mi podać adres zakładu Farmera.

Patrzył na nią lodowato.

— Jeśli pani się nie podoba to, co jest w lekarstwie, to niech go pani nie bierze.

— Skąd mam wiedzieć, z czego jest zrobione, skoro nie ujawniono składu na etykiecie, a pan albo sam nie ma o tym pojęcia, albo nie chce mi powiedzieć? Akurat przypadkiem wiem, że to lekarstwo zawiera niebezpieczny narkotyk. Jedna z tych butelek omal nie przyprowadziła o śmierć mojej przyjaciółki. To tak zwane lekarstwo wpędza w narkomanię Bogu ducha winne klientki. Myślę, że pana obowiązkiem jest albo je przed nim ostrzegać, albo usunąć butelki z apteki.

Wciąż nie odrywał od niej zimnych oczu.

— Myślę, że moim jedynym obowiązkiem w tej chwili — zaczął gniewnym niskim głosem — jest prosić panią, żeby pani natychmiast opuściła mój sklep. Nie podobają mi się te insynuacje.

Samanta odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem, a potem obrzuciwszy wzrokiem klientów aptekarza, mocno chwyciła butelkę i spokojnie wyszła.

\*

— Więc co zrobiłaś?

— Zostawiłam próbkę w szpitalnej pracowni analiz. „Przyjaciel każdej pani” zawiera więcej opium niż laudanum.

— Moja droga, czy mogłabyś stanąć w miejscu?

Samanta przemierzała gabinet, a Stanton Weatherby, jej wierny przyjaciel, spokojnie ją obserwował. Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała przez szybę. Miasto spowijała wieczorna mgła, a ulica Kearny nabrała złowieszczonego wyglądu — latarnie wyglądały jak wiszące lampiony, a powozy przeciskały się w tłoku niczym prehistoryczne stwory; gdzieś daleko słychać było klakson automobilu.

— Proszę cię, mów dalej — zachęcał ją Stanton.

Odwróciła się od okna.

— To już wszystko. Nic więcej nie mam do dodania.

Stanton jako jeden z członków rady zarządzającej szpitala i doradca prawny raz w tygodniu przychodził omawiać z Samantą bieżące problemy. Tego popołudnia jednak nie zasiadł jak zwykle do smacznej herbatki, gdyż zastał Samantę wzburzoną, a o herbacie nie było nawet co marzyć.

Znowu zaczęła spacerować tam i z powrotem.

— Byłam wprost przerażona, kiedy zobaczyłam to hochsztaplerstwo w aptekach! A aptekarze albo mają to wszystko głęboko w nosie, albo nie wiedzą, co sprzedają. Zresztą bez względu na przyczynę tego stanu rzeczy, ważne jest to, że klient jest narażony na szkody.

— Aptekarze działają zgodnie z prawem.

Przystanęła i popatrzyła mu w oczy.

— A owszem, zgodnie z prawem, ale tak być nie powinno! W ten sposób każdy może za pomocą zabarwionej wody i ładnej nalepki oszukać niewinnych ludzi. I może im jeszcze wyrządzić dużą krzywdę.

— Zabarwiona woda nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządziła.

— Ależ tak, Stanton! Właśnie tak! Te pseudolekarstwa powstrzymują ludzi od szukania fachowej porady!

Przyglądał się jej pięknym rysom i żałował, że odrzuciła jego zaloty.

— Nic na to nie poradzisz, Samanto.



— Ludzie mają prawo do informacji, Stanton. Mają prawo wiedzieć, co zawierają apteczne butelki. Być może z chwilą kiedy ostrzeżemy opinię publiczną, ktoś postara się o wprowadzenie ustawy, która nakazywałaby producentom leków umieszczenie składu na opakowaniach.

Stanton potrząsnął głową. Wstał i podszedł do okna. Minę miał sceptyczną.

— To ciężka bitwa, Samanto. Stowarzyszenie Farmaceutów ma silne lobby. Co roku do Kongresu wpływają projekty ustaw i umierają tam cichą śmiercią.

— Możemy zwrócić się o pomoc do prasy.

— Nic z tego. Gazety czerpią ogromne dochody z reklam medykamentów.

— Musi być jakiś sposób!

Spojrzał na nią i zakołysał się na piętach.

— Samanto, słyszałaś o Harveyu Wileyu?

— Tak, chyba tak. To szef departamentu chemii w Ministerstwie Rolnictwa?

— Wiley walczy z producentami i kupcami żywności, bo chce ich powstrzymać od skażania produktów, co robią po to, żeby zwiększyć zyski. Pakują ałun do chleba, żeby był cięższy, do cukru dosypują piasek, kawę mieszają z kurzem, mleko z kredą, puszkują nasączaną chemikaliami wołowinę... Ich pomysłowość jest wprost niewyczerpana. Sklepikarze i dostawcy, podobnie jak producenci leków, mogą swobodnie robić z żywnością to, na co im przyjdzie ochota, i nie muszą informować o tym klientów. Harvey Wiley prowadzi swoją krucjatę o to, by na opakowaniach z jedzeniem producent musiał napisać, czego do towaru dodał. Jak dotąd żaden z jego projektów nie przeszedł w Kongresie. A Harvey Wiley jest człowiekiem o niemałych wpływach.

— Stanton, musimy coś zrobić!

Weatherby myślał przez chwilę.

— To wolny kraj, Samanto. Producent leków może sobie dowolnie ustalać skład medykamentu. Rząd nie ma na to wpływu.

— Nie twierdzę, że powinien go mieć. Obstawiam wyłącznie przy tym, żeby ze względu na dobro konsumenta producent

umieszczał na leku informację, co ten lek zawiera. Ludzie mają prawo wiedzieć, co siedzi w lekarstwach, które w dobrej wierze kupują! Klient wchodzący do apteki ma prawo wiedzieć, na co wydaje zarobione pieniądze!

— Mówisz o interwencji rządowej.

— Wprost przeciwnie. Mówię o prawach obywateli. Ludzie muszą mieć wolny wybór, nie wolno skazywać ich na hochsztaplerstwo.

Stanęła obok niego przy oknie i wyrzała na ulicę.

— Stanton, od lat czuję, jak narasta we mnie oburzenie. Za każdym razem kiedy do szpitala trafia ofiara farmaceutycznego oszustwa, mam ochotę krzyżeć. Nadeszła już pora, żeby ukrócić ten interes!

Przyglądała się jej zdecydowanej twarzy. Tę minę znał na pamięć i wiedział, że nie odwiedzie już Samanty od jej planu.

— Co chcesz zrobić?

— Przede wszystkim będę pouczać wszystkie pacjentki szpitala, a później spróbuję dotrzeć do jak najszerzych mas. Ktoś mnie jednak usłucha...

## 4

Być może inni przyzwyczaili się do jego brzydoty, ale Adam wciąż do niej nie przywykł. Ilekroć zerkał w lustro, widok własnej twarzy napełniał go wstrętem. Dlatego właśnie nie trzymał lustra u siebie w sypialni i dlatego nigdy nie miał schludnie uczesanych włosów. Zdarzały się jednak takie sytuacje, kiedy nie mógł udawać, że nie wie, jak wygląda. W całym domu wisiły rozliczne lustra, w oknach były szyby, a przy wieżycze obserwacyjnej w ogrodzie znajdowała się mała sadzawka — wszystko to jakby szydziło z Adama, ukazując mu jego odbicie. I za każdym razem dwudziestodwuletni mężczyzna myślał: Ale ona tego wcale nie widzi.

Nie, Jenny nie dostrzegała szpetoty Adama. Tak jak potrafiła za urodziwą twarzą Warrena Dunwicha dojrzeć jego

nieczułą duszę, tak samo nie zauważała blizn na obliczu Adama — dla niej liczyło się jedynie jego kryształowe i nieskazitelnie piękne serce.

Adam już dawno doszedł do wniosku, że wypadek przy Telegraph Hill nie tylko go ogłuszył, oszpecił, ale i zamroził jego uczucia. Kiedy przed laty przytykał szmatę do zakrwawionej twarzy i patrzył, jak spod rumowiska wyciągają zwłoki jego ojca — zbyt był wówczas wstrząśnięty, by uświadomić sobie, iż nie słyszy ich krzyku — miał uczucie, że po wybuchu pył skalny i ziemia wnikają mu do gardła i niczym twarda skorupa osiadają wokół serca, opancerzając go już raz na zawsze. A w ciągu pierwszych miesięcy po wypadku, kiedy niešťczęśliwy i zapomniany przez świat sypiał w rynsztokach, zdany na pastwę ludzi, którzy wykorzystywali go na wszelkie sposoby, uwierzył, że umarł wraz z ojcem.

Aż wreszcie znaleźli go franciszkanie z misji i zabrali do ochronki, a z czasem załatwili mu miejsce w szkole dla głuchoniemych. Tam dowiedział się od dyrektora, że gdyby od razu został poddany medycznym zabiegom, oszpecenie twarzy nie byłoby tak rażące. Ale, jak dyrektor dodał ze smutkiem, na to już było za późno. Adam Wolff został skazany na życie w świecie cisy i na to, że do końca swoich dni będzie szokował każdego, kto na niego spojrzy.

Zatem kiedy zakończył nauki, postanowił zostać w szkole jako nauczyciel, gdyż wewnątrz jej zamkniętych murów, odizolowany od świata, nie narażał się na spojrzenia normalnie wyglądających ludzi; jego uczniowie zaś, kiedy już przyzwyczaili wzrok, akceptowali go takim, jaki był.

Nie wiedział, kiedy poczuł, że mu doskwiera samotność. To, że jest sam jak palec, zrozumiał tego dnia, kiedy uciekł z kamieniołomu i ukrył się w uliczkach North Beach, ale samotność, świadomość, że jest inny, naprawdę inny niż jego głusi koledzy, zrodziła się gdzieś w okresie dojrzewania, w tym pełnym bólu okresie, kiedy patrzył na ładne dziewczęta w szkole wiedząc, że nigdy nie będzie mógł liczyć na ich zainteresowanie. Wtedy właśnie zaciął się w sobie jeszcze bardziej — skoro go nigdy nie zechcą, obejdzie się bez nich. Obejdzie się bez wszystkich ludzi na świecie. A kiedy wszedł

w wiek męski, stał się spokojnym, pełnym dystansu, zamkniętym w sobie mężczyzną.

Ale był przy tym wyjątkowo genialnym nauczycielem. Skazany na izolację od świata, nie mając przyjaciół ani życia towarzyskiego, Adam Wolff postawił na rozwijanie intelektu. Czytał, studiował, dociekał. Obserwował, uczył się i znajdował lepsze metody nauczania. Jego uczniowie szybciej niż inni opanowywali alfabet migowy, dzięki jego wrażliwości i oddaniu nawet najbardziej oporni spośród uczniów odnosili sukcesy. Z czasem przydzielano go do najcięższych przypadków, aż wreszcie zaczął prowadzić indywidualny tok nauczania. Kiedy więc dyrektor Wilkinson otrzymał list od Samanty Hargrave, kobiety, którą miał okoliczność kilkakrotnie spotkać i którą darzył głębokim podziwem, i dowiedział się o niewątpliwie trudnym przypadku jej córki, do nauki małej Jenny bez wahania wyznaczył Adama.

Adam z początku opierał się temu projektowi, bał się ponownego kontaktu ze światem, ale po jakimś czasie uznał tę ofertę za wyzwanie — kolejne z wielu w swoim życiu — i zdecydował, że podda swoje umiejętności egzaminowi. A właściwie sprawdzi siebie samego i wreszcie się dowie, ile naprawdę jest wart.

Ludzie gapili się na niego wszędzie. Najpierw w dylizansie, potem na promie, w tramwaju i nawet na chodnikach Kearny Street. Kiedy dotarł do domu doktor Hargrave (jak się już zdażył z rozpaczą zorientować, z powodu źle odczytanego listu — wszystko przez rozmazany atrament! — o dwa tygodnie za wcześniej) przemoknięty i pełen niechęci, postanowił, że jeśli na twarzy osoby, która otworzy mu drzwi, zobaczy litość bądź odrazę, natychmiast odejdzie i wróci do szkoły.

Ale śliczna pani, którą ujrzał w progu, tylko się do niego uśmiechnęła, odebrała z jego rąk mokrą torbę i płaszcz i zaprowadziła go do kominka.

I w następnej chwili zdarzyło się coś niebywałego.

Zobaczył jedenastoletnią dziewczynkę, która w blasku tańczących płomieni patrzyła na niego dużymi oczyma jakby z roztopionego brązu. Ta chwila ciągnęła się w nieskończoność.

ność — on skępowany i mokry stał przy ogniu, a ona na niego patrzyła. Nagle drgnęła i podeszła do niego wolniutko, jak w transie, a potem stanęła tuż przy nim i zadarła głowę do góry. Uniosła ramię, dotknęła palcami jego nieszczęsnych policzków i uśmiechnęła się.

Adam wyczuł jakiś ruch za plecami. Odwrócił się i zobaczył, że kobieta przyciska ręce do ust, a na jej twarzy ujrzął mieszaninę zaskoczenia i radości. „Jenny! Ty się uśmiechasz!” — odczytał z ruchu jej warg.

Przeniósł wzrok z powrotem na dziewczynkę i zdawało mu się, że przeżywa najprawdziwszy cud.

Poczuł, jak nagle wyparowuje z niego gorycz i cynizm. Miał wrażenie, że patrząc na małą, doświadcza religijnego uniesienia. Zupełnie nieoczekiwanie przypomniała mu, że istnieje jeszcze dobro na świecie. On był Saulem z Tarsu na drodze do Damaszku i niczym opadające z oczu łuski, w jednej chwili padł mur otaczający jego serce — po raz pierwszy od jedenastu lat Adam był niekłamanie wzruszony.

Wszystko, czego doświadczył później, przywodziło mu na myśl fantastyczny sen: ciepła, serdeczna atmosfera domu; kontakty z doktor Hargrave — kobietą o czułym sercu — i z Jenny wpatrzoną w niego jak w boga, który zstąpił z Olimpu. Od doktor Hargrave dowiedział się, jakim zamkniętym i enigmatycznym dzieckiem jest mała Jenny, i zaczął uwalniać dziewczynkę z jej więzienia. Z początku nie szło to łatwo; alfabet migowy nie był w końcu zabawą. Ale wreszcie inteligencja małej i jej chęć porozumienia się ze światem zwyciężyły. Jenny zrozumiała.

Dni, tygodnie, pory roku mijały, ale Adam niemal nie zauważał upływu czasu. Głód wiedzy małej Jenny powodował, że jej nauczyciel wzbijał się wysoko, coraz wyżej. Sztuka, poezja, przyroda — wszystko to ciekawiło dziewczynkę i sprawiało jej ogromną radość. I było tak, jakby to on, Adam, ofiarował Jenny nowy świat. On obdarował ją tym wspaniałym bogactwem, a ona w zamian darzyła go uwielbieniem. O niczym innym nie mógł dotąd marzyć.

Aż do teraz.

Z ciężkim sercem szedł przez ogród do ławeczki, na której Jenny czytała wiersze Elizabeth Browning. Dziewczyna miała już dziewiętnaście lat. Była samodzielna, bystra, wykształcona i mogła dawać sobie radę w życiu. Nie potrzebowała go. Jego przydatność dla niej dobiegła już końca.

Stanął przy różanej altanie, by tam, nie zauważony przez Jenny, móc się jej swobodnie przyglądać.

Za każdym razem jej uroda robiła na nim wielkie wrażenie. Z przyjemnością obserwował, jak z dziewczynki, do której żywił braterskie uczucia, wyrasta prześliczna panna. Ostatnio jednak w jego sercu odezwały się dziwne tęsknoty — takie, jakich nie doświadczał od czasów, gdy sam był uczniem. Pewnego dnia odkrył, że przestał myśleć o Jenny jak o siostrze i widzi w niej przede wszystkim kobietę, a uczucie, które dla niej żywi, przekształca się z wolna w pożądanie. Cierpiał, kiedy zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje. Nie miał prawa się zakochać, nie w kimś takim jak Jenny.

Wyczuła jego obecność, oderwała wzrok od druku, spojrzała na niego, odłożyła książkę i wstała. Adama dławiła miłość i smutek. Co za niesprawiedliwość losu! Pragnął jej w sposób, jakiego nie była w stanie zrozumieć. Wiedział, że zawsze był i zawsze zostanie dla niej wyłącznie bratem. Chciał się odwrócić i odejść, ale nie potrafił. W sukni zwiewnej jak babie lato była taka wiotka, taka eteryczna. Jej gęste czarne włosy opadały na ramiona, na oczy, na usta...

Wyszedł z altanki i ruszył w jej stronę.

— Jak się masz! — Pokazał na palcach. — Podobają ci się te wiersze?

Jenny odpowiedziała mu, migając smukłymi palcami.

— Tak. Dziękuję. To był wspaniały prezent. Usiądziesz ze mną?

Zawahał się. W kieszeni miał list, zaadresowany do dyrektora Wilkinsona, w którym zwracał się z prośbą o zgodę na powrót do szkoły. Chciał ten list jak najszybciej wysłać.

Usiadł koło niej i patrzył jej w oczy. Silne powiewy wiatru znad zatoki zdmuchiwały włosy z ramion dziewczyny; miał

nieprzeparłą ochotę zatopić ręce w jej kruczoczarnych lokach. Zmusił się do śledzenia tego, co Jenny mówi szybkimi palcami.

Alfabet migowy przyswoiła sobie z taką łatwością, jak inni uczą się mowy. Cieszyło go to. Szkoła w Berkeley uczyła również czytania z ruchu warg, ale Adam niechętnie brał się za tę metodę „widzialnej mowy” Grahama Bella, ponieważ tym samym nieuchronnie kierował uwagę rozmówcy na swoją zniekształconą twarz.

— Nie zauważyłam, żebyś się dzisiaj uśmiechnął — pokazała na migi, a potem pogroziła palcem, jak niegrzecznemu chłopczykowi.

Skrzywił twarz w bladym uśmiechu. Przedtem nie przeszkadzało mu, kiedy na niego patrzyła, ostatnio jednak czuł się nieswojo i gdyby tylko mógł, chodziłby w worku naciągniętym na głowę. Stał się niezwykle wyczulony na punkcie własnej szpetoty i uważał, że piękna Jennifer nie powinna oglądać aż tak nieestetycznych widoków.

Lekko dotknęła jego ramienia.

— Nie jesteś dziś szczęśliwy, Adamie. Dlaczego? Myślał długo i intensywnie. Musiał jej powiedzieć.

— Wracam do Berkeley, Jenny.

Rozpromieniła się.

— Mogę jechać z tobą?

— Nie. Nie jadę w odwiedziny; wyjeżdżam na stałe.

Uśmiech zniknął z jej twarzy; oczy spoważniały.

— Dlaczego?

— Czas na mnie. Spędziłem tu prawie osiem lat. Nauczyłem cię wszystkiego, co umiem. Nie mam po co zostawać tu dłużej.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem odwróciła twarz i zakryła ją rękami.

Smutek szybko minie, pomyślał. Niebawem będę dla ciebie już tylko wspomnieniem...

Zacisnął pięści w bezsilnym gniewie, że do dyspozycji ma tak ograniczone środki przekazywania uczuć i myśli.

Odwróciła do niego zalaną łzami twarz.

— Nie odjeżdżaj — pokazała na migi.

— Jestem potrzebny szkole.

— Mnie jesteś potrzebny.

Zamknął oczy. Zbyt wyraźnie wyobrażał sobie przyszłość. Wystarczy, że zniknie z widnokregu, a już kawalerowie zaczną pościg za Jenny. Sam widział, w jaki sposób mężczyźni na nią patrzą — w ich oczach czytał pragnienie i podziw. Jenny mogła spokojnie wyjść za męża i prowadzić normalne życie — nic nie stało temu na przeszkodzie. Adam przestał być dla niej niezbędnym tłumaczem, od czasu kiedy doktor Hargrave, pani Gant i pani Peoples opanowały alfabet migowy. Każdy konkurent mógł się tego nauczyć.

— Adamie, Adamie... — migała raz po raz.

Chwycił ją za nadgarstki.

— Nie jestem ci już potrzebny! — wykrzyknął. — Jestem ci kamieniem u szyi. Przez to, że ciągle masz mnie u boku, kawalerowie trzymają się od ciebie z dala! Daję ci wolność, Jenny!

Z uwagą śledziła każdy ruch jego ust, niewiele rozumiejąc z tego, co powiedział. Wreszcie wyrwała ręce z jego uścisku.

— Nie odjeżdżaj! — zamigała wzburzona. — Nie odjeżdżaj!

Przez zasłonę łez widział rozmazaną wieżyczkę w ogrodzie. W strachu, że nie wytrzyma, że rozpłacze się przy niej, zerwał się z ławki, zachwiał i szybkim krokiem wrócił do domu.

Jenny wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby nimi krzychała, i niemo szlochając, szaleńczo ruszała palcami. Uniosła palec wskazujący, środkowy i kciuk pokazując literę „K”, później zagięła wszystkie palce w kierunku uniesionego kciuka tworząc „O”, rozwarła je, żeby powstało „C”, podkurczyła najmniejszy i serdeczny, wyciągnęła środkowy i wskazujący, dołączając do nich równoległe kciuk, żeby przedstawić „H”...

Ale Adam nie widział jej błagania. Wpadł do domu, minął po drodze zdumioną gospodynię i wybiegł na ulicę, kierując się w stronę Fillmore Avenue, gdzie na rogu stała skrzynka na listy.



Samanta zerknęła na zegarek. Chciała zjeść lunch przed obchodem, ale na biurku piętrzyło się tyle papierzyśk, że szkoda jej było czasu na przerwę. Wśród wielu różnych spraw leżało tam zamówienie na hemostaty, nowe narzędzia chirurgiczne, które — jak wieść niosła — rewolucjonizowały operacje w jamie brzusznej, i między innymi zamówienie na parę gumowych rękawiczek. Pewien chirurg w szpitalu Johna Hopkinsa, niejaki doktor Halsted, w trosce o zniszczone karbolem dłonie szefowej instrumentariuszek ofiarował jej parę gumowych rękawiczek, które zakładała do operacji, i natychmiast odnotował gwałtowny spadek liczby pooperacyjnych infekcji. Samanta chciała wypróbować takie rękawice, więc wysyłała do Goodyear Rubber Company list z wymiarami dłoni. Na biurku znajdowało się też zamówienie — które najpierw co prawda musiała przedstawić do zatwierdzenia radzie nadzorczej szpitala — na aparat do prześwietlania ciała skonstruowany przez Roentgena; dzięki temu urządzeniu można było obejrzeć kości pacjenta bez chirurgicznej interwencji.

Wśród rozmaitych innych dokumentów leżało również zamówienie na dostawę antytoksyny przeciwdyfterytowej, wspólnego leku, który mógł uratować tysiące dzieci od śmierci. Niestety, dla małej Klary, pochowanej na wzgórzu San Francisco, tego cudownego wynalazku dokonano o jedenaście lat za późno.

Na biurku piętrzyła się też korespondencja, na którą trzeba było odpisać. Jakiś Szkot, John Muir, prosił o zastrzyk gotówki dla jego nowoutworzonego Sierra Club, pacjenci wyrażali wdzięczność, do kilku listów dołączono nawet przekazy pieniężne, a w jednym znalazła prośbę o adoptowanie małego Chińczyka. Wreszcie na biurko trafiły też odpowiedzi od wydawców czasopism i gazet, do których wcześniej zwróciła się z prośbą o wsparcie w walce z nieuczciwością farmaceutów. Stanton Weatherby miał rację — nikt z wydawców nie chciał mieć nic wspólnego z jej kampanią na rzecz kontroli składu leków.

Potrząsnęła głową. Biurko w domowym gabinecie, podobnie jak to szpitalne, aż się ugięło od najróżniejszych papierów.

Nagle jej twarz pociemniała. Dostrzegła list od dyrektora szkoły w Berkeley, który dostała raptem dzień wcześniej. Pan Wilkinson pisał, że Adam Wolff zwrócił się do niego z prośbą o umożliwienie mu powrotu do szkoły.

A więc zapewne stąd brał się nastrój Jenny! Trzy tygodnie temu, kiedy Samanta wychodziła do pracy, Jenny siedziała w ogrodzie i z ukontentowaniem czytała książkę; tego samego dnia wieczorem Jenny była już smutna, niekomunikatywna i miała zaczerwienione oczy. Adam nie zszedł na kolację i od tamtej pory w domu zapanował istic grobowy nastrój. Samancie nie udało się nakłonić ani córki, ani Adama do żadnych wyjaśnień, aż wreszcie, kiedy nadszedł list od Wilkina, zrozumiała, w czym rzecz.

Postanowiła po powrocie ze szpitala usiąść z nimi i szczerze porozmawiać.

Najpierw usłyszała pukanie do drzwi, a potem do gabinetu zajrzała siostra Constance.

— Doktor Hargrave? Przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy drobny kłopot. Dziś doktor Canby przyjmuje nowe pacjentki, ale wciąż jest zajęta na sali operacyjnej, a pewna pani czeka na nią w gabinecie przyjęć.

— Zaraz tam będę, Constance.

Kiedy Samanta weszła do gabinetu przyjęć, pacjentka wstała i wyciągnęła do niej obleczoną w rękawiczkę dłoń — zupełnie tak, jakby przyjmowała gościa na herbatce.

— Dzień dobry, pani doktor.

— Dzień dobry, proszę usiąść. — Samanta nauczyła się niepostrzeżenie przyglądać pacjentkom. Kobieta, którą miała przed sobą, była damą — o jej pochodzeniu świadczył każdy gest, każda sylaba, każde pasemko eleganckiej fryzury. Miała trzydzieści kilka lat, była urodziwa, szczupła, swobodna i na pierwszy rzut oka cieszyła się doskonałym zdrowiem. Samanta usiłowała odgadnąć, z czym do niej przyszła.

— Jestem od niedawna w San Francisco, pani doktor — zaczęła. — Dopiero co przyjechaliśmy z Saint Louis. Od-

wiedziała już wielu specjalistów, którzy nie robili mi żadnych nadziei, ale ponieważ Szpital Miejski ma tak znakomitą opinię, postanowiłam i tu spróbować szczęścia.

— Co pani dolega?

— Chcę mieć dziecko. Raz rodziłam, sześć lat temu, ale tuż po porodzie zapadłam na gorączkę połogową. Dziecko nie przeżyło, sama też omal nie umarłam. Od tamtej pory nie mogę zająć w ciążę. Oboje z mężem bardzo pragniemy dziecka.

— Rozumiem. Nie mogę nic powiedzieć, dopóki pani nie zbadam. Czy mąż wie, że pani jest dziś u mnie?

— O tak. Prawdę mówiąc, po tylu rozmowach z rozmaitymi lekarzami byłam gotowa zaniechać już wszelkiej walki, ale mąż bardzo nalegał, żebym odwiedziła ten szpital. Mój mąż bardzo wierzy w medycynę. — Uśmiechnęła się. — Sam jest lekarzem. Pracuje na wydziale medycyny na uniwersytecie.

— Jest z Saint Louis? Zastanawiam się, czy mogłam o nim słyszeć...

— Tak naprawdę jesteśmy z Nowego Jorku. Nazywa się Marek Rawlins.

Samanta wbiła w nią nieruchome spojrzenie.

— Co pani powiedziała?

— Mówiłam, jak się nazywa mój mąż... Marek Rawlins.

— To niemożliwe. Marek Rawlins nie żyje.

— Słucham? Czy pani go zna? Och, ta tragedia na morzu! To zdarzyło się na długo przedtem, zanim go poznałam. Marka i jedenastu innych pasażerów wyratowali rybacy.

Samanta czuła, że ogarnia ją dziwna drętwość. Spojrzała na swoje dłonie.

— Cały czas myślałam, że nie żyje.

— A więc znała go pani przed wieloma laty?

— Tak, bardzo dawno temu.

— Nie wiedziałam... Kiedy rozmawialiśmy o tym, że powinnam tu przyjść na konsultację, nic mi o pani nie mówił. Dobrze go pani znała?

Samanta podniosła głowę; w jej oczach zamigotały ostre błyski.

— Znałam jego rodzinę.  
— Ja natomiast nie poznałam rodziców Marka. Oboje umarli, zanim przyjechałam do Nowego Jorku.

— Rybacy...

— On i jedenastu innych pasażerów są jedynymi ludźmi, którym udało się ocaleć z katastrofy statku. Kiedy rybacy ich znaleźli, rozbitkowie od dwóch tygodni siedzieli w łodzi ratunkowej. Byli wyczerpani, chorzy i wyniszczeni psychicznie. Marek przez długie miesiące cierpiał na amnezję. Nikt w tej rybackiej wiosce, dokąd go zabrano, nie wiedział, kim jest ani z kim należałoby się skontaktować. Ale kiedy Marek z czasem odzyskał siły, pamięć wróciła mu prawie całkowicie. Jego powrót do Nowego Jorku stał się wydarzeniem. Dziwię się, że gazety San Francisco nie odnotowały tego.

— Być może pisano o tym i tutaj, ale przypadło to na sam początek mojego pobytu w Kalifornii i byłam bardzo zajęta... Cieszę się, że jest cały i zdrowy. Mówi pani, że odzyskał pamięć?

— Nadal istnieją pewne luki.

— Naturalnie. Musiał przejść najprawdziwsze piekło.

— Rozbitkowie mówili, że oddawał kobietom i dzieciom swoje racje żywności i wody. Dobrze go pani znała, pani doktor?

— Łączyły nas stosunki zawodowe. Miałam kiedyś okazję asystować mu przy operacji.

— Z całą pewnością powiem mu o pani. A co zrobimy w mojej sprawie?

Samanta zerknęła na zegarek.

— Niestety mam już następną umówioną pacjentkę, a zbadanie pani zajmie sporo czasu. Czy mogę panią zaprosić na jutro?

— Oczywiście.

Obie wstały.

— Mam nadzieję, że jutro będę mogła panią poinformować, jakie są państwa szanse na dziecko. Umówmy się na drugą, dobrze?

— Dziękuję bardzo, pani doktor. Do widzenia.

— Aleś mnie nastraszyła! Jak można tak stanąć w drzwiach i płakać!

Samanta nie słuchała podniesionego głosu Hilary. Kiedy pani Rawlins wyszła z gabinetu przyjęć, długo siedziała na krześle bez ruchu — nieporuszona, skamieniała. Nagle zerwała się na równe nogi, krzyknęła siostrze Constance, że musi wyjechać w bardzo pilnej sprawie, i czym prędzej udała się na California Street do Hilary. Jak oszalała waliła do drzwi. Jej wygląd zaskoczył panią Mainwaring. A kiedy Hilary zeszła na dół, Samanta powiedziała tylko: — On żyje.

Teraz, dwie godziny później, szok powoli mijał.

— Marek tutaj, w San Francisco... — szepnęła. — Na pewno mu już powiedziała. Hilary, on wie, że tu jestem! — Spojrzała w kierunku korytarza, jakby się spodziewała stukania do drzwi. — Nie mogę się z nim widzieć!

— Dlaczego?

— Bo najlepiej będzie, jeśli wszystko zostanie tak, jak do tej pory. Jest żonaty, a... — Opuściła głowę, powstrzymując płacz. — Boję się.

— Czego?

— W moich wyobrażeniach on mnie nadal kocha. A kiedy wieczorem leżę w łóżku i zamykam oczy, jesteśmy znowu razem, tak jak dawniej. Ale jak tylko zobaczę go naprawdę, wszystko natychmiast się zmieni. Zwłaszcza... zwłaszcza jeśli akurat mieszcę się w jednej z jego luk w pamięci. Nasza miłość, tygodnie, które spędziliśmy razem, nasze noce... Wszystko przestanie istnieć!

Hilary usiadła obok przyjaciółki. Też chciało się jej płakać. Czuła, jak narasta w niej potrzeba zażycia choćby łyżki „Przyjaciela”, ale nie miała ani kropli tej mikstury w domu. Jak tylko doszła do siebie po upadku ze schodków, pomyślała o dziecku. Dobrze, że go nie straciłam! Potem solennie obiecała Samancie, że nie weźmie już tego specyfiku do ust, ale ku swemu przerażeniu stwierdziła, że nie jest to tak łatwe, jak oczekiwała. Codziennie nachodziła ją nieprzeparata ochota na kolejną dawkę i codziennie musiała tę chęć z całej siły zwalczać. Wiedziała jednak, że wygra, bo wypadek na schodach nieźle ją wystraszył — wszystkich mocno wystraszył. Zwłasz-

cza Dariusza, który od tamtej pory otacza! ją czułością niczym pannę młodą.

— Boję się dwóch rzeczy — mówiła Samanta cicho. — Boję się, że mnie w ogóle nie będzie pamiętał, że wszystko, co nas kiedyś łączyło, jest już stracone na zawsze albo że wprost przeciwnie, nie zapomniał mnie wcale, a jego miłość jest nadal tak silna jak dawniej. Chyba nie zniosłabym tego, Hilary. Gdybym wiedziała, że Marek nadal mnie kocha, że czuje tę samą namiętność, to samo pożądanie... I miałabym żyć ze świadomością, że nigdy już nie będziemy razem i nawet nie możemy się dotknąć...

Siedziały przez chwilę pogrążone we własnych myślach.

— Wiesz, że musisz dla niej zrobić wszystko, co w twojej mocy, Sam — odezwała się Hilary wreszcie. — Ona jest żoną Marka, kobietą, którą kocha. I chcą mieć dziecko.

Samanta zacisnęła powieki. My mieliśmy dziecko...

— To było trzynaście lat temu, Sam. Dziś jesteście już innymi ludźmi.

— Ale on jest ze mną cały czas! On nigdy mnie nie opuścił!

— To inny Marek, Sam, nie ten, który przyjechał do San Francisco. Przyjmij ją jutro, spójrz jej w oczy. Wiesz, że jeśli ktokolwiek może jej pomóc, to wyłącznie ty. Być może jesteś jej jedyną nadzieją. Rozstań się z przeszłością.

Zebrała się w sobie. Ta kobieta czeka na nią, ta... pani Rawlins. Miała nadzieję, że udało jej się zatuszować sińce pod oczami. Hilary ma rację — teraz żyją w zupełnie innym świecie, są innymi ludźmi. Marek ma żonę i praktykę lekarską. Ona swój szpital, Jenny, Adama i walkę o reformy w medycynie. Tak mało zostało z tego krótkiego okresu sprzed trzy-nastu lat. Nie ma nawet Klary...

Z uśmiechem weszła do pokoju badań.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, pani doktor.

— Wyjaśnię pani po kolei, co będziemy robić. Najpierw proszę, żeby pani zechciała położyć się na stole. Jeśli ma pani na sobie bieliznę, proszę ją zdjąć do badania.

Odwróciła się, żeby wybrać właściwe narzędzia.

— Mówiłam wczoraj mężowi o pani, pani doktor. — Usłyszała za plecami kulturalny głos pani Rawlins. — Mówiłam mu, że zna go pani z Nowego Jorku. Nie pamięta pani.

## 6

Samanta z zadowoleniem przejrzała broszury. Skrupulatnie sprawdziła szpitalne kartoteki i zrobiła zestawienie pacjentek, które padły ofiarą nałogu bądź zatrucia kupowanymi w aptekach patentowymi lekami. Potem napisała rozprawkę, w której występowała przeciw niektórym lekarstwom — podała nawet handlowe nazwy mikstur oraz nazwiska ich producentów — i ostrzegała przed nimi kobiety. Zleciła druk tych rozprawek i miała je zamiar rozdawać w szpitalu pacjentkom. Dziesięć broszur odłożyła na bok, by wysłać je do pism i gazet, a potem zdjęła okulary i potarła grzbiet nosa.

Wynik badania, które tego dnia przeprowadziła na Lilian Rawlins, świadczy o tym, że nie istnieją mechaniczne przyczyny, dla których pacjentka nie mogłaby zająć w ciąży. Infekcje wewnętrzne, takie jak gorączka połogowa, którą Lilian przeszła sześć lat temu, często uszkadzały jajowody, uniemożliwiając wędrówkę jajeczka. Samanta wzięła strzykawkę ze sterrilnie dobraną rurką o średnicy dopasowanej do rozmiaru szyjki i delikatnie wpompowała pani Rawlins sterylny roztwór soli, zwracając baczna uwagę na moment, kiedy macica wypełni się płynem — w przypadku zrostów w jajowodach i ich blokady, wpompowywany roztwór winien w pewnej chwili zacząć wypływać z macicy. Ale nie wypłynął. Samanta wprowadziła jej do macicy pełną porcję roztworu, a po badaniu pani Rawlins skarżyła się na kurczowe bóle brzucha, które świadczą o tym, że płyn dotarł wszędzie, gdzie trzeba. Jajowody pani Rawlins były drożne.

Później musiała zadać pacjentce kilka bolesnych dla siebie pytań. „Jak często uprawia pani z mężem stosunki płcio-

we?" („Raz w tygodniu.") „Czy zaraz potem wstaje pani z łóżka?" („Na ogół się nie podnoszę.") „Czy podmywa się pani po stosunku?" (Marek zwrócił mi uwagę, żebym tego nie robiła.")

A potem Lilian spytała, czy może liczyć na jakieś konkretne wskazówki.

— Niewykluczone, że pozycja, jaką państwo przybierają w trakcie stosunku, stanowi przyczynę kłopotów. W tym przypadku wskazana jest jak najgłębsza penetracja, dlatego powinna pani leżeć na plecach z poduszką pod biodrami. Proszę nie używać żadnych środków zwilżających, gdyż uważa się, że na przykład wazelina osłabia żywotność plemników. Prowadzi się w tej dziedzinie badania, z których wynika, że im rzadziej mężczyzna odbywa stosunki, tym mniej spermy wytwarza. Proponuję więc, żeby państwo współżyli częściej niż raz w tygodniu.

Wstała zza biurka i stanęła przy dużym balkonowym oknie. Spojrzała na ogród. Zaczął się już grudzień. Za oknem panowała ciemność, a ziemia pachniała wilgocią i gnijącymi liśćmi. Samanta oparła się o framugę i zamknęła oczy.

Marku, drogi Marku...

Wstrząs spowodowany jego nieoczekiwanym objawieniem się już zniknął. Doszła do wniosku, że Marek wciąż jest przy niej, że nic się nie zmieniło. Ten, który poślubił Lilian, jest już innym człowiekiem. I dobrze się stało, że jej nie pamięta, bo dzięki temu mogła żyć tak jak do tej pory — nadal go kochać i wciąż ożywiać w pamięci tamte dni sprzed lat.

Otworzyła oczy i głęboko zaczerpnęła tchu. Miała szczerą nadzieję, że za kilka miesięcy Lilian zjawi się u niej z dobrą nowiną.

Usłyszała jakiś szmer za plecami i odwróciła głowę.

— Przyszedłem się pożegnać, doktor Hargrave.

Adam Wolff stał w drzwiach z tą samą torbą w rękę, z którą osiem lat temu przyjechał na Kearny Street. W cieniu framugi sprawiał wrażenie wysokiego, dobrze ubranego i przystojnego mężczyzny; jego głos brzmiał elegancko i kulturalnie, w niczym nie przypominał mowy niesłyszanych. Ale



gdy Adam zrobił krok do przodu i znalazł się w kręgu światła, serce Samanty ścisnęło się z żalu i współczucia.

Podeszła do niego.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Adamie — mówiła wolno i wyraźnie, uważnie wymawiając słowa.

— Muszę, pani doktor. Już czas.

— Jenny jest bardzo nieszczęśliwa.

— Przyzwyczaj się.

— Adamie... — Zbliżyła się o krok i położyła mu dłoń na ramieniu. — Ty chyba też nie chcesz wracać do Berkeley.

Zawahał się.

— Nie, nie chcę. Ale tu już nie jestem więcej potrzebny, a w szkole czekają na mnie uczniowie.

— Ale my jesteśmy twoją rodziną, Adamie.

Tak, pomyślał mgliście. A kiedy Jenny będzie wychodzić za mąż, ja będę stał obok. Będę patrzył, jak idzie w ramiona innego.

Samanta niechętnie wyciągnęła rękę do pasa dzwonka. Kiedy zjawiła się gospodyni, poprosiła ją, żeby wyprowadzono karetę. Wróciła do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła z niej kopertę.

— Chcę, żebyś to przyjął, Adamie. Tylko nie odmawiaj. Jeśli nie chcesz pieniędzy dla siebie, ofiaruj je szkole.

Wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki i zakłopotany przestąpił z nogi na nogę — jakby znów spotykał doktor Hargrave po raz pierwszy w życiu.

Nie rozmawiali więcej, choć tyle miał jej do powiedzenia, a kiedy woźnica zastukał do frontowych drzwi, Adam sztywno ruszył do wyjścia. Spojrzał w górę schodów.

— Pozwól, że zawołam Jenny.

— Nie.

— Jenny nie rozumie, Adamie. Myśli, że wyjeżdżasz dlatego, że chcesz. Powiedz jej prawdę.

Ale Adam milczał.

Niezręcznie objął Samantę ramieniem, wtulił twarz w jej szyję i ze stłumionym szlochem popędził do drzwi, a potem zbiegł po schodkach.

Stała na chodniku i odprowadzała wzrokiem odjeżdżający w mglistą noc powóz.

Następnego ranka Jenny zniknęła.

— To moja wina! — wykrzykiwała Samanta, nerwowo chodząc przed kominkiem. — Źle to załatwiłam. Wiedziałam, że jest nieszczęśliwa, ale myślałam sobie, że jeśli zostawię ją w spokoju, sama to sobie jakoś wytłumaczy! Tylko że Jenny jest inna niż my wszyscy! Nigdy przedtem nikt jej tak nie opuścił. Nie w ten sposób, nie ktoś, kogo kocha!

Siedzący w pokoju milczeli, w ciszy wyrażając jej współczucie. Dariusz opierał się o półkę nad kominkiem i przyglądał się brandy w kieliszku; Hilary, z podciągniętymi wysoko nogami opartymi na fotelu, wpatrywała się w płomienie, a Stanton Weatherby stał przy oknie i obserwował krople grudniowego deszczu, które w świetle latarni wyglądały jak złoty pył.

Było późno, a z policji nie nadeszła jeszcze żadna wiadomość.

— Nic się jej nie stanie, Sam — uspokajała Hilary.

Samanta zatrzymała się nagle, z twarzą ściągniętą bólem.

— Przecież to niemożliwe! Nigdy dotąd nie wychodziła sama z domu. Nawet raz w życiu, nawet do rogu ulicy! Ona nie słyszy, Hilary! Nic jej nie ostrzeże przed nadjeżdżającym powozem czy tramwajem! Coś ją może zwyczajnie przejechać! I jeszcze do tego nie mówi. Jak myślisz, ilu ludzi w San Francisco zna alfabet migowy?

— Uwaga! — wykrzyknął Stanton. — Jakiś powóz staje przed domem.

Wszyscy rzucili się do drzwi.

Kiedy zobaczyła wysiadającego z dorożki Adama, który po chwili odwrócił się, żeby podać rękę Jenny, wybiegła na chodnik.

— Och, Bogu dzięki! — krzyknęła. — Gdzie byliście? Co się z wami stało?

Adam i Jenny stali w deszczu, trzymając się za ręce.

— Przywiozła mnie z powrotem, doktor Hargrave — odparł z uśmiechem. — Jenny jechała za mną aż do samej szkoły i przywiozła mnie z powrotem. Chcemy się pobrać.

— Był to najcudowniejszy ślub, jaki widziałam — oświadczyła Dahlia Mason. — I jakie to wzruszające, że ksiądz odprawił całą mszę za pomocą rąk. Naprawdę wzruszające!

— Dziękuję — odparła Samanta, mając wciąż w pamięci reakcję Dahlii na planowany ślub Jenny. „Chyba się na to nie zgodzisz! Pomyśl, jakie będą ich dzieci! A w ogóle czy to możliwe, żeby mszę odprawiać rękami? Czy to dozwolone?”

Ale wszyscy goście dopisali, nawet pan Wilkinson i niektórzy znajomi Adama ze szkoły. A kiedy młoda para stanęła pod różaną altaną w ogrodzie, styczniowy dzień ofiarował jej ciepło i słońce.

Samanta nie przeczyła, że trochę się niepokoi. Adam postanowił zarabiać na życie i samodzielnie utrzymać żonę, z którą chciał zamieszkać w osobnym domu. Zaczął już nawet uczyć dwoje głuchoniemych z Russian Hill. Ale co do tego, jakie będą ich dzieci, nie miała wielkich obaw — głuchota Adama była skutkiem wypadku, a Jenny zapewne straciła słuch w związku ze szkarlatyną. Martwiło ją co innego — jak Adam i Jenny przetrwają wśród ludzi, którzy z pewnością będą ich brali za parę niespełna rozumu.

Stała z Dahlią, jej mężem, z Gantami i ze Stantonem Weatherbym w obszernym hallu gmachu opery, czekając na podniesienie kurtyny i rozpoczęcie spektaklu „Cyrano de Bergerac” z Sarą Bernhardt. Całą szóstką unieśli w górę kieliszki, wznosząc toast za nieobecną młodą parę. Samantę rozpieszczała radość — Jenny i Adam byli urządzeni i szczęśliwi do utraty tchu, w szpitalu wszystko szło dobrze, a pacjentki z zainteresowaniem czytały przygotowane broszury i nawet obiecywały, że przekażą je swoim znajomym.

— Jak się czujesz, kochanie? — zapytał żonę Dariusz.

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Była już w szóstym miesiącu ciąży i swoim pojawieniem się w publicznym miejscu gorszyła znajomych — miała na sobie suknię w stylu empire, specjalnie dla niej uszytą przez pana Magnina.

— Doskonale. Nie rób takiej zatrwożonej miny! — Pociągnęła łyk wina; wreszcie skończyły się jej męczarnie związane z odstawieniem „Przyjaciela”.

Dariusz wciągnął Stantona do dyskusji. Rozważali, czy wynalazek Alfreda Nobla — dynamit — raz na zawsze zakończy wszelkie wojny, jak to sobie wyobrażali szwedzcy uczeni. Hilary nachyliła się do Samanty.

— Co to za mężczyzna tak ci się przygląda? Odwróć się dyskretnie w prawo. Stoi koło stołu z winem i w ogóle nie spuszcza z ciebie wzroku!

Zanim się odwróciła, już wiedziała.

Spojrzała przez ramię i zamarła; ich spojrzenia zetknęły się mimo tłumu gości.

Wiedziała, że tak będzie. Było nieuniknione, że ich ścieżki przetną się pewnego dnia w mieście, które leży na powierzchni osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych.

— To Marek — wyjaśniła cicho.

Hilary łagodnie ujęła ją pod ramię.

— Idzie do nas — ostrzegła.

Kiedy dzieliło go od niej ledwie kilka kroków, zatrzymał się i patrzył.

— Samanca?

— Tak. Dobry wieczór, Marku.

Zmarszczył czoło.

— To naprawdę ty? Samanta Hargrave?

— A więc jednak pamiętasz.

— Czy pamiętam? Oczywiście! Nigdy nie mógłbym cię zapomnieć. Nic jednak nie rozumiem... Co robisz w San Francisco?

— Myślałam, że twoja żona już ci o mnie mówiła.

— Lilian? To ty jesteś tą lekarką, do której Lilian chodzi?

— Zdawało mi się, że opowiadała ci o wizytach u mnie. Powiedziała mi, że miałeś amnezję i dlatego mnie nie pamiętasz.

— Ależ Lilian opowiadała mi o jakiejś doktor Canby!

Doktor Canby! Samanta usiłowała sobie przypomnieć, jak to wtedy było. Tego dnia kiedy Lilian zawitała pierwszy raz do szpitala, doktor Canby akurat dłużej pracowała na sali operacyjnej. O Boże, czyżby Constance nie uprzedziła pacjentki, że kto inny przyjdzie ją zbadać?

— Mieliliśmy tego dnia trochę zamieszania — wyjaśniła Samanta. — Sądzę, że twoja żona spodziewała się doktor Canby, a tymczasem nadeszłam ja. Nie przedstawiałam się. A następnego dnia, kiedy przyszła na umówioną wizytę... No tak, nikt tego nie sprostował... — Patrzył na nią, nie mogąc oderwać od niej oczu. Znow było tak jak wówczas, kiedy Letycja deklamowała „Annabel Lee”.

— Doktorze Rawlins, chciałabym przedstawić pana moim przyjaciołom. Pan Dariusz Gant i jego żona...

Uśmiechnął się zdawkowo.

— Miło mi — bąknął, ale nawet na chwilę nie oderwał wzroku od Samanty.

A potem Dariusz zaczął ich zaganiać na miejsca, bo rozległ się dzwonek wzywający na widownię. Stanton Weatherby przyjrzał się uważnie obcemu. Stanton dobiegał już sześćdziesiątki i nauczył się w życiu tego i owego. Pociągnął nosem, drgnął niespokojnie. A więc to tak, myślał. Jasne i proste. Już wiedział, dlaczego żadnemu mężczyźnie w San Francisco nie udało się zdobyć serca Samanty Hargrave...

— Nie umiem wprost wyrazić, jaka to dla mnie wielka niespodzianka. — Marek mówił ściszym głosem. — Kiedy cię zobaczyłem, wydało mi się, że śnię. Nic się nie zmieniłaś...

— Ani ty — wydusiła z siebie. Tłum gości nagle gdzieś zniknął, a wraz z nim obszerne foyer, podłoga pod nogami, kandelabry nad głową. Wreszcie zostało tylko dwoje intensywnie wpatrzonych w nią brązowych oczu, o których od trzy-nastu lat śniła noc w noc. — Byłam pewna, że nie żyjesz.

— Nie mogłem cię znaleźć... Nikt nic nie wiedział...

— Dobry wieczór, pani doktor — usłyszeli nagle Lilian, która nie wiadomo jak znalazła się nieoczekiwanie u boku męża. I wszystko od razu wróciło na swoje miejsce: hałas, światło, kręcący się tłum gości.

— Dobry wieczór, pani Rawlins.

— Lilian, wygląda na to, że jednak znam tę panią. To doktor Hargrave, a nie doktor Canby.

Samanta wyjaśniła nieporozumienie.

— To wspaniale! — wykrzyknęła Lilian. — Cóż to musi być za miła niespodzianka po latach! Na pewno państwo mają

sobie wiele do powiedzenia. Doktor Hargrave, może mogliśmy wspólnie z pani przyjaciółmi zjeść dziś razem kolację w mieście?

Miała uczucie, że to najdziwniejsza godzina w jej życiu.

Stopniowo opowiedzieli sobie, co wydarzyło się w ciągu minionych lat. Samanta mówiła mu o swoich działaniach w San Francisco (przemilczała jednak fakt narodzin i śmierci Klary), Marek relacjonował jej swoje cudowne ocalenie i powrót do sił. Rozmowa była bardziej powierzchowna i ugrzecznona, niż Samanta by sobie życzyła, a kiedy w pewnej chwili Marek wyraził chęć zwiedzenia szpitala, serce w niej mocniej zabiło. Zaprosiła go więc w następnym tygodniu. Lilian od razu wyznała jej swoją głęboką awersję do szpitali i wyprosiła zwolnienie z obowiązku towarzyszenia mężowi.

Kiedy nadszedł wreszcie umówiony dzień, godzina, a potem wręcz minuta spotkania z Markiem, Samanta mało nie zemdlała z emocji i rozsadzającego ją napięcia. Wyjawszy ten nieoczekiwany epizod w operowym hallu, kiedy nie mogli odebrać od siebie oczu, zachowywali się później absolutnie poprawnie, jak dwoje dawnych znajomych, których jedynymi wspólnymi zainteresowaniami są mikroby i fonendoskopy. Ale oboje doskonale wiedzieli, co czują do siebie nawzajem oraz to, że przed sobą nie potrafią tego wcale ukryć. Samanta czuła jego napięcie i doskonale wiedziała, że Marek nie może nie zauważyć tęsknoty w jej oczach. Ich miłość nadal żyła; trzynaście minionych lat zniknęło nagle bez śladu — znów był rok 1882.

Siostra Constance zauważyła spłonione policzki Samanty i nawet zastanawiała się, czy szefowa nie jest aby chora. Dziwił ją też odświętny strój dyrektorki — doktor Hargrave miała na sobie śliczną wizytową suknię z jedwabiu w kolorze lawendy, wykańczaną koronką o barwie burgunda. Było to ze wszech miar nietypowe, gdyż Samanta do pracy ubierała się zawsze bardzo skromnie. Wreszcie siostra Constance nie mogła się nadziwić specjalnemu poleceniu dyrektorki, by elegancko zaserwować herbatę i specjalnie na tę okazję zakupione ciasteczka — jak dotąd pani doktor unikała w szpitalu wszelkich ekstrawagancji. Siostra Constance doszła za-

tem do wniosku, że ów zaproszony do szpitala chirurg ze Wschodniego Wybrzeża musi być jakąś niezwykle ważną osobistością.

Samanta nerwowo spacerowała po gabinecie i usiłowała przemówić sobie do rozsądku. Przecież to czysty nonsens, łajała się w myślach, mam trzydzieści sześć lat, a nie szesnaście. Ałe kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanął Marek, aż podskoczyła z wrażenia.

— Doktorze Rawlins...

— Dzień dobry, Samanto. — Mimo iż doskonale wiedzieli, że obserwuje ich siostra Constance, długo nie mogli oderwać od siebie wzroku.

— Proszę, niech pan usiądzie, doktorze. — Samanta zaprosiła go na fotel. — Herbata już czeka.

Usiadł i rozejrzał się po gabinecie.

— Wysoko zaszłaś, Samanto — powiedział cicho.

Usiadła za biurkiem.

— Wszyscy jesteśmy dumni z naszego szpitala. — Z całej siły usiłowała zapanować nad drżącymi dłońmi, kiedy nalewała do filiżanek herbatę. — Mają państwo zamiar zostać w San Francisco na stałe?

— Znaleźliśmy dom w Marina. — Nie spuszczał z niej uważnego spojrzenia.

Siostra Constance odchrząknęła, przerywając krótką niezręczną ciszę, a potem wycofała się z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Samanta uniosła filiżankę i przytrzymała ją przy ustach.

— Nie mogę pić — przyznała po chwili.

— Ani ja.

Filiżanka z brzękim uderzyła o spodek.

— Marek, to chyba jest sen.

— Och, Samanto! Mam wrażenie, że znowu jesteśmy na balu u Astorów. Zupełnie jakby czas stanął w miejscu i nic się nie zdarzyło! Mam uczucie, że wreszcie dobiłem do portu. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał, żebym nie zastanawiał się, gdzie jesteś i co robisz, żebym za tobą nie tęsknił!

— Ja też nie przestawałam o tobie myśleć — szepnęła.  
— Czasem było to ponad moje siły...

— Pamiętasz.. — zaczął, a w jego głosie usłyszała to samo napięcie co przed wieloma laty. — Pamiętasz?

*Byliśmy dziećmi, ja i ona...  
A miłowaliśmy się miłością  
Nad miłość innym daną... ?*

Zamknęła oczy.

— Tak... — wyszeptała. — „Annabel Lee”.

— Pragnę cię, Samanto. Pragnę cię aż do bólu.

— Och, Marku! Wiesz, że to niemożliwe. Nasz czas już minął na zawsze. Proszę cię... Serce mi pęknie...

— Szukałem cię wszędzie — mówił zdławionym głosem.

— Kiedy wreszcie wróciłem do Nowego Jorku, odchodziłem od zmysłów, tak bardzo chciałem cię ujrzeć. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechałaś. Zniknęłaś bez śladu! Janelle opowiedziała mi o waszym ostatnim spotkaniu, kiedy już spakowałaś walizki. I nikomu nie zdradziłaś, dokąd jedziesz! Napisałem do Landona Fremonta w Europie, ale nie dostałem od niego odpowiedzi. Sam zacząłem cię szukać. Pomyślałem, że wróciłaś do Anglii. Ruszyłem fałszywym tropem z Londynu do Paryża, bo ktoś mi szepnął, że pewna młoda lekarka kupiła bilet na statek i przepłynęła Kanał. Wszystkie moje działania prowadziły donikąd. Z Paryża udałem się do Fremonta w Wiedniu jedynie po to, żeby dowiedzieć się, że Landon już nie żyje. Szukałem cię wszędzie przez całe cztery lata, Samanto. Dlaczego? Dlaczego zniknęłaś?

Już chciała mu opowiedzieć o Klarze, o ich dziecku, ale to nie był dobry moment. Doszła do wniosku, że zrobi to kiedy indziej.

— Myślałam, że nie żyjesz.

Skinął głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

— Przeszłość odeszła bezpowrotnie, Marku. Musimy żyć dniem dzisiejszym. Chciałabym oprowadzić cię po szpitalu, jeżeli pozwolisz.

Spojrzał na nią ze smutkiem i z tęsknotą.

— Bardzo chcę go obejrzeć.



Przytrzymała otwarte drzwi, a kiedy go mijała, ze wszystkich sił musiał walczyć z pokusą, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie przyciągnąć do siebie. Później zaś, kiedy weszli na górę obejrzeć salę operacyjną i Marek ujął ją na chwilę pod łokieć, Samanta tłumiła w sobie pragnienie, by się odwrócić i wtulić w jego ramiona. Z początku było trudno, niemal nieznośnie, lecz z czasem, gdy obchodzili oddział za oddziałem i rozmawiali o pacjentkach, kiedy Marek zadawał jej pytania dotyczące szpitala, ból zaczął ustępować — znów byli dwojgiem przyjaciół bez reszty oddanych medycynie.

Szpital zrobił na Marku wrażenie, ale go nie zaskoczył.

— A to cóż takiego? — zapytał, przystając przed dużą metalową szafką na kółkach.

— To jeden z naszych wózków do przewożenia posiłków. Chciałabym móc sobie przypisać ten wynalazek, ale niestety nic z tego. Zapożyczyłam ten pomysł z Buffalo General Hospital. — Zobacz... — Otworzyła metalowe drzwiczki. — Tace z jedzeniem trzymamy na półeczkach, a na dole wózka płonie maleńki ogieniek, dzięki któremu jedzenie jest zawsze ciepłe. Kółka są oblewane gumą i nie hałasują.

— Masz doskonały sprzęt.

— Och, tylko ciągle walczę, żeby związać jakoś koniec z końcem. Gdyby nie Komitet Pań i zbierane fundusze nie wiem, jak byśmy sobie radzili.

Marek zajął do małego pokoiku, gdzie leżały osieroczone niemowlęta i noworodki, których matki były jeszcze zbyt słabe czy zbyt chore, żeby je karmić. W bujanym fotelu siedziała mamka i przystawiała malucha do piersi.

— Wszędzie widać rękę doktor Hargrave — zauważył Marek.

Spojrzał na nią dokładnie tak, jak patrzył w jej marzeniach; poczuła znajomy ból... Jeśli mnie dotkniesz, myślała. Jeśli mnie pocałujesz...

— Otworzysz praktykę, Marku, czy poświęcisz się wyłącznie pracy na uniwersytecie? — zapytała, kiedy już odzyskała głos.

Ruszyli korytarzem.

— Wiesz, kiedy uniwersytet w San Francisco wystąpił z propozycją, żebym przyjechał tu uczyć studentów medycyny, dostrzegłem w tym swoją szansę. Nareszcie będę się mógł zająć tym, co tak mnie pasjonuje, myślałem.

Ustąpili miejsca sanitariuszom niosącym nosze.

— Praktyka, jaką prowadziłem w Saint Louis, była szalenie czasochłonna; nie znajdowałem już wolnej chwili na nic innego. Za to profesura daje mi pole manewru.

— A czym chciałbyś się zająć?

Zatrzymał się i popatrzył jej w oczy.

— Prowadzeniem badań.

— Badań! W jakiej dziedzinie?

— Chcę się zająć rakiem. Wiedziałaś, prawda? A mama zabroniła ci zdradzić się z tym przede mną?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Mam nadzieję, że nie cierpiała bardzo.

Przez jego twarz przemknął smutek.

— Kiedy wróciłem do Nowego Jorku, już nie żyła.

Nagle w koiytarzu zrobiło się gorąco i duszno. Samanta podeszła do okna.

— Badania nad rakiem to wspaniała rzecz, Marku. Tak mało znamy tę chorobę, tak mało umiemy zrobić.

Wyjrzała przez okno i czekała, aż Marek do niej dołączy. Zaplecze szpitala wychodziło na okolicę, gdzie dawniej sprzedawano i palono opium. Wbrew ogólnie panującej niegdyś opinii, że szpital usytuowany w tak kiepskiej dzielnicy zniechęci kobiety do korzystania z jego pomocy, stało się wręcz odwrotnie — kobiety przychodziły tłumnie, a okolica bardzo sprządniała. Z wolna zamykano okoliczne domy gry, a w ich miejsce wprowadzano godne szacunku zakłady. Na terenie przylegającej do szpitala dawnej palarni opium była teraz piekarnia.

Marek stanął obok Samanty i spojrzał w stalowosine niebo lutowego dnia.

— Boleję nad śmiercią twojej matki, Marku. Chciałam ci powiedzieć o raku, ale...

Odnalazł jej rękę; ich palce musnęły o siebie, splotły się, a wreszcie mocno się zacisnęły.

— Gdzie będziesz prowadził badania? — spytała zduszonym głosem.

— Rozglądam się za jakimś laboratorium, które mógłbym z kimś dzielić. Niestety, przy obecnych pracach prowadzonych przez uniwersytet nad anatoksynami i szczepionkami mam nieduże szanse.

Spojrzała mu w oczy. Niewiele się zmienił przez te trzynaście lat. Nadal nosił dość długie włosy, tak że z tyłu głowy spływały mu na kark; lekka siwizna na skroniach nie postarzała go, jedynie dodawała godności. Wciąż trzymał się prosto, miał szerokie ramiona, a dopasowany surdut w kolorze ciemnej zieleni podkreślał jego muskularne ciało.

— Marku... Dostajemy właśnie fundusze od rządu stanowego na otwarcie laboratorium patologii. Nie będziemy już wyrzucać usuniętych z ciał chorych tkanek, tylko wszystkie będziemy poddawać badaniom. Planujemy adaptowanie w tym celu części piwnicy i wyposażenie jej wydzielonego na laboratorium fragmentu w stosowną aparaturę. Kupimy mikroskopy i ciepłąkę. Mam nawet nadzieję na zdobycie wirówki. Nasz patolog będzie pracował tylko na części etatu. Gdybyś chciał korzystać z naszego laboratorium, serdecznie cię zapraszam. — Głos jej zamarł. Marek nie odrywał od niej oczu.

— Mogę przyjąć tę propozycję jedynie pod warunkiem, że pozwolisz mi mieć udział w zakupie wirówki — odparł po dłuższej chwili.

## 7

Lilian Rawlins spóźniała się, a to było nietypowe. Była umówiona już na piątą wizytę u Samanty i tym razem miały wypróbować zupełnie nową metodę. Po pięciu miesiącach prób Lilian wciąż nie zachodziła w ciążę. Samanta chciała zaproponować jej coś nowatorskiego, o czym niedawno przeczytała w piśmie medycznym.

Wstała zza biurka i stanęła przy oknie. Był piękny kwietniowy dzień — ciepły i słoneczny, a znad zatoki ciągnęła charakterystyczna dla San Francisco lekka bryza. Ulicami śpieszyli ludzie, przytrzymując na głowach kapelusze; trąbił klakson samochodu — kierowca domagał się wolnego przejazdu między stłoczonymi powozami.

Samanta westchnęła. Miała wiele powodów, by czuć wdzięczność do losu. Jenny i Adam, szczęśliwi małżonkowie, szukali dla siebie małego domku; Hilary miesiąc temu urodziła i towarzyszyła teraz Dariuszowi w Los Angeles, odpoczywając od dzieci; szpital świetnie prosperował, a Marek Rawlins, schylony nad mikroskopem, pracował właśnie w laboratorium na dole.

Bywały takie dni, że w ogóle go nie widywała, ale już sama świadomość, że oboje są pod jednym dachem, była dla niej wystarczająco kojąca. Przychodził we wtorki i w soboty — kroił tkanki, barwił je, badał i notował wyniki. Ukuł teorię, że komórki rakowe nie są wcale jakimś innym tworem, tylko najzwyklejszymi komórkami organizmu, w których zostały zaburzone prawidłowe mechanizmy. Była to niepopularna teoria, ale Marek od niej nie odstępował i uparł się za wszelką cenę znaleźć przyczynę aberracji komórek, a potem właściwe lekarstwo.

Samanta spojrzała na zegarek i zmarszczyła czoło. Lilian Rawlins spóźniała się już pół godziny.

Samanta podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

— Siostró, czy widziała siostra panią Rawlins? — zawołała do śpieszącej korytarzem Constance.

— Tak, doktor Hargrave. Pani Rawlins jest w izbie nagłej pomocy.

Samanta uniosła brwi.

— Coś się jej stało?

— Nie, nie! Pani Rawlins pomaga.

Zaskoczenie Samanty przerodziło się w zdumienie. Awersja, jaką Lilian czuła do szpitali, nie stanowiła dla niej tajemnicy; Lilian umiała ją przewyciężyć tylko na krótko, na tyle, ile trzeba było, żeby przejść badanie w gabinecie lekarskim. Samanta przeciskała się przez zatłoczony korytarz w kierunku

ku izby nagiej pomocy. Dwukrotnie zatrzymywano ją po drodze, informując, że rozedma płuć u pani Jenkins uległa nasileniu, a Rosie Tubbs nie przeżyła operacji żyłaków. Po izbie kręciło się wielu ludzi. Doktor Canby i pielęgniarki wykonywały wszelkie możliwe zabiegi — począwszy od pędzlowania gardeł, na nastawianiu złamanych kości skończywszy.

Samanta zobaczyła Lilian Rawlins w kącie przy noszach z małym chłopcem. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że chłopiec ma świeżo obandażowane ramię.

— Dzień dobry, pani Rawlins.

Lilian uniosła wzrok.

— Dzień dobry, pani doktor. Właśnie opowiadałam Jimmy'emu historyjkę.

Samanta uśmiechnęła się do chłopca. Mały miał zapuchniętą od płaczu buzię i źrenice zwężone zastrzykiem z morfiny. Poza tym był bardzo zaniedbany i wyraźnie niedożywiony.

— Jimmy miał wypadek, prawda, Jimmy? — Lilian zwróciła się do chłopca i poklepała drobną brudną rączką wystającą spod bandażu. — Ale teraz już wszystko będzie dobrze, co, Jimmy? Sam powiedz.

Skinął głową i uśmiechnął się nieśmiało.

Lilian wstała.

— Przepraszam, że nie przyszłam na czas na wizytę, pani doktor — tłumaczyła cicho. — Ale właśnie przynieśli Jimmy'ego, kiedy nadjechałam. Tak strasznie płakał i krzyczał i był tak bardzo nieszczęśliwy! Starałam się odwrócić jego myśli od biednej rozharatanej rączki.

Nadeszła zaróżowiona z wysiłku, mocno zaokrąglona doktor Canby.

— Gdyby nie pani Rawlins, miałybyśmy tu sądny dzień, zanim byśmy oczyściły mu ramię. Ma pani niebywałe podejście do dzieci, pani Rawlins.

Zjawili się dwaj sanitariusze i chwycili za nosze.

— Och, dokąd go zabierają? — spytała Lilian.

— Na oddział dziecięcy — wyjaśniła Samanta. — Może mu pani towarzyszyć, jeśli pani chce.

Lilian zbladła.

— Oddział dziecięcy...

— Zatrzymamy go na kilka dni — dodała łagodnie doktor Canby. — Zawsze może go pani odwiedzić.

— Do widzenia, proszę pani — usłyszały cieniutki głosik i odwróciły się w jego kierunku. Jimmy machał im na pożegnanie zdrową rączką.

— Rozszerzę teraz szyjkę, pani Rawlins — wyjaśniała Samanta. — To znaczy wejście do macicy. Niedawno prowadzone badania wykazały, że wąska szyjka może stanowić przyczynę niepłodności. Przy szerszym wejściu do macicy nasienie ma większe szanse na to, żeby się dostać do środka. To nie powinno boleć, a ja będę prowadzić zabieg wolniutko. Jeśli odczuje pani niepokój, proszę mi dać znać.

— Nie boję się bólu, pani doktor — oświadczyła Lilian. A po chwili spytała: — Gdzie jest oddział dziecięcy, doktor Hargrave?

Z początku odwiedzała tylko Jimmy'ego, później chłopca z sąsiedniego łóżka, dziewczynkę z infekcją ucha, aż wreszcie przychodziła codziennie do wszystkich dzieci. Nigdy nie zjawiała się z pustymi rękoma. Przynosiła kolorowe kalejdoskopy, szmaciane lalki, drewniane żołnierzyki, zwierzątka na kółkach, które można było ciągnąć za sznurek. Obdarowywała dzieci leguminą o zapachu lukrecji, lizakami miętowymi, lądrynkami i czekoladkami. Tym, które mogły chodzić, przykucniętym u jej stóp, czytała bajeczki, z tymi, które leżały przykute do łóżka, rozmawiała osobno. Najpierw bardzo płakała patrząc na rany i choroby dzieci. Płakała, kiedy dziecka nie dało się uratować, kiedy osierociła je matka i kiedy Jimmy'ego zaatakowała gangrena i umarł. Ale później odnalazła wewnętrzną siłę i nauczyła się ukrywać rozpacz. Siedziała przy dziewczynce tragicznie poparzonej w czasie pożaru ubożego mieszkania, czesała jej włosy i mówiła, że wygląda jak mała księżniczka. Chłopca, który nabierał sił po siódmej operacji zdeformowanej stopy, zapewniała, że w przyszłości zostanie kawalerzystą. Rozmawiała z dziećmi, słuchała ich, rozpraszała ich lęki, często je rozśmieszała i wkrótce zyskała sobie przydomek Mamy Rawlins. Ale kiedy śliczna mała dziewczynka

pewnego dnia zarzuciła jej ręce na szyję i chciała, żeby Mama Rawlins zabrała ją ze sobą do domu, Lilian łagodnie wysunęła się z jej uścisku i powiedziała jej, że to niemożliwe.

— Dlaczego? — zapytała Samanta, gdy pewnego dnia odwiedziła Marka w laboratorium.

Marek siedział bez surduta z podwiniętymi rękawami koszuli i przygotowywał preparat.

— Kiedyś rozmawialiśmy z Lilian na temat adopcji, ale była jej tak bardzo przeciwna, że porzuciłem ten projekt.

— Ale przecież ona tak bardzo kocha dzieci, Marku! I byłaby wprost cudowną matką! Co dzień rano dzieci niecierpliwie czekają na Mamę Rawlins. Tyle dobrego już dla nich zrobiła! Przy niej szybciej wracają do zdrowia!

Marek przyglądał się zabarwionemu preparatowi.

— To prawda. Oddział dziecięcy stał się teraz sensem jej życia, Samanto. Kiedy przyjechaliśmy do San Francisco, była bardzo samotna. Tęskniła za rodziną w Saint Louis, nie chciała zawierać przyjaźni z paniami z sąsiedztwa; one wszystkie mają dzieci, a to dla Lilian jest bardzo bolesne. A odkąd zaczęła się u ciebie leczyć, jest tak pewna sukcesu, że nawet się zabrała za przemeblowywanie jednej z sypialni na górze, właśnie pod kątem dziecka. Teraz każdą minutę poświęca albo meblowaniu tego pokoiku, albo zabawkom czy łakociom, które przynosi twoim małym pacjentom. Ogarnęła ją istna obsesja macierzyństwa. Do tego stopnia, że... — Chciał powiedzieć: „zapomina o tym, że ma męża”, ale tego nie mógł zdradzić Samancie. Nie mógł się też jej skarżyć, że miłość, jaką Lilian okazuje mu w łóżku, sprowadza się tylko do bezosobowych, mechanicznych gestów. Dla Lilian zbliżenie z mężem było już tylko środkiem, który miał doprowadzić do upragnionego poczęcia, i Marek często odnosił wrażenie, że miłość nie ma z tym nic wspólnego.

Samanta domyślała się, jak może wyglądać małżeństwo Marka. W czasie spotkań z Lilian bez przerwy wysłuchiwała jej opowieści o jedenasciorgu dzieciach, jakich dochowała się jej siostra w St. Louis. Lilian nosiła ich fotografie w torebce i przy każdej wizycie w szpitalu pokazywała je Samancie.

— Macie więc wiele powodów, żeby adoptować dziecko.

Potrząsnął głową.

— Ona chce dziecka, które urodzi sama. Może gdyby nie to, że już raz rodziła, gdyby nie to, że wie, jak to jest, mogłaby rozważać adopcję. Ale skoro miała już własne... Sądzę, że chce mieć swoje dziecko, żeby zapełnić lukę po tym, które zmarło...

Samanta usiadła na wysokim stołku przy stole laboratoryjnym. Tak, Lilian chce mieć dziecko, które wypełni pustkę po stracie tego pierwszego. Doskonale to rozumiała. Mała Klara śpi wśród wysokich traw...

Marek podszedł do zlewu i umył ręce.

— Cieszę się, że zajrzałaś dziś do mnie, Sam — powiedział, wycierając dłonie. — Chcę z tobą coś omówić.

— Co takiego?

Odwinął rękawy, zapiął mankiety i stanął przy biurku.

— To. — Wziął z biurka kartkę papieru i podsunął ją Samancie. Była to jedna z jej rozprawek.

— Mmm...

— Czy informacje, które tu podajesz, są wiarygodne?

— Zebrałam je z naszej szpitalnej kartoteki.

Marek potrząsnął broszurą, tak jakby ją ważył.

— Dużo pracy włożyłaś w uporządkowanie danych. I w analizie. „Eliksir Ellisona"... Aż czterdzieści procent alkoholu?

— Sama robiłam analizę.

Przyglądał się jej długo w zamyśleniu.

— Zgarnąłem tę broszurę ze stolika przy wejściu dziś rano, kiedy szedłem do laboratorium. Leżała pod innymi, tymi o karmieniu butelką i o higienie w domu. Była głęboko zakopana pod spodem, Sam.

— Wiem. Pielęgniarki usiłują utrzymać na stoliku porządek, ale...

— Cała twoja praca idzie na marne, Sam — stwierdził cicho. — Jeśli będzie tam leżeć pośród innych ulotek i broszur, jest w gruncie rzeczy stracona. Tego rodzaju informacje należy wyraźnie nagłaśniać.

— Próbowałam to zrobić, Marku! Wysłałam te broszury do wszelkich możliwych pism i gazet, które mogły być tym zainteresowane, ale wszyscy umyśli ręce.



— Wcale się nie dziwię. Za „Eliksirem Ellisona” stoją wielkie pieniądze wydawane na reklamę. Czasopisma nie mogą sobie pozwolić na utratę tak potężnego klienta.

— Wiesz, Marku, nie jestem pewnie w stanie nadać temu ogólnokrajowego rozgłosu, ale staram się chociaż kształcić pacjentki naszego szpitala.

— Czy to wystarczy?

Zawahała się.

— Nie.

— To dobrze. — Podeszedł do wieszaka i wsunął broszurę do kieszeni surduta.

— Jakie masz plany na dzisiaj?

— Muszę zrobić obchód po lunchu, a potem do kolacji mam dyżur w izbie nagłej pomocy.

— Czy ktoś cię tam może zastąpić?

— Chyba tak. Dlaczego pytasz?

— Bo chcę, żebyś kogoś poznała — odparł z tajemniczym uśmiechem.

Biura „Woman's Companion” mieściły się na górnym piętrze Wing Fah Imports Building przy Battery Street, a kiedy Samanta weszła w korytarz opatrzonej tablicą REDAKCJA, przeżyła prawdziwe zdumienie. W ciągu minionych lat pismo „Woman's Companion” stopniowo podupadało, aż wreszcie w zeszłym roku, jak słyszała od kogoś, zupełnie przestało istnieć. A jednak widziała teraz przed sobą pokoje redakcyjne, które huczały od stukotu maszyn do pisania, wypełnione aż trzema rzędami biurek, między którymi kłębili się rozgorączkowany ludzie.

— Czym mogę służyć? — zapytał młody schludny mężczyzna.

— Chcielibyśmy się widzieć z panem Horacym Chandlerem. Nazywam się Marek Rawlins.

Chwilę później wchodzili do gabinetu opatrzonego napisem „Gabinet prywatny”. Naprzeciwko drzwi, pod otwartym oknem, przez które wpadało słońce, za ogromnym biurkiem siedział Horacy Chandler. Na ich widok zerwał się z fotela.

— Marek!

— Jak się masz, Horacy! — Uścisnęli sobie dłonie.  
— Pozwól, że ci przedstawię panią doktor Hargrave ze Szpitala Miejskiego dla Kobiet i Dzieci.

— Miło panią poznać, doktor Hargrave. To dla mnie wielki zaszczyt. Jest pani sławna w całym San Francisco. — Chandler był wielkim mężczyzną o wydatnym brzuchu, a kiedy stał przy Samancie, wyglądał jak uniesiony na tylnych łapach olbrzymi niedźwiedź grizli. — Proszę usiąść. Marek, cóż to za miła niespodzianka! Jak się czuje Lilian?

— Dobrze. A Gertruda?

— Kwitnie. Z czym przychodzisz? Towarzystwo czy w interesach?

— W interesach, Horacy. Potrzebna nam twoja pomoc.

Po drodze ze szpitala Marek opowiadał w powozie Samancie o swoim znajomym. Poznał go jeszcze w St. Louis, kiedy Chandler działał w piśmie „Gentelman's Weekly”. Tłumaczył jej, w jaki sposób Horacy pracuje. Kupował upadające tytuły i stawiał jej na nogi. Rok temu zawitał do San Francisco, żeby wpompować nieco życia w dogorywające „Woman's Companion”.

Samanta usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała to pismo w ręce. Było to wiele lat temu i wtedy od razu uznała, że jest nudne, bo zajmuje się przede wszystkim modą, przepisami kulinarnymi, zamieszcza mdłe romanse i ulatujące z pamięci wierszyki. Miała wrażenie, że pismo powstaje domowym sposobem, drukowane przez trzy starsze panie na prasie gdzieś w kuchni. Ale wyjąwszy ten jeden jedyny raz, nigdy więcej go nie czytała.

— Jak ono teraz wygląda? — zapytała Marka.

— Jest ciągle pismem dla kobiet — odparł. — Ale dla tych myślących. Nadal prowadzi dział przepisów i mody, tyle że ukazuje nieco egzotyczniejsze, śmielsze aspekty dnia codziennego. Horacy wprowadził jeszcze dział wiadomości i komentarzy i nie boi się zdrowej polemiki. W ostatnim numerze znajdziesz artykuł na temat przeludnienia, który wywołał spory oddźwięk, bo autor ośmielił się w nim zasugerować, że antykoncepcja nie jest taka zła.

Teraz siedzieli przed biurkiem wydawcy i Marek opowiadał Chandlerowi o badaniach, jakie Samanta przeprowadziła na masowo produkowanych lekach, i o jej nieudanych próbach nadania wynikom tych badań właściwego rozgłosu.

— I nikt nie chciał mieć z tymi odkryciami nic wspólnego, doktor Hargrave? — wtrącił Chandler. — Niewiele jest pism w kraju, które ośmieliłyby się ryzykować utratę grosza płynącego z reklamy leków. W związku z tym opinia publiczna ma niewielkie szanse dowiedzieć się, co zawierają takie specyfiki. Ale tak się akurat składa, że kiedy kupiłem „Woman's Companion”, ustaliłem wyraźną politykę, jaka nas dziś obowiązuje w piśmie. Drukujemy wyłącznie prawdziwe informacje niezależnie od tego, komu się tym narażamy, i jeśli pani zechce zauważyć, nie zamieszczamy w naszym piśmie reklam żadnych medykamentów. — Wziął do ręki egzemplarz czasopisma i podał go nad biurkiem Samancie. Przekartkowała pismo i rzeczywiście zrobiło na niej wrażenie.

— A więc, Marku — zaczął Chandler, rozpierając się wygodnie w fotelu i kręcąc młynka palcami na wydatnym brzuchu — rozumiem, że chciałbyś, żebym opublikował wyniki badań pani doktor Hargrave?

Marek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej broszurę, którą rzucił na biurko.

— Przeczytaj to, Horacy — rzekł — i powiedz, co o tym sądzisz.

Kiedy Chandler zagłębił się w lekturze, co jakiś czas uważnie wpatrując się w tekst, Marek spojrział na Samantę i puścił do niej oko. Czuła, że serce w niej bije jak młot.

— Panie Chandler, chciałabym, żeby ludzie poznali niebezpieczeństwa związane z zażywaniem środków farmakologicznych. Producenci umieszczają na etykietach zapewnienia, że lekarstwa są nieszkodliwe, gdy tymczasem jest akurat wprost przeciwnie. Ciężarne kobiety nieświadomie niebezpieczeństwa popijają do woli toniki, które szkodzą ich dzieciom. Chorzy na raka uspokajają się barwioną wodą, zamiast szukać pomocy lekarskiej. Ludzie mają prawo wiedzieć, co ku-

pują i co zażywają, panie Chandler. A skoro nie chcą im o tym mówić producenci, musimy to zrobić my.

Horacy Chandler odłożył broszurę i w skupieniu przyjrzał się Samancie.

— Czy dane są rzetelne?

— Tak.

— Czy może pani zebrać więcej informacji? Mamy za mało materiału. Omawia pani raptem trzy specyfiki. Artykuł nabrałby innego ciężaru gatunkowego, gdyby znalazła pani więcej przykładów.

— Nie miałam ostatnio czasu, ale przymierzałam się do analizy „Cudownej mieszanki Sary Fenwickowej”.

Gwałtownie uniósł brwi.

— To największy producent w kraju.

— Wyręczę cię w tym, Sam — zaproponował pomoc Marek. — Wystarczy mi butelka i palnik bunsenowski.

Horacy Chandler potarł brodę.

— Pani broszura jest bardzo wymowna, ale czyta się ją jak artykuł naukowy z medycznego pisma. Czy będę mógł wprowadzić do tekstu kilka redakcyjnych poprawek?

— Naturalnie. — Samantę ogarniała coraz większa ekscytacja.

— Doktor Hargrave, dopilnuję, żeby artykuł został tak napisany, by czytelniczki odniosły wrażenie, że zażywając następną pigułkę z apteki, zrobią sobie krzywdę. Zagramy na oburzeniu klienta. To oburzenie będzie naszą najpewniejszą bronią. Rozumie pani, że właśnie dzięki takim manewrom i wstrząsaniu opinią publiczną udaje się czasem zmienić prawo w tym kraju.

— I trzeba też dodać, że takie artykuły zwiększają nakład pisma — dorzucił Marek z uśmiechem.

Horacy wstał zza biurka.

— Bardzo państwa przepraszam, ale mam zaraz umówione spotkanie. Marek, kłaniaj się Lilian ode mnie. Doktor Hargrave, miło mi było panią poznać. Może spotkamy się w przyszłym tygodniu?

Kiedy wychodzili z chłodnego budynku na rozgrzaną sierpniowym słońcem ulicę, Samanta czuła, że emocje ją wprost

rozsadzają. Marek nasadził na głowę homburg, zmrużył oczy od blasku promieni słonecznych i uśmiechnął się.

— Pani doktor, mam uczucie, że razem zmienimy ten świat!

## 8

Bezmyślnie przyglądała się napisanym przez siebie słowom; na jednej ręce opierała głowę, drugą trzymała pióro nad kartką papieru, jakby czekając, aż ktoś tchnie w nie życie. Pisała drugi artykuł dla „Woman's Companion”. Pierwszy został opublikowany już miesiąc temu pod tytułem „Niech to się nie zdarzy tobie” i wywołał takie zainteresowanie, że Horacy Chandler natychmiast chciał wydać następny. W tym, który właśnie pisała, miała zawrzeć wyniki analiz dziesięciu popularnych na rynku specyfików.

Odłożyła w końcu pióro i oparła się plecami o krzesło. Za zamkniętymi drzwiami gabinetu szpital szykował się do udawanego snu — bo tak na dobrą sprawę szpital nigdy nie śpi. Na korytarzach panował spokój. Samanta głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je powoli, wzdychając melancholijnie. Nie wiedziała, co się z nią dzisiaj dzieje; była dziwnie wytrącona z równowagi.

Ze znużeniem wstała i podeszła do okna. Odsunęła ciężkie aksamitne kotary i wyjrzała na ulicę otuloną październikową ciemnością. Widok za szybą wydał się jej zupełnie niezeczywisty — przypomniał scenografię jakiejś złowieszczej sztuki. Na ulicach dostrzegła tylko nielicznych przechodniów, którzy walczyli z wiatrem o kapelusze i przeskakiwali z jednej sadzawki światła w drugą, zupełnie jakby ich ktoś gonił albo jakby się bali wieczornych cieni. Zbliżało się Święto Zmarłych, pora rozświetlonych świecami masek z dyni, czas śmierci...

Spojrzała na swoje odbicie w szybie. Co też przychodzi mi do głowy? — dziwiła się w duchu. Czas śmierci... Przecież tak

właśnie jest. Wszyscy zaczynamy umierać już od chwili poczęcia. Rodzimy się po to, by umrzeć. Od pieluszek po całun. I po co to wszystko?

W zamyśleniu dotknęła turkusa i delikatnie go potarła. Od dnia (ile to już lat?) kiedy odebrała od jubilera zamówiony łańcuszek, nigdy się z kamieniem nie rozstała. To kamyk na szczęście, myślała. Ale czy je rzeczywiście mam?

Wiedziała, że nie jest marzycielska z natury — nie jest taką romantyczką, jak na przykład doktor Canby, która odgrywała na patefonie pieśni Caruso i otaczała się portretami Edwina Bootha oraz Napoleona Bonaparte. W głębi serca była pragmatyczką i realistką. Skąd więc brały się te melancholijne nastroje? Zwłaszcza ostatnio...

Wiedziała skąd.

Odwróciła głowę od okna i obrzuciła wzrokiem gabinet. Wszystko nagle rozmyło się jej przed oczami. Boże drogi, przecież za chwilę się rozpłaczę!

Miała tyle powodów do tego, żeby być szczęśliwą — rząd stanowy przyznał szpitalowi fundusze na prowadzenie badań również w następnym roku, rodzina Crockersów zgłosiła gotowość sfinansowania nowej sali operacyjnej, i co najważniejsze, Jenny była w ciąży. Nic, co się wokół niej działo, nie skłaniało do takich minorowych nastrojów.

Przytknęła dłonie do czoła, jakby chciała powstrzymać napływające Izy. Nie mam prawa, myślała. Zrezygnowałam z niego już wiele lat temu. On już nie jest mój...

Westchnęła znowu, ale tym razem jej westchnienie zabrzmiało jak stłumiony szloch. Jak długo jeszcze zdoła to wytrzymać? Wiedziała, że potrafi być silna w rozmaitych sytuacjach życiowych, ale w tej sprawie... Tak bardzo go pragnęła, tak go potrzebowała! Umrę, jeśli nie weźmie mnie jeszcze choć raz w ramiona...

Myślała, że będzie w stanie zwalczyć w sobie uczucie, że uda jej się myśleć o Marku wyłącznie jak o starym przyjacielu. Sądziła, że zdoła pracować u jego boku i nadać ich związkowi wymiar czysto zawodowy, ale stawało się to coraz trudniejsze. Z każdym dniem, z każdym wejściem Marka do jej gabinetu, z każdą wspólną wizytą w biurze Horacego

Chandlera i kolacją u Gantów, kiedy siedziała między Markiem a Lilian...

Poczuła, że dusi się w gabinecie. Ściany ją osaczały. Podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownie. Mroczny korytarz był wyludniony i cichy jak jesienna ulica na zewnątrz; nie zdziwiłby jej widok czerwonych i pomarańczowych liści na posadzce...

Trzeba wracać do domu, przemknęło jej przez głowę. Dlaczego jeszcze tu siedzę?

Z głębokiego mroku korytarza wyłonił się jakiś groteskowy cień; zmierzał w jej stronę. Była to duża szczęśliwa skrzynia tocząca się na cichych ogumionych kołach. Samanta miała wrażenie, że skrzynia jedzie sama, wprawiana w ruch własną wolą, brzęcząc i dzwoniąc z cicha. Kiedy podjechała bliżej, Samanta zobaczyła przytrzymujące ją ręce i podskakującą przy każdym kroku głowę stróża, a wreszcie rytmiczne ruchy jego napiętych pleców.

— Dobry wieczór, pani doktor — wymruczał, mijając ją.

Otworzyła usta, ale nie mogła wydusić z siebie głosu. Patrzyła, jak wózek z jedzeniem i stróż znikają za zakrętem korytarza, i odwróciła wzrok, by spojrzeć tam, skąd się wyłonili.

Schody.

Ból stawał się nie do zniesienia. Czekwała ją kolejna noc leżenia w łóżku i rozmyślania o Marku. Kolejna noc prób odtworzenia dotyku jego ciała, smaku jego ust, zapachu...

Och, Willello, czy codziennie przechodzisz takie męki? Nie miałam pojęcia, jak to może być.

Nagle ogarnęło ją współczucie dla Willelli i jej cichej desperacji, współczucie dla siebie samej i dla wszystkich tych, którzy marzą o niedosiężnym kochanku.

Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, że odrywa się od drzwi; stopy ją niosły same, bez udziału woli, w głąb korytarza, do schodów. Zatrzymała się przy środkowym filarze; przystanąła przy krawędzi niszy i powtarzała sobie w duchu: Nie ma go tam. Wyszedł już dawno temu.

Z wahaniem stanęła na schodach, jakby sprawdzała, czy udźwigną jej ciężar — niepewna, czy podtrzymają ją i jej

znękanę bólem serce. Ostrożnie schodziła coraz niżej i niżej, z ciemności wchodząc w inną ciemność, od jednej plamy światła do drugiej — niczym lunatyczka skazana na władzę swych nóg. Wciąż szła przed siebie, choć wewnętrzny głos nie przedstawiał szeptać: Nikogo tam nie ma.

Na dole schodów zamarła. Przypominający jaskinię hall piwnicy oświetlała jedna żarówka. W jej blasku Samanta widziała wejścia do rozmaitych pomieszczeń i zamknięte na kluczyk szafki. Było zimno i cicho. Spod ostatnich drzwi na dalekim końcu piwnicy, spod drzwi laboratorium, sączyła się strużka światła.

Już po chwili stała pod tymi drzwiami. Mówiła sobie w duchu, że w środku jest oczywiście tylko doktor Mary Johns, szpitalny patolog.

Zastukała.

— Proszę — usłyszała głos Marka.

Otworzyła drzwi i stanęła w cieniu framugi oświetlonej rozproszonym blaskiem żarówki. Patrzyła, jak Marek unosi głowę znad mikroskopu, i pomyślała: Nie minął nawet rok. Jak długo jeszcze to zniosę? Ile podobnych jesieni przede mną?

Jego przystojna twarz tonęła w cieniu. Samanta nie wiedziała, czy Marek się uśmiecha, czy zniecierpliwiony marszczy czoło.

— Sam... — powiedział ciepło. — Długo pracujesz.

— Tak. Siedzę nad artykułem. — Z trudem łapała oddech. — Ty też jeszcze tkwisz nad mikroskopem.

— Barwię preparaty...

Jej ciało znów poruszyło się sterowane własną, nie kontrolowaną przez Samantę wolą. Ręka zamknęła drzwi, a nogi zaniósły ją do stołu, przy którym Marek pracował. Kiedy się odezwała, jej własny głos dla niej samej zabrzmiał zupełnie obco.

— Wolę pisać tutaj niż w domu. Poza tym tak jest wygodniej, bo kiedy coś się dzieje, jestem na miejscu...

Jego oczy, już nie ciepłobrazowe, ale czarne i przenikliwe, przeszywały ją na wylot.

— Ostatnio długo zostajesz w szpitalu.



— Ty też.

Spojrzał na jej dekolt. Leciutko zmarszczył czoło.

— Co to? — Wyciągnął rękę, żeby dotknąć turkusa; poczuła dotyk jego palców na piersi.

— Dostałam to od Letycji. Pamiętasz... Letycję?

— Tak.

— A Janelle?

— Pamiętam.

— A Landona Fremonta? — Wyrzucała z siebie słowa w pośpiechu. — Doktora Prince'a, doktora Westona, panią Knight...? Och, Marku! nigdy nie rozmawiamy o przeszłości. Tak jak byśmy ją pogrzebali na zawsze! Chcę, żeby znów odżyła!

To stało się tak szybko, że nawet nie zauważyła kiedy. Otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie, a potem nakrył ustami jej usta i nagle znów znaleźli się w małym pokoiku w Św. Brygidzie, a Marek dopiero co wdarł się do środka i krzyknął: „Do diabła, Samanto! Kocham cię!” Za ścianą piwnicy słyszała wesoły śmiech i dźwięki strun bandzo.

Przywarła do niego, tonąc, a on pożerał ją zgłodniały. A kiedy wsunął dłoń pod sukienkę i objął pierś, czternaście lat zniknęło gdzieś bez śladu — zatonięcie statku, śmierć jego matki, długa samotna podróż przez kontynent, narodziny i śmierć małej Klary, Jenny, Hilary, szpital... To wszystko przestało istnieć, jakby się nie zdarzyło. Przeszłość była tylko snem, z którego się wreszcie budziła.

— O Boże.. — wyszeptał jej we włosy. — Zdawało mi się, że nie zniosę tego już ani chwili dłużej. Tego patrzenia na ciebie codziennie i udawania, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Wziął ją za ramiona i odsunął od siebie. Przyglądał się jej w napięciu tak, jak tego pragnął przez długie miesiące — z miłością, z czułością, wchłaniając w siebie jej niezwykłą urodę i słodycz, perłowoszare oczy, kruczoczarne włosy, które teraz opadły jej na plecy... Sycił się widokiem, który co noc towarzyszył mu przed zaśnięciem przez całe czternaście lat. A potem łagodnie obnażył jej ramiona i zsunął ramiączka halki. Pochylił głowę i pocałował jej pierś. Samanta gwałtownie wciągnęła powietrze.

Kiedy uniósł głowę i wplótł palce w jej włosy, wyszeptał zachrypniętym z emocji głosem:

*Niegdyś przed wielu, wielu laty  
W królestwie nad mórz pianą  
Żyła dziewczeczka, którą znałem;  
Annabeł Lee ją zwano...  
Żyła tym tylko, że mnie kocha,  
I tym, że jest kochaną.*

— Zabierz mnie, Marku, z powrotem — szepnęła. — Zabierz mnie w przeszłość. Niech wrócą nasze dni sprzed zatonienia *Excalibura*. — Zdjęła naszyjnik przez głowę i położyła turkusowy wisiorek na stole. — Zapomnijmy, ten jeden jedyny raz, kim jesteśmy i czym się staliśmy dzisiaj. — Po policzkach spływały jej gorące łzy. Wyciągnęła drżące dłonie i zaczęła rozpinać mu koszulę. — Mów mi o prezydencie Garfieldzie. Opowiadaj mi o tym, jakim despota jest twój ojciec, o tym, jak Stephen szasta pieniędzmi, i o tym, jak mama wygłasza wciąż kazania. A ja ci opowiem o kłótni o teorię Pasteura, o tym, że Silas Prince nie chce mnie wpuścić na salę operacyjną...

Podłoga laboratorium wydała im się puchowym posłaniem. Marek rozścielił na niej swój płaszcz. Zaczęli się kochać łagodnie, ale bardzo szybko dali się ponieść namiętności, niczego przed sobą nie skrywając — zaspokajali swoje tęsknoty i pragnienia; na tę jedną noc odsunęli od siebie wszystkie niepokoje.

Dopiero później, na godzinę przed świtem, kiedy usłyszeli odgłosy budzącego się szpitala, zaczęli o tym ze sobą rozmawiać i mierzyć się z rzeczywistością. Przyznali, że nie są wolni i że nie mogą już więcej sobie pobłagać, gdyż ich obowiązkiem jest myśleć o innych, zwłaszcza o Lilian. Zgodzili się, że muszą żyć dniem dzisiejszym. Samanta opowiedziała mu o małej Klarze i mimo iż było to bolesne, godzili się z faktem, że przeszłość jest już za nimi i ich czas minął. Ale ta jedna noc znów należała do nich. A jeśli już jutro i każdy następny dzień czekającej ich przyszłości musiał należeć do innych, ta noc miała

być na zawsze tylko ich, ich własna — z całej duszy i serca chcieli w tych kilku krótkich godzinach urzeczywistnić największą miłość życia.

## 9

Zbliżał się koniec roku 1896 i zaczynało się mówić o złocie na Alasce. San Francisco znów ogarnęło szaleństwo. Na ulicach widywało się poszukiwaczy złota we flanelowych koszulach i wełnianych kurtkach z kapturami; gazety rozpisywały się o niebezpieczeństwach czyhających w obozach nad Yukonem. Gorączka złota ogarnęła wszystkich, nie omijając Dariusza Ganta, który zorganizował kilku kopaczy, obiecując połowę udziałów w zyskach. Przez krótki okres San Francisco przeżywało takie emocje jak za dawnych dni.

W związku z tym artykuły Samanty musiały ostro walczyć o uwagę czytelnika z innymi porywającymi wiadomościami.

W grudniowym wydaniu „Woman's Companion” Horacy Chandler zamieścił artykuł Samanty „To lekarstwo jest trucizną!”. Jej ostrzeżenia opublikowane w styczniu zostały przedstawione w formie quizu „Jak łatwo możesz ulec nałogowi?”, dzięki któremu czytelnik mógł sprawdzić swoją wiedzę o patentowych lekarstwach. Ale żadna z tych publikacji nie wywołała już takiego oddźwięku jak pierwszy artykuł Samanty. Opinia publiczna z zapartym tchem śledziła wydarzenia nad Yukonem i dlatego Horacy Chandler doszedł do wniosku, że chcąc naprawdę zainteresować czytelników, trzeba wysmażyć coś absolutnie sensacyjnego.

Stąd więc Samanta każdą wolną chwilę poświęcała pisanii niby-pamiętnika pod roboczym tytułem „Śni mi się, że jestem narkomanką”. Choć pisała go w pierwszej osobie i pod wymyślonym nazwiskiem, relacjonowała najprawdziwszy przypadek pacjentki swojego szpitala. Stwarzała tym samym realistyczny i szokujący obraz typowego pacjenta uzależnionego od masowo produkowanych leków.

Dni mijały wypełnione nieprzerwanym pochodem chorych, ordynowanych kuracji, odmierzane tragediami i zwycięstwami. Wilgotna kalifornijska zima witała się już z przedwiośniem, a miasto coraz bardziej gorączkowało się doniesieniami znad Yukonu.

Samanta i Marek często się widywali w czasie tych deszczowych miesięcy, ale nigdy już nie powtórzyli tamtej nocy, spędzonej w laboratorium. Często siadywali w prywatnym gabinecie Samanty, popijali herbatę, wsłuchani w hurgot szpitalnych wózków sunących korytarzami lub w krople deszczu bijącego o szyby. Nie musieli się już kochać fizycznie; robili to oczami, przypadkowym dotykiem, myślami. Pracowali nad kolejnym z artykułów o lekach — Marek analizował w laboratorium mieszanki i eliksiry, Samanta szkicowała ramy artykułu i porządkowała dane. Ale już nigdy nie mówili o miłości. Nie musieli — oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co do siebie czują. Kochali się i bardzo się pragnęli.

— Proszę luźniej, pani Sargent, o tak... — Samanta wbiła wzrok w przeciwległą ścianę i wyobrażała sobie wnętrze ciała pacjentki. — Dobrze. A teraz proszę się ubrać. — Odeszła od stołu do badań i umyła nad zlewem ręce.

Na maleńkim stoliczku przy zlewie leżały torebka i rękawiczki pani Sargent oraz egzemplarz „Saturday Evening Post” otwarty na artykule o nowo wybranym prezydencie, McKinleyu. Wzrok Samanty padł na szpalty z reklamami. „Unikniesz operacji” krzyczał nagłówek. „Nie zaniedbuj swojego zdrowia i nie zwlekaj do czasu, gdy szpital stanie się Twoim jedynym ratunkiem. Wzmocnij swoje siły i lecz nieprawidłowości, które są oznaką niebezpieczeństwa. Codzienna dawka «Cudownej mieszanki Sary Fenwickowej» przywróci Ci zdrowie i odporność. Przeczytaj zamieszczone niżej listy pacjentek, które w cierpieniu zwróciły się do nas.”

— Czy może mi pani pomóc, doktor Hargrave?

— Pani Sargent, ma pani duże włókniaki na macicy. Właśnie one są przyczyną krwawienia. — Samanta osuszała dłonie czystym ręcznikiem, a potem zapinając mankiety, odwróciła się do pacjentki. — Kiedy się to zaczęło?

Pani Sargent była drobną kobietą, teraz mocno zdenerwowaną.

— Jakieś pięć lat temu, kiedy urodził się Timothy. Nie było to nic poważnego. Trochę tylko plamiłam. Ale potem, jakieś trzy lata temu, okres wydłużył mi się aż do dwóch tygodni.

— Czy coś pani robiła w tej sprawie?

— Straciłabym pracę w piekarni, gdybym wzięła wolny dzień, żeby pójść do doktora. Napisałam więc do Sary Fenwickowej. W reklamach mówią, że jej środek działa najprawdziwsze cuda.

Samanta w zamyśleniu spojrzała na reklamę w gazecie. Sara Fenwick patrzyła na nią dobrotliwie z owalnej fotografii; jej piękną twarz kochającej babuni zdobił subtelny uśmiech.

— I jakie zalecenia pani otrzymała?

— Dostałam butelkę „Cudownej mieszanki”. Jak tylko zaczęłam brać lekarstwo, od razu poczułam się lepiej.

Samanta skinęła głową; duża zawartość alkoholu w „Mieszance” niewątpliwie mogła przynosić taki skutek.

— Ale krwawienie nie ustało. Napisałam więc jeszcze raz i polecono mi zwiększyć dawkę. Tylko to nic nie dało — przyznała pani Sargent i zwiesiła głowę. — Piłam „Mieszankę” codziennie, aż wreszcie nie mogłam już przełknąć ani kropli więcej. Krwawienie się nasilało, a teraz już jestem bardzo słaba.

Samanta przysunęła krzesło do pacjentki i usiadła.

— Pani Sargent — zaczęła swobodnym tonem — włókniaki nie są złośliwe, ale niestety wymagają wycięcia.

Kobieta zbladła.

— Operacja?

— Tak.

— Jaka?

— Trzeba pani usunąć całą macicę.

Pani Sargent krzyknęła przerażona i wybuchnęła płaczem. Samanta delikatnie poklepała ją po kolanie.

— Gdyby poszła pani do doktora od razu, może dałoby się jeszcze coś zrobić, ale teraz nie mamy wyboru.

— Nie stać nas na lekarza! — Pacjentka szlochała w chusteczkę. — Ledwie starcza nam na wykarmienie dzieciaków!

— Pani Sargent, opieka lekarska w szpitalu jest darmowa dla tych, którym ciężko.

— Och, ale pani doktor, usunięcie macicy! Niech pani zrobi coś innego!

Samanta poczuła nagłe ukłucie bólu.

— Nie chodzi o mnie! — Kobieta płakała. — Tylko o to, co na to powie Harry! Nie będzie mnie już kochał!

— Ależ oczywiście, że będzie — uspokajała Samanta.

— Nie mam jeszcze czterdziestu lat! Błagam, pani doktor, niech pani tego nie robi! Wolałabym chyba umrzeć!

Samanta położyła dłoń na ramieniu zapłakanej pani Sargent.

— Naprawdę chciałabym mieć jakiś wybór.

— Czy ta „Mieszanka” w ogóle nie pomagała?

— „Mieszanka Sary Fenwickowej” jest tylko tonikiem, pani Sargent, czymś, co może poprawić pani samopoczucie, a nie wyleczy zmian w organizmie.

— Ale moja siostra miała guza na macicy i jedna butelka mieszanki go całkiem rozpuściła! Mnie też pomagała. Kiedy wracałam z piekarni o dziesiątej wieczorem, ledwie się wlokłam po schodach. Ale jak tylko zażyłam lekarstwo, od razu mogłam się brać za sprzątanie i za gotowanie. — Dotknęła ręki Samanty. — Proszę, pani doktor...

Samanta czuła, że wilgotnieją jej oczy; trudno było czasem utrzymać zawodowo obojętną minę.

— Jeśli nie usuniemy macicy, pani Sargent, mogą powstać poważne komplikacje — powiedziała łagodnie.

— Ale ja nie chcę być stara!

— Stara?

— Przekwitanie... — wyszeptała pacjentka. — Wiem, że jak się usunie macicę, zaczyna się zaraz przekwitać.

— To bajki, pani Sargent. Menopauzę przyśpiesza się wówczas, gdy się usunie jajniki. W pani przypadku wyjmemy tylko macicę. A macica jest wyłącznie mięśniami, niczym innym.

- Tylko potem nie będę już kobietą.
- Samanta czuła, że coś ją dławi w gardle.
- Przecież to nieprawda!
- Och, pani doktor, tak bardzo się boję...

— Marku, czy mogę zamienić z tobą słowo?

Oderwał wzrok od mikroskopu, a na widok jego rozjaśnionej radością twarzy serce Samanty od razu mocniej zabiło.

— Oczywiście, Sam! Chodź tutaj, chcę, żebyś coś zobaczyła!

Schyliła się nad okulem mikroskopu, przytknęła oko do soczewki, a tymczasem Marek ustawiał lusterko pod takim kątem, żeby lepiej widziała preparat.

— To jest fragment tkanki piersi, którą wczoraj usunęłaś. Widzisz zdrowe komórki na godzinie drugiej?

— Tak. — Stał blisko, prawie jej dotykał.

— Są dobrze wykształcone, typowe, wszystkie tej samej wielkości, a kilka z nich zaczęło się już dzielić.

— Tak — odparła cicho. — Widzę.

— A teraz spójrz na te, które je otaczają. Są inne, zdeformowane. Zobacz, jak łatwo dają się oderwać. Sam, to są przecież te same komórki!

Wyprostowała się i ujrzała nad sobą jego uśmiechniętą twarz.

— Jeszcze nie miałem tak wyraźnej próbki — ciągnął. — Już ta jedna niemal wystarcza do tego, żeby podeprzeć moją teorię o początkowej fazie raka. A jeśli mam rację, jeśli komórki złośliwego nowotworu są mutantami tych zdrowych, to mamy punkt wyjścia do poszukiwania właściwego lekarstwa!

— To cudowne, Marku. — Zerknęła na duży zeszyt, w którym notował i opisywał kolejne badane próbki. — Ale co uniwersytet myśli o tym, że całymi dniami przesiadujesz w szpitalu?

— Wystąpiłem o urlop, Sam. Moja praca tutaj jest teraz zbyt ważna, żebym mógł ją przerwać. I badania nad komórkami, i twoja kampania przeciwko producentom leków. I...

— I?

Spojrzał jej prosto w oczy; uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Martwię się o Lilian.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nie jest szczęśliwa. Mimo że tak wiele czasu poświęca oddziałowi dzieci... — Potrząsnął głową." — Nie wiem. Prawie się już nie widzimy. A kiedy jesteśmy ze sobą, nie mamy o czym rozmawiać.

— Sądzisz, że nas podejrzewa...?

Odwrócił się i podszedł do zlewu.

— Nie wiem, Sam. Nie sędzę. Lilian jest osobą prostolinijną i szczerą. Myślę, że gdyby nabrała jakichś podejrzeń, chciałyby się nimi podzielić. Chodzi o coś innego. Przypuszczam raczej, że dręczy ją pragnienie, żeby zostać matką.

Umył ręce, wytarł je i opuścił rękawy koszuli. Odwrócił się do Samanty i oparł się o zlew.

— O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

Uff, jesteśmy znów na bezpiecznych wodach, pomyślała.

— O naszej krucjacie antylekowej. Pan Chandler mówi, że spadła liczba listów od czytelniczek. Musimy zrobić coś, żeby zainteresować opinię publiczną.

— Może następny artykuł powinniśmy zatytułować „Narkomania nad Klondike”?

— Chyba masz rację. — Westchnęła. — Ale myślałam nad tym i doszłam do wniosku, że chyba zanadto się rozpraszamy, bo chcemy osiągnąć zbyt wiele. Nudzimy też czytelników nadmiarem danych i statystyki.

— I co w związku z tym?

Usłyszeli, że drzwi się otwierają; do laboratorium weszła doktor Johns, patolog.

— Dzień dobry państwu — rzuciła pogodnie i zaczęła zdejmować płaszcz.

— Jak się masz, Mary — przywitał ją Marek. — Już uciekamy.

— Nie śpieszcie się państwo, i tak zacznę od herbaty. — Doktor Johns podeszła do stołu, gdzie wśród słoików z preparatami, flaszek z formaliną, probówek i palników stał prymus i czajnik.

— Jak się miewa pani córka, doktor Hargrave?



— Dziękuję, dobrze. Dużo jej jak na szósty miesiąc. Zaczynam podejrzewać, że może nosić bliźniaki.

— To by dopiero była radość! — wykrzyknęła doktor Johns, odwracając się od stołu.

Marek zaczął już pokazywać Mary preparaty, które dostał z sali operacyjnej; interesowała go jej opinia w tej sprawie. Samanta stanęła przy drzwiach.

— Marku, będę na oddziale ogólnym.

— Chciałabym się skoncentrować na jednej firmie farmaceutycznej — mówiła Samanta, kiedy usiedli przed biurkiem Horacego Chandlera. — Mam uczucie, że więcej zdiagnozujemy, jeśli weźmiemy się za jakieś jedno popularne, znane na rynku lekarstwo.

Horacy odchylił się w fotelu i splótł dłonie na brzuchu. Za oknem marcowy wiatr tłukł z furją deszczem o szyby.

— Ma pani już jakieś na widoku? — zapytał.

— Wiele moich pacjentek, zanim trafia do nas do szpitala, najpierw zażywa „Cudownej mieszanki Sary Fenwickowej”. Podejrzewam, że „Mieszanka” należy do tych leków, które można znaleźć dosłownie w każdym domu.

Horacy gwizdnał przeciągle.

— Sara Fenwick to największy producent w kraju, pani doktor. Toż to filar waszyngtońskiego lobby! Znalazła sobie pani naprawdę mocarnego przeciwnika!

— Pan się boi?

Roześmiał się.

— Wcale! Ale coś pani powiem. — Nachylił się nad biurkiem i oparł dłonie o blat. — Jeśli chce pani rozpocząć walkę z Sarą Fenwickową, musi pani mieć bardzo skrupulatnie rozpracowane dane. — W tym miejscu zwrócił się do Marka: — Przeprowadziłeś już jakieś analizy?

— Na razie tylko na zawartość alkoholu, którego w „Mieszance” jest aż nadto.

— Czy sądzi pani, doktor Hargrave, że „Mieszanka” zawiera inne szkodliwe składniki?

— Nie to będzie głównym celem mojego ataku, panie Chandler, gdyż osobiście uważam, że „Mieszanka” jest w grun-

cie rzeczy zupełnie nieszkodliwa. Protestuję natomiast przeciwko praktyce stawiania zaocznych diagnoz i leczenia drogą korespondencyjną. Każda z moich pacjentek, która się zgłasza za późno, najpierw popija w domu „Mieszankę” zamówioną listownie z fabryki. W poczcie zwrotnej otrzymuje od producenta zapewnienia, że ten cudowny środek postawi ją na nogi. Właśnie przeciwko temu, panie redaktorze, chcę zaprotestować z całą mocą.

Zamyślił się.

— Tego rodzaju walka będzie od nas wymagała czegoś więcej niż tylko kilku testów laboratoryjnych i wypowiedzi paru niefortunnych pacjentek. — Wstał z fotela i stanął przy biblioteczce, która zajmowała jedną ścianę gabinetu. Odciągnął przesuwane drzwiczki i odsłonił półkę z butelkami i kieliszkami. Nalał sobie jeden z trunków; nie proponował nic swoim gościom, bo wiedział, że i tak odmówią.

Wrócił do biurka i zamiast usiąść w fotelu, przysiadł na brzegu blatu.

— To szczęśliwy zbieg okoliczności, że państwo przyszli dziś do mnie, gdyż po obiedzie wybierałem się z wizytą do was.

Zakręcił w dłoni szklaneczką z whiskey i przyglądał się wirującemu płynowi.

— Tym razem ja mam wam coś do powiedzenia. Słyszeli państwo o „czerwonej klauzuli”?

— Nie.

Chandler wyjaśnił im, że sam, na własną rękę, zaczął prowadzić drobne śledztwo w nadziei, iż trafi na coś, co doda pieprzyka artykułom Samanty i co przyciągnie uwagę czytelników. W tym celu wynajął detektywa. Zażądał od niego zdobycia egzemplarza umowy, jaką zawierają producenci leków z pismami i gazetami, w których zamieszczają reklamy swoich specyfików. Detektyw Pinkerton udał się do biura J. C. Ayer Company, gdzie podał się za agenta reklamy i zdobył jedną z takich umów. W owej umowie znajdowała się tajemnicza „czerwona klauzula”.

Horacy otworzył szufladę i podał dokument Samancie i Markowi.

— Niewielu ludzi wie, co to takiego — ciągnął, kiedy wczytywali się w klauzulę nazwaną czerwoną od koloru farby drukarskiej. — Cała klauzula sprowadza się do tego, że w razie jakichkolwiek kroków prawnych podjętych przeciwko masowo wytwarzanym lekom bądź w razie ukazania się w piśmie informacji podważających zaufanie do firm farmaceutycznych zawarta umowa przestaje być dla producenta wiążąca. Tę klauzulę można znaleźć w każdej tego typu umowie, co jak widać, dokładnie zamyka prasie usta.

Samanta z Markiem wymienili spojrzenia, a potem przenieśli wzrok na Horacego.

— Wydawało mi się, że zechcą państwo wiedzieć i to, że mamy tu przy okazji do czynienia z pogwałceniem praw obywatelskich. Owszem, wolność prasy istnieje, ale jedynie tak długo, jak długo nie zagraża konkretnym, wymiernym zyskom.

Marek oddał Horacemu umowę.

— Masz zamiar to opublikować?

— W całości. — Horacy odstawił nietkniętą szklaneczkę whiskey i wrócił na fotel. — Teraz chciałbym, żeby ten sam Pinkerton, to znaczy pan Jeffries, powęszył co nieco w zakładach Sary Fenwickowej. A nuż trafi na jakieś głęboko zakopane fakty, które zainteresują opinię publiczną? I mam przeczucie — w tym miejscu spojrzął na nich znacząco — że znajdzie nam naprawdę ciekawy kasek.

## 10

Sala operacyjna Szpitala Miejskiego dla Kobiet i Dzieci w niczym nie przypominała dawnych tego typu pomieszczeń — cały personel miał na sobie długie białe i czyste fartuchy, a na głowach czepki; narzędzia były sterylizowane, pani Sargent spała pod jałowym białym prześcieradłem, a anesteziolog nanosiła wykresy jej pulsu i toru oddychania na jedną z nowo opracowanych kart, które po raz pierwszy wprowa-

dzono w szpitalu Massachusetts General. Samanta stawiała do rutynowej operacji w jamie brzusznej — od czasu gdy po raz pierwszy zdobyła się na taki śmiały wyczyn w szpitalu Św. Brygidy, podobne operacje stały się już codziennością.

Pracowały w ciszy. Willella zajęła stanowisko naprzeciwko Samanty i trzymała retraktory; zauważyła, że doktor Hargrave jest tego ranka pochłonięta innymi myślami. Hm, miała w końcu tyle spraw na głowie!

Jedną z nich, tak bardzo zaprzatających Samantę tego słonecznego majowego dnia, było przyjęcie organizowane wieczorem u Masonów. Miało to być uroczyste spotkanie z okazji urodzin Samanty. Co prawda bardzo przeciwko niemu protestowała, nie chcąc, żeby przypominano jej, że kończy trzydzieści siedem lat, ale nie była w stanie zniechęcić do tego projektu przyjaciół, zwłaszcza zaś Hilary, która odkąd małeńka Winnifreda skończyła roczek, zaczęła zupełnie nowe życie.

Hilary naprawdę miała szczęście. Po wypadku na schodach mogła usiąść i spokojnie porozmawiać z Dariuszem, który co prawda wciąż niewiele rozumiał z tego zamieszania, ale zgodził się na stosowanie antykoncepcji i pozwolił Hilary na więcej swobody. Choć nie przystał na to, by dysponowała własną książeczką czekową, we wszystkich innych sprawach gotów był podjąć prekursorskie próby.

Samanta myślała też tego ranka o Jenny. Hilary zakończyła swą długą karierę macierzyństwa, Jenny właśnie ją zaczynała. Zbliżający się termin porodu, wyznaczony za dwa tygodnie, wywoływał wśród znajomych dużo emocji; Samanta nie potrafiła stłumić w sobie niepokoju. Jenny miała bardzo duży brzuch, a kiedy Samanta badała ją ostatnio, zdawało jej się, że słyszy tętno dwóch płodów. Wszyscy z radością przyjęliby bliźnięta, ale bliźniaki zwiększały ryzyko związane z porodem. Samanta dużo by dała za to, żeby wiedzieć cokolwiek o rodzeniu Jenny.

Jenny tymczasem zachowywała olimpijski spokój. Zupełnie tak, jakby spełniała swój cel w życiu, czekała w ciszy, ze splecionymi na brzuchu dłońmi i Adamem u boku.

Samanta wróciła myślami do operacji. Macica została już wyjęta, a po wysuszeniu jamy brzusznej z krwi obie z Willella

obejrzały dokładnie widoczne organy. Potem zaczęły zaszywać powłoki brzuszne.

— Siostrzo, proszę poprosić doktor Johns o zbadanie macicy. A jeśli w laboratorium jest też doktor Rawlins, proszę mu przekazać, że za pół godziny będę już gotowa.

Nakładała szwy i czuła, jak ogarnia ją podniecenie. Po obchodzie mieli oboje z Markiem odwiedzić Horacego w biurze i nadać ostateczny kształt jej artykułowi.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to, co planują — atak na wiodącego producenta leków w Stanach — stanie się wielką sensacją. Kiedy Horacy Chandler opublikował treść kontraktu Ayera pod tytułem „Producent leków naśmiewa się z wolności prasy”, natychmiast spadła sprzedaż „Gorzkiej tynktury” Ayera, do redakcji „Woman's Companion” napłynęło mnóstwo listów od czytelników, a adwokat Ayera złożył wizytę w wydawnictwie. Najwyraźniej opinia publiczna interesowała się artykułami pisma i domagała się dalszego ciągu.

Cóż, Cy Jeffries przeszedł samego siebie, żeby następny artykuł Samanty został prawdziwym przebojem.

Detektyw Pinkerton wykonał dobrą robotę. Wkręcił się do pracy w dziale wysyłkowym zakładów Sary Fenwickowej i zdobył więcej sensacyjnego materiału, niż mu się w ogóle śniło. Dowiedział się, że producent płaci za większość dziewczynnych listów publikowanych w reklamach (dwadzieścia pięć dolarów każdej kobiecie, która napisze, że „Mieszanka” wyleczyła ją z choroby), i odkrył też przy okazji, że butelkowanie mieszanki odbywa się w niehigienicznych warunkach. Na najwspanialszą sensację natknął się jednak w dziale korespondencji, gdzie mimo licznych zapewnień w broszurach reklamowych, że „w naszym biurze nie zatrudniamy nawet chłopców na posyłki”, Cy Jeffries naliczył kilkunastu mężczyzn, a nawet trafił na scenę, jak dwóch młodzieńców chichotało w kącie nad świeżo nadesłanym listem.

Największą jego zdobyczą okazała się jednak fotografia.

Horacy Chandler zamierzał ją zamieścić na pierwszej stronie wrześniowego numeru. Było to zdjęcie nagrobka pani Sary Fenwick z wyraźnie wrytymi datami narodzin i zgonu. Sara Fenwick zmarła na sześć lat przed powstaniem

firmy. Pod zdjęciem owego nagrobka Horacy Chandler chciał wydrukować jeden z reklamowych sloganów firmy: „Pani Fenwickowa, nie ruszając się z salonu, potrafi zdziałać więcej dla chorych kobiet niż wszyscy lekarze w kraju”.

Marek i Samanta też nie zasypiali gruszek w popiele. Marek przeprowadził analizy „Mieszanki” i okazało się, że tonik Sary Fenwickowej nie jest wcale tak nieszkodliwy, jak zakładali — jeden z jego składników miał właściwości aborcyjne. Samanta natomiast napisała kilka listów do Sary Fenwickowej, nie wspominając w nich słowem, że sama jest lekarką. W pierwszym opisała niewyraźne symptomy bliżej niesprecyzowanej choroby i w odpowiedzi otrzymała zalecenie zażywania „Mieszanki” po łyżce stołowej dziennie. W drugim skarżyła się, że symptomy ulegają nasileniu, wobec czego kazano jej podwoić dawkę leku. Na koniec zaś poinformowała panią Fenwick, że lekarz zaleca jej operację, a w liście, który dostała z zakładów, znalazła zapewnienie, że pół butelki „Mieszanki” dziennie uchroni ją przed skalpelem.

Materiału zebrano się tak dużo, że Horacy Chandler postanowił przeznaczyć niemal cały wrześniowy numer „Woman's Companion” na rozprawienie się z Sarą Fenwickową. Poza artykułami poświęconymi tej sprawie, chciał też zamieścić rzeczy uzupełniające, drobniejszego kalibru. Kierując się radami Samanty i Marka, zdecydował się skupić na „Żółdkowej tynkturze Wertza”, „Indiańskiej kuracji ciotki Trudy”, i „Tajemnym leku Searsa”. W związku z „Tajemnym lekiem” Horacy postanowił oddać Searsowi aż całe dwie strony. Na jednej z nich chciał zamieścić wielką reklamę „leku” w takiej postaci, w jakiej ukazywała się w katalogu firmy. Była to scenka z kobietą, wlewającą coś ukradkiem do wieczornej filiżanki kawy niczego nie podejrzewającemu mężowi, coś, co go miało uchronić od pijackich wędrówek po nocy. Horacy zamierzał opatrzyć ten obrazek własnym podtytułem: „O tak, to go na pewno zatrzyma nocą w domu! «Lek» zawiera tyle narkotyku, że zwaliłby z nóg nawet konia!” Na stronie obok miała się znaleźć reklama środka Searsa na zwalczanie uzależnienia od opium i morfiny pod hasłem: „Kiedy już «Lek» przyniesie nadspodziewanie dobre rezultaty”. Hasło przewod-

nie numeru miało być wypisane wielkimi czerwonymi literami: CAVEATEMPTOR, Kliencie, strzeż się!"

Kiedy Samanta opatrywała ranę pani Sargent, do sali operacyjnej weszła siostra Constance.

— Doktor Hargrave, pani Rawlins prosi panią o rozmowę w gabinecie.

— Już idę, Constance. Zechce pani poczekać przy pacjentce, dopóki się nie zbudzi?

— Dzień dobry — rzuciła, wchodząc do gabinetu. — Napije się pani herbaty?

— Nie, dziękuję, pani doktor.

Samanta usiadła za biurkiem i zastanawiała się, co spowodowało do niej Lilian. Jej kuracja została zakończona; Samanta już nic więcej nie była w stanie zrobić. Reszta zależała wyłącznie od Marka i Lilian. I dlaczego zjawiła się akurat w porze lunchu, kiedy zazwyczaj pomagała przy karmieniu dzieci?

— Czym mogę służyć? — zapytała i złożyła ręce na biurku.

— Pani doktor, chciałabym wyrazić swoją wdzięczność za wszystko, co pani dla mnie robiła. Za badania, leczenie i troskę. Żaden z moich dotychczasowych lekarzy tak się mną nie zajmował.

— Niech pani czasem teraz nie zrezygnuje.

— Już zrezygnowałam. Pożegnałam się z wszelką nadzieją.

Samanta nie odrywała od niej oczu. Lilian oznajmiła to spokojnie i cicho; nie była zdenerwowana — zachowywała się jak człowiek pogodzony z losem.

— Niech pani się nie poddaje.

Lilian uniosła dłoń.

— Nie, doktor Hargrave. Kiedy przestałam się łudzić nadzieją w Saint Louis, przestałam walczyć z losem. Ale gdy tu przyjechałam, pani tchnęła we mnie nową wiarę, za co jestem pani bardzo wdzięczna. Nie mogę jednak przechodzić przez to po raz trzeci. Nie byłabym w stanie tego znieść.

— Ale nie ma powodu teraz rezygnować!

— W tym roku skończę czterdzieści lat, doktor Flargrave. Późno wyszłam za mąż. Na dobrą sprawę, kiedy poznałam Marka, wiedziałam, że jestem skazana na staropanieństwo. Nie mam już żadnych złudzeń. Wiem, że od początku nie było nam pisane.

— Niech pani sobie tylko nie wyobraża czasem, że poniosła pani życiową klęskę, nie zachodząc po raz drugi w ciążę — wtrąciła Samanta łagodnie. — Dla chłopców i dziewczynek z oddziału dziecięcego jest pani najprawdziwszą matką.

— Nie mówiłam o macierzyństwie, pani doktor. Myślałam o małżeństwie z Markiem.

Patrzyły na siebie bez słowa.

— Byliśmy w sobie zakochani, kiedy braliśmy ślub. — Lilian opowiadała spokojnie. — I nadal się kochamy, ale ten nasz półtoraroczny pobyt w San Francisco zmusił mnie do wnikliwych przemyśleń i analiz. Dzisiaj już rozumiem, że wyszłam za Marka z niewłaściwych powodów. Byłam samotna. Przekroczyłam trzydziestkę i bałam się, że usiądę na koszu. I bardzo, ale to bardzo — zniżyła głos do szeptu — chciałam mieć dziecko...

Odetchnęła głębiej i poprawiła się na krześle.

— Tak naprawdę to nigdy nie mieliśmy z Markiem wspólnych zainteresowań. Owszem, lubiliśmy teatr, poezję, tego rodzaju rzeczy. Ale nie łączyło nas nic zasadniczego, nic, na czym można by oprzeć wspólne życie. Akurat wybrałam się do Nowego Jorku w odwiedzinach do kuzynów i poznałam Marka na pikniku. Przypuszczam, że przylgnął do mnie z tych samych pobudek, co ja do niego: chciał mieć rodzinę. I sądzę, że gdybyśmy mieli dzieci, znaleźlibyśmy w nich to, co stanowiłoby dla nas wspólny cel. Ale kiedy... — Lilian spojrzała na swoje dłonie. — Kiedy nasze dziecko zmarło, zaczęliśmy się od siebie oddalać. Markowi nie wystarczało Saint Louis. Chciał czegoś więcej niż zwyczajnej lekarskiej praktyki, więc kiedy uniwersytet kalifornijski złożył mu ofertę, Marek ujrzał w niej dla siebie szansę. Chociaż nie chciałam rozstawać się z rodziną, postanowiłam dla dobra i dla kariery Marka przenieść się wraz z nim do San Francisco.

Uniosła głowę i z uwagą spojrzała na Samantę.



— On znalazł tu to, czego szukał. Jest teraz szczęśliwy, ma co robić, odnalazł swoją pasję. I tym się bardzo cieszę.

Samanta wolno rozplotła dłonie i oparła się wygodniej w fotelu.

— Pani doktor, chcę wrócić do domu. — Pierwszy raz na twarzy Lilian odbił się niepokój, jej broda zadrżała. — Tęsknię za rodziną. Marzę o tym, żeby uścisnąć siostrzenice i siostrzeńców. Czuję, że to pragnienie zupełnie mnie wykańcza; wokół mnie jest teraz taka pustka. Wiem, że i tu w szpitalu mam dzieci, ale na bardzo krótko. Ledwie zdążę do nich przywyknąć, a już wracają do domów. Boję się je pokochać, bo rozstania są takie bolesne. Pani doktor, chcę mieć dzieci na stałe, takie, które w pewnym sensie są również częścią mnie, częścią mojego ciała. Moje siostry... — Głos się jej załamał.

Samanta wstała i pociągnęła za pas dzwonka. Stanąła przy Lilian.

— ...moje siostry chcą, żebym wróciła, doktor Hargrave. — Brązowe oczy Lilian zasnuła mgła łez. — Tam, przy nich, jest mój dom.

Wreszcie zaczęła płakać. Samanta podała jej chusteczkę; nie mogła wydusić z siebie słowa.

Po chwili Lilian zapanowała nad emocjami.

— Kocham Marka, pani doktor — ciągnęła. — I za nic na świecie nie chciałabym go skrzywdzić. Ale nie jestem kobietą, z którą powinien być się żenić. Nie mogę mu dać tego, na co czeka. Nie umiem ani zrozumieć jego pracy, ani dzielić z nim jego zawodowych zainteresowań. Jeśli mam być szczerą, pani doktor, uważam jego badania w laboratorium za szalenie niemiłe zajęcie. Podziwiam jego pracę, ale nie chcę o niej słuchać. Mam też uczucie, że moje opowieści o siostrzenicach i siostrzeńcach bardzo go już nużą.

Rozległo się pukanie do drzwi; siostra Constance zajrzała do gabinetu.

— Proszę nam przynieść herbatę — powiedziała Samanta pełnym napięcia głosem.

— Nie podejmę tej decyzji pochopnie — mówiła Lilian dalej, kiedy drzwi się zamknęły. — Rozmyślałam nad nią już od kilku miesięcy. Kiedy pani Gant w zeszłym roku rodziła małą

Winnifredę, chodziłam jak błędna. Doktor Hargrave, wracam do domu.

Samanta chciała ją zapytać, czy mówiła już o tym Markowi, i dowiedzieć się, co on o tym myśli, ale powściągnęła ciekawość.

Niemniej Lilian, jakby zgadując jej myśli, ciągnęła:

— Marek jest bardzo zmartwiony. Wczoraj wieczorem długo rozmawialiśmy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mówiliśmy wreszcie szczerze. Uważa, że to on jest winny całej sytuacji, a ja nie umiem go przekonać, że wcale tak nie jest.

Jej głos nabrał mocy.

— Marek i ja należymy do dwóch różnych światów. Miłość tu nie wystarcza. Poza pragnieniem miłości jest jeszcze konieczność spełnienia. Mnie do szczęścia potrzebne są dzieci moich siostr, jemu kariera zawodowa. Ale tak się składa, że ja nie mogę swoich potrzeb zaspokoić tutaj, w San Francisco, on natomiast nie może robić tego, co dla niego ważne, w moim Saint Louis. Nawzajem jesteśmy dla siebie kulą u nogi, odciągamy się od tego, na czym nam zależy, a to jest zaprzeczeniem idei małżeństwa. On musi zostać w San Francisco, tak jak ja muszę wrócić do domu.

Lilian wreszcie umilkła, zupełnie tak, jakby wypowiedziała do końca wyuczoną na pamięć kwestię. Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim? — dziwiła się w duchu Samanta; ale na dobrą sprawę znakomicie wiedziała dlaczego...

Siostra Hampton wniosła do gabinetu tacę z herbatą.

— Napije się pani ze mną, Lilian? — zapytała Samanta.

Pani Rawlins przywołała na twarz uśmiech.

— Z przyjemnością, pani doktor.

Samanta siedziała w gabinecie jeszcze długo po wyjściu Lilian; prosiła pielęgniarkę, żeby jej nikt nie przeszkadzał, ale gdy uznała, że jest już gotowa, gwałtownie wstała z fotela. Zeszła po schodach prowadzących do kuchni, pralni i kostnicy. Niepewnie zatrzymała się przed drzwiami z wywieszką LABORATORIUM.

Kiedy weszła do środka, Marek oderwał wzrok od mikroskopu.

Jenny uparcie obstawała przy swoim. Choć Samanta nalegała, żeby rodziła w szpitalu, Jenny za nic na świecie nie chciała się na to zgodzić. Dziecko Adama miało urodzić się w domu, w obecności ojca.

— Ale może dojść do jakichś komplikacji — ostrzegła Samanta.

— Żadnych komplikacji — odpowiedziała palcami Jenny. — Wszystko będzie dobrze.

Mimo to Samanta sprowadziła do domu pełne oprzyrządowanie położnicze i prosiła Willellę, żeby była gotowa do asysty przy ewentualnej operacji, gdyby potrzebna była jednak interwencja chirurgiczna. Lęki Samanty irytowały Jenny. Tego, co miało nastąpić, oczekiwała z taką samą powagą i spokojem, z jaką przyjmowała dotąd wszystko inne w życiu.

— Nie wiem... — mówiła Samanta, wyłamując ręce. — Brzuch jest za duży. Nie słyszę już podwójnego tętna. No i minął tydzień od wyliczonego terminu.

— Doktor Hargrave, niech się pani tak nie denerwuje — uspokajała Willella. — Brzuch wcale nie jest za duży, pani sama nie ma pewności, czy przedtem rzeczywiście słyszała pani dwa tętna, a pierwiastki często dłużej noszą ciężę, niż to wynika z terminu.

Był duszny czerwcowy wieczór. Wszyscy siedzieli w salonie Samanty i popijając lemoniadę usiłowali odetchnąć tą odrobiną wiatru, jaka od czasu do czasu wpadała przez otwarte okna. Willella wachlowała się energicznie i żałowała, że nie może rozpiąć gorsetu; Hilary, która wróciła już do figury z czasów narzeczeńskich, gorąco zupełnie nie przeszkadzało — te krople potu na czole były wynikiem niepokoju o Jenny; mężczyźni zdjęli surduty i odpięli kołnierzyki. Dariusz dodał kilka kropli „czegoś mocniejszego” do limoniady swojej i Stantona; Marek odmówił alkoholu. Oparty o framugę drzwi, z rękami w kieszeniach, spoglądał na migające światłami miasto — Samanta wiedziała, o czym myśli.

Na schodach stanęła pani Peoples.

— Co u Jenny? — zapytała Samanta, podchodząc do gospodyni.

— Wszystko dobrze, pani doktor. Odpoczywa. Pan Wolff jej pilnuje. Chciałam przynieść państwu świeżej limoniady.

Samanta robiła tyle zamieszania wokół córki, że w końcu Jenny powiedziała jej wprost, że chce zostać sama, w spokoju.

— Męczysz mnie, mamó. Proszę cię, daj mi odpocząć. Zawołam cię. Obiecuję.

Na dole i Hilary, i Willella zaklinały Samantę, żeby dała Jenny odsapnąć; matczyne zdenerwowanie Samanty wywoływało w Jenny niepotrzebny niepokój.

— Można by pomyśleć, że jeszcze nigdy nie odbierała pani porodu, doktor Hargrave — stwierdziła Willella z uśmiechem.

— Przypuszczam, że wszystko wygląda inaczej, kiedy rodzi córka. — Hilary myślała o Gwiazdce, już trzynastoletniej, która niebawem miała stać się kobietą. Niedługo i ona, Hilary, będzie przeżywać takie emocje jak Samanta dzisiaj.

— Naprawdę muszę iść na górę. — Samanta nie wytrzymała.

Ale Willella natychmiast podniosła się z krzesła.

— Ja zajrzę do Jenny, pani doktor. W każdym razie ja jej na pewno nie wystraszę.

Samanta odprowadziła ją do drzwi.

— Niech pani odczeka tam z pięć minut i zobaczy, jak wyglądają skurcze — szepnęła Willelli w ucho tak, żeby nikt nie słyszał. — Godzinę temu miała rozwarcie na cztery centymetry i utrzymywała, że nie czuje najmniejszego bólu.

Willella poklepała Samantę po dłoni.

— Wiem, co mam robić, doktor Hargrave.

Samanta, nerwowo zacierając ręce, wróciła do salonu i stanęła przy Marku. Ciepły wieczór niósł ze sobą odurzającą woń płynącą z ogrodu — pachniał kwiatami, kwitnącymi brzoskwiniowymi i morelowymi drzewkami, świeżo ściętą trawą. Co jakiś czas wpadał im też w nozdrza drażniący zapach dymu z ogrodu za płotem, gdzie sąsiedzi umilali sobie wieczór typową dla kalifornijskiego lata kolacją z rusztu.

Marek spojrział na Samantę i uśmiechnął się.

— Jak tam?

— Dobrze. A ty jak się czujesz?

— Rozmyślałem.

— O czym?

Nie odrywał od niej wzroku.

— Myślałem o Lilian. Zastanawiam się, czy wiedziała, czy czuła, co łączy mnie i ciebie. Jeśli tak, to przyznaję, że ma więcej klasy, niż jej przypisywałem.

— Jest teraz szczęśliwa, Marku. Jej najmłodsza siostra znów spodziewa się dziecka.

— Tak... — Przeniósł spojrzenie na ogród.

Choć Samanta i Marek spędzili wiele godzin rozmawiając o Lilian, jeden temat wciąż pomijali milczeniem. Nigdy nie rozważali, co robią, kiedy Marek już dostanie rozwód. Marek najwyraźniej nie miał ochoty w ogóle o tym mówić, a Samanta nie chciała przypierać go do muru. Ale zastanawiała się nad tym i ciągle miała nadzieję...

— Wszystko idzie dobrze — oznajmiła Willella, wchodząc do salonu. — Jenny odpoczywa wygodnie. — Podeszła do Samanty i dodała cicho: — Skurcze występują co pięć minut. Szyjka rozwarta na sześć centymetrów.

— Ma bóle?

— Mówi, że nie. Trzymałam rękę na jej brzuchu podczas skurczu i obserwowałam jej twarz. Mam wrażenie, że to mnie bolało bardziej niż Jenny!

Nareszcie Samanta dowiedziała się, co czują ojcowie czekający na dziecko w małej poczekalni szpitala. Tylko w tym pomieszczeniu zezwalano na palenie i choć nie wolno tam było pić żadnych wysokich napojów, personel doskonale wiedział, że przyszli tatusiowie przemycają alkohol.

Pani Peoples przyniosła świeży dzbanek limoniady i talerz chińskich migdałowych ciasteczek. Dariusz napełnił swoją szklankę i szklankę Stantona cytrynowym płynem, który wzmocnił trunkiem z piersiówki, a tymczasem Hilary wzięła talię kart i zaprosiła Willellę do gry. Samanta wróciła do Marka i stali w ciszy pełnej obopólnego zrozumienia.

— Koty są dziś niespokojne — zauważyła Willella, odrywając wzrok od kart. — Gdzieś w okolicy jest pewnie jakaś kotka. Posłuchajcie tylko wrzasku tego kocura!

Samanta uśmiechnęła się, słysząc niecierpliwe kocie nawoływanie. Koty mają szczęście. U nich wszystko jest proste. Kiedy mają na coś ochotę, żądają tego, i już. Nie ma w tym żadnych skomplikowanych gier, żadnej dyplomacji, manier ani zasad etykiety...

— To nie kot! — zawołał Marek, energicznie odrywając się od framugi.

— O Boże! — wykrzyknęła Samanta.

Obie z Willella pomknęły na górę. Zaniepokojeni goście zostali w salonie. Samanta nie stuknęła do drzwi, po prostu spadła do sypialni jak burza.

Adam spojrział na nią, uśmiechnął się i na powrót uważnie zaczął wycierać małe ciało mięciutką ściereczką.

— Jennifer! — Samanta podbiegła do łóżka.

Najpierw zbadała dziecko — mały był bez zarzutu — a potem, ze łzami w oczach, na wpół płacząc, na wpół śmiejąc się, surowymi gestami zrugała córkę i zięcia za ten ich samodzielny wyczyn.

Adam odłożył dziecko na chwilę, by przekazać Samancie wiadomość w alfabecie migowym. „Nie było potrzeby wołać cię, mamo.” Potem uniósł dziecko i włożył je w wyciągnięte ramiona Jenny.

Ale Jenny szybko się zmęczyła i wreszcie pozwoliła dwóm lekarkom zająć się sobą i dzieckiem. Samanta uważniej przyjrzała się małemu. Był naprawdę wspaniałym chłopczykiem, przystojnym już od kołyski. Kiedy mały dorośnie, pomyślała, wszyscy nareszcie zobaczą, jak urodziwym mężczyzną byłby Adam.

Usiadła na brzegu łóżka.

— Jak go nazwiemy? — zapytała na migi.

— Wybraliśmy mu królewskie imię. Ryszard — odparł Adam.

Samanta nie umiała powstrzymać łez. Spadały na kołdrę wielkimi kroplami.

— Ryszard Wolff. Szlachetny mały człowieczek.

Kiedy wieści o narodzinach Ryszarda dotarły do salonu na dole, Stanton Weatherby wymruczał coś pod nosem o upartych kobietach Hargrave i uzupełnił płynem wysoką szklaniczkę — tym razem w ogóle nie zwracał sobie głowy limoniadą.

## 12

Numer „Woman's Companion”, któremu przyświecało hasło CAVEAT EMPTOR, trafił do kiosków we wrześniu i w ciągu trzech dni sprzedano cały nakład. Pomieszczenia redakcyjne huczały od telefonów i tonęły w listach, a maszyny nie nadały do drukowania kolejnych egzemplarzy. W końcu tygodnia do redakcji zaczęły napływać telegramy z całego kraju — inne wydawnictwa życzyły sobie egzemplarza. W ciągu kilku zaledwie dni gorączka złota na Alasce została wyparta z pierwszych stron pism w całej Ameryce i ustąpiła miejsca artykułom na temat sprzedawanych w aptekach leków. Jedni nawoływali do spalenia biur „Woman's Companion”, inni, jak na przykład „Saturday Evening Post”, nie mogli się nachwalić Horacego Chandlera. Broszury poświęcone lekom zaczęły gwałtownie znikać ze stolika przy szpitalnej rejestracji, a drukarz, u którego Samanta zamawiała dodruki, nie mógł wprost nadać z robotą. San Francisco nagle zostało zelektryzowane skandalem. Ludzie publicznie obnosili się ze zwiniętym w rulon i zatkniętym pod pachę egzemplarzem „Woman's Companion”, klienci zasypywali aptekarzy pytaniami i żądali zwrotu pieniędzy, a w ciągu miesiąca sprzedaż „Cudownej mieszanki Sary Fenwickowej” gwałtownie spadła.

— To oczywiście nie oznacza, że ludzie zaczną stronić od przemysłowo produkowanych leków — skonstatował Horacy za zasłanym telegramami biurkiem. — Po prostu dzisiaj jest akurat w złym tonie trzymać w domu butelkę „Cudownej mieszanki”, ale z tego, co słyszałem, sprzedaż specyfików innych firm znacznie poszła w górę. Musimy teraz dobrze rozdmu-

chać ten pożar — tłumaczy! Samancie i Markowi. — Musimy zająć ogniem opinię publiczną. Mamy już przygotowany grunt, wystarczy tylko odpowiednio skanalizować energię i przeć do zreformowania prawa. — Przesunął ręką po stercie listów i telegramów. — To zapewne wygląda niezwykle imponująco, pani doktor, ale Waszyngton wciąż milczy jak zakłęty. Trzeba się decydować: kujemy żelazo, póki gorące, czy nie?

Wybrali pięć kolejnych najpopularniejszych leków na aptekarskim rynku i umówili się, że przygotowują stosowne materiały do wydania lutowego — chcieli zacząć 1898 rok z dużym hukiem.

Pewnego deszczowego listopadowego popołudnia Marek zajrzał do gabinetu Samanty. Właśnie otrzymał egzemplarz dokumentów rozwodowych nadesłanych przez prawnika Lilian. Do oficjalnych papierów Lilian dołączyła list.

Samanta stanęła przy oknie, żeby w gasnącym świetle dnia przeczytać eleganckie, równiutkie literki skreślone ręką Lilian.

*Kochany Marku!*

*Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Nie umiem wprost wyrazić, jaka tu jestem szczęśliwa. Dierdre jest absolutnie pewna, że tym razem urodzi bliźniaki, więc zupełnie dosłownie będę mieć pełne ręce roboty! Marku, tryskam radością, że jestem wśród rodziny. Nareszcie czuję, że jestem tu, gdzie moje miejsce i gdzie mogę się na coś przydać. Dom Izabeli wciąż tętni hałasem, a ja nie mam ani minuty dla siebie; co chwilę słyszę stukanie małych rączek do drzwi mojej sypialni. Wszyscy mówią, że rozpuszczam dzieci, ale prawdę mówiąc to nie im, a sobie przecież dogadzam. Czasem zastanawiam się, czym zasłużyłam na takie wielkie szczęście.*

*Marku, wszyscy czytaliśmy Wasze wspaniałe artykuły i wszyscy jesteśmy dumni z Ciebie i z doktor Hargrave. Czuję się niezwykle zaszczycona tym, że Was znam osobiście.*

*Niech Wam Bóg błogosławi.*

Samanta długo nie odchodziła od okna. Wreszcie odwróciła się do Marka.



— Ja też dostałam dzisiaj wiadomości — powiedziała, gdy zdołała wydobyć z siebie głos. — Horacy zajrzał rano do szpitala. — Podniosła z biurka kopertę i wyciągnęła ją do Marka. — Idziemy do sądu, Marku. Dyrekcja zakładów Sary Fenwickowej wytoczyła nam sprawę.

Ale Marek nie otworzył koperty. Patrzył na Samantę, nie słysząc ani stłumionych odgłosów ulicy, ani stukotu pchanego korytarzem szpitalnego łóżka na kółkach.

— Och, Marku...

W mgnieniu oka znalazł się przy niej. Porwał ją w ramiona, a ona wtuliła twarz w jego szyję. Kiedy odszukał ustami jej usta, całował ją długo i powoli; wiedzieli, że teraz czasu im już nie zabraknie.

## 13

Tak się przypadkiem złożyło — wszyscy dostrzegli tę ironię losu — że pierwsze egzemplarze lutowego wydania „Woman's Companion”, zaopatrzone w hasło „Gwałt się nie kończy”, pojawiły się w kioskach w dniu wyznaczonym na początek rozprawy Sara Fenwick przeciwko „Woman's Companion”. Zarówno nowe wydanie pisma, jak i rozprawa sądowa stały się sensacją dnia; w San Francisco przyćmiły nawet zatonięcie *Maine* w porcie w Hawanie. Wieść niesła, że firma Sary Fenwickowej stanie na głowie, żeby tylko zrujnować pismo i zniesławić doktor Hargrave oraz Szpital Miejski.

Wieczorem w dniu poprzedzającym rozprawę Hilary wydała kolację. Zupełnie tak, jakby tym gestem chciała miastu pokazać, że nikt z grona walczących po tej stronie nie boi się nadchodzącego starcia. Atmosfera towarzysząca temu wieczornemu spotkaniu była wszakże nerwowa.

Przy długim stole w jadalni zasiedli najbliżsi przyjaciele: Masonowie, Gantowie, Gertruda i Horacy Chandlerowie, Stanton Weatherby, Willella Canby, Gwiazdka, Jennifer i Adam. Mały Ryszard leżał na górze w tym samym pokoju,

dokąd odprowadzano jego matkę, wtedy matką Jenny, na czas, gdy dorośli bawili się na przyjęciu. Razem z Ryszardem na piętrze były też dzieci Gantów oraz trzech dorodni chłopcy Masonów. Hilary podała pieczoną wołowinę, Yorkshire pudding z ciemnym sosem, ziemniaki w mundurkach, a na deser sześciowarstwowy tort angielski. Dariusz wydobył na tę okazję wino ze swoich prywatnych zapasów, co natychmiast znacznie poprawiło humor biesiadnikom; Stanton Weatherby odnosił jednak wrażenie, że to uroczyste spotkanie mocno pachnie ostatnią wieczerzą skazańca.

Ale choć atmosfera przy stole na ogół rzeczywiście była mocno napięta, co jakiś czas stawała się isticie biesiadna.

— Jest coś, czego w ogóle nie rozumiem — mówił Dariusz, biorąc do ust brukselkę. — Dlaczego ci durnie obstają przy tym procesie?! Powinni się dogadać z nami poza salą sądową, bo to przecież leży w ich interesie! Proces ściągnie na nich uwagę całego kraju i okryje złą sławą!

— Wprost przeciwnie — zauważył Stanton, który już opracował linię obrony. — Dyrekcja zakładów liczy na to, że wyjdzie z tego bez szwanku. Ba, wszyscy tam mają nadzieję, że po procesie uchodzący będą za świętych męczenników. To nie są durnie. Zaangażowali najlepszych i najbardziej szczwanych adwokatów w kraju, a oni już dopilnują, Horacy, żeby każde twoje słowo przekręcić w taki sposób, byś wyszedł na kłamcę. Później staną na głowie, żeby nadszarpnąć reputację Samanty i Marka i rzucić cień na ich wiarygodność. Prasa rozdmucha każdą drobinę brudu i rozsmaruje ją na pierwszych stronach gazet w całej Ameryce.

Samanta aż się wstrząsnęła na tę myśl. Czy prawnicy Sary Fenwickowej będą w stanie dogrzebać się prawdy o nieślubnym dziecku urodzonym piętnaście lat temu? Spojrzała przez stół na Marka. Posłał jej uspokajający uśmiech. U jego boku nie bała się niczego.

Nie zanośliło się na to, że ich obrona będzie rzeczą łatwą. Z powodu niezwykle drażliwego tematu — spraw związanych z kobiecymi dolegliwościami — zeznania ich świadków zapowiadały się jako niezwykle trudna część procesu. Samanta z niepokojem myślała o pacjentkach, dla których zażywanie

„Mieszanki” okazało się fatalne w skutkach i które wykazywały gotowość zeznawania w sądzie.

— Mimo to wciąż nie rozumiem, jak ktokolwiek po tym, co zostało już napisane, mógłby się jeszcze opowiedzieć po stronie firmy Fenwick! — ciągnął Dariusz.

— To proste — odparł Stanton. — Przede wszystkim Sara Fenwickowa to nazwisko znane i lubiane w amerykańskich domach. Pani Fenwickowa uosabia macierzyństwo i kobiecą czystość. Idę o zakład, że nie ma w tym kraju kredensu, w którym nie dałoby się znaleźć butelki z „Mieszanką”. Firma Fenwick jest już szacowną instytucją, równie amerykańską jak baseball, a ludzie nie lubią, jak atakuje się ich idoli. Wielu uważa, że próbujemy pozbawić ich należnych im swobód. „To rząd ma teraz kontrolować skład leków? Więc co będzie dalej? Za chwilę okaże się, że rząd zechce kontrolować nasze myśli!”

— Przecież zupełnie nie o to chodzi! — oburzył się Dariusz. — Chcemy tylko, żeby na butelkach z lekarstwami znalazły się uczciwe etykiety, a wtedy niech ludzie sami zdecydują, czy chcą się truć czy nie! Nie odbieramy nikomu żadnych swobód, wręcz przeciwnie, walczymy o wolność!

— Dariusz, kochanie... — Hilary poklepała go uspokajająco po ramieniu. — Wszyscy się z tobą zgadzamy. Nie ma powodu krzyczeć.

— Obawiam się, że prawdziwe krzyki zaczną się dopiero w sądzie — mruknął Stanton. — I boję się, że w ogóle będzie mało przyjemnie.

Wszyscy umilkli.

— Ambrose Bierce pewnego razu powiedział, że proces sądowy to machina, w którą wchodzi się pod postacią prosiaka, a wychodzi w charakterze serdelka — dodał po chwili.

Nikt się nie roześmiał.

Sala sądowa wprost pękała w szwach. Ludzie tłoczyli się przed sądem już na godzinę przed otwarciem gmachu. Publiczność czyniła straszny rejwach, ludzie strzykali śliną do spluwaczek, w powietrzu unosiły się kłęby nikotynowego dymu. Wokół rozbrzmiewały męskie głosy, od czasu do czasu

znad zakapturzonych statywów wybuchała magnezja, a reporterzy stłoczeni w ławkach dla prasy już zaczęli spisywać dramatyczne relacje. Na sali nie widać było kobiet, gdyż sąd wciąż pozostawał domeną mężczyzn.

Sędzią w tej rozprawie miał być Isaac Venables, znany jako człowiek sprawiedliwy i o szerokich horyzontach. Członkowie ławy przysięgłych (sami mężczyźni, kobiety nie zasiadały w tym gremium) przeszli już żmudny proces selekcji i zajęli wyznaczone miejsca, a tymczasem w sali zaległa cisza i wszyscy podnieśli się z ławek. Samanta była jedyną obecną na rozprawie kobietą, więc kiedy wstała — z jednej strony miała Horacego Chandlera, z drugiej Marka Rawlinsa — oczy wszystkich mężczyzn zwróciły się w jej kierunku. Jeden z reporterów zanotował: „Piękna doktor Hargrave wyglądała oszałamiająco elegancko w niezwykle prostej sukni. Zachowywała się iście po królewsku, a trzymając głowę uniesioną w charakterystyczny sposób, rzucała światu wyzwanie i podkreślała swoją odwagę, jakże rzadką u słabej płci.”

Troju pozwanych: Samancie, Horacemu i Markowi, zarzucano „czynienie oszczerczych uwag, zniesławiających starą i szanowaną firmę”. Z ławek fotoreporterów znów błysnęła magnezja, sędzia Venables stuknął młotkiem o blat stołu i proces się rozpoczął.

Mecenas Cromwell, główny adwokat powoda, Johna Fenwicka, wygłosił mowę otwierającą — długą i płomienną, którą chciał przytłoczyć sędziów przysięgłych i od razu złowrogo ich nastawić do głupoty i złośliwości, jakiej dopuściła się trójka pozwanych. Po wystąpieniu mecenasa Cromwella głos zabrał pan Berrigan, młody wspólnik Stanton Weatherby. Pan Berrigan nie tylko odparł wszelkie zarzuty mecenasa Cromwella, ale co więcej, przyrzekł sądowi udowodnić ponad wszelką wątpliwość przestępczą działalność firmy Sary Fenwickowej.

Cromwell wezwał pierwszego świadka.

Doktor Smith był pulchnym niedużym człowieczkiem w okularach, którego pewien reporter z fantazją przedstawił na rysunku jako kreta w białym garniturze. Smith pracował w firmie jako starszy chemik.

— Doktorze Smith, czy zechce nam pan przedstawić skład „Cudownej mieszanki”?

— Tak, panie mecenasie. Mieszanka zawiera martynię, żyworódkę pierzastą, pluskwicę groniastą, trojeść bulwiastą i nasiona kozieradki.

— Czy mieszanka zawiera też alkohol?

— Tak.

— Po co?

— Alkohol jest stabilizatorem dla składników chemicznych.

— Czy firma Sary Fenwickowej próbowała kiedykolwiek ukryć fakt, że „Mieszanka” zawiera też alkohol?

— Nie, panie mecenasie. Wszystkim, którzy zechcą poznać skład naszego leku, wyślemy w każdej chwili szczegółowe zestawienie składników.

— Czy każda kobieta, która chce się poddać waszej kuracji, musi tym samym przyjmować alkohol?

— Nie. Produkujemy mieszankę również w postaci pigułek i tabletek do ssania.

— Czy słyszał pan może o jakimś przypadku alkoholizmu w związku z zażywaniem „Cudownej mieszanki”?

— Nie, panie mecenasie. O niczym podobnym nie słyszałem.

— A teraz, doktorze Smith — zadudni! Cromwell wspomniał, mocnym głosem z wyżyn swojej wysokiej postaci ozdobionej potężną rudą brodą opadającą mu na kamizelkę — niech pan zechce powiedzieć sądowi, w jakich warunkach wytwarzana jest „Cudowna mieszanka”.

— Co pan ma na myśli?

— Czy laboratorium zakładów jest czyste czy brudne?

— Jałowe, proszę pana!

— To pan kieruje pracami w laboratorium?

— Ja.

— Co pan tam kontroluje?

— Każdy etap produkcji.

— Czy pańskim zdaniem, jest możliwe, żeby do „Mieszanki” dostawały się jakieś nieczystości albo szkodliwe substancje?

— Nie, to absolutnie niemożliwe.  
— A powiedzmy, szkodliwe bakterie?  
— Nie, panie mecenasie. Każdy etap produkcji odbywa się w warunkach pełnej sterylizacji.

— Ostatnie pytanie, doktorze Smith. Czy miałby pan jakieś obiekcje, żeby pańska żona bądź córka sięgnęła po „Cudowną mieszankę” firmy Fenwick?

— Najmniejszych.

— Dziękuję. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Pan Berrigan, energiczny młody wspólnik Stanton, podniósł się zza stołu obrony. Wyglądał niczym młody Abraham Lincoln i Samanta czuła, jak zaczynają ją ogarniać wątpliwości, czy gołowąs Berrigan poradzi sobie w procesie. Wyglądał zbyt młodo i zbyt gładko.

— Dzień dobry, doktorze Smith — zaczął z uśmiechem.

— Nie będę pana zatrzymywał nazbyt długo. Wiem, że z pewnością chce pan już wrócić do rodziny. A skoro już o tym mówimy, to zechce pan nam może zdradzić, czy pańska żona i córka przyjechały wraz z panem do San Francisco?

Chemik się zaczerwienił.

— Hm... Nie mam żony ani córki.

— O! — Pan Berrigan wysoko uniósł brwi i wymownie rozejrzał się po sali. — Mój błąd, doktorze Smith! A gotów bym przysiąc, że słyszałem, jak pan Cromwell wspominał przed chwilą o pańskiej żonie i córce!

— Wydaje mi się, że rozpatrywał hipotetyczną sytuację.

— Rozumiem. Kiedy mówił pan, że cała produkcja „Mieszanki” odbywa się w warunkach pełnej sterylizacji, to co właściwie miał pan na myśli?

— Słucham?

— Czy zechciałby pan wyjaśnić sędziom przysięgłym, co pan rozumie pod pojęciem „sterylizacja”? Spodziewam się, że idzie tu panu o inne znaczenie terminu niż to, które zazwyczaj kojarzymy z bykami.

Salą wstrząsnął cichy chichot.

— Sterylny, to znaczy wolny od bakterii.

— A jak pan sprawdza, czy rzeczywiście nie ma tam żadnych bakterii?

- Słucham?
- Jak pan kontroluje, czy bakterie są czy też ich nie ma w laboratorium zakładów Sary Fenwickowej?
- No... hm...
- Bada pan próbki pod mikroskopem?
- Tak, pod mikroskopem.
- Czy może pan nam opisać jakąś bakterię? Powiedzmy, przecinkowca cholery?
- Hm, widzi pan, zazwyczaj odwołuję się do opisów w książce, kiedy prowadzę badania.
- Naturalnie. Jest pan niezwykle sumienny, doktorze. Chcielibyśmy usłyszeć, gdzie pan robił studia.
- Studia?
- Tak, gdzie pan kończył chemię.
- Smith rzucił niespokojne spojrzenie w stronę ławy, gdzie siedzieli John Fenwick i jego adwokaci.
- W Jamestown w Kolegium Nauk Przyrodniczych.
- Czy podczas studiów mieszkał pan w miasteczku uniwersyteckim czy na stacji w mieście?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, oskarżenie nie widzi zasadności takich pytań.
- Wysoki Sądzie, kiedy zadam następne pytanie, mecenas Cromwell doskonale zrozumie jego zasadność. Czy mogę przystąpić do dalszego przesłuchiwania świadka?
- Sprzeciw oddalony. Proszę odpowiedzieć, doktorze Smith.
- Nie, nie mieszkałem w miasteczku uniwersyteckim.
- Dlaczego?
- Ponieważ Kolegium Nauk...
- Proszę głośniej, doktorze Smith.
- Ponieważ Kolegium Nauk Przyrodniczych w Jamestown jest szkołą korespondencyjną.
- A jak długo trwała pańska nauka w tej szkole?
- Doktor Smith wyraźnie poczerwieniał.
- Nie pamiętam.
- Czy to prawda, doktorze Smith, że wystarczy po prostu wysłać do dziekanatu sto dolarów pocztą, żeby otrzymać dyplom tego kolegium?

Cisza.

— Tak.

— I właśnie w ten sposób zdobył pan dyplom z chemii?

— Tak.

— A zatem jest to dyplom hipotetyczny!

Publiczność na sali zaszumiała; sędzia Venables stuknął młotkiem o stół.

— Czy kierownictwo zakładów Sary Fenwickowej jest świadome tego faktu?

— Tak.

— Dziękuję, doktorze Smith. Nie mam więcej pytań — zakończył Berrigan.

Cromwell wezwał następnego świadka — doktora Johna Morganiego, wiceprezesa firmy — i w zamyśleniu pogłaskał rudą brodę.

— Zechce pan powiedzieć Wysokiemu Sądowi, czym się pan zajmuje w zakładach Sary Fenwickowej?

— Jestem odpowiedzialny za produkcję „Mieszanki”.

— Zdawało mi się, że to jest zadanie doktora Smitha.

— On kieruje pracami w laboratorium i jest moim podwładnym.

— A zatem doktor Smith wykonuje pańskie polecenia?

— Tak.

— Czy pan czasami sprawdza warunki pracy w laboratorium?

— Często.

Reporter, który wcześniej szkicował Smitha-kreta, zaczął teraz rysować doktora Morganiego jako łasicę.

— A jak pan bada obecność bakterii w laboratorium?

— Pod mikroskopem.

— A czy pan, doktorze, potrafi nam opisać bakterię cholery?

— Tak, wygląda jak przecinek.

— Proszę powiedzieć Wysokiemu Sądowi, doktorze Morgan, gdzie pan studiował chemię.

— Na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Maryland.

— Mieszkał pan w miasteczku uniwersyteckim czy na stacji w mieście?



Zebrani na sali gruchnęli gromkim śmiechem, sędzia huknął młotkiem o stół.

— W miasteczku uniwersyteckim.

— Jak długo trwały pańskie studia?

— Cztery lata.

— A zatem, panie doktorze Morgani — ryknął Cromwell teatralnie — pański dyplom nie jest hipotetyczny!

Widzowie zatrzęśli się ze śmiechu i sędzia Venables musiał znów użyć młotka. Marek napisał coś na karteczce i podsunął ją Stantonowi. „Zrobili to specjalnie.” Weatherby skinął głową i odpisał: „Wiem, ale nie ujdzie im to płazem. Uwważaj!”

Teraz wstał Berrigan, żeby wziąć chemika w obroty. Spojrzał na publiczność, mignął jej uśmiechem i podszedł do świadka.

— Uniwersytet Johna Hopkinsa — zaczął przyjaźnie. — Jestem pod wrażeniem. Przyznam się panu, panie doktorze Morgani, że mam w głowie mętlik, jeśli idzie o skład „Cudownej mieszanki”. Doktor Smith wymienił kilka składników, które jakoś zupełnie nie chcą się trzymać mej pamięci. Może przy tej okazji zechciałby pan wyjaśnić ławie przysięgłych kilka spraw. Prosimy o kilka zdań na temat żyworoćki pierzastej. Czy ta roślina znana jest również pod jakąś inną nazwą?

— Nazywana jest płodnolistem i zieleń starej Indianki.

— Jak pan sądzi, skąd bierze się ta ostatnia nazwa?

— Nie mam pojęcia — odparł chemik lodowatym tonem.

Szczupły młody adwokat wrócił do swojego stołu i wziął do ręki książkę.

— Doktorze Morgani, mam tutaj egzemplarz „Amerykańskiego spisu leków naturalnych” Johna Kinga. Czy pan zna tę pozycję?

— Owszem.

— Zechce pan wyjaśnić Wysokiemu Sądowi, co zawiera ta księga?

— Jest to spis wszelkich znanych nam roślin o właściwościach leczących. Są tu opisane ich cechy, sposób zażywania i skutki działania.

- Czy to wiarygodne źródło informacji?
- Bezwzględnie.

Pan Berrigan zbliżył się do świadka, kartkując stronicę książki.

— Znalazłem tu ziele starej Indianki, inaczej zwane również płodnolistem, żyworódką, ale nazywane także, jak się dowiadujemy przy okazji, „regulatorem kobiecego cyklu”. Jak pan sądzi, doktorze, co to może znaczyć?

— Wydaje mi się, że znajdzie pan wyjaśnienie w książce. Znaczy to, że ziołem tym leczy się przypadki określane terminem *amenorrhoea*.

— Czy zechce pan wyjaśnić ten termin ławie przysięgłych?

— Inaczej brak miesiączki.

— A zatem ziele starej Indianki, czy też płodnolist, bo tej nazwy używają państwo w zakładach, przywraca miesiączkę, kiedy doszło do jej zatrzymania?

— Owszem.

— A na jakim tle może wystąpić zatrzymanie miesiączki?

— Powody mogą być różne.

— Na przykład ciąża?

— Oczywiście.

— A zatem płodnolist jest w gruncie rzeczy składnikiem, który ma na celu spowodowanie aborcji?

W sali zaszumiało. Sędzia Venables uciszył zebranych.

— Doktorze Morgani, czy to prawda?

— My nie sprzedajemy „Mieszanki” jako środka na spędzenie płodu!

— Proszę odpowiedzieć tylko: tak lub nie. Czy składniki „Mieszanki” mają właściwości aborcyjne?

— Tak.

Kiedy pan Berrigan wracał na swoje miejsce, salę ogarnęło wyraźne ożywienie. Zza stołu podniósł się mecenas Cromwell.

— Doktorze Morgani! — krzyknął. — Czy Sara Fenwick poleca „Cudowną mieszankę” ciężarnym?

— Nie.

— Jakie są jej zalecenia związane z „Mieszanką” w przypadku oczekujących matek?

— Sara Fenwick z całą mocą zniechęca je do przyjmowania „Mieszanki”.

— Dziękuję, doktorze Morgani.

Czwartego dnia procesu Cromwell wezwał na świadka niejaką Mary Llewellyn. Stanton Weatherby przesunął palcem wzdłuż nazwisk na przygotowanej przez Jeffriesa liście kobiet, które za pieniądze napisały oświadczenie o swym cudownym ozdrowieniu. Odnalazł nazwisko pani Llewellyn. Pewnego gorącego sierpniowego dnia w Omaha jedna z tamtejszych pań domu wyznała nad szklanką limoniady urodziwemu sprzedawcy szczotek, że napisała oświadczenie dla zakładów Sary Fenwickowej wyłącznie dla oferowanych pieniędzy, bo tak naprawdę w życiu nie wzięła „Mieszanki” do ust. Teraz jednak, o dziwo, przyjechała na rozprawę jako świadek Johna Fenwicka. Stanton spojrzął przez ramię na siedzącego z tyłu sali Jeffriesa; detektyw wzruszył ramionami, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

— Pani Llewellyn... — zaczął Cromwell. — Czy dwudziestego trzeciego kwietnia dziewięćdziesiątego roku napisała pani list, który wysłała pani do zakładów Sary Fenwickowej?

— Tak.

— Co, z grubsza biorąc, było treścią pani listu?

— Dziękowałam w nim pani Fenwickowej za uratowanie mi życia, przywrócenie zdrowia, szczęścia i umożliwienie powrotu do życia w rodzinie.

— Co skłoniło panią do napisania tego listu?

— Wiele lat cierpiałam na pewną kobiecą przypadłość, przez którą omal nie odeszłam od zmysłów, a która spowodowała, że mój mąż wyprowadził się z domu. Zaniedbywałam dzieci, przestałam nawet chodzić do kościoła. Wreszcie ktoś mi szepnął, żeby napisać do Sary Fenwickowej. Zrobiłam to i otrzymałam od niej darmową butelkę „Cudownej mieszanki” z zaleceniem, żeby zażywać lekarstwo codziennie, a dzięki niemu na pewno poczuję się lepiej. I proszę Wysokiego Sądu, nie tylko wyzdrowiałam, ale doczekałam się też powrotu męża! Jesteśmy teraz szczęśliwą i kochającą się rodziną, a ja co niedzielę chodzę do kościoła.

Samanta odważyła się zerknąć w stronę ławki dziennikarzy i zauważyła, że wszyscy z zapartym tchem notują każde słowo świadka. Jeden z nich, mężczyzna o gęstej siwej czuprynie i opadających wąsach, podchwycił jej spojrzenie i puścił do niej oko. Mark Twain od lat nie był w San Francisco, ale ten sensacyjny proces ściągnął nawet jego.

Do pani Llewellyn zbliżył się Berrigan.

— Pani Llewellyn, proszę nam powiedzieć, czy to jest pani pierwszy pobyt w San Francisco?

— Tak.

— I jakie wrażenie zrobiło na pani nasze miasto?

— Wspaniałe, proszę pana!

— A gdzie się pani zatrzymała?

— Sprzeciw!

— Podtrzymany.

— Pani Llewellyn, jak to się stało, że znalazła się pani w San Francisco?

— Pan Fenwick mnie zaprosił.

— Ach tak. Czy pan Fenwick opłacił pani podróż?

— Tak, w dodatku pierwszą klasą!

— A hotel?

— O, pan Fenwick jest bardzo hojny. Zamówił mi pokój w Pałace!

Publiczność na sali zachichotała.

— Pani Llewellyn, czy obiecano pani jakieś wynagrodzenie za dzisiejsze zeznania?

Kobieta zerknęła w stronę ławy Fenwicka. John Fenwick siedział z kamiennym wyrazem twarzy.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Llewellyn — zachęcił sędzia Venabłes.

— Hm, proszę Wysokiego Sądu, już dawno temu należało odmalować dom...

— Czekamy na dokładną odpowiedź. Czy ktoś z zakładów Sary Fenwick obiecał pani wynagrodzenie za dzisiejsze zeznania?

— Tak, proszę Wysokiego Sądu. Sto dolarów.

Przez salę przebiegł szmer.

— Pani Llewellyn, czy przypomina pani sobie, że w zeszłym roku w sierpniu zaprosiła pani do kuchni handlarza szczotek i zaproponowała mu pani szklanekę limoniady?

Poczerwieniła.

— Nie przypominam sobie.

— Nie? Mówił, że nazywa się Peterson. Kupiła pani od niego szczotkę do włosów i zaprosiła go pani na limoniadę i ciasto. Nie pamięta pani?

Drgnęła niespokojnie.

— Nie.

— Pani Llewellyn, chciałbym pani przypomnieć, że zeznaje pani pod przysięgą.

— Nie pamiętam żadnego handlarza!

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

W ciągu następnych pięciu dni przez salę przewinał się sznureczek pań, które pisały dziękczynne listy do zakładów Sary Fenwickowej. Wszystkie z nich znajdowały się na liście przedstawionej Stantonowi przez Cy Jeffriesa i każda z pań — po doświadczeniach Mary Llewellyn — zaklinała się, że niczego jej nie obiecano za wystąpienie w sądzie.

Horacy Chandler ledwie panował nad rozsadzającą go furją. Mocno tupał po dywanie Samanty, jakby chciał zetrzeć z niego wschodni wzór.

— Do diabła! — ryknął i nawet nie przeprosił za swoje nieopanowanie. — Wiem, do czego zmierzają! Biorą sobie po kolei na kiel każdy z naszych zarzutów i obalają jeden po drugim! Jakżeż, do jasnej anielki, zdobyli nazwiska tych kobiet?

Cy Jeffries, który wyglądał jak chmura gradowa, wzruszył ramionami.

— Wiem jak — mruknął Marek i oparł się o półkę nad kominkiem. — Co jakiś czas firma pisuje do autorek owych płatnych oświadczeń. Każda z naszych pań, i pewnie wiele innych, dostała z zakładów list, w którym zadano im pytanie, czy nikt ostatnio ich nie wypytywał o dawne oświadczenia. Przypuszczam, że każda z zeznających dam wspomniała w odpowiedzi o pewnym zajmującym sprzedawcy szczotek... — Uśmiechnął się do Jeffriesa, ale detektyw tylko się skrzywił.

— I co teraz będzie? — zapytał Dariusz.

Stanton obracał na palcu obrączkę z onyksu.

— Nie ma po co maglować tych kobiet jeszcze raz. Fenwick je kupił. Możemy tylko czekać, aż wreszcie sami wpadną w sidła. Bardzo mnie ciekawi, jak wybrną z tego, że Sara Fenwickowa od tylu lat nie żyje. Powinniśmy ich chociaż przygwoździć na okoliczność kłamliwej reklamy i fałszowanej korespondencji. W końcu pokazują jej twarz na lewo i prawo, zaklinają się, że ona jest autorką „Cudownej mieszanki” i twierdzą, że sama podpisuje każdy wysyłany z zakładów list!

— Może korzystają przy tym z usług medium — wtrącił Marek, ale nikt się nie roześmiał.

Dziesiątego dnia procesu na sali zjawiły się wreszcie kobiety. Mimo protestów Dariusza, Hilary zajęła miejsce w jednym z pierwszych rzędów, a obok niej usiadła Jennifer, której uroda przyciągała uwagę niejednego reportera. Dziennikarz rysownik nie ograniczał się do robienia portretów uczestników procesu, wybrał też sobie kilka postaci z widowni. Naszkicował Jennifer jako motyla, a Hilary Gant, otuloną futrem, jako psa collie. Inne kobiety, które zjawiły się na sali, reprezentowały Chrześcijański Związek Umiłowania Umiaru, sufrażystki oraz klub pisarek. Pomiedzy nimi znalazło się też kilka znanych feministek, które bez mrugnięcia okiem odważnie paliły papierosy, oraz parę lekarek, specjalnie tu przybyłych aż ze Wschodniego Wybrzeża. Następni świadkowie Cromwella zaskoczyli obronę. Cy Jeffries w ramach prowadzonego śledztwa przedstawił akty zgonu trzech zmarłych kobiet, z których nazwisk i listów zakłady Fenwickowej wciąż korzystały w reklamach. Mało tego, w reklamach utrzymywano nawet, że „Cudowna mieszanka” wyleczyła pacjentki z ich dolegliwości. Teraz na miejscu dla świadków stanęło kolejno trzech powołanych przez Cromwella.

— Czy pan dobrze znał panią Saunders, doktorze?

— Tak, znałem ją dobrze.

— Czy był pan przy niej w godzinie śmierci?

— Byłem.

— Czy to pana podpis widnieje pod świadectwem zgonu?

— Mój.

— Zechce pan powiedzieć Wysokiemu Sądowi, na co pani Saunders zmarła?

— Na zator w mózgu.

— Czy pan wiedział, że pani Saunders codziennie zażywa „Cudowną mieszankę Sary Fenwickowej”?

— Wiedziałem.

— A na co ją brała?

— Na przekrwienie narządów rodnych.

— Czy „Mieszanka” wyleczyła ją z tego?

— Pani Saunders twierdziła, że tak...

— A zatem, doktorze, czy pan gotów byłby powiedzieć, że choć pani Saunders rozstała się z tym światem z powodu jednej choroby, „Mieszanka” wyleczyła ją z innej przypadłości, zupełnie nie związanej z jej śmiercią?

— Tak.

Stanton rozwścieczony rysował trójkąty na kartce. Potem zaś nagryzmolił obok: „Dotarli do wszystkich” i podsunął kartkę Samancie. Skinęła głową, wzięła pióro i dopisała: „Poniesli ogromne koszty. I co teraz?”

Kamienne twarze członków ławy przysięgłych nie wróżyły niczego dobrego. Samanta wiedziała, że sympatie sędziów są po stronie Fenwicka. Ale do czasu, myślała. Do czasu kiedy obrona dojdzie do głosu, a na salę wkroczą jej świadkowie — kobiety, których zdrowie bardzo ucierpiało przez to, że piły „Cudowną mieszankę”. No i Cy Jeffries też złoży swoje zeznania. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie upadała na duchu.

Jedenastego dnia procesu Cromwell powołał na świadka kierowniczkę działu korespondencji, która zaklinała się na wszystkie świętości, że do sali, w której czyta się i odpisuje na listy, „mężczyźni nie mają wstępu”. To oświadczenie stało w wyraźnej sprzeczności z obserwacjami, jakie poczynił Cy Jeffries.

— W naszych reklamach zapewniamy klientki, że żaden mężczyzna nie będzie czytał ich listów, i dotrzymujemy słowa. W pokoju, do którego trafia cała korespondencja, pracują wyłącznie panie.

Stanton spojrzął na detektywa. Cy potrząsnął głową.

Dwunastego dnia procesu Cromwell przygotował największą niespodziankę.

— Wzywam na świadka Jane Fenwick.

Wszyscy na sali spojrzeli w stronę drzwi.

— Kimże, u diabła, jest ta Jane Fenwick? — mruknął Stanton pod nosem do Marka.

W przejściu między rzędami ławek ukazała się zadbana, ale skromna pani w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Podeszła do miejsca dla świadków, przysięgła na Biblię, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę, a potem usiadła. Na wyraźne żądanie Cromwella wyjaśniła Sądowi swoje związki z rodziną Fenwicków.

— Sara Fenwickowa była babką mojego męża.

— A zatem pani jest mężatką?

— Tak.

— Pani Fenwick, czy znała pani Sarę za jej życia?

— Znałam. Zaczęłam bywać w domu Sary, kiedy miałam kilkanaście lat, a przez ostatnie trzy lata jej życia, gdy zachorowała, byłam jej wierną towarzyszką.

— Jak układały się wasze stosunki w ciągu tych trzech ostatnich lat?

— Sara Fenwickowa przekazała mi całą swoją wiedzę o chorobach i niedomaganiach kobiecych. Nauczyła mnie, jak stawiać diagnozy, jak leczyć, a tuż przed śmiercią wyjawiała mi swoje od dawna hołubione marzenie. Zawsze chciała założyć firmę produkującą i sprzedającą lek, któremu poświęciła całe swoje życie i który często przyrządzała na kuchennym stole. Tuż przed śmiercią wyszeptowała mi na ucho skład tego lekarstwa.

— Czy to jest właśnie „Mieszanka”?

— Tak.

— A zatem to prawda, że lekarstwo jest na dobrą sprawę dziełem Sary Fenwickowej, podobnie jak rady udzielane listownie chorym?

— Tak.

— Czym pani się dziś zajmuje w zakładach Sary Fenwickowej?

— Pracuję w dziale korespondencji.



Na widowni zawrzało. (Później Cy Jeffries miał oświadczyć, że w czasie swego półrocznego pobytu w zakładach nigdy nie widział pani Jane Fenwick.)

— Proszę powiedzieć Wysokiemu Sądowi, pani Fenwick, czy wspomina się o pani w reklamach firmy?

— Owszem.

— Czy zeche nas pani objaśnić, w jakim kontekście pada pani nazwisko?

— W reklamach obiecujemy, że pani Fenwickowa czyta i odpisuje na wszystkie listy pacjentek. To ja jestem tą panią Fenwickowa.

Czterej dziennikarze zerwali się z ławki i rzucili się do telefonów. W sali zapanował taki chaos, że ledwie słyhać było stukanie sędziowskiego młotka. Samanta zamknęła oczy, kilkakrotnie mocno zaczerpnęła tchu i pomyślała: Miałeś rację, Horacy. Obalają nasze zarzuty punkt po punkcie.

Otworzyła oczy i spojrzała w lewo. John Fenwick siedział z ramionami skrzyżowanymi na pękatej piersi; w jego oczach lśniła głęboka satysfakcja. Samanta pomyślała w duchu: Ale to nie znaczy, żeście nas już pokonali...

„Life” i „Saturday Evening Post” stanęły po stronie trojga pozwanych i zamieściły satyryczne rysunki dużego kota, przypominającego Johna Fenwicka, który drży przed trzema małymi myszkami uzbrojonymi w palki. Jednak nastawienie wobec nich reszty prasy było nieprzychylnie. Zdjęcia alabastrowego profilu Samanty stały się ulubionym motywem pierwszych stron pism i gazet, a każdy jej drobny gest, każde jej drgnienie zostawało natychmiast skrupulatnie odnotowywane i opisywane czytelnikom w całym kraju. „Doktor Samanta Hargrave trzyma się wprost doskonale. Nieporuszona, z wyniosłą arystokratyczną miną, stanowi prawdziwe wyzwanie dla Johna Fenwicka, zasiadającego przy stoliku obok.”

— Co dalej, Stanton?

Siedzieli w piątkę nad cichą kolacją u Gantów. Na dworze śąpił drobny deszcz, a w powietrzu wisiała burza.

— Co dalej? No cóż, Cromwell może jeszcze wyciągnąć kilku świadków z rękawa, ale myślę, że z grubsza biorąc wy-

czerpał już swoje atuty. I tak zdołał wmówić w ławę przysięgłych, że wszystko, co ukazało się w „Woman's Companion”, jest wierutnym kłamstwem.

W tym miejscu przerwał i nie skończył myśli. W ciągu minionych dwóch tygodni zdążył już poznać co nieco charakter Cromwella i miał istotne obawy co do tego, co jeszcze może się wydarzyć. Nie chciał się jednak dzielić podejrzeniami z zebranymi. W każdym razie nie teraz.

Czternastego dnia Cromwell uciekł się do manewru, którego Stanton sekretnie się obawiał. Kiedy mecenas Cromwell wezwał na świadka pannę Hains, sekretarkę Chandlera, Stanton Weatherby był na sali sądowej jedynym człowiekiem, którego to posunięcie wcale nie zaskoczyło.

— Czy pani zna doktor Hargrave, panno Hains?

— Tak, proszę pana. — Biedaczka obróciła przepaszając spojrzenie dużych oczu w kierunku swego pracodawcy. Horacy nie wytrzymał tego psychicznie. Domyślał się, o co Cromwellowi chodzi, i nie mógł znieść męki swej sekretarki.

— Czy doktor Hargrave często odwiedzała pana Chandlera w jego prywatnym gabinecie?

— Nie wiem, co pan rozumie przez często.

— Raz w tygodniu?

— Raczej raz na dwa tygodnie.

— I co się działo podczas tych jej wizyt?

— Sprzeciw!

— Podtrzymuję.

— Czy poza nimi ktoś jeszcze był wtedy w gabinecie?

— Tak, proszę pana. Doktor Rawlins.

— Czy te spotkania przeciągały się do późnego wieczora?

Berrigan zerwał się zza stołu.

— Sprzeciw! Wysoki Sądzie, ta linia przesłuchania nie ma związku z tematem procesu.

— Panie Cromwell, spodziewam się, że pańskie pytania prowadzą do czegoś — powiedział sędzia Venables.

— Wysoki Sądzie, pragnę określić moralność ludzi, którzy zaatakowali mojego klienta. Pan Fenwick poniósł z powodu tej napaści istotne straty finansowe i znacznie nadszarpnął

zdrowie. Jego rodzina żyła w dużym napięciu nerwowym, a prowadzona przez niego firma została narażona na szwank w oczach środowiska. A zatem z całą sumiennością należy określić charakter ludzi, którzy rzucili w niego kamieniem!

Samanta poczuła lodowaty kurcz w żołądku i nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na Johna Fenwicka, mężczyznę „o znacznie nadszarpniętym zdrowiu”. Wszyscy dziennikarze na sali natychmiast podchwycili jej spojrzenie. „Sztyletowała go wzrokiem”, napisał któryś z nich. W innej gazecie natomiast zjawilo się takie zdanie: „Gdyby wzrok mógł zabić...” Tymczasem „Chronicie” uznała, że Samanta „spojrzała na niego ze słusznym oburzeniem”.

— Oddałam sprzeciw. Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Hains.

— Tak, ich spotkania czasami trwały do wieczora.

— Czy zdarzało się, że pani brała w nich udział?

— Nie, proszę pana.

— A więc była tam tylko doktor Hargrave i dwaj dżentelmeni?

— Tak, proszę pana.

— Czy podawała im pani czasem coś do picia?

Panna Hains nerwowo szarpała pasek torebki.

— Herbatę i ciasteczka.

— Może alkohol?

Spuściła głowę.

— Raz zaniiosłam im brandy.

Stanton Weatherby spojrział na dwunastu przysięgłych i po raz pierwszy zauważył na ich twarzach wyraźne zainteresowanie.

— Czy pani wie, o czym rozmawiano wówczas w gabinecie Horacego Chandlera?

— O lekarstwach.

— A konkretnie?

— Głównie o „Mieszance Sary Fenwickowej”.

— Innymi słowy, o lekarstwie na kobiece schorzenia.

— Tak.

— Czy pozwani używali w czasie tych dyskusji materiałów pomocniczych? Na przykład książek?

— Biurko pana Chandlera zawsze było zarzucone broszurami, listami i pismami medycznymi.

— O czym traktowały te broszury i pisma?

Spurpurowiała i wyglądała tak, jakby za chwilę miała paść bez czucia.

— Dotyczyły głównie... spraw kobiecych.

— No proszę! — Cromwell uniósł oskarżycielsko palec.

— Mówi nam tu pani, że troje pozwanych, kobieta i dwaj mężczyźni, przesiadywali do późnego wieczora w gabinecie Horacego Chandlera, i to zupełnie sami! Mało tego, popijając alkohol rozmawiali o najintymniejszych częściach kobiecego ciała!

Kiedy dziennikarze rzucili się do telefonów, sędzia Venables zaczął walić młotkiem w stół, a potem zarządził przerwę, w czasie której zaprosił przedstawicieli prasy do swojego gabinetu, żeby tam pouczyć ich na temat zachowania się na sali sądowej. Pannę Hains trzeba było wyprowadzić z sali.

Następnego ranka, pod stalowoszarym niebem straszącym rychłą burzą, przed gmachem sądu przemaszerowały pikietujące wejście kobiety, oburzone obrzydliwym postępowaniem Cromwella. Fotoreporterzy mieli najprawdziwszą ucztę, fotografując tę „armię dorodnych amazonek”.

W czasie kolejnego przesłuchania na dworze wybuchła burza. Grzmoty wstrząsały sądem i nieraz zagłuszały głos młodego Berrigana.

Wieczorem tego dnia Samanta wydawała kolację. Wszyscy siedzieli wokół stołu i próbowali rozmawiać w przerwach między gwałtownymi podmuchami wyjącego wiatru, z furią atakującego okna.

— Niepokoję się, Stanton — powiedziała Samanta. — Teraz, kiedy już widziałam Cromwella w akcji, boję się o pacjentki. Nie wiem, czy wystarczy im hartu ducha, żeby znieść jego napaści.

Weatherby nie miał czasu odpowiedzieć, bo właśnie wtedy huk grzmotu zmieszał się z dzwonkiem u drzwi, a już po chwili do jadalni wpadł przemoknięty Berrigan.

— Co się stało? — zapytał Marek, wstając zza stołu.

— Cy Jeffries! — wyrzucił z siebie prawnik i po omacku szukał krzesła. — Miał wypadek!

— Co?!

— Dariusz, whiskey! Szybko!

— Masz, masz, Berrigan. Siadaj tu.

— Coś mu się stało?

— Leży w County Hospital, jedną nogą jest już na tamtym świecie.

— Jak to?

— Co?

Przemoknięty młody człowiek spojrział na otaczające go twarze.

— Podobno ześlizgnął się z platformy tramwaju na Hyde Street — w tym momencie wszyscy gwałtownie nabrali powietrza — wprost pod nadjeżdżający powóz.

Hilary z oczyma pełnymi łez opadła na krzesło, a mężczyźni miotali pod nosem przekleństwa. Marek wyjął karafkę z rąk Dariusza i nalał solidną porcję brandy Berriganowi. Potem spojrział na Samantę. Jej twarz zastygła w kamienną maskę.

Miała dwa dni, żeby się przygotować, bo detektyw wpadł pod powóz w piątek, a sąd wznawiał rozprawę dopiero w poniedziałek. Samanta musiała wiele rzeczy przemyśleć i zrobić.

Bezlitosna ulewa trzymała San Francisco w żelaznym uścisku, a kiedy deszcz strugami ściekał po szybach, Samanta siedziała z kieliszkiem wina w ręce w zaciszu domowego gabinetu przy płonącym kominku.

Przyszedł Marek. Słyszała, jak zdejmuje mokry płaszcz i rozmawia z panią Peoples. Po chwili już przykleknął przy Samancie i całował ją na powitanie.

— Jak on się czuje? — zapytała.

— Niedobrze. Ma uraz mózgu. — Marek wstał i podszedł do barku na kółkach.

— Marek...

— Tak, kochanie?

— Chcę zeznawać.

Odwrócił się gwałtownie.

— Co takiego?

— Cromwell przypuści prawdziwy szturm na moje pacjentki. Nie mogę ich na to narażać.

— Samanto, nie...

Wstała z fotela. Była dziwnie zmęczona; przytuliła się do Marka.

— Już wystarczająco długo siedzieliśmy w sądzie i wysłuchiwaliliśmy tego, co Fenwick i Cromwell mają nam do powiedzenia. Teraz nasza kolej. Teraz ja ogłoszę światu, jak to naprawdę wygląda.

— Zostaw to Stantonowi, Sam. On wie najlepiej, jak należy działać.

## 14

Salę sądową wypełniał zapach parującego mokrego ubrania. Było zimno i wilgotno, a zebrana publika nie podnosiła zbyt temperatury wnętrza. W miniony piątek oskarżenie zakończyło przesłuchania świadków i oddało głos obronie. Pan Berrigan musiał przekrzykiwać szalejącą na zewnątrz burzę.

— Wysoki Sądzie, od początku procesu zakładaliśmy, że powołamy na świadka pana Cy Jeffriesa. Niestety pan Jeffries uległ groźnemu wypadkowi i teraz w stanie krytycznym leży w County Hospital. Lekarze nie dają mu szans na przeżycie.

Samanta musiała się z całej siły powstrzymać, żeby nie spojrzeć na Johna Fenwicka, który — co do tego nie miała żadnych wątpliwości — maczał palce w wypadku.

— Obrona wzywa panią Joan Sargent.

Wszyscy spojrzeli na drzwi. Do sali weszła drobna nieśmiała kobietka, a gdy zbliżyła się do miejsca dla świadków, reporter-artysta zaczął ją szkicować jako mysz w zbyt obszer-  
nym płaszczu.

— Pani Sargent — zaczął Berrigan — zechce pani powiedzieć Wysokiemu Sądowi, kiedy po raz pierwszy zgłosiła się pani do doktor Samanty Hargrave?

— Rok temu.

— Przepraszam panią, ale proszę głośniej.

— Rok temu.

— A teraz proszę nam wyjaśnić, co skłoniło panią do wizyty w szpitalu?

Adwokat często musiał przypominać pani Sargent, żeby mówiła głośniej, a ona, przy każdym uderzeniu pioruna aż podskakiwała ze strachu.

— To się zaczęło, jak urodziłam Timmy'ego. Jakieś sześć lat temu...

W sali zapanowała martwa cisza i wszyscy z napięciem słuchali nieśmiałych zeznań pani Sargent. Jej opowieść co jakiś czas przerywał albo odgłos trafiającej do spluwaczki przeżutej prymki tytoniu, albo łoskot burzy. Opowiadała o korespondencji z Sarą Fenwickową, o stopniowym zwiększaniu dawki „Mieszanki”, o listownych ostrzeżeniach przed operacją i wreszcie o tym, jak wiedziona rozpaczą zdecydowała się złożyć wizytę doktor Samancie Hargrave. Kiedy zaczęła mówić o ekstyrpacji macicy, głos jej zadrżał.

— Bałam się, że mąż przestanie mnie kochać, ponieważ nie będę już w pełni kobietą.

Samanta nie spuszczała uważnego spojrzenia z pani Sargent, przestraszona, że ta mała kobietka nie wytrzyma i załamie się na oczach wszystkich.

— Pani Sargent, czy zechce pani wyjaśnić Wysokiemu Sądowi przyczynę tej tragedii?

— Tak! — kobieta wykrzyknęła gwałtownie. — Doktor Hargrave powiedziała mi, że gdybym wcześniej wybrała się do lekarza, zamiast pisać do Sary Fenwickowej, oszczędziłabym sobie wiele zmartwień i bólu. Pisałam do Sary Fenwickowej, że jestem bardzo chora, ale w odpowiedzi dostawałam tylko zalecenia, żeby zwiększyć dawkę „Mieszanki”! — Wyciągnęła przed siebie rękę i trzęsącym się palcem wskazała Johna Fenwicka. — To pana вина! Wierzyłam w pańskie kłamstwa!

Publiczność na sali drgnęła niespokojnie. Fenwick nachylił się do Cromwella i coś mu szepnął na ucho. Berrigan spojrział na Stantoną i dobrze zrozumiał przekazywany sygnał.

— Nie mam więcej pytań.

Cromwell wstał i pogładził rudą brodę, rozłożoną niczym wachlarz na kraciastej kamizelce. Samanta pochyliła się do Stantoną.

— Nie możemy mu jakoś przeszkodzić?

— Nie mamy ruchu.

— To błąd z naszej strony. On ją rozniesie na szablach.

— Pani Sargent — zagrzmiął Cromwell, przechadzając się przed nią tam i z powrotem, jakby chciał zupełnie pomieścić jej w głowie. — Zeznała pani przed chwilą, że przyczyną pani cierpień były włókniaki. Czy był to stan chroniczny? To znaczy, czy miała je pani cały czas?

— Prawie.

— Jak bardzo były rozwinięte, kiedy napisała pani pierwszy raz do Sary Fenwickowej?

— Nie bardzo.

Cromwell zrobił zdziwione oczy.

— Mam rozumieć, że napisała pani w sprawie choroby, która jeszcze się nie zaczęła?

— Nie to miałam przecież na myśli. Pan przekręca moje słowa.

— Niewiele z tego rozumiem, pani Sargent. Skoro wówczas sama pani nie wiedziała, co pani dolega, jakże więc mogła pani przekazać Sarze Fenwick dokładne informacje i oczekiwać precyzyjnej diagnozy?

— Miałam już objawy!

— A jakie to objawy, proszę pani?

— Pan jest mężczyzną, więc nic pan nie zrozumie!

— Pani Sargent! Czy pani sugeruje, że czcigodny sędzia i szacowni obywatele zasiadający w ławie przysięgłych, z racji tego, że są mężczyznami, nie będą w stanie zrozumieć, dlaczego napisała pani list do Sary Fenwickowej? Jakże więc mamy ocenić, czy list był w ogóle zasadny?

— Bo był! — krzyknęła i wybuchnęła płaczem.



— Panie Cromwell, pan się znęca nad świadkiem — upomniał adwokata sędzieja Venables. — Pani Sargent, sąd nie ma więcej pytań.

Kiedy strażnik sądowy pomagał świadkowi wyjść z sali, przy stoliku obrony odbyła się krótka narada — czterej mężczyźni gwałtownie potrząsali głowami, kobieta uparcie kiwała głową. Wreszcie Berrigan wstał.

— Wysoki Sądzie, obrona chciałaby wezwać na świadka doktor Samantę Hargrave — powiedział z wyraźną niechęcią.

Reporter ze szkicownikiem w ręku stanął przed trudnym zadaniem. W przypadku pozostałych uczestników spektaklu nie miał żadnych trudności. Cromwella przedstawił jako niedźwiedzia grizzli, Berrigana w postaci żurawia, Stantona Weatherby jako ogara, a sędziego jako bernardyna. Nie umiał się jednak zdecydować na żadne zwierzę w przypadku Samanty Hargrave. Zaczął najpierw rysować długoszyjnego egipskiego kota, do czego sprowokowały go jej niezwykle oczy, ale już po chwili odrzucił ten pomysł, uznając, że kot jest zwierzęciem próżnym i egoistycznym. Zabrał się więc za rysowanie smukłego konia, jednak koń wydał mu się zbyt mało kobiecy. Pomyślał więc o sarnie, lecz zreflektował się, że sarna jest łagodna i płochliwa. W ostatniej chwili, wiedziony nieoczekiwanym natchnieniem, postanowił stworzyć wymyślone, bajkowe stworzenie, ze skrzydłami i z futrem, istotę odznaczającą się wdziękiem oraz siłą i obdarzoną oczami o kształcie migdałów. A kiedy Samanta przemówiła spokojnym głosem, w dali dało się słyszeć nadciągającą znad oceanu burzę.

Doktor Hargrave zaskoczyła publikę już na samym początku i nieco również zawiodła — większość zebranych na sali spodziewała się krzyków, emocji i w ogóle przedstawienia. Tymczasem Samanta, ufna w swoje siły, usiadła swobodnie i z gracją, a gdy zaczęła mówić, okazało się, że choć nie podnosi głosu, słyhać ją wyraźnie w całej sali. Cisza, jaka zapadła, była wręcz niezemska; tym razem nikt nie zakłócił jej nawet jednym trafieniem do spluwaczki, grzmoty natomiast — jak się wydawało — nie tylko Samancie nie przeszkadza-

dzały, ale wręcz wspomagały jej wystąpienie, akcentując wybrane zdania.

— Wysoki Sądzie, drodzy przyjaciele i dziennikarze. Doprawdy nieszczęsny to dzień w historii tego kraju, kiedy naszą obecnością tutaj świadczymy przed całym światem, że jesteśmy narodem goniącym jedynie za pieniądzem, ludźmi, którzy na ołtarzu zysków gotowi są złożyć honor, a nawet ludzkie życie. Mimo to twierdzę, że dzisiejsza wałka pana Johna Fenwicka nie przyniesie mu żadnych korzyści, gdyż w całunnie trudno o kieszenie, do których można by wetknąć złoto.

Spojrzała chłodnym wzrokiem na pana Fenwicka i znów poczuła ogarniającą ją falę silnego znużenia — aż się musiała wesprzeć na barierce. Marek ani na moment nie spuszczał z Samanty oczu i zauważył, że nagle mocno zbladła.

— Wiele z moich pacjentek chciałoby dzisiaj stanąć w sądzie na tym miejscu i złożyć zeznania, ale jeżeli państwo pozwolą, wolałabym je wyręczyć. Jedna z pań pewnego ranka odkryła niewielką ranę w bardzo dyskretnym miejscu swego ciała. Jako kobieta niezamężna, która przez całe życie broniła swej skromności i cnoty, tym łatwiej uwierzyła w opowieści rozpowszechniane przez firmę Fenwick, że kobieta nie powinna pokazywać swego ciała nikomu, nawet lekarzowi. Napisała więc do pani Fenwickowej i w odpowiedzi na swój list dostała zalecenie zażywania łyżki stołowej „Mieszanki” dziennie i zapewnienie, że jej dolegliwości znikną. W liście, który owa pani otrzymała z zakładów, nie było żadnego nawiązania do powstałej ranki ani też nic nie wskazywało na to, że pani Fenwickowa w ogóle rozważała ów szczególny problem pacjentki. Z czasem ranka robiła się coraz większa i wreszcie zaczął się z niej sączyć płyn. Pacjentka Sary Fenwickowej ponownie napisała list i ponownie otrzymała zapewnienie, że „Cudowna mieszanka” na pewno ją wyleczy. Ufna w obietnice wielkich zakładów farmaceutycznych, nieświadoma, że reklamy kłamią, pokładała wiarę w kobiecie dawno zmarłej, która dobrotliwie uśmiechała się do niej z owalnych portretów, i z ufnością zwiększyła dawkę lekarstwa. Ranka ropiała i wkrótce zaczęła jej nieznośnie dokuczać. Kobieta napisała trzeci list, nadal ufna i naiwna. Tym razem otrzymała płyn do

przemywania ranki i zalecenie zwiększenia dziennej dawki „Mieszanki”. Wówczas już owa nieszczęsna chora brała takie ilości „Mieszanki”, której czwartą część stanowi alkohol, że straciła apetyt i wyraźnie schudła. Rana tymczasem powiększała się coraz bardziej. Sprowadzono mnie do tej pani dopiero na wyraźne życzenie jej siostry. Stwierdziłam u chorej bardzo zaawansowaną anemię, stan niedożywienia i tak silną depresję, że obawiałam się, czy w ogóle będę w stanie jej pomóc. A kiedy ją zbadałam, musiałam jej z ciężkim sercem oznajmić, że cierpi na raka.

Samanta przerwała opowieść, zarówno by wyrzucić większy efekt na słuchaczach, jak i po to, żeby chwilę odsapnąć. Ze zgrozą bowiem stwierdziła, że dziwnie kręci jej się w głowie.

— Gdyby ta dziś czterdziestodwuletnia pani od razu przyszła do mnie, wycięłabym zmienioną tkankę, a pacjentka mogłaby żyć długo i szczęśliwie. Tymczasem teraz mogę tylko powiedzieć, że zosta! jej najpewniej raptem rok życia, przy czym ostatnie jego miesiące wypełnione będą bólem i cierpieniem wprost nie do opisanania. To zaś może zawdzięczać „Cudownej mieszance Sary Fenwickowej”.

Samanta ogarnęła spojrzeniem twarze zebranych w sali. Wszyscy widzowie wpatrywali się w nią w zapamiętaniu —: nawet dziennikarze przestali robić notatki.

— Kolejną ofiarą firmy Fenwick jest młoda dziewczyna, która pewnej nocy stała się mimowolną zdobyczą pijanego lokatora jej matki. Niewinna młoda panna, zupełnie nie zdając sobie sprawy, co się jej przytrafiło, trzymała ten nieprzystöjny incydent w tajemnicy. Kiedy zaś przestała miesiączkować, nie kojarzyła tego z wydarzeniem z tamtej pamiętnej nocy i myśląc, że jest chora, przestraszona i drżąca napisała list do Sary Fenwickowej. Nieszczęsne to dziecko z pełnym zaufaniem zastosowało się do wskazówek pani Fenwickowej i naraz wypilo całą butelkę „Mieszanki”. Zgodnie z zapewnieniem producenta leku „guz na macicy” został usunięty i wydalony z organizmu, czemu zresztą towarzyszył znaczny ból i obfite krwawienie. Kiedy jednak dziewczyna zobaczyła kształt i rysy owego guza, wpadła w stan takiej hysterii, którą

dało się wyleczyć dopiero drastyczną terapią. Ale dzisiaj jest nerwowo chora kobietą i nie można mieć żadnej nadziei, że kiedykolwiek będzie mogła wieść normalne życie.

Głęboko zaczerpnęła tchu; coraz bardziej dokuczały jej zawroty głowy.

Poruszyła się lekko i spojrzała spokojnie na dwunastu członków ławy przysięgłych.

— Panowie, nazwałam producentów leków mordercami i nie cofam tego słowa. Dziś na tej sali siedzi wśród nas mężczyzna, który samotnie wychowuje ośmioro dzieci, ponieważ jego żona, zamiast pójść do chirurga, sięgnęła po „Kurację przeciwrakową doktora Ruperta Wellsa”. Ilu z was, panowie, ma żonę czy córkę, która właśnie w tej chwili wlewa w swe schorowane ciało eliksir fałszywych nadziei i jawnego oszustwa? Pan Cromwell w swym otwierającym wystąpieniu mówił wam o prawach i swobodach. Już prawie was przekonał, że ustawa rządowa oznacza dla was wszystkich zniewolenie. Ale powiem wam, czyimi niewolnikami tak naprawdę jesteście: to właśnie producenci leków są waszymi władcami i panami. To oni za pomocą kłamstw zrobili z was marionetki. Składają obietnice, których nie są w stanie spełnić, łupią z was pieniądze i traktują was jak dzieci bądź jak skończonych durniów, gdyż nie podając składu leków, z góry zakładają, że i tak jesteście za głupi, żeby cokolwiek zrozumieć. A ponieważ nie ma nikogo, kto by was obronił, idziecie za nimi potulnie jak owce na rzeź. Oddajecie im swoje ciężko zarobione pieniądze, a oni w zamian ofiarowują wam truciznę, nałóg i śmierć. Dlaczego, panowie, ktoś miałby was okłamywać? I dlaczego mielibyście tolerować taką sytuację? Kiedy kupujecie butelkę z naklejką „rum”, czy spodziewacie się w środku znaleźć coś innego? A przecież tyle razy każdy z was kupił lekarstwo, które pretendowało do cudownego środka na różne dolegliwości, a tak naprawdę niczego nie leczyło! Pan Cromwell twierdzi, że chce was pozbawić waszych praw — mówiła głośno, a jej dźwięczny głos zadawał kłam fatalnemu samopoczuciu. — Chciałabym właśnie, żebyście zdobyli sobie nowe prawa! W tym prawo do wiedzy, co zawiera lek, który kupujecie! Bo to, proszę panów, jest właśnie po amerykańsku!

Podniosła głos; czuła, że ogarnia ją drżenie. Kiedy wewnątrz sali zaczęło ciemnieć, pomyślała, że ze względu na nadchodzącą burzę występują jakieś kłopoty z prądem. Potem jednak zorientowała się, że to nie chodzi o światła. Zaraz zemdleje, przemknęło jej przez głowę. Z trudem wstała z krzesła i żeby złapać równowagę, wsparła ręce na sędziowskim stole.

— Trzeba skończyć z tą nieludzką eksploatacją narodu! — grzmiała dźwięcznym głosem. — Jeśli nie chcecie tego zrobić dla siebie, zróbcie to dla swoich żon i dzieci! Zróbcie to dla małego Williego Jenkinsa, który umarł mi na rękach po zjedzeniu pastylek na kaszel zakupionych w drogerii obok domu. Zróbcie to dla Nellie, Bogu ducha winnej praczki, która wypija lekarstwo tak mocno zaprawione opium, że straciła świadomość tego, co robi, i wkręciła sobie ramię w wyżmaczkę...

Głos jej się załamał, łzy stanęły w oczach. Zaczęła mówić szeptem, ale ten szept był wymowniejszy od najdonośniejszego krzyku.

— Zróbcie to dla tych niemowląt, które umierają we śnie, gdyż „Kojący syrop Milikina” zawiera tyle opium, że dałoby się powalić nim nawet wołu. I dla tych nieszczęsnych matek owych maleństw, które muszą żyć do końca swoich dni ze świadomością, że stały się mimowolnymi morderczyniami swoich dzieci...

Zamknęła oczy i zachwiała się. Grzmot huknął tuż nad gmachem sądu i cały budynek zadrżał. W sali wybuchło zamieszanie. Jak przez mgłę widziała, że dziennikarze wyskakują z ławek i pędzą do telefonów; słyszała okrzyki wiwatujących i pomyślała: „Przecież nie skończyłam jeszcze...”

Raptem podłoga uciekła jej spod nóg — zapadła się pod nią jak pułapka — a Samanta miała wrażenie, że wpada w zimną i ciemną otchłań piwnicy. Na szczęście Marek złapał ją w ostatniej chwili i ocalił — ostatnią rzeczą, jaką zauważyła, zanim straciła przytomność, były jego łagodne brązowe oczy, pełne miłości i troski.

Płynęła.

Niebo było czerwone; widziała małe białe wiatraczki. Czowała, że jest lekka jak piórko. Potem nagle zrobiło jej się niedobrze i bała się, że zymiotuje na oczach wpatrzonych w nią publiczności i wysokiego sądu. Nagle uświadomiła sobie jednak, że wcale nie jest w sądzie, tylko stoi w ostatnim rzędzie amfiteatru sali operacyjnej Szpitala Północnego Londynu. Doktor Bomsie trzymał nóż w zębach, a fartuch miał zaskorupiały od krwi po niedawno przeprowadzanej sekcji. Waśnie zabierał się do usuwania piersi młodej kobiecie, kiedy chciała zawołać, że zapomniał wyjąłowić narzędzia i podać pacjentce eter, by przestała krzyczeć. Freddy, który stał tuż obok, tłumaczył jej cierpliwie, że Bomsie nie zna innych metod, i uspokajał ją, żeby się aż tak nie przejmowała.

A potem ogarnął ją chłód, przenikliwy chłód — ślizgała się i jechała po lodzie, by w końcu wpaść w wirującą czarną toń i tuż pod powierzchnią wody chwycić tonące rude włosy.

Obróciła głowę w bok, uniosła ciężkie powieki i zobaczyła ociekające deszczem szare okno. Woda się podnosi, wszyscy zatoniemy, przemknęło jej przez głowę.

— Jak się czujesz? — usłyszała głęboki głos.

Zamrugnęła i ujrzała Marka.

— Co się stało?

— Zemdlałaś. Jak się czujesz?

Odwróciła głowę i jęknęła.

— Obawiam się, że zdażyłaś uderzyć się w głowę, zanim cię złapałem. Leż spokojnie, Sam. Nie ma pośpiechu. Sąd odłożył rozprawę do jutra.

Omiotła wzrokiem otoczenie. Leżała w gabinecie sędziego Venablesa.

— Od jak dawna tu jestem?

— Od kilku minut. Jak tylko się lepiej poczujesz, zawiozę cię do domu. — Marek przytknął do jej ust kieliszek z brandy, ale odmówiła. — Co się stało, że tak zemdlałaś, Sam?

Musiała wyteńczyć wszystkie siły, żeby skoncentrować wzrok na twarzy Marka, a kiedy w jego oczach ujrziała głęboką troskę, uśmiechnęła się.

— Jak zwykle lekarz dowiaduje się na końcu! Ależ jestem niemądra, Marku! Tak bardzo byłam pochłonięta procesem, że w ogóle nie zwróciłam uwagi na objawy.

— Objawy? Czego?

— Cięży.

— Cią... Sam, czy to prawda?

Uśmiechnęła się szerzej.

— Nadal obowiązuje mnie przysięga.

W odpowiedzi wziął ją w ramiona.

Sędzia Venables wetknął głowę do gabinetu.

— I jakże ona się miewa?

Pacjentki Samanty zeznawały w sądzie i jak się tego spodziewała, Cromwell odegrał całe przedstawienie, żeby tylko zdyskredytować je w oczach przysięgłych. Po zakończonych przesłuchaniach przysięgli naradzali się przez sześć dni, aż wreszcie ogłosili werdykt na korzyść firmy Fenwick.

— Nie mogli zrobić nic innego — stwierdził Stanton Weatherby, dokładając kłodeę do kominka. — Fenwick zdołał obronić wszystkie punkty swojej kampanii reklamowej. Ale to dla niego pyrrusowe zwycięstwo.

W oparciu o zasady obowiązującego prawa zakładom Sary Fenwickowej nie dało się nic zarzucić, ale z punktu widzenia etyki i moralności sprawa już wyglądała inaczej. Zwycięstwo Johna Fenwicka było krótkotrwałe, kiedy okazało się, że sędzia Venables zasądził od pozwanych grzywnę w wysokości zaledwie pięćdziesięciu dolarów, a Johna Fenwicka surowo ostrzegł przed podobnymi praktykami w przyszłości. Prasa natomiast wychwalała pod niebiosa doktor Hargrave, jakby to ona wygrała proces.

— Posłuchajcie... — zaczęła. Oparła stopy na podnóżku i z uśmiechem spojrzała na skupionych wokół niej przyjaciół. — Zapoczątkowaliśmy pewien ruch. Redakcja „Chronicie” musiała wynająć osobne pomieszczenie, w którym pracownicy zajmują się korespondencją nadchodzącą z całego kraju z głosami poparcia. Ale chciałabym, żebyśmy rozszerzyli nasze działania.

Moim zdaniem powinniśmy wesprzeć Harveya Wileya w prze-  
forsowaniu ustawy dotyczącej żywności, bo tak na dobrą spra-  
wę walczymy w końcu o to, żeby na wszystkim, co trafia do  
naszego organizmu, znalazły się uczciwe etykiety. I...

— Samanto, moja kochana, kiedy ty znajdziesz na to  
wszystko czas? — zapytała Hilary. — Będziesz musiała zwo-  
lnić trochę tempo, dobrze o tym wiesz.

— Dlaczego? Jestem tylko w ciąży, a nie chora! Horacy,  
co myślisz o tym, żeby tak wesprzeć wysiłki pana Wileya?

— Hm... — Wyciągnął z ust wykałaczkę. — Myślę, że  
jesteśmy w stanie zainteresować tym opinię publiczną. Moi  
czytelnicy pewnie chcieliby się dowiedzieć, że rum, który  
kupują, jest niczym innym jak tylko czystym alkoholem zapra-  
wionym barwnikiem.

— Nasi żołnierze na Filipinach dostają konserwy z nasy-  
coną chemikaliami wołowiną — zauważył Dariusz.

— A pani Gosset, nasza kucharka, dałaby sobie głowę  
uciać, że w puszkowanej kukurydzy jest formalina! — dorzu-  
ciła Willella.

— Pamiętacie Toby'ego Watsona? — zapytała Samanta.  
— Pamiętacie, jak się rozchorował po tych cukierkach z mela-  
sy? Okazało się, że zawierają kwas siarkowy! — Oczy jej roz-  
błysły. — Tak, musimy bardzo uważać, co wprowadzamy do  
żołądka, co jemy i co zżywamy. Od razu bierzmy się do pracy!

Marek podszedł do niej i przysiadł na oparciu fotela. Sa-  
manta ujęła jego dłoń. Za oknem padał deszcz, a ona siedzia-  
ła w ciepłym kręgu ognia, otoczona przyjaciółmi — jeszcze  
nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Myślała o czekającej ją  
kolejnej krucjacie, o walce w sądach sądowych, o badaniach  
Marka nad rakiem i o świetlanej przyszłości dynamicznie roz-  
wijającej się medycyny. Wyobraziła sobie rozbudowany szpi-  
tal i zadumała się nad tym, co też ludziom przyniesie nowe  
stulecie, od którego dzieliło ich raptem półtora roku.

— Przegraliśmy pierwszą bitwę, ale na Boga, będziemy  
nadal walczyć... — powiedziała cicho.